

John Connolly

Wszystko martwe we mnie... Dziecię jestem Pustki, mroku, śmierci; tego, co bezkresne.

John Donnę, Nokturn na dzień świętej Łucji

W samochodzie jest zimno jak w grobie. Lubię, kiedy klimatyzacja nastawiona jest „na ful”, bo spadająca temperatura pomaga pomyśleć zachować czujność. Radio gra cicho, ale nadal słyszę melodię, majimfając z uporem ponad dźwiękiem silnika. Wczesny R.E.M., coś o ramionach i deszczu.

Most Cornwall zostawiłem trzynaście kilometrów stąd, a przed sobą mam Południowe Canaan i samo Canaan, a w końcu granicę stanową z Massachusetts. Jasne słońce przede mną gaśnie, a dzień z wolna wykrwawia się, ustępując miejsca nocy.

Tej nocy, kiedy zginęły, najpierw nadjechał samochód patrolowy, rozpraszając ciemność czerwonym światłem. Dwaj funkcjonariusze weszli do domu szybko, ale i ostrożnie, świadomi, że przybywają na wezwanie jednego ze swoich, policjanta, który zamiast nieść pomoc, sam stał się ofiarą.

Kiedy weszli do kuchni naszego domu w Brooklynie i przelotnie spojrzeli na to, co zostało z mojej żony i dziecka, siedziałem akurat w holu, z twarzą ukrytą w dłoniach. Patrzyłem, jak jeden pośpiesznie przeszukuje pokoje na górze, podczas gdy drugi sprawdzał pokój dzienny i jadalnię, przy czym kuchnia wzywała ich przez cały czas, jakby domagając się, by zechcieli złożyć zeznania.

Słuchałem, jak przez radio wzywają grupę kryminalną, informując o prawdopodobnym podwójnym morderstwie. Słyszałem szok w ich głosach, chociaż starali się przekazać to, co widzieli, tak beznamytnie, jak tylko mogli, jak na dobrych gliniarzy przystało. Możliwe, iż wtedy podejrzewali nawet mnie. Będąc policjantami, wiedzieli lepiej niż ktokolwiek, co ludzie, nawet gdy chodziło o jednego z nich, są w stanie zrobić.

Nie mówili nic — jeden przy samochodzie, a drugi w holu przy mnie

— dopóki przed domem nie pojawili się detektywi, a zaraz po nich ambulans. Wszyscy weszli do środka, a sąsiedzi już zbierali się na werandach, przy bramach, niektórzy podchodzili bliżej, by dowiedzieć się, co też zaszło, co mogło przytrafić się tym młodym ludziom, tej młodej parze z małą, jasnowłosą córeczką.

— Bird?

Przetarłem oczy, rozpoznając głos. Mym ciałem wstrząsnął szloch. Stał przy mnie Walter Cole, nieco bardziej z tyłu McGee o twarzy skąpanej w światłach radiowozów, lecz wciąż bladej, wstrząśnięty tym, co zobaczył. Słysząc było, że przed domem zatrzymuje się więcej aut. Przy drzwiach pojawił się policyjny medyk, odrywając ode mnie uwagę Cole'a.

— Przyjechał technik medyczny — oznajmił jeden z policjantów, gdy obok niego stanął chudy, młody człowiek o bladej twarzy.

Cole skinął głową i wykonał ruch ręką w stronę kuchni.

— Bird — powtórzył Cole, tym razem ponagłajaco, bardziej szorstko.

— Czy powiesz mi, co się tutaj stało?

Zjeżdżam na parking przed kwaciarnią. Wieje lekki wiatr i poły płaszcza głaszczą mi nogi jak ręce dziecka. Wnętrze sklepiku jest zimne, zimniejsze niż trzeba, i przepelnione zapachem róż. Na róże zawsze jest moda — i sezon.

Sprzedawca pochylając się dokładnie sprawdza grube, woskowe liście małej, zielonej rośliny.

Kiedy wchodzę, prostuje się powoli i z trudem.

— Bry wieczór — mówi. — W czym pomóc?

— Chciałbym trochę tych róż. Niech będzie tuzin. Albo lepiej dwa tuziny.

— Dwa tuziny róż, robi się, psze pana.

Jest mocno zbudowany i łysy, trochę po sześćdziesiątce. Chodzi sztywno, prawie nie zginając kolan. Stawy jego palców zniekształcił reumatyzm.

— Klimatyzacja znowu wariuje — mówi.

Mijając przestarzały panel sterujący, nastawia przełącznik, ale nic się nie dzieje.

Kwiaciarnia jest stara, jej tylną ścianę zajmuje oszklona cieplarnia. Otwiera jej drzwi i zaczyna ostrożnie wybierać róże z wiadra. Odliczywszy dwadzieścia cztery, zamyka drzwi szklarni i kładzie kwiaty na arkuszu celofanu na ladzie.

— Zawinąć w ozdobny papier?

— Me, wystarczy celofan.

Przygląda mi się przez chwilę i słyszę niemal, jak zaskakują trybiki w jego mózgu w procesie rozpoznawania.

— Czy my się skądś nie znamy?

Ludzie w wielkich miastach mają krótką pamięć. Z dala od nich wspomnienia żyją długo.

Uzupełniający raport z przestępstwa

Wydział Policji w Nowym Jorku. Numer sprawy: 96-12-1806

Rodzaj przestępstwa: Zabójstwo

Ofiara: Susan Parker, biała, płeć żeńska, Jennifer Parker, biała, płeć żeńska

Miejsce: 1219 Hobart Street, kuchnia

Data: 12 grudnia 1996 Czas: około 21:30

Sposób: Pchnięcie nożem

Narzędzie zbrodni: Ostre narzędzie, prawdopodobnie nóż (nie znaleziony)

Składający raport: Walter Cole, detektyw pierwszego stopnia

Szczegóły:

13 grudnia 1996 na zlecenie oficera dyżurnego Geralda Kersha udałem się na 1219 Hobart Street, aby zająć się sprawą zgłoszonego zabójstwa.

Powód Charles Parker, detektyw drugiego stopnia, oświadczył, że wyszedł z domu o 19:00 po kłótni z żoną, Susan Parker. Udał się do baru Dąb Toma i pozostał tam aż do 01:30 dnia 13 grudnia. Wrócił do domu przez drzwi frontowe i zauważył, że meble w przedpokoju nie stoją na swoich miejscach. Wszedł do kuchni i znalazł żonę i córkę. Zeznał, że żona była przywiązana do kuchennego krzesła, a ciało córki zostało najwyraźniej przeniesione z krzesła obok i ułożone na ciele matki. Zawiadomił policję o 01:55 i pozostał na miejscu zbrodni. Ofiary, rozpoznane przez Charlesa Parkera jako Susan Parker (żona, lat 33) i Jennifer Parker (córka, lat 3), znajdowały się w kuchni. Susan Parker była przywiązana do krzesła pośrodku pomieszczenia, twarzą do drzwi. Drugie krzesło stało obok, z oparcia nadal zwisały fragmenty sznura. Jennifer Parker leżała w poprzek matki, twarzą do góry.

Susan Parker była bosa, ubrana w niebieskie dzinsy i białą bluzkę. Bluzka została podarta i ściągnięta do pasa, odsłaniając piersi. Spodnie i bielizna były opuszczone do łydek. Jennifer Parker była bosa, miała na sobie białą koszulę nocną ze wzorem w niebieskie kwiatki.

Zleciłem technikowi kryminalnemu Annie Minghella przeprowadzenie pełnego dochodzenia.

Kiedy śmierć obu ofiar została stwierdzona przez policyjnego lekarza Clarence'a Halla, oba ciała pod moim nadzorem przewieziono do szpitala. W mojej obecności doktor Anthony Loeb przeprowadził badanie mające na celu ustalenie, czy ofiary nie zostały zgwałcone, i przekazał mi zgromadzone materiały dowodowe:

96-12-1806-M1: biała bluzka należąca do Susan Parker (pierwsza ofiara)

96-12-1806-M2: niebieskie dzinsy należące do pierwszej ofiary 96-12-1806-M3: niebieska

bawełniana bielizna należąca do pierwszej ofiary

96-12-1806-M4: włosy łonowe pierwszej ofiary 96-12-1806-M5: wymaz z pochwy pierwszej ofiary 96-12-1806-M6: skrawki spod paznokci prawej ręki pierwszej ofiary 96-12-1806-M7: skrawki spod paznokci lewej ręki pierwszej ofiary 96-12-1806-M8: włosy znad prawej części czoła pierwszej ofiary 96-12-1806-M9: włosy znad lewej części czoła pierwszej ofiary 96-12-1806-M10: włosy z prawej tylnej części głowy pierwszej ofiary 96-12-1806-M11: włosy z lewej tylnej części głowy pierwszej ofiary 96-12-1806-M12: biało-niebieska bawełniana koszula nocna należąca

do drugiej ofiary

96-12-1806-M13: wymaz z pochwy drugiej ofiary 96-12-1806-M14: skrawki spod paznokci prawej ręki drugiej ofiary 96-12-1806-M15: skrawki spod paznokci lewej ręki drugiej ofiary 96-12-1806-M16: włosy znad prawej części czoła drugiej ofiary 96-12-1806-M17: włosy znad lewej części czoła drugiej ofiary

96-12-1806-M18: włosy z prawej tylnej części głowy drugiej ofiary 96-12-1806-M19: włosy z lewej tylnej części głowy drugiej ofiary

To była kolejna zawzięta kłótnia, a fakt, że przed nią kochaliśmy się, tylko wszystko pogorszył. Tak jak w wielu poprzednich spięciach, powróciły te same zarzuty: moje picie, brak czasu dla Jenny, napady rozgoryczenia i żalu nad samym sobą. Kiedy wybiegłem z domu, w zimną noc podążyły za mną krzyki Susan.

Do baru szedłem dwadzieścia minut. Kiedy pierwsza dawka whisky dotarła do żołądka, napięcie opuściło moje ciało i pojawił się typowy dla pijaka cykl: najpierw poczułem się wściekły, potem cikliwy, rozżalony, skruszony, a wreszcie urażony.

Gdy opuszczałem bar, zostali jedynie stali bywalcy, chórek opojów zagłuszających Van Halen z szafy grającej. Wychodząc, potknąłem się na progu i stoczyłem na zewnątrz ze schodów, boleśnie raniąc kolana na żwirze wysypanym u ich podnóża.

Potykając się, ruszyłem do domu; chciało mi się wymiotować, czułem się paskudnie. Kiedy tak zataczałem się na drodze, samochody, aby mnie ominąć, skręcały gwałtownie, a twarze kierowców wybuchały niepokojem i gniewem.

Stając u drzwi, wygrzebałem z kieszeni klucz i zarysowując farbą, usiłowałem włożyć go do zamka. Takich zadrapań było tam już sporo.

Wiedziałem, że coś jest nie tak, gdy tylko otworzyłem drzwi i wszedłem do holu. Kiedy wychodziłem, w domu było ciepło, a ogrzewanie ustawione na pełną moc, bo Jennifer marzyła zimą. Była dzieckiem ślicznym, lecz delikatnym, kruchym jak chińska porcelana. Teraz dom był zimny jak noc na zewnątrz, zimny jak grób. Mahoniowa żardyniera leżała przewrócona na dywanie, a doniczka, pęknięta na dwie części, w wysypanej ziemi. Korzenie rosnącej w niej poinsecji sterczały nagie i brzydkie.

Zawołałem Susan, potem jeszcze raz, głośniej. Mgła upojenia zaczynała się już rozwiewać i wchodziłem właśnie na schody prowadzące do sypialni, gdy usłyszałem, jak tylne drzwi uderzyły o zlew w kuchni. Instynktownie sięgnąłem po mojego colta DE, ale ten leżał na biurku na piętrze, gdzie go zostawiłem, zanim nie stawiłem czoła Susan i kolejnemu rozdziałowi w historii naszego rozpadającego się małżeństwa. Przekląłem siebie wtedy. Później takie klątwy miały stać się symbolem całej mojej klęski, wszystkich moich żali.

Ostrożnie ruszyłem w stronę kuchni, końcami palców macając zimną ścianę po lewej stronie. Kuchenne drzwi były lekko uchylone i trzymając je za krawędź, otworzyłem powoli.

I

— Susie? — zawołałem, wchodząc do kuchni. Lekko pośliznąłem się na czymś lepkiem i

mokrym. Spojrzałem w dół i znalazłem się w piekle.

Oczy starego sprzedawcy kwiatów są zwężone, jakby był zakłopotany. Dobrotliwie wymachuje mi palcem przed nosem.

— Jestem pewien, że skądś pana znam.

— Nie sędzę.

— Pochodzi pan stąd? A może z Canaan? Monterey? Albo Otis?

— Nie, skądinąd.

Wzrokiem daję mu poznać, że to jest granica, której dla własnego dobra nie powinien przekraczać, i widzę, jak się wycofuje. Już mam skorzystać z karty kredytowej, ale rezygnuję. Przeliczam drobne wyciągnięte z portfela i kładę je na ladzie.

— Skądinąd — powtarza, kiwając głową, jak gdyby miało to dla niego niezwykle głębokie znaczenie. — O, to musi być coś wielkiego. Wielu gości stamtąd tu trafia...

Ale ja już wychodzę. Odjeżdżając, widzę, jak stoi przy oknie i przygląda mi się bacznie. Za mną krople wody kapią delikatnie z łądyg różanych i zbierają się na podłodze.

Uzupełniający raport z przestępstwa — ciąg dalszy

Numer sprawy: 96-12-1806

Susan Parker siedziała na sosnowym krześle kuchennym, z twarzą zwróconą na północ, w stronę drzwi kuchennych. Czubek głowy dzieliły trzy metry od ściany północnej oraz dwa metry od ściany wschodniej. Ręce miała związane z tyłu i...

...przywiązane do szczebli w oparciu krzesła cienkim sznurkiem. Każda ze stóp została z kolei przywiązana do osobnej nogi krzesła, a twarz, prawie całkiem zakryta włosami, była tak zalana krwią, że nie było widać ani kawałka skóry. Głowa zwisała z tyłu tak, że podcięte gardło wyglądało niczym drugie usta oniemiałe w cichym, ciemnoczerwonym krzyku. Nasza córka leżała na kolanach Susan, z jedną ręką zwieszoną między nogami matki.

Wszystko dokoła było czerwone, jak w scenie jakiejś tragedii o okrutnym mścicielu, gdzie za krew zapłacono krwią. Plamiła sufit i ściany, jak gdyby sam dom został śmiertelnie ranny. Leżała gęsta i ciężka na podłodze i zdawała się pochłaniać moje odbicie w jasnoczerwonej ciemności.

, 10

Nos Susan Parker został złamany. Rany odpowiadały sile uderzenia o ścianę lub podłogę. Plamy krwi na ścianie przy drzwiach zawierały szczątki kości, włosy z nosa i śluz...

Susan próbowała uciekać, biec po pomoc dla naszej córki i siebie, ale dotarła tylko do frontowych drzwi. Wtedy ją złapał, chwycił za włosy i rzucił o ścianę, po czym zaciągnął, krwawiącą i obolałą, z powrotem na krzesło, by zadać śmierć.

Jennifer Parker leżała rozciągnięta, z twarzą zwróconą do góry, w poprzek ud swej matki, a obok stało drugie sosnowe krzesło. Sznur zawiązany na jego oparciu odpowiadał śladom na nadgarstkach i kostkach Jennifer Parker.

Wokół Jenny nie było aż tak wiele krwi, ale jej nocna koszula zaplamiona była tą, która wypłynęła z głębokiego rozcięcia na gardle. Twarz, zwróconą w stronę drzwi, zasłaniały opadające włosy; kilka kosmyków przykleiło się do krwi na jej piersiach. Palce bosych stóp zwisały nad kafelkami podłogi. Mogłem patrzeć na nią tylko przez chwilę, bo to Susan przyciągnęła mój wzrok — tak, jak robiła to za życia, mimo niepowodzeń naszego związku.

I kiedy spojrzałem na nią, poczułem, że osuwam się po ścianie, zaś z moich trzewi dobył się na wpół zwierzęcy, a na wpół dziecięcy szloch. Patrzyłem na piękną kobietę, która była moją żoną, a jej krwawe, ziejące pustką oczodoły wydawały się wciągać mnie i okrywać ciemnością.

Oczy obu ofiar zostały okaleczone, prawdopodobnie ostrym narzędziem w rodzaju skalpela.

Klatka piersiowa Susan Parker została częściowo obdarta ze skóry. Skórę od obojczyka do pępka usunięto, naciągnięto na prawą pierś i rozciągnięto na prawą rękę.

Księżyc świecił przez okno za nimi, rzucając zimny blask na świecące blaty, wykafelkowane ściany, stalowe kurki nad zlewem. Zaplątał się we włosy Susan, otulił jej nagie ramiona srebrem i przeświecał przez części cienkiej błony skóry zarzuconej na ramiona jak peleryna — peleryna zbyt cienka, by chroniła przed zimnem.

Nastąpiło znaczne okaleczenie...

11

A potem pozbawił je twarzy.

Szybko się teraz ściemnia i przednie światła wychwytyją nagie gałęzie drzew, krańce przyciętych trawników, czyste, białe skrzynki na listy, jakiś dziecięcy rowerek leżący przed bramą garażu.

Wiatr się wzmaga i kiedy opuszczam ochronę drzew, czuję, jak uderza w samochód. Jadę w stronę Becket, Washington, Berkshire Hills. Jestem już prawie na miejscu.

Nie znaleziono śladów wdarcia się przemocą. Zostały wykonane kompletne pomiary i szkic całego pomieszczenia. Następnie rozwiązano ciała.

Pobranie odcisków palców dało następujące wyniki:

Kuchnia/hol/pokój dzienny — wyraźne ślady, później zidentyfikowane jako należące do Susan Parker (96-12-1806-7), Jennifer Parker (96-12--1806-8) i Charlesa Parkera (96-12-1806-9).

Tylne drzwi prowadzące do kuchni — brak wyraźnych odcisków; mokre ślady na powierzchni wskazują, że drzwi zostały wytarte. Brak śladów włamania.

Nie zdjęto żadnych odcisków ze skóry ofiar.

Charles Parker został przewieziony do Wydziału Zabójstw i złożył oświadczenie (załączone).

Wiedziałem, co mnie czeka, kiedy usiadłem w pokoju przesłuchań: sam robiłem to wiele razy.

Przesłuchiwali mnie tak, jak ja przesłuchiwałem wcześniej innych, używając dziwnych, urzędowych sformułowań, typowych dla policyjnych przesłuchań. „Co zrobił pan potem?” „Czy przypomina pan sobie, gdzie siedziały inne przebywające w barze osoby?” „Czy pamięta pan, w jakim stanie znajdował się zamek tylnych drzwi?” To niejasny, zagmatwany żargon, wstęp do terminologii prawniczej, która zasnuwa kryminalne procedury tak, jak dym papierosowy zasnuwa widok w barze.

Kiedy złożyłem oświadczenie, Cole sprawdził, czy zgadza się ono z tym, co powiedział właściciel baru, i potwierdził, że faktycznie byłem tam wtedy, nie mogłem więc zabić własnej żony i dziecka.

Mimo to oni wciąż szeptali. Wypytywali mnie ciągle od nowa o małżeństwo, o relacje z Susan, o to, co robiłem na tydzień przed morderstwem... Miałem otrzymać znaczną sumę z ubezpieczenia Susan i o tym też nie zapomnieli.

Według eksperta medycyny sądowej, Susan i Jennifer nie żyły już od czterech godzin, kiedy je znalazłem. Stężenie pośmiertne pojawiło się na

V

? 12

ich szyjach i zuchwach, wskazując, że zgon nastąpił około 21:30, może trochę wcześniej.

Przyczyną śmierci Susan było przerwanie tętnicy szyjnej, ale Jenny... Jenny umarła z powodu czegoś, co zostało opisane jako: zmasowane uwolnienie do organizmu epinefryny, co spowodowało migotanie przedsionków serca i śmierć. Jenny, zawsze delikatna i wrażliwa, dziecko o słabym sercu, umarła dosłownie ze strachu, zanim zabójca miał szansę poderżnąć jej gardło. Nie żyła, kiedy pozbawiano ją twarzy, orzekł ekspert. Nie mógł tego natomiast powiedzieć o Susan. Nie wiedział też, dlaczego ciało Jennifer zostało przeniesione po śmierci. Dalsze raporty wkrótce.

Walter Cole, detektyw pierwszego stopnia

Miałem alibi pijaka: kiedy ktoś mordował mi żonę i dziecko, ja złopałem bourbona w

przydrożnym barze. Ale one wciąż pojawiają się w moich snach, czasem uśmiechnięte i piękne jak za życia, a czasem bez twarzy, skąpane we krwi; takie, jak zostawiła je śmierć. Wtedy otacza mnie głęboka ciemność, gdzie nie ma miejsca na miłość, a zło czai się za tysiącami niewidzących oczu i obdartymi ze skóry twarzami umarłych.

Jest już ciemno, kiedy docieram na miejsce, a brama jest zamknięta. Mur jest niski i z łatwością przez niego przechodzę. Idę ostrożnie, aby nie deptać po nagrobnych płytach i kwiatach, aż stoję przed nimi. Nawet w ciemności wiem, gdzie je znaleźć, a one umieją odnaleźć mnie.

Czasem do mnie przychodzą, gdzieś między snem a przebudzeniem, kiedy ulice są ciche i ciemne albo gdy świt sączy się przez szpary w zasłonach, wypełniając pokój przyćmionym, coraz jaśniejszym światłem. Przychodzą do mnie i widzę ich sylwetki w mroku, moja żona i dziecko razem, brocząc krwią gwałtownego umierania, patrzą na mnie w ciszy. Są ze mną, ich oddech słyszę w nocnych wiatrach, ocierających się o mój policzek, ich palce w gałęziach drzew uderzających w moje okno. Przychodzą do mnie i nie jestem już sam.

13

Kelnerka miała lat pięćdziesiąt parę, ubrana była w czarną, obcisłą minispódniczkę, białą bluzkę i czarne szpilki. Jej ciało wylewało się z poszczególnych części garderoby, jakby w jakiś tajemniczy sposób zwiększyło swą objętość w którymś momencie między ubieraniem się a przyjsciem do pracy. Zwracała się do mnie „kochanieńki” za każdym razem, gdy dolewała mi kawy. Poza tym nie mówiła nic, a to mi odpowiadało.

Już od półtorej godziny siedziałem przy oknie, przyglądając się budynkowi z piaskowca po drugiej stronie ulicy; kelnerka na pewno zastanawiała się, jak długo mam zamiar zostać i czy kiedyś raczę zapłacić rachunek. Ulice Astorii przepelnione były ludźmi poszukującymi okazji kupienia czegoś po niższej cenie. Przeczytałem już nawet całego New York Timesa bez przysypiania co jakiś czas, czekając, aż Tłuścioch Ollie Watts wyjdzie z ukrycia. Moja cierpliwość już się kończyła.

W chwilach słabości rozmyślałem nad tym, czy nie zrezygnować z New York Timesa w dni powszednie i ograniczyć się tylko do edycji niedzielnej, kiedy to mógłbym przynajmniej usprawiedliwić wydatek objętością gazety. Mogłem też zacząć czytać Post, ale wtedy musiałbym zacząć wycinać z niego kupony i chodzić do sklepu w rannych pantoflach.

Przypomniała mi się historia potentata prasowego Ruperta Murdocha, który zwrócił się do kierownictwa sieci Bloomingdale, mając nadzieję, że zechcą reklamować się w Post, przejętym przez niego w latach osiemdziesiątych. W odpowiedzi szef Bloomingdale'a uniósł brew i rzekł: „Problem, panie Murdoch, polega na tym, że pańscy czytelnicy kradną w naszych sklepach”. Nie przepadałem za Bloomingdalem, ale to był trafny argument przemawiający przeciwko prenumeracji Postu,

Być może wyżywałem się w tej chwili na gazecie za wiadomość, jaką mi przekazała: Hansel McGee, sędzia stanowego Sądu Najwyższego i, zdaniem niektórych, jeden z najgorszych sędziów w Nowym Jorku, miał w grudniu przejść na emeryturę i prawdopodobnie zostać mianowanym członkiem zarządu miejskiej Korporacji Zdrowia i Szpitali.

Już na sam widok nazwiska McGee w druku zrobiło mi się niedobrze. W latach osiemdziesiątych przewodniczył składowi sędziowskiemu w procesie kobiety, która, mając dziewięć lat, została zgwałcona przez pięćdzieści-czterolatniego dozorcę parku Pelham Bay, Jamesa Johnsona, który miał już na koncie rabunek, napad i gwałt.

14

McGee odrzucił decyzję ławy przysięgłych, aby przyznać kobiecie odszkodowanie w wysokości trzech i pół miliona dolarów, mówiąc:

„Niewinne dziecko bez żadnej przyczyny padło ofiarą ohydny gwałtu; cóż, to tylko jedno z

niebezpieczeństw, na jakie jesteśmy narażeni, żyjąc we współczesnym społeczeństwie". Wtedy jego ocena sytuacji wydawała się bezduszna, uzasadnienie odrzucenia orzeczenia absurdalne. Teraz, kiedy patrzyłem na jego nazwisko po tym, co stało się z moją rodziną, jego poglądy wydawały się o wiele bardziej odrażające, stały się wręcz symbolem upadku dobra w obliczu zła.

Wymazując obraz McGee sprzed oczu, złożyłem równo gazetę, wybrałem numer na swoim telefonie komórkowym i spojrzałem w stronę okna na piętrze nieco zaniedbanej kamienicy naprzeciwko. Telefon został odebrany po trzech sygnałach i kobiecy głos wyszeptał niepewne „halo”. Słysząc w nim było fajki, gorzałę, brzmiał jak skrzypiące po zakurzonej podłodze drzwi baru.

— Powiedz temu tłustemu dupkowi, swojemu facetowi, że idę po niego i lepiej, żebym nie musiał za nim gonić — oznajmiłem. —? Jestem zmęczony, nie zamierzam latać w tym upale. Zwiążłość to moje drugie imię. Wyłączyłem telefon, zostawiłem pięć dolarów na stole i wyszedłem na ulicę, by poczekać, aż Tłuscioch Ollie Watts spanikuje.

Miasto tkwiło w środku fali wilgotnych upałów, która miała się zakończyć następnego dnia wraz z nadejściem burz i deszczu. Póki co panował taki skwar, że najlepiej było nosić T-shirty, bawełniane spodnie i skandalicznie drogie okulary słoneczne; ale jeśli ktoś miał pecha i odpowiedzialną pracę, w tym upale mógł się tylko pocić pod garniturem jak świnia, gdy tylko znalazł się poza zasięgiem klimatyzacji. Nawet najłżejsze tchnienie wiatru nie poruszało stojącym powietrzem.

Dwa dni wcześniej samotny biurkowy wentylator walczył z ospałym ciepłem w biurze Benny'ego Lowa w Brooklyn Heights. Przez otwarte okno wpadała z Atlantic Avenue arabska mowa, a ja czułem kuchenne zapachy dochodzące z Marokańskiej Gwiazdy. Benny był średniej klasy poręczycielem kaucji, który liczył na to, że Tłuscioch Ollie nie ruszy się z miejsca aż do procesu. Fakt, że pomylił się, oceniając wiarę Olliego w wymiar sprawiedliwości, był jedną z przyczyn, dla których Benny pozostawał średniej klasy poręczycielem.

Suma proponowana za Tłusciocha Olliego Wattsa była rozsądna, a każda żyjąca na dnie stawu gadzina ma więcej rozumu od tych, co zwiewają po zwolnieniu za kaucją. Mowa tu o pięćdziesięciu tysiącach dolarów, a zaczęło się od nieporozumienia między Olliem a siłami prawa i porządku w spra-

15

wie dokładnego ustalenia prawowitego właściciela samochodu chevy beret-ta rocznik tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt trzy, mercedesa ze składanym dachem z osiemdziesiątego ósmego i kilku wysokiej klasy sportowych wozów, w których posiadanie Ollie nie wszedł całkiem legalnie.

Tłusciochowi zaczęło się źle powodzić, kiedy sokolooki policjant na patrolu, doskonale wiedzący, że Ollie wcale nie błyszczy pośród ciemności tego rządzącego się bezprawiem świata, zauważył wóz ukryty pod brezentem i postanowił sprawdzić jego numery.

Okazały się fałszywe, a Tłuscioch został namierzony, aresztowany i przesłuchany. Nie puścił pary z gęby, lecz spakował się i dał nogę, gdy tylko został zwolniony za kaucją, chcąc umknąć dalszych pytań o to, kto powierzył samochody jego opiece. Podobno był to Salvatore „Sonny” Ferrera, syn ważnej figury z mafii. Chodziły plotki, że stosunki między ojcem a synem pogorszyły się ostatnio, ale nie wiadomo było, dlaczego.

— Pieprzone rodzinne porachunki — jak to określił Benny Low tamtego dnia w swoim biurze.

— Czy ma to coś wspólnego z Tłusciochem?

— A skąd mam, kurwa, wiedzieć? Może sam zadzwonisz do Ferrery i zapytasz?

Popatrzyłem na Benny'ego Lowa. Był zupełnie łysy, i to odkąd skończył dwadzieścia parę lat, z

tego, co wiedziałem. Gładka czaszka połyskiwała maleńkimi kropelkami potu. Policzki miał rumiane, a ze szczęk i podbródka skóra zwisała mu niczym stopiony wosk. Maleńkie biuro, ulokowane nad mużułmańskim rzeźnikiem, śmierdziało potem i pleśnią. Sam dobrze nie wiedziałem, dlaczego zgodziłem się wziąć tę robotę. Pieniądze przecież miałem: forsa z ubezpieczenia, forsa ze sprzedaży domu, forsa z tego, co dawniej było naszym wspólnym kontem, nawet nieco gotówki z mojego funduszu emerytalnego, a forsa Benny'ego Lowa szczęścia mi dać nie mogła. Może więc zwyczajnie potrzebowałem zajęcia.

Low głośno przełknął ślinę.

— Co jest? Dlaczego mi się tak przyglądasz?

— Znasz mnie, Benny, prawda?

— A co to ma, kurwa, znaczyć? Pewnie, że cię znam. Chcesz referencji? Co? — Zaśmiał się niewesoło, szeroko, jakby błagalnie, rozkładając przy tym pulchne ręce. — Co? — powtórzył. Głos mu się załamał i po raz pierwszy wydał mi się naprawdę wystraszony. Wiedziałem, że ludzie plotkowali o mnie przez kilka miesięcy po śmierci mojej żony i córki, mówili o tym, co zrobiłem i do czego mogłem być zdolny. Wyraz twarzy Benny'ego zdradził mi, że on też co nieco słyszał i wierzył, że mogła to być prawda.

16

W sprawie ucieczki Olliego zwyczajnie coś mi nie grało. Nie pierwszy raz Tłuściocha oskarżono o kradzież samochodów, chociaż przez podejrzenie o powiązania z rodziną Ferrera tym razem wyznaczono za niego kaucję. Ollie miał dobrego prawnika, w przeciwnym wypadku jedyną rzeczą łączącą go z przemysłem samochodowym byłaby produkcja tablic rejestracyjnych w pudle na wyspie Rikers. Nie istniał żaden szczególny powód, dla którego musiałby uciekać czy ryzykować życie, donosząc policji na Son-ny'ego.

— Nic, Benny. Nieważne. Daj znać, jak coś usłyszysz.

— Jasne. — Uspokoił się. — Dowiesz się pierwszy.

Słyszałem, jak coś mamrocze pod nosem, kiedy wychodziłem z biura. Nie byłem pewien, co to było, ale wiedziałem, jak zabrzmiało. Zabrzmiało tak, jakby Benny nazwał mnie właśnie mordercą, takim jak mój ojciec.

Prawie cały następny dzień zajęło mi dyskretne przepytывanie w celu namierzenia aktualnej cizi Olliego, a teraz jeszcze pięćdziesiąt minut poranka ustalenie, czy z nią jest, czego dokonałem po prostu dzwoniąc do lokalnych restauracji tajskich i pytając, czy w ciągu minionego tygodnia dostarczali coś na jej adres.

Tłuścioch miał fioła na punkcie tajskiej kuchni i jak większość zbiegów nie porzucał swoich przyzwyczajzeń nawet wtedy, gdy się ukrywał. Ludzie się raczej nie zmieniają, dzięki czemu tych co głupszych nietrudno odnaleźć. Prenumerują te same gazety, jedzą w tych samych miejscach, piją to samo piwo, faceci dzwonią do tych samych kobiet, a kobiety śpią z tymi samymi facetami. Kiedy wreszcie postraszyłem tu i ówdzie sanepidem, właściciel obskurnego, orientalnego motelu zwanego Bangkok Sun potwierdził kilka dostaw do niejakiej Moniki Mulrane mieszkającej w Asto-rii. Wtedy to poszedłem na kawę, przeczytałem New York Timesa i telefonem obudziłem Olliego.

Tak jak się spodziewałem, ciemny jak tabaka w rogu Tłuścioch otworzył drzwi pod numerem 2317 jakieś cztery minuty po moim telefonie, wystawił głowę i rzucił się, pokracznie powłóczę nogami, po schodkach w dół na chodnik. Wyglądał absurdalnie z kosmykami włosów przylepionymi do łysej czaszki i gumą jasnobrązowych spodni na monsturalnej wielkości brzuchu. Monika Mulrane musiała go naprawdę kochać, bo nie była z nim przecież ze względu na forszę, a już na pewno nie ze względu na wygląd. Dziwne, ale na swój sposób lubiłem Tłuściocha Olliego Wattsa.

Stawiał akurat stopę na chodniku, gdy zza rogu wyłonił się biegacz w szarym dresie z kapturem na głowie. Zbliżył się do Olliego i z pistoletu z tłumikiem wpakował w niego trzy kule. Biała koszula z miejsca pokryła

17

się czerwonymi grochami i Tłuscioch upadł. Biegacz, leworęczny, stanął nad nim i strzelił jeszcze raz, w głowę.

Ktoś krzyknął i zobaczyłem brunetkę, prawdopodobnie dopiero co osamotnioną Monikę Mulrane, jak najpierw stanęła w drzwiach swojego mieszkania, a zaraz potem wybiegła na chodnik, ukłękła przy Olliem, przejechała dłonią po łysej, zakrwawionej głowie i rozplakała się. Biegacz już się cofał, podskakując jak bokser czekający na rozpoczęcie walki. Nagle stanął, wrócił i strzelił kobiecie w czubek głowy. Upadła na ciało Olliego, plecami na jego łysą czaszkę. Gapie już uciekali, kryjąc się za samochodami i w sklepach, a przejeżdżające ulicą wozy zatrzymywały się.

Byłem już prawie po drugiej stronie ulicy z moim smith & wessonem w ręce, kiedy biegacz rzucił się do ucieczki. Spuścił głowę i poruszał się szybko z pistoletem ciągle tkwiącym w lewej dłoni. Mimo że miał rękawiczki, nie zostawił broni na miejscu zabójstwa. Albo spluwa była wyjątkowa, albo morderca głupi. Osobiście stawiałem na tę drugą ewentualność.

Już go doganiałem, gdy czarny chevy caprice z przyciemnianymi szybami z piskiem opon wyjechał z bocznej ulicy i stanął, czekając na niego. Gdybym nie strzelił, udałoby mu się zwiąć. Gdybym strzelił, rozpętałoby się piekło z glinami. Dokonałem wyboru. Prawie już dopadł do chevy'ego, gdy posłałem dwie kule: jedna trafiła w drzwi samochodu, a druga wydarła krwawą dziurę w prawym rękawie bluzy biegacza. Okręcił się i dwukrotnie wypalił na oślep w moim kierunku, zaś ja zobaczyłem szerokie źrenice niesamowicie jasnych oczu. Koleś był na prochach. Kiedy obrócił się w stronę chevroleta, ten odjechał; kierowca spietrał się po moich strzałach i zostawił zabójcę Olliego na lodzie. Koleś wypalił raz jeszcze, roztrzaskując szybę samochodu po mojej lewej stronie. Słyszałem ludzkie krzyki i gdzieś w oddali wycie syren zbliżających się radiowozów.

Biegacz wystartował w stronę wąskiej uliczki i oglądał się, słysząc za sobą moje kroki. Gdy mijalem zakręt, świsnęła kula, odbijając się od ściany gdzieś nad moją głową, i przyprószyły mnie okruchy betonu. Podnosząc wzrok, dostrzegłem, że tamten jest już w połowie zaułka i trzyma się blisko muru. Jeśli dotrze do zakrętu, zgubię go w tłumie.

Wylot uliczki opustoszał na chwilę. Postanowiłem zaryzykować strzał. Słońce miałem za plecami, gdy się wyprostowałem, wypalając szybko raz za razem. Jak przez mgłę dotarło do mojej świadomości, że ludzie po obu stronach rozproszyli się jak stadko gołębi, w które ktoś rzucił kamieniem, kiedy prawy bark biegacza wygiął się w łuk, trafiony jedną z moich kul. Krzyknąłem, żeby rzucił spluwę, ale on obrócił się niezdarnie, podnosząc lewą rękę z pistoletem. Chwiejąc się lekko, znów wystrzeliłem dwukrotnie

18

z odległości mniej więcej sześciu metrów. Jego lewe kolano eksplodowało i oparł się o mur, a broń, już nieszkodliwa, poleciała, odbijając się od ziemi, w stronę kubłów i czarnych worków na śmieci.

Kiedy zbliżyłem się do niego, dostrzegłem śmiertelnie bladą twarz, wykrzywioną z bólu usta i lewą dłoń chwytającą powietrze wokół strzaskanego kolana bez dotykania rany. Oczy miał jednak wciąż nienaturalnie promienne i zdawało mi się, że słyszę jego chichot, kiedy odepchnął się od ściany i próbował uciekać, skacząc na zdrowej nodze. Byłem parę kroków od niego, gdy śmiech został zagłuszony przez pisk hamulców gdzieś w przedzie. Podniosłem wzrok i spostrzegłem, że czarny chevy zablokował wylot uliczki; okno od strony pasażera otworzyło się,

a ciemność wewnątrz rozjaśnił pojedynczy błysk lufy pistoletu.

Kolesi skoczyli i upadli. Drgnął raz i na plecach bluzy zobaczyłem powiększającą się czerwoną plamę. Nastąpił kolejny wystrzał; głowa biegacza eksplodowała gejzerem krwi, a twarz uderzyła o brudny beton ulicy. Ruszyłem już, by schronić się za śmietnikami, kiedy kula trafiła w mur nad rrioją głową, pokrywając mnie ceglanym pyłem i dosłownie wwiercając się w ścianę. Wtedy okno samochodu zamknęło się i chevy pognał na wschód.

Podbiegłem do powalonego biegacza. Z ran na jego ciele sączyła się krew, tworząc na ziemi ciemnoczerwony cień. Syreny wyły już całkiem blisko, a w świetle słońca dojrzałem zebranych dokoła gapiów, którzy patrzyli na rrmie, stojącego nad trupem.

Pc> chwili nadszedł radiowóz. Ręce miałem już uniesione, a swoją broń na ziemi przed sobą razem z zezwoleniem. Zabójca Tłuszciocha Olliego Watts.a leżał u moich stóp z głową skapaną w kałuży krwi, która łączyła się z kolejnym czerwonym strumieniem krzepnącym powoli w rysztołu zaułka. Jeden z funkcjonariuszy trzymał wycelowany pistolet, a jego partner objszukiwał mnie pod ścianą, oklepując z większą siłą, niż było potrzeba. Te*n, który mnie macał, był młody — miał nie więcej niż dwadzieścia trzy liab cztery lata — i zarozumiały jak diabli.

— Cholera, mamy tu Wyatta Earpa, Sam — powiedział. — Strzelanina jak: w tym filmie W samo południe.

—i Wyatt Earp nie był bohaterem W samo południe — sprostowałem, gdy je:go partner sprawdzał moje dokumenty.

W odpowiedzi gliniarz przyłożył mi zdrowo w nerki i padłem na kolana. Usłyszałem w pobliżu syreny kolejnych radiowozów i złowieszcze zawođenje ambulansu.

— Zabawny z ciebie gość, ważniaku — rzekł ten młody. — Dlaczego go zasitrzeliłeś?

19

— Bo was tu nie było — odparłem, zgrzytając z bólu zębami. — Gdybyście byli, załatwiłbym was.

Właśnie miał mi założyć kajdanki, gdy usłyszałem znajomy głos:

— Zostaw, Harley.

Spojrzałem przez ramię na jego partnera: Sam Rees. Pamiętałem go z czasów, kiedy jeszcze służyłem; on też mnie rozpoznał. Chyba nie spodobało mu się to, co zobaczył.

— To były gliniarz. Zostaw go.

A potem we trójkę czekaliśmy w ciszy na resztę ekipy.

Najpierw zjawiły się jeszcze dwa radiowozy, po czym z brudnobrązowej novy wyskoczył policjant w cywilu. Rozpoznałem idącego w moją stronę Waltera Cole'a. Nie widziałem go prawie pół roku, od jego awansu na porucznika. Ubrany był w długi płaszcz z brązowej skóry, zupełnie nie na miejscu w tym upale.

— To on załatwił Olliego Watts'a? — zapytał, głową wskazując mordercę.

Przytaknąłem.

Odszedł na chwilę, by porozmawiać z umundurowanymi policjantami i detektywami z lokalnego posterunku. Zauważyłem, że strasznie się pod tym płaszczem pocił.

— Mogę cię zabrać — powiedział, kiedy wrócił, obserwując gliniarza o nazwisku Harley z nieukrywaniem obrzydzeniem. Gestem przywołał jeszcze kilku detektywów i nim skinieniem ręki kazał mi podejść do samochodu, cichym, wyważonym tonem rzucił parę uwag.

— Niezły płaszcz — stwierdziłem pełen uznania, kiedy szliśmy do wozu. — Ile to panienek masz teraz w swojej stajni?

W oczach Waltera pojawił się błysk.

— Lee dała mi ten płaszcz na urodziny. Niby z jakiego innego powodu nosiłbym go w ten

cholerny upał? Strzelałeś?

— Kilka razy.

— Dobrze wiesz, że posługiwanie się bronią w miejscach publicznych jest wbrew prawu, prawda?

— Wiem, ale chyba nie wiedział o tym ten zamordowany facet. Ani jego zabójca. Może powinniście przeprowadzić kampanię informacyjną.

— Bardzo śmieszne. Wsiadaj już.

Zrobiłem, jak mi kazał, i ruszyliśmy, obserwowani przez zaciekawionych gapiów, przedzierając się przez zatłoczone ulice.

20

Od śmierci Tłusciocha Olliego Wattsa, jego dziewczyny Moniki Mulrane i wciąż niezidentyfikowanego mordercy minęło pięć godzin. Zostałem przesłuchany przez dwóch nieznanych mi detektywów z wydziału zabójstw. Walter Cole nie brał w tym udziału. Po przesłuchaniu dwa razy przynieśli mi kawę, ale poza tym byłem sam. W pewnej chwili, kiedy jeden z detektywów wychodził, aby się z kimś skonsultować, przelotnie dostrzegłem wysokiego, szczupłego mężczyznę w ciemnym, lnianym garniturze; kołnierzyk jego koszuli miał krawędzie ostre jak brzytwa, a czerwony, jedwabny krawat był idealnie gładki. Facet wyglądał na fedzia, na próżnego fedzia.

Drewniany stół w pokoju przesłuchań miał zniszczony i nierówny blat, na którym setki, a może i tysiące filiżanek kawy zostawiło okrągłe ślady. Po lewej jego stronie, nieopodal rogu, ktoś chyba paznokciem wydrapał w drewnie złamane serce. I przypomniało mi się, że już to serce widziałem, widziałem je, gdy ostatni raz siedziałem w tym pokoju...

Cholera, Walter...

— Walt, on tu chyba nie powinien być.

Cole popatrzył na detektywów stojących pod ścianami i rozwalonych na krzesłach wokół stołu.

— Jego tu nie ma — rzekł. — Żaden z was go tu nie widział.

Pokój przesłuchań zagracony był krzesłami; przyniesiono nawet dodatkowy stół. Wciąż byłem na urlopie, który dostałem ze względu na sytuację rodzinną, a za dwa tygodnie miałem odejść ze służby. Moja rodzina nie żyła od czternastu dni, a śledztwo jak dotąd nic nie przyniosło. Za zgodą porucznika Cafferty'ego, który miał wkrótce przejść na emeryturę, Cole zwołał zebranie detektywów związanych ze sprawą, zapraszając też jednego czy dwóch uważanych za najlepszych wśród zajmujących się zabójstwami w mieście. Widział to jako połączenie burzy mózgów i wykładu przygotowanego przez Rachel Wolfe.

Wolfe miała opinię dobrego psychologa kryminalnego, a mimo to wydział z uporem odmawiał z nią współpracy. Dysponowali własnym myślicielem, doktorem Russellem Windgatem, ale, jak to kiedyś stwierdził Cole, Windgate nie potrafiłby „oprofilować pierdnięcia”. Był świętoszkowatym, traktującym wszystkich protekcjonalnie draniem, ale jednocześnie

21

bratem komisarza, co sprawiało, że był jeszcze bardziej świętoszkowatym, traktującym wszystkich protekcjonalnie, wpływowym draniem.

Windgate przebywał akurat na konferencji zapalonych freudystów w Tuluzie i Cole, korzystając z okazji, poprosił o konsultację Wolfe. Siedziała teraz u szczytu stołu: surowa, lecz atrakcyjna kobieta tuż po trzydziestce, o długich, ciemnorudych włosach, które opadały na ramiona granatowej garsonki. Założyła nogę na nogę, a zsunięte z pięty niebieskie czółenka kołysało się na palcach prawej stopy.

— Wszyscy wiecie, dlaczego Bird chce tu być — kontynuował Cole. — Na jego miejscu postąpilibyście tak samo.

Pochlebstwami i groźbami zmusiłem go, by pozwolił mi być na odprawie. Przypomniałem wyświadczone mu przysługi, choć nawet nie miałem do tego prawa, i Walter ustąpił. Nie żałowałem tego, co zrobiłem.

Pozostali obecni nie byli do końca przekonani. Widziałem to w ich twarzach, w tym, jak odwracali od nas wzrok, we wzruszaniu ramionami i niezadowolonym wykrzywianiu ust. Nie obchodziło mnie to. Chciałem usłyszeć, co Wolfe miała do powiedzenia. Zajęliśmy z Colem miejsca i czekaliśmy, aż zacznie.

Wzięła do ręki leżące na stole okulary i założyła je. Tuż przy jej lewej dłoni świeżo wydrapano serce świeciło jasnym drewnem. Przejrzała notatki, z pliku wyciągnęła dwie kartki i zaczęła mówić.

— Cóż, nie wiem, w jakim stopniu są panowie obeznani ze sprawą, więc nie będę się spieszyć.

— Przerwała na chwilę. — Detektywie Parker, to może być dla pana trudne.

Nie przeproszała mnie; po prostu stwierdziła fakt. Skinąłem głową, a ona kontynuowała.

— Wydaje się, że mamy tu do czynienia z zabójstwem na tle seksualnym, sadystycznym zabójstwem na tle seksualnym.

Wodziłem palcem wzdłuż wydrapanego serca, a szorstka faktura drewna sprawiła, że na moment powróciłem do terażniejszości. Drzwi pokoju przesłuchań otworzyły się i przez szparę zobaczyłem przechodzącego federalnego. Wszedł urzędnik, niosąc w ręku biały kubek z napisem „Kocham NJ”. Kawa pachniała tak, jakby parzono ją od rana. Śmietanka tylko nieznacznie zmieniła jej kolor. Wziąłem łyk i skrzywiłem się.

Zabójstwo na tle seksualnym, generalnie rzecz biorąc, zawiera w sobie element płciowej aktywności, który stanowi podstawę dla szeregu zdarzeń prowadzących do śmierci ofiary — kontynuowała Wolfe, popijając kawę. — Obnażenie ofiar i okaleczenie piersi oraz narządów płciowych wskazu-

22

je na seksualny charakter przestępstwa, wciąż jednak nie posiadamy dowodu penetracji żadnej z dwóch ofiar za pomocą penisa, palców czy przedmiotów obcych. Błona dziewicza dziecka pozostała nietknięta i nie dopatrzono się urazów pochwy kobiety. Posiadamy też dowód świadczący o sadystycznym charakterze obu zabójstw. Kobieta była przed śmiercią torturowana. Z przednich części tułowia i twarzy zdarto skórę. Gdy połączyć to z dowodami aktywności płciowej, wyłania się obraz sadysty seksualnego, który czerpie satysfakcję z zadawania wyrafinowanych fizycznych i, jak sądzę, psychicznych tortur. Myślę, że on — przyjmuję, że jest to mężczyzna, za chwilę wyjaśnię, dlaczego — chciał, aby matka była świadkiem męki i śmierci dziecka, zanim sama została okaleczona i zamordowana. Sadysta seksualny czerpie przyjemność z obserwowania reakcji ofiary na torturę: w tym przypadku miał dwie ofiary, matkę i córkę, aby móc ustawić je przeciwko sobie w ostatecznej rozgrywce. Seksualne fantazje przekłada na przemoc, tortury i w końcu na śmierć.

Głosy za drzwiami pokoju przesłuchań nagle się podniosły. Jeden z nich należał do Waltera Cole'a. Drugiego nie rozpoznałem. Po chwili ucichły, ale i tak wiedziałem, że rozmawiają o mnie. Wkrótce miałem się dowiedzieć, czego chcieli.

1 ak. Najliczniejsza grupa, jaką interesują się seksualni sadyści, składa się z białych kobiet, których zabójca nie zna, chociaż równie dobrze mogą to być mężczyźni czy, tak jak w tym przypadku, dzieci. Niekiedy istnieje związek między ofiarą a kimś z życia sprawcy. Ofiary wybierane są drogą systematycznych obserwacji i inwigilacji. Zabójca prawdopodobnie obserwował rodzinę przez jakiś czas. Znał zwyczaje męża, wiedział, że jeżeli pójdzie do baru, to będzie nieobecny na tyle długo, że on zdąży wykonać swój plan. W tym wypadku nie sądzę, by mu się to udało. Miejsce zbrodni też nie jest tu typowe. Po pierwsze, charakter zbrodni wymaga

odosobnienia, aby morderca miał czas na to, co zamierza zrobić. W niektórych przypadkach dom przestępca może zostać przystosowany do przyjęcia ofiary, może to być też specjalnie przerobiony samochód lub furgonetka, gdzie dokonuje on zabójstwa. W tym przypadku przestępca zdecydował inaczej. Moim zdaniem, lubi element ryzyka w tym, co robi. Uważam też, że chciał zrobić na wszystkich, że się tak wyrażę, „wrażenie”.

„Wrażenie”, jakby chodziło o założenie jasnego krawata na pogrzeb.

— Morderstwo zostało tak zainscenizowane, aby wywołać jak najsilniejszy wstrząs u powracającego męża.

23

Może Walter miał rację. Może nie powinienem był przychodzić na odprawę. Rzeczowość Wolfe zredukowała śmierć mojej żony i dziecka do poziomu kolejnej makabrycznej pozycji w statystykach rządzącego się przemocą miasta, ale miałem nadzieję, że usłyszę coś, co odbije się echem w moim wnętrzu i zapewni wskazówkę, która popchnie śledztwo do przodu. W przypadku morderstwa dwa tygodnie to dużo czasu. Jeżeli po czternastu dniach śledztwo nie postępuje, to trzeba mieć naprawdę dużo szczęścia, żeby sprawa nie utknęła w martwym punkcie.

— To wszystko zdaje się wskazywać na mordercę o ponadprzeciętnej inteligencji, który lubi gry i hazard — mówiła Wolfe. — Fakt, że do gry włączył element szoku, mógłby doprowadzić nas do stwierdzenia, iż w tym, co zrobił, jest coś osobistego, skierowanego przeciwko mężowi, ale to tylko domysły, a ogólny schemat tego typu przestępstw nie zakłada istnienia elementów osobistych. Miejsca zbrodni, ogólnie rzecz biorąc, można podzielić na zorganizowane, niezorganizowane i kombinację tych dwóch. Zorganizowany zabójca planuje morderstwo i starannie wybiera ofiarę, a miejsce przestępstwa odzwierciedla takie kontrolowane działanie. Ofiary muszą spełniać ściśle określone warunki: wiek, może kolor włosów, zawód, styl życia. Krępowanie ofiar, tak jak w tym przypadku, jest typowe. Świadczy o opanowaniu i wcześniejszym planowaniu, gdyż zabójca zwykle musi przynieść ze sobą coś do związania na miejsce zbrodni. W przypadkach seksualnego sadyzmu akt zabójstwa zwykle nosi znamiona erotyzmu. Jest z nim związany pewien rytuał, zazwyczaj celebrowany bez pośpiechu, morderca bardzo się stara, aby ofiara pozostała przytomna i świadoma aż do momentu śmierci. Innymi słowy, nie chce on zakończyć życia swych ofiar przedwcześnie. W omawianym przypadku nie udało mu się to, ponieważ dziecko, Jennifer Parker, miało słabe serce, które nie wytrzymało dawki epinefryny wprowadzonej do organizmu. Do tego jeszcze próba ucieczki podjęta przez matkę i okaleczenia jej twarzy spowodowane uderzeniem o ścianę, które być może doprowadziło do chwilowej utraty przytomności, sprawiły, że morderca poczuł, iż traci kontrolę nad sytuacją. Miejsce zbrodni zmieniło się ze zorganizowanego w niezorganizowane, a krótko po tym, jak rozpoczął zdzieranie skóry, gniew i frustracja wzięły w nim górę i okaleczyły ciała. Chciałem wyjść. Pomyliłem się. Wiedziałem, że nic z tego nie będzie, nic dobrego...

— Jak już powiedziałam, okaleczenie narządów płciowych i piersi jest typowe dla tego typu zbrodni, ale ten przypadek pod kilkoma względami różni się od ogólnego schematu. Sądzę, że to okaleczenie jest albo wynikiem gniewu i utraty panowania, albo była to próba ukrycia czegoś je-
? 24

szcze, jakiegoś innego, wcześniej rozpoczętego rytuału, od którego morderca chciał odwrócić uwagę. Najprawdopodobniej kluczowym elementem tutaj jest zdarcie skóry. Stanowi ono swoistą manifestację — niekompletną, ale jednak istotną.

— Dlaczego jest pani taka pewna, że jest to mężczyzna? — spytał Joi-ner, czarnoskóry detektyw z wydziału zabójstw, z którym raz czy dwa razy współpracowałem.

— Morderstwa z elementami sadyzmu seksualnego to domena białych mężczyzn. Nie kobiet, nie mężczyzn czarnoskórych. Pod uwagę bierze się tylko białych mężczyzn.

— W takim razie to na pewno nie byłeś ty, Joiner — rzucił ktoś. Wybuch śmiechu złagodził panujące w pomieszczeniu napięcie. Jedna czy dwie osoby na mnie spojrzały, ale większość zachowywała się tak, jakby mnie tam nie było. To byli profesjonaliści, skoncentrowani na gromadzeniu informacji, które mogłyby doprowadzić do lepszego zrozumienia natury mordercy.

Wolfe pozwoliła śmiechom ucichnąć.

— Badania wskazują, że aż czterdzieści trzy procent seksualnych morderców jest żonaty. Pięćdziesiąt procent ma dzieci. Nie popełniajcie błędu wierząc, że należy szukać jakiegoś szalonego samotnika. Ten facet może być członkiem lokalnego komitetu rodzicielskiego albo trenerem drużyny Małej Ligi. Może wykonywać zawód, który ułatwia mu kontakt z ludźmi, a więc jest społecznie czynny, zaś to pomaga mu w wybieraniu ofiar. Mógł też w przeszłości wykazywać zachowania aspołeczne, chociaż nie musiało to być na tyle poważne, by umieścić go w kartotekach policyjnych. Sadyści seksualni często mają obsesję na punkcie policji lub broni. Osobnik taki może starać się na bieżąco śledzić postępy śledztwa, a więc uważajcie na jednostki, które dzwonią ze wskazówkami bądź próbują sprzedać informacje. Jest właścicielem czystego, zadbanego auta: czystego, aby nie przyciągało uwagi, a zadbanego, ponieważ musi być pewien, że nie utknie ani na miejscu zbrodni, ani nigdzie w pobliżu. Wóz mógł zostać zmieniony, przystosowany do transportowania ofiar: klamki i korbki otwierające okna z tyłu samochodu będą wówczas usunięte, bagażnik dźwiękoszczelny. Jeżeli macie już potencjalnego podejrzanego, sprawdźcie, czy w bagażniku nie ma zapasu paliwa, wody, sznura, kajdanków albo lin. Jeżeli dostaniecie nakaz rewizji, szukajcie przedmiotów świadczących o seksualnej obsesji i skłonności do przemocy: pism pornograficznych, kaset wideo, nieskomplikowanych narzędzi zbrodni, wibratorów, klamer na nadgarstki, damskich ubrań, zwłaszcza bielizny. Niektóre z nich mogły należeć do ofiar; mógł też zabrać im inne rzeczy osobiste.

25

Uważajcie na pamiętniki i rękopisy; mogą zawierać szczegółowe opisy ofiar, fantazji, a nawet samych zbrodni. Facet może też posiadać kolekcję sprzętu policyjnego, a już na pewno zna się na policyjnych procedurach. Wolfe odetchnęła głęboko i oparła się na krześle.

— Czy on zamierza znowu to zrobić? — zapytał Cole. Na moment zapadła cisza.

— Tak, ale wy przyjęliście już pewne założenie — odparła Wolfe. Cole popatrzył zdziwiony.

— Zakładacie, że to był pierwszy raz. Rozumiem, że wykonano raport dla PUNP?

PUNP, działający od 1985 roku, był to stworzony przez FBI Program Ujęcia Niebezpiecznego Przystępcy. Polegał na sporządzaniu raportów z rozwiązanych i nie rozwiązanych spraw dotyczących zabójstw lub ich usiłowania, zwłaszcza tych, w których występowało porwanie, które wydawały się przypadkowe, nie posiadały motywu lub miały tło seksualne; spraw osób zaginionych, w których podejrzewano morderstwo; i spraw niezidentyfikowanych zwłok, w przypadku których wiadomo było — lub przypuszczało się — że przyczyną śmierci było zabójstwo. Raporty te przesyłano następnie do Narodowego Centrum Analiz Niebezpiecznych Przystępstw w Akademii FBI w Quantico, gdzie usiłowano ustalić, czy podobny schemat istniał już gdzieś w systemie PUNP.

— Sporządziliśmy dla nich taki raport.

— I poprosiliście o wykonanie profilu przystępcy?

— Tak, ale jeszcze nie dotarł. Z nieoficjalnych źródeł wiemy, że coś im nie pasuje w sposobie jego działania. Usuwanie twarzy to coś, co go wyróżnia.

— No właśnie, a co z tymi twarzami? — zapytał Joiner.

— Wciąż próbuję doszukać się czegoś więcej — odrzekła Wolfe. — Niektórzy mordercy biorą

sobie pamiątki po swoich ofiarach. Być może istnieje jakiś pseudoreligijny albo ofiarny element w tej sprawie. Przykro mi, ale nic pewnego jeszcze nie wiem.

— Myśli pani, że już przedtem mógł zrobić coś podobnego? — tym razem zapytał Cole. Wolfe przytaknęła.

— Prawdopodobnie. Jeżeli zabijał wcześniej, przypuszczalnie chował ciała, zaś te morderstwa mogły stanowić manifestację zmiany w sposobie zachowania. Po tym, jak zabił cicho i dyskretnie, mógł zapragnąć pokazania się publicznie. Może chciał zwrócić uwagę na to, co robi. Nie satysfakcjonujący, w jego przekonaniu, charakter tych morderstw mógł go teraz skłonić do powrotu do dawnego stylu zachowania. Albo do wycofania się

26

i przejścia w okres spoczynku. To także jest możliwe. Gdybym miała spekulować, powiedziałabym, że bardzo starannie planuje teraz swe kolejne posunięcie. Ostatnim razem popełnił kilka błędów i nie sądzę, by osiągnął to, co chciał. Następnym razem nie popełni żadnych błędów. Następnym razem, o ile go wcześniej nie złapiecie, postara się zrobić prawdziwe wrażenie.

Drzwi pokoju przesłuchań otworzyły się i wszedł Cole wraz z dwoma mężczyznami.

— To jest agent specjalny Ross z FBI i detektyw Barth z wydziału zajmującego się rozbojami — wyjaśnił Cole. — Barth pracował przy sprawie Wattsa. Agent Ross zajmuje się przestępczością zorganizowaną.

Z bliska Iniany garnitur Rossa wyglądał na drogie, szyte na miarę ubranie. Przy nim Barth w swojej kurtce za grosze wyglądał jak ostatni niechluj. Obydwaj stanęli naprzeciwko siebie pod ścianami i skinęli głowami. Kiedy Cole usiadł, usiadł też Barth. Ross pozostał pod ścianą.

— Jest coś, czego nam jeszcze nie powiedziałaś? — zapytał Cole.

— Nie — odparłem. — Wiecie tyle samo, co ja.

— Agent Ross uważa, że za zabójstwem Wattsa i jego dziewczyny stoi Sonny Ferrera i że ty wiesz więcej, niż mówisz.

Ross zdjął coś z rękawa swojej koszuli i z niesmakiem spuścił na podłogę. Myślę, że to coś miało reprezentować mnie.

— Sonny nie miał powodu zabijać Olliego Wattsa — wyjaśniłem. — Tłuszcioch babrał się w kradzionych samochodach i fałszywych numerach rejestracyjnych. Nie był w stanie wyciągnąć od Sonny'ego niczego wartego zachodu i nie wiedział o nim samym nawet tyle, by zająć ławie przysięgłych choćby dziesięć minut.

Ross poruszył się i podszedł do stołu, by usiąść na jego skraju.

— Dziwne to pańskie pojawienie się po tak długim czasie. Ile to już minęło? Sześć, siedem miesięcy? I nagle brodzimy po kolana w trupach — powiedział, jakby nie usłyszał ani słowa z mojego wywodu.

Miał czterdzieści, może czterdzieści pięć lat, ale był w dobrej formie. Jego twarz poorly zmarszczki, które raczej nie znamionowały życia pełnego radości. Słyszałem o nim trochę od Woolricha po tym, jak opuścił on Nowy Jork, aby zostać agentem specjalnym FBI w oddziale w Nowym Orleanie.

Zapadła cisza. Ross spróbował wzrokiem zmusić mnie do odwrócenia oczu, ale szybko się znudził.

— Agent Ross uważa, że odmawiasz nam udzielenia informacji — stwierdził Cole. — Chciałby cię trochę pomęczyć, tak na wszelki wypadek.

27

Jego twarz i oczy pozbawione były wyrazu. Ross znowu się we mnie wpatrywał.

— Straszny z niego facet. Chce mnie pomęczyć, a przecież nie ma pojęcia, do czego mogę się

przyznać.

— W ten sposób do niczego nie dojdziemy — przerwał Ross. — Pan Parker najwyraźniej nie chce współpracować, a ja...

Cole przerwał mu, unosząc rękę.

— Może zostawicie nas na chwilę i pójdziecie na kawę — zaproponował.

Barth wzruszył ramionami i wyszedł. Ross pozostał na swoim miejscu przy stole i patrzył tak, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nagle wstał i szybko wyszedł, głośno zamykając za sobą drzwi. Cole wypuścił powietrze, poluzował krawat i odpiął górny guzik koszuli.

— Nie wkurzaj Rossa. Może spuścić nam na głowę tonę gówna.

— Powiedziałem ci o tej sprawie wszystko, co wiem — powtórzyłem. — Może Benny Low wie więcej, ale wątpię.

— Już z nim rozmawialiśmy. Gada tak, jakby nie wiedział, kto jest prezydentem, dopóki my mu nie powiedzieliśmy.

Bawił się długopisem.

— „Ejże, tak to już jest w tym bidnesie”, tak nam powiedział. Całkiem zgrabnie udało mu się zaprezentować jeden ze słownych przekrętów Benny'ego. Uśmiechnąłem się słabo, a wyczuwalne w powietrzu napięcie nieco zelżało.

— Od kiedy znowu w tym siedzisz?

— Od kilku tygodni.

— A poza tym?

Co mogłem mu powiedzieć? Że chodziłem po ulicach i odwiedzałem miejsca, gdzie bywałem razem z Jennifer i Susan, że patrzyłem przez okno swojego mieszkania i dumałem, kim jest ten, który je zabił, i gdzie się teraz znajduje, że zacząłem pracować dla Benny'ego Lowa, bo bałem się, że jeżeli nie znajdę jakiegoś ujścia dla swoich emocji, to strzelę sobie w łeb?

— Prawie nic. Właśnie planowałem odwiedzić paru starych kapusiów, sprawdzić, czy jest coś nowego.

— Nic, na pewno nie tutaj. A ty sam coś masz?

— Nic.

— Nie mogę cię prosić, byś dał temu spokój, ale...

— Nie, nie możesz. Zabierz się za to, Walter.

— To nie jest najlepsze miejsce dla ciebie. Wiesz, dlaczego.

— Naprawdę?

28

Cole ze złością rzucił długopis na stół. W podskokach znalazł się na brzegu, gdzie zawisł na moment, zanim spadł na podłogę. Przez chwilę pomyślałem, że Walter się na mnie rzuci, ale gniew z jego oczu nagle znikł.

— Pogadamy jeszcze o tym.

— Dobra. I nic dziś od ciebie nie wyciągnę?

Wśród papierów na stole widziałem raport balistyczny. Otrzymać raport po pięciu godzinach, to było coś. Najwidoczniej agent Ross był facetem, który zawsze dostawał to, co chciał.

Skinąłem głową w kierunku papierów.

— Co testy balistyczne mówią o kuli, która trafiła zabójcę?

— To nie twoja sprawa.

— Walter, widziałem, jak ten chłopak umierał. Do mnie też strzelali, a kula dosłownie przeszła przez ścianę. Ktoś ma szczególne upodobania, jeżeli chodzi o broń.

Cole nic nie mówił.

— Nie da się skombinować takiego sprzętu tak, by nikt o tym nie wiedział — powiedziałem. — Dasz mi coś, to może ja dowiem się czegoś więcej.

Pomyślał przez chwilę i przejrzał raport.

— Mamy dwa naboje do pistoletu maszynowego, kaliber 5.7 milimetra, ważące mniej niż trzy gramy.

Aż gwizdnąłem.

— To zmniejszony pocisk karabinowy, ale wystrzelony z broni ręcznej?

— Prawie cała kula jest z plastiku, ale ma metalową osłonkę, a zatem się nie deformuje przy uderzeniu. Kiedy zetknęła się z ciałem tego strzelca, oddała większość mocy, więc przy wyjściu z ciała była praktycznie pozbawiona energii.

— A ta, która trafiła w ścianę?

— Balistyczni szacują, że prędkość przy wylocie z lufy wynosiła sześćset pięćdziesiąt metrów na sekundę.

To była niesamowicie szybka kula. Dziewięćmilimetrowy browning strzela siedmiogramowymi kulami z prędkością około trzystu pięćdziesięciu metrów na sekundę.

— Uważają też, że pocisk taki mógłby przejść przez pancerz z włókna syntetycznego jak przez papier. Z dwustu metrów przeniknąłby przez prawie pięćdziesiąt warstw. Nawet magnum 44 przechodzi przez taki pancerz tylko z bliska.

— Ale kiedy napotyka miękki materiał...

— Zatrzymuje się.

29

— Wyprodukowana została w Stanach?

?— Nie, specjaliści od broni twierdzą, że jest europejska, belgijska. Mówią o czymś, co się nazywa „Pięć-siedemM” — z dużymi P i M, jak w nazwie wytwórcy. Została wykonana przez PM Herstal jako prototyp dla operacji antyterrorystycznych i tych związanych z uwalnianiem zakładników, ale po raz pierwszy pojawiła się poza siłami bezpieczeństwa publicznego.

— Skontaktujecie się z wytwórcą?

— Będziemy próbować, ale przypuszczam, że dotrzemy tylko do pośrednika.

Wstałem.

— Rozejrzę się.

Cole podniósł długopis i pomachał nim w moją stronę jak niezadowolony nauczyciel pouczający klasowego mądrała.

— Ross i tak chce ci się dobrać do dupy.

Wyjąłem długopis i zapisałem numer mojego telefonu komórkowego na spodzie służbowego notesu Cole'a.

— Nie wyłączam go. Mogę już iść?

— Pod jednym warunkiem.

— Tak?

— Chcę, żebyś dziś wieczorem przyszedł do nas do domu.

— Przepraszam cię, Walter, ale nie chodzę już z towarzyskimi wizytami.

Wyglądał na zranionego.

— Nie bądź dupkiem. To nie będzie wizyta towarzyska. Lepiej się pokaż, bo Ross cię zamknie na cacy i nic mnie to nie będzie obchodziło.

Wstałem i chciałem wyjść.

— Na pewno powiedziałaś nam o wszystkim? — zapytał w stronę moich pleców.

Nie odwróciłem się.

— Powiedziałem wszystko, co mogłem, Walter.

A to, przynajmniej formalnie rzecz biorąc, była prawda.

Dwadzieścia cztery godziny wcześniej odszukałem Emo Ellisona.

Mieszkał na obrzeżach wschodniego Harlemu w syfiastym hotelu, do którego wstęp mają tylko dziwki, gliniarze albo kryminaliści. Ekran z ple-ksiglasu zasłaniał front biura nadzorcy, a w środku nie było nikogo. Wspiąłem się po schodach i zapukałem do drzwi pokoju Emo. Nie było odpowiedzi, ale wydawało mi się, że słyszę dźwięk odbezpieczanego pistoletu.

— Emo, tu Bird. Musimy pogadać.

30

Usłyszałem, że ktoś podchodzi z tamtej strony.

— Nic o tym nie wiem — rzucił przez zamknięte drzwi. — Nie mam nic do powiedzenia.

— O nic cię jeszcze nie zapytałem. Daj spokój, Emo, otwórz. Tłuścioch Ollie ma kłopoty. Może mógłbym coś zaradzić. Wpuść mnie.

Przez chwilę nic się nie działo, a potem zadźwięczał łańcuch. Drzwi się otworzyły i wszedłem do środka. Emo wycofał się pod okno, ale w rękę wciąż trzymał broń. Zamknąłem za sobą drzwi.

— Nie będzie ci to potrzebne — zapewniłem.

Zważył jeszcze pistolet w dłoni, po czym położył go na szafce przy łóżku. Czuł się pewniej bez niego; broń do niego nie pasowała. Spostrzegłem, że palce lewej dłoni miał zabandażowane.

Zobaczyłem też, że końcówki bandaża pokryły żółte plamy.

Emo Ellison był chudym, bladym facetem w średnim wieku; mniej więcej od pięciu lat z przerwami pracował dla Tłuściocha Olliego. Niezbyt dobrze znał się na samochodach, ale był lojalny i wiedział, kiedy trzymać gębę na kłódkę.

— Wiesz, gdzie on jest?

— Nie odzywał się już dawno.

Ciężko usiadł na brzegu starannie pościelonego łóżka. Pokój był czysty i pachniał odświeżaczem powietrza. Na ścianach wisiało parę rycin, a książki, gazety i rzeczy osobiste były starannie poukładane na samodzielnie wykonanych półkach.

— Podobno pracujesz dla Benny'ego Lowa. Dlaczego?

— Zawsze to jakieś zajęcie — odparłem.

— Zakapujesz Olliego, a on zginie, takie jest to twoje zajęcie — stwierdził Emo.

Oparłem się o drzwi.

— Może go nie zakapuję. Benny jakoś to przeżyje. Ale musiałbym mieć dobry powód, żeby tego nie zrobić.

Widać było, że bije się z myślami. Splatał i wykręcał ręce, i raz po raz spoglądał na broń. Emo Ellison miał pietra.

— Dlaczego on uciekł, Emo? — zapytałem cicho.

— Zawsze powtarzał, że porządny z ciebie gość, odważny — zaczął. — Miał rację?

— Nie wiem. Ale nie chcę, żeby mu się coś stało.

Emo popatrzył na mnie przez chwilę i wydawało się, że podjął decyzję.

— To przez Pilięgo, Pilięgo Pilara. Znasz go?

— Tak.

Pili Pilar był prawą ręką Sonny'ego Ferrery.

31

— Przychodził raz, dwa razy w miesiącu, nie częściej, i brał samochód. Na parę godzin, po czym przyprowadzał z powrotem. Za każdym razem inny. Tak zdecydował Ollie, żeby nie spłacać Sonny'ego. Zakładał fałszywe tablice rejestracyjne i szykował auto na przybycie Pilięgo. W zeszłym tygodniu Pili przyjeżdża, bierze wóz i odjeżdża. Przyszedłem późno tej nocy, bo

kiepsko się czułem. Mam wrzody. Kiedy przyszedłem, Piliego już nie było. Tak czy owak, po północy siedzimy sobie z Olliem, gadamy o pierdołach i czekamy, aż Pili przyprowadzi brykę, ale nagle słyszymy huk. Wybiegamy, a Pili zdążył już minąć bramę i leży na kierownicy. Samochód ma z przodu wgniecenie, więc tak sobie myślimy, że może Pili miał stłuczkę i zwiął z miejsca wypadku. Łeb ma paskudnie rozwalony tam, gdzie walnął w szybę, a w samochodzie jest pełno krwi. Ollie i ja wpychamy wóz na podwórze, Ollie dzwoni po znajomego lekarza, a ten każe mu przywieźć Piliego. Pili się nie rusza i jest cholernie blady, więc Ollie zawozi go do tego doktora swoim wozem, a konował upiera się, żeby wpakować go do szpitala, bo twierdzi, że Pili ma uszkodzoną czaszkę.

Słowa płynęły z Emo potokiem. Gdy już raz zaczął swą opowieść, chciał ją jak najszybciej skończyć, jakby w ten sposób mógł zrzucić z siebie ciężar wiedzy.

— W każdym razie kłóca się przez chwilę, ale doktorek zna jedną prywatną klinikę, gdzie nie będą za dużo pytać, i Ollie się zgadza. Lekarz dzwoni tam, a Ollie wraca na parking, żeby obejrzeć samochód. Telefonuje do Sonny'ego, ale nikt nie odpowiada. Ma gdzieś ten wóz, tylko nie chce go tam zostawiać, no bo wiesz, gliny. Więc kręci do starego i opowiada mu o wszystkim. Ten każe siedzieć cicho i wysyła faceta, który ma się wszystkim zająć. Ollie idzie schować brykę, a kiedy wraca, wygląda gorzej niż Pili. Trzęsą mu się ręce i jest blady jak trup. Pytam: „Co jest?“, ale on każe mi się tylko wynosić i nikomu nie gadać, że tam byłem. Nic więcej nie mówi, tylko żebym spadał. No a potem dowiaduję się, że gliny zrobiły tam nalot, a Ollie wychodzi w końcu za kaucją i znika. Nic więcej nie słyszałem, przysięgam.

— To po co ci ten pistolet?

— Jeden z ludzi starego przyszedł tu dzień czy dwa temu. — Przełknął ślinę. — Bobby Sciorra. Pytał o Olliego, chciał wiedzieć, czy byłem tam w dniu wypadku Piliego. Powiedziałem, że nie, ale jemu to nie wystarczyło.

Emo Ellison zaczął płakać. Podniósł swe zabandażowane palce i odwiązał opatrunek.

— Zabrał mnie na przejażdżkę. — Uniósł jeden palec i zobaczyłem ślad w kształcie obrączki, zwieńczony ogromnym pęcherzem, który wydał się

32
wał się pulsować, kiedy na niego patrzyłem. — To była zapalniczka. Poparzył mnie zapalniczką. Dwadzieścia cztery godziny później Tłusciuch Ollie już nie żył.

Walter Cole mieszkał w Richmond Hill, najstarszej części Queens. Wybudowana w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, posiadała własne centrum, deptak i musiała wyglądać jak miasteczko ze Środkowego Zachodu odtworzone u wrót Manhattanu, kiedy rodzice Waltera przeprowadzili się tutaj z Jefferson City na krótko przed drugą wojną światową. Walter zatrzymał dom na północ od Myrtle Avenue na Sto Trzynastej Ulicy po tym, jak jego rodzice przenieśli się na Florydę. On i Lee prawie co piątek jadali w Triangle Hafbrau, starej niemieckiej restauracji na Jamaica Ave-nue, i spacerowali po gęsto zadrzewionym parku Forest.

Przyjechałem do ich domu krótko po dziewiątej. Walter sam otworzył drzwi i wprowadził mnie do pokoju, który mniej wykształcony człowiek nazwałby jego gabinetem, chociaż nazwa „gabinet” nie oddawała atmosfery biblioteki, którą zgromadził w ciągu prawie pół wieku gorliwego czytania: biografie Keatsa i Saint-Exupery'ego dzieliły miejsce na półce z fachową literaturą z dziedziny sądownictwa, zbrodni o podłożu seksualnym i psychologii kryminalnej. Fenimore Cooper sąsiadował z Borgesem; Bar-thelme czuł się pewnie nieswojo w otoczeniu dzieł Hemingwaya.

Przenośny komputer Macintosha leżał na krytym skórą biurku stojącym obok trzech szafek na akta. Ściany zdobiły obrazy lokalnych artystów, a małą etażerkę w rogu wypełniały trofea

myśliwskie, ustawione na chybił trafił, jakby Walter był dumny ze swoich umiejętności, a jednocześnie własną dumą nieco zawstydzony. Górna część okna była otwarta i czułem zapach świeżo skoszonej trawy, słyszałem głosy dzieci grających w ulicznego hokeja w ciepłym powietrzu wieczora.

Drzwi gabinetu otworzyły się i weszła Lee. Ona i Walter byli razem już od dwudziestu czterech lat, a ich wspólne życie cechowała swoboda i wdzięk, którego Susan i ja nigdy nie zdołaliśmy osiągnąć, nawet w najlepszych czasach. Czarne dżinsy i biała bluzka podkreślały jej figurę, której nie zepsuły ani dwa porody, ani miłość Waltera do orientalnej kuchni. Czarne jak atrament włosy, naznaczone siwymi pasemkami niczym woda

33

światłem księżycy, zebrane były w koński ogon. Kiedy wspięła się na palce, by mnie lekko pocałować, kładąc mi ręce na barkach, zapach lawendy sprawił, że nie po raz pierwszy uświadomiłem sobie, iż zawsze trochę się w Lee Cole podkochiwałem.

— Miło znów cię widzieć, Bird — rzekła, kładąc prawą dłoń delikatnie na moim policzku, ale zmarszczone czoło zadawało kłam uśmiechowi.

Popatrzyła na Waltera i coś między nimi zaiskrzyło.

— Przyniosę wam kawę — dodała. Wychodząc, cicho zamknęła drzwi.

— Jak się mają dzieciaki? — zapytałem, kiedy Walter nalewał sobie szklaneczkę irlandzkiej whisky — starego trunku w zakręcaną butelce.

— W porządku — odparł. — Lauren nadal nienawidzi swojego liceum. Ellen od jesieni zaczyna studiować prawo w Georgetown, więc przynajmniej jedna osoba w tej rodzinie zrozumie, jak ono funkcjonuje.

Wziął głęboki oddech, podniósł szklaneczkę do ust i pociągnął łyk. Mimowolnie przełknąłem ślinę i nagle zachciało mi się pić. Walter zauważył moje zmieszanie i poczerwieniał.

— Cholera, przepraszam — powiedział.

— W porządku — rzekłem. — To dobra terapia. Jak słyszę, nie oduczyłeś się przeklinania w domu.

Lee nienawidziła przekleństw, bez przerwy napominała męża, że tylko prostytutki uciekają się do bluźnierstw w języku. Walter zwykle odpowiadał, że Wittgenstein kiedyś wywijał pogrzebaczem podczas filozoficznej dysputy, co, jego zdaniem, miało stanowić dowód na to, że nawet najbardziej uczona mowa nie zawsze jest wystarczająco ekspresywna nawet dla najznamienitszych z ludzi.

Przeniósł się na skórzany fotel, stojący przy pustym kominku, i wskazał ręką sąsiedni. Weszła Lee, niosąc na tacy srebrny dzbanek z kawą, śmietankę i dwie filiżanki. Kiedy wychodziła, rzuciła Walterowi zaniepokojone spojrzenie. Wiedziałem, że rozmawiali, zanim przyjechałem: nie mieli przed sobą tajemnic, a ich niepokój zdawał się świadczyć o tym, że nie chodziło tylko o moje dobre samopoczucie.

— Będziesz mi świecił lampą po oczach? — zapytałem.

Uśmiech przemknął przez jego twarz szybko niczym bryza i zniknął.

— Słyszałem co nieco w ciągu ostatnich kilku miesięcy — zaczął, patrząc w szklanekę, jakby czytał w szklanej kuli.

Nic nie odpowiedziałem.

— Wiem, że rozmawiałeś z federalnymi, odnowiłeś znajomości, by móc przejrzeć akta. Wiem, że próbowałeś znaleźć faceta, który zabił Susan i Jenny. — Popatrzył na mnie po raz pierwszy, odkąd zaczął mówić.

34

Nie miałem nic do powiedzenia, więc nalałem nam kawę, po czym podniosłem swoją filiżankę i

napilem się. To był javan, mocny i ciemny. Odetchnąłem głęboko.

— Dlaczego mi to mówisz?

— Bo chcę wiedzieć, dlaczego tu jesteś, po co wróciłeś. Nie wiem, co się z tobą stało, jeżeli to, co słyszałem, jest prawdą.

Przełknął, a mnie zrobiło się go żal, że musiał to powiedzieć i zadać te pytania. Nawet gdybym znał odpowiedzi na niektóre z nich, to i tak nie byłem pewien, czy chciałbym mu je wyjawiać ani czy on naprawdę chciałby je usłyszeć. Na zewnątrz dzieciaki wraz z nastaniem ciemności zakończyły grę i zapanowała cisza, w której słowa Waltera zabrzmiały złowieszczo.

— Mówią, że znalazłeś tego, kto to zrobił — rzekł i tym razem w jego słowach nie było wahania, jakby zakuł się w zbroję, żeby powiedzieć to, co miał do powiedzenia. — Ze go znalazłeś i zabiłeś. Czy to prawda?

Przeszłość była jak wnyki. Pozwalała poruszyć się lekko, zatoczyć małe kółko, obrócić się, ale koniec końców zawsze mnie ku sobie ciągnęła. Wciąż natykałem się w mieście na pewne miejsca — ulubione restauracje, księgarnie, cieniste parki, nawet białe jak kość serca, wyryte w drewnie starego stołu — które przypominały mi o tym, co utraciłem, jakby chwila zapomnienia była zbrodnią wobec wspomnień. I przemykałem od terażniejszości do przeszłości, zjeżdżając po kocich łbach pamięci do czegoś, co było i nigdy nie wróci.

Pytanie Waltera przeniosło mnie w przeszłość; był koniec kwietnia, Nowy Orlean, cztery miesiące po tragicznej śmierci mojej żony i córki.

Woolrich siedział przy stole w głębi Cafe du Monde, tuż obok automatu z gumą do żucia, tyłem do ściany. Przed nim stała filiżanka parującej cafe au lait i talerz gorących, francuskich ciastek posypanych cukrem pudrem. Na zewnątrz ludzie pędzili ulicą Decatur, mijali zielono-biały pawilon kawiarni, zmierzając w stronę katedry albo Jackson Square.

Miał na sobie jasnobrązowy, tani garnitur i jedwabny krawat, rozciągnięty i wyblakły tak, że jego właściciel nawet nie silił się na zapięcie koszuli pod szyją, pozwalając, by jedwab zwiślał żałośnie jak flaga ściągnięta do połowy masztu. Podłoga naokoło była biała od cukru, podobnie jak jedyna widoczna część zielonego, winylowego krzesła, na którym siedział.

Zajmował stanowisko asystenta agenta specjalnego w tutejszej delegaturze FBI przy Poydras 1250. Należał przy tym do niezbyt licznej grupy osób z mojej policyjnej przeszłości, z którymi utrzymywałem kontakt, i był jedynym ze znanych mi fedziów, przez którego nie przeklinałem dnia, w którym narodził się Hoover. Powiem więcej: był moim przyjacielem.

35

Trwał przy mnie w tych okropnych dniach po morderstwie, nigdy o nic nie pytał i w nic nie wątpił. Pamiętam, jak stał przemoczony do suchej nitki nad grobem, a woda kapała z ronda jego ogromnego kapelusza. Wkrótce potem przeniesiono go do Nowego Orleanu; do awansu tego przyczynił się udany staż w przynajmniej trzech innych delegaturach i fakt, że nie tracił głowy w niespokojnym środowisku nowojorskiego biura w centrum Manhattanu.

Kłopotliwy rozwód zakończył jego małżeństwo jakieś dwanaście lat temu. Była żona wróciła do panińskiego nazwiska, znów nazywała się Ka-ren Stott i mieszkała w Miami z dekoratorem wnętrz, którego niedawno poślubiła. Woolrich powiedział, że ich jedyna córka — teraz, dzięki staraniom matki, Lisa Stott — przyłączyła się do jakiejś sekty religijnej w Meksyku. Miała zaledwie osiemnaście lat. Karen i jej nowy mąż zdawali się nią nie przejmować, w przeciwieństwie do ojca, który się przejmował, ale nie potrafił wziąć się w garść i poprzec swych uczuć konkretnymi czynami. Wiedziałem, że rozpad rodziny okropnie go bolał. Sam był synem z rozbitego małżeństwa: miał matkę z nizin społecznych i ojca, którego dobre intencje nie wystarczyły, by utrzymać małżeństwo z kobietą z piekła rodem. Woolrich chyba zawsze pragnął, by jemu powiodło się lepiej. Dlatego też on, bardziej niż ktokolwiek inny, rozumiał moją rozpacz

i ból po stracie Susan i Jennifer.

Utył od naszego ostatniego spotkania, a przez przepełnioną koszulę prześwitywały włosy na piersi. Strużki potu spływały z gęstwiny szybko siwiejących włosów i ginęły w fałdach skóry na szyi. Dla tak wielkiego faceta lato w Luizjanie musiało być swego rodzaju torturą. Może i wyglądał jak klaun, może nawet jak klaun się zachowywał, gdy mu to pasowało, ale w Nowym Orleanie każdy, kto go znał, musiał go szanować. Ci, którym zdarzyło się nie docenić Woolricha, albo gnili w więzieniu, albo, jeśli wierzyć plotkom, w ziemi.

— Niezły krawat — rzuciłem na powitanie.

Był jaskrawoczerwony, ozdobiony owieczkami i aniołkami.

— To mój metafizyczny krawat — odparł Woolrich. — Nazwałem go George Herbert. Od tego poety.

Podaliśmy sobie ręce; strzepnął okruch pieczywa z gorsu koszuli, kiedy wstawał.

— Te cholery wszędzie włożą — rzekł. — Kiedy umrę, znajdą okruszki francuskiego ciasta w moim tyłku.

— Chyba zapamiętam tę myśl.

Pospieszyl ku nam azjatycki kelner w papierowej czapeczce i zamówiłem kawę.

36

— Życzy pan sobie francuskie ciastko? — spytał.

Woolrich wyszczerzył zęby w uśmiechu. Powiedziałem kelnerowi, że pozostanę przy kawie.

— Jak leci? — zapytał Woolrich, jednocześnie biorąc potężny łyk gorącej kawy, który mniejszemu mężczyźnie poparzyłby gardło.

— U mnie w porządku. A u ciebie?

— Jak zwykle. To, co najlepsze, znowu dostał ktoś inny.

— Wciąż jesteś z tą... Jak ona miała na imię? Judy? Siostra Judy? Skrzywił się, jakby właśnie zobaczył w swoim ciastku włos.

— Masz na myśli wariatkę Judy. Rozeszliśmy się. Pojechała do pracy do La Jolla, na rok, może dłużej. Wyobraź sobie, że kilka miesięcy temu chciałem ją zabrać na romantyczne wakacje, wynajmając pokój za dwieście dolców za noc w gospodzie niedaleko Stowe, odetchnąć wiejskim powietrzem przy otwartym oknie, wiesz, jak to jest. Więc zajeżdżamy d.o tej chaty, starszej od mojąszowej fujary: wszystko w ciemnym drewnie, antyczne meble i łóżko, w którym pomieściłbyś drużynę kibicujących dziewczyn. Ale Judy robi się biała jak tyłek polarnego niedźwiedzia i cofa się przede mną. I wiesz, co mówi?

Czekałem, co będzie dalej.

— Mówi, że zamordowałem ją w takim samym pokoju w poprzednim życiu. Opiera się plecami o drzwi, sięga do klamki i patrzy na mnie, jakbym miał się zmienić w potwora. Przez dwie godziny próbuję ją uspokoić, ale i tak nie chce ze mną spać. W końcu ląduję na kanapie w kącie pokoju; możesz mi wierzyć, te cholerne antyczne kanapy może i wyglądają na milion dolców, może nawet jeszcze więcej kosztują, ale śpi się na nich jak na betonie.

Skończył ostatnie ciastko i otarł usta serwetką.

— W środku nocy wstaje, żeby się wysikać, a ona siedzi na łóżku, kompletnie rozbudzona, i trzyma w ręku nocną lampkę, gotowa walnąć mnie w głowę, jeżeli się zbliżę. Nie muszę ci mówić, że to był koniec naszych pięciu romantycznych dni. Wymeldowaliśmy się następnego ranka, ja z tysiąc dolarową dziurą w kieszeni. Ale wiesz, co w tym wszystkim jest najśmieszniejsze? Terapeuta wmówił jej, że powinna mnie pozwać do sądu za krzywdy, jakich doznała w poprzednim wcieleniu. Mam zostać precedensem dla tych wszystkich czubków, którzy oglądają filmy dokumentalne na kanale PBS i wierzą, że byli kiedyś Kleopatrami albo Wilhelmem Zdobywcą.

Oczy zaszyły mu mgłą ze złości na myśl o straconym tysiącu dolarów i losie, drwiącym sobie z tych, którzy jadą do Vermont w poszukiwaniu łatwego seksu.

37

— Miałeś ostatnio jakieś wieści od Lisy? Twarz mu się zachmurzyła i machnął ręką.

— Nadal jest z fanami Jezusa. Ostatnim razem, kiedy do mnie dzwoniła, powiedziała tylko, że z jej nogą wszystko w porządku i że potrzebuje pieniędzy. Jeżeli Jezus zbawia, to jestem pewien, że pieniądze, od których ! mnie dotąd wybawił, trzyma w Kasie Oszczędnościowo-Pożyczkowej.

\
Lisa złamała nogę w wypadku na wrotkach zeszłego roku, krótko '< przed tym, jak odnalazła Boga. Woolrich był przekonany, że wciąż zмага się ze skutkami wstrząsu mózgu.

Popatrzył na mnie przez chwilę, jego oczy zwęziły się.

— Nie wszystko jest u ciebie w porządku, prawda?

— Żyję i jestem tutaj. Powiedz mi tylko, coś masz. Nadał policzki i wolno wypuścił powietrze, zbierając myśli.

— W parafii świętego Marcina jest jedna kobieta, stara Kreolka. Ludzie mówią, że ma pewien dar. Wytwarza amulety. No wiesz, przepędza złe duchy i takie tam bzdury. Zna lekarstwa dla chorych dzieci, łączy kochanków. I miewa wizje... — Przerwał, przesunął językiem po wargach i popatrzył na mnie zmrużonymi oczami.

— Ma zdolności parapsychologiczne?

— Jeśliby wierzyć miejscowym, to jest wiedźmą.

— Wierzysz im?

— W przeszłości pomogła kilku osobom... Tak mówią lokalni policjanci. Nie miałem z nią wcześniej do czynienia.

— A teraz?

Przyniesiono moją kawę, a Woolrich poprosił o dolewkę. Nie padło ani słowo, dopóki kelner nie odszedł, a Woolrich jednym haustem nie wychylił połowy zawartości swojej filiżanki.

— Ona ma dziesięcioro dzieci i dosłownie tysiące wnuków i prawnuków. Niektóre z nich mieszkają z nią albo gdzieś w pobliżu, więc nigdy nie jest sama. Ma większą rodzinę niż Abraham.

Uśmiechnął się, ale tylko przelotnie — krótka chwila wytchnienia przed tym, co miało nastąpić.

— Ona twierdzi, że młoda dziewczyna została zamordowana jakiś czas temu na bagnach, w dawnej siedzibie piratów. Powiedziała o tym szeryfowi, ale on nie poświęcił sprawie zbyt wiele uwagi. Nie określiła dokładnie miejsca, utrzymywała tylko, że na bagnach zamordowano młodą dziewczynę. Podobno miała wizję we śnie. To jednak nie do końca prawda, że szeryf nic nie zrobił. Kazał lokalnym policjantom mieć to miejsce na oku, ale dość szybko o wszystkim zapomniał.

— Dlaczego ta sprawa znowu wypląnęła?

38

— Stara powtarza, że słyszy w nocy płacz dziewczyny.

Nie wiedziałem, czy Woolrich był jedynie skrupowany tym, że mówił takie rzeczy, czy zwyczajnie przestraszony, ale co rusz spoglądał w stronę okna i wycierał twarz ogromną, brudną chustką.

— Jest jednak coś jeszcze. — Złożył płachtę i schował ją do kieszeni spodni. —? Ona twierdzi, że twarz dziewczyny została odcięta. — Westchnął głęboko. — I że przed śmiercią ofiara została oślepią.

Przez jakiś czas jechaliśmy na północ drogą numer dziesięć, mineliśmy centrum handlowe u wylotu z miasta i zmierzaliśmy w kierunku West Baton Rouge z parkingami dla ciężarówek,

szulerniami, barami pełnymi robotników z szybów naftowych i czarnoskórych, a wszyscy oni pili tę samą taną whisky i równie tanie, chrzczone wodą południowe piwo. Gorący wiatr, tchnący ciężkim, zgniłym zapachem błota, targał we wszystkich kierunkach gałęziami drzew rosnących wzdłuż autostrady. Dalej wjechaliśmy na estakadę na wbitych w wodę filarach i znaleźliśmy się na terenie bagien Atchafalaya i Cajun.

Byłem tu wcześniej tylko raz, kiedy Susan i ja byliśmy młodszy i szczęśliwsi. Na Henderson Levee minęliśmy teraz znak przystani McGee, gdzie wtedy jadłem kurczaka bez smaku, a Susan dziobała widelcem smażone mięso aligatora, tak twarde, że nawet inne aligatory miałyby kłopot z jego strawieniem. Potem cajuński rybak zabrał nas na przejażdżkę łodzią na bagna, przez na wpół zatopiony cyprysowy las. Krwawe słońce zachodziło nisko nad wodą, zmieniając pnie drzew w czarne sylwetki, wyglądające jak palce nieboszczyka oskarżycielsko wyciągnięte ku niebu. To był inny świat, odległy od miasta tak, jak księżyc od ziemi; wydawał się tworzyć między nami erotyczną więź, kiedy upał przyklejał do ciała koszule, a pot kapał z czoł. Po powrocie do hotelu w Lafayette kochaliśmy się niecierpliwie, z namiętnością, która zastępowała nam miłość; nasze skąpane w pocie ciała poruszały się zgodnie, a gorące powietrze w pokoju stawało się gęste jak woda.

Tym razem nie dotarliśmy z Woolrichem aż do Lafayette, gdzie nie brakowało moteli, stacji benzynowych i restauracji z jedzeniem lepszym niż w Randol, ale brakowało atmosfery; do miejsca, gdzie cajuńskie zespoły grały dla publiczności złożonej z turystów i miejscowych, pijących tutejsze zimne piwo i zjadających zębacze.

Woolrich zjechał z autostrady na dwupasmową drogę, która wiała się przez bagnistą krainę, a potem zmieniała się w coś na kształt zrytego koleinami szlaku, pełnego dziur z cuchnącą bagienną wodą, wokół których krążyły roje brzęczących owadów. Cyprysy i wierzby tworzyły szpaler

39

wzdłuż drogi, a za nimi widać było pnie drzew, sterczące ponad moczarami: relikty eksploatacji mijającego stulecia. Tuż przy brzegu na wodzie unosiły się lilie wodne, a kiedy samochód zwolnił, a światło padło pod odpowiednim kątem, widać było okonie, pływające leniwie w cieniach liści lilii i raz po raz wyskakujące ponad taflę wody.

Słyszałem, że mieszkały tu kiedyś bandy Jeana Lafitte'a*. Teraz ich miejsce zajęli inni, mordercy i przemytnicy, którzy wykorzystywali kanały i bagna jako kryjówki dla heroiny i marihuany, a także jako ciemne, zielone groby dla swoich ofiar, których zmasakrowane ciała stanowiły doskonały nawóz dla wybujałej przyrody, a fetor ich rozkładu nie był w stanie przeniknąć przez smród gnijącej roślinności.

Skręciliśmy raz jeszcze i tu nad drogą zagórowały cyprysy. Z klekotem wjechaliśmy na drewniany most, odzyskujący z wolna swą pierwotną barwę na skutek łuszczenia się i odpadania farby. Na jego odległym końcu zdawało mi się, że ujrzałem ogromną postać o oczach jasnych jak białka jaj w cieniu drzew, obserwującą nas, gdy przejeżdżaliśmy.

— Widziałeś go? — zapytał Woolrich.

— Kto to jest?

— Najmłodszy syn tej kobiety. Tee Jean, jak go nazywa. Mały Jean. Trochę wolno myśli, ale dobrze się nią opiekuje. Zresztą jak oni wszyscy.

— Wszyscy?

— Jest ich w domu sześcioro. Stara, jej syn, troje dzieci jej drugiego w kolejności syna, który zginął wraz z żoną w wypadku samochodowym trzy lata temu, i córka. Ma jeszcze pięciu synów i trzy córki, wszyscy mieszkają najwyżej parę kilometrów stąd. No i miejscowi, oni też się nią opiekują. Jest w tej okolicy chyba kimś w rodzaju matrony. Wielkiej czarodziejki.

Spojrzałem, by sprawdzić, czy powiedział to z ironią, ale nic z tych rzeczy. Zostawiliśmy drzewa za sobą i dojechaliśmy do polany przed długim, jednokondygnacyjnym domem wzniesionym ponad ziemię na okorowanych palach. Był stary, ale z dbałością zbudowany, drewno na froncie zostało porządnie ociosane i deski zachodziły lekko na siebie, gonty dachowe nie były zniszczone, ale tu i ówdzie, gdzie zaszła potrzeba wymiany, zdarzył się ciemniejszy. Drzwi stały otworem, wejście blokowała tylko drucziana moskitiera, a na werandzie, która biegła przez całą długość domu i znikwała za zakrętem, stało kilka krzeseł i leżały porozrzucane zabawki. Skądś z tyłu dobiegały głosy dzieci i plusk wody.

* Dziewiętnastowieczny rozbójnik morski. (Wszystkie przypisy od redakcji).

40

Moskitiera uchyliła się i na szczycie schodów stanęła drobna kobieta. Miała jakieś trzydzieści lat, delikatne rysy twarzy i bujne, ciemne włosy odgarnięte z twarzy o cerze barwy kawy z mlekiem i związane z tyłu w koński ogon. Jednak gdy wysiedliśmy z samochodu i podeszliśmy bliżej, zobaczyłem, że jej skóra pokryta była drobnymi bliznami, prawdopodobnie po trądziku.

Wydawała się rozpoznawać Woolricha, bo zanim się odezwaliśmy, szeroko otworzyła drzwi, abym mógł wejść. Woolrich nie podążył za mną. Odwróciłem się do niego.

— Wchodzisz?

— Jakby kto pytał, to nie ja cię tu przywiozłem i w ogóle nie chcę jej widzieć — odparł.

Usiadł na werandzie i oparł nogi o poręcz, patrząc na połyskującą w słońcu wodę.

Wewnątrz domu drewno było ciemne, a powietrze chłodne. Drzwi po obu stronach korytarza prowadziły do sypialni i dość konwencjonalnego salonu ze starymi i najwidoczniej ręcznie robionymi meblami, prostymi, lecz dbale i umiejętnie wykonanymi. Stare radio z podświetlonym potencjometrem i wskaźnikiem zakresu pokrytym nazwami odległych miejsc grało nokturn Chopina rozbrzmiewający w całym domu, nawet w sypialni na końcu korytarza, gdzie czekała stara kobieta.

Była niewidoma. Jej źrenice błyszcząły bielą w okrągłej niczym księżyc twarzy, z której aż do mostka zwisały fałdy tłuszczu. Jej ramiona, widoczne przez prześwitujące rękawy kolorowej sukienki, były teższe od moich, a opuchnięte nogi, przypominające pnie małych drzew, kończyły się zaskakująco drobnymi, wręcz filigranowymi stopami. Siedziała oparta o hałdę poduszek na ogromnym łóżku, w pokoju oświetlonym jedynie olejową lampką z wysokim cylindrem, a zaciągnięte zasłony chroniły ją przed światłem słonecznym. Ważyła chyba ze sto siedemdziesiąt kilo, może nawet więcej.

— Siadaj, chłopcze — odezwała się, biorąc moją rękę i lekko głaszcząc po palcach.

Jej oczy utkwione były gdzieś w przedzie, nie we mnie, kiedy jej palce wodziły wzdłuż linii mojej dłoni.

— Wiem, czemu tu jesteś — rzekła.

Miała wysoki, dziewczęcy głos, jakby była ogromną, gadającą lalką, której przez pomyłkę włożono taśmę z nagraniem dla mniejszego modelu.

— Cierpisz. Płoniesz w środku. Mała dziewczynka, twoja kobieta, one odeszły.

W przyćmionym świetle wydawało się, jakby trzaskały iskierki jej ukrytej energii.

41

— Proszę mi powiedzieć o tej dziewczynie na bagnach, tej bez oczu.

— Biedne dziecko — zaczęła, z bólu marszcząc czoło. — Ona tu nic niewinna. Uciekała przed czymś i zgubiła drogę. Pojechała z nim i już nie wróciła. Zadał jej straszne, okropne rany.

Chociaż nawet jej nie dotknął. Tylko nożem.

Pierwszy raz zwróciła ku mnie swe oczy i zdałem sobie sprawę, że wcale nie jest ślepa, w

każdym razie nie tak, by miało to jakieś znaczenie. Kiedy palcami przebiegała po liniach mojej dłoni, zamknąłem oczy i poczułem, że ona tam była z tą dziewczyną w ostatnich chwilach jej życia, że może nawet ją pocieszała, kiedy nóż ciął ciało. „Cichaj, dziecinko, chodź do Tante*. No cichaj już, weź mnie za rękę. On już cię więcej nie skrzywdzi.”

I gdzieś w głębi siebie poczułem nóż, tnący, drący, oddzielający mięśnie od stawów, ciało od kości, jakbym był dziełem artysty pracującego nad płótnem, i czułem ból tnący życie jak błyskawica, narastający jak melodia piekielnej piosenki dla nieznannej dziewczyny w bagnach Luizjany. A w jej agonii czułem agonię własnego dziecka, własnej żony i byłem pewien, że zrobił to ten sam człowiek. Nawet gdy ból wreszcie ustąpił, dziewczyna pozostała w ciemności i wiedziałem, że najpierw ją oślepił, a dopiero potem zabił.

— Kim on jest? — zapytałem.

Przemówiła, a w jej głosie zabrzmiały cztery tony: mojej żony i córki, głos starej, otyłej kobiety na łóżku w ciemnym pokoju i głos bezimiennej dziewczyny, która umarła brutalną, samotną śmiercią w mierzwie i wodzie bagien Luizjany.

— To Podróżnik.

Walter poruszył się w fotelu, a dźwięk, jaki wydała łyżeczka, uderzając w porcelanową filiżankę, rozległ się jak bicie dzwonów.

— Nie — odparłem. — Nie znalazłem go.

Walter przez chwilę nic nie mówił, tylko whisky z jego szklaneczki prawie wyparowała.

— Chcę cię o coś poprosić, ale tym razem nie chodzi o mnie.

* Tante (fr.) — cioteczka.

42

Nic nie odpowiedziałem.

— Chodzi o fundację Barton Trust.

Barton Trust został założony na mocy testamentu przez Jacka Barton-a, przemysłowca, który po wojnie wzbogacił się na dostawach części dla kosmicznych technologii. Fundusz finansował badania na rzecz dzieci, kliniki pediatryczne i ogólnie rzecz biorąc, finansował opiekę nad dziećmi tam, gdzie brakowało pieniędzy państwowych. Oficjalnie na jego czele stała Isobel Barton, wdowa po starym Jacku, chociaż na co dzień o interes dbali prawnik Andrew Bruce i prezes fundacji, Philip Kooper.

Wiedziałem o tym wszystkim, bo Walter czasami organizował zbiórki na rzecz Barton Trust — loterie fantowe albo zawody w grze w kręgle — a także z tego powodu, że kilka tygodni wcześniej o funduszu zrobiło się głośno, i to w złym tego słowa znaczeniu. Podczas festynu dobroczynnego na terenie posiadłości Bartonów na Staten Island zaginął mały chłopiec, Evan Baines. Zniknął bez śladu i w końcu policja straciła nadzieję na jego odnalezienie. Wyciągnięto wniosek, że chłopiec oddalił się poza posiadłość i został porwany. Przez jakiś czas pisały o tym gazety, aż w końcu sprawa ucichła.

— Chodzi o Evana Bainesa? — zapytałem.

— Nie, nie sądzę, ale może chodzić o zaginioną osobę. Zdaje się, że zaginęła jedna ze znajomych Isobel Barton, młoda kobieta. Nie ma jej od kilku dni i pani Barton martwi się. Dziewczyna nazywa się Catherine Deme-ter. Nie ma związku między jej zniknięciem a sprawą Bainesa; wtedy nawet jeszcze nie знаła Bartonów.

— Bartonów? Mówiłeś, że to znajoma starej Barton.

— Ale ona chyba spotykała się ze Stephenem Bartonem. Wiesz coś o nim?

— To dupek. A poza tym jeden z mniej znaczących handlarzy narkotyków, pracujących dla Sonny'ego Ferrery. Wychowywał się w sąsiedztwie Ferrerów na Staten Island i spiknął się z Sonnym jako nastolatek. Robi chyba w sterydach i kokainie, ale to drobny gracz.

Walter zmarszczył czoło.

— Jak długo o tym wiesz? — zapytał.

— Nie pamiętam — odpowiedziałem. — To plotki z siłowni.

— Jezu, nie mówisz nam niczego, co mogłoby się nam przydać. Ja wiem o tym dopiero od wtorku.

— W ogóle nie powinieneś o tym wiedzieć. Jesteś gliną. Nikt nie będzie mówił nic, co mogłoby ci się przydać.

— Ty też kiedyś byłeś gliną — wymamrotał Walter. — Nabrałeś złych zwyczajów.

43

— Daj spokój, Walter. Skąd niby mam wiedzieć, kogo akurat rozpracowujesz? Co mam robić, chodzić do ciebie do spowiedzi raz w tygodniu? — Nalałem sobie gorącej kawy. — Wracając do tematu, myślisz, że Sonny Ferrera mógł mieć jakiś związek ze zniknięciem tej dziewczyny?

— Niewykluczone — odparł Walter. — Federalni śledzili Stephena Bartona przez jakiś czas, zanim jeszcze poznał Catherine Demeter. Latanie za nim nie przyniosło efektów, więc dali mu spokój. Z kartotek w wydziale narkotyków wynika, że ona nie była w nic zamieszana, przynajmniej jawnie, ale co oni tam wiedzą? Niektórzy wciąż jeszcze myślą, że fif-ka do wciągania koki to element kanalizacji. Mogła zobaczyć coś, czego nie powinna była widzieć. Z jego twarzy mogłem wyczytać, że nie bardzo wierzył w to powiązanie, ale na głos musiałem powiedzieć to ja.

— Daj spokój, Walt, sterydy i trochę koki? Jest z tego jakaś kasa, ale, jak już mówiłem, to naprawdę nic w porównaniu z resztą interesów Ferrery. Jeżeli stuknął kogoś przez prochy dla mięśniaków, to jest głupszy, niż nam się wydawało. Nawet jego stary uważa, że Sonny to efekt uszkodzonego genu.

Ferrera senior, chory i zniedołężniały, ale wciąż szanowany, znany był z tego, że czasem zwracał się do swojego syna „ty mały kutasie”.

— Czy to wszystko, co masz? — zapytałem.

— Tak, bo jak sam podałeś, jesteśmy policjantami. Nie mówi się nam o rzeczach ważnych — odparł sucho.

— A wiedziałeś, że Sonny jest impotentem? — podsunąłem. Walter wstał, kiwając sobie przed nosem pustą szklanką i uśmiechając się po raz pierwszy tego wieczora.

— Nie, nie wiedziałem. I nie mam pewności, czy chciałem wiedzieć. Kim ty, do licha, jesteś, jego urologiem?

Spojrzał na mnie, sięgając po whisky. Miałem machnąć ręką w geście, który oznaczałby, że nie ma to dla mnie znaczenia, ale spłyciłem to do ruchu, który objął jedynie palce mojej dłoni.

— I Pili Pilar wciąż się go trzyma? — spytałem, badając grunt.

— Podobno tak. Słyszałem, że Pili wypchnął Nicky'ego Glassesa z okna kilka tygodni temu, bo ten nie płacił długów.

— Biedny Nicky. Jeszcze małe sto lat i spłaciłby tę pożyczkę. Pili powinien trochę pohamować ten swój temperament, bo zabraknie mu ludzi, których będzie mógł wyrzucać przez okno.

Walter się nie uśmiechnął.

— Pogadasz z nią? — zapytał, kiedy znowu usiadł.

— Walt... — westchnąłem.

44

Każdego roku w Nowym Jorku czternaście tysięcy osób ginie w tajemniczych okolicznościach. Nie było nawet pewne, czy ta dziewczyna zaginęła — może ktoś, mogła to być równie dobrze ona sama, nie chciał, by się znalazła — czy też najzwyczajniej w świecie przeniosła się do innego miasta, nie powiadamiając o tym swojej przyjaciółki Isobel Barton, ani swego uroczego

chłopaka, Stephena Bartona.

Z takimi dylematami muszą zmagać się prywatni detektywi, gdy mają do czynienia z przypadkiem zaginięcia. Poszukiwanie zaginionych to dla nich chleb powszedni, tylko że ja prywatnym detektywem nie byłem. Zająłem się sprawą Tłuściocha Olliego, bo wydawała się prosta. Nie chciałem starać się o licencję prywatnego detektywa w odpowiednim urzędzie w Albany. Nie miałem ochoty zajmować się zaginięciami. Może bałem się, że będzie mnie to rozpraszać. A może zwyczajnie nic mnie nie obchodziło, przynajmniej jeszcze wtedy.

— Ona nie pójdzie na policję — powiedział Walter. — Ta dziewczyna jeszcze nawet nie została oficjalnie uznana za zaginioną, bo nikt jeszcze tego nie zgłosił.

— To skąd ty o tym wiesz?

— Znasz Tony'ego Loo-Loo?

Przytaknąłem. Tony Loomax był jękającym się i mało znaczącym prywatnym detektywem, który nigdy nie wybił się z niczym ponad ściąganie długów i rozwody białej hołoty.

— Loomax to dość niezwykły wybór, biorąc pod uwagę zwyczaj pani Isobel Barton — stwierdziłem.

— Chyba wynajęła go jedna ze służących jakiś rok czy dwa lata temu. Śledził jej męża, który zwiął ze wspólną kasą. Pani Barton powiedziała, że chodzi o coś podobnego, ale tym razem ma być dyskretnie.

— Wciąż nie wiem, co to ma wspólnego z tobą.

— Mam haka na Tony'ego, drobne przekroczenie prawa, o którym lepiej, żeby nikt nie wiedział. Doszedł do wniosku, że zainteresują mnie potajemne poczynania Isobel Barton. Ja zaś pogadałem z Kooperem. On uważa, że Barton Trust nie potrzebuje więcej tego rodzaju rozgłosu. Pomyślałem, że może oddam mu przysługę.

— Skoro siedzi w tym Tony, to dlaczego zwracasz się do mnie?

— Nakłoniliśmy Tony'ego, aby oddał sprawę. Powiedział Isobel Barton, że przekazuje ją komuś, komu będzie mogła zaufać, bo on nie może się tym zająć. Matka mu umarła i musi jechać na pogrzeb.

— Tony Loo-Loo nie ma matki. Wychowywał się w sierocińcu.

— Cóż, czyjaś matka na pewno umarła. Nikt mu nie zabroni jechać na pogrzeb.

45

Przerwał i zobaczyłem zwątpienie w jego oczach, gdy zasłyszane plotki poruszyły czymś w jego umyśle.

— I dlatego zwracam się do ciebie. Nawet gdybym postarał się zrobić to po cichu, tymi co zwykle sposobami, to ktoś i tak by się dowiedział. Wiesz, jak jest, kichniesz sobie cichutko, a dziesięciu facetów powie ci na zdrowie.

— A co z rodziną tej dziewczyny? Wzruszył ramionami.

— Niewiele o niej wiem, ale chyba takowej nie miała. Posłuchaj, Bird, proszę o to właśnie ciebie, bo jesteś dobry w te klocki. Byłeś porządnym gliną. Gdybyś został w wydziale, reszta z nas mogłaby ci tylko czyścić buty i polerować odznakę. Miałeś niezawodny instynkt; pewnie wciąż go masz. Poza tym coś mi jesteś winien: ludzie, którzy strzelają sobie na ulicy, zwykle nie wychodzą z tego tak łatwo.

Przez chwilę milczałem. Słyszałem krzątającą się w kuchni Lee i grający gdzieś w tle telewizor. Może był to skutek tego, co się wydarzyło wcześniej, skutek bezsensownej śmierci Tłuściocha Olliego Wattsa, jego dziewczyny i chłopaka, który go zabił, ale miałem wrażenie, że świat pograżył się w chaosie i nic nie było już na swoim miejscu. Coś mi tu nie pasowało. Uważałem, że Walter coś przede mną ukrywa.

Usłyszałem dzwonek do drzwi i stłumiony dialog pomiędzy Lee i mężczyzną o niskim głosie.

Chwilę później ktoś zapukał do naszych drzwi i Lee wprowadziła wysokiego, siwowłosego faceta koło pięćdziesiątki. Miał na sobie ciemnoniebieski dwurzędowy garnitur — chyba od Bossa — i czerwony krawat Diora w złote, przeplatające się litery C i D. Jego buty lśniły, a ponieważ był to sam Philip Kooper, wiedziałem, że na pewno sam ich nie czyścił.

Nie bardzo pasował na prezesa i rzecznika organizacji charytatywnej. Był chudy i blady, a jego usta jakby posiadały niezwykłą sztuczkę, dzięki której wyglądały zarazem na wąskie i wydatne. Zwężające się długie palce przypominały szpony. Wyglądał jak nieboszczyk, którego ekshumowano tylko po to, by budził w ludziach lęk. Gdyby pojawił się na przyjęciu dla dzieci, wszystkie zaczęłyby płakać.

— To on? — zapytał Waltera, odmówiwszy drinka.

Kiwnął głową w moją stronę jak żaba, która łyka muchę. Bawiłem się cukiernicą i starałem się wyglądać na obrażonego.

— To jest właśnie Parker — przytaknął Walter. Zastanawiałem się, czy Kooper zechce podać mi rękę. Nie zechciał.

Trzymał dłonie przed sobą, złożone, i wyglądał jak żałobnik na niezwykle nudnym pogrzebie.

46

— Przedstawił mu pan sytuację?

Walt znowu przytaknął, ale wyglądał na zakłopotanego. Maniery Koo-pera były gorsze niż rozpuszczonego bachora. Nie ruszałem się z fotela i nic nie mówiłem. Kooper pociągnął nosem, stał w milczeniu i patrzył na mnie z góry. Wydawało się, że to jego ulubiona pozycja.

— Musi pan zrozumieć, że to delikatna sprawa, panie Parker. Wszelkie wiadomości będzie pan kierował do mnie, a dopiero później do pani Barton. Czy wszystko jasne?

Zastanawiałem się, czy warto go powkurzać, jednak patrząc na zakłopotanie Waltera, stwierdziłem, że nie, w każdym razie nie teraz. Ale już zrobiło mi się żal Isobel Barton, chociaż nawet jej jeszcze nie poznałem.

— Wydawało mi się, że mam pracować dla pani Barton — odezwałem się w końcu.

— To się zgadza, ale odpowiadać pan będzie przede mną.

— Nie sądzę. Istnieje coś takiego jak poufność. Przyjrzę się tej sprawie, ale jeżeli nie znajdę żadnego związku z małym Bainesem albo z rodziną Ferrera, będę miał prawo zatrzymać wszelkie informacje dla siebie i pani Isobel Barton.

— Taki układ mi nie odpowiada, panie Parker — oznajmił Kooper. Jego policzki zaróżowiły się nieco i kontrastujący z zimną karnacją rumieniec utrzymał się na chwilę na twarzy.

— Może nie wyrażam się jasno — dodał. — W tej sprawie będzie pan składał raport najpierw mnie. Mam wpływowych przyjaciół, panie Parker. Jeżeli nie będzie pan współpracował, to zapewniam, że pańska licencja zostanie cofnięta.

— To rzeczywiście muszą być bardzo wpływowi przyjaciele, boja nie mam licencji — odpowiedziałem.

Wstałem, a pięści Koopera zacisnęły się lekko.

— Powinien pan spróbować jogi — poradziłem. — Jest pan zbyt spięty.

Podziękowałem Walterowi za kawę i ruszyłem do drzwi.

— Poczekaj — rzucił.

Odwrociłem się, by zobaczyć, jak wpatruje się w Koopera. Po dłuższej chwili ten prawie niezauważalnie wzruszył ramionami i podszedł do okna. Znowu nawet na mnie nie spojrzął. Jego postawa i wyraz twarzy Walta przeważały szalę w mojej ocenie sytuacji; postanowiłem spotkać się z Isobel Barton.

— Rozumiem, że ona się mnie spodziewa? — zwróciłem się do Waltera.

47

— Kazałem Ton/emu powiedzieć, że jesteś dobry i że jeśli dziewczyna żyje, to ją odnajdziesz. Na chwilę zapadła cisza.

— A jeśli nie żyje?

— Pan Kooper też o to zapytał — rzekł Walter.

— I co odpowiedziałeś?

Dopił swoją whisky, a kostki lodu zagrzechotały o szklaneczkę jak kości. Za jego plecami Kooper odcinał się na tle okna ciemną sylwetką, jak zapowiedź złych wiadomości.

— Powiedziałem, że przywieziesz ciało.

W końcu wszystko się do tego sprowadzało: do ciał — ciał znalezionych i tych, które jeszcze należało odnaleźć. Przypomniałem sobie, jak tamtego kwietniowego dnia staliśmy z Woolrichem przed domem starej kobiety i patrzyliśmy na bagna. Słyszałem łagodne chlapanie wody o brzeg i z daleka widziałem małą łódź rybacką kołyszącą się na wodzie z dwiema sylwetkami na dziobie i rufie. Jednak i Woolrich, i ja, obaj zagłądaliśmy głębiej, jakby przez samo wpatrywanie się w głębiny dało się je spenetrować i znaleźć w ciemnej wodzie ciało bezimiennej dziewczyny.

— Wierzysz jej? — zapytał w końcu.

— Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

— Z tym, co wiemy, nie ma mowy, żebyśmy odnaleźli ciało tej dziewczyny, o ile w ogóle ono istnieje. Zaczniemy przeszukiwać bagna i wkrótce będziemy brodzić po kolana w kościotrupach. Ludzie topią tu zwłoki od wieków. To byłby cud, gdybyśmy jakichś nie znaleźli.

Ruszyłem się z miejsca, on został. Oczywiście, miał rację. Zakładając, że te zwłoki w ogóle istniały, potrzebowaliśmy więcej informacji od starej niż to, co nam powiedziała. To było tak, jakbym próbował schwytać dym, ale to, co powiedziała, jeszcze najprędzej mogło mnie zaprowadzić do człowieka, który zabił Jennifer i Susan.

Zastanawiałem się, czy zwiariowałem, wierząc niewidomej kobiecie, która słyszała we śnie jakieś głosy. Chyba właśnie tak było.

— Czy wie pani, jak on wygląda, Tante? — pytałem ją, ale w odpowiedzi tylko z wolna, w zadumie pokręciła głową.

— Zobaczysz go, jak po ciebie przyjdzie — odparła. — Wtedy go poznasz.

Doszedłem do samochodu i oglądając się za siebie, dostrzegłem kogoś na werandzie obok Woolricha. To była ta dziewczyna z pokrytą bliznami twarzą; stała wdzięcznie na czubkach palców, pochylając się w stronę wyższego od niej mężczyzny. Widziałem, jak Woolrich głaszcze ją delikat-

48

nie po policzku i cicho wymawia jej imię: „Florence”. Lekko pocałował ją w usta, po czym odwrócił się i ruszył w moją stronę, nie oglądając się na nią. Żaden z nas nie wspomniał o tym, gdy wracaliśmy do Nowego Orleanu.

Całą noc padał deszcz, przelamując falę upałów spowijających miasto, tak że ulice Manhattanu wydawały się oddychać lżej następnego ranka. Kiedy biegłem, było niemal zimno. Twardy chodnik źle wpływał na moje kolana, ale trawniki w tej części miasta stanowiły rzadkość.

Wracając do mieszkania, kupiłem gazetę, wziąłem prysznic, zmieniłem ubranie i zacząłem czytać przy śniadaniu. Krótco po jedenastej wezwałem taksówkę i udałem się do domu Bartonów.

Isobel Barton mieszkała w domu na uboczu, który jej zmarły mąż wybudował w latach siedemdziesiątych w pobliżu Todt Hill, jako godną podziwu, choć niezbyt udaną, umiejscowioną na wschodnim wybrzeżu replikę datujących się sprzed wojny secesyjnej domów w jego rodzinnej Georgii. Stary Jack Barton, ze wszech miar miły człowiek, braki w dobrym smaku najwyraźniej nadrabiał gotówką i determinacją.

Kiedy przyjechałem, brama prowadząca na podjazd była otwarta, a w powietrzu unosiły się spaliny innego samochodu. Taksówka zdążyła wjechać, nim elektronicznie sterowane wrota zamknęły się, i podążyła za białym bmw 320i z przyciemnianymi szybami na mały dziedziniec przed domem. Mój środek transportu wydawał się nie pasować do tego otoczenia, chociaż nie byłem też pewien, jak prezentowałyby się tu mój własny, sponiewierany mustang, który właśnie przechodził w warsztacie kolejną naprawę.

Kiedy zatrzymaliśmy się, z bmw wysiadła szczupła, ubrana w skromny, szary kostium kobieta, która przyglądała się z zainteresowaniem, gdy płaciłem kierowcy. Jej siwe włosy zebrane były w kok, co w żaden sposób nie złagodziło surowych rysów twarzy. Postawny Murzyn w stroju szofera pojawił się w drzwiach domu i ruszył w moim kierunku, żeby mnie zatrzymać, gdy odchodziłem od wozu.

— Nazywam się Parker i pani Barton mnie oczekuje.

49

II

Szofer spojrział na mnie tak, jak gdyby chciał mi powiedzieć, że jeśli kłamię, to już on postara się, bym pożałował, że w ogóle wstałem rano z łóżka. Poprosił, abym zaczekał, i zwrócił się do kobiety w szarym kostiumie. Ona zaś rzuciła mi przelotne, acz niemile spojrzenie i zamieniła z nim kilka słów, po czym on wrócił do domu, a ona podeszła do mnie.

— Panie Parker, nazywam się Christie, jestem osobistą asystentką pani Barton. Powinien był pan poczekać przy bramie, żebyśmy mogli się upewnić, kim pan jest.

Zasłona w oknie nad drzwiami wejściowymi poruszyła się lekko.

— W przyszłości mogę skorzystać z wejścia dla służby. Odniosłem wrażenie, że pani Christie miała nadzieję, iż nie będzie już takiej konieczności. Przez chwilę zimno mierzyła mnie wzrokiem, po czym odwróciła się na pięcie.

— Proszę za mną — rzuciła przez ramię, idąc w stronę drzwi. Szary kostium był wytarty na brzegach. Zastanawiałem się, czy pani Barton będzie się ze mną targować o moje honorarium.

Gdyby Isobel Barton zabrakło gotówki, mogłaby po prostu sprzedać kilka antyków z wyposażenia domu, bo wewnątrz stanowiło marzenie licytatora. Dwa ogromne pokoje, znajdujące się po obu stronach holu, pełne były mebli, które wyglądały, jakby używano ich tylko przy tak podniosłych okazjach, jak śmierć prezydenta. Szeroka klatka schodowa zakręcała w prawo; naprzeciw znajdowały się jedne drzwi, inne kryły się pod schodami. Wszedłem za panią Christie przez te drugie do niewielkiego, ale zaskakująco jasnego i nowoczesnego urzędzonego biura, z komputerem w rogu i zestawem wideo wbudowanym w segment. Pomyślałem, że może pani Barton nie będzie się jednak targować.

Pani Christie usiadła przy biurku z sosnowego drewna, wyjęła jakieś papiery ze swojej teczki, wyraźnie zniecierpliwiona przejrzała je i wreszcie znalazła to, czego szukała.

— To jest standardowa umowa o poufności, sporządzona przez radców prawnych fundacji — zaczęła, podsuwając mi jedną ręką papier, a drugą jednocześnie pstrykając długopisem. — Podpisze pan w swoim imieniu zobowiązanie, że wszelkie informacje dotyczące sprawy będzie znała tylko pani Barton, ja i pan.

Długopisem wskazywała odpowiednie części umowy, jak agent ubezpieczeniowy, który próbuje wcisnąć naiwniakowi jakąś lipną polisę.

— Proszę tu podpisać, zanim przejdziemy dalej — zakończyła. Wydawało się, że nikt związany z Barton Trust nie był zanadto ufny z natury.

— Nic z tego — odparłem. — Jeżeli tak bardzo obawia się pani nadużycia zaufania, to może wynajmie pani sobie księdza. W przeciwnym razie będzie pani musiało wystarczyć moje słowo, że nikt nie dowie się o tym, o czym będziemy mówili.

Może powinienem czuć się nieswojo, kłamiąc. Tak jednak nie było. Potrafiłem łągać jak z nut; to jedna z umiejętności, jaką Bóg obdarza alkoholików.

— To jest nie do przyjęcia. Ja już mam wątpliwości co do konieczności korzystania z pańskich usług, a bez żadnej przesady uważam wręcz za niestosowne korzystanie z nich bez...

Przerwała, bo ktoś wszedł do biura. Odwróciłem się i zobaczyłem wysoką, atrakcyjną kobietę, której wiek pozostał nieodgadniony dzięki kombinacji łaskawości natury i kosmetycznych sztuczek. Na pierwszy rzut oka powiedziałbym, że dobiegała pięćdziesiątki, ale jeżeli była to Isobel Barton, to wiedziałem, że miała raczej lat pięćdziesiąt pięć, może nieco więcej. Ubrana była w bładoniebieską sukienkę, tak prostą i w swej prostocie elegancką, że zapewne kosztowała fortunę i podkreślała figurę, która albo była dziełem chirurgii, albo, staraniem właścicielki, została idealnie zachowana.

Kiedy podeszła bliżej, a delikatne zmarszczki na twarzy stały się bardziej widoczne, wiedziałem, że chodzi o to drugie: Isobel Barton nie była kobietą uciekającą się do chirurgii plastycznej. Złoto i brylanty zdobiły jej szyję, a dopasowane do nich kolczyki migotały przy każdym ruchu. Włosy miała siwe, ale opuściła je luźno na ramiona. Wciąż była atrakcyjną kobietą i po sposobie jej poruszania się widać było, że jest tego świadoma.

Philip Kooper zniósł jakoś atak mediów po zniknięciu małego Baine-sa, choć w gruncie rzeczy zainteresowanie dziennikarzy nie było zbyt wielkie. Chłopiec pochodził z rodziny beznadziejnych ćpunów. Mówiło się o jego zniknięciu tylko przez wzgląd na fundację, a i tak jej prawnicy i stali udziałowcy zrobili wszystko, co w ich mocy, by ograniczyć wszelkie domysły i spekulacje. Rodzice dziecka byli w separacji, a jego zniknięcie wcale ich do siebie nie zbliżyło. Policja wciąż poszukiwała ojca chłopca, biorąc pod uwagę możliwość porwania, mimo że wszystko wskazywało na to, iż ten drobny kryminalista nie znosił własnego dziecka. Choć mogło się tak zdarzyć, że po prostu zabrał je i zabił, żeby odegrać się na porzuconej matce. Kiedy byłem świeżo upieczonym krawężnikiem, w jakiejś czynszowej kamienicy znalazłem faceta, który najpierw uprowadził, a potem utopił w wannie swoją małą córeczkę, bo jego była żona po rozwodzie nie chciała mu oddać telewizora.

51

Jednak pewien obrazek z medialnego szumu po zniknięciu Bainesa utkwił mi w pamięci: zdjęcie pani Barton z pochyloną głową podczas wizyty na zapuszczonym osiedlu, gdzie mieszkała matka Evana Bainesa. Była tam prywatnie. Fotograf, wracający akurat z miejsca powiązanego z narkotykami zabójstwa, zjawił się przypadkiem. Jedna czy dwie gazety wykorzystały fotkę, ale w zmniejszonym formacie.

— Dziękuję, Caroline. Chciałabym przez chwilę porozmawiać z panem Parkerem sama.

Uśmiechała się wprawdzie, lecz mówiła tonem nie znoszącym sprzeciwu. Asystentka udąła, że się tą odprawą nie przejmuje, ale jej oczy ciskały błyskawice. Kiedy wyszła, pani Barton usiadła na krześle z wysokim oparciem z dala od biurka i wskazała mi czarną, skórzaną kanapę, po czym przemówiła z uśmiechem.

— Bardzo pana przepraszam. Nie upoważniłam Caroline do sporządzenia tej umowy, ale ona czasem jest w stosunku do mnie nadopiekuńcza. Napije się pan kawy, a może drinka?

— Nie, dziękuję. Zanim przejdziemy dalej, pani Barton, powinienem pani powiedzieć, że w zasadzie nie zajmuję się poszukiwaniem osób zaginionych.

Z doświadczenia wiedziałem, że takie sprawy najlepiej powierzać przeznaczonym do tego

agencjom, gdzie pracowała dostateczna liczba ludzi, którzy mogli szukać tropów i prowadzić obserwacje. Samotni detektywi, którzy brali się za tę robotę, byli w najlepszym razie słabo wyposażeni, a w najgorszym przypadku nieco tylko lepsi od pasożytów żerujących na nadziejach tych, którym pozostało płacić za niewielki wysiłek, przynoszący jeszcze mniejsze rezultaty.

— Pan Loomax ostrzegł mnie, że może pan tak powiedzieć, ale to tylko przez skromność. Prosił, by panu przekazać, że potraktuje to jak osobistą przysługę.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Jediną przysługą, jaką mógłbym wyświadczyć Tony'emu Loo-Loo, było powstrzymanie się od nasikania mu na grób po jego śmierci.

Z opowieści pani Barton wynikało, że poznała Catherine Demeter przez swego syna, który wypatrzył dziewczynę przy pracy w domu towarowym DeVries i wyblagał u niej randkę. Pani Barton i jej syn — a raczej pasierb, jako że Jack Barton był wcześniej żonaty z kobietą z południa, która się z nim rozwiodła po ośmiu latach małżeństwa i wyprowadziła na Hawaje z jakimś piosenkarzem — nie byli sobie zbyt bliscy. Pani Barton dobrze wiedziała, że jej syn zamieszany był w pewne, jak sama to ujęła, „niestosowne” sprawy, i próbowała namówić go, by zmienił styl życia,

52

„przez wzgląd na dobro własne i fundacji”. Współczująco pokiwałem głową. Osoba mająca do czynienia ze Stephenem Bartonem zasługiwała jedynie na współczucie.

Gdy dowiedziała się, że spotyka się z nową dziewczyną, mówiła dalej, zapytała go, czy mogliby spotkać się we trójkę. Ustalili czas i miejsce, Stephen ostatecznie się nie zjawił, ale Catherine przyszła i po chwili wstępnej niezręczności zawiązała się między nimi nić przyjaźni znacznie silniejsza niż to, co istniało między dziewczyną a młodym Bartonem. Zaczęły się od czasu do czasu spotykać na kawę albo lunch. Mimo zaproszeń dziewczyna grzecznie odmawiała pani Barton, kiedy ta zapraszała ją do domu, a Stephen sam nigdy jej nie przyprowadził.

I nagle Catherine Demeter przepadła jak kamień w wodę. W ostatnią sobotę wcześniej wyszła z pracy i nie pojawiła się na umówionym obiedzie z panią Barton w niedzielę. Od tamtej pory nikt o niej nie słyszał. Minęły już dwa dni, a od niej nie było żadnych wiadomości.

—? Przez rozgłos, jaki zyskała fundacja w związku ze zniknięciem tego biednego dziecka, nie chciałam wywoływać dalszego zamieszania ani zwracać na nas niczyjej uwagi — ciągnęła pani Barton. — Zadzwońłam do pana Loomaxa, ale on uznał, że Catherine po prostu gdzieś wyjechała. To się przecież często zdarza.

— A pani myśli, że może tu chodzić o coś więcej?

— Naprawdę nie wiem, ale była przecież taka zadowolona ze swojej pracy i wydawało się, że dobrze jej się układa ze Stephenem...

Przerwała na chwilę, jakby przy wzmiance o synu zaczęła się zastanawiać, czy mówić dalej.

— Ostatnimi czasy Stephen trochę niepoprawnie się zachowuje, właściwie zaczęło się to już przed śmiercią jego ojca. Czy zna pan rodzinę Fer-rera, panie Parker?

— Słyszałem o nich.

— Bardzo staraliśmy się do tego nie dopuścić, ale Stephen zaprzyjaźnił się z ich najmłodszym synem. Wiem, że obraca się w złym towarzystwie i ma do czynienia z narkotykami. Boję się, że mógł w coś wciągnąć Catherine. A... — Znów na chwilę przerwała. — A ja lubiłam jej towarzystwo. Miała w sobie coś delikatnego i wydawała się czasem taka smutna. Mówiła, że zależy jej na zamieszkaniu tu na stałe, po latach wędrowki po kraju.

— Czy mówiła pani, gdzie mieszkała wcześniej?

— W różnych miejscach. Zdaje się, że pracowała w wielu stanach.

— Czy mówiła coś o swojej przeszłości, miała pani wrażenie, że coś ją dręczy?

53

— Myślę, że coś mogło się wydarzyć w jej rodzinie, gdy była młodsza. Powiedziała mi, że miała siostrę, która umarła. Nic więcej. Dodała, że nie potrafi o tym mówić, a ja nie naciskałam.

— Może pan Loomax ma rację; może po prostu znowu wyjechała. Pani Barton z uporem pokręciła głową.

— Nie, mnie by powiedziała. Tego jestem pewna. Tymczasem nie skontaktowała się ani ze mną, ani ze Stephenem. Boję się o nią i chcę wiedzieć, czy jest bezpieczna. To wszystko. Ona nawet nie musi wiedzieć, że pana wynajęłam ani że się o nią martwię. Czy poprowadzi pan tę sprawę? Wciąż nie miałem ochoty odwalać brudnej roboty za Waltera Cole[^] i wykorzystywać Isobel Barton, ale nie miałem do zrobienia nic poza pokazaniem się nazajutrz w sądzie w imieniu firmy ubezpieczeniowej — kolejna sprawa, jaką wziąłem dla zabicia czasu.

Jeżeli istniał jakiś związek między zniknięciem Catherine Demeter a Sonnym Ferrerą, to dziewczyna prawie na pewno była w tarapatkach. Jeśli Sonny miał coś wspólnego z morderstwem Thuściocha Olliego Wattsa, było jasne, że zaczyna świrować.

— Poświęcę temu parę dni — odpowiedziałem. — Oddam panu Loo-maxowi tę przysługę — dodałem. — Czy zna pani moje stawki?

Pani Barton już wypisywała czek na sumę z jej prywatnego konta, nie z rachunku fundacji.

— Oto trzy tysiące dolarów z góry, a to moja wizytówka. Prywatny numer jest na odwrocie. Przysunęła krzesło bliżej.

— A zatem co jeszcze chce pan wiedzieć?

Tego wieczora jadłem obiad w restauracji River przy Amsterdam Avenue niedaleko Siedemdziesiątej Ulicy, gdzie serwowano najlepszą wołowinę w mieście, a obsługa poruszała się tak bezszelestnie, że miało się wrażenie, iż jest się obsługiwany przez cienie albo tchnienie wiatru. Obserwowałem parę młodych ludzi przy stoliku obok, jak splatali ręce, wodzili palcami po knykciach, rysowali delikatne kręgi na dłoniach, po czym podnosili je i pozwalali spotkać się ich nasadom. Gdy tak uprawiali tę miłosną grę, nadpłynęła kelnerka i uśmiechnęła się do mnie porozumiewawczo, widząc, że ich obserwuję.

54

Następnego dnia wpadłem do sądu w związku ze sprawą dotyczącą ubezpieczenia. Elektryk pracujący dla firmy telekomunikacyjnej pozwał swoich pracodawców, twierdząc, że podczas sprawdzania podziemnych kabli wpadł do dziury w drodze, w wyniku czego stał się niezdolny do dalszej pracy.

Może i nie był zdolny do pracy, ale nie przeszkadzało mu to podnosić trzystukilogramowej sztangi podczas zawodów o niezłą kasę w Bostonie. Zrobiłem użytek z mieszczącej się w dłoni kamery panasonic, by uwiecznić jego chwilę chwały. Firma ubezpieczeniowa zaprezentowała dowód sędziemu, który oświadczył, że decyzję podejmie tydzień później. Nawet nie musiałem składać zeznań. Potem poszedłem na kawę do taniej restauracji, gdzie przeczytałem gazetę przed wyruszeniem na starą siłownię Pe-te'a Hayesa w TriBeCa.

Wiedziałem, że Stephen Barton czasem tam ćwiczył. Jeżeli jego dziewczyna zniknęła, Barton mógł wiedzieć, dokąd pojechała, albo, co było nie mniej ważne, dlaczego. Pamiętałem go jak przez mgłę jako silnego, nordyckiego typu o ciele nieprzyzwoicie rozrośniętym od sterydów. Dobiegał dopiero trzydziestki, ale połączenie ćwiczeń z opalaniem w solarium nadało jego cerze wygląd starego rzemienia, postarzając go przy tym o co najmniej dziesięć lat.

Gdy prawnicy z Wall Street i artyści zaczęli przenosić się w okolice TriBeCa, dokąd przyciągały ich wielkie domy z żelaza i cegły, należąca do Pete'a siłownia zmieniła się w ekskluzywne miejsce, w niczym nie przypominające zaplutej i zapuszczonej nory, w której teraz pojawiły się lustra, doniczkowe palmy i, o zgrozo, barek z sokami. Teraz mięśniaki wagi ciężkiej i zawodowi sztangiści ćwiczyli ramię w ramię z brzuchatymi księgowymi, kobietami-dyrektorami, które do

pracy zakładały sztywne, służbowe kostiumy i nie rozstawały się ze swoimi telefonami komórkowymi.

Tablica ogłoszeń przy wejściu reklamowała coś, co nazywało się „wirowaniem” i polegało na pedałowaniu przez godzinę na stacjonarnym rowerze i wyciskaniu z siebie siódmych potów. Dziesięć lat temu coś takiego sprawiłoby, że stała klientela Pete'a wyniosłaby się gdzie pieprz rośnie.

Zdrowa blondyna w czerwonym trykocie wprowadziła mnie do biura właściciela, ostatniego bastionu tego, czym kiedyś była ta siłownia. Na ścianach wisiały stare plakaty reklamujące konkursy podnoszenia ciężarów i pokazy Mister Uniwersum razem ze zdjęciami Pete'a u boku atlety-

55

-aktora Steve'a Reevesa, kulturysty Joe Weidera i, dziwnym trafem, zapaśnika Hulka Hogana. Trofea kulturystyczne wypełniały oszkloną szafkę, a za zniszczonym sosnowym biurkiem siedział sam Pete. Jego mięśnie nieco zwiotczały z wiekiem, ale ciało pozostało silne i imponujące, a szpakowate włosy nadal ostrzyżone były krótko, po wojskowemu. Ćwiczyłem na jego sali prawie przez sześć lat, zanim zostałem detektywem i dążącym do samounicestwienia pijakiem.

Wstał i skinął na powitanie głową; ręce trzymał w kieszeniach, a jego luźna bluza nie była w stanie ukryć rozmiarów potężnych barków i ramion.

— Kopę lat — powitał mnie. — Przykro mi z powodu tego, co się stało...

Urwał i poruszył brodą i barkami tak, jakby chciał wzruszyć ramionami w geście dotyczącym przeszłości i tego, co się w niej kryło.

Też kiwnąłem głową i oparłem się o starą szafkę na akta w kolorze ołowiu, ozdobioną naklejkami reklamującymi preparaty witaminowe i sportowe magazyny.

— Co to za wirowanie, Pete? Skrzywił się.

— Wiem, wiem. Ale mam z tego dwieście dolców za godzinę. Czterdzieści rowerów na piętrze nad nami, a zarabiam na tym więcej, niż gdybym miał drukować zielone.

— Bywa tu Stephen Barton?

Kopnął w powietrzu nieistniejącą przeszkodę na zniszczonej drewnianej podłodze.

— Nie było go już z tydzień. A co, ma jakieś kłopoty?

— Nie wiem — odparłem. — A ma?

Powoli usadowił się za biurkiem i krzywiąc się z bólu, wyciągnął nogi przed siebie. Lata kucania odbiły się na jego kolanach, powodując osłabienie i artretyzm.

— Nie jesteś pierwszy, który o niego pyta w tym tygodniu. Przyszło tu wczoraj kilku facetów w tanich garniturach, też próbowali go znaleźć. Jednego rozpoznałem: Sal Inzerillo, był niegdyś dobrym bokserem wagi lek-ko-półciężkiej, ale potem zaczął się staczać.

— Pamiętam go — przerwałem. — Podobno pracuje teraz dla starego Ferrery.

— Może i tak — przytaknął Pete. — Może i tak. Jeżeli wierzyć plotkom, to pracował dla starego także na ringu, tak mówią. Chodzi o narkotyki?

— Nie wiem — odparłem.

56

Pete spojrzał na mnie, żeby przekonać się, czy nie kłamię, stwierdził, że nie, i wrócił do przyglądania się czubkom swoich tenisówek.

— Słyszałeś o jakichś kłótniach między Sonnym i starym, o czymkolwiek, co mogłoby dotyczyć Stephena Bartona?

— Coś między nimi nie gra, to pewne, inaczej Inzerillo nie rujnowałby mojej podłogi swoimi czarnymi, gumowymi podeszwami. Ale nie wiem, czy ma to coś wspólnego z Bartonem.

Zmieniłem temat, kierując rozmowę na Catherine Demeter.

— Czy Barton pokazywał się ostatnio z jakąś dziewczyną? Możliwe, że tu przychodziła. Nieco po trzydziestce, ciemne, krótkie włosy, wysunięta górna szczęka.

— Barton ma mnóstwo dziewczyn, ale tej akurat nie pamiętam. Przeważnie nie zwracam na nie uwagi, no chyba że są inteligentniejsze niż Barton, bo wtedy zaczynam się zastanawiać.

— No to było ci łatwiej — rzekłem. — Ta akurat powinna być bystrzejsza. A czy on bije swoje dziewczyny?

— Na pewno jest wredny. Łykanie tabletek wypaliło mu mózg, zrobiło z niego zwierzę. Tylko by się bił albo pieprzył. Przeważnie pieprzył. W walce nawet moja stara dałaby mu niezły wycisk.

Przyjrzał mi się badawczo. I dodał:

— Wiem, czym się zajmował, ale tutaj nie rozprowadzał. Gdyby tylko spróbował, wcisnąłbym w niego tyle tego gówna, że rozsadziliby go od środka.

Nie wierzyłem mu, ale nie czepiałem się. Sterydy stały się częścią tego interesu i Pete mógł co najwyżej komuś pogrozić. Wydał usta i wolno ugiął nogi.

— Wiele kobiet pociągała jego napakowana sylwetka. Barton był wielki i lubił się chwalić.

Niektóre kobiety czasem po prostu pragną ochrony, którą on zdawał się im zapewniać. Jedne zwyczajnie lubią się z takimi pieprzyć, a inne chcą czuć się bezpiecznie. Uważają, że jeżeli dadzą facetowi to, czego chce, to on będzie się nimi opiekował.

— Szkoda zatem, że wybrała Stephena Bartona — stwierdziłem.

— Tak — zgodził się Pete. — Może jednak wcale nie była taka mądra.

Mając strój do ćwiczeń, spędziłem półtorej godziny na sali. Już od dawna porządnie nie pracowałem. Żeby się nie skompromitować, ominąłem ławkę i skupiłem się na barkach, plecach i lekkich ćwiczeniach na ramiona, z przyjemnością czując ich pracę, kiedy ćwiczyłem na suchych wiosłach, i napięcie w bicepsach podczas wyciskania.

Pomyślałem, że wciąż wyglądam dobrze, chociaż opinia ta była skutkiem raczej podbudowania siebie niż próżności. Choć nie miałem nawet

57

metra osiemdziesiąt wzrostu, to zachowałem figurę ciężarowca — szerokie ramiona, wykształcone bicepsy i mięśnie trójgłowe, i klatkę piersiową nieco szerszą niż dwa jajka sadzone smażące się na chodniku — i nie przybyło mi wiele z tłuszczu, który straciłem w ciągu poprzedniego roku. Nie wyłysiałem, choć zza uszu zaczęła skradać się siwizna, przyprószając mi grzywkę. Oczy wciąż miałem na tyle jasne, by rozpoznać ich szaroniebie-ską barwę, osadzone w nieco pociągłej twarzy, na której żal i smutek pozostawiły ślady zwłaszcza wokół powiek i ust. Gdyby mnie porządnie ogolić, ostrzyc, ubrać w dobry garnitur i ustawić w korzystnym świetle, wyglądałbym całkiem przyzwoicie. Przy korzystnym oświetleniu mógłbym nawet twierdzić, że mam trzydzieści dwa lata, i nikt by się za głośno nie śmiał. Było to tylko o dwa lata mniej od wieku widniejącego w moim prawie jazdy, ale jak się człowiek starzeje, to zaczyna zwracać na takie drobiazgi uwagę.

Kiedy skończyłem, spakowałem swój strój, podziękowałem za proteinowy koktajl, który proponował mi Pete — napój śmierzdział zgniętymi bananami — i pojechałem na kawę. Po raz pierwszy od wielu tygodni byłem zrelaksowany, czułem endorfiny krążące po moim ciele i przyjemne napięcie w ramionach i plecach.

Moim następnym celem był dom towarowy DeVries. Dyrektor personalny nazywał siebie dyrektorem od zasobów ludzkich i, jak personalni na całym świecie, był jednym z najmniej ludzkich facetów, jakich można spotkać. Siedząc naprzeciwko, trudno było oprzeć się wrażeniu, że ktoś, kto tak łatwo potrafił zniżyć ludzi do poziomu surowców, takich jak paliwo, brykiety i

węgiel w kopalniach, powinien zajmować się jedynie osadzaniem ludzi w więzieniach. Innymi słowy, Timothy Cary to był kawał kutasa, od nosków lakierowanych butów aż po czubek głowy o krótko przyciętych, farbowanych włosach.

Wcześniej skontaktowałem się z jego sekretarką i oznajmiłem jej, że pełnię obowiązki pełnomocnika w sprawie spadku dla pani Demeter. Cary i jego sekretarka byli siebie warci. Wściekły pies na łańcuchu byłby bardziej pomocny niż ona i na pewno łatwiej byłoby go ominąć. — Mojemu klientowi zależy na tym, aby skontaktować się z panią Demeter jak najszybciej — zacząłem, gdy tylko usiedliśmy w jego małym, pretensjonalnym biurze. — Testament jest bardzo szczegółowy i trzeba wypełnić wiele formularzy.

— A pańskim klientem jest...?

— Obawiam się, że nie mogę tego ujawnić. Jestem pewien, że pan to zrozumie.

58

Wyglądał, jakby zrozumiał, choć wcale mu się to nie spodobało. Oparł się na krzesło i delikatnie głaskał palcami swój jedwabny krawat. Musiał być drogi. Był tak niegustowny, że na pewno dużo kosztował. Koszula wyglądała, jakby dopiero co wyjął ją z opakowania, zakładając, że Timothy Cary w ogóle mógł mieć do czynienia z czymś tak plebejskim jak celofanowe opakowanie. Jeśli kiedykolwiek schodził na kondygnację, gdzie mieścił się sklep, to musiało to być jak zstąpienie anioła, któremu na ziemi coś zaśmierdziało.

— Panna Demeter miała być w pracy wczoraj. — Zerknął na skoroszyt leżący na biurku. — Wzięła wolny poniedziałek i od tego czasu nikt jej nie widział.

— Czy zawsze to robiła, brała w poniedziałek wolne?

Nie obchodziła mnie odpowiedź, ale moje pytanie przynajmniej odwróciło jego uwagę od skoroszytu. Isobel Barton nie miała aktualnego adresu Catherine Demeter. To Catherine zwykle się z nią kontaktowała albo pani Barton zostawiała wiadomość w sklepie przez swoją asystentkę. Kiedy Cary ożywił się nieco, korzystając z okazji do porozmawiania na bliski jego sercu temat, i zaczął rozprawiać o harmonogramach zajęć, zapamiętałem jej adres i numer ubezpieczenia. W końcu udało mi się przerwać mu i zapytać, czy Catherine nie była chora ostatniego dnia w pracy albo czy może nie sprawiała wrażenia zaniepokojonej.

— O niczym takim nie wiem. Praca panny Demeter w DeVries jest właśnie poddawana ocenie w związku z jej nieobecnością — zakończył wielce z siebie zadowolony. — Przez wzgląd na jej dobro mam nadzieję, że spadek będzie znaczny.

Nie sędzę, by mówił szczerze.

Grając na zwłokę, pozwolił mi w końcu porozmawiać ze sprzedawczynią, która pracowała z Catherine podczas jej ostatniej zmiany w sklepie. Spotkaliśmy się w biurze kierownika poza powierzchnią handlową centrum. Martha Friedman miała nieco ponad sześćdziesiąt lat, była pulchna, włosy farbowała na rudo, a na twarz nakładała tyle pudru, że chyba dżungla amazońska przepuszczała więcej naturalnego światła; ale starała się pomóc. W sobotę pracowała z Catherine w dziale porcelany. Sprzedawały razem po raz pierwszy, ponieważ stała asystentka pani Friedman źle się poczuła i potrzebne było zastępstwo w ciągu ostatniej godziny przed zamknięciem.

— Czy zauważyła pani w jej zachowaniu coś niezwykłego? — zapytałem, kiedy pani Friedman, korzystając z okazji, że siedzieliśmy w biurze kierownika, dyskretnie przeglądała papiery leżące na jego biurku. — Może wydawała się przygnębiona albo czymś zaniepokojona?

59

Zmarszczyła nieco brwi.

— Zbiła porcelanowy wazon, niezwykle cenny. Tuż po swoim przyjściu pokazywała go klientowi i nagle go upuściła. A gdy się obejrzałam, zobaczyłam, jak biegnie przez sklep do

windy. Pomyślałam, że to bardzo nieprofesjonalnie, nawet jeżeli źle się czuła.

— A rzeczywiście coś jej dolegało?

— Tak mi powiedziała, ale po co od razu biec do windy? Mamy łazienki dla personelu na każdym piętrze.

Odniosłem wrażenie, że pani Friedman wiedziała więcej, niż mówiła. Podobało się jej to zainteresowanie jej osobą i chciała to przeciągnąć jak najdłużej. Pochyliłem się w jej kierunku i w zaufaniu zapytałem:

— A co pani o tym sądzi, pani Friedman?

Z dozą kokieterii też się pochyliła, lekko dotykając mojej dłoni, jakby w ten sposób chciała dodać wagi swoim słowom.

— Ona kogoś zobaczyła i chciała go dogonić, zanim wyszedł ze sklepu. Tom, strażnik ze wschodniego skrzydła, powiedział mi, że minęła go pędem i stała, rozglądając się na ulicy. Nie wolno nam wychodzić ze sklepu bez pozwolenia w czasie pracy. Tom powinien był to zgłosić, ale powiedział tylko mnie. To Murzyn, ale jest w porządku.

— Czy domyśla się pani, kogo ona mogła zobaczyć?

— Nie, nie chciała o tym mówić. Z tego, co wiem, nie przyjaźni się z nikim ze sklepu, a teraz rozumiem, dlaczego.

Porozmawiałem jeszcze ze strażnikiem i z kierownikiem działu, ale oni nie dodali nic nowego do wersji pani Friedman. Poszedłem do małej restauracji, wypilem kawę i zjadłem kanapkę, wróciłem do swojego mieszkania po małą, czarną torbę, którą dostałem kiedyś od przyjaciela o anielskim imieniu Angel, i pojechałem taksówką do mieszkania Catherine De-meter.

Mieszkanie mieściło się w przebudowanym czteropiętrowym budynku z czerwonej cegły w Greenpoint, tej części Brooklynu, gdzie mieszkali głównie Włosi, Irlandczycy i Polacy, a wśród tych ostatnich wielu byłych działaczy Solidarności. To właśnie w Kontynentalnej Hucie Stali w Greenpoint powstał statek wojenny Monitor, który stoczył walkę z Merrimac,

60

statkiem Konfederacji, ale wtedy dzielnica Greenpoint była jeszcze centrum przemysłowym Brooklynu.

Wytwórcy żelaza, garnarze i drukarze już stąd odeszli, ale wielu potomków pierwszych osadników pozostało. Małe butiki z ubraniami i polskie piekarnie dzieliły witryny z kosztownymi delikatesami o ustalonej reputacji i sklepami z używanym sprzętem elektrycznym.

Dom, w którym mieszkała Catherine Demeter, był trochę zaniedbany; na stopniach większości okolicznych budynków siedziały dzieciaki w workowatych dzinsach i tenisówkach, paliły papierosy, gwizdały i zaczepiały przechodzące kobiety. Catherine zajmowała mieszkanie numer czternaście, prawie na samej górze. Zadzwoiłem, ale nie zdziwiłem się, kiedy domofon nie odpowiadał. Spróbowałem więc pod numerem dwadzieścia i kiedy odezwał się głos starszej pani, powiedziałem, że przychodzę z gazowni, bo ktoś zgłaszał wyciek, a w mieszkaniu dozorca nikogo nie ma. Milczała przez chwilę, ale mnie wpuściła.

Domyśliłem się, że pewnie sprawdzi to z gospodarzem domu, więc nie miałem zbyt wiele czasu, chociaż gdybym nie znalazł nic związanego ze zniknięciem Catherine w jej mieszkaniu, i tak musiałbym porozmawiać z dozorcą, sąsiadami, a może i z listonoszem. Kiedy wszedłem do holu, otworzyłem jej skrzynkę na listy i zaświeciłem do środka latarką. Znalazłem tylko najnowszy numer magazynu New York i jakieś dwie ulotki reklamowe. Zamknąłem skrzynkę i ruszyłem schodami na trzecie piętro.

Korytarz był cichy, po obu stronach lśniło sześćcioro świeżo lakierowanych drzwi. Bezszelestnie podszedłem do numeru czternastego i spod płaszcza wyjąłem czarną torbę. Dla pewności jeszcze raz zapukałem i wyciągnąłem z torby elektryczny wytrych. Angel był najlepszym specem od

włamań, jakiego znałem, i nawet będąc jeszcze gliną, miałem powody, by korzystać z jego usług. W zamian za to nigdy mu z racji swojego zawodu nie sprawiałem kłopotów, a i on schodził mi z drogi. Kiedy noga mu się powi-neła, bardzo się starałem, by mu nieco ułatwić życie za kratkami. To narzędzie było swego rodzaju podziękowaniem. Podziękowaniem zupełnie sprzecznym z prawem.

Wyglądało jak elektryczna wiertarka, ale było mniejsze i bardziej zgrabne, na czubku miało kolec, który wytwarzał napięcie. Włożyłem ów kolec do zamka i pociągnąłem za cyngiel. Przez moment narzędzie zawarczało głośno i zamek się otworzył. Wśliznąłem się do środka i zamknąłem za sobą drzwi, a niemal natychmiast na korytarzu otworzyły się inne. Stałem w bezruchu i czekałem, aż się zatrzasną, włożyłem narzędzie do torby, otworzyłem znowu drzwi i wyjąłem z kieszeni wykałaczkę. Połamałem ją na cztery części i wepchnąłem do zamka.

Chciałem w ten sposób dać so-

61

bie trochę czasu na ucieczkę schodami pożarowymi, gdyby ktoś próbował wejść do mieszkania w czasie mojej wizyty. Wreszcie zamknąłem drzwi i włączyłem światło.

Krótki przedpokój z przetartym chodnikiem prowadził do czystego, tanio urządzonego pokoju dziennego, wyposażonego w przechodzony telewizor i kanapę, która nie stanowiła kompletu z fotelami. Po jednej stronie holu znajdowała się mała kuchnia, a po drugiej sypialnia.

Najpierw zajrzałem do sypialni. Na małej półce przy łóżku stało kilka książek w miękkich okładkach. Oprócz tego w pokoju była jeszcze szafa i toaletka, przy czym obie wyglądały jak własnoręcznie złożone z zestawów dostępnych w sklepach IKEA. Zajrzałem pod łóżko i znalazłem pustą walizkę. Na toalecie nie było kosmetyków, co oznaczało, że wychodząc, prawdopodobnie spakowała małą torbę podróżną i zabrała je ze sobą. Raczej nie zamierzała wyjeżdżać na dłużej i na pewno się nie wyprowadziła.

Zajrzałem do szafy, ale znalazłem tylko ubrania i kilka par butów. Dwie pierwsze szuflady toaletki również zawierały tylko ciuchy, ale ostatnia pełna była papierów, nagromadzonych przez lata dokumentów, zeznań podatkowych i świadectw pracy, świadczących o życiu osoby nieustannie przenoszącej się z miasta do miasta, z jednej roboty do innej.

Catherine Demeter długo pracowała jako kelnerka, przeprowadzając się z New Hampshire na Florydę i z powrotem, w zależności od sezonu. Przebywała też w Chicago, Las Vegas i Phoenix, jak i w wielu mniejszych miastach, sądząc z ilości pokwitowań odbioru pensji i dokumentów podatkowych w szufladzie. Były też wyciągi z konta. Miała około 39 000 dolarów na rachunku depozytowym, a oprócz tego trochę akcji, starannie związanych szeroką, niebieską wstążką. W końcu znalazłem też paszport, niedawno uaktualniony, a w nim trzy dodatkowe zdjęcia, przedstawiające właśnie Catherine.

Tak, jak ją opisała Isobel Barton, była niewysoką, atrakcyjną kobietą po trzydziestce, miała jakieś metr sześćdziesiąt wzrostu, ciemne, ostrzyżone na pazia włosy, bladoniebieskie oczy i jasną cerę. Włożyłem wszystkie trzy fotki do swojego portfela i zacząłem przeglądać jedyną bardzo osobistą rzecz, jaką znalazłem w szufladzie.

Był to album ze zdjęciami, gruby i wytarty na rogach. Zawierał to, co uznałem za historię rodziny Demeter, od fotografii w kolorze sepii, przedstawiających dziadków, poprzez ślubne zdjęcia prawdopodobnie jej rodziców, aż po fotki dwóch dorastających razem dziewczynek: z rodzicami i przyjaciółmi, czasem razem, a czasem osobno. Zdjęcia z plaży, z rodzinnych wakacji, urodzin, Gwiazdki i Święta Dziękczynienia, wspomnienia wchodzących w życie siostr. Podobieństwo między nimi było oczywiste. Ta

62

młodsza to była Catherine, jej wada zgryzu była wtedy bardziej widoczna. Druga dziewczynka

— przyjąłem, że była to jej siostra — o dwa lub trzy lata starsza, o włosach koloru piasku, już w wieku dwunastu czy trzynastu lat była śliczna.

Nie było zdjęć przedstawiających ją jako starszą panienkę. Na pozostałych Catherine była sama lub z rodzicami, zaś zapis jej wzrastania stał się mniej szczegółowy, poczucie radości i świętowania znikło. Wszystko kończyło się zdjęciem Catherine z dnia ukończenia liceum. Przedstawiało ono poważnie wyglądającą młodą kobietę z podkrążonymi oczami, jakby się miała zaraz rozpłakać. Dołączone do niego świadectwo pochodziło od dyrektora szkoły średniej w Haven w Wirginii.

Z końcowych stron albumu coś usunięto. Przy zszyciu stron zobaczyłem niewielkie skrawki gazety, w większości maleńkie fragmenty, cieniutkie jak nić, a pośród nich tylko jeden wielkości mniej więcej dwa na dwa centymetry. Papier żółkł z czasem; z jednej strony widniał fragment prognozy pogody, a z drugiej jakieś zdjęcie; w rogu widoczny był czubek głowy o paskowych włosach. Za ostatnią kartę albumu wetknięte były dwa świadectwa urodzenia, jedno Catherine Demeter, urodzonej piątego marca 1962 roku, a drugie Amy Ellen Demeter, urodzonej trzeciego grudnia 1959 roku.

Włożyłem album z powrotem do szuflady i poszedłem do sąsiadującej z sypialnią łazienki. Była czysta i schludna, tak jak reszta mieszkania; mydło, żele pod prysznic i płyn do kąpieli stały równo na białych kafelkach przy wannie, a ręczniki ułożone były na małej półce pod umywalką. Otworzyłem jedną połowę drzwiczek ściennej szafki. Była tam pasta do zębów, nić dentystyczna i płyn do płukania ust, a także trochę dostępnych bez recepty lekarstw na przeziębienie, odwodnienie i kapsułki z olejem z wie-siołka. Nie znalazłem żadnych pigułek ani innych środków antykoncepcyjnych. Może Stephen Barton brał to na siebie, chociaż było to mało prawdopodobne. Nie wyglądał na takiego, co by się tym przejmował.

W drugiej części szafki zobaczyłem miniaturową aptekę z taką ilością środków pobudzających i uspokajających, że życie Catherine mogło przypominać kolejkę górską, pędzącą na łeb, na szyję to w górę, to w dół. Było więc librium na wahania nastroju, ativan, zwalczający stany pobudzenia, oraz valium, thorazine i lorazepam na uspokojenie. Niektóre opakowania były puste, inne opróżnione w połowie. Najnowszą receptę wypisał doktor Frank Forbes, psychiatra. Znałem to nazwisko. „Kutas Frank” Forbes pie-Przył albo próbował pieprzyć tyle swoich pacjentek, że pojawiały się sugestie, iż powinny one podać go do sądu. Kilka razy niewiele brakowało, by pozbawiono go prawa wykonywania zawodu, ale oskarżenia wycofywano,

63

nigdy nie trafiały do sądu lub sprawy były tuszowane, bo Frank dóbr wiedział, jak rozporządzać swoimi funduszami. Słyszałem, że ostatnio niezwykle przycichł po tym, jak któraś z jego pacjentek zaraziła się rzeżączką na skutek zbliżenia z Frankiem i podała go do sądu. Tej sprawie, jak się wydaje, Frank nie dał rady ukrećić łba.

Catherine Demeter była najwyraźniej bardzo nieszczęśliwą kobietą, a wizyty u Franka Forbesa na pewno nie mogły jej pomóc. Nie bardzo miałem ochotę go odwiedzać. Kiedyś próbował przystawiać się do Elizabeth Gordon, córki jednej z rozwiedzionych przyjaciółek Susan, i złożyłem mu wizytę, żeby przypomnieć o jego lekarskich obowiązkach i postraszyć wyrzuceniem z okna, gdyby spróbował zrobić to jeszcze raz. Po tym wydarzeniu w jakimś stopniu zawodowo interesowałem się tym, co robił.

Nie znalazłem już nic godnego uwagi w jej łazience ani w reszcie mieszkania. Wychodząc, zatrzymałem się przy telefonie, podniosłem słuchawkę i przycisnąłem guzik automatycznie wybierający numer, pod który ostatnio dzwoniło. Po kilku sygnałach usłyszałem głos:

— Biuro szeryfa hrabstwa Haven, słucham?

Odłożyłem słuchawkę i zadzwoniłem do znajomego, który pracował w firmie

telekomunikacyjnej. Pięć minut później podał mi pełną listę lokalnych numerów, pod które dzwoniono z tego aparatu w piątek i sobotę. Były tylko trzy, nic nadzwyczajnego: chińska restauracja z jedzeniem na wynos, lokalna pralnia i informacja o repertuarze kin.

W miejscowym przedsiębiorstwie nie mogli udzielić mi żadnych informacji dotyczących rozmów zamiejscowych, więc wybrałem inny numer. Tym razem połączyłem się z jedną z wielu agencji, które oferują prywatnym detektywom i wszystkim tym, którzy przejawiają głębokie zainteresowanie sprawami innych ludzi, możliwość nielegalnego uzyskania poufnych informacji. W ciągu dwudziestu minut poinformowali mnie, że w sobotę wykonano piętnaście telefonów do Haven w Wirginii, siedem do biura szeryfa i osiem do prywatnej posiadłości w mieście. Dostałem oba numery i wykręciłem drugi z nich. Usłyszałem zwięzłą, nagrany na sekretarce wiadomość: „Tu Earl Lee Granger. Nie ma mnie w domu. Zostaw wiadomość po sygnale albo, jeżeli sprawa dotyczy policji, skontaktuj się z biurem szeryfa pod numerem...”

Wykręciłem ten numer, połączyłem się z biurem szeryfa hrabstwa Ha-ven i poprosiłem o rozmowę z samym szeryfem.

Powiedziano mi, że szeryfa Grangera nie ma, więc chciałem rozmawiać z kimś, kto go zastępował. Dowiedziałem się, że zastępcą był Alvin Martin, ale wyszedł w służbowej sprawie. Mój rozmówca nie wiedział, kiedy szeryf wróci. Z tonu jego głosu domyśliłem się, że raczej nie wyszedł so-

64

bie po papierosy. Poprosił mnie o podanie nazwiska, podziękowałem mu więc i rozłączyłem się. Wyglądało na to, że coś skłoniło Catherine Demeter do skontaktowania się z szeryfem w jej rodzinnym mieście, zamiast z Wydziałem Policji w Nowym Jorku. Nie pozostawało mi nic innego jak złożenie wizyty w Ha-ven. Najpierw jednak postanowiłem odwiedzić Kutasa Franka Forbesa.

Zatrzymałem się przy Azure na Trzeciej Alei i w delikatesach kupiłem sobie drogie świeże truskawki z ananasem i zjadłem je za rogiem, w Citicorp Building. Podobała mi się prostota tego budynku i jego dziwny, nachylony dach. Było to też jedno z niewielu nowych miejsc, gdzie w podobnym stylu urządzono wnętrza: główny hol, sięgający siedmiu pięter wwyż, pełen był drzew i krzewów, w sklepach i restauracjach roiło się od ludzi, a garstka wiernych siedziała w prostym, zatopionym w ciszy kościele.

Dwie ulice dalej, w stylizowanym na lata siedemdziesiąte budynku z przyciemnianymi szybami, miał swój szykowny gabinet Kutasa Franka Forbesa. Wjechałem windą na górę i wszedłem do recepcji, gdzie młoda, ładna brunetka pisała coś na komputerze. Kiedy wchodziłem, podniosła wzrok i uśmiechnęła się bosko. Starłem się, by nie odpadła mi szczeka, kiedy odwzajemniłem ten uśmiech.

— Czy doktor Forbes przyjmuje dzisiaj? — zapytałem.

— Jest pan umówiony?

— Na szczęście nie jestem pacjentem, ale znamy się z Frankiem od dawna. Proszę mu powiedzieć, że chce się z nim zobaczyć Charlie Parker.

Jej uśmiech przygasł nieco, ale połączyła się gabinetem Franka i przekazała wiadomość. Trochę zbladła, słuchając odpowiedzi, ale świetnie potrafiła robić dobrą minę do złej gry.

— Obawiam się, że doktor Forbes nie może się z panem teraz spotkać — oznajmiła, poważniejąc raptownie.

— Czy dokładnie to powiedział? Zarumieniła się lekko.

— No, nie, niezupełnie.

— Pani jest tu nowa?

— To mój pierwszy tydzień.

— Frank osobiście panią wybrał? Zmieszała się.

— Ta-ak.

— Niech sobie pani poszuka nowej pracy. To zboczeniec i niedługo wy-1 leci z interesu.

Przeszedłem obok, prosto do gabinetu Franka, podczas gdy ona trawi-1 ła moje słowa. W środku nie było żadnych pacjentów, a dobry doktor I przeglądał jakieś papiery na biurku. Nie ucieszył się na mój widok. Cień-1 ki wąs poruszył się z niesmakiem jak czarny robak, a rumieniec zalał gol od szyi aż do wysoko sklepionego czoła i linii szorstkich, czarnych włosów. I Był wysoki — miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu — i wysportowany. I Wyglądał naprawdę dobrze, ale tylko wyglądał. Poza tym nie było w nim nic dobrego. Gdyby ci dał dolara, farba zeszlaby z banknotu, nim trafiłyby j do twego portfela.

— Spieprzaj stąd, Parker. Chyba nie muszę ci przypominać, że nie I możesz się teraz do niczego wtrącać. Nie jesteś już gliną, a twoja nieobec-1 ność na pewno wyszła siłom porządku na zdrowie.

Chciał przycisnąć guzik interkomu, ale recepcjonistka weszła do gabi-1 netu tuż za mną.

— Dzwon na policję, Marcie. Albo lepiej do mojego prawnika. Powiedz | mu, że zamierzam wnieść sprawę o nachodzenie.

— Słyszałem, że nie dajesz mu popróżnować, Frank — rzekłem, sia-1 dając w skórzanym fotelu naprzeciwko jego biurka. — Podobno Maibaum i Locke reprezentują w sądzie tę nieszczęsną kobietę z chorobą weneryczną. Miałem już kiedyś z nimi do czynienia i wiem, że są naprawdę zawzięci. Może wzięliby sprawę Elizabeth Gordon. Pamiętasz Elizabeth, prawda, | Frank? Instynktownie spojrział w okno i odsunął się od niego z fotelem.

— W porządku, Marcie, dziękuję — rzekł, niespokojnie kiwając głową do recepcjonistki.

Drzwi zamknęły się cicho.

— Czego chcesz?

— Masz pacjentkę o nazwisku Catherine Demeter.

— Daj spokój, Parker, wiesz dobrze, że nie mogę rozmawiać o pacjentach. A nawet gdybym mógł, tobie bym nic nie powiedział.

— Frank, jesteś najgorszym konowalem, jakiego znam. Nie pozwoliłbym ci leczyć nawet psa, bo pewnie próbowałbyś go przelecieć, więc schowaj się ze swoją etyką. Myślę, że ona ma kłopoty, i chcę ją znaleźć. Jeżeli mi nie pomożesz, skontaktuję się z firmą Maibaum i Locke tak szybko, jakbym miał zdolności telepatyczne.

Frank usiłował wyglądać tak, jakby walczył z własnym sumieniem, chociaż nie znalazłby go bez pomocy łopaty i nakazu ekshumacji.

— Nie przyszła wczoraj na wizytę. Nawet nie uprzedziła.

— Dlaczego do ciebie przychodziła?

— Głównie z powodu inwolucyjnej melancholii. To rodzaj depresji, typowej dla wieku średniego i starszego. W każdym razie tak mi się na początku wydawało.

— Ale...?

— Parker, to poufne. Nawet ja mam zasady.

— Nie rozśmieszaj mnie. Dalej.

Frank westchnął i nerwowo stuknął ołówkiem w książkę przyjęć, po czym podszedł do kartoteki, wyjął teczkę i usiadł. Otworzył ją, przejrzał i zaczął mówić.

— Kiedy Catherine miała osiem lat, umarła, a raczej została zamordowana, jej siostra. Była jednym z kilkorga dzieci zamordowanych w miasteczku Haven w Wirginii w późnych latach sześćdziesiątych i wczesnych siedemdziesiątych. Te dzieci, dziewczynki i chłopcy, były

porywane i torturowane, a ich ciała wrzucane do piwnicy pustego domu poza miastem. Frank był teraz bezstronny: lekarz omawiający historię przypadku, który był dla niego odległym niczym bajka, mimo wszelkich emocji, jakie włożył w to opowiadanie.

— Jej siostra była czwartym dzieckiem, które zamordowano, ale pierwszym białym. Kiedy zaginęła, policja zaczęła interesować się sprawą dokładniej. Podejrzewano miejscową kobietę, bogatą miejscową kobietę — raz widziano jej samochód w pobliżu tamtego domu po zniknięciu jednego z dzieci, a potem próbowała porwać dzieciaka z innego, oddalonego o jakieś trzydzieści kilometrów, miasteczka, ale jej się nie udało. Chłopiec poorał jej twarz paznokciami, po czym opisał ją glinom. Ścigali ją, ale miejscowi się dowiedzieli i dotarli do jej domu pierwsi. Był tam jej brat. Według mieszkańców był homoseksualistą, a gliniarze byli przekonani, że miała współnika, kogoś, kto prowadził samochód, kiedy ona porywała. Miejscowi zaczęli podejrzewać właśnie jego. Znalezione go powieszono w piwnicy.

— A kobieta?

— Spłonęła żywcem w innym starym domu. Sprawa zwyczajnie... ucichła.

— Ale nie dla Catherine?

?— Nie, nie dla niej. Skończyła liceum i wyjechała z miasta, lecz jej rodzice zostali. Matka umarła jakieś dziesięć lat temu, wkrótce potem ojciec. A Catherine Demeter musiała żyć dalej.

67

— Czy kiedykolwiek wracała do Haven?

— Nie, nie po pogrzebach. Mówiła, że wszystko tam dla niej umarło. I to by było na tyle.

Wszystko sprowadza się do Haven.

— Miała jakichś chłopaków, przygodnych znajomych?

— Nie wspominała o nikim. A teraz dosyć już tych pytań. Wynoś się. Jeżeli kiedykolwiek wspomnisz o tej sprawie, publicznie lub prywatnie, zaciągnę twój tyłek do sądu i oskarżę cię o napaść, nachodzenie mnie i co tylko wymyśli mój adwokat.

Wstałem, żeby wyjść.

— Zrób coś jeszcze — rzekłem. — Przez wzgląd na Elizabeth Gordon, która oby jak najdłużej nie poznała firmy Maibaum i Locke.

— Co?

— Podaj mi nazwisko tej spalonej kobiety.

— Modine. Adelaide Modine i jej brat William. A teraz wypieprzaj, proszę, z mojego życia.

7TTT

/liii

Z zewnątrz warsztat samochodowy Williego Brewa wyglądał na zaniedbane i niegodne zaufania, a nawet mocno podejrzane miejsce. W środku nie było wcale lepiej, ale Willie, Polak, którego nazwiska nie sposób było wymówić, więc zostało skrócone przez pokolenia jego klientów do Brew, był najlepszym mechanikiem, jakiego znałem.

Nigdy nie lubiłem tej części Queens, leżącej zaledwie parę kroków na północ od pełnej ryczących samochodów drogi szybkiego ruchu prowadzącej na Long Island. Nawet gdy byłem dzieckiem, kojarzyła mi się z komisami samochodowymi, starymi magazynami i cmentarzami. Warsztat Williego, niedaleko Kissena Park, był zawsze dobrym źródłem informacji, bo wszystkie niebieskie ptaki, mieniające się kolegami Williego, które nie miały nic lepszego do roboty, jak tylko słuchać o sprawach innych, zbierały się tam od czasu do czasu; ogółem jednak cała ta okolica wzbudzała we mnie niepokój. Nawet już jako dorosły mężczyzna nie lubiłem przejeżdżać tędy po drodze z lotniska Kennedy'ego na Manhattan i patrzeć na zniszczone domy i sklepy monopolowe.

Po śmierci mojego ojca matka zabrała nas z powrotem do Maine, do swojego rodzinnego

miasteczka Scarborough, gdzie zamiast drapaczy!

68

chmur horyzont przesłaniały drzewa i tylko entuzjaści wyścigów konnych, iadący z Bostonu i Nowego Jorku na wyścigi w Scarborough Downs, przywozili ze sobą zapachy i widoki kojarzone z wielkim miastem. Może dlatego zawsze czułem się na Manhattanie jak gość, zawsze patrzyłem na mia-sto oczami nowo przybyłego.

Okolice, w której znajdował się warsztat Williego, zawzięcie opierała się wszelkim procesom mającym zmienić ją w porządną dzielnicę. Cały kwartał został wykupiony przez Japończyka, właściciela restauracji specjalizującej się w potrawach z makaronu, mieszczącej się tuż obok — facet prowadził też inne interesy w azjatyckiej dzielnicy i wyglądało na to, że zamierza rozszerzyć swe pole działania dalej na południe — zaś Willie zawzięcie, i tylko częściowo zgodnie z prawem, walczył o zapewnienie sobie prawa do kontynuowania działalności. Japończyk mścił się, zasmradzając jego pomieszczenie rybim odorem, wpuszczanym przez otwory wentylacyjne. Willie czasem brał odwet i wysyłał Arno, swojego głównego mechanika, na piwo i chińszczyznę, a ten potem wsadzał sobie palce do gardła i wymiotował przed restauracją Japończyka. „Chińczycy, Wietnamczycy, Japończycy, wszystko to gówny wygląda tak samo”, mawiał Willie.

Kiedy wszedłem do środka, mały, żylasty, ciemnowłosy Arno pracował przy silniku zajeżdżonego dodge'a. W powietrzu unosił się smród ryb i makaronu. Mój mustang rocznik 69 stał nad kanałem, a części jego mechanizmu wały się po podłodze. To, że wyruszy dziś na drogę, było tak prawdopodobne jak to, że spotkam na niej Jamesa Deana. Dzwoniłem wcześniej, by powiedzieć Williemu, iż wstąpię. Mógł chociaż udawać, że przy nim pracuje, kiedy przyjechałem.

Ktoś zaklął głośno w jego biurze, do którego szło się po drewnianych schodach po prawej stronie warsztatu. Drzwi otworzyły się z hukiem i Willie stoczył się po schodach ze smarem na łysinie i w rozpiętym do pasa kombinezonie, spod którego wylał się brudny, kiedyś biały podkoszulek, opinający jego ogromny brzuch. Z wysiłkiem wdrapał się na stos skrzynek leżących pod otworem wentylacyjnym i przycisnął usta do kratki.

— Wy skośnookie sukinsyny — wrzasnął piskliwie. — Przestańcie za-smradzać mi warsztat rybami, bo wam nogi z dupy powyrywam.

Ktoś krzyknął coś po japońsku z drugiej strony kanału wentylacyjnego i rozbrzmiał orientalny śmiech. Willie uderzył w kratkę dłonią i zszedł ze skrzynek. Mrużąc oczy w półmroku, popatrzył na mnie i dopiero po chwili mnie rozpoznał.

— Bird, jak się masz? Chcesz kawy?

— Chcę wozu. Mojego wozu. Tego, który trzymasz już od tygodnia. Wyglądał na zbitego z tropu.

69

— Wściekasz się na mnie — rzekł tonem niby to pojednawczym, w którym jednak słychać było kpinę. — Rozumiem twą złość. Dobrze jest się czasem powkurzać. Za to w twoim wozie nie ma nic dobrego. Twój wóz jest do dupy. Silnik jest zajeżdżony na amen. Na czym ty jeździsz, na orzechach albo starych gwoździach?

— Willie, potrzebne mi moje auto. Zaprzyjaźniłem się już z połową taksówkarzy w tym mieście. Niektórzy już nie próbują nawet ze mnie zdzierać. Zastanawiałem się, czy nie wypożyczyć samochodu, żeby ludzie się ze \ mnie nie śmiali. Właściwie jedynym powodem, dla którego jeszcze ci nie przyłożyłem, jest to, że naprawa według ciebie miała potrwać najwyżej dzień, może dwa.

Willie poczłapał do samochodu i czubkiem buta szturchnął cylindryczny kawałek metalu.

— Arno, co jest z mustangiem Birda?

— To złom — odezwał się Arno. — Powiedz mu, że dostanie pięć setek, a my weźmiemy wóz na części.

— Arno mówi, żeby dać ci pięćset dolców i rozebrać wóz na części.

— Słyszałem. Powiedz mu, że spalę mu chałupę, jak nie naprawi mi i samochodu.

— Pojutrze — doszedł głos spod maski. — Sorry za spóźnienie. Willie poklepał mnie po ramieniu umazaną smarem ręką.

— Zajdź na kawę i ploty. A potem dodał cicho:

— Angel chce się z tobą zobaczyć. Powiedziałem mu, że tu będziesz.

Kiwnąłem głową i wszedłem za nim po schodach. W środku zaskakująco schludnego biura, przy okrągłym stole siedziało czterech mężczyzn; pili kawę i whisky z blaszanych kubków.

Skinieniem powitałem Tom-my'ego Q, którego kiedyś przymknąłem za rozprowadzanie pirackich ka-' set wideo, i wąsatego faceta o idealnej dla niego ksywce Groucho, który trudnił się podprowadzaniem samochodów metodą na styk. Obok niego! siedział drugi pomocnik Williego, Jay, sześćdziesięciopięciolatek, o dzie-| sieć lat starszy od swojego szefa, który wyglądał, jakby był od niego starszy o dwadzieścia. Przy nim zobaczyłem Grabarza Eda Harrisa.

— Znasz Grabarza Eda? — zapytał Willie. Przytaknąłem.

— Dalej porywasz nieboszczyków, Ed?

— Gdzie tam, chłopie — odpowiedział. — Dałem sobie spokój już dawno temu. Wsiadł mi kręgosłup.

Grabarz Ed Harris był mistrzem wśród porywaczy. Wykombinował, że z żywymi zakładnikami jest za dużo roboty, bo nigdy nie wiadomo, co zro-

70
bią albo kto będzie ich szukał. Łatwiej można było sobie poradzić z umar-lakami, więc zabrał się za okradanie kostnic.

Przeglądał nekrologi, wybierał nieboszczyka, który pochodził ze stosunkowo bogatej rodziny, a następnie wykradał ciało z kostnicy albo domu pogrzebowego. Dopóki Grabarz Ed nie opracował swego systemu, domy pogrzebowe nie były zwykle najlepiej strzeżone. Ciała przechowywał w przemysłowej zamrażarce, którą miał w piwnicy, i żądał okupu, zwykle całkiem rozsądnego. W większości przypadków krewni byli szczęśliwi, mogąc odzyskać swoich drogich zmarłych, zanim ci nie zaczęli się rozkładać.

Powodziło mu się świetnie do czasu, gdy jakiś stary polski arystokrata wkurzył się, że ktoś przetrzymuje dla okupu zwłoki jego żony, i wynajął prywatną armię do szukania Eda. Znaleźli go, choć o mało co im nie uciekł przez przejście w piwnicy, które prowadziło na podwórko sąsiadów. Ale i tak to on śmiał się ostatni. Elektrownia odcięła mu prąd trzy dni wcześniej, bo nie płacił rachunków. Żona arystokraty śmierdziała jak zdechły opos, kiedy już ją znaleźli. Od tego czasu nic mu nie szło i nie prezentował się zbyt dobrze, siedząc tak na zapleczu warsztatu Williego.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy, którą przerwał Willie.

— Pamiętasz Beznosego Vinniego? — zapytał, wręczając mi kubek z parującą kawą, która, choć gorąca, nie była w stanie zamaskować dobywającego się z naczynia smrodu benzyny. — Poczekaj, to zaraz usłyszysz historię Tommy'ego Q. Nic jeszcze nie straciłeś.

Beznosy Vinnie, włamywacz z Newark, po jakiejś wpadce postanowił się zmienić na tyle, na ile może zmienić się facet, który przez czterdzieści lat żył z okradania mieszkań. Swej ksywki dorobił się podczas długiej, choć nieudanej przygody z amatorskim boksem. Mały Vinnie, potencjalna ofiara każdej pochodzącej z New Jersey szumowiny o skłonnościach do przemocy, widział w używaniu pięści sposób na zbawienie, jak wielu innych kurdupli z mniej ciekawych

dzielnic. Niestety, nie był dobry w obronie i wkrótce jego nos zmienił się w breję chrząstki z dwiema na wół zamkniętymi dziurkami, które wyglądały jak rodzyнки w surowym cieście. Tommy Q właśnie opowiadał historyjkę o Vinniem, firmie dekorator-skiej i umierającym kliencie-homoseksualiście, która, opowiedziana w szacownym miejscu normalnego zatrudnienia, mogłaby go zaprowadzić prosto do paki.

— No i ten wafel dogorywa w łazience z nogą od krzesła w dupie, a Vinnie ląduje w więzieniu za rozpowszechnianie sprośnych zdjęć i zwinięcie temu pedziowi magnetowidu — zakończył opowiadanie, kręcąc głowę na myśl o dziwnych losach facetów o innej orientacji seksualnej.

71

Wciąż śmiał się do rozpuku z własnej opowieści, gdy nagle uśmiech z jego twarzy znikł i Tommy wydał z siebie dźwięk, jakby się dusił. Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem stojącego w cieniu Angela. Czarne, kręcone włosy wymykały się spod niebieskiej dzianinowej czapki, jego twarz pokrywał rzadki zarost, który wzbudziłby śmiech nawet u trzynastolatka. Granatową kurtkę dokera zarzucił luźno rozpiętą na czarny podkoszulek, a nogawki błękitnych dżinsów wsunął w brudne, zniszczone traperki.

Angel nie był wysoki, miał może metr sześćdziesiąt pięć i trudno było zrozumieć, dlaczego Tommy tak się przestraszył. Były jednak dwa powody. Po pierwsze, Angel był o niebo lepszym bokserem niż Beznosy Vinnie i mógł zrobić z Tommy'ego porcję tataru, gdyby tylko chciał, a być może przyszło mu to do głowy, bo był gejem i anegdota Tommy'ego wcale nie musiała mu się wydać zabawna.

Drugim, może nawet ważniejszym powodem był fakt, że przyjacielem Angela był facet znany po prostu jako Louis. Podobnie jak Angel, Louis oficjalnie niczym się nie trudnił, choć wszyscy wiedzieli, że czterdziestoletni Angel, choć wycofał się i pracował tylko dorywczo, był najlepszym złodziejem i zdołałby ukraść nawet włoskę z prezydenckiego pepka, gdyby w grę wchodziły odpowiednie pieniądze. Mniej osób natomiast wiedziało o tym, że Louis, wysoki, czarny facet o nietuzinkowym stylu ubierania się, nie miał sobie równych w dziedzinie zabijania, był mordercą odmienionym nieco przez związek z Angelem, pod wpływem którego zaczął dobierać ofiary z większą, że się tak wyrażę, społeczną świadomością.

Krażyły plotki, że zabójstwo komputerowego eksperta Gunthera Blocha w Chicago zeszłego roku było robotą Louisa. Bloch był seryjnym gwałcicielem i oprawcą, który szukał ofiar wśród młodych, niekiedy bardzo młodych kobiet w burdelach południowo-wschodniej Azji, gdzie prowadził większość interesów. Dzięki pieniądзом udawało mu się zatuszować własne zbrodnie: płacił alfonsom, rodzicom, policji i politykom.

Nieszczęśliwie dla Blocha ktoś wpływowy w rządzie jednego z tych państw nie dał się kupić, zwłaszcza po tym, jak Bloch udusił jedenastoletnią dziewczynkę i wrzucił jej ciało do kontenera na śmieci. Bloch uciekł z kraju, ale pieniądze tamtego zostały przeznaczone na „specjalny projekt”: Louis utopił Blocha w wannie w apartamencie hotelowym w Chicago za tysiąc dolarów za noc.

Takie przynajmniej krążyły pogłoski. Bez względu na to, czy była to prawda, czy nie, Louis mógł się Tommy'emu Q źle kojarzyć, a choć kąpiel nie należała do codziennych zwyczajów Tommy'ego, to pewnie chciał ją brać bez obawy, że zostanie utopiony.

— Niezła historyjka, Tommy — odezwał się Angel.

72

— To tylko takie tam gadanie, Angel. Nie miałem nic złego na myśli. Nie chciałem nikogo urazić.

— Nikogo nie uraziłeś — odparł Angel. — A na pewno nie mnie.

Coś się za nim w ciemności poruszyło i pojawił się Louis. Jego łysa głowa połyskiwała w

przyćmionym świetle, a muskularna szyja wyrastała z kołnierzyka czarnej, jedwabnej koszuli, założonej pod idealnie skrojony szary garnitur. Wyższy od Angela o ponad trzydzieści centymetrów, przyglądał się Tommy'emu bacznie przez dłuższą chwilę.

— Wafel — odezwał się. — To dość... osobliwe określenie, panie Q. Cóż ono właściwie oznacza?

Krew odpłynęła Tommy'emu z twarzy i zdawało się, że długo nie będzie w stanie zebrać śliny, by przełknąć. Kiedy mu się wreszcie udało, zabrzmiało to tak, jakby przełykał piłeczkę golfową. Otworzył usta, ale nic nie zdołał wykrztusić, więc je zamknął i wpatrywał się w podłogę w próżnej nadziei, że ziemia otworzy się i go pochłonie.

— Hm, fajna opowiadka, panie Q. — Głos Louisa był jedwabisty jak jego koszula. — Proszę tylko uważać, gdzie się pan nią popisuje.

Mówiąc to, uśmiechnął się do Tommy'ego Q szeroko; był to rodzaj kociego uśmiechu, jaki myszy pamiętają do grobowej deski. Kropla potu ściekła Tommy'emu Q z nosa, zawisała na moment na jego czubku, po czym rozprysła się na podłodze. W międzyczasie Louis zniknął.

— Pamiętaj o moim wozie, Willie — rzuciłem, wychodząc za Angelem z warsztatu.

BEWMĄTK

?l-YLinęliśmy ze dwie przecznice po drodze do otwartego do późna baru, który znał Angel.

Louis szedł wolno kilka metrów przed nami, a wieczorny tłum rozpraszał się przed nim niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem. Kobiety spoglądały na niego czasem z zainteresowaniem.

Mężczyźni przeważnie wbijali wzrok w ziemię albo nagle dostrzegali coś niezwykle interesującego w spuszczonej roletach sklepowych wystaw lub w wieczornym niebie.

W barze jakiś folkowy piosenkarz bez powodzenia próbował naśladować Neila Younga w utworze „Tylko miłość może złamać ci serce”. Ciężko było to znieść.

73

— Gra tak, jakby nienawidził Neila Younga — zauważył Angel, kiedy weszliśmy.

Z przodu Louis wzruszył ramionami.

— Gdyby Neil usłyszał to gówno, znenawidziłby samego siebie. Zajęliśmy jeden z boksów. Właściciel, naburmuszony grubas o imieniu

Ernest, podszedł, powłóczę nogami, by przyjąć zamówienie. Zwykle gości obsługiwały kelnerki, ale Angel i Louis mieli względy nawet tutaj.

— Witaj, Ernest — powitał go Angel. — Jak interes?

— Taki jak w zakładzie pogrzebowym, gdyby ludzie przestali umierać — padła odpowiedź. — I, uprzedzając następne pytanie, moja stara wciąż tak samo paskudna.

Ci dwaj witali się tak od lat.

— Cholera, jesteście małżeństwem od czterdziestu lat — ciągnął Angel. — Nie spodziewaj się, że ci teraz wypięknieje.

Angel i Louis zamówili grube kanapki i Ernest się oddalił.

— Jakbym kiedyś wyglądał tak jak on, to odciąłbym sobie kutasa i zarabiał forszę, śpiewając jako kastrat, bo żadnego pożytku i tak bym z niego nie miał.

— Bycie brzydkim w niczym nie przeszkadza — rzekł Louis.

— No nie wiem — uśmiechnął się Angel. — Gdybym był przystojniejszy, to może pieprzyłbym teraz białego faceta.

Przestali się przekomarzać i w milczeniu czekaliśmy, aż piosenkarz skończy zamęczać Neila Younga. Dziwnie było siedzieć tu z nimi teraz, kiedy nie byłem już gliną. Gdy spotykaliśmy się wcześniej — w warsztacie u Williego, na kawie lub w Central Parku, bo Angel miał akurat ciekawe informacje albo chciał po prostu się spotkać, by pogadać albo zapytać o Susan i Jennifer — cechowała nasze kontakty pewna niezręczność, napięcie, zwłaszcza gdy był w pobliżu Louis.

Wiedziałem, co robili w przeszłości i czym Louis w moim przekonaniu zajmował się nadal: ciche udziały w podejrzanych spelunkach, nielegalny handel, no i bywanie w warsztacie Wiliego, przede wszystkim.

Jednak tym razem nie było między nami żadnego napięcia. Po raz pierwszy czułem więź przyjaźni, która zawiązała się między Angelem i mną. Co więcej, wyczuwałem w nich obu troskę, żal, ludzką dobroć, zaufanie. Wiedziałem, że gdyby te uczucia nie były prawdziwe, nie byłoby ich tutaj.

A może chodziło o coś więcej, coś, co dopiero zacząłem dostrzegać. Stałem się ucieleśnieniem koszmaru każdego policjanta. Gliniarze, ich rodziny, żony i dzieci, są nietykalni. Tylko idiota próbuje ruszyć glinę, kompletny wariat morduje jego najbliższych. Takie są nasze założenia, dzięki którym funkcjonujemy; wierzymy, że po całym dniu patrzenia na zwłoki,

74

przesłuchiwania złodziei, gwałcicieli, handlarzy narkotyków i al: możemy wrócić do swojego życia ze świadomością, że naszych rodzi dotyczy i że dzięki temu sami też możemy się na jakiś czas od tego stkiego oderwać.

Śmierć Susan i Jennifer tę wiarę podkopała. Ktoś naruszył 5 a ponieważ sprawa pozostawała nierozwiązana, nie zatrzymano ż; przestępcy, który mógł chować do mnie jakąś szczególną urazę, i n potrafił mi wytłumaczyć, dlaczego się to wszystko stało, sam musis sobie jakoś wyjaśnić: to ja sprowadziłem to nieszczęście na siebie i rodzinę. Byłem dobrym gliniarzem, który znalazł się na prostej drc alkoholizmu. Nic mi się nie układało, przez co stałem się słaby i ; słabość wykorzystał. Inni gliniarze patrzyli na mnie i nie widzieli] bującego wsparcia faceta, tylko źródło zepsucia i korupcji. Nikomi nie nawet Walterowi, nie było przykro, kiedy odszedłem.

Z drugiej jednak strony to, co się stało, zbliżyło mnie do Angela isa. Oni nie mieli żadnych złudzeń co do świata, w którym żyli, n: rzyli sobie filozofii pozwalającej im być zarazem jego częścią i czyrr nim. Louis był mordercą: nie mógł sobie nawet pozwolić na takie 5 nia. Ze względu na ich bliski związek, nie mógł sobie na nie pozwól nież Angel. Teraz i ja zmuszony byłem się ich pozbyć; jakby coś otv mi nagle oczy, musiałem się na nowo odnaleźć, poszukać sobie r miejsca na tym świecie.

Angel wziął porzuconą przy sąsiednim stoliku gazetę i popati nagłówek.

— Widziałeś to?

Spojrzałem i przytaknąłem. Jakiś facet chciał zostać bohaterem czas napadu na bank we Flushing rano tego dnia i skończył z dwon gazynkami kul z obrzyna w brzuchu. Pisały o tym wszystkie gazet;

— Paru facetów bierze się za robotę — zaczął Angel. — Nie zan ją nikogo skrzywdzić, chcą tylko wejść, wziąć forszę — która i tak jes pieczona, więc co to obchodzi tych z banku? — i wyjść. Biorą broń, i ko dlatego, że inaczej nikt nie weźmie ich na poważnie. Czego innej liby użyć? Ostrych słów? Ale zawsze musi się trafić jakiś dupek, uważa, że jest nieśmiertelny tylko dlatego, że jeszcze nie umarł. jest młody, sprawny i myśli, że załapie więcej cipek, jak rozpierdzi pad na bank i zbawi kawałek świata. Popatrz na niego: handlarz chomości, dwadzieścia dziewięć lat, niezonaty, wyciąga rocznie st dziesiąt tysięcy i ma dziurę w brzuchu wielkości tunelu pod kanai Manche. Lance Petersen. — Pokręcił ze zdumieniem głową. — w życiu nie spotkałem nikogo o imieniu Lance.

75

— Bo wszyscy inni już nie żyją — wtrącił Louis, niby to bez powodu rozglądając się po sali. — Dupki, sterczą tylko w bankach i obrywają. Ten był pewnie ostatnim żyjącym Lancem. Przyniesiono kanapki i Angel zabrał się za jedzenie. Tylko on.

— Jak leci?

— Może być — odparłem. — Po co ta cała konspiracja?

— Nie piszesz, nie dzwonisz.

Uśmiechnął się krzywo. Louis popatrzył na mnie ze średnim zainteresowaniem, po czym powrócił do obserwowania wejścia, tego, co działo się przy innych stołach i drzwiach toalet.

— Słyszałem, że pracujesz dla Benny'ego Lowa. Co ty robisz z tym tłustym gównojadem?

— Wypełniam wolny czas.

— Jak chcesz wypełnić czymś czas, to lepiej podłub sobie w tyłku. Benny zużywa tylko tlen z atmosfery.

— Daj spokój, Angel, do rzeczy. Bredzisz coś, a Louis zachowuje się tak, jakby spodziewał się, że wpadnie tu gang Dillingera i powystrzela cały bar.

Angel odłożył nadgryzioną kanapkę i z niezwykłą dla siebie elegancją otarł usta serwetką.

— Podobno rozglądasz się za dziewczyną Stephena Bartona. Niektórych bardzo ciekawi, dlaczego.

— Kogo na przykład?

— Na przykład Bobby'ego Sciorre, podobno.

Nie wiedziałem, czy Bobby Sciorra to psychol, czy nie, ale na pewno lubił zabijać i zyskał przychylnego zleceniodawcę w osobie starego Ferrery. Emo Ellison mógł zaświadczyć o skutkach wtrącania się Bobby'ego w sprawy innych ludzi. Podejrzywałem również, że w ostatnich minutach życia doznał ich na własnej skórze także Ollie Watts.

— Benny Low wspominał o jakichś kłótniach między starym a Son-nym — odpowiedziałem. — „Pieprzone porachunki rodzinne”, jak to określił.

— Benny zawsze był dyplomatą — stwierdził Angel. — Dziwne, że nie wzięli go jeszcze do ONZ. Dzieje się coś dziwnego, to fakt. Sonny przepadł gdzieś razem z Pilim. Nikt ich nie widział, nikt nie wie, gdzie są, ale Bobby Sciorra naprawdę stara się ich znaleźć. — Wziął kolejny wielki kęs kanapki. — A co z Bartonem?

— Przypuszczam, że też się gdzieś ukrywa, ale nie jestem pewien. To raczej cienki zawodnik i nie miał wiele do czynienia z Sonnym ani jego starym na gruncie zawodowym, nie licząc drobnego handelku prochami, cho-

76

ciąż mógł kiedyś być blisko Sonny'ego. Może zresztą nic się za tym nie kryje. Może Barton nie ma z tym nic wspólnego.

— Tak czy inaczej, ty masz większe problemy niż szukanie Bartona czyjego dziewczyny. Czekałem, co powie dalej.

— Ktoś na ciebie poluje.

— Kto?

— Nietutejszy. Ktoś spoza miasta, Louis nie wie, kto. — To przez tę sprawę Tłuściocha Olliego?

— Nie sądzę. Nawet Sonny nie jest takim palantem, żeby wyznaczyć cenę za twoją głowę z powodu wynajętego zabójcy, który dał się trzasnąć, bo ty się wmieszałeś. Ten dzieciak nic dla nikogo nie znaczył, a Tłuścioch Ollie nie żyje. Wiem tylko, że wkurzasz dwa pokolenia rodziny Ferrera, a to niedobrze.

Przysługa dla Cole'a okazała się czymś bardziej złożonym niż poszukiwanie zaginionej osoby, chociaż nigdy tak naprawdę prosta nie była.

— Mam dla ciebie zagadkę — rzekłem. — Znasz kogoś z pukawą, która robi dziury w murze za pomocą prawie trzygramowej kuli o średnicy 5,7 milimetra? To pistolet maszynowy.

— Ty chyba, kurwa, żartujesz. Ostatni raz widziałem coś takiego na wieżycy czołgu.

— Właśnie coś takiego załatwiło zabójcę Olliego. Widziałem, jak dostał, a potem za mną zrobiła się dziura w ścianie. Ta broń jest robiona w Belgii, zaprojektowana dla oddziałów antyterrorystycznych. Ktoś z tutejszych dorwał się do tego i przytaszczył do miasta, więc musi tu gdzieś być.

— Popytam — obiecał Angel. — A masz jakieś typy?

— Mój typ to Bobby Sciorra.

— Mój też. Ale dlaczego miałby sprzątać bałagan po Sonnym?

— Stary mu kazał.

i Potwierdził skinieniem głowy.

j

— Uważaj na swój tyłek, Bird. Skończył swoją kanapkę i wstał.

— Chodź. Podwieziemy cię.

— Nie, przejdę się trochę.

Wzruszył ramionami. — A masz przy sobie gnata?

Przytaknąłem. Obiecał, że się odezwie. Rozstaliśmy się przy drzwiach. Szedłem, świadomy wagi pistoletu w kaburze pod pachą, każdej twarzy w tłumie mijanych ludzi i pulsu miasta, który bił pod moimi stopami.

77

mi

Bobby Sciorra: okrutny demon, ucieleśnienie zła i sadyzmu, który zjawił się u starego Stefano Ferrery, kiedy ten był na skraju szaleństwa i śmierci. Sciorra wydawał się wyczarowany w najczarniejszym zakątku piekła ze złości i zgryzoty starego, był fizyczną manifestacją tortury i destrukcji, które stary chciał zadać światu dookoła. Ferrera znalazł w Bobbym Sciorrze idealne narzędzie bólu i okrutnej śmierci.

Stefano widział, jak jego ojciec, zaczynając od skromnego domu w Bensonhurst, tworzył małe imperium. Bensonhurst nad zatoką Gravesend i Oceanem Atlantyckim było wtedy tylko małym miasteczkiem. Zapachy z delikatesów mieszały się z aromatem drewna palonego w piecach miejscowych pizzerii. Ludzie mieszkali w dwurodzinnych domkach za żelaznymi bramami, a kiedy świeciło słońce, zasiadali na werandach i patrzyli na bawiące się w maleńkich ogródkach dzieci.

Ferrera był ambitny i chciał czegoś więcej. Gdy nadszedł czas, by przejąć interes, wybudował duży dom na Staten Island; stojąc przy oknie wychodzącym na teren za budynkiem, widział skraj posiadłości Paula Castellano na Todt Hill, wart trzy i pół miliona dolarów Biały Dom, a z najwyższego okna prawdopodobnie ziemię Bartonów. Skoro Staten Island była dobra dla głowy rodu Gambino i słynącego z dobroczynności milionera, była dobra i dla Stefano. Kiedy umarł Castellano, trafiony sześcioma kulami w restauracji Sparks na Manhattanie, Stefano nagle stał się największym bossem na Staten Island.

Poślubił kobietę z Bensonhurst o imieniu Louisa. Nie wyszła za niego z miłości, o jakiej czyta się w romantycznych powieściach: kochała go za władzę, brutalność, a przede wszystkim za pieniądze. Jednak ci, którzy pobierają się dla pieniędzy, szybko przekonują się, że nic łatwo nie przy-; chodzi. Tak było i z Louisą. Mąż wykańczał ją psychicznie i umarła wkrótce po wydaniu na świat trzeciego syna. Stefano nie ożenił się ponownie. Nie chodziło o głęboki smutek po stracie Louisy; po prostu nie potrzebował kłopotu w postaci nowej żony, zwłaszcza że pierwsza dała mu następców.

Pierwszy syn, Vincent, inteligentny chłopak, był największą nadzieją rodziny. Kiedy umarł w basenie na skutek rozległego krwotoku do mózgu w wieku dwudziestu trzech lat, jego ojciec nie powiedział słowa przez tydzień. Zastrzelił parę labradorów Vincenta i zamknął się w sypialni. Stało się to siedemnaście lat po śmierci Louisy.

Niccolo, zwany Nickym, dwa lata młodszy od brata, zajął jego miejsce jako prawa ręka ojca. Kiedy zacząłem pracę w policji, obserwowałem go, iak włóczy się po mieście wielkim, kuloodpornym cadillakiem, obstawiony żołnierzami, zdobywając reputację kryminalisty na miarę swojego ojca.]Sfa początku lat osiemdziesiątych rodzina przełamała początkową niechęć do handlu narkotykami i zalała miasto wszelkimi prochami, jakie tylko wpadły im w ręce. Większość ludzi schodziła im z drogi, a potencjalni rywale byli odstraszeni lub kończyli jako karma dla ryb.

Inaczej było tylko z mafią z Jamajki. Tamtejsze gangi nie liczyły się z instytucjami o ustalonej reputacji i starymi sposobami prowadzenia interesów. Patrzyli na Włochów, a widzieli trupy; transport kokainy o wartości dwóch milionów został skradziony rodzinie Ferrera i zginęło dwóch żołnierzy. W odwecie Nicky zarządził najazd na Jamajczyków: uderzono na ich kluby, mieszkania, nie oszczędzono nawet kobiet. W ciągu trzech dni zginęło dwunastu, wśród nich większość z odpowiedzialnych za kradzież kokainy.

Nicky'emu wydawało się chyba, że to koniec problemów i wszystko będzie znowu jak dawniej. Wciąż krążył po ulicach swoim wozem, jadł w tych samych restauracjach, zachowywał się tak, jakby demonstracja siły na zawsze położyła kres przemocy Jamajczyków.

Jego ulubionym miejscem było ekskluzywne Da Vincenzo w okolicach starego Bensonhurst, któremu udało się nie zapomnieć o swoich korzeniach. Możliwe, że podobała mu się nazwa, przywołująca wspomnienia

O jego bracie Vincencie, w swojej paranoi jednak kazał wymienić wszystkie szyby w oknach i drzwiach na kuloodporne, jak dla prezydenta. Nicky mógł rozkoszować się włoskimi potrawami, nieświadomy nadciągającego niebezpieczeństwa.

Pewnego listopadowego czwartku zdążył złożyć zamówienie, gdy boczną uliczką naprzeciwko nadjechała czarna furgonetka, stając tyłem do okna restauracji. Możliwe, że zobaczył zatrzymujący się samochód i spostrzegł, iż przednia szyba została usunięta, zastąpiona czarną, drucianą kratą; może nawet zmarszczył brwi, słysząc, jak otwierają się tylne drzwi i coś białego przecina ciemność, podmuchem wprawiając kratę w drgania.

Może nawet zdążył zauważyć, jak głowica RPG-7 mknie w stronę okna z prędkością stu osiemdziesięciu metrów na sekundę, ciągnąc za sobą smugę dymu i z rykiem przebijając się przez grube szyby. Okno eksplodowało do wewnątrz, a szkło, rozpalone kawałki metalu i miedziana kula z obudowy pocisku rozerwały Nicky'ego Ferrerę na tyle kawałków, że jego trumna, niesiona przez kościół trzy dni później, nie ważyła nawet trzydziestu kilogramów.

Odpowiedzialni za akcję trzech Jamajczycy zeszli do podziemia, a Ste-fano Ferrera dał upust wściekłości, mszcząc się na przyjaciółach i wrogach, znęcając się, nadużywając przemocy i siejąc śmierć. Interes zaczął podupadać, a wrogowie zacieśnili wokół niego swój krąg, wężąc w tym szaleństwie znakomitą okazję uwolnienia się od niego raz na zawsze.

Kiedy jego świat miał się już zawalić, ktoś pojawił się u bramy posiadłości i zażądał rozmowy ze starym. Strażnikowi powiedział, że ma wiadomości o Jamajczykach, ten przekazał to dalej i po przeszukaniu Bobby Sciorra został wpuszczony. Nie dał się jednak zrewidować dokładnie: trzymał przed sobą czarny, plastikowy worek, którego nie chciał otworzyć. Gdy zbliżał się do domu, ludzie starego trzymali lufy pistoletów wycelowane w jego stronę; kazali mu zatrzymać się na trawniku, jakieś piętnaście metrów od stopni domu, na których czekał stary.

— Jeżeli marnujesz mój czas, to każe cię rozwalić — powitał Bob-by'ego.

Ten tylko się uśmiechnął i wyrzucił zawartość worka na oświetlony trawnik. Trzy głowy z dreadami zwiniętymi jak nieżywe węże potoczyły się i uderzyły o siebie, a Sciorra uśmiechał się

niczym sprośny Perseusz. Gęsta, świeża krew skapywała powoli z brzegów torby na trawę. Tego wieczora Bobby wygrał los na loterii. W ciągu roku ustalił swoją pozycję, przy czym wędrówka w górę drabiny rodzinnej hierarchii zadziwiała podwójnie ze względu na swoje tempo i fakt, że nikt nie wiedział, skąd Sciorra pochodził. Nie figurował w kartotece federalnych i nie trafił tam nawet przez swoje powiązania z Ferrerą. Słyszałem plotki, że raz postawił się rodzinie Colombo, że czas jakiś działał jako wolny strzelec w okolicach Florydy, ale to wszystko. A jednak usunięcie jamajskiego gangu wystarczyło, by zdobył sobie zaufanie Stefano Ferrery, który ostatecznie wyprawił dla niego bankiet w piwnicach domu na Staten Island i Bobby, składając przysięgę na święty obrazek, związał się ze starym i jego współpracownikami na dobre i na złe. Od tego dnia Sciorra stanowił jednoosobową armię królestwa Ferrery. Stał na swoim stanowisku w trudnych dla rodziny chwilach po tym, jak działająca z ramienia FBI Organizacja do spraw Zwalczania Korupcji i Oszustw zezwoliła fedziom na ściganie organizacji i spiskowców czerpiących korzyści z przestępczości, a nie tylko i wyłącznie sprawców przestępstw. Najważniejsze rodziny Nowego Jorku — Gambino, Luchese, Colombo, Genovese i Bonnano — liczące w sumie ze cztery tysiące znanych mafiosów i ich współpracowników, nieźle oberwały, kiedy ich szefowie lądowali w więzieniach albo wręcz na krześle elektrycznym. Nie dotyczyło

80

to jednak rodziny Ferrera. Bobby Sciorra zajął się wszystkim, poświęcając kilku niniejszych graczy dla zapewnienia rodzinie przetrwania.

Możliwe, że stary wolałby usunąć się nieco w cień w rozgrywkach prowadzonych przez rodzinę, gdyby nie Sonny. Głupi, podły Sonny nie posiadał inteligencji żadnego z braci, tylko ich zamiłowanie do przemocy. Wszelkie przeprowadzane przez niego akcje zmieniały się w krwawe jatki, ale on się tym nie przejmował. Otyły już w wieku dwudziestu lat, uwielbiał okaleczać i zabijać. Śmierć zwłaszcza niewinnych ludzi wprawiała go w niemal seksualne podniecenie. Z czasem stary odsunął go i zostawił jego własnym interesom ze sterydami, drobnym handlem narkotykami, prostytutką i niekiedy przemocą. Bobby Sciorra próbował trzymać go pod jako taką kontrolą, ale Sonny działał poza nią i wbrew zdrowemu rozsądkowi. Był podły i zły, a cały tłum ludzi czekał tylko na śmierć jego ojca, by potem i Sonny jak najszybciej podążył w jego ślady. Nigdy się nie spodziewałem, że skończę, mieszkając w Village. Susan, Jennifer i ja mieszkaliśmy na Park Slope na Brooklynie. W niedziele mogliśmy wybrać się na spacer do parku Prospect i patrzeć, jak dzieciaki grają w piłkę, jak Jennifer dziobie trawę czubkami swych różowych tenisówek, po czym szliśmy na wodę sodową do Raintree's, a przez okna dochodziły nas dźwięki orkiestry grającej w muszli koncertowej.

W takie dni życie wydawało się długie i przyjazne jak zielona perspektywa Long Meadow. Jennifer zwykle szła między Susan a mną i wymienialiśmy ponad jej głową spojrzenia, kiedy zasypywała nas nie kończącym się gradem pytań, spostrzeżeń i dziwnych żartów, które tylko dziecko potrafiło zrozumieć. Trzymałem jej dłoń w swojej i miałem wrażenie, jakbym Przez nią dotykał Susan; wtedy wierzyłem, że jakoś się nam ułoży, że pokonamy tę przepaść, która się między nami pogłębiała. Jennifer czasem wybiegała do przodu, wtedy przysuwałem się do mojej żony, brałem ją za rękę, a ona uśmiechała się do mnie, kiedy mówiłem, że ją kocham. Potem Jednak odwracała twarz, wbijała wzrok w ziemię albo wołała Jenny, bo oboje wiedzieliśmy, że same słowa nie wystarczą.

81

Kiedy na początku lata, po kilku miesiącach poszukiwań jakiegokolwiek śladu ich mordercy, zdecydowałem się wrócić do Nowego Jorku, poprosiłem mojego prawnika, by polecił mi pośrednika handlu nieruchomości. W Nowym Jorku jest ponad trzydzieści milionów metrów kwadratowych biur i zbyt mało miejsca, by pomieścić pracujących w nich ludzi. Sam nie

wiedziałem, dlaczego chciałem zamieszkać na Manhattanie. Może po prostu dlatego, że nie był to Brooklyn.

Zamiast poszukać mi pośrednika, mój prawnik podzwonił do przyjaciół i znajomych, z którymi łączyły go interesy, dzięki czemu ostatecznie wynająłem mieszkanie w Village w domu z czerwonej cegły z białymi okiennicami i gankiem, prowadzącym do drzwi zwieńczonych półkolistym oknem. Wolałbym, aby dom znajdował się nieco dalej od placu Świętego Marka — od czasów, kiedy mieszkali tu W. H. Auden i Lew Trocki, plac ów rozwinął się niesamowicie, pojawiło się mnóstwo barów, kawiarni i ekskluzywnych butików — ale i tak mi odpowiadał. Mieszkanie było nieumeblowane, a ja wstawiłem tylko łóżko, biurko, kilka foteli, wieżę i telewizor. Wyrzuciłem książki, kasety, kompaktów, płyty i parę innych rzeczy osobistych i urządziłem sobie miejsce do mieszkania, do którego nie sposób było się zbyt mocno przywiązać. Było już ciemno, kiedy ułożyłem pistolety na biurku, rozebrałem na części i każdy starannie oczyściłem. Jeżeli rodzina Ferrera chciała się do mnie dobrać, to musiałem być na to przygotowany.

Przez cały ten czas, kiedy pracowałem w policji, sięgałem po broń w obronie własnej przy niewielu okazjach. Na służbie nigdy nikogo nie zabiłem i tylko raz strzeliłem do człowieka; to był alfons, dostał w brzuch, kiedy rzucił się na mnie z nożem o długim ostrzu.

Jako detektyw przez większość czasu zajmowałem się rabunkami i zabójstwami. Inaczej niż w przypadku obyczajówki, gdzie groźba przemocy i śmierci była jak najbardziej realna, praca w wydziale zabójstw wymagała innego rodzaju działania. Jak mawiał Tommy Morrison, mój pierwszy partner, podczas śledztwa w sprawie zabójstwa jedyny trup, na jakiego można natrafić, jest nim już przed przybyciem policji.

Nie ruszałem mojego colta delta elite po śmierci Susan i Jennifer. Teraz byłem właścicielem trzech pistoletów. Trzydziestka ósemka colt detec-tive special należał jeszcze do mojego ojca, był jedyną rzeczą, jaką sobie po nim zostawiłem. Znaczek ze stojącym dębą kucem po lewej stronie zaokrąglonej kolby był porysowany i pokryty rdzą, ale broń nadal mogła być użyteczna, lekka, o wadze nieco powyżej pół kilograma, i łatwa do ukrycia w kaburze nad kostką albo przy pasie. To był prosty, mocny rewolwer i trzymałem go pod ramą łóżka.

82

Nigdy poza strzelnicą nie użyłem hecklera & kocha VP70M. Ten dzie-więciomilimetrowy półautomat należał wcześniej do handlarza narkotyków, którego wykończyło ćpanie własnego towaru. Znalazłem go w jego mieszkaniu, kiedy sąsiad doniósł, że coś śmierdzi. Mieszczący osiemnaście naboju wojskowy VP70M leżał w ogóle nie używany w swoim futerale, ale przezornie usunąłem pilnikiem numer serii.

Podobnie jak trzydziestka ósemka, nie miał bezpiecznika. Cały jego urok polegał na tym, że wyposażony był w dodatkową podstawę do oparcia na barku; ona też należała do diler. Kiedy się ją zamocowało, tworzyła całość z mechanizmem strzelającym, zmieniając broń w automatyczny pistolet maszynowy, który miotał dwa tysiące dwieście kul na minutę. Gdyby Chińczycy zdecydowali się kiedyś na nas napaść, to przy tej ilości amunicji, jaką miałem, mógłbym ich powstrzymać przez co najmniej dziesięć sekund. Potem musiałbym zacząć rzucać w nich meblami. Wyjąłem H&K z przegródki w bagażniku mustanga, gdzie go zwykle trzymałem. Nie chciałem, by go ktoś znalazł w czasie naprawy samochodu.

Jedynym pistoletem, jaki nosiłem przy sobie, był smith & wesson trzeciej generacji, dziesięciomilimetrowy automat, produkowany specjalnie dla FBI; stałem się jego właścicielem dzięki wysiłkom Woolricha. Gdy był już wyczyszczony, naładowałem go ostrożnie i włożyłem do kabury pod pachą. Na zewnątrz widziałem tłumy zdążające do barów i restauracji w Village. Właśnie miałem pójść w ich ślady, kiedy zapiszczała moja komórka i pół godziny później

szukowałem się już do oględzin ciała Stephena Bar-ona.

Wyskazywały czerwone światła, zalewając cały parking ciepłym blaskiem prawa i porządku. Znajdujący się nieopodal park McCarrena tonął w ciemnościach, a dalej, na południowym zachodzie samochody przekraczały most Williamsburg i kierowały się na drogę szybkiego ruchu łączącą Brooklyn z Queens. Policjanci opierali się o swoje radiowozy, zatrzymując ciekawskich i fanatyków śmierci za barierkami. Jeden z nich wyciągnął rękę, blokując mi drogę.

— Hej, nie wolno tu chodzić.

Jednak zaraz mnie rozpoznał. To był Vecsey, który pamiętał jeszcze mojego ojca i nigdy nie wspiął się ponad stopień sierżanta.

— Jestem tu oficjalnie, Jimmy. Z Colem.

Spojrzał przez ramię, a Walter, który rozmawiał z jednym z mundurowych, popatrzył na nas i skinął głową. Ręka poszła w górę jak barierka. Przeszedłem.

83

Nawet z dala od ścieku czułem smród. Teren dookoła został ogrodzony, a technik laboratoryjny w gumowych butach wychodził akurat z włazu kanalizacyjnego.

— Mogę tam zejść? — spytałem.

Dwóch ludzi w nienagannych garniturach i angielskich prochowcach podeszło do Cole'a, który lekko skinął głową. Nie zauważyłem na ich plecach napisów FBI, więc doszedłem do wniosku, że pewnie starają się nie zwracać na siebie uwagi.

— Osobliwe — rzuciłem, przechodząc. — Wyglądają prawie jak normalni ludzie.

Walter nachmurzył się. Oni też.

Włożyłem rękawiczki i zszedłem w dół kanału ściekowego po drabinie. Zakrztusiłem się pierwszym haustem powietrza, rzeka brudu płynąca pod wysadzonymi drzewami alejami miasta sprawiła, że gdzieś w gardle poczułem smak żółci.

— Będzie łatwiej, jak pan będzie płytko oddychać — poradził mi jeden z robotników, który stał na dole drabiny. Nie miał racji.

Nie zszedłem na samo dno. Zamiast tego wyjąłem z kieszeni latarkę i skierowałem ją w stronę małej grupki pracowników wodociągów i policjantów, stojących wokół kałuży padającego z reflektora światła, brodząc w czymś, o czym wolałem nie myśleć. Gliniarze spojrzeli na mnie przelotnie i dalej od niechcienia przypatrywali się lekarzom i ich robocie. Stephen Barton leżał może z pięć metrów od drabiny, w bajorze gówna i ścieków, a jego blond włosy unosił ze sobą prąd. Oczywiście rzeczą było, że został po prostu wrzucony przez otwór kanału na poziomie ulicy, a jego ciało potoczyło się nieco, gdy uderzyło o dno.

Lekarz sądowy wyprostował się i ściągnął gumowe rękawiczki. Ubrany po cywilnemu detektyw z wydziału zabójstw, jedyny, którego nie rozpoznałem, popatrzył na niego wyczekująco. W spojrzeniu lekarza była złość i irytacja.

— Trzeba będzie obejrzeć go w laboratorium. Patrząc na ten gnój, niczego nie mogę powiedzieć.

— Litości, daj nam, kurwa, odetchnąć — jęknął słabo detektyw. Lekarz z irytacją syknął przez zęby.

— To uduszenie — rzucił, przepychając się przez grupkę zebranych. — Najpierw stracił przytomność od uderzenia w tył głowy, a potem został uduszony. Nawet nie pytajcie o czas zgonu. Mógł tu leżeć przez dzień lub coś koło tego, nie dłużej. Ciało jest dość sflaczałe. Odgłos jego stąpania rozszedł się echem po kanale, kiedy wchodził po drabinie.

84

Detektyw wzruszył ramionami.

— Z gówna powstałeś, w gówno się obrócisz — powiedział i odwrócił się znów do ciała. Wyszedłem na ulicę, a lekarz tuż za mną. Nawet nie musiałem patrzeć na ciało Bartona.

Uderzenie w głowę było czymś dość niezwykłym, ale nie niespotykanym. Zabicie człowieka przez uduszenie może zabrać nawet dziesięć minut, zakładając, że się w międzyczasie nie wyrwie. Słyszałem o niedoszłych mordercach, którzy stracili garście włosów, kawałki skóry, a jeden nawet ucho w walce z ofiarą. O wiele lepiej jest, jeżeli to możliwe, wałnąć najpierw w głowę. Stukniesz wystarczająco mocno, a duszenie może się okazać zupełnie niepotrzebne. Walter wciąż rozmawiał z federalnymi, więc odszedłem od kanału tak daleko, jak się tylko dało, nie przekraczając kordonu policyjnego, i wciągnąłem w płuca nocne powietrze. Odór ludzkich odchodów przenikał wszystko, przylgnął do mojego ubrania, przypominając o nieuchronności śmierci. Wreszcie federalni powrócili do swojego samochodu i Walter, z rękoma w kieszeniach spodni, podszedł do mnie powoli.

— Mają zamiar wciągnąć w sprawę Sonny'ego Ferrerę — oznajmił mi. Parsknąłem.

— Po co? Jego adwokat wyciągnie go, zanim Sonny zdąży się odpryskać. A jak miał z tym coś wspólnego i tak nie dadzą rady go odnaleźć. Ci goście nie znaleźliby nawet podłogi, choćby na nią upadli.

Walter najwyraźniej nie był w nastroju do żartów.

— A masz coś lepszego? Chłopak handluje towarem dla Ferrery, próbuje go wyrolować i kończy jako trup, co więcej, uduszony.

W ostatnich latach duszenie stało się popularnym sposobem uśmiercania wśród członków mafii: cicho i bez bałaganu.

— Taka jest hipoteza federalnych — dodał. — Zresztą i tak wplątałiby Sonny'ego chociażby pod zarzutem nieprzestrzegania zakazu palenia, gdyby uważali, że to się uda.

— Daj spokój, Walter, tego nie zrobił Ferrera. Wrzucanie faceta do kanału...

Ale on już odchodził, a uniesiona prawa ręka oznaczała, że nie chce mnie już więcej słuchać. Poszedłem za nim.

— A co z dziewczyną, Walter? Może ona gdzieś tu pasuje? Obrócił się i położył mi rękę na ramieniu.

— Kiedy do ciebie dzwoniłem, nie sądziłem, że wpadniesz tu jak jakiś k Trący. — Obejrzał się na federalnych. — Wiadomo coś o niej?

— Myślę, że związała z miasta. To wszystko, co mogę na razie powiedzieć.

85

— Nasz lekarz uważa, że Barton prawdopodobnie został zabity we wtorek rano. Gdyby wyjechała z miasta później, to mogłoby wskazywać na jej związek z tą sprawą.

— Masz zamiar powiedzieć o niej federalnym?

Walter pokręcił głową. — Niech ścigają Sonny'ego. Dziewczyna to twoja robota.

— Tak jest — rzuciłem. — Będę szukać dalej.

Zawołałem taksówkę, świadomy, że federalni przyglądają mi się, jak wsiadam i odjeżdżam w ciemną noc.

Wszyscy dobrze wiedzieli, że stary Ferrera miał kłopoty z utrzymaniem w ryzach swojego jedyne go żyjącego syna. Jeszcze we Włoszech był świadkiem rozpadu cosa nostry, która usiłowała z coraz większą brutalnością zastraszać i niszczyć oficerów śledczych nasłanych przez państwo. Jej metody jednak tylko wzmacniały determinację odważniejszych, by kontynuować walkę. Mafijne rody przypominały teraz swoje własne ofiary, skazane na incaprettamento, metodę egzekucji, znaną jako „duszenie kozła”. Podobnie jak nieszczęśnik z liną zawiązaną wokół rąk, nóg i szyi, im bardziej rodziny walczyły, tym mocniej zaciskał się sznur wokół nich. Stary stanowczo nie chciał, by coś takiego zdarzyło się jego własnej organizacji. W przeciwieństwie do niego, Sonny w przemocy stosowanej przez Sycylińczyków upatrywał metodę tyranii, która pasowała do jego własnych aspiracji w dążeniu do władzy.

Może na tym właśnie polegała różnica między ojcem a synem. Kiedy trzeba było zabić, stary korzystał w miarę możliwości z metody zwanej „biała lupara”, zniknięcie ofiary bez pozostawienia choć kropli krwi, która mogłaby być dowodem, że coś się stało. Uduszenie Bartona wskazywałoby na robotę mafii, ale wrzucenie ciała do kanału nie. Gdyby to stary kazał go zabić, chłopak może nawet spocząłby w kanałach, ale najpierw zostałby rozpuszczony w kwasie, a dopiero potem wlany do rynsztoka.

Dlatego nie wierzyłem, że to on kazał zabić pasierba Isobel Barton. Między jego śmiercią a zniknięciem Catherine Demeter minęło zbyt mało czasu, by można to było uznać za zwykły zbieg okoliczności. Możliwe, że Sonny kazał zabić ich oboje z jakiegoś powodu, bo jeżeli był takim świrem,

86

za jakiego uchodził, to jeszcze jeden trup nie robił mu różnicy. Z drugiej jednak strony, Demeter mogła zabić swojego chłopaka i uciec. Może uderzył ją o jeden raz za dużo, a w takim przypadku pani Barton płaciła mi za odnalezienie nie tylko swojej przyjaciółki, ale i potencjalnej morderczynie własnego syna.

Dom rodziny Ferrera stał na gęsto zadrzewionym terenie. Najpierw wjeżdżało się przez żelazną, elektronicznie sterowaną bramę. Interkom umieszczony był na słupie po lewej stronie.

Zadzwoiłem, podałem swoje nazwisko i powiedziałem, że chcę się widzieć ze starym. Kamera na słupie została skierowana na taksówkę i chociaż nie było nikogo widać, domyśliłem się, że w pobliżu znajduje się trzech, a może nawet pięciu uzbrojonych ludzi.

Jakieś sto metrów od domu stał czarny dodge sedan, z przodu siedziało dwóch-mężczyzn.

Mogłem spodziewać się wizyty federalnych, jak tylko powrócę do mieszkania, a może nawet prędzej.

— Proszę przejść przez bramę i zaczekać — odezwał się głos w inter-komie. — Zostanie pan poprowadzony do domu.

Zrobiłem, jak mi kazano, a taksówka odjechała. Siwowłosa mężczyzna w ciemnym garniturze i klasycznych okularach słonecznych wyszedł zza drzew, trzymając przed sobą karabin heckler & koch MP5. Za nim pojawił się młodszy, podobnie ubrany. Po mojej prawej stronie pojawili się kolejni dwaj strażnicy, także uzbrojeni.

— Oprzyj się o ścianę — rozkazał mi siwowłosa.

Podczas gdy reszta się przyglądała, on fachowo mnie przeszukał i wyjął magazynek z mojego smith & wesson oraz zapasowy z paska. Usunął kule z komory i oddał mi pistolet. Następnie skierował mnie w stronę domu, idąc po mojej prawej stronie, nieco z tyłu, by móc obserwować moje ręce. Dwaj ludzie szli za nami po obu stronach drogi. Nic dziwnego, że stary tak długo żył. Z zewnątrz dom zaskakiwał skromnością: długi, dwukondygnacyjny budynek o wąskich oknach od frontu i galerią biegnącą wzdłuż niższego piętra. Kilku facetów patroloowało nienagannie utrzymany ogród i wysypany żwirem podjazd. Na prawo od domu stał czarny mercedes, a kierowca czekał w pobliżu, na wypadek, gdyby był potrzebny. Kiedy doszliśmy, drzwi były już otwarte, a w holu stał Bobby Sciorra; jego prawa dłoń obejmowała lewy nadgarstek, wyglądał jak ksiądz oczekujący datku.

Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a ważył pewnie mniej niż osiemdziesiąt kilo; jego długie kończyny okrywał materiał szarego, jednorzędowego garnituru. Bładość niemal kobiecej szyi podkreślała nieskazitelna

87

biel zapiętej koszuli bez kołnierzyka. Krótkie, ciemne włosy otaczały łysinę o wydłużonym, zaostrowym kształcie. Sciorra był człowiekiem-nożem, ludzkim narzędziem do zadawania bólu, chirurgiem i skalpelem w jednej postaci. Federalni uważali, że osobiście zabił ponad trzydzieści

osób. Większość tych, którzy go znali, uważała, że FBI było dość oszczędne w swych szacunkach.

Kiedy podszedłem, uśmiechnął się, pokazując idealnie białe zęby, połyskujące zza wąskich warg, ale uśmiech ów nie dotarł do jego niebieskich oczu. Niknął w szramie o postrzępionych brzegach, która biegła od lewego ucha przez grzbiet nosa i kończyła się tuż pod płatkiem prawego ucha. Blizna pożarła jego uśmiech jak drugie usta.

— Odważny jesteś, przychodząc tutaj — zauważył, wciąż się uśmiechając i lekko kręcąc głową.

— Czy to przyznanie się do winy, Bobby? — zapytałem. Uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

— Dlaczego chcesz się widzieć z szefem? On nie ma czasu dla takiego gnojka jak ty... — Uśmiechnął się szerzej. — A tak przy okazji, jak się mają twoja żona i dzieciak? Mała musi mieć już ze cztery lata.

Stłumiona czerwień zatętniła w mojej głowie, ale opanowałem się, napinając mięśnie rąk.

Wiedziałem, że zginę, nim zdążę choćby tknąć jego białą skórę.

— Dziś rano w kanale zostało znalezione ciało Stephena Bartona. Federalni szukają Sonny'ego i ciebie chyba też. Chodzi mi o wasze dobro. Nie chciałbym, żeby coś wam się stało bez mojego udziału.

Sciorra nie przestawał się uśmiechać. Właśnie miał mi odparować, gdy niski, ale stanowczy głos zabrzmiał w domowym interkomie. Wiek nadał mu grobowe brzmienie, naznaczone piętnem śmierci, która czaiła się w tle jak cień sycylijskich korzeni Don Ferrery.

— Wpuść go, Bobby — powiedział głos.

Sciorra cofnął się o krok i otworzył podwójne drzwi, znajdujące się w połowie holu. Siwowłose strażnik szedł za mną, kiedy zdążałem za, Sciorra, który poczekał, aż tamten zamknie drzwi, zanim otworzył drugie na końcu korytarza.

Don Ferrera siedział w starym, skórzanym fotelu za wielkim biurkiem, bardzo podobnym do biurka Waltera Cole'a, choć jego złocona inkru-stacja sprawiała, że własność Waltera wydawała się nieco spartańska. Story były zasunięte, a lampy ścienne i stołowe rzucały na obrazy i ustawione wzdłuż ścian regały z książkami przyćmiony, żółty blask. Patrząc na stare tojniska, domyśliłem się, że warte były mnóstwo pieniędzy i nikt ich nigdy nie przeczytał. Pod ścianami stały kryte czerwoną skórą fotele,

88

L

stanowiące komplet z siedziskiem Ferrery i kilkoma kanapami, otaczającymi długi, niski stół w odległym końcu pokoju.

Mimo że siedział i wiek nieco go przytłoczył, stary robił wrażenie. Miał srebrne, szesane ze skroni do tyłu i pokryte brylantyną włosy, ale niezdrowa bladość wydawała się przebijać przez opaloną cerę, a oczy były kaprawe. Sciorra zamknął drzwi i znowu stanął jak ksiądz; moja eskorta została za drzwiami.

— Proszę usiąść — odezwał się stary, wskazując jeden z foteli. Otworzył pudełko tureckich papierosów, każdy z małym, złotym paskiem. Podziękowałem i odmówiłem. Westchnął.

— Szkoda. Lubię ich zapach, a nie wolno mi palić. Żadnych papierosów, kobiet ani alkoholu. Zamknął pudełko, popatrzył na nie tęsknie, składając przy tym ręce przed sobą na biurku.

— Nie ma pan teraz żadnego tytułu — upewnił się.

Wśród „ludzi honoru” zwracanie się „panie” do osoby z tytułem było rozmyślną zniewagą.

Federalni oficerowie śledczy stosowali ją czasem, kiedy chcieli ubliżyć członkom mafii, pomijając ich bardziej formalne tytuły jak „Don” albo „Tio”.

— Rozumiem, że nie chciałby mnie pan obrazić, Don Ferrera. Przytaknął i nic nie odpowiedział. Jako detektyw miałem do czynienia z ludźmi honoru i zawsze byłem ostrożny, nigdy arogancki i

nikdy nie wyciągałem pochopnych wniosków. Obowiązywał wzajemny szacunek, a każdy moment ciszy należało odczytywać jako znak. W ich własnym gronie wszystko miało swoje konkretne znaczenie, a w swych sposobach komunikowania się byli równie oszczędni i skuteczni, jak w brutalnych metodach działania.

Ludzie honoru rozmawiali tylko o tym, co bezpośrednio dotyczyło ich samych, odpowiadali tylko na konkretne pytania i raczej nie powiedzieliby nic, gdyby mieli skłamać. Człowiek honoru był bezwzględnie zobowiązany mówić prawdę i złamałby tę zasadę tylko wtedy, kiedy zmusiłoby go do tego czyjeś zachowanie. Czyli że albo wierzyłeś, że alfonsi, mordercy i handlarze narkotyków są ludźmi honoru, albo że kodeks ich postępowania jest absurdalnym przywilejem z innej epoki, wykorzystywanym przez kryminalistów jako przejaw przynależności do arystokracji.

Czekałem, kiedy przerwie ciszę.

Wstał i powoli, jakby sprawiało mu to ból, okrążył pokój i zatrzymał się przy małym stoliku, na którym matowo połyskiwał złoty talerz.

— Czy wiedział pan, że Al Capone jadał ze złotych talerzy? Wiedział Pan o tym? — zapytał.

89

Odpowiedziałem, że nie.

— Jego ludzie przynosili je w futerale na skrzypce do restauracji i nakrywali do stołu dla niego i jego gości, a oni z nich jedli. Jak pan sądzi, dlaczego człowiek chce jeść ze złotego talerza?

Czekał na moją odpowiedź, próbując pochwycić moje odbicie w talerzu.

— Kiedy ma się dużo pieniędzy, gust może stać się dość osobliwy, ekscentryczny — stwierdziłem. — Po jakimś czasie nawet jedzenie nie smakuje dobrze, jeżeli nie jest podawane na najdelikatniejszej porcelanie czy złocie. Ktoś, kto ma pieniądze i władzę, nie chce jeść z takich samych talerzy jak ludzie prości.

— To już chyba lekka przesada — odpowiedział, ale wydawało mi się, że już nie mówi do mnie, a odbiciem, które obserwuje w talerzu, jest jego własne. — Jest w tym coś niewłaściwego.

Pewnych zachcianek nie powinno się zaspokajać, bo są wulgarne, obsceniczne. Ublizają naturze.

— Rozumiem, że to nie jest jeden z talerzy Ala Capone.

— Nie, syn podarował mi go na moje ostatnie urodziny. Opowiedziałem mu tę historię i kazał go zrobić.

— Może nie zrozumiał przesłania pańskiej opowieści — powiedziałem.

Stary wyglądał na znużonego. Miał twarz człowieka, który od dawna nie spał.

— Czy myśli pan, że mój syn miał coś wspólnego z zamordowaniem tego chłopaka? Myśli pan, że to jego robota? — zapytał w końcu, ruszając w moim kierunku i patrząc na coś, co znajdowało się w pewnej odległości ode mnie. Nie obejrzałem się, by zobaczyć, co to jest.

— Nie wiem. FBI jednak najwyraźniej tak uważa.

Uśmiechnął się pustym, okrutnym uśmiechem, który na chwilę przypomniał mi o Bobbym Sciorrze.

— A pana w tym wszystkim interesuje dziewczyna, czy tak?

Zdziwiłem się, choć nie powinienem był. Przeszłość Bartona była znana przynajmniej Bobby'emu, a po odkryciu zwłok szybko zacznie szerzyć się wśród innych. Pomyślałem też, że nie bez znaczenia była moja wizyta u Pete'a Hayesa. Zastanawiałem się, ile stary wie, a jego kolejne pytanie dowiodło, że niedużo.

— Dla kogo pan pracuje?

— Nie mogę powiedzieć.

— Możemy się dowiedzieć. Wiemy wystarczająco dużo od człowieka z siłowni.

A więc miałem rację.

Lekko wzruszyłem ramionami. On znowu przez chwilę nic nie mówił.

— Czy myśli pan, że mój syn kazał zabić tę dziewczynę?

— Atak było? — odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

Don Ferrera odwrócił się w moją stronę, a jego kaprawe oczy zwięzły się-

— Jest taka opowieść o człowieku, który uważa, że żona przyprawia mu rogi. Zwraca się do przyjaciela, starego, zaufanego przyjaciela, i mówi: „Myślę, że żona mnie zdradza, ale nie wiem z kim. Obserwowałem ją, ale wciąż nie wiem, kim on jest. Co mam robić?” A właśnie ów przyjaciel jest tym, z którym zdradza go żona, ale by odwrócić od siebie uwagę, mówi, że widział ją z jakimś mężczyzną, który jest znany z tego, że zadaje się z cudzymi żonami. Więc rogowacz zaczyna obserwować tego mężczyznę, a żona nadal zdradza go z jego najlepszym przyjacielem. Skończył i przyjrzał mi się bacznie.

Wszystko musi być zinterpretowane, wszystko jest zaszyfrowane. Życie wśród znaków, to rozumieć konieczność dostrzegania znaczeń w pozornie niezwiązanych ze sobą kawałkach układanki. Stary spędził większość swego życia, doszukując się znaczeń w różnych sytuacjach, i oczekiwał, by inni robili to samo. W cynicznej anegdotce zawarł swe przekonanie, że jego syn nie jest odpowiedzialny za śmierć Bartona, zaś ten, kto za tym stał, korzystał z faktu, iż połączone siły policji i FBI podejrzewały Sonny'ego. Spojrzałem na Bobby'ego i zastanowiłem się, ile Don Ferrera wiedział o tym, co działo się w jego głowie. Sciorra był zdolny do wszystkiego, nawet do zrobienia świństwa własnemu szefowi, gdyby wymagały tego jego własne interesy.

— Podobno Sonny nagle zainteresował się moim zdrowiem — powiedziałem.

Stary się uśmiechnął.

— Co ma pan na myśli, panie Parker?

— Taki rodzaj zainteresowania, który może spowodować nagłe pogorszenie mej kondycji.

— Nic o tym nie wiem. Sonny jest niezależnym człowiekiem.

— Może i tak, ale jeżeli coś się stanie, to spotkam się z nim w piekle.

— Każę Bobby'emu się tym zająć — rzekł.

Nie poczułem się przez to nawet odrobinę lepiej. Wstałem i chciałem wyjść.

— Inteligentny człowiek szukałby tej dziewczyny — powiedział stary, również wstając i ruszając w kierunku drzwi w rogu pokoju, za biurkiem. — Żywa czy martwa, ona jest kluczem.

Może i miał rację, ale musiał też mieć powód, by popychać mnie w jej stronę. Kiedy Bobby Sciorra odprowadzał mnie do drzwi frontowych, zastanawiałem się, czy aby jestem jedyną osobą poszukującą Catherine De-meter.

Przed bramą posiadłości czekała taksówka, by zabrać mnie z powrotem do Village. Jak się okazało, zdążyłem jeszcze wziąć prysznic i zaparzyć kawę, zanim federalni zapukali do moich drzwi. Przebrałem się w spodnie od dresu i bluzę, więc wyglądałem dość swobodnie w porównaniu z agentami specjalnymi Rossem i Hernandezem. Hernandez zmarszczył z niesmakiem nos, słysząc w tle eteryczną muzykę Blue Nile. Nie czułem potrzeby, by go za to przeproszać.

Mówił głównie Ross, a jego towarzysz ostentacyjnie przeglądał zawartość mojej biblioteczki, przyglądając się obwolutom i czytając tytuły. Nie zapytał o pozwolenie i to mi się nie podobało.

— Na dolnej półce są książki z obrazkami — zauważyłem. — Ale nie mam nic do kolorowania.

Mam nadzieję, że przynieśliście własne kredki.

Hernandez skrzywił się. Dobiegał trzydziestki i pewnie ciągle wierzył we wszystko, czego

nauczył się o agencji w Quantico. Przypominał mi przewodników wycieczek w Budynku Hoovera, tych, którzy oprowadzają gospodynie domowe z Minnesoty, marząc jednocześnie o strzelaniu do handlarzy narkotyków i międzynarodowych terrorystów. Na pewno wciąż nie przyjmował do wiadomości, że Hoover chodził w kieckach.

Ross to był inny przypadek. Pracował w oddziałach FBI zajmujących się porwaniami ciężarówek w Nowym Jorku w latach siedemdziesiątych, a później jego nazwisko wyływało przy okazji kilku głośnych spraw prowadzonych przez Organizację do Spraw Zwalczenia Korupcji i Oszustw. Może i był dobrym agentem, ale raczej podłym człowiekiem. Już wiedziałem, co mu powiem: nic.

— Co robiłeś w domu rodziny Ferrera dziś wieczorem? — zaczął, kiedy już odrzucił propozycję kawy, jak małpa nie mająca ochoty na orzechy.

— Rozwożę gazety. A oni mieszkają na mojej trasie.

Ross się nawet nie uśmiechnął. Hernandez skrzywił się jeszcze bardziej. Gdybym był nerwowy, mógłby mnie tym wyprowadzić z równowagi.

— Nie rób z siebie dupka — rzucił Ross. — Mógłbym cię wsadzić pod zarzutem współudziału w przestępstwie zorganizowanym, trochę przytrzymać, a potem puścić, ale co by to dało nam obu? Zapytam jeszcze raz: co robiłeś w domu rodziny Ferrera dziś wieczorem?

— Prowadzę dochodzenie. Ferrera może mieć z tym coś wspólnego.

92

— W jakiej sprawie?

— To informacja poufna.

— Kto cię wynajął?

— Informacja poufna.

Kusiło mnie, by mu to wyśpiewać, ale Ross chyba nie był w nastroju. Hoże miał rację: może robiłem z siebie dupka, ale przez ostatnią dobę nie posunąłem sprawy Catherine Demeter do przodu ani o krok, a śmierć jej chłopaka otwierała wiele nowych możliwości, chociaż żadna z nich nie wydawała się szczególnie przekonująca. Jeżeli Ross miał przyskrzynieć Sonny'ego albo jego ojca, to był to jego problem. Ja miałem dość swoich własnych.

— Co powiedziałeś staremu o śmierci Bartona?

— Nic, czego by już nie wiedział, skoro Hansen był przy zwłokach przed wami - odpowiedziałem.

Hansen był reporterem Posta — bardzo dobrym reporterem. Nawet muchy zazdrościły mu zdolności wywąchania trupa, ale jeżeli ktoś miał czas, by zawiadomić Hansena, było oczywiste, że Ferrera został poinformowany jeszcze wcześniej. Walter miał rację: nowojorski wydział policji przeciekał jak but biedaka.

— Posłuchajcie — zacząłem. — Nie wiem nic więcej ponad to, co wiecie i wy. Nie sądzę, by Sonny czyjego stary mieli z tym coś wspólnego. A co do innych...

Ross przybrał spojrzenie, w którym błysnęła złość. Po chwili zapytał, czy spotkałem Bobby'ego Sciorę. Odpowiedziałem, że owszem, miałem tę przyjemność. Wtedy wstał i strzepnął sobie z krawata jakiś mikroskopijny pyłek. Krawat wyglądał jak jeden z tych, które można dostać w „Piwnicy Filene”, kiedy lepszy towar już się rozejdzie.

— Podobno Sciorra chwali się, że da ci nauczkę. Uważa cię za wścibskiego kutasa. I chyba ma rację.

— Liczę, że zrobicie wszystko, co w waszej mocy, by mnie chronić. Ross się uśmiechnął i przez moment było widać małe, ostro zakończone kły. Wyglądał jak szczur, którego ktoś dźgnął kijem w pyszczek.

— Bądź pewien, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by znaleźć winnego, kiedy coś ci się

stanie.

Teraz uśmiechnął się i Hernandez i tacy roześmiani ruszyli w kierunku wyjścia. Jak ojciec i syn. Odwzajemniłem uśmiech.

— Traficie do wyjścia. Aha, Hernandez... Zatrzymał się i obrócił w moją stronę.

— Bądź pewien, że przeliczę zaraz książki.

93

Ross miał rację, skupiając całą swoją energię na Sonnym. Pod wieloma względami może i był płótką — kilka salonów porno niedaleko Port Authority, agencja towarzyska na Mott z ręcznie wykonanym napisem nad telefonem, informującym, że aparat jest na podsłuchu; drobny handel wybranymi narkotykami, lichwa i stręczycielstwo nie czyniły z niego wroga publicznego numer jeden — ale Sonny był także słabym ogniwo w łańcuchu rodziny Ferrera. Gdyby owo ogniwo pękło, otworzyłaby się droga do Sciorry i samego starego.

Przyglądałem się dwóm agentom FBI przez okno, kiedy wsiadali do samochodu. Ross przystanął na chwilę przy drzwiach pasażera i popatrzył w górę na moje okno. Szyba jednak nie pękła pod naciskiem tego spojrzenia. Podobnie jak ja, choć czułem, że agent Ross nie pokazał, na co go stać, jeszcze nie.

Przyjechałem do domu Bartonów po dziesiątej nazajutrz rano. Nieznany mi służący otworzył drzwi i wprowadził mnie do tego samego biura, w którym dwa dni wcześniej poznałem Isobel Barton, gdzie stało to samo biurko i siedziała ta sama pani Christie, w tym samym szarym kostiumie i z tym samym niemiłym wyrazem twarzy.

Nie zaproponowała, bym usiadł, stałem więc, ręce trzymając w kieszeniach, aby nie stracić czucia w palcach w chłodzie atmosfery. Zajęta była papierami na biurku i nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi. Tkwiłem przy kominku i podziwiałem stojącego przy nim niebieskiego psa z porcelany. Prawdopodobnie kiedyś była ich para, sądząc po pustym miejscu po drugiej stronie gzymsu. Pozbawiony przyjaciela, wyglądał dość samotnie.

— Wydawało mi się, że zwykle stanowią pary.

Pani Christie podniosła wzrok, a jej twarz w irytacji zmarszczyła się jak zdjęcie w starej gazecie.

— Pies — wyjaśniłem. — Wydawało mi się, że zawsze są po dwa.

Nie byłem szczególnie zainteresowany psem, ale dosyć miałem jej lekceważenia, a poza tym denerwowanie jej sprawiało mi pewną przyjemność.

— Była kiedyś para — odpowiedziała po chwili. — Drugi uległ... zniszczeniu jakiś czas temu.

94

— To musiało być smutne — ciągnąłem, starając się wyglądać, jakbym naprawdę tak myślał, choć chyba mi się nie udawało.

— I było. Pies miał wartość sentymentalną.

— Dla pani czy pani Barton?

— Dla nas obu.

Pani Christie zdała sobie sprawę, że mimo swych wysiłków została zmuszona do zauważenia mojej obecności, więc starannie zakreśliła pióro, złożyła razem ręce i przyjęła urzędowy wyraz twarzy.

— Jak się czuje pani Barton? — zapytałem.

Coś jakby troska przemknęło przez jej twarz i znikło z prędkością śmigającej nad urwiskiem mewy.

— Od zeszłej nocy jest pod wpływem środków uspokajających. Może pan sobie wyobrazić, jak bardzo wstrząsnęła nią wiadomość o śmierci Ste-phena.

— Nie sądziłem, że byli sobie aż tak bliscy.

Popatrzyła na mnie z pogardą. Pewnie sobie na to zasłużyłem.

— Pani Barton kochała Stephena jak własnego syna. Proszę nie zapominać, że jest pan tylko wynajętym pracownikiem, panie Parker. Nie ma pan prawa szargać opinii żywych czy martwych. Pokręciła głową nad moją gruboskórnością.

— Po co pan tu przyszedł? Mamy jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia przed...

Przerwała i przez chwilę wyglądała na zagubioną. Zaczekałem, aż będzie mówić dalej.

— Przed pogrzebem Stephena — dokończyła i zdałem sobie sprawę, że jej wyraźne przygnębienie było czymś więcej niż tylko troską o zdrowie chlebobawczyni. Jak na faceta o moralności rekina młota, Stephen Barton najwidoczniej zdołał zdobyć sporą grupę wielbicielek.

— Muszę pojechać do Wirginii — wyjaśniłem. — Koszty mogą przekroczyć wysokość zaliczki. Chciałem przed wyjazdem poinformować o tym panią Barton.

— Czy to ma coś wspólnego z morderstwem?

— Nie wiem. — To wyrażenie stawało się moim stałym refrenem. — Zniknięcie Catherine Demeter może mieć związek ze śmiercią pana Barton, ale nie dowiemy się niczego, dopóki policja czegoś nie znajdzie albo dziewczyna się nie pojawi.

— Cóż, ja nie mogę na razie zatwierdzać żadnych wydatków — zaczęła — Będzie pan musiał poczekać, aż...

Przerwałem jej. Szczerze mówiąc, miałem już tej baby dość. Byłem przyzwyczajony do tego, że niektórzy ludzie mnie nie lubili, ale większość

95

z nich miała na tyle przyzwoitości, by mnie najpierw poznać, choćby trochę.

— Nie proszę, by pani cokolwiek zatwierdzała, i nie sędzę, by po moim spotkaniu z panią Barton miała pani z tym cokolwiek wspólnego. Ale zwykła przyzwoitość kazała mi przyjechać, by złożyć kondolencje i poinformować, jak daleko zaszedłem.

— A jak daleko pan zaszedł, panie Parker? — wysyczała.

Stała już, przyciskając pobieliałe knykcie do blatu biurka. W jej oczach błysnęło coś nienawistnego i jadowitego.

— Uważam, że dziewczyna mogła wyjechać z miasta. Myślę, że pojechała do domu albo tam, gdzie był kiedyś jej dom, ale nie wiem, dlaczego. Jeżeli tam jest, to ją znajdę, upewnię się, czy jest bezpieczna i skontaktuję się z panią Barton.

— A jeśli jej tam nie ma?

Nie odpowiedziałem. Odpowiedź nie istniała, bo jeżeli Catherine Demeter nie pojechała do Haven, to równie dobrze mogła zapaść się pod ziemię i nikt jej nie znajdzie, dopóki nie wykona czegoś, co naprowadzi na jej ślad, jak użycie karty kredytowej albo wykonanie telefonu do jej zmartwionej przyjaciółki.

Czułem się zmęczony i wymięty. Sprawa wydawała się rozpadać na kawałki, które wirując w zawrotnym tempie, odsuwały się ode mnie i błyskały z daleka. Istniało zbyt wiele elementów, które nie wyglądały na dzieło przypadku, a jednak byłem za bardzo doświadczony, by za pomocą porządku narzuconego chaosowi mordowania i zabijania próbować poskładać je w całość, która fałszowałaby obraz rzeczywistości. Mimo to wydawało mi się, że Catherine była jednym z tych elementów i że należało ją odnaleźć, by ustalić jej miejsce w ciągu zdarzeń.

— Wyjeżdżam dziś po południu. Zadzwonię, jak coś znajdę.

Oczy pani Christie straciły swój blask, a gorycz, która w niej mieszkiała, jakby skuliła się i poszła na chwilę spać. Nie byłem nawet pewien, czy mnie słyszała. Zostawiłem ją z knykциями nadal wciśniętymi w blat biurka, z oczami bez wyrazu, patrzącymi gdzieś w głąb niej samej, z gładką, pobladłą twarzą, jakby nagle zaniepokoiło ją coś, co zobaczyła.

Jak się okazało, z powodu dalszych problemów z samochodem musiałem nieco przesunąć swój wyjazd i dopiero o czwartej po południu przyprowadziłem mustanga z warsztatu, żeby się

spakować.

Kiedy wchodziłem po schodach do budynku, grzebiąc w kieszeniach w poszukiwaniu kluczy, powiał długo oczekiwany wiatr. Podmuch zmiotł papierki po słodyczach na drugą stronę ulicy, a puszki po napojach zabrzę-

96

czaty niczym dzwonki. Porzucona gazeta ślizgała się po chodniku, a jej szelest przypominał szept zmarłego kochanka.

Minąłem cztery kondygnacje, wszedłem do mieszkania i zapaliłem stojącą na stole lampę. Włączyłem ekspres do kawy i zacząłem się pakować. Jakies pół godziny później kończyłem kawę, a spakowana torba stała u mych stóp, gdy zadzwonił telefon komórkowy.

— Witam, panie Parker — rzucił jakiś mężczyzna.

Głos był bezbarwny, prawie sztuczny i słyszałem drobne trzaski między słowami, jakby ktoś zebrał je i nagrał podczas zupełnie innej rozmowy.

— Kto mówi?

— Nigdy się nie spotkaliśmy, ale mamy wspólnych znajomych. Pańską żonę i córkę. Można powiedzieć, że byłem z nimi w ostatnich chwilach życia.

Głos zmieniał się co kilka wyrazów: był raz wysoki, raz niski, najpierw damski, potem męski. W pewnym momencie jakby trzy osoby mówiły jednocześnie, a zaraz potem zlały się w jeden, znowu męski głos.

Poczułem, że w mieszkaniu robi się nagle zimno i w pewnej chwili pokój zniknął, zostały tylko drobne otworki w słuchawce i cisza po drugiej stronie linii.

— Dzwonili już do mnie różni pomyleńcy — rzuciłem z większą pewnością siebie niż ta, którą rzeczywiście czułem. — Jesteś jeszcze jednym samotnym facetem szukającym rodziny, nad którą będziesz mógł się po-znać.

— Zdjąłem im twarze. Złamałem twojej żonie nos, rzucając nią o ścianę przy drzwiach wejściowych. Możesz mi wierzyć. To właśnie mnie szukasz.

Ostatnie słowa rozbrzmiały głosem dziecka, wysokim i radosnym.

Gdzieś w głowie poczułem kłujący ból i krew zaszumiała mi w uszach jak fale uderzające o przylądek, szare i posępne. W ustach zabrakło mi śliny, czułem w nich suchość pyłu. Kiedy przełknąłem, odniosłem wrażenie, jakbym połknął piach. Zabolało; nie mogłem dobyć głosu.

— Dobrze się pan czuje, panie Parker?

Słowa brzmiały spokojnie, troskliwie, niemal czule, wypowiedziane czterema głosami naraz.

— Znajdę cię.

Zaśmiał się. Syntetyczność dźwięku stała się bardziej oczywista. Jakby złożony był z drobnych fragmencików, jak obraz telewizora, który oglądany z bliska staje się zlepkiem małych kropeczek.

— Nie, to ja znalazłem ciebie — powiedział. — Chciałeś, bym cię zna-'aźł, tak samo jak chciałeś, bym znalazł je i zrobił to, co zrobiłem. To ty

97

wprowadziłeś mnie w swoje życie. Dla ciebie się narodziłem. Długo czekałem na twoje wezwanie. Chciałeś, by umarły. Czyż nie nienawidziłeś swojej żony w chwili, gdy ci ją odbierałem? I czy czasami, w głębokiej czerni nocy, nie tłamsisz w sobie wyrzutów sumienia z powodu poczucia wolności, jakie dała ci wiadomość o jej śmierci? Uwolniłem cię. Mógłbyś chociaż okazać trochę wdzięczności.

— Jesteś chorym człowiekiem, ale to cię nie uratuje.

Wcisnąłem przywoływacz numeru i telefon wyświetlił znaną mi sekwencję cyfr: numer budki telefonicznej na rogu ulicy. Wyszedłem z mieszkania i zbiegłem po schodach.

— Nie jestem człowiekiem. W ostatnich chwilach życia twoja żona przekonała się o tym, twoja Susan... nasz pocałunek usta w usta, gdy wydierałem z niej życie. Tak, pożałowałem jej w tych ostatnich, jasnoczerwonych minutach, ale to zawsze była nasza słabość. Grzechem naszego rodzaju nie była pycha, ale żądza człowieka. I wybrałem właśnie ją, panie Parker, i kochałem ją na swój sposób.

Głos był teraz głęboki i męski. Grzmiał w moich uszach jak głos jakiegoś boga, a może diabła.

— Ty skurwysynu — zakląłem, gdy w gardle zbierała mi się żółć i czułem krople potu ściekające strużkami po mojej twarzy; chorobliwy pot strachu, który przeczył wściekłości w moim głosie. Zbiegłem trzy piętra w dół. Zostało jedno.

— Nie rozłączaj się jeszcze — usłyszałem.

Tym razem był to głos dziewczynki, mojej córeczki, mojej Jennifer; poczułem, że choć w drobnym stopniu poznałem naturę tego „Podróżnika”.

— Niedługo znów porozmawiamy. Do tej pory może mój cel stanie się dla ciebie jaśniejszy. Potraktuj to, co zaraz dostaniesz, jako prezent. Mam nadzieję, że ulży twojemu cierpieniu. Dotrze do ciebie... już... teraz.

Usłyszałem dzwonek domofonu w moim mieszkaniu. Odrzuciłem telefon na bok i wyciągnąłem z kabury smith & wessona. Zbiegłem po pozostałych schodach, przeskakując po dwa naraz, czując wzrastającą adrenalinę. Sąsiadka, pani D'Amato, zaniepokojona hałasem, stała w drzwiach swojego mieszkania, tuż przy głównym wejściu, i ścisła poły podomki pod szyją. Minąłem ją pędem, szarpnięciem otworzyłem drzwi i wybiegłem pochylony, kciukiem odciągając bezpiecznik.

Na stopniu stał czarnoskóry, może dziesięcioletni chłopiec, a w rękach trzymał owiniętą w kolorowy papier paczkę w kształcie walca; oczy wytrzeszczał w szoku i strachu. Złapałem go za kołnierz i wepchnąłem do środka, krzycząc do pani D'Amato, żeby go trzymała i żeby oboje nie zbliżali się do paczki; zbiegłem ze schodów z piaskowca na ulicę.

98

Wszędzie było pusto, nie licząc papierów i toczących się puszek. Wydało się to niezwykle, jakby Village i jej mieszkańcy zmówili się z Podróżnikiem przeciwko mnie. Daleko na końcu ulicy, tuż obok lampy, stała budka telefoniczna. Nikogo w środku nie było, a słuchawka wisiała na swoim miejscu. Pobiegłem w tamtym kierunku, nie zbliżając się do rogu ulicy, na wypadek gdyby ktoś czekał po drugiej stronie. Tutaj ulica tętniła życiem, pełna roześmianych par trzymających się za ręce, turystów i kochanków. W dali widziałem światła samochodów, a wokół siebie słyszałem dźwięki bezpiecznego, zwykłego świata, który, jak się zdawało, pozostawiłem już gdzieś za sobą.

Odwróciłem się, słysząc za sobą kroki. Do telefonu zbliżała się młoda kobieta; szukała w portmonetce drobnych. Podniosła wzrok, kiedy do niej podszedłem, i cofnęła się, widząc broń.

— Proszę znaleźć inną budkę — powiedziałem.

Ostatni raz się rozejrzałem, zabezpieczyłem pistolet i schowałem go za pasek spodni. Oparłem stopę o filar budki i obiema rękami wyszarpałem kabel telefonu z siłą, jakiej się po sobie nawet nie spodziewałem. Wróciłem do mieszkania, niosąc przed sobą słuchawkę jak rybę na żyłce. W swoim mieszkaniu pani D'Amato z całej siły obejmowała dzieciaka, który walczył, by się uwolnić, a po policzkach spływały mu łzy. Położyłem mu ręce na ramionach i kucnąłem, by móc spojrzeć mu prosto w twarz.

— Już dobrze. Spokojnie. Nic ci nie grozi, chcę cię tylko o coś zapytać. Jak się nazywasz?

Chłopiec był już nieco spokojniejszy, choć wciąż wstrząsał nim płacz. Nerwowo spojrział na panią D'Amato i znów chciał się wyrwać. Prawie mu się udało, bo wysunął ręce z rękawów i uwolnił się z kurtki, ale zrobił to tak gwałtownie, że pośliznął się i upadł, a ja znalazłem się nad

nim. Zaciągnąłem go na krzesło, usiadł, a ja dałem pani D'Amato numer telefonu Waltera Cole'a. Kazałem powiedzieć mu, że to pilne i żeby tu szybko przyjechał.

— Jak masz na imię, mały?

— Jake.

— Dobra, Jake. Kto ci to dał? — Głową wskazałem paczkę, leżącą na stole obok, owiniętą w niebieski papier w misie i cukrowe laseczki, przewiązaną jasnoniebieską wstążką.

Pokręcił głową, aż łzy poleciały w obie strony.

— W porządku, Jake. Nie musisz się bać. Czy to był mężczyzna, Jake?

Jake, Jake. Powtarzaj wciąż jego imię, uspokój go, niech się skoncentruje.

99

Obrócił twarz w moim kierunku; jego oczy były ogromne. Kiwnął głową.

— Czy widziałeś, jak wyglądał, Jake?

Jego broda zadrzała i zaczął głośno płakać, co przywołało do kuchni panią D'Amato.

— Powiedział, że mnie skrzywdzi — poskarżył się mały. — Powiedział, że... że... zdejmie mi twarz.

Pani D'Amato stanęła przy nim, a on ukrył twarz w fałdach jej podomki, obejmując małymi rękami jej szeroką talię.

— Widziałeś go, Jake? Widziałeś, jak wyglądał? Odwrócił się do mnie.

— Miał taki nóż, jakiego używają lekarze w telewizji. Usta chłopca były rozchylone ze strachu.

— Pokazał mi go, dotknął mnie nim, o, tutaj. Wskazał palcem swój lewy policzek.

— Jake, czy widziałeś jego twarz?

— Był cały czarny — powiedział, a jego głos uniósł się w hysterii. — Tam ni... ni... nic nie było.

— Głos chłopca zmienił się w krzyk: — On nie miał twarzy.

Kazałem pani D'Amato zostać z małym w kuchni aż do przyjazdu Waltera Cole'a i usiadłem, by przyrzeć się prezentowi od Podróżnika. Miał jakieś dwadzieścia pięć centymetrów wysokości i dwadzieścia średnicy; czułem, że to coś ze szkła. Wyjąłem scyzoryk i delikatnie odsunąłem brzeg papieru, szukając kabli i przycisków. Nic nie znalazłem. Przeciąłem dwa paski taśmy klejącej przytrzymujące papier i delikatnie zdjąłem uśmiechnięte misie i tańczące cukrowe laseczki.

Powierzchnia słoika była gładka i czułem zapach środka dezynfekującego, jakiego użył, by usunąć wszelkie swoje ślady. Na tle żółtawego płynu zobaczyłem podwójne odbicie własnej fizjonomii, jedno na szkłe, a drugie w środku, na twarzy mojej niegdyś pięknej córeczki. Opierała się delikatnie o bok słoja, wyblakła i opuchnięta, jak twarz topielca; strzępy ciała jak kosmyki unosiły się z krawędzi powiek, zamkniętych jak podczas spoczynku. Jęknąłem z wzbierającego bólu i strachu, nienawiści i wyrzutów sumienia. Słyszałem, jak Jake płacze w kuchni, i nagle usłyszałem swój własny szloch, który zlał się z łkaniem chłopca.

Nie wiem, ile czasu minęło, zanim przyjechał Cole. Ze śmiertelnie bladą twarzą wpatrywał się w rzecz w słoiku, po czym zawołał ekspertów medycyny sądowej.

100

— Dotykałeś tego?

— Nie. Jest jeszcze słuchawka telefonu. Jego numer zgadza się z tym na wyświetlaczu mojej komórki, ale i tak pewnie nie będzie żadnych śladów. Nie jestem nawet pewien, czy w ogóle z niego dzwonił. Jego głos był syntetycznie przetworzony. Sądzę, że przepuszczał go przez jakiś skomplikowany program komputerowy, coś, co rozpoznaje głos i zmienia ton, może połączył się przez numer tamtej budki. Nie wiem. To chyba wszystko.

Bełkotałem, potykając się o każde słowo. Bałem się tego, co nastąpi, jeżeli przestanę mówić.

— Co powiedział?

— Myślę, że przygotowuje się do kolejnych morderstw.

Usiadł ciężko i przesunął ręką po twarzy i włosach. Potem dłonią w rękawiczce podniósł papier za róg i niemal delikatnie zakrył nim przód słoika jak welonem.

— Wiesz, co musimy zrobić — powiedział. — Musimy dowiedzieć się wszystkiego, co powiedział, wszystkiego, co mogłoby nam pomóc go namierzyć. Tak samo musimy porozmawiać z dzieciakiem.

Patrzyłem na niego, na podłogę, wszędzie, tylko nie na stół i na to, co pozostało z osoby, którą straciłem.

— On uważa się za demona, Walter. Cole raz jeszcze zerknął na zakryty słój.

— Może rzeczywiście nim jest.

Kiedy wyruszyliśmy na posterunek, przed moim domem kręciło się mnóstwo glin, przygotowujących się do spisania zeznań sąsiadów, przechodniów, każdego, kto mógł być świadkiem poczyną Podróżnika. Mały Jake pojechał z nami, a wkrótce potem zjawili się jego rodzice; na twarzach mieli ten przestraszony, nieszczęsny wyraz, typowy dla biednych, uczciwych ludzi, kiedy słyszą, że ich dziecko wylądowało na policji.

Podróżnik musiał za mną chodzić przez cały dzień, obserwując, co robię, aby wprowadzić w życie swój plan. Wróciłem myślami do tego, co robiłem, próbując odtworzyć ludzkie twarze, nieznanym, każdego, kogo wzrok spoczywał na mnie choćby odrobinę za długo. Nic jednak nie mogłem sobie przypomnieć.

Na posterunku Walter i ja wałkowaliśmy tamtą telefoniczną rozmowę w kółko od nowa, wyciągając wszystko, co mogłoby pomóc, co mogłoby w jakiś sposób scharakteryzować mordercę.

— Twierdzisz, że głosy się zmieniały? — zapytał Walter.

— Wielokrotnie. W pewnym momencie zdawało mi się nawet, że słyszę Jennifer.

101

— Coś w tym musi być. Taka synteza głosu musiałaby zostać przeprowadzona za pomocą specjalnego komputera. Cholera, mógł po prostu podłączyć się jakoś pod ten numer. Tak, jak mówiłeś. Dzieciak twierdzi, że dostał słoik o czwartej po południu i miał go dostarczyć punktualnie o szesnastej trzydzieści pięć. Czekał w alei, odliczając sekundy na swoim cyfrowym zegarku. To mogło dać temu facetowi dość czasu, by dotrzeć do domu i podłączyć się pod numer budki. Zbyt mało wiem o tych rzeczach. Może potrzebował dostępu do centrali, by to zrobić. Powiem komuś, kto się na tym zna, żeby to sprawdził.

Mechanizm syntezy głosu to jedna sprawa, druga zaś to powód, dla którego ją wykorzystał. Może Podróżnik chciał zostawić po sobie jak najmniej śladów: głos mógł zostać rozpoznany, nagrany, porównany, a nawet pewnego dnia użyty przeciwko niemu.

— A co z uwagą tego dzieciaka, że facet nie miał twarzy? — zapytał Walter.

— Może to jakaś maska, na pewno nie chciał, by go ktoś rozpoznał. Albo miał jakieś blizny, to inna możliwość. Trzecia to taka, że jest tym, za kogo się podaje.

— Demonem?

Nie odpowiedziałem. Nie wiedziałem, czym jest demon ani czy odczło-wieczony osobnik może „przejsć na drugą stronę”, by stać się mniej niż człowiekiem; nie miałem pojęcia, czy istnieją rzeczy, które zaprzeczają konwencjonalnym definicjom człowieczeństwa i życia na tym świecie. Kiedy tej nocy wróciłem do mieszkania, pani D'Amato przyniosła mi talerz zimnego mięsa z włoskim pieczywem i siedziała ze mną chwilę, lękając się o mnie po tym, co wydarzyło się tego popołudnia.

P° jej wyjściu długo stałem pod prysznicem; woda była tak gorąca, jak tylko mogłem wytrzymać, i wciąż myłem ręce. Potem leżałem, nie mogąc zasnąć, chory z gniewu i strachu, patrząc na

telefon komórkowy na biurku. Moje zmysły były tak pobudzone, że wydawało mi się, iż słyszę ich szum.

Poczytaj mi bajkę, tato.

— A jaką bajkę chcesz usłyszeć?

— Jakąś śmieszną. O trzech misiach. Mały miś jest śmieszny.

102

i

— Poczytam ci, ale później musisz już spać.

— Dobrze.

— Jedną bajeczkę.

— Jedną. A potem zasnę.

Podczas sekcji zwłok denat jest najpierw fotografowany, w ubraniu i bez. Niektóre części ciała są prześwietlane, by stwierdzić, czy nie ma w nich fragmentów kości lub ciał obcych. Zapisuje się wszystkie cechy zewnętrzne: kolor włosów, wzrost, wagę, stan, w jakim znajduje się ciało, i kolor oczu.

— Mały miś szeroko otworzył oczy. „Ktoś zjadł moją owsiankę, nic nie zostało”.

— Nic nie zostało! Nic nie zostało.

Badanie narządów wewnętrznych przeprowadza się od góry do dołu, ale głowa badana jest na końcu. Sprawdza się, czy żebra w klatce piersiowej nie są popękane. Wykonane zostaje nacięcie w kształcie litery Y od barku do barku, przez piersi i w dół, od dolnego końca mostka do okolicy łonowej. Odkrywa się serce i płuca. Otwierany jest worek osierdziowy i pobrana zostaje próbka krwi, by można było określić grupę krwi ofiary. Usuwa się serce, płuca, przełyk i tchawicę. Każdy organ zostaje zważony, zbadany i podzielony na fragmenty. Płyn z piersiowej części jamy opłucnej bierze się do analizy. Fragmenty tkanki poszczególnych organów przygotowywane są do analizy pod mikroskopem.

— I wtedy Złotowłosa uciekła, a trzy misie już nigdy jej nie zobaczyły.

— Przeczytaj jeszcze raz.

— Nie, przecież się umówiliśmy. Jedna bajka. Nie mamy już czasu.

— Mamy dużo czasu.

— Nie dzisiaj. Kiedy indziej.

— Nie, właśnie dzisiaj.

— Nie, kiedy indziej. Będą inne wieczory i inne bajki.

Bada się jamę brzuszną i opisuje wszelkie urazy, po czym usuwa się wszystkie narządy.

Wykonuje się analizy płynów brzusznych, a każdy organ jest ważony, badany oraz dzielony na części. Waży się zawartość żołądka. Pobiera się próbki do analizy toksykologicznej. Kolejność usuwania

103

organów jest zwykle następująca: wątroba, śledziona, nadnercza i nerki, żołądek, trzustka i jelita.

— Co przeczytałeś?

— „Złotowłosa i trzy niedźwiadki”.

— Znowu?

— Tak.

— A mnie też opowiesz bajkę?

— Jaką bajkę chcesz usłyszeć?

— Jakąś nieprzyzwoitą.

— O, znam mnóstwo takich bajek.

— Wiem.

Bada się narządy płciowe pod kątem urazów i obecności ciał obcych. Pobiera się wymaz z pochwy i odbytu, znaleziona obca materia wysyłana jest do laboratorium do analizy DNA. Usunięty zostaje pęcherz, a próbka moczu poddawana jest analizie toksykologicznej.

— Pocałuj mnie.

— Gdzie?

— Wszędzie. W usta, oczy, szyję, nos, uszy, policzki. Całuj mnie wszędzie. Uwielbiam czuć na sobie twoje pocałunki.

— Może zacznę od oczu, a potem zejść niżej.

— W porządku. Jakoś to przeżyję.

Na końcu bada się głowę, poszukując urazów. Wykonuje się nacięcie od jednego ucha do drugiego, przez czubek głowy. Zdejmuje się skórę i odkrywa czaszkę, którą tnie się za pomocą piły. Bada się mózg, który następnie zostaje usunięty.

— Dlaczego nie może być tak częściej?

— Nie wiem. Chciałbym, aby tak było, ale jakoś nie mogę.

— Kocham cię takiego.

— Susan, proszę... Nie...

— Czułam alkohol w twoim oddechu.

— Susan, nie mogę teraz o tym rozmawiać. Nie teraz.

— A kiedy? Kiedy o tym porozmawiamy?

— Kiedy indziej. Wychodzę.

— Zostań, proszę.

— Nie. Wrócę później.

— Proszę...

104

W Delaware jest długa promenada, z jednej strony granicząca z plażą Rehoboth, a z drugiej czymś na kształt pasażu gier automatycznych, jaki pamięta się z dzieciństwa: gry za dwadzieścia pięć centów z drewnianymi kulami, które toczy się do otworów, aby zdobyć punkty; konne wyścigi z metalowymi wierzchowcami zbiegającymi susami z pochyłego toru i szklanookim misiem dla zwycięzcy; jest też żabi staw z magnesami na końcu dziecięcej wędki.

Teraz dołączyły do nich hałaśliwe gry komputerowe i symulatory lotów kosmicznych, ale Rehoboth wciąż ma więcej czaru niż, powiedzmy, leżąca nieco dalej plaża Dewey albo nawet Bethany. Między przylądkiem May w New Jersey a Lewes na wybrzeżu Delaware kursuje prom, a stamtąd na południe jest osiem czy dziewięć kilometrów do Rehoboth. Nie jest to wprawdzie najlepsza droga prowadząca do tego miejsca, bo trzeba przebrnąć przez tłok przy całym szeregu barów szybkiej obsługi, sklepów u wylotów z miast i centrów handlowych przy autostradzie numer jeden. Lepiej jest jechać przez Dewey, wzdłuż wybrzeża, z jego ciągnącymi się kilometrami wydm.

Jeżeli wybierzesz tę drugą opcję, przekonasz się, jak korzystnie wygląda Rehoboth w porównaniu z Dewey. W samym mieście przejeżdża się nad przepięknym jeziorkiem, potem obok kościoła i już jest się na głównej ulicy, z jej księgarniami, sklepami oferującymi koszulki, barami i restauracjami urządzonymi w wielkich, starych, drewnianych domach, gdzie można popijać na werandzie i patrzeć, jak ludzie spacerują ze swoimi psami w ciche, letnie wieczory. Czterech z nas postanowiło jechać do Rehoboth na weekend, aby uczcić awans Tommy'ego Morrisona na porucznika, i zupełnie zignorowaliśmy fakt, że miejsce to cieszyło się sławą kurortu dla gejów. Wylądowaliśmy w Lord Baltimore z wygodnymi, staroświeckimi pokojami pamiętającymi inną epokę, niedaleko baru Blue Moon, gdzie opaleni faceci w drogich ciuchach balowali całe noce.

Właśnie zostałem partnerem Waltera Cole'a. Podejrzywałem, że użył on swoich wpływów, by mnie do niego przydzielili, chociaż głośno się o tym nie mówiło. Za przyzwoleniem Lee przyjechał do Delaware ze mną, Tom-mym Morrisonem i Josephem Bonfiglioli, moim przyjacielem z Akademii, który rok później został zastrzelony podczas pościgu za facetem, który ze sklepu monopolowego ukradł osiemdziesiąt dolarów. Każdego wieczora, dokładnie o dziewiątej, Walter dzwonił do Lee, aby sprawdzić, jak się ma ona i dzieci. Był niezwykle wrażliwym ojcem.

Znaliśmy się z Walterem od jakiegoś czasu — chyba od czterech lat. Pierwszy raz spotkałem go w jednym z tych barów, gdzie zwykle zbierali

105

M

się gliniarze. Byłem młody, na skutek awansu właśnie pozbyłem się mun-; duru i uwielbiałem swoją nową odznakę. Miałem dokonywać rzeczy niezwykłych. Spodziewano się, że będą o mnie pisały gazety. Tak się też stało, chociaż akurat nie z powodu moich osiągnięć. Walter był krępy, nosił nieco wyświechtane garnitury, a cień zarostu pojawiał się na jego brodzie i policzkach już w godzinę po goleniu. Miał opinię zawziętego, skrupulatnego badacza, któremu zdarzało się błysnąć geniuszem, obracając śledztwo o sto osiemdziesiąt stopni, kiedy mozolne zbieranie informacji nie przynosiło rezultatów, a na niezbędny łut szczęścia, od którego zależy każda sprawa, nie można było akurat liczyć.

Cole był też gorliwym czytelnikiem, człowiekiem, który chłonał wiedzę w ten sam sposób, w jaki niektóre plemiona pożerają serca swoich wrogów w nadziei, że dzięki temu przybędzie im odwagi. Obaj uwielbialiśmy Ru-nyona i Wodehouse'a, Tobiasa Wolffa, Raymonda Carvera, Donalda Bar-thelme, poezję e.e. cummingsa i, co dziwniejsze, Earla z Rochester, dandysa okresu Restauracji Stuartów w Anglii, udręczonego przez własne przywary — miłość do alkoholu i kobiet oraz niezdolność bycia takim mężem, na jakiego, jak sam twierdził, zasługiwała jego żona. Pamiętam Waltera spacerującego po promenadzie w Rehoboth z lodem z owocowego soku w dłoni, w jaskrawej koszuli wychodzącej z szortów koloru khaki, kłapiącego lekko sandałami po zasypianym piaskiem drewnie. Słomkowy kapelusz osłaniał jego już tysięcącą głowę. Nawet kiedy z nami żartował, przeglądając menu i tracąc pieniądze na automatyczne gry, gdy podbierał frytki z ogromnej, papierowej torby Tommy'ego Morrisona albo brodził w morskiej pianie chłodnego Atlantyku, wiedziałem, że tęskni za Lee.

Wiedziałem również, że życie Waltera Cole'a — życie całkiem przyziemne w swej radości czerpanej z drobiazgów i piękna tego, co znajome, acz niezwykle ze względu na wartość, jaką temu się przydaje — jest ze wszech miar godne zazdrości.

Po raz pierwszy spotkałem Susan Lewis, jak się wtedy nazywała, w Lingo's Market, staroświeckim sklepie ogólnospożywczym, gdzie obok nabiału, pieczywa i płatków zbożowych sprzedawano bardzo drogie sery, i który szczycił się własną piekarnią. Wciąż był to interes rodzinny — siostry, brata i ich matki, drobnej, siwowłosej kobiety tryskającej energią foksteriera. Pierwszego ranka w Rehoboth poszedłem do Lingo's kupić kawę i gazetę; po ostatniej nocy miałem sucho w ustach i niezbyt pewnie trzymałem się na nogach. Ona stała przy ladzie w dziale z produktami na wagę, prosiła o ziarnistą kawę i orzeszki; jej włosy były luźno związane w koński

106

ogon. Ubrana była w żółtą letnią sukienkę, jej oczy miały głęboki kolor granatu i była bardzo, bardzo piękna.

Ja natomiast wyglądałem okropnie; mimo to uśmiechnęła się do mnie, kiedy, wciąż wionąc

alkoholem, stanąłem za nią przy ladzie. I zaraz zniknęła, pozostawiając po sobie zapach drogich perfum.

Ponownie zobaczyłem ją tego samego dnia w ośrodku YMCA; właśnie wyszła z basenu i szła do przebieralni, a ja starałem się wypocić resztki alkoholu z organizmu na suchych wioślach. Przez następne dni wydawało mi się, że widzę ją wszędzie: w księgarni, przeglądającą błyszczące okładki powieści kryminalnych; przechodzącą obok pralni z torbą pączków w rękę; z koleżanką w oknie baru Irish Eyes; w końcu natknąłem się na nią pewnego wieczoru, kiedy stała na promenadzie, otoczona dźwiękami z salonu gier i szumem fal.

Stała sama na tle morza, błyszczącego w ciemności białą pianą. Po plaży przechadzało się niewielu ludzi, którzy mogliby przesłonić mi jej widok, a w większej odległości, z dala od pasażu z gramami i budkami z jedzeniem, było wręcz przerażająco pusto.

Spojrzała na mnie, kiedy stanąłem obok. Uśmiechnęła się.

— Już pan wydobrzył?

— Prawie. Wtedy spotkaliśmy się w nieodpowiedniej chwili.

— Czułam nieodpowiedniość tej chwili — przyznała, marszcząc nos.

— Przepraszam. Gdybym wiedział, że pani tam będzie, bardziej bym zadbał o siebie.

Wcale nie żartowałem.

— W porządku. Wiem, jak to jest.

I tak to się zaczęło. Mieszkała w New Jersey, codziennie dojeżdżała na Manhattan do pracy w firmie wydawniczej i co dwa tygodnie odwiedzała rodziców w Massachusetts. Rok później wzięliśmy ślub, w następnym roku urodziła się Jennifer. Spędziliśmy chyba ze trzy szczęśliwe lata, zanim wszystko zaczęło się walić. Sądzę, że to była moja wina. Kiedy moi rodzice się pobierali, wiedzieli, że tryb życia policjanta może odbić się boleśnie na małżeństwie: ojciec — ponieważ sam takie życie prowadził i widział, jak wpływa ono na ludzi z tego środowiska, a matka — ponieważ jej ojciec był zastępcą szeryfa w Maine i zrezygnował z tej funkcji, zanim cena stała się zbyt wysoka. Susan nie miała takiego doświadczenia.

Była najmłodsza spośród czwórki dzieci, oboje rodzice żyli i wszyscy świata poza nią nie widzieli. Kiedy zginęła, przestali się do mnie odzywać. Nawet na cmentarzu nie zamieniliśmy ani słowa. Po śmierci Susan i Jennifer zostałem odcięty od życia i rzucony, by dryfować po stojących wodach pośród ciemności.

107

Śmierć mojej żony i córki wzbudziła wielkie, choć krótkotrwałe zainteresowanie. Bliższe szczegóły morderstwa, jak zdjęcie skóry, pozbawienie twarzy czy oślepienie, nie zostały podane do publicznej wiadomości, ale i tak zaczęli się pojawiać różni pomyleńcy. Przez jakiś czas fascynujący się zbrodnią turyści podjeżdżali pod dom i filmowali się, stojąc na podwórku. Miejscowy policjant patrolujący dzielnicę złapał nawet jednego, kiedy ten próbował włamać się przez tylne drzwi, aby pozować na krzesłach, gdzie zginęły Susan i Jennifer. Przez kilka dni po tym, jak je znaleziono, otrzymywałem telefony od ludzi, którzy twierdzili, że są rodziną mordercy albo że na pewno spotkali go w poprzednim życiu; raz czy dwa razy ktoś zadzwonił, by mi oznajmić, iż cieszy się z ich śmierci. W końcu wyprowadziłem się, pozostając w kontakcie telefonicznym z adwokatem, któremu zleciłem sprzedaż domu.

Wspólnotę niedaleko Portland w Maine znalazłem, kiedy wracałem na Manhattan po pościgu za jeszcze jednym, prowadzącym donikąd tropem, jakim był morderca dzieci, niejaki Byron Able, który zginął, zanim ja go dopadłem, zamordowany na parkingu przed barem w potyczce z miejscowymi zbirami. Może też szukałem otuchy w miejscu, które znałem, choć nigdy nie dotarłem do domu w Scarborough, który mój dziadek zapisał mi w testamencie.

Byłem już wtedy w fatalnym stanie. Kiedy ta dziewczyna znalazła mnie, targanego torsjami i

placzącego pod drzwiami zamkniętego sklepu z elektroniką i zaproponowała mi nocleg, mogłem tylko się zgodzić. Kiedy jej kompani, ogromni faceci w zabłoconych butach i koszulach zalatujących potem i sosnowymi igłami, zaciągnęli mnie do swojego pikapa i wrzucili na pakę, miałem cichą nadzieję, że mnie wykończą. I prawie tak było. Gdy sześć tygodni później opuszczałem ich społeczność nad jeziorem Sebago, ważyłem siedem kilo mniej i moje mięśnie brzucha sterczały jak wyrostki na grzbiecie aligatora. Pracowałem tam na farmie i chodziłem na grupowe spotkania, podczas których tacy jak ja próbowali wypędzić z siebie demony. Wciąż pragnąłem się napić, ale zwalczyłem to pragnienie tak, jak mnie nauczono. Wieczorami były modlitwy, a w każdą niedzielę pastor wygłaszał kazanie na temat abstynencji, tolerancji i tego, że każdy powinien odnaleźć spokój sam w sobie. Społeczność utrzymywała się ze sprzedaży rzeczy, które sama wyprodukowała, z wyrobu mebli i z datków otrzymywanych od tych, którzy sami kiedyś byli w potrzebie, a potem dorobili się niezłych fortun.

108

Wciąż jednak byłem chory i przepełniony żądzą zemsty na ludziach wokół mnie. Czuję się jak w stanie zawieszenia: śledztwo utknęło w miejscu i wyglądało na to, że ruszy dopiero, gdy popełniona zostanie podobna zbrodnia i ustalony pewien wzór zachowania mordercy.

Ktoś odebrał mi żonę i dziecko i uniknął kary. Ból, złość i poczucie winy wzbierały we mnie jak czerwona fala powodziowa, grożąc wystąpieniem z brzegów. Odczuwałem to jako fizyczny ból, rozsadzający głowę i gniotący w żołądku. Wróciłem do miasta i tam najpierw torturowałem, a potem zabiłem alfonsa Johnny'ego Fridaya. Stało się to w toalecie dworca autobusowego, gdzie czatował na młodocianych uciekinierów i pozbawione opieki dzieciaki ściągające do Nowego Jorku.

Teraz myślę, że zawsze chciałem go zabić, ale ukrywałem te swoje intencje w najodleglejszym zakamarku umysłu. Obwarowałem to samolubnymi usprawiedliwieniami i wymówkami, do jakich od tak dawna się uciekałem za każdym razem, gdy widziałem przed sobą szklaneczkę whisky albo słyszałem trzask i syk otwieranej puszki piwa. Unieruchomiony własną i cudzą niemożnością odnalezienia mordercy Susan i Jennifer, dostrzegłem szansę zmiany i ją wykorzystałem. Już od chwili, gdy załadowałem broń, wzięłem rękawiczki i ruszyłem na dworzec, Johnny Friday był trupem.

To był wysoki, chudy Murzyn, który wyglądał jak ksiądz w swoim charakterystycznym, zapinanym na trzy guziki ciemnym garniturze i zapiętej pod samą szyję koszuli ze stójką. Przyjeżdżającym rozdawał małe wydania Biblii i religijne broszurki i proponował im zupę z termosu, a kiedy zawarte w niej barbiturany zaczynały działać, prowadził ich z dworca wprost do czekającej furgonetki. Wtedy to przepadali, jakby nigdy nie zjawili się w mieście, dopóki nie pojawili się na ulicach jako zmaltretowane ćpuny, puszczające się dla działki, którą Johnny sprzedawał po kosmicznych cenach, choć oni i tak robili wszystko, by zapewnić mu dobrobyt. Friday sam zarządzał swoim interesem i za to, że jego profesja generalnie do ludzkich nijak nie należała, bez wątplenia przez całą wieczność powinien on smażyć się na samym dnie piekła. Pedofilom dostarczał dzieci, przysyłając je pod drzwi wybranych domów, gdzie były gwałcone i wykorzystywane w najohydniejszy sposób, zanim wróciły do swego właściciela. Jeżeli jego klienci byli wystarczająco bogaci i zepsuci, Johnny zapraszał ich do „Piwnicy” w opuszczonym magazynie. Tam za dziesięć tysięcy dolarów gotówką mogli wybrać sobie kogoś z jego stajni. Dziewczynki i chłopcy, dzieci i nastolatki były torturowane, gwałcone, a nawet zabijane, a Johnny zajmował się zwłokami. W pewnych kręgach znany był ze swojej dyskrecji.

109

Dowiedziałem się o nim podczas poszukiwania mordercy mojej żony i córki. Nie chciałem go

zabijać, a przynajmniej nie przyznawałem się do tego przed samym sobą. Od byłego informatora dowiedziałem się, że czasami handlował zdjęciami i filmami wideo prezentującymi seksualny sadyzm; był ich głównym dystrybutorem i każdy, kto gustował w takich rzeczach, prędzej czy później kontaktował się z nim lub z jednym z jego agentów.

Tak więc obserwowałem go przez pięć godzin z piekarenki na dworcu, a kiedy wszedł do łazienki, ruszyłem za nim. Toaleta podzielona była na dwie sekcje: w pierwszej znajdowały się umywalki, w drugiej pisuary, a naprzeciwko nich dwa rzędy kabin, przedzielone głównym przejściem. Stary człowiek w poplamionym uniformie siedział w małym, przeszklonym boksie, ale kiedy wchodziłem za Johnnym, pogrążony był w lekturze jakiegoś czasopisma. Dwaj mężczyźni myli ręce przy umywalkach, dwaj inni stali przy pisuarach i trzy kabiny były zajęte, dwie po lewej, jedna po prawej stronie. Z głośników płynęła muzyka, jakaś nieznaną mi melodia. Kołysząc biodrami, Johnny Friday podszedł do pisuaru pod ścianą po prawej stronie. Stałem dwa stanowiska od niego i czekałem, aż tamci dwaj skończą. Jak tylko wyszli, stanąłem za nim i, zakrywając mu usta ręką i przyciskając smyth & wessona z tłumikiem do miękkiej skóry jego podbródka, wepchnąłem go do ostatniej kabiny, jak najdalej od tej zajętej.

— Ty, facet, daj spokój — wyszeptał, otwierając szeroko oczy. Uderzyłem go mocno kolaniem w krocze; upadł ciężko na kolana, a ja szybko zamknąłem za nami drzwi. Spróbował wstać, uderzyłem go mocno w twarz. Znowu przyłożyłem mu pistolet do głowy.

— Ani słowa. Obróć się do mnie plecami.

— Proszę, facet, nie rób tego.

— Zamknij się i odwróć.

Powoli okręcił się na kolanach. Ściągnąłem mu marynarkę z ramion i założyłem na ręce kajdanki. Z drugiej kieszeni wyjąłem szmatę i rolkę mocnej taśmy samoprzylepnej.

Zakneblowałem go i taśmą obwiązałem mu parę razy głowę. Następnie postawiłem go na nogi i pchnąłem na muszlę. Podrzucił prawą stopę i próbując się dźwignąć, kopnął mnie w gołeń, ale stracił równowagę i znowu go uderzyłem. Tym razem się nie podniósł. Trzymając broń przy jego głowie, przez chwilę nasłuchiwałem, czy ktoś nie przyjdzie zobaczyć, co to za hałasy. Słychać było tylko szum spłuczek. Nikt się nie pojawił.

Powiedziałem mu, o co mi chodzi. Oczy mu się zwięziły, kiedy zdał sobie sprawę, kim jestem. Z czoła zaczął mu kapać pot i mruganiem próbował usunąć go z oczu. Jego nos krwawił lekko i cienka czerwona strużka spływała po brodzie. Oddychał ciężko, wprawiając nozdrza w ruch.

110

— Chcę nazwisk, Johnny. Nazwisk twoich klientów. Podaj mi je.

Prychnął z pogardą i z nosa trysnęła krew. Jego oczy były teraz zimne. Wyglądał jak długi, czarny wąż ze swoimi lśniącymi, zaczesanymi do tyłu włosami i wąskimi oczami gada. Kiedy złamałem mu nos, rozszerzyły się pod wpływem szoku i bólu.

Uderzyłem go znowu: jedno, dwa mocne uderzenia w brzuch i głowę. Potem mało delikatnie zerwałem mu taśmę i wyciągnąłem zakrwawioną szmatę z ust.

— Nazwiska. Wypluł zęb.

— Pieprzę cię — odrzekł. — Pieprzę ciebie i twoje zdechłe suki. Wciąż sam zbyt dobrze nie wiem, co się potem wydarzyło. Pamiętam, jak go uderzałem, raz za razem, czując miażdżone kości i łamiące się zebra, i widziałem, jak moje rękawiczki ciemnieją od jego krwi. A moją głowę spowijała ciemna chmura, którą przecinały dziwne czerwone błyskawice.

Gdy przerwałem, twarz Johnny'ego była jedną krwawą miazgą. Trzymałem go za szczękę, a z ust płynęła mu krew.

— Mów — wyszczałem.

Odwrócił ku mnie swoje oczy i uśmiechnął się po raz ostatni, ukazując połamane zęby, przywodzące na myśl urwistą drogę do wrót piekła. Wygiął się w łuk i targnęły nim konwulsje. Gęsta, czerwona krew spłynęła z nosa, ust i uszu; i wtedy umarł.

Odsunąłem się, dysząc ciężko. Bardzo dokładnie wytarłem sobie twarz i usunąłem część krwi z przodu kurtki, choć i tak ledwo ją było widać na czarnej skórze i czarnych dzinsach. Zdjąłem rękawiczki, wepchnąłem je do kieszeni, spuściłem wodę w toalecie, po czym wyglądając ostrożnie na zewnątrz, wyszedłem i zamknąłem za sobą drzwi. Krew już wylewała się z kabiny i gromadziła się w szczelinach między ułożonymi na podłodze kafelkami.

Zdawałem sobie sprawę, że odgłosy umierania Johnny'ego Fridaya musiały odbić się echem od ścian umywalni, ale mnie to nie obchodziło. Kiedy wychodziłem, przy pisuarze stał tylko starszy Murzyn, ale on, jak każdy dobry obywatel, który wie, kiedy pilnować własnego nosa, nawet na mnie nie spojrział. Przy umywalkach stało jeszcze kilku innych facetów, którzy przelotnie spojrzeli na moje odbicie w lustrze. Zauważyłem jednak, że zniknął stary ze szklanego boksu przy wejściu i dając nura do wyjścia dla wyjeżdżających, dostrzegłem dwóch policjantów biegnących z wyższego piętra w stronę łazienki. Wyszedłem na ulicę, przemykając wśród rzędów autobusów na parkingu pod dworcem.

111

Może i Johnny Friday zasługiwał na śmierć. Ale nikt nie oplakiwał jego zejścia, a policja nie bardzo starała się znaleźć mordercę. Chociaż musiały krążyć plotki i Walter, jak sądzę, je usłyszał.

Ja jednak żyję ze świadomością śmierci Johnny'ego tak, jak żyję ze świadomością śmierci Susan i Jennifer. Jeśli nawet zasługiwał na śmierć i dostał jedynie to, co mu się słusznie należało, to nie mnie było o tym de-i cydować i działać jako jego sędzia i kat. „W nowym życiu poznamy spraw-f wiedliwość”, jak ktoś kiedyś napisał. „W tym mamy tylko prawo”. Nie bój się prawa w ostatnich minutach życia Johnny'ego Fridaya, była jedyną przepelnioną nienawiścią sprawiedliwość, którą nie ja powinienem wymierzyć.

Nie wierzyłem, że moja żona i córka były pierwszymi ofiarami Podróżnika, jeżeli faktycznie była to jego robota. Nadal uważałem, że gdzieś w bagnach Luizjany leżała kolejna ofiara i że jej tożsamość stanowiła wskazówkę, która doprowadziłaby do odkrycia tożsamości tego, który uważał się za kogoś więcej niż człowieka. Ona była częścią ponurej tradycji w historii ludzkości, uczestniczką parady ofiar sięgającej starożytności, czasów Chrystusa i jeszcze dalej, epoki, kiedy człowiek składał ofiary z innych ludzi, by udobruchać bezlitosnych bogów, których charaktery ludzie sami stworzyli i naśladowali.

Dziewczyna z Luizjany była częścią krwawej serii, współczesną Panną z Windeby, spadkobierczynią anonimowej kobiety znalezionej w latach pięćdziesiątych w płytkim grobie w torfowisku w Danii, dokąd przyprawiono ją prawie dwa tysiące lat wcześniej, nagą i z związanymi oczami, by utonęła w głębokiej na pół metra wodzie. Poprzez dzieje ludzkości można by poprowadzić ścieżkę od jej śmierci do śmierci innej dziewczyny, która zginęła z rąk człowieka wierzącego, iż potrafi zadowolić demony, odbierając jej życie, który jednak, gdy już krew została przelana, a ciało oderwane od kości, zapragnął czegoś więcej i zabrał mi żonę i dziecko.

Już nie wierzymy w diabła, ale w diabelskie uczynki, które potrafimy wyjaśnić przy pomocy nauki. Zło nie istnieje, a wierzyć w nie znaczy być ofiarą zabobonów — takich jak sprawdzanie, czy nic nie czai się w nocy pod łóżkiem, albo lęk przed ciemnością. Jednak są ludzie, których nie potrafimy zrozumieć, którzy czynią zło, bo taka jest ich natura, bo zwyczajnie są źli.

Johnny Friday i jemu podobni żerują na tych żyjących na marginesie społeczeństwa lub takich,

którzy zgubili drogę. Łatwo jest zablądzić w ciemnościach na krańcach współczesnego życia; a gdy jesteśmy sami i zagubieni, czyha na nas wiele niebezpieczeństw. Nasi przodkowie mieli rację, będąc przesadnymi: lęk przed ciemnością jest jak najbardziej uzasadniony.

112

Zacząłem wierzyć w to, że droga zła znaczącego historię ludzkości podobna jest do ścieżki prowadzącej z torfowiska w Danii do bagien Lui-zjany. Istniała tradycja zła, które drażyło kanały w ludzkiej egzystencji tak, jak ścieki płynące pod powierzchnią miasta, które trwało nawet wówczas, gdy jeden z jego składowych elementów został zniszczony, gdyż był jedynie małą częścią większej, bardziej mrocznej całości.

Być może właśnie to po części sprawiło, że zapragnąłem dowiedzieć się prawdy o Catherine Demeter, bo kiedy spoglądałem za siebie, widzę, że zło znalazło sposób, by naznaczyć także jej życie i nieodwracalnie je zbrukać. Gdybym nie mógł walczyć ze złem w takim kształcie, w jakim mi się objawiło, pod postacią Podróżnika, znalazłbym jego inne formy. Wierzę w to, co teraz mówię. Wierzę w zło, bo się z nim zetknąłem, a ono mnie naznaczyło.

SIIEBIIIMMASW

Kiedy nazajutrz rano zadzwoniłem do prywatnego gabinetu Rachel Wol-fe, dowiedziałem się od sekretarki, że jest na Uniwersytecie Columbia, gdzie akurat prowadzi seminarium podczas jakiejś konferencji. Pojechałem tam z Village metrem i dosyć wcześnie zjawiłem się przy głównym wejściu do kampusu. Pokręciłem się trochę po księgarni, potrącany przez studentów przejrzałem dział literatury, po czym skierowałem się do głównego wejścia do budynku.

Przeszedłem przez czworokątny dziedziniec z biblioteką Butlera z jednej strony, budynkiem administracyjnym z drugiej i statuą przedstawiającą symbol uczelni pośrodku, stojącą niczym mediator pomiędzy nauką a biurokracją. Jak większość mieszkańców miasta, rzadko tu bywałem, a spokój i naukowa atmosfera tak niedaleko od zatłoczonych ulic metropolii zawsze mnie zaskakiwały.

Rachel Wolfe kończyła właśnie wykład, kiedy się zjawiłem, więc zaczekałem na nią przed salą, aż spotkanie dobiegnie końca. Wyszła, rozmawiając z młodym, poważnym człowiekiem o kręconych włosach i w okrągłych okularach, który wydawał się spiąć każde słowo z jej warg niby czciciel z ust swojej bogini. Gdy mnie zobaczyła, zatrzymała się i rzuciła studentowi pożegnalny uśmiech. Wyglądał z tego powodu na wielce zasmuconego i przez chwilę jakby zwlekał z odejściem, aż wreszcie obrócił się i oddalił ze zwieszoną głową.

113

— W czym mogę panu pomóc, panie Parker? —• zapytała ze zdziwieniem, ale i zainteresowaniem w oczach.

— On wrócił.

Poszliśmy do węgierskiej cukierni na Amsterdam Avenue, gdzie poważni młodzi ludzie z zapalem studiowali podręczniki, popijając kawę. Rachel miała na sobie dzinsy i sweter zrobiony na grubych drutach, ze wzorem w kształcie serca na przedzie.

Pomimo tych wszystkich wydarzeń poprzedniego wieczora, zainteresowała mnie sobą. Od śmierci Susan nie pociągała mnie żadna babka, a przy tym własna żona była ostatnią kobietą, z którą spałem. Rachel Wol-fe ze swymi długimi, rudymi włosami, które zaczesywała do tyłu, za uszy, wzbudziła we mnie tęsknotę, w której chodziło o coś więcej niż tylko seks. Czulem w sobie głęboką samotność i ból w okolicy żołądka. I widziałem, że przygląda mi się z zainteresowaniem.

— Przepraszam — rzekłem. — Zamyśliłem się.

Kiwnęła głową i wzięła w palce porcję makowca, odłamała wielki kawałek i wepchnęła go sobie do ust, wzdychając z rozkoszą. Musiałem wyglądać na lekko zszokowanego, bo zakryła sobie usta dłonią i zachichotała cicho.

— Przepraszam, ale uwielbiam takie rzeczy. Elegancja i dobre maniery przy stole idą w odstawkę, gdy ktoś postawi przede mną coś takiego.

— Znam to uczucie. Przepadałem kiedyś za czekoladowymi ciastkami, dopóki nie zdałem sobie sprawy, że sam wyglądam jak ich pękaty karton.

Znowu się uśmiechnęła i popchnęła kawałek ciasta, który próbował uwolnić się z jej ust. Rozmowa utknęła w martwym punkcie.

— Założę się, że pańscy rodzice uwielbiali jazz — odezwała się w końcu.

Wyglądałem chyba na zdezorientowanego, bo się roześmiała, a ja zastanawiałem się, co odpowiedzieć. Wiele razy już mnie o to pytano, ale czułem się wdzięczny, że nie przeszła od razu do tematu, i sądzę, że ona o tym wiedziała.

— Nie, nie mieli pojęcia o jazzie — odpowiedziałem w końcu. — Mo-jemu ojcu po prostu spodobało się imię. Po raz pierwszy usłyszał o „Bir-j dzie” Parkerze od księdza przy chrzcielnicy. Ksiądz był wielkim fanem! jazzu. Byłby najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, gdyby mój ojciec oświadczył, że nada wszystkim swoim dzieciom imiona muzyków z orkiestry Counta Basiego. Ojciec natomiast nie był zadowolony z faktu, że jego pierworodny nazywa się tak jak czarnoskóry muzyk jazzowy, ale było już za późno, by to zmienić.

114

— A jak nazwał resztę swego potomstwa? Wzruszyłem ramionami.

— Nie miał okazji. Moja mama nie mogła mieć więcej dzieci.

— Może uważała, że i tak żadne nie będzie już tak udane — powiedziała z uśmiechem.

— Nie sądzę. Jako dziecko sprawiałem jej same kłopoty. Co z kolei doprowadzało do szału ojca. Z jej oczu wyczytałem, że chciała zapytać jeszcze o ojca, ale wyraz mojej twarzy ją zniechęcił. Zaciśnęła usta, odsunęła talerz i rozsiała się na krześle.

— Proszę mi powiedzieć, co się stało.

Opowiedziałem jej o wydarzeniach poprzedniego wieczora, nie pomijając żadnego szczegółu. Słowa Podróżnika odcisnęły się w mej pamięci jak pieczęć z rozpalonego żelaza.

— Dlaczego tak go nazywacie?

— Jeden z moich przyjaciół zaprowadził mnie do kobiety, która utrzymywała, że, hm, odbiera wiadomości od pewnej nieżyjącej dziewczyny. Ta dziewczyna umarła w ten sam sposób co Susan i Jennifer.

— Odnaleziono ją?

— Nikt jej w ogóle nie szukał. Przekazywane starszycie informacje z zaświatów nie wystarczą, by wszcząć śledztwo.

— Nawet gdyby to była prawda, to czy jest pan pewien, że to ten sam facet?

— Myślę, że tak. Na pewno.

Wolfe wyglądała tak, jakby chciała zapytać o coś więcej, ale dała sobie spokój.

— Proszę powtórzyć, co powiedział ten dzwoniący, ten „Podróżnik”. Tym razem powoli. Mówiłem, dopóki mi nie przerwała, unosząc rękę.

— To cytat z Joyce’a: „pocałunek usta w usta”. W Ulissesie jest opis „bladego wampira”. Mamy do czynienia z kimś wykształconym. A to „Grzechem naszego rodzaju” brzmi trochę jak z Biblii, ale nie jestem pewna. Będę musiała sprawdzić. Proszę powtórzyć jeszcze raz.

Mówiłem wolno, a ona pisała w kołonoatniku.

— Mam przyjaciela, który wykłada teologię i interpretacje biblijne. Może on będzie mógł podać mi źródło tych słów.

Zamknęła zeszyt.

— Pan wie, że nie powinnam się angażować w tę sprawę? Odrzekłem, że nie wiem.

115

— Po naszych wcześniejszych sesjach ktoś skontaktował się z komisarzem. Nie był zadowolony z tego afrontu wobec swego krewnego, którego zastąpiłam.

— Potrzebuję pomocy. Muszę wiedzieć tak dużo, jak tylko się da. Nagle poczułem mdłości, a gdy przełknąłem ślinę, zabolalo mnie gardło.

— Nie wiem, czy to rozsądne. Chyba powinien pan pozostawić sprawę policji. Wiem, że nie to chce pan teraz usłyszeć, ale po tym wszystkim ryzykuje pan zniszczenie samego siebie. Rozumie pan, co mam na myśli?

Wolno pokiwałem głową. Miała rację. Część mnie chciała się wycofać, zanurzyć się jeszcze raz w nurcie zwyczajnego życia. Chciałem zrzucić z siebie ciężar tego, co czułem, wrócić do pozorów zwykłej egzystencji. Chciałem ją odbudować, ale nie mogłem, byłem zawieszony, unieruchomiony tym, co się stało. A teraz jeszcze zjawił się Podróżnik, odbierając mi możliwość powrotu do normalności, sprawiając, że znowu poczułem się bezsilny.

Myślę, że Rachel Wolfe to pojmowała. Może właśnie dlatego przyszedłem do niej, w nadziei, że mnie zrozumie.

— Wszystko w porządku?

Dotknęła mojej ręki, a ja prawie się rozplakałem. Znowu skinałem głową.

— Jest pan w strasznie trudnej sytuacji. Jeżeli on postanowił do pana zadzwonić, to chce, żeby się pan zaangażował i może to być trop, za którym należy podążyć. Z punktu widzenia śledztwa, nie powinien pan odchodzić od swoich zwyczajów na wypadek, gdyby znowu chciał się z panem skontaktować, ale biorąc pod uwagę pańskie dobro...

Pozwoliła, by to niedopowiedzenie zawisło w powietrzu.

— Może powinien pan zwrócić się do psychiatry. Przepraszam za tę obcesowość, ale ktoś musiał to powiedzieć.

— Wiem i doceniam pani rady.

Dziwnie było czuć do kogoś pociąg po tak długim czasie, a potem usłyszeć od tej osoby radę, że powinienem zobaczyć się z psychiatrą. Ta sugestia z pewnością nie mogła zostać odczytana jako obietnica żadnego stałego związku.

— Myślę, że prowadzący śledztwo chcą, bym został w mieście.

— Coś mi mówi, że nie ma pan takiego zamiaru.

— Próbuję kogoś odnaleźć. To zupełnie inna sprawa, ale myślę, że ta osoba może mieć kłopoty. Jeżeli tu zostanę, nikt nie będzie w stanie jej pomóc.

116

— Może to i dobry pomysł, zająć się czymś innym, ale z tego, co pan mówi, hm, cóż...

— Tak?

— Wygląda na to, że próbuje pan uratować tę osobę, ale nie jest pan nawet pewien, czy ona tego potrzebuje.

— Może to ./a potrzebuję uratować ją.

— Może i tak.

Nieco później tego samego przedpołudnia powiedziałem Walterowi Co-le'owi, że będę kontynuował poszukiwania Catherine Demeter i że wkrótce wyjeżdżam z miasta. Siedzieliśmy w zaciszu starego klubu Chum-ley's w Bedford. Kiedy Walter zadzwonił, zadziwiłem samego siebie, proponując spotkanie właśnie tu, ale gdy tak siedziałem, popijając kawę, zrozumiałem, dlaczego wybrałem akurat to miejsce.

Lubiłem ten klub ze względu na jego przeszłość, na miejsce w historii miasta, w której można było czytać jak. w starej bliźnie albo zmarszczkach wokół oczu. Chumley's przetrwał prohibicję,

kiedy klienci uciekali przed najazdami policji przez tylne drzwi prowadzące na ulicę Barrow. Nie ruszyły go wojny światowe, krachy na giełdzie, zamieszki rasowe i nieustanny upływ czasu, najbardziej podstępny ze wszystkiego. Chciałem choć przez chwilę poczuć, że jestem częścią jego niezmienności.

— Musisz zostać — oznajmił Walter.

Nadal nosił ten skórzany płaszcz, teraz luźno zwisający na oparciu krzesła. Ktoś zagwizdał na jego widok, kiedy w nim wchodził.

— Nie.

— Co znaczy „nie”? — rozgniewał się. — On stworzył możliwość komunikacji. Zostajesz, my podłączamy się do twojego telefonu i próbujemy go namierzyć, kiedy znowu zadzwoni.

— Nie sądzę, by znowu zadzwonił, przynajmniej w najbliższym czasie, i nie wierzę, żeby dał się namierzyć. On nie chce, by go ktoś powstrzymał, Walter.

— Tym bardziej trzeba to zrobić. Mój Boże, popatrz, co on zrobił, do czego znów się szykuje. Popatrz, co ty przez niego...

Pochyliłem się w jego stronę i przerwałem mu zniżonym głosem:

— Co ja przez niego? Powiedz, Walter. Powiedz!

On jednak milczał, a ja widziałem, jak dusi w sobie te słowa. Stanęliśmy na krawędzi przepaści, ale on się cofnął.

Podróżnik chciał, bym pozostał. Żebym czekał w moim mieszkaniu na jego telefon, którego on być może nigdy nie wykona. Nie mogłem pozwolić, by mi to zrobił. Jednocześnie obaj z Colem wiedzieliśmy, że kontakt, który

117

nawiązał, mógł być pierwszym krokiem na prowadzącej nas do niego drodze.

Pewien mój znajomy, Ross Oakes, pracował w departamencie policji w Columbii w Południowej Karolinie, gdy szalał tam Bell. Larry Gene Bell uprowadził i udusił dwie dziewczyny, jedna miała siedemnaście lat i została porwana w pobliżu własnej skrzynki na listy, a drugą, dziewięcioletnią, uprowadził z placu zabaw. Gdy policja znalazła w końcu ciała, były w stanie takiego rozkładu, że w żaden sposób nie można było ustalić, czy były molestowane seksualnie, chociaż później Bell sam się do tego przyznał.

Natrafil na jego ślad dzięki temu, że dzwonił po wszystkim do rodziny siedemnastolatki, rozmawiając głównie ze starszą siostrą ofiary. Wysłał także jej ostatnią wolę i testament. Dzwoniąc, zdołał przekonać krewnych, że dziewczyna wciąż żyje, dopóki jej ciało nie zostało znalezione tydzień później. Kiedy porwał młodszą dziewczynkę, skontaktował się z siostrą pierwszej ofiary i opisał jej porwanie i samo morderstwo. Powiedział jej też, że będzie następna. Odnaleziono go przez cyfry odciski na jednym z wysłanych listów; był to na wpół zamazany numer telefonu, dzięki któremu metodą eliminacji odszukano adres. Larry Gene Bell był trzydziestosześcioletnim białym mężczyzną, niegdyś żonatym, mieszkającym ze swoimi rodzicami. Powiedział agentom FBI z Posiłkowego Oddziału Śledczego, że „zrobił to zły Larry Gene Bell”.

Znałem dziesiątki podobnych spraw, gdzie kontakt mordercy z krewnymi ofiary czasem prowadził do jego ujęcia, ale widziałem też, jak psychologiczna tortura tego rodzaju wpływała na rodziny. Bliscy pierwszej ofiary Bella mieli szczęście, bo cierpieli przez jego chore poczynania tylko przez dwa tygodnie. Pewna rodzina w Tulsa, której mała córeczka została zgwałcona i pozbawiona kończyn przez pielęgniarza, musiała znosić jego telefony przez ponad dwa lata.

Prócz złości i bólu poprzedniej nocy pojawiło się inne uczucie, sprawiające, że zacząłem obawiać się dalszego kontaktu z Podróżnikiem, przynajmniej na razie.

Poczułem ulgę.

Przez ponad siedem miesięcy nic się nie działo. Śledztwo policyjne utkwilo w martwym punkcie, moje własne wysiłki nie przybliżyły mnie do zidentyfikowania zabójcy Susan i Jennifer ani o krok; bałem się, że mógł zniknąć na dobre.

A teraz on powrócił. Wyciągnął do mnie rękę, dając mi tym samym wiarę w to, że można go odnaleźć. Zabije znowu i tym samym ujawni wzór swoich zachowań, który nas do niego zbliży. Wszystkie te myśli goniły

118

J

przez moją głowę w ciemności nocy, ale w pierwszym świetle poranka zrozumiałem znaczenie tego, co czułem.

Podróżnik wciągał mnie w ciąg zależności. Rzucił mi okrucieństwo w postaci telefonicznego połączenia i tego, co zostało z mojej córki; w ten sposób sprawił, że na krótko zapragnąłem śmierci innych, mając nadzieję, że mnie do niego doprowadzą. Kiedy zdałem sobie z tego sprawę, zdecydowałem, że nie pozwolę sobie na stworzenie takiego układu z tym człowiekiem. Było to trudne, ale wiedziałem, że jeżeli postanowi znowu się ze mną skontaktować, to i tak mnie znajdzie. Na razie wyjadę z Nowego Jorku i nadal będę poszukiwał Catherine Demeter. Jednak gdzieś w głębi mnie tkwił jeszcze jeden powód — powód, którego sam ledwo byłem świadomy i którego istnienie podejrzewała Rachel Wolfe — dla którego musiałem jej szukać. Nie wierzyłem w skruczę bez zadośćuczynienia. Nie udało mi się uchronić mojej rodziny i dlatego ją straciłem. Może sam siebie oszukiwałem, ale uważałem, że gdyby Catherine Demeter zginęła dlatego, że przestałem jej szukać, to byłaby to moja druga porażka i chyba nie mógłbym z tym żyć. W niej to, choć może było to niewłaściwe, upatrywałem szansę pokuty.

Próbowałem wyjaśnić to choć po części Walterowi — że chcę uniknąć zależności od tego człowieka, że muszę nadal poszukiwać Catherine dla jej własnego i mojego dobra — jednak większość przemilczałem. Rozstaliśmy się w niezbyt przyjaznej atmosferze.

Rano stopniowo ogarnęło mnie zmęczenie i spałem niespokojnie przez godzinę przed wyjazdem do Wirginii. Obudziłem się zły i niezbyt przytomny, wyczerpany snami o nie kończących się rozmowach z zabójcą bez twarzy i przepelnionych obrazami mojej córki za życia. Na chwilę przed przebudzeniem śniłem o Catherine Demeter otoczonej przez mrok, płomienie i kości zmarłych dzieci. I wiedziałem już, że opadła na nią jakaś przerażająca ciemność i że muszę spróbować ją ocalić, ocalić nas oboje.

Eadem mutata resurgo

(Choć teraz zmieniony, z martwych taki sam powstanę).

Epitafium na nagrobku Jacoba Bernoullego,
szwajcarskiego pioniera dynamiki cieczy
i spiralnej matematyki.

Tego samego popołudnia wjechałem do Wirginii. To była długa droga, ale powiedziałem sobie, że trzeba rozgrzać silnik samochodu, który tak długo stał w warsztacie. Jadąc, próbowałem uporządkować wszystko to, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwóch dni, lecz moje myśli wciąż wracały do twarzy mej córki w aldehydzie.

Jakąś godzinę po wyjeździe z Nowego Jorku zauważyłem, że mam ogon w postaci czerwonego nissana z napędem na cztery koła, w którym siedziały dwie osoby. Trzymali się cztery albo pięć samochodów za mną, ale kiedy przyspieszałem, oni robili to samo. Kiedy zwolniłem i znalazłem się za nimi, obserwowali mnie tak długo, jak tylko się dało, po czym też zmniejszyli prędkość.

Tablice rejestracyjne celowo zamazano błotem. Pro-

120

wadziła kobieta, jej blond włosy związane były z tyłu, a oczy chowały się za ciemnymi szklami.

Obok niej siedział ciemnowłosy mężczyzna. Stwierdziłem, że każde ma nie więcej niż trzydzieści parę lat, ale ich twarze nie rozpoznałem.

Jeżeli byli fedziami, w co nie bardzo wierzyłem, to byli beznadziejni. Jeśli zaś byli płatnymi zabójcami nasłanymi przez Sonny'ego, to było to całkiem w jego stylu, wynajmować tanią siłę roboczą. Tylko głupek użyłby modelu 4WD do śledzenia innego samochodu. Ten wóz ma wysoko położony środek ciężkości i jest bardziej wywrotny niż pijak na stromym zboczu. Może zwyczajnie zacząłem popadać w paranoję, chociaż nie sędzę.

Nie wykonali następnego ruchu i zgubiłem ich na bocznych drogach między Warrenton a Culpeper, kiedy zmierzałem w stronę Blue Ridge. Wiedziałbym, gdyby mnie odnaleźli: ich jeep rzucał się w oczy jak krew na śniegu.

Gdy tak jechałem, gasnące światło słońca muskało drzewa, na których lśniły pajęczynowate kokony gąsienic. Wiedziałem, że ukryte pod włóknem białe ciała larw skręcają się i wiją, powoli zmieniając liście w brązową martwość. Przez większą część podróży pogoda była piękna, a nazwy miast, które mijałem, brzmiały bardzo dźwięcznie: Wolftown, Quinque, Lydia, Roseland, Sweet Briar, Lóvingston, Brightwood. Mógłbym do tej listy dodać Haven*, gdybym nie popsuł efektu pięknej nazwy, decydując się je odwiedzić.

Gdy dojechałem na miejsce, lał deszcz. Haven leżało w dolinie na południowy wschód od Blue Ridge, prawie na wierzchołku trójkąta tworzonego z Waszyngtonem i Richmond. Na znaku stojącym przy wjeździe do miasta przeczytałem „Witamy w Dolinie”, ale w samym Haven nie było w zasadzie nic, co mogłoby zachęcić do jakichkolwiek odwiedzin. Było to małe miasteczko, nad którym stale unosił się obłok kurzu, nawet deszcz nie dawał mu rady. Przed niektórymi domami stały rdzewiejące furgonetki, a poza jednym barem szybkiej obsługi i sklepem spożywczym sąsiadującym z warsztatem samochodowym tylko słaby neon Powitalnej Karczmy i światła otwartej do późna restauracji naprzeciwko mogły zainteresować przygodnego gościa. To było jedno z tych miejsc, gdzie wojenni weterani zbierali się raz do roku, wynajmowali autobus i jechali gdzieś, by złożyć hołd pomarłym towarzyszom.

Zatrzymałem się w motelu Widok na obrzeżach miasta. Byłem jedynym gościem; zapach farby rozchodził się w pomieszczeniach budynku,

* haven (ang.) — przystań, schronienie^

121

który mógł być okazałym domem, zanim został zmieniony w funkcjonalny, anonimowy, trzykondygnacyjny zajazd.

— Pierwsze piętro jest w remoncie — objaśnił recepcjonista, który przedstawił mi się jako Rudy Fry. — Muszę pana umieścić na górze, na drugim. Z technicznego punktu widzenia wcale nie powinniśmy przyjmować gości, ale...

Uśmiechnął się, by podkreślić, jak wielką przysługę mi wyświadczał, pozwalając zostać. Rudy Fry był niskim grubasem po czterdziestce. Pod pachami miał zaschłe żółte plamy potu i czuć od niego było rozpuszczalnikiem.

Rozejrzałem się dokoła. Motel nie wyglądał na miejsce przyciągające wielu gości, nawet w najlepszych czasach.

— Wiem, co pan sobie myśli — rzekł recepcjonista, ukazując w uśmiechu połyskującą sztuczną szczękę. — Myśli pan sobie: „Po co ktoś miałby tracić pieniądze, remontując motel w takiej dziurze?”.

Mrugnął do mnie porozumiewawczo, opierając się o ladę.

— No więc powiem panu, że zaraz to już nie będzie dziura. Mają tu przyjść Japończycy, a jak przyjdą, to zamienią to miejsce w kopalnię złota. Bo gdzie indziej mieliby się tu zatrzymać? — Zaśmiał się. — Kurna, będziemy sobie tyłki podcierać banknotami.

Wręczył mi klucz z przyczepionym do niego ciężkim, drewnianym klockiem.

— Numer dwadzieścia trzy, schodami na górę. Winda nie działa.

W pokoju było sporo kurzu, ale poza tym był czysty, połączony drzwiami z sąsiednim numerem. Otwarcie zamka scyzorykiem zajęło mi mniej niż pięć sekund; potem wziąłem prysznic, zmieniłem ubranie i pojechałem z powrotem do miasta.

Recesja lat siedemdziesiątych nie ominęła Haven, niszcząc i tak niezbyt rozwinięty lokalny przemysł. Miasto może i zdołałoby przetrwać, znaleźć coś, dzięki czemu zaczęłoby prosperować, ale morderstwa splamiły jego historię, przez co zaczęło chylić się ku upadkowi. I tak oto deszcz padał, kapiąc i zalewając sklepy i ulice, ludzi i domy, drzewa, furgonetki, samochody i asfalt, a kiedy ustał, w Haven nie było czuć żadnej świeżości, jak gdyby sam deszcz także został zbrukany brudem tego miejsca.

Poszedłem do biura szeryfa, ale nie było ani jego, ani głównego zastępcy, Alvina Martina.

Zamiast nich za biurkiem siedział z ponurą miną inny; zastępca imieniem Wallace, szuflując chipsy Doritos. Postanowiłem, że za-; czekam do następnego ranka w nadziei, że spotkam kogoś bardziej życzliwego.

Jedyna w mieście restauracja była właśnie zamykana, więc została mi; tylko gospoda i bar z hamburgerami. W gospodzie panował półmrok, jak-

122

by większość mocy pochłaniał różowy neon na zewnątrz. Powitalna Karczma: świecił jasno, lecz wewnątrz lokalu zdawało się zadawać kłam jaskrawemu napisowi.

Z głośników sączyła się muzyka łącząca w sobie elementy country, jazzu i bluesa, a telewizor nad barem pokazywał mecz koszykówki: fonia była wyłączona, ale i tak nikt niczego nie oglądał ani nie słuchał. Przy stolikach i długim barze z ciemnego drewna siedziało ze dwadzieścia osób, wśród nich para dzikusów, którzy wyglądali, jakby zostawili swego małego niedźwiadka pod opieką niani. Szmer rozmów przycichł nieco, gdy wszedłem do środka, by po chwili powrócić do poprzedniego natężenia.

Nieopodal baru kilku mężczyzn płało się wokół stołu bilardowego, obserwując, jak wielki, mocno zbudowany facet z ciemną, gęstą brodą gra ze starszym mężczyzną, który wymachiwał kijem jak batem. Nie przerywając gry, obserwowali mnie przez chwilę, kiedy wszedłem. Nie zamienili ani słowa. Najwyraźniej bilard traktowano tutaj bardzo poważnie. Nie tak jak picie. Twardziele przy stole ściskali po butelce jasnego piwa, które dla prawdziwego pijaka byłoby marnym ekwiwalentem.

Zająłem jeden ze stołków przy kontuarze i zamówiłem kawę u barmana, którego koszula wydawała się, jak na takie miejsce, olśniewająco czysta. Z rozmysłem mnie ignorował, udając niezwykle zainteresowanego koszykówką, więc poprosiłem raz jeszcze. Leniwie przeniósł na mnie wzrok, jakbym był wędrującym po barze robakiem, a on właśnie miał dość zabijania tych paskudztw, lecz zastanawiał się, czy nie rozgnieść jeszcze jednego.

— Nie podajemy kawy — odezwał się w końcu.

Powiodłem wzrokiem wzdłuż baru. Dwa stołki dalej starszy mężczyzna w kurtce drwala i zniszczonej czapce pociągał z kubka coś, co pachniało jak mocna, czarna kawa.

— A on przyniósł swoją? — zapytałem, kiwnięciem głowy wskazując mężczyznę.

— Zgadza się — odparł barman, nie odrywając wzroku od telewizora.

— To niech będzie cola. Druga półka od dołu, na wysokości kolan. Nie uderz się tylko przy schylaniu.

Nie ruszył się przez dłuższą chwilę, lecz w końcu, nie spuszczać z oczu telewizora, schylił się po butelkę, a drugą ręką namacał leżący na ladzie otwieracz. Następnie postawił przede mną colę, a obok niej szklanę bez lodu. W lustrze za barem dostrzegłem rozbawione twarze kilku stałych

bywalców i usłyszałem niski śmiech pijanej kobiety, w którym zabrzmiała obietnica seksu. Odnalazłem ją w lustrze, siedzącą w rogu pomieszczenia: ostre rysy twarzy i szopa ciemnych włosów. Gruby facet obok

123

i

szeptał jej do ucha jakieś świństwo, co brzmiało jak gruchanie chorego gołębia.

Nalałem sobie i pociągnąłem zdrowy łyk. Cola była ciepła i lepka i poczułem, jak klei mi się do podniebienia, języka i zębów. Przez chwilę barman od niechcienia wycierał szklanki obrzydliwie brudną ściereką, która wyglądała, jakby nie prano jej od inauguracji Reagana. Kiedy znudziło go rozmazywanie brudu na szkle, podszedł do mnie i położył ścierekę pod moim nosem.

— Pan przejazdem? — zapytał, choć w jego głosie nie było cienia zainteresowania. Zabrzmiało to bardziej jak rada niż pytanie.

— Nie — odparłem.

Przyjął to do wiadomości i czekał, aż powiem więcej. A ja milczałem. W końcu nie wytrzymał.

— To co pan tu w takim razie robi?

Spojrzał przez moje ramię na grających w bilard, a ja zorientowałem się, że odgłos toczących się kul nagle ucichł. Zadowolony z siebie, szeroko się uśmiechnął.

— To może mógłbym...

Przerwał i uśmiechnął się jeszcze szerzej, zmieniając ton na wyraźnie służalczy.

— ...w czymś, hm, pomóc?

— Zna pan kogoś o nazwisku Demeter?

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Odpowiedział dopiero po chwili.

— Nie.

— No to nie sędzę, by mógł mi pan w czymkolwiek, hm, pomóc. Wstałem i zamierzając wyjść, położyłem na barze dwa dolary.

— To za przywitanie — wyjaśniłem. — Może być na nowy neon. Odwróciłem się i zauważyłem stojącego przede mną małego faceta

o szczurzej twarzy, ubranego w zniszczoną, dżinsową kurtkę. Nos miał cały w wągrach, a jego sterczące, żółte zęby przypominały kły morsa. Na czarnej czapeczce baseballowej widniał napis „Boyz 'N the Hood”, ale nie sędzę, aby Johnowi Singletonowi* spodobało się takie logo. Słowa składające się na napis otoczone były zakapturzonymi głowami członków Ku-Klux-Klanu.

Pod kurtką zauważyłem słowo Pułaski. To właśnie w Pułaski narodził się Ku-Klux-Klan i raz w roku odbywał się tam wiec białej hołoty pochodzenia aryjskiego. Gotów byłem się założyć, że stary Thom Robb, szycha

* John Singleton — ciemnoskóry amerykański reżyser, twórca między innymi filmu „Boyz TST the Hood” (1991).

124

Klanu, uśmiełby się, widząc zestresowaną, półinteligentną gębę Szczurzo-liceo przybywającego do Pułaski. Robb w końcu stawał na głowie, by zdobyć zwolenników wśród wykształconej elity, prawników i nauczycieli. Większość adwokatów zaś nie byłaby zachwycona, mając kogoś takiego jak Szczurzolicy za klienta, a tym bardziej za towarzysza broni.

Ale w nowym Klanie zapewne znalazłoby się dla niego miejsce. W każdej organizacji potrzeba wyrobników, a on nadawał się idealnie na armatnie mięso. Gdyby nadszedł czas, by zdobyć Kapitol i ogłosić, że kraj należy do Ku-Klux-Klanu, to Szczurzolicy stanąłby w pierwszym rzędzie, gotów oddać życie dla sprawy.

Za nim pojawił się brodaty gracz w bilard; miał małe, świńskie oczy głupka. Jego ręce były wielkie i niekształtne, a pod ogromną koszulką piechoty morskiej z napisem „Zabić ich

wszystkich — niech Bóg zrobi z nimi porządek" odznaczał się wielgachny brzuch. Sam facet jednak do Marines nie należał. Wyglądał na takiego imbecyla, że pewnie ledwo mógł się obejść bez opiekunki, która dałaby mu papu dwa razy dziennie i zmieniała pieluchę.

— Coś mówiłeś? — zapytał Szczur.

W barze zrobiło się cicho, a mężczyźni przy stole bilardowym stali nieruchomo i sztywno w oczekiwaniu tego, co miało nastąpić. Jeden z nich uśmiechnął się i szturchnął swojego sąsiada łokciem. Szczur i jego kumpel najwyraźniej stanowili miejscową podwójną atrakcję.

— Na razie nic ciekawego.

Skinął głową, jakbym właśnie wygłosił niebywale głęboką myśl.

— No może poza tym — ciągnąłem — że kiedyś odlałem się w ogrodzie Thoma Robba.

To była prawda.

— Chyba byłoby lepiej, gdybyś wsiadł do wozu i pojechał dalej — poradził Szczur, kiedy już doszedł do tego, kim był Thom Robb. — Może byś tak zrobił, co?

— Dzięki za radę.

Chciałem go wyminąć, ale jego kumpel położył swoją łapę jak szpadel na mojej piersi i ledwie dostrzegalnym ruchem nadgarstka popchnął mnie z powrotem w kierunku baru.

— To nie była rada — rzekł Szczur. Kciukiem wskazał swojego wielkiego towarzysza. — Ten tutaj to Szósty. Jak nie wrócisz do samochodu i nie ruszysz swoją drogą, Szósty ci wpierdoli. Szósty uśmiechnął się tępo. Najwyraźniej tam, skąd pochodził, krzywa na wykresie ewolucji wzrastała bardzo powoli.

— Wiesz, dlaczego mówimy na niego Szósty?

125

— Niech zgadnę — odpowiedziałem. — W domu zostawił jeszcze pięć ciu takich samych dupków?

Chyba nie zgadłem, bo olbrzym przestał się uśmiechać i rzucił się na mnie, chcąc zacisnąć łapy na mojej szyi. Jak na takiego wielkoluda, ruszał się nawet szybko, ale nie dość szybko. Prawą stopą kopnąłem go w lewe kolano. Rozległo się chrupnięcie, Szósty zachwiał się i, wykrzywiając twarz z bólu, zatoczył się i padł.

Przyjaciele nadciągali z pomocą, lecz nagle zrobił się jeszcze większy szum i z tłumu wyłonił się niski, pulchny facet pod czterdziestkę z jedną ręką na kolbie zawieszzonego u pasa pistoletu. Rozpoznałem w nim zastępcę szeryfa, Wallace'a Chipsa Dorito. Wyglądał na nerwowego i przerażonego; taki facet zostaje policjantem, aby mieć przewagę nad ludźmi, którzy śmiali się z niego w szkole, kradli mu pieniądze na lunch i prali go, tyle tylko, że teraz odkrył, iż oni nadal się z niego śmieją, a mundur nie przeszkodziłby im, gdyby zechcieli znów mu wlać. Tym razem jednak miał przy sobie broń, a oni być może doszli do wniosku, że jest na tyle przerażony, że może jej użyć.

— Co tu się dzieje, Clete?

Przez moment nikt nic nie mówił, aż w końcu odezwał się Szczur.

— Trochę sobie podochociliśmy i sprawy wymknęły się spod kontroli, Wallace. Prawo nie ma z tym nic wspólnego.

— Nie ciebie pytałem, Gabe.

Ktoś pomógł Szóstemu wstać i posadził go na krześle.

— Tu chyba jednak poszło o coś więcej. Coś mi się zdaje, chłopcy, że pójdziecie ze mną na posterunek. Tam sobie ochłoniecie.

— Daj spokój, Wallace — powiedział niskim głosem chudy, żylasty mężczyzna o ciemnych, zimnych oczach i przetykanej siwizną brodzie. Emanował od niego autorytet i inteligencja, wyróżniające go spośród tego tłumu drobnych cwaniaczków. Przyglądał mi się uważnie, niczym

przedsiębiorca pogrzebowy potencjalnemu klientowi.

— No dobrze, Cłete, ale...

Szeryf Dorito nie dokończył, bo zdał sobie sprawę, że i tak nie ma do powiedzenia nic, co miałyby jakiegokolwiek znaczenie dla kogoś ze stojących przed nim mężczyzn. Skinął im tylko głową, jakby wyłącznie od niego zależała decyzja, że nie zajmie się dalej tą sprawą.

— Niech pan lepiej wyjdzie — rzekł, patrząc na mnie. Podniosłem się i z wolna podszedłem do drzwi. Nikt się nie odezwał, kiedy wychodziłem.

Wróciłem do motelu i zadzwoniłem do Waltera Cole'a, by dowiedzieć się, czy znaleźli coś w sprawie śmierci Stephena Bartona, ale nie było go

126

biurze, a w domu odzywała się automatyczna sekretarka. Zostawiłem numer do motelu i spróbowałem zasnąć.

Nazajutrz rano niebo było ciemnoszare, ciężkie od nadciągającego deszczu. Mój garnitur wygniół się podczas podróży, zdecydowałem się więc na spodnie khaki, białą koszulę i czarną kurtkę. Wykopałem z torby nawet czarny, jedwabny krawat, bo nie chciałem wyglądać jak lump. Przejechałem się przez miasto. Nigdzie nie zobaczyłem ani czerwonego jeepa, ani jego pasażerów.

Zaparkowałem przed restauracją, na stacji benzynowej po drugiej stronie ulicy kupiłem Washington Post i poszedłem na śniadanie. Było po dziewiątej, ale przy ladzie i stolikach wciąż siedziało sporo osób; rozmawiali o pogodzie i chyba o mojej osobie, bo niektórzy z nich zdawali się mnie rozpoznawać i zwracali na mnie uwagę siedzących obok znajomych.

Usiadłem przy stoliku w kącie i przeglądałem gazetę. Dojrzała kobieta w białym fartuchu i niebieskim mundurku z imieniem „Dorothy” nadrukowanym na lewej piersi podeszła do mnie z bloczkiem w ręku, a ja poprosiłem o grzanek z białego pieczywa, bekon i kawę. Kiedy złożyłem zamówienie, wciąż przy mnie stała.

— To pan jest tym facetem, który wlał Szóstemu wczoraj wieczorem?

— Ja.

Pokiwała głową z zadowoleniem.

— To ma pan śniadanie za darmo. Posłała mi chytry uśmiech i dodała:

— Tylko niech pan nie myli mojej szczodrości z zachętą do pozostania. Aż taki przystojny to pan nie jest.

Poszła za ladę i przekazała moje zamówienie.

Na głównej ulicy Haven nie było dużego ruchu. Większość aut osobowych i ciężarówek wydawała się przejeżdżać tylko po drodze w jakieś in-ne miejsce. Miasto za dnia nie wyglądało lepiej niż w nocy. Ze swojego miejsca widziałem komis samochodowy, dach szkoły średniej, a dalej kil-*a sklepów i Karczmę. Ludzi było mało. W Haven jakby czas zatrzymał się w Posępne niedzielne popołudnie.

f, 127

Dokończyłem śniadanie i na stole zostawiłem napiwek. Dorothy oparła się o ladę, składając biust na wypolerowanym blacie.

— Na razie — rzuciła, kiedy wychodziłem.

Inni goście popatrzyli na mnie przez ramię i powrócili do swych posiłków i kaw.

Pojechałem do biblioteki publicznej, która zajmowała nowy, jednopiętrowy budynek w odległym końcu miasteczka. Ładna, trzydziestoletnia Murzynka stała za kontuarem, a przy niej starsza, biała kobieta o włosach koloru stalowej wełny obrzuciła mnie zde gustowanym spojrzeniem.

— Dzień dobry — rzuciłem.

Młodsza uśmiechnęła się, z lekka nerwowo, a druga zabrała się za porządkowanie i tak nieskazitelnego stanowiska za kontuarem.

— Jaki tytuł ma lokalna gazeta?

— Kiedyś był Hauen Leader — odpowiedziała ta młodsza po chwili. — Ale już nie wychodzi.

— Interesowałyby mnie wcześniejsze wydania.

Popatrzyła na drugą, jakby szukała u niej rady, ale ta nadal przekładała papiery.

— Są na mikrofiszach, w kabinach przy przeglądarce. Chodzi panu o bardzo stare roczniki?

— Nie te bardzo — odparłem i ruszyłem do kabin.

Leader skatalogowany był w porządku chronologicznym w małych, kwadratowych pudełkach w dziesięciu szufladach, ale trzech pudełeczek zawierających numery z lat, kiedy doszło do morderstw, nie znalazłem na właściwych im miejscach. Przejrzałem wszystkie, licząc na to, że może ktoś je kiedyś pomieszał, chociaż coś mi mówiło, że nie były dostępne dla przypadkowego czytelnika.

Powróciłem do kontuaru. Starszej kobiety nie było nigdzie widać.

— Nie ma tam numerów, których szukam — zwróciłem się do tej młodszej.

Popatrzyła jakby zdezorientowana, choć nie odniosłem wrażenia, by to zagubienie było prawdziwe.

— Jakiego rocznika pan szuka?

— Roczników. Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt dziewięć, siedemdziesiąt, może siedemdziesiąt jeden.

— Przykro mi, ale te roczniki nie są... — Przez chwilę szukała jakiejś wiarygodnej wymówki. — ...dostępne. Zostały wypożyczone w celach badawczych.

— Ach, tak. — Uśmiechnąłem się najładniej, jak umiałem. — Nic nie szkodzi, poradzę sobie jakoś z tym, co jest.

128

Kamień spadł jej chyba z serca, a ja wróciłem do przeglądarki i zacząłem od niechętnia szperać w katalogu, szukając czegoś, co mogłoby okazać się przydatne, ale w końcu mnie to znudziło. Okazja pojawiła się dopiero po jakichś trzydziestu minutach. Do części dla dzieci, oddzielonej od działu dla dorosłych przepierzeniem z drewna i szkła, weszła grupka uczniów. Młoda bibliotekarka poszła tam z nimi i stanęła tyłem do mnie, rozmawiając z dziećmi i ich nauczycielką, młodą blondynką, która sama chyba niedawno skończyła szkołę.

Tej starszej wciąż nie było widać, choć brązowe drzwi w krótkim korytarzu za działem dla dorosłych były uchylone. Wślizgnąłem się za kontuar i zacząłem przeglądać szuflady i szafki najciszej, jak zdołałem. W pewnym momencie przykucnąłem i przeszedłem obok działu dla dzieci, na szczęście bibliotekarka wciąż zajęta była swoimi młodymi czytelnikami.

Brakujące roczniki znalazłem wreszcie w dolnej szufladzie, tuż obok małej skarbonki. Wsunąłem je do kieszeni kurtki i miałem już wyjść zza kontuaru, kiedy trzasnęły brązowe drzwi biura i usłyszałem zbliżające się ciche kroki.

Zdażyłem przemyknąć do półki z książkami, gdy wróciła starsza bibliotekarka. Na chwilę przystanęła przy kontuarze i niezbyt przyjaźnie przyjrzała się mnie i książce w mojej ręce. Uśmiechnąłem się odważnie i wróciłem do przeglądarki. Nie wiedziałem, ile czasu upłynie, nim smoczyca za kontuarem sprawdzi szufladę i postanowi wezwać posiłki.

Najpierw sprawdziłem rok sześćdziesiąty dziewięć. Zajęło mi to trochę czasu, mimo że Hauen Leader ukazywał się tylko raz na tydzień. Nie znalazłem nic o zniknięciach dzieci. Nawet wtedy Murzyni się nie liczyli. Gazeta rozpisywała się o kościelnych spotkaniach towarzyskich, wykładach z historii społecznej i miejscowych ślubach. Były wzmianki o drobnych wykroczeniach, głównie drogowych, o pijaństwie i zakłócaniu porządku, ale nic, co mogłoby

nasunąć czytelnikowi przypuszczenie, że w mieście Haven uprowadzane były dzieci. Wreszcie w wydaniu listopadowym znalazłem nazwisko Walt Tyler. Obok artykułu zamieszczono jego zdjęcie: przystojny facet prowadzony w kajdankach przez białego zastępcę szeryfa. Nad fotką widniał nagłówek: „Mężczyzna zatrzymany podczas napaści na szeryfa”. Opis poniżej był pobieżny, ale wyglądało na to, że Tyler przyszedł do biura i zaczął je demolować, a następnie rzucił się na szeryfa. Jedyna wzmianka o przypuszczalnym powodzie napaści pojawiła się w ostatnim akapicie.

„Tyler wraz z grupą innych czarnych był wcześniej przesłuchiwany w biurze szeryfa hrabstwa Haven w związku ze sprawą zniknięcia jego orki i dwójki innych dzieci. Zwolniono go, nie wnosząc oskarżenia.”

129

Numery z tysiąc dziewięćset dziej pomocne. Wieczorem ósmego siedemdziesiątego roku okazały się bar ter; wyszła do przyjaciółki, niosącego lutego tego roku zniknęła Amy Demei jej matka. Nie dotarła na miejsce jej do spróbowania dżem, który zrobiła jakieś pięćset metrów od jej dośce, a rozbity słoik znaleziono na chodniku dziewczynki i szczegółowy opis W. Obok artykułu wydrukowano zdjęcie kę rodziny: ojciec, Earl, księgoś jej ubrania oraz skróconą charakterysty i członkini zarządu szkoły; młowy; matka, Dorothy, gospodyni domowa wszystkich dziecko o artystyczniejsza siostra, Catherine, lubiane przez przez kilka następnych tygodni: Janych zdolnościach. Historia ciągnęła się ven ; „Kolejnych pięciu podejrzani: „Trwają poszukiwania dziewczynki z Ha-leją nadzieje na znalezienie Anrylanych w sprawie Demeter”; w końcu „Ma-Następne pół godziny spędz;W\

ale me znalazłem nic więcej ani głębiej wertując gazety w tę i z powrotem, mu jeżeli takowe istniało. Pojawił się o sprawie morderstw, ani o jej rozwiązania-Modine, która zginęła w pożarze awił się jedynie raport o śmierci Adelaide no też wiadomość o śmierci jej brata! ze cztery miesiące później, gdzie przemyślności ich śmierci, ale ostatni jej brata. Nie dowiedziałem się nic o okolicznościach, „Biuro szeryfa w Haven dokładani akapit znowu zawierał pewną sugestię, i Williamem Modine w związku gadało starań, by porozmawiać z Adelaide ciał Amy Demeter i kilkorga inny, tu z prowadzoną sprawą dotyczącą zniknięcia- Nie trzeba być geniuszem, ałych dzieci.”

ona, albo on, a może oboje, byli głębiej aby przeczytać między wierszami, że albo musi podawać wszystkich informacjami głównymi podejrzany. Lokalna prasa nie sem gazety drukują coś tylko po tonacji: są sprawy, o których każdy wie i cza-bibliotekarka patrzyła na mnie kwi to, by zbić z tropu osoby postronne. Stara pn interesujących mnie artykułowe krzywo, więc skończyłem drukowanie ko-

Samochód z biura szeryfa, brałłów, zebrałem je i wyszedłem, wany przed moim wozem, a zastęp brązowo-żółty crown victoria, stał zaparko-rze, czekał oparty o drzwi kierowy. stepca, w czystym, odprasowanym mundu-zauważyłem pod koszulą mocne rowcy mego auta. Kiedy podszedłem bliżej, Wyglądał jak dupek. Wysportowane mięśnie. Jego oczy były mętne i bez życia.

— To pański samochód? — 'Wany dupek.

szkańców Wirginii sposób, przeciąg— zapytał w charakterystyczny dla mie-u którego lśniły narzędzia jego prąkując samogłoski; kciuki wcisnął za pas, zitelny identyfikatorze na jego F, lpracy. Nazwisko Burns widniało na nieska-

— Jasne, że mój — odparłem go piersi.

Miałem taki paskudny zwyczajem, naśladować jego akcent, możliwe przy szczękach tak zadźryczają. Zaciśnął zęby, o ile w ogóle było to

— Podobno przeglądał pan staj. ciśniętych z natury.

'I stare gazety?

— Uwielbiam krzyżówki. A dawniej robili lepsze.

— Kolejny pisarz?

Sądząc z jego tonu, nie czytał wiele, a na pewno nic z tych rzeczy, które nie miały obrazków albo jakiegoś przesłania od Boga.

— Nie — odpowiedziałem. — Dużo tu macie pisarzy?

Chyba mi nie uwierzył. Może wyglądałem na literata, a może każdy, kogo nie znał osobiście, był z miejsca podejrzany o ukryte skłonności do pisarstwa. Bibliotekarka mnie wydała, pewnie myślała, że jestem jednym z tych pismaków, którzy próbują zarobić parę dolców na duchach z Haven.

— Będę pana eskortował aż do granic miasta — oznajmił. — Mam tu pańskie rzeczy.

Podszedł do radiowozu i wyjął z niego moją torbę podróżną. Zaczynałem mieć dosyć zastępcy Burnsa.

— Nie planuję jeszcze wyjazdu — odpowiedziałem — więc może zabierze pan ją z powrotem do mojego pokoju. Atak przy okazji, kiedy będzie pan rozpakowywał, skarpetki lubię mieć po lewej stronie szuflady.

Upuścił torbę na drogę i ruszył w moim kierunku.

— Niech pan posłucha — zacząłem. — Tu są moje dokumenty. — Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni kurtki. — Jestem...

Głupio zrobiłem, ale było mi gorąco i miałem go już dość, a to nie sprzyja myśleniu. Dostrzegł błysk kolby mojej broni i z miejsca wydobył swój pistolet. Szybki był. Pewnie ćwiczył przed lustrem.

W ciągu kilku sekund stałem oparty o jego samochód, bez broni, a lśniące kajdanki zastępcy Burnsa kęsały mnie w nadgarstki.

Siedziałem w celi, czekając nie wiadomo na co, jakieś trzy czy cztery godziny, dokładnie nie wiem, bo razem z bronią przezorny zastępca szeryfa ourns zabrał mi zegarek, portfel z dokumentami, notes, pasek i sznurówki, na wypadek gdybym chciał się powiesić, czując wyrzuty sumienia z powodu zdenerwowania pań bibliotekarek. Wszystko zostało powierzone °Piece zastępcy Wallace'a, który wspomniał Burnsowi o moim udziale w bójce w barze poprzedniego wieczora.

Czystszej celi jednak nie widziałem w całym swoim życiu — nawet Sracz wyglądał tak, jakby po skorzystaniu z niego nie trzeba było brać se-

rii penicyliny. Czas zleciał mi na rozmyślaniach o tym, czego dowiedziałem się z mikrofisz w bibliotece, na próbach poskładania kawałków układanki w czytelny obrazek i na staraniach, by mój umysł nie dryfował w stronę Podróżnika i tego, co mógł teraz robić.

Wreszcie usłyszałem hałas i drzwi celi otworzyły się. Podniosłem wzrok i zobaczyłem wysokiego Murzyna w koszuli od munduru; przyglądał mi się uważnie. Wyglądał na dobiegającego czterdziestki, ale coś w sposobie jego chodzenia i błysk doświadczenia w oczach powiedziały mi; że jest starszy. Przyszło mi do głowy, iż kiedyś mógł być bokserem, pewnie wagi średniej albo półciężkiej, poruszał się bowiem bardzo zgrabnie. Wyglądał na bystrzejszego niż Wallace i Burns razem wzięci, choć w tym fachu za mądrość nikt medali nie rozdaje.

Domyśliłem się, że to Alvin Martin. Nie spieszyłem się jednak ze wstawaniem, żeby czasem nie pomyślał, iż nie podobało mi się w jego milej, czystej celi.

— Chce pan tu jeszcze trochę posiedzieć, czy może ktoś ma pana stąd wynieść? — zapytał.

Sądząc po akcencie, nie pochodził z Południa, raczej z Detroit, może z Chicago.

Wstałem, a on odsunął się na bok i mnie przepuścił. Wallace czekał na końcu korytarza, kciuki

zatknął za pas kabury, by odciążyć ramiona.

— Proszę mu oddać jego rzeczy.

— Broń też? — zapytał Wallace, nawet nie ruszając z się miejsca, by wykonać polecenie.

Wallace wyglądał na takiego, co to najwyraźniej nie był przyzwyczajony do przyjmowania rozkazów od czarnoskórego, i bardzo mu się nie podobało, kiedy musiał to robić. Uderzyło mnie, że mógł mieć ze Szczurem i jego kumplami więcej wspólnego, niż powinien mieć sumienny strażnik prawa.

— Broń też — odparł spokojnie, lecz stanowczo Martin, rzucając mu ponaglące spojrzenie.

Wallace odbił od ściany jak wyjątkowo szkaradny statek wyruszający w morze, zacumował na chwilę przy kontuarze i wypłynął w końcu z brązową kopertą i moim pistoletem. Podpisałem się i Martin skinieniem głowy wskazał mi drzwi.

— Proszę wsiąść do samochodu, panie Parker.

Słońce już zaczynało zachodzić, a od gór wiał zimny wiatr. Drogą przejechała rozklekotana furgonetka, a na jej pace stał przykryty stojak na dubeltówkę, pilnowany przez wyliniałego psa.

— Z tyłu czy z przodu? — zapytałem.

— Z przodu — odparł. — Nie mam powodu panu nie ufać. Ruszyliśmy i przez chwilę jechaliśmy w ciszy, klimatyzacja dmuchała

nam zimnym powietrzem w twarze i na stopy. Minęliśmy granice miasta

132

i wjechaliśmy w gęsty las, droga wiała się i skręcała, podporządkowując się kaprysom krajobrazu. Nagle gdzieś w oddali zajaśniało światło. Zatrzymaliśmy się na parkingu przed białym budynkiem restauracji, na szczycie którego świecił neon „Knajpa Zielona Rzeka”, zalewając drogę zieloną poświatą.

Usiedliśmy w boksie z tyłu, z dala od garstki stałych klientów, którzy obrzucili nas ciekawymi spojrzeniami, po czym wrócili do jedzenia. Martin zdjął kapelusz, zamówił kawę dla nas obu, następnie oparł się wygodnie i spojrzał na mnie.

— W dobrym tonie jest, aby ktoś, kto prowadzi śledztwo, wpadł do miejscowych strażników prawa i powiedział, jaką ma sprawę, zanim zaczną krążyć po mieście, tłukąc bilardzistów i kradnąc materiały z biblioteki — stwierdził.

— Nie było pana, kiedy przyjechałem — odpowiedziałem. — Szeryf też był nieobecny, a pański przyjaciel Wallace nie palił się, by poczęstować mnie ciasteczkami czy uraczyć paroma rasistowskimi kawałami.

Przyniesiono kawę. Martin dodał do swojej śmietankę i cukier. Ja wlałem tylko odrobinę mleka.

— Trochę podzwoniłem w pańskiej sprawie — ciągnął, mieszając kawę. — Facet o nazwisku Cole zaręczył za pana. Właśnie dlatego nie wykopałem pana z miasta, przynajmniej na razie. No i dlatego, że ustawił pan trochę tę hołotę w barze. Wygląda na to, że ma pan silne poczucie własnej dumy. A więc może teraz dowiem się, co pana do nas sprowadza.

— Szukam kobiety o nazwisku Catherine Demeter. Prawdopodobnie wróciła do Haven w zeszłym tygodniu.

Martin zmarszczył brwi.

— Czy ma ona coś wspólnego z Amy Demeter?

— To jej siostra.

— Tak myślałem. Dlaczego sądzi pan, że może tu być?

— Numer ostatniego telefonu, jaki wykonała ze swojego mieszkania, jest prywatnym numerem szeryfa Earla Lee Grangera. Do pańskiego biura też dzwoniła kilkakrotnie tego samego wieczora. Od tamtej pory słuch o niej zaginął.

— Ktoś pana wynajął, żeby ją pan znalazł?

— Po prostu jej szukam — odparłem wymijająco. Westchnął.
— Przyjechałem tu z Detroit pół roku temu — powiedział po jakiejś minucie milczenia. — Przywiozłem żonę i dziecko. Żona jest asystentką bibliotekarki. Chyba ją pan poznał. Przytaknąłem.

133

— Gubernator stwierdził, że w miejscowej policji było zbyt mało czarnoskórych i stosunki między mniejszością a glinami nie były najlepsze. Więc kiedy utworzyli stanowisko, to złożyłem podanie, głównie po to, by wywieźć dzieciaka z Detroit. Mój ojciec pochodził z Gretna, niedaleko stąd. Ale nie wiedziałem nic o morderstwach, dopóki tu nie przyjechałem. Teraz wiem więcej. Haven umarło razem z tymi dziećmi. Nowi ludzie nie zjawiali się, aby tu zamieszkać, zaś każdy, kto posiadał choć odrobinę rozsądku i ambicji, wynosił się stąd gdzie pieprz rośnie. Miesiąc albo dwa temu sytuacja zaczęła się zmieniać. Jakaś japońska firma chce ulokować swą siedzibę niecały kilometr od miasta. Podobno zajmują się badaniami nad rozwojem oprogramowania komputerowego i spodobała im się ta prywatność i cisza zaścianka, który mogą sobie nazwać choćby Nippon*.

Przywieźliby do miasta mnóstwo pieniędzy, byłaby praca dla mieszkańców i może przeszłość odeszłaby w zapomnienie. Szczerze mówiąc, ludziom nieszczególnie podoba się pomysł pracy dla Japończyków, ale w tej sytuacji ich życie i tak jest gównem, więc wezmą robotę u każdego, byle tylko nie był czarny. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebują, to żeby ktoś babrał się w przeszłości, kopał w niej, dobywając kości zmarłych dzieci. Może i są ograniczeni pod wieloma względami. Może i są rasistami, wieśniakami i popaprańcami, ale pragną drugiej szansy i wykończą każdego, kto wejdzie im w drogę. Jeżeli nie zrobią tego oni, załatwi to Earl Lee. Uniósł palec i pomachał mi przed twarzą.

— Czy rozumie pan, co próbuję powiedzieć? Nikt nie chce pytać na temat morderstw dzieci sprzed trzydziestu lat. Gdyby Catherine Demeter tu wróciła, a mówiąc szczerze, nie wiem, po co miałaby to zrobić, bo nie ma tu już nikogo, to też nie byłaby mile widziana. Ale jej tu nie ma, inaczej wszyscy w mieście by o tym wiedzieli.

Wziął łyk kawy i zazgrzytał zębami.

— Cholera, zimna.

Przywołał kelnerkę i zamówił nowy kubek.

— Nie mam ochoty zostać tu dłużej, niż to będzie konieczne — zapewniłem go. — Ale wydaje mi się, że Catherine Demeter mogła tu wrócić. Na pewno chciała skontaktować się z szeryfem; ja też chcę z nim porozmawiać. Gdzie on jest?

— Wziął kilka dni wolnego, by wyjechać z miasta — odpowiedział Martin. — Ma wrócić — a raczej miał wrócić — dzisiaj, ale możliwe, że

* Nippon — z japońskiego: miejsce, gdzie wschodzi słońce; miano, jakim japończycy określają swój kraj.

134

I

zrobi to jutro. Nie mamy tu zbyt wielu przestępstw: trochę pijaństwa, awantury rodzinne i inne bzdury typowe dla miejsc takich jak to. Ale może nie być zadowolony, kiedy dowie się po powrocie, że pan na niego czeka. Bez urazy, aleja sam nie jestem najszcześliwszy, widząc tu pana.

— Nic nie szkodzi. Myślę, że i tak na niego poczekam.

Chciałem też dowiedzieć się nieco więcej na temat śmierci rodzeństwa Modine, czy się to Martinowi podobało, czy nie. Jeśli Catherine wracała do swojej przeszłości, to ja miałem zamiar zrobić to samo, w przeciwnym razie nie miałbym szansy zrozumieć niczego na temat kobiety,

której poszukiwałem.

— Będę też musiał z kimś porozmawiać o morderstwach. Chcę się dowiedzieć czegoś więcej. Martin przymknął oczy i ze znużeniem przetarł je dłonią.

— Pan mnie w ogóle nie słucha... — zaczął.

— Nie, to pan mnie nie słucha. Szukam kobiety, która może mieć kłopoty i być może zwróciła się do kogoś tutaj o pomoc. Zanim wyjadę, zamierzam dowiedzieć się, czy jest tak, jak przypuszczam, nawet jeżeli będę musiał wkurzyć wszystkich mieszkańców tej zapomnianej przez Boga dziury i wygnać waszych japońskich wybawców z powrotem do Tokio. Ale z pańską pomocą wszystko da się załatwić po cichu i za kilka dni już mnie tu nie będzie.

Obaj czekaliśmy w napięciu, pochyleni ku sobie nad stołem. Niektórzy klienci przyglądali się nam, zapominając o jedzeniu. Martin popatrzył na nich, a potem na mnie.

— Dobrze — powiedział. — Większość osób, które tu wtedy mieszkały i mogłyby coś wiedzieć, albo wyjechała, albo umarła, albo nie będzie o tym mówić za żadne pieniądze. Jest jednak dwóch ludzi, z którymi można by pogadać. Jeden z nich to syn lekarza, który tu wówczas pracował. Nazywa się Connell Hyams i ma w mieście kancelarię prawniczą. Będzie pan musiał iść do niego sam. Drugi to Walt Tyler. Jego córka zginęła pierwsza. Walt mieszka za miastem. Porozmawiam z nim i może zgodzi się z panem spotkać. — Wstał. — Kiedy już załatwi pan swoją sprawę, lepiej niech pan wyjedzie i nie chcę tu pana więcej widzieć, rozumiemy się?

Nic nie odpowiedziałem, tylko ruszyłem za nim do drzwi. Zatrzymał się i obrócił w moją stronę, wkładając kapelusz.

— Jeszcze jedno — rzekł. — Rozmawiałem już z chłopakami z baru, ale proszę pamiętać, że nie mają powodu, by pana lubić. Na pana miejscu byłbym ostrożny, planując mieszanie się do spraw tego miasta.

— Zauważyłem, że jeden z nich, chyba ma na imię Gabe, miał na sobie koszulkę Klanu — powiedziałem. — Macie tu takich więcej?

135

Martin gł., „ś,,, wypuści! powietrze z wydętych policzków.

b, wTn": w5*:, „srkach tępaki zawsze sznkają kogos- k^o ->*

Z

lusza

Spojrzał na mnie spod ronda swojego kapelza m7 ~ Vie' Clete nie Jest głupi. Siedzi w radzie miejskiej i twierdzi * poza spluwą nie jest w stanie go stamtąd wykurzyć Sprani t \ ^ mog oby przysporzyć mu kolejnych dwadzieścia albo S

h pan nie nada, temu w^kszeg^^. M^Tn ^

Mar^juS^

ba nie czuł sie w tym cholerstwie zb ^^Z^L^tZ Ch

^sz tSHaven k

m

Było już po szóstej, kiedy wróciłem do miasta Znai^W, ?domu c,,,nella „yamsayw książce teletto^ aTekST

—?

136

Kiedy się zatrzymałem, drzwi otworzył siwowłosy człowiek w szarych spodniach i czerwonym swetrze, naciągniętym na rozpiętą pod szyją prążkowaną koszulę. Przyglądał mi się ciekawie.

— Pan Hyams? — zapytałem, zbliżając się do drzwi.

— Tak?

— Jestem prywatnym detektywem. Nazywam się Parker. Chciałbym porozmawiać z panem o Catherine Demeter.

Stał dość długo w milczeniu, oddzielony ode mnie moskitierą.

— O Catherine czy o jej siostrze? — zapytał w końcu.

— Chyba o obu.

— Mogę zapytać dlaczego?

— Próbuję znaleźć Catherine. Myślę, że mogła tu przyjechać, ale nie wiem po co.

Hyams otworzył drzwi z siatki przeciw owadom i odsunął się, by mnie przepuścić. Dom pełen był mebli z ciemnego drewna i wielkich, kosztownych dywanów. Zaprowadził mnie do gabinetu na tyłach budynku, gdzie stało zarzucone papierami biurko, na którym jaśniał monitor komputera.

— Napije się pan czegoś? — zapytał.

— Nie. Dziękuję.

Wziął do ręki kieliszek koniaku stojący na biurku, wskazał mi krzesło i sam usiadł. Teraz mogłem mu się przyjrzeć dokładniej. Wyglądał poważnie i dostojnie; miał wąskie, wysmukłe dłonie i wypielęgnowane paznokcie. W pokoju było ciepło i czułem zapach jego wody kolońskiej, drogiej wody kolońskiej.

— To wszystko wydarzyło się dawno temu — zaczął opowiadać. — Większość mieszkańców wołałaby o tym nie mówić.

— Czy pan do nich należy? Wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

— Mam w tej społeczności swoje miejsce i rolę do spełnienia. Mieszkam tu prawie całe życie, nie licząc czasu, jaki spędziłem studiując i odbywając staż w Richmond. Mój ojciec prowadził tu praktykę przez pięćdziesiąt lat, aż do samej śmierci.

— Był lekarzem, o ile mi wiadomo.

— Lekarzem, koronerem, adwokatem, radcą prawnym, nawet dentystą, kiedy nie było nikogo na stałe. Robił wszystko. Ciężko przeżył te morderstwa. To on przeprowadzał sekcje zwłok. Chyba nigdy nie przestawał o nich myśleć, nawet podczas snu.

— A pan? Był pan tutaj, kiedy to się stało?

— Odbywałem wtedy praktykę, więc krążyłem między Haven a Richmond. Owszem, wiedziałem, co się wydarzyło, ale naprawdę wołałbym

137

o tym nie mówić. Zginęło czworo dzieci, i to w okropny sposób. Najlepiej pozwolić im spoczywać w spokoju.

— Pamięta pan Catherine Demeter?

— Tak, znałem tę rodzinę, ale Catherine była ode mnie o wiele młodsza. Z tego, co pamiętam, wyjechała po ukończeniu szkoły średniej i wracała tylko na pogrzeby swoich rodziców. Ostatni raz była tu chyba dziesięć lat temu, przy sprzedaży domu jej rodziny. Nadzorowałem tę sprzedaż. Po co miałyby teraz wracać? Nic tu na nią nie czeka — w każdym razie nic dobrego.

— Nie byłbym tego taki pewien. Dzwoniła tu w tym tygodniu i od tamtej pory słuch o niej zaginął.

— Trudno prowadzić sprawę, dysponując takimi informacjami.

— Tak — przyznałem. — Trudno.

Obracał kieliszek, obserwując wirujący, bursztynowy płyn. Wydał usta, jakby oceniał jakość trunku, lecz jego spojrzenie szybko przeniknęło szkło kieliszka i spoczęło na mnie.

— Co może mi pan powiedzieć na temat Adelaide Modine i jej brata?

— Mogę panu powiedzieć, że z mojego punktu widzenia nie było podstaw, by podejrzewać ich o

udział w morderstwach. Ich ojciec był dziwnym człowiekiem, swego rodzaju filantropem. Po śmierci okazało się, że większość swoich pieniędzy zostawił funduszowi powierniczemu.

— Umarł przed tymi morderstwami?

— Tak, pięć albo sześć lat wcześniej. Zostawił instrukcje, aby odsetki z funduszu rozdzielano między organizacje charytatywne. Od tego czasu znacznie zwiększyła się ilość fundacji otrzymujących dotacje. Wiem coś o tym, bo zarządzanie nimi należy do mnie i niewielkiego komitetu.

— A jego dzieci? Czy zabezpieczył im przyszłość?

— Jak najbardziej.

— Co stało się z pieniędzmi i posiadłością po ich śmierci?

— Państwo chcieli przejąć dom i aktywa. Zakwestionowaliśmy tę decyzję w imieniu mieszkańców i doszliśmy do porozumienia. Ziemia została sprzedana, a aktywa przejęte przez fundusz powierniczy, z czego część przeznaczono na rozwój miasta. Dlatego mamy porządną bibliotekę, nowoczesne biuro szeryfa, dobrą szkołę i wysokiej klasy ośrodek zdrowia. Miasteczko nie jest bogate, ale wszystko, co ma, zawdzięcza funduszowi.

— Cokolwiek macie, zawdzięczacie to śmierci czwórki dzieci — zauważyłem. — Czy może mi pan powiedzieć coś więcej o Adelaide i Willia-mie Modine?

Lekko drgnęły mu usta.

138

-

I

— Już panu mówiłem, że to było dawno temu i naprawdę wolałbym do tego nie wracać. Nie miałem z żadnym z nich wiele do czynienia: to była bogata rodzina, ich dzieci chodziły do prywatnej szkoły. Obawiam się, że nie spotykaliśmy się zbyt często.

— Czy pański ojciec znał tę rodzinę?

— Był przy narodzinach i Williama, i Adelaide. Pamiętam tylko jedną ciekawą rzecz, choć to i tak panu w niczym nie pomoże. Adelaide miała bliźniaka. Obumarł jeszcze w łonie, a ich matka zmarła z powodu komplikacji zaraz po wydaniu na świat córki. Nikt się tego nie spodziewał. To była silna, apodyktyczna kobieta. Mój ojciec twierdził, że przeżyje nas wszystkich.

Pociągnął spory łyk z kieliszka.

— Czy wie pan cokolwiek o hienach, panie Parker? Przyznałem, że niewiele.

— Hieny cętkowane często poczynają bliźnięta. Kiedy małe przychodzą na świat, są wyjątkowo dobrze rozwinięte: mają futro i ostre siekacze. Jedno młode często atakuje drugie, niekiedy już w worku owodniowym, co zazwyczaj prowadzi do śmierci. Zwykle robią to osobniki płci żeńskiej i, jeżeli mają dominującą matkę, same stają się dominujące w stadzie. Na tym polega kultura matriarchatu. Samice hieny cętkowanej już w łonie matki mają wyższy poziom testosteronu niż dorosłe samce i charakteryzują się samczymi cechami. Nawet osobniki dorosłe mogą być trudne do rozróżnienia, jeżeli chodzi o płć.

Odstawił kieliszek.

— Mój ojciec uwielbiał naturę. Zawsze fascynowały go zwierzęta i myślę, że lubił doszukiwać się punktów wspólnych między światem zwierząt a ludzi.

— I znalazł jeden w Adelaide Modine?

— Możliwe, że w pewnym sensie tak. Nie przepadał za nią.

— Czy był pan tutaj, kiedy oni zginęli?

— Powróciłem do domu na dzień przed odnalezieniem ciała Adelaide i byłem przy sekcji zwłok. Może pan to nazwać makabryczną ciekawością. A teraz przepraszam, panie Parker, ale nie mam nic więcej do powiedzenia i czeka mnie jeszcze dużo pracy.

Odprowadził mnie do drzwi i przytrzymał moskitierę, bym mógł wyjść.

— Jakoś nie bardzo pali się pan do udzielenia mi pomocy w poszukiwaniu Catherine Demeter, panie Hyams.

Westchnął ciężko.

— Kto zasugerował, że powinien pan ze mną porozmawiać?

— Alvin Martin wspomniał o panu.

139

— Pan Martin to dobry, sumienny zastępca szeryfa i cenny nabytek dla tego miasta, ale jest tu stosunkowo niedługo — wyjaśnił Hyams. — Powód, dla którego nie chcę mówić, to poufność, do której jestem zobowiązany wobec moich klientów. Panie Parker, jestem jedynym prawnikiem w tym mieście. Każdy, kto tu mieszka, bez względu na kolor skóry, dochód, wiarę czy przekonania polityczne, w którymś momencie pukał do mych drzwi. Również rodzice dzieci, które zginęły. Wiem bardzo dużo o tym, co się tu działo, o wiele więcej, niż bym chciał, i na pewno więcej, niż mam zamiar panu powiedzieć. Przykro mi, ale na tym zakończymy rozmowę.

— Rozumiem. Jeszcze jedna sprawa.

— Tak? — W jego głosie wyczułem znużenie.

— Szeryf Granger mieszka przy tej drodze, prawda?

— Szeryf Granger to mój sąsiad, mieszka w domu na prawo ode mnie. Nigdy się do niego nie włamano, panie Parker, i nie mówię tego bez przyczyny. Dobranoc.

Kiedy odjeżdżałem, stał w drzwiach. Przejeżdżając obok, rzuciłem okiem na dom szeryfa, ale nie paliły się w nim światła i nie było samochodu na podjeździe. O szybę zaczęły uderzać krople deszczu i zanim dotarłem na obrzeża Haven, lało jak z cebra. W drzwiach motelu zauważyłem Rudy'ego Frya, wpatrującego się w las i zapadającą ciemność.

Nim zdążyłem zaparkować, już stał za swoim kontuarem.

— Czy oprócz wyganiania przyjezdnych z miasta, mieszkańcy mają tu jeszcze jakieś inne rozrywki? — zapytałem.

Wykrzywił się, próbując oddzielić sarkazm od zasadniczej treści pytania. — Poza piciem w Karczmie niewiele jest tu do roboty — odpowiedział po chwili.

— Tego już próbowałem. Nie spodobało mi się.

Zamyślił się na dłużej. Czekałem na zapach dymu z jego czaszki, ale się nie doczekałem.

— W Dorien, jakieś trzydzieści kilometrów na wschód, jest restauracja. Milano's się nazywa. Włoska.

Ostatnie słowo wymówił „wyloska”, i to tonem człowieka, który nie przepada za makaronem, chyba że jest przynoszony w ociekającym tłuszczem pudełku.

— Sam nigdy tam nie jadłem. — Pociągnął nosem, jakby na dowód braku zaufania do wszystkiego, co europejskie.

Podziękowałem mu i poszedłem do pokoju; wziąłem prysznic i pi"ze' brałem się. Uporczywa wrogość Haven do wszystkiego zaczynała mnie już w,oo™ó RVnro Rudv'emu coś się nie podobało, to mogłem założyć, że by'0

Dorien wielkością przypominało Haven, ale była tam księgarnia i kilka restauracji, co w pewien sposób czyniło z tego miejsca oazę kultury. Kupiłem tomik Viva e.e. cummingsa i poszedłem do Milano's.

Mieli tam obrusy w czerwoną kratkę i świeczniki w kształcie Koloseum, ale siedziało tam sporo osób, a jedzenie wyglądało zachęcająco.

Pojawił się szczupły szef sali z czerwoną muszką i poprowadził mnie do stolika w rogu. Wyjąłem wiersze cummingsa i w oczekiwaniu na menu przeczytałem „gdzie nigdy nie byłem”, delektując się kadencją i delikatną erotyką wiersza.

Susan nie czytała cummingsa, zanim się poznaliśmy, a ja kilka dni po spotkaniu wysłałem jej tom

jego wierszy. W pewnym sensie pozwoliłem, by zabiegał o nią w moim imieniu. Chyba nawet wykorzystałem jakiś jego wers w pierwszym liście, jaki jej wysłałem. Kiedy do tego wracam, to myślę, że to był list miłosny i modlitwa zarazem, modlitwa o to, by Czas był dla niej łaskawy, bo była taka piękna.

Kiedy nadszedł kelner, zamówiłem włoski chleb czosnkowy z pomidorami, opiekany w oliwie, spaghetti z boczkiem, jajkiem i śmietaną oraz wodę. Rozejrzałem się, ale nikt nie zwracał na mnie uwagi; to mi odpowiadało. Nie zapomniałem ani o ostrzeżeniu Angela i Louisa, ani o parze w czerwonym jeepie.

Jedzenie było wspaniałe. Mój apetyt zadziwił mnie samego, a jedząc, zastanawiałem się nad tym, czego dowiedziałem się od Hyamsa i z mikro-fisz, po czym przypomniałem sobie przystojnego Walta Tylera, otoczonego przez policję.

Na chwilę wkradł się w moje myśli Podróżnik; chciałem wyrzucić z pamięci i jego, i obrazy, które niósł ze sobą, ale nie było to łatwe. Kiedy dopiłem wodę i zapłaciłem rachunek, wyszedłem z restauracji i tak długo wymiotowałem w bocznej ulicy, aż rozboleło mnie gardło. Wsiadłem do samochodu i wróciłem do Haven.

MWBEMŁ

BWUJM

BEUJCE

*ój dziadek zwykle mawiał, że najbardziej przerażający dźwięk na świecie to odgłos ładowania broni, gdy kula przeznaczona jest dla ciebie. Właśnie ten dźwięk obudził mnie w motelu, gdy szli po schodach; mój zegarek i ciszę nocy rozdarł ogłuszający huk eksplozji; jedna seria po drugiej sunęły w stronę łóżka, a pióra i strzępy bawełny wypełniły pokój niczym rój białych ciem.

Zdażyłem zerwać się na nogi i chwycić broń. Odgłos strzałów tłumiły nieco zamknięte drzwi łączące oba pokoje; podobnie wyciszyły one dźwięk otwieranych drzwi na korytarz. Gdy przestali strzelać, a w uszach mieli wciąż ogłuszający huk eksplozji, ze zdziwieniem spostrzegli, że nie było mnie w łóżku. Decyzja, by nie stać się łatwym celem przez noc spędzoną w przydzielonym mi pokoju, opłaciła się.

Szybko wyszedłem na korytarz, obróciłem się i wymierzyłem. Zobaczyłem mężczyznę z jeepa i lufę broni automatycznej tuż przy jego twarzy. Nawet w przyćmionym świetle korytarza zauważyłem, że na podłodze nie było żadnych łusek. Strzelała kobieta.

W tej samej chwili facet obrócił się do mnie, a babka zakłęła w pokoju. Lufa jego broni opadła, gdy się ku mnie zwracał. Wystrzeliłem raz, a u jego gardła wykwitła purpurowa róża i krew, niby deszcz jej płatków, zalała białą koszulę. Broń upadła na dywan, a jego dłonie chwyciły za szyję. Upadł na kolana i rozpląszczył się na podłodze, rzucając się jak wyjęta z wody ryba.

Zza węgła wysunęła się lufa i kobieta wystrzeliła na oślep; ze ścian posypał się tynk. Poczulem szarpnięcie w prawym ramieniu i przeszywający rękę ból, jakby ktoś przyłożył mi rozpalone do białości żelazo. Próbowałem utrzymać pistolet, ale wypadł mi z ręki, a ona wciąż posyłała w powietrze śmiertelne strzały, które przecinały powietrze i trafiały w ściany wokół mnie.

Kiedy ucichły, biegiem ruszyłem korytarzem do drzwi prowadzących na schody, a potem, potykając się i zataczając, pognałem w dół. Wiedziałem, że rzuci się za mną, jak tylko upewni się, że jej partner nie żyje. Gdyby przypadkiem przeżył, pewnie próbowałaby go ratować, jego i siebie.

Zbiegłem na pierwsze piętro, ale już słyszałem jej kroki na schodach nad sobą. Ręka bolała mnie jak diabli i byłem pewien, że ona dogoni mnie, zanim dotrę na parter.

Prześliznąłem się przez drzwi na korytarz. Na podłodze leżały foliowe płachty, a dwie składane drabiny stały niczym wieże po obu stronach. W powietrzu unosił się intensywny zapach farby i

rozpuszczalnika.

Jakieś sześć metrów od drzwi znajdowała się mała wnęka, prawie niewidoczna, dopóki nie podeszło się bliżej; mieściła wąż strażacki i ciężką, starą gaśnicę na wodę. Identyczna nisza była przy wejściu do mojego pokoju. Wśliznąłem się do niej, oparłem o ścianę i próbowałem opanować przyspieszony oddech. Uniosłem gaśnicę lewą ręką, a prawą chciałem

142

przytrzymać ją pod spodem, daremnie próbując użyć jej jako broni, bo ręka krwawiła mi już zbyt mocno, a sama gaśnica była zbyt duża i ciężka. Usłyszałem, że kobieta zwolniła, a drzwi jęknęły cicho, kiedy weszła na korytarz. Słuchałem jej kroków na folii. Rozległ się huk, gdy kopniakiem otworzyła drzwi pierwszego na tym piętrze pokoju, potem drugiego. Była już blisko i choć stąpała cicho, zdradzał ją plastik. Czuję, jak krew spływa mi po ręce i kapie z palców, gdy odwiązywałem hydrant i czekałem, aż ona podejdzie bliżej.

Gdy była już prawie na wysokości niszy, rzuciłem wężem jak pejczem. Ciężka, mosiężna końcówka trafiła ją w sam środek twarzy i usłyszałem trzask miażdżonej kości. Zatoczyła się, wypuszczając nieszkodliwą serię ze swego automatu, a lewą dłoń podniosła do twarzy. Rzuciłem wężem jeszcze raz, a guma odbiła się od jej wyciągniętej ręki i końcówka uderzyła w bok głowy. Jęknęła, a ja, ze szlauchem w lewej ręce, wyskoczyłem z wnęki i okręciłem go dookoła jej szyi. Oparła kolbę automatu o udo i spróbowała go załadować; przez palce prawej ręki ciekła krew ze strzaskanej twarzy. Kopniakiem wytrąciłem jej broń, przyciągnąłem ją do siebie, opierając się o ścianę i jedną nogą blokując jej nogę, aby nie mogła się odepchnąć, a drugą napinając wąż. Staliśmy tak przez chwilę, czułem ciepłą krew i zaciśnięty na moim nadgarstku hydrant, a ona walczyła, aż nagle drgnęła i bezwładnie zawisła w moim uścisku.

Gdy znieruchomiła, puściłem ją i osunęła się na podłogę. Odwinąłem wąż z szyi i za rękę zaciągnąłem kobietę po schodach na parter. Jej twarz była czerwono fioletowa i przyszło mi na myśl, że o mało co jej nie zabiłem, lecz mimo to wołałem ją mieć na oku.

Rudy Fry leżał siny na podłodze swojego biura, a krew zaczynała już krzepnąć na jego twarzy i wokół pękniętej czaszki. Zadzwoiłem do biura szeryfa, a po paru minutach usłyszałem syreny i zobaczyłem niebieskie i czerwone światła obracające się i rzucające refleksy w ciemnym holu; krew i czerwony blask przypominały mi znowu inną noc i inne osoby.

Kiedy Alvin Martin wkroczył z pistoletem w dłoni, było mi tak niedobrze, że nie mogłem ustać na nogach, a czerwone światło paliło mnie w oczy żywym ogniem.

Szczęściarz z pana — zauważyła starsza lekarka z uśmiechem, w którym malowały się jednocześnie zaskoczenie i troska. — Kilka centymetrów dalej i Alvin musiałby przygotować mowę pożegnalną.

— Założę się, że byłaby warta wysłuchania — odparłem.

143

Siedziałem na stole w izbie przyjęć małego, ale niezłe wyposażonego ośrodka zdrowia. Moja rana była niewielka, ale mocno krwawiła. Teraz została już oczyszczona i opatrzona, a w zdrowej ręce ścisnąłem fiolkę pigułek przeciwbólowych. Czuję się tak, jakby mnie potrafił pociąg.

Alvin Martin stał przy mnie. Wałlace i inny zastępca, którego nie rozpoznałem, stali na korytarzu, pilnując pokoju, w którym umieszczono kobietę. Nie odzyskała przytomności, a z tego, co usłyszałem z rozmowy lekarki z Martinem, wynikało, że prawdopodobnie znajdowała się w stanie śpiączki. Rudy Fry był także nieprzytomny, chociaż podobno miał z tego wyjść.

— Wiadomo coś o tej parze? — zapytałem Martina.

— Na razie nie. Wysłaliśmy zdjęcia i odciski palców do federalnych. Jeszcze dziś mają przysłać kogoś z Richmond.

Zegar na ścianie wskazywał szóstą czterdzieści pięć rano. Na dworze wciąż padał deszcz.

— Czy mogłaby nas pani na moment zostawić, Elise? — poprosił Martin lekarkę.
— Oczywiście, tylko proszę go nie męczyć.
Uśmiechnął się do niej, kiedy wychodziła, ale gdy się do mnie odwrócił, był już całkiem poważny.
— Przyjechał pan tu z ceną wyznaczoną za swoją głowę?
— Słyszałem tylko jakieś plotki, nic więcej.
— Mam w dupie pana i pańskie plotki. Rudy Fry prawie tam umarł, a ja mam w kostnicy niezidentyfikowane ciało z dziurą w szyi. Domyśla się pan, kto wynajął morderców?
— Tak.
— Powie mi pan?
— Nie, w każdym razie jeszcze nie. I federalnym też nie powiem. Musi mnie pan przed nimi przez jakiś czas chronić.
Roześmiał się. — A dlaczego miałbym to robić?
— Muszę dokończyć sprawę, z powodu której tu przyjechałem. Muszę znaleźć Catherine Demeter.
— Ta strzelanina ma z nią coś wspólnego?
— Nie wiem. Może i ma, ale nie wiem co. Musi mi pan pomóc. Martin przygryzł wargę.
— Rada miejska się wścieka. Uważają, że jeżeli Japończycy się o tym dowiedzą, to fabryka stanie w White Sands. Wszyscy chcą, by pan stąd wyjechał.
Do pokoju weszła pielęgniarka i Martin zamilkł, a zamiast mówić, dyszał tylko ze złości.

144

— Jest do pana telefon, panie Parker — oznajmiła siostra. — Niejaki detektyw Cole z Nowego Jorku.

Aż skrzywiłem się z bólu, wstając. Pielęgniarce było mnie szkoda, ale w tym momencie byłem ponad wszelkie przejawy miłosierdzia.

— Proszę się nie ruszać — rzekła z uśmiechem. — Przyniosę tu aparat i będzie pan mógł porozmawiać.

Wróciła chwilę potem z telefonem i podłączyła go do gniazdka w ścianie. Alvin Martin przez chwilę kręcił się niepewnie, po czym wyszedł, zostawiając mnie samego.

— Walter?

— Dzwonił zastępca szeryfa. Co się stało?

— Dwoje z nich próbowało mnie załatwić w motelu. Mężczyzna i kobieta.

— Jak ciężko jesteś ranny?

— Zdraśnięcie na rękę. Nic poważnego.

— Zwiali?

— Nie. Facet nie żyje. Kobieta jest chyba w śpiączce. Sprawdzają ich teraz w kartotece. Co u ciebie? Masz coś o Jennifer?

Chciałem wymazać obraz jej twarzy, ale trwał gdzieś na peryferiach mojej świadomości, jak oglądana kątem oka sylwetka.

— Na słoiku nie ma żadnych śladów. To zwykły słoć laboratoryjny. Próbowaliśmy sprawdzić numer serii u producenta, ale ten zamknął interes w dziewięćdziesiątym drugim. Będziemy próbować dalej. Może uda nam się zajrzeć do starych kartotek, chociaż są małe szansę. Papier, w który zawinięty był słoć, można dostać w każdym cholernym sklepie z pamiątkami w kraju. Nie ma na nim żadnych odcisków palców. Laboratorium sprawdza próbki skóry, może coś znaleźć. Technicy uważają, że facet podłączył się do tamtego automatu i nie będziemy w stanie ustalić jego numeru. Dam ci znać, jak coś znajdziemy.

— A sprawa Bartona?

— Też nic. Przy tej ilości informacji, jaką mam, zaczynam podejrzewać, że chyba minąłem się z powołaniem. Facet stracił przytomność w wyniku uderzenia w głowę, jak mówił lekarz, a potem został uduszony. Prawdopodobnie zawieszono go samochodem na parking i wrzucono do kanału.

— Federalni nadal szukają Sonny'ego?

— Podobno tak, ale chyba też nie dopisuje im szczęście. ~~ Jak nam wszystkim

~~ To się zmieni.

Czy Kooper wie, co tu się stało? Usłyszałem jakby zduszony śmiech po drugiej stronie.

145

— Jeszcze nie. Może mu potem powiem. Jeżeli nie zamieszamy w to Funduszu, nie będzie się czepiał, choć nie wiem, jak zareaguje na to, że wynajęty przez niego detektyw rozwała ludzi na motelowych korytarzach. Nic takiego się chyba wcześniej nie zdarzyło. Jak tam u ciebie?

— Tutejsi mieszkańcy nie powitali mnie chlebem i solą. Jak do tej pory, ani śladu Catherine, ale coś mi tu nie gra. Nie potrafię tego wyjaśnić jednak wszystko wydaje się nie takie, jak trzeba.

Westchnął.

— Skontaktujemy się jeszcze. Mogę coś dla ciebie zrobić?

— Pewnie nie dasz rady zmusić Rossa, by trzymał się ode mnie z daleka?

— Nie ma mowy. Facet nie mógłby cię znienawidzić bardziej, nawet gdybyś przeleciał jego matkę i wyskrobał jej imię na ścianie w męskiej toalecie. Już do ciebie jedzie.

Walter odłożył słuchawkę. Chwilę później usłyszałem kliknięcie na linii. Zastępca Martin najwyraźniej był bardzo przezorny. Wrócił dopiero po chwili, żeby przypadkiem nie wyglądało na to, że podsłuchiwał. Ale wyraz twarzy miał już inny. Może i dobrze się stało, że usłyszał naszą rozmowę.

— Muszę znaleźć Catherine Demeter — powtórzyłem. — Dlatego tu jestem. Wyjadę, kiedy to załatwię.

Skinął głową.

— Już wcześniej kazałem Burnsowi zadzwonić do kilku moteli w okolicy. Catherine Demeter nie zatrzymała się w żadnym z nich.

— To akurat sam sprawdziłem przed wyjazdem z Nowego Jorku. Mogła się zameldować pod fałszywym nazwiskiem.

— Też o tym pomyślałem. Jeżeli powie mi pan, jak ona wygląda, to wyślę Burnsa, by porozmawiał z recepcjonistami.

— Dzięki.

— Niech mi pan wierzy, nie robię tego z dobroci serca. Chcę tylko, żeby się pan stąd wyniósł.

— A co z Waltem Tylerem?

— Jak znajdziemy czas, zawiozę tam pana później.

Poszedł porozmawiać z zastępcami pilnującymi niedoszłą zabójczyni?' A u mnie pojawiła się starsza lekarka i sprawdziła opatrunek.

— Na pewno nie chce pan zostać i odpocząć? — zapytała. To była miła propozycja, ale musiałem odmówić.

— Tego się spodziewałam — odparła. Kiwnęła głową w stronę fiolki z pigułkami.

— One mogą powodować senność.

146

Podziękowałem za ostrzeżenie i wsunąłem proszki do kieszeni, a ona pomogła mi założyć kurtkę. Nie miałem zamiaru brać tych pigułek. Wyraz jej twarzy powiedział mi, że świetnie o tym wiedziała.

Martin zawiózł mnie do biura szeryfa, dokąd przeniesiono moje rzeczy, bo motel został zamknięty i zaplombowany. Okręciłem moją zabandażowaną rękę kawałkiem folii i wziąłem

prysznic, a potem spałem niespokojnie w celi; kiedy się zbudziłem, już nie padało. Tuż po dwunastej w południe pojawiło się dwóch agentów federalnych, by mnie przepytac w związku z tym, co się wydarzyło. Przesłuchanie było raczej pobieżne, co dziwiło mnie do momentu, gdy przypominałem sobie, że agent specjalny Ross miał przylecieć wieczorem. Kobieta jeszcze nie odzyskała przytomności, gdy o piątej po południu do restauracji, w której siedziałem, wszedł Martin.

— Czy Burns znalazł coś o Catherine Demeter?

— Burns całe popołudnie był zajęty federalnymi. Ma sprawdzić kilka moteli przed wieczorem. Da mi znać, jak coś znajdzie. Jeżeli nadal chce pan porozmawiać z Waltem Tylerem, to lepiej chodźmy.

li jI

Walt Tyler mieszkał w walącym się, ale czystym domu z białych desek. Pod jedną z jego ścian leżał chwiejny stos opon samochodowych, które byty, jak głosił znak przy drodze, „na sprzedaż”. Inne towary handlowe, porozrzucane na żwirze i ładnie przystrzyżonym trawniku, stanowiły dwie tylko na wpół naprawione kosiarki do trawy, przeróżne silniki i ich części oraz zardzewiałe wyposażenie siłowni, wraz z pełnym zestawem sztang i hantli.

Tyler był wysokim, nieco przygarbionym mężczyzną z czupryną siwych włosów. Kiedyś był przystojny, taki jak na zdjęciu, i wciąż poruszał się ze swobodą i gracją, jakby nie chciał przyznać, że jego uroda już dawno przeminęła, że zabrały ją żale, zmartwienia i nie kończący się smutek rodzica, który stracił swe jedyne dziecko.

Alvina przywitał dość ciepło, zaś moją dłoń uściskał mniej serdecznie odniosłem wrażenie, że nie ma ochoty zaprosić nas do środka. Zapropo-wł, byśmy usiedli na werandzie, mimo że zanosilo się na deszcz. Tyler

147

usiadł w wygodnym wiklinowym fotelu, a Martin i ja zajęliśmy ozdobre metalowe krzesła, pozostałości większego kompletu, które, jak głosił napis' na oparciu mojego, również były „na sprzedaż”.

Chwilę potem niespodziewanie pojawiła się kobieta, młodsza od Tyle. ra może o dziesięć lat, niosąc w czystych porcelanowych filiżankach kawę. Ona też była kiedyś piękniejsza, choć w jej przypadku uroda młodości przekształciła się w dojrzałą i bardziej atrakcyjną, w pełną spokoju elegancję kobiety, która nie bała się starości i którą zmarszczki mogły zmienić, nie ujmując jednak jej piękna. Spojrzała na Tylera, a on po raz pierwszy od naszego przyjazdu lekko się uśmiechnął. Odwzajemniła ten uśmiech i wróciła do środka. Więcej się nie pokazała.

Alvin miał się właśnie odezwać, ale Tyler powstrzymał go lekkim ruchem ręki.

— Wiem, po co tu jesteście, szeryfie. Może być tylko jeden powód, dla którego przywiózł pan obcego do mojego domu. ?— Spojrzał na mnie swoimi żółtawymi oczami w czerwonych obwódkach, w których dostrzegłem zainteresowanie, a nawet rozbawienie. — To pan jest tym gościem, który strzelał w motelu? — zwrócił się do mnie z cieniem uśmiechu. — Prowadzi pan interesujące życie. Coś nie tak z ramieniem?

— Nic poważnego.

— Raz mnie postrzelili, w Korei. W udo. Bolało całkiem poważnie. Prawdę mówiąc, bolało jak diabli.

Skrzywił się przesadnie na to wspomnienie i zamilkł. Nad nami przetoczył się grzmot i na werandzie na krótko zrobiło się ciemno, ale widziałem, że Tyler patrzy na mnie i już się nie uśmiecha.

— Pan Parker jest detektywem, Walt, kiedyś pracował w policji — odezwał się Alvin.

— Szukam kogoś, panie Tyler — zacząłem. — Kobiety. Pan ją może* pamiętać. Catherine

Demeter. To młodsza siostra Amy Demeter.

— Wiedziałem, że pan nie jest żadnym pismakiem. Alvin nie przyprowadziłby tu... — szukał słowa — ...pijawki.

Sięgnął po kawę i pił, długo i w ciszy, jakby chciał się pohamować, by nie rzec więcej na ten temat i by przez krótką chwilę rozważyć to, co powiedziałem.

— Pamiętam tę dziewczynę, ale nie widziałem jej od śmierci jej ojca, a to było ponad dziesięć lat temu. Nie ma tu do czego wracać.

To zdanie zaczynało przypominać echo.

— A jednak uważam, że wróciła, i może to mieć związek z tym, co zdarzyło się tu wcześniej — odpowiedziałem. — Z ludzi, którzy mieli z tym coś wspólnego, został tylko pan, szeryf i jeszcze jedna lub dwie osoby.

148

Chyba długo o tym nie rozmawiał, choć byłem przekonany, że często rażał do owych wydarzeń w myślach i żyły one w jego świadomości za mgłą ludzkiej pamięci, jak przewlekły ból, który nigdy nie przemija o którym się tylko niekiedy zapomina podczas codziennych czynności, wkrótce i tak powrócił. Pomyślałem, że każdy nawrót wspomnień zostawiał na jego twarzy zmarszczkę, i dlatego ten niegdyś przystojny mężczyzna tracił urodę jak z wolna kruszejąca marmurowa statua.

— Czasem ją słyszę. Słyszę jej kroki na werandzie w nocy, śpiew w ogrodzie. Kiedyś wybiegałem na dwór, gdy doszedł do mnie jej głos, sam nie wiedząc, czy to jawa, czy sen. Ale nigdy jej nie zobaczyłem i po jakimś czasie dałem sobie spokój, chociaż nadal mnie budzi. Teraz już nie przychodzi tak często.

Być może mimo zapadającego zmierzchu dostrzegłem w mojej twarzy coś, co sprawiło, że zrozumiał. Nie wiem tego na pewno, a on nie dał mi żadnego znaku, ale pojawiło się między nami coś więcej niż potrzeba poznania lub przedstawienia kilku faktów; na chwilę przerwał i w tym momencie byliśmy jak dwaj wędrowcy w długiej i trudnej podróży, którzy mogą sobie pomóc.

— Była moim jedynym dzieckiem — ciągnął. — Zaginęła, kiedy pewnego jesienno-go dnia wracała z miasta do domu, i żywej nigdy jej już nie zobaczyłem. Gdy mija potem pokazali, ujrzałem tylko kości i pergamin — to już nie była moja córeczka. Moja żona — moja nieboszczka żona — zgłosiła zniknięcie na policji, ale nikt nie przyjechał i przez dwa dni sami przeszukiwaliśmy pola, domy i wszystko, co się dało. Chodziliśmy od drzwi do drzwi, stukaliśmy i pytaliśmy, ale nikt nie był w stanie powiedzieć nam, gdzie mogła się podziać. A potem, po trzech dniach, przyjechał zastępca szeryfa, zostałem aresztowany i oskarżony o zamordowanie własnego

•dziecka. Trzymali mnie przez dwa dni, bili, nazywali gwałcicielem, zbrodniarzem wykorzystującym dzieci, jednak nigdy nie powiedziałem im nic poza prawdą i po tygodniu mnie wypuścili. A moja dziewczynka już się nie odnalazła.

— Jak ona miała na imię, panie Tyler?

— Nazywała się Etta Mae Tyler i miała dziewięć lat.

Słyszałem szept drzew i skrzypienie drewnianych ścian. Na podwórku kołysała się dziecięca huśtawka, pochwycona przez podmuch wiatru. Czuliśmy wokół pewne poruszenie, jakby nasze słowa obudziły coś, co od dłuższego czasu pozostawało uśpione.

— Dwoje kolejnych dzieci zaginęło trzy miesiące później; też były czarnoskóre, zniknęły w odstępie tygodnia. Zrobiło się zimno. Ludzie myśleli, że jedno z nich, Dora Lee Parker, mogło wpaść do wody w czasie za-

149

bawy. Ona uwielbiała lodowiska. Ale przeszukano wszystkie rzeki i stał w niej nie znaleziono. Policjanci przyjechali i znowu mnie przesłuchiwali przez jakiś czas nawet sąsiedzi jakoś tak dziwnie na mnie patrzyli. Je(j)nak potem policja znowu o wszystkim zapomniała. To były czarne dzieci i nikt nie zadał sobie trudu, by się tej sprawie przyjrzeć i znaleźć powiązania pomiędzy zniknięciami. Trzecie dziecko nie mieszkało w Haven, p0. chodziło z Willisville, jakieś sześćdziesiąt kilometrów stąd. Jeszcze jedno czarne dziecko, chłopiec o nazwisku...

Przerwał i dotknął ręką czoła, zaciskając powieki.

— ...Bobby Joiner — dokończył cicho, lekko kiwając głową. — Wtedy ludziska zaczęli się bać i do szeryfa i burmistrza wysłano delegację. Zaczęli trzymać dzieci w domu, zwłaszcza po zmroku, a policja przesłuchiwała każdego czarnego w okolicy i kilku białych też, zwłaszcza biedaków, o których wiadano, że są homoseksualistami. Potem chyba ci ludzie próbowali nas przeczekać. Chcieli pewnie, żeby czarni się uspokoili, żeby stali się mniej ostrożni, ale nic z tego. To trwało miesiącami, aż do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego. Wtedy zginęła ta mała Demeter i wszystko się zmieniło. Policja znowu zaczęła prowadzić przesłuchania w promieniu wielu kilometrów, gromadzić zeznania, organizować poszukiwania. Ale nikt niczego nie znalazł. Tak jakby ta mała po prostu rozplynęła się w powietrzu. Dla czarnych zaczęły się ciężkie czasy. Policjanci stwierdzili, że zniknięcia mogą być jednak ze sobą powiązane, i zawiadomili FBI. A każdy czarny spacerujący po zmroku mógł zostać aresztowany albo pobity, albo jedno i drugie. Ale ci ludzie...

Znowu użył tego zwrotu, a po jego głosie można było poznać, że wciąż nie potrafi tego zrozumieć, że przeraża go sposób postępowania niektórych.

— Ci ludzie rozkoszowali się tym, co robili, i nie potrafili przestać. Ona chciała porwać małego chłopca w Batesville, tylko że była sama, a dzieciak się bronił, kopał, podrapał jej twarz i uciekł. Zaczęła go gonić, ale zrezygnowała. Wiedziała, co ją czeka. To był bystry chłopiec. Zapamiętał markę samochodu, opisał kobietę, przypomniał sobie nawet część numeru rejestracyjnego. Jednak dopiero następnego dnia ktoś skojarzył sobie samochód i zaczęto szukać Adelaide Modine.

— Policja?

— Nie, nie policja. Grupa mężczyzn, kilku z Haven, z Batesville, dwóch czy trzech z Yancey Mili. Szeryfa nie było wtedy w mieście, a ludzie z FBI już wyjechali. Ale zastępca szeryfa, a był nim wówczas Earl Lee Granger, przyjechał z nimi do domu Modine'ów, lecz jej nie zastali. Był tylko jej brat, który zamknął się w piwnicy, więc musieli wyłamać drzwi.

150

przez chwilę nic nie mówił, słyszałem tylko w gęstniejącym mroku, jak zejyka ślinę, i wiedziałem, że był wtedy z nimi.

— Twierdził, że nie wie, gdzie jest jego siostra, i nie ma pojęcia o żadnych martwych dzieciach. Więc powiesili go na belce stropowej i nazwali to samobójstwem. Zmusili doktora Hyamsa, żeby to poświadczył, chociaż pomieszczenie miało prawie pięć metrów wysokości i nie było sposobu, żeby chłopak sam tam wszedł i się powiesił, no chyba że umiał chodzić po ścianach. Później ludziska sobie żartowali, że musiał bardzo chcieć się zabić, skoro wlaź tam bez niczyjej pomocy.

— Ale mówił pan, że kobieta była sama, gdy próbowała porwać tego chłopca — wtrąciłem. — Skąd zatem wiedzieli, że jej brat miał z tym coś wspólnego?

— Nie wiedzieli, w każdym razie nie byli pewni. Ale ktoś jej musiał pomagać. Dzieciak potrafi czasem dać w kość, jak chce się go zabrać siłą. Może się wyrywać, kopać i wrzeszczeć o pomoc. Dlatego ostatnim razem Adelaide się nie udało, bo nie miała nikogo do pomocy. Przynajmniej tak sobie wykombinowali.

— A pan?

Znowu na chwilę zapadła cisza.

— Znałem tego chłopaka i wiedziałem, że żaden z niego zabójca. Był taki słaby i... miękki. To był homoseksualista — przyłapano go kiedyś z chłopcem jeszcze w prywatnej szkole i został wyrzucony. Moja siostra usłyszała o tym, kiedy sprzątała u białych w mieście. Sprawa została zatuszowana, chociaż ludzie o nim gadali. Myślę, że niektórzy mogli go przez jakiś czas podejrzewać właśnie z tego powodu. Kiedy jego siostra usiłowała porwać dzieciaka, cóż, ludzie stwierdzili, że on musi o tym wiedzieć. I chyba wiedział, a co najmniej coś podejrzewał. Nie wiem, ale...

Spojrzał na Martina, a ten na niego.

— Mów, Walt. O niektórych rzeczach wiem sam. Nie powiesz nic, czego bym nie podejrzewał lub o czym bym nie pomyślał.

Tyler był nadal zaniepokojony, ale skinął raz głową, bardziej sam sobie niż nam, i kontynuował.

— Zastępca szeryfa Earl Lee wiedział, że chłopak jest niewinny. Był z nim tej nocy, kiedy porwano Bobby'ego Joinera. W inne noce też.

Popatrzyłem na Alvina, który wpatrywał się w podłogę, wolno kiwając głową.

— Skąd pan wiedział? — zapytałem.

— Widziałem ich — przyznał szczerze. — Ich samochody stały za miastem wśród drzew tej nocy, kiedy zaginął Bobby Joiner. Zdarzało mi się włóczyć po polach, chciałem uciec od tego miejsca, chociaż wiedziałem, że

151

po tym wszystkim było to niebezpieczne. Ujrzałem zaparkowane samochody, podkradłem się i ich zobaczyłem. Modine był... leżał... na szeryfie, a potem weszli do samochodu i szeryf go wziął.

— Widział ich pan potem razem?

— W tym samym miejscu, kilka razy.

— I szeryf pozwolił im powiesić chłopaka?

— Nic nie mówił, żeby nikt się o nich nie dowiedział. — Tyler splunął. — I patrzył, jak go wieszali.

— A jego siostra? Co z Adelaide Modine?

— Jej też szukali, w domu i na polach, ale przepadła. Któregoś dnia ktoś dostrzegł ogień w ruinach starego domu na East Road jakieś piętnaście kilometrów za miastem, a po chwili całe to miejsce stało już w płomieniach. Thomas Packer trzymał tam, z daleka od dzieci, stare farby i inne łatwopalne środki. Kiedy było już po pożarze, znaleziono mocno zwęglone ciało i stwierdzono, że to Adelaide Modine.

— Jak ją zidentyfikowano? Tym razem odpowiedział Martin.

— Przy ciele znaleziono torbę z nadpalonymi plikami pieniędzy i dokumentów osobistych, głównie wyciągów z konta. Na ciele znajdowała się złota bransoletka z brylantami, którą zawsze nosiła. Podobno należała do ich matki. Zgadzało się też użębienie. Stary doktor Hyams udostępnił jej kartę — dzielił gabinet z dentystą, a w tym tygodniu dentysty nie było akurat w mieście. Wyglądało na to, że Adelaide się ukrywała, może czekała, aż jej brat albo ktoś inny po nią przyjdzie, i zasnęła z papierosem w ręce. Krążyły słuchy, że piła, może chciała się rozgrzać. Całe to miejsce poszło z dymem. W pobliżu znaleziono jej samochód z torbą pełną ubrań w bagażniku.

— Czy pamięta pan cokolwiek o Adelaide Modine, panie Tyler? Coś, co mogłoby wyjaśnić...

— Co wyjaśnić? — przerwał mi. — Dlaczego to zrobiła? Dlaczego ktoś jej w tym pomógł? Nie potrafię tego wyjaśnić, nawet samemu sobie. Na pewno coś w niej siedziało, coś silnego, a przy tym bardzo mrocznego, podłego. Coś panu powiem, panie Parker, ona była wcieleniem

największego zła, jakie zdarzyło mi się spotkać na tej ziemi, a widziałem już swoich braci wieszanych na drzewach i palonych żywcem. Ona była gorsza od sprawców tych okropności, bo chociaż bardzo się starałem, nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego robiła to, co robiła. Tego się nie da wytłumaczyć, no chyba że wierzy się w Piekło i Szatana. Tylko tak można to zrozumieć. Ona była diabłem wcielonym.

152

Przez chwilę się nie odzywałem, próbując poukładać sobie to, co zostało powiedziane. Walt Tyler przyglądał mi się, gdy myśli gnały tak przez moją głowę, i chyba wiedział, co to są za myśli. Nie mogłem winić go za to, że nie chciał powiedzieć, co wie o szeryfie i Williamie Modine. Wygłaszając zarzut tego rodzaju, mógł ściągnąć na siebie śmierć, a i tak nie dostarczyłby dowodu niewinności chłopaka, chociaż jeżeli Tyler miał rację, to młody Modine nie mógł być dzieciobójcą. Ale świadomość, iż ktoś zamieszany w zabójstwo jego córki mógłby uniknąć kary, musiała zadrećcać go przez wszystkie minione lata.

Pozostała do wysłuchania jeszcze jedna część opowieści.

— Następnego dnia odnaleziono dzieci, niedługo po rozpoczęciu poszukiwań — zakończył Tyler. — Młody człowiek, który wybrał się na polowanie, schronił się w Dane, opuszczonym domu Modine'ów, a jego pies zaczął drapać w prowadzące do piwnicy drzwi. Umieszczone były w podłodze jak zapadnia. Chłopak odstrzelił zamek i podążył za psem na dół. A potem pobiegł do domu i zawiadomił policję. Znaleźli cztery ciała, moją córeczkę i trzy inne. One...

Przerwał, twarz mu się zmarszczyła, ale nie zapłakał.

— Nie musi pan mówić dalej — rzekłem cicho.

— Nie, pan musi wiedzieć — odpowiedział. A po chwili mocniej, głosem podobnym do ryku rannego zwierzęcia: — Musi pan wiedzieć, co zrobili, co zrobili tym dzieciom, mojemu dziecku. Gwałcili je i torturowali. Moją małą dziewczynkę... Wszystkie jej paluszki były połamane, a kości wyrwane ze stawów.

Plakał już teraz jawnie, wielkie dłonie rozłożywszy jak w geście błagania przed Bogiem.

— Jak oni mogli zrobić to tym dzieciom? No jak? Powiedziawszy to, jakby zamknął się w sobie, a mnie się zdawało, że

zobaczyłem w oknie twarz kobiety i jej palce na szybie.

Siedzieliśmy z nim jeszcze przez chwilę, aż wreszcie wstaliśmy, by odejść.

— Panie Tyler — odezwałem się cicho — jeszcze jedna rzecz. Gdzie jest ten dom, w którym znaleziono dzieci?

— Pięć, sześć kilometrów stąd. Tam zaczynają się ziemie starego Modine[^]. Na początku drogi, która tam prowadzi, stoi kamienny krzyż. Z domu niewiele już zostało. To tylko kilka ścian, kawałek dachu. Państwo chciało go zburzyć, ale niektórzy z nas protestowali. Chcieliśmy, by przypominał o tym, co się tu stało, więc nadal stoi.

Zostawiliśmy go wreszcie, lecz schodząc po stopniach z werandy, usłyszałem za sobą jego głos.

153

— Panie Parker. — Głos brzmiał znowu mocno i pewnie, choć nadal dźwięczała w nim nuta smutku.

Obróciłem się, by go widzieć.

— Panie Parker, to miasto umarło. Straszą tu duchy zmarłych dzieci. Jeżeli znajdzie pan tę Demeter, niech pan jej powie, żeby wracała tam, skąd przyjechała. Tutaj znajdzie tylko smutek i nieszczęście. Niech jej pan to powie, kiedy ją pan znajdzie, słyszy pan?

Na krańcach zagrazonego ogrodu zaszumiwały drzewa i gdzieś poza linią widoczności, tam, gdzie ciemność jest niemal nieprzenikniona, coś się poruszyło. Cienie skakały to wprzód, to w tył, pozostając poza kręgiem rzucanego przez okna domu światła, a w powietrzu unosił się dziecięcy

śmiej.

I nagle pozostały tylko falujące w ciemności konary i głuche pobrzękiwanie łańcucha na podwórku.

ITE

Na Wybrzeżu Casuarina, na terytorium państwa Irian na Nowej Gwinei, mieszka plemię zwane Asmat. Liczy sobie jakieś dwadzieścia tysięcy ludzi i sieje strach wśród innych, sąsiadujących z nim plemion. W ich języku Asmat oznacza „ludzie” i skoro siebie w ten sposób nazywają, to wszyscy inni automatycznie zaliczeni zostają do kategorii „nie-ludzi”, co, rzecz jasna, pociąga za sobą pewne konsekwencje. Asmat mają dla nich własną nazwę: mówią na nich manowe, co oznacza Jadalni”.

Hyams nie potrafił wyjaśnić, dlaczego Adelaide Modine tak się zachowywała; równie bezsilny był Walt Tyler. A może ona i jej podobni mieli coś wspólnego z plemieniem Asmat. Pewnie oni także postrzegali innych jako coś nie należącego do ludzkiego gatunku, a więc ich cierpienie nie miało znaczenia, chyba że sprawiało innym przyjemność.

Przypomniała mi się rozmowa z Woolrichem, jaką odbyliśmy po spotkaniu z Tante Marie Aguiard w Luizjanie. Kiedy wróciliśmy do Nowego Orleanu, szliśmy w milczeniu po Royal Street, mijając posiadłość madame Lelaurie, gdzie pewnego razu niewolnicy zostali skuci łańcuchami i byli torturowani na strychu tak długo, aż znaleźli ich strażacy, a tłum wypędził madame Lelaurie z miasta. Doszliśmy do restauracji Tee Eva's na Ma-

154

gazine, gdzie Woolrich zamówił słodkie ziemniaki i piwo. Pociągnął kciukiem wzdłuż butelki, rysując ścieżkę na wilgotnym szkłe, i mokrym palcem potarł górną wargę.

— Czytałem raport z Biura w zeszłym tygodniu — rozpoczął. — To by- ło coś w rodzaju podsumowania na temat: co wiemy o seryjnych mordercach, gdzie jesteście i dokąd zmierzamy.

— A dokąd zmierzamy?

— Do piekła. Oni są jak wirusy, a ten kraj jest dla nich jak jedna wielka płytką Petriego. FBI szacuje, że co roku pięć tysięcy ludzi pada ofiarami seryjnych morderców. To czternaście osób dziennie. Ludzie, którzy oglądają programy Oprah Winfrey i Jerry'ego Springera albo biorą udział w dyskusji Jerry'ego Falwella, nie chcą o tym słyszeć. Czytają o mordercach w magazynach kryminalnych bądź oglądają ich w telewizji, ale tylko wtedy, kiedy jednego z nich złapiemy. A poza tym nie mają bladego pojęcia, co się dokoła nich dzieje.

Pociągnął wielki łyk piwa.

— W tej chwili na wolności działa przynajmniej dwustu takich morderców. Przynajmniej dwustu.

Rzucał teraz statystykami, każdą liczbę akcentując przy pomocy butelki, której szyjkę kierował w moją stronę.

— Dziewięciu na dziesięć to mężczyźni, ośmiu na dziesięć to biali, a jeden na pięciu nigdy nie zostanie złapany. Nigdy. A wiesz, co w tym wszystkim jest najdziwniejsze? W naszym kraju jest ich więcej niż gdziekolwiek indziej. Dobra, stara Ameryka produkuje tych skurwiele jak jakieś pieprzone maskotki. Trzy czwarte ogółu seryjnych morderców żyje i pracuje w tym kraju.

Jesteśmy wiodącym w świecie producentem tych bestii. To nic innego jak tylko choroba.

Jesteśmy chorzy i słabi, a oni są jak rak, który nas toczy: im szybciej się rozwijamy, tym szybciej oni się mnożą. No bo wiesz, im nas jest więcej, tym bardziej się od siebie oddalamy. Żyjemy prawie jeden na drugim, ale duchowo, społecznie i moralnie jesteśmy sobie bardziej obcy niż kiedykolwiek. I przychodzą ci faceci, ze swoimi nożami i linami, a są bardziej wyizolowani od pozostałych. Niektórzy z nich posiadają nawet instynkt gliniarza. Jeden drugiego potrafi dosłownie wywąchać. W lutym znaleźliśmy w Angoli faceta, który kontaktował się z

podejrzany dzieciobójcą z Seattle za pomocą kodów biblijnych. Nie mam pojęcia, jak te dwa świry się odnalazły, dość, że im się to udało. Dziwna rzecz, ale większość z nich jest w jeszcze gorszej sytuacji niż reszta ludzkości. Są niespełnieni — seksualnie, emocjonalnie, fizycznie, jak się tylko da — i wyładowują się na ludziach dookoła. Nie mają... — Potrząsnął rękami w powietrzu, jakby szukając odpowiedniego słowa. — ...wizji.

155

Nie mają szerszego pojęcia o tym, co mogliby robić. Ich działania nie mają żadnego celu. Są tylko widzialnym skutkiem jakiejś fatalnej skazy. A ludzie, których mordują, są tak głupi, że nie rozumieją w ogóle tego, co się wokół nich dzieje. Sam fakt, że ci mordercy istnieją, jest jak alarm dla ludzkości, ale nikt tego alarmu nie słyszy, a dystans między nimi a nami wciąż się zwiększa. Oni widzą jedynie tę rosnącą odległość i wyciągają po nas swe łapy. Możemy tylko mieć nadzieję, że jeżeli będą to robić wystarczająco często, w końcu dostrzeżemy w tym jakiś schemat i znajdziemy coś, co nas połączy, i to będzie most, który pozwoli nam pokonać ten dystans. Skończył piwo i uniósł butelkę, zamawiając następne.

— To ten dystans — powtórzył z oczami utkwionymi w ulicy, lecz wzrokiem sięgając gdzieś dalej — dystans między życiem a śmiercią, niebem a piekłem, nami a nimi. Muszą go pokonać i zbliżyć się do nas na tyle blisko, by nas dostać, ale to tylko kwestia dystansu. To ich właśnie kręci.

Deszcz bił o przednią szybę, a mnie przyszło do głowy, że Adelaide Modine, Podróżnik i tysiące im podobnych, którzy włóczyli się po kraju, wszyscy oni byli zjednoczeni przez ów dystans dzielący ich od tłumu pospolitych ludzi. Byli jak mali chłopcy, którzy dręczą zwierzęta albo wyjmują z wody ryby, aby patrzeć, jak te się rzucają i w przedśmiertnych drgawkach z trudem łapią powietrze.

Jednak Adelaide Modine wydawała się nawet gorsza od wielu innych, bo była kobietą, a to, co zrobiła, stanowiło nie tylko naruszenie prawa i zasad moralności, jakkolwiek byśmy nie nazwali granic, które nas razem trzymają i nie pozwalają się nawzajem pozabijać; to było wbrew naturze. Kobieta, która zabija dziecko, wywołuje w nas coś potężniejszego niż zwykły wstręt i przerażenie. Budzi w nas rozpacz, brak wiary w fundamenty, na których zbudowaliśmy swoje życie. Niczym Lady Makbet błagająca o pozbawienie jej kobiecości, by mogła zabić starego króla, kobieta mordująca dziecko wydaje się wynaturzonym stworem odseparowanym od własnej płci. Adelaide Modine była jak wiedźma u Miliona, „wabiona zapachem krwi noworodka”. Nie potrafię pogodzić się ze śmiercią dziecka. Zabić dziecko to jak zabić nadzieję, odebrać przyszłość. Pamiętam, jak przysłuchiwałem się oddechom Jennifer, obserwowałem unoszącą się i opadającą klatkę piersiową mojej małej córeczki, jaki byłem wdzięczny, jaką ulgę czułem przy każdym jej wdechu i wydechu.

Kiedy płakała, kołysałem ją do snu na rękach, czekając, aż szloch z wolna przejdzie w łagodny rytm spoczynku. A gdy już spała, nachylałem

156

się powoli, ostrożnie, mimo bólu pleców spowodowanego niewygodną pozycją, i kładłem ją do łóżeczka. Kiedy mi ją odebrano, to jakby świat umarł i nie było już dla mnie przyszłości. Zbliżając się do motelu, czułem coraz większy ciężar rozpacz. Hyams twierdził, że nie widział w Modine'ach nic, co by wskazywało na głębię zła, które w nich tkwiło. Walt Tyler, jeżeli mówił prawdę, widział to zło tylko w Adelaide. Ona zaś mieszkała wśród tych ludzi, dorastała, może nawet się z nimi bawiła, chodziła do kościoła, widziała, jak się pobierają, jak rodzą im się dzieci, a potem zaczęła na nich żerować i nikt jej nawet nie podejrzewał.

Zapragnąłem chyba mocy, której nie mogłem otrzymać: chciałem osiąść zdolność dostrzegania zła, tak by spojrzeć na twarze w pokoju pełnym ludzi i odnaleźć znaki rozkładu i zepsucia. W

tym momencie przypomniałem sobie sprawę morderstwa w stanie Nowy Jork sprzed kilku lat. Trzynastoletni chłopiec zabił młodszego kolegę gdzieś w lesie, po prostu zatłukł go na śmierć kamieniem. W pamięci utkwiły mi słowa jego dziadka: „Mój Boże — powiedział. — Powinienem być zobaczyć to jakoś. Powinienem być coś dostrzec”.

— Czy istnieją jakieś zdjęcia Adelaide Modine? — zapytałem w końcu. Martin zmarszczył brwi. — Powinno być jedno w aktach ze śledztwa. Może jest też coś w bibliotece. W piwnicy znajduje się coś w rodzaju archiwum miejskiego, roczniki, zdjęcia z gazet. Może coś się tam znajdzie. Dlaczego pan pyta?

— Z ciekawości. Tak dużo się tu wydarzyło z jej powodu, a ja nie potrafię sobie tej kobiety wyobrazić. Może po prostu chcę się dowiedzieć, jak wyglądały jej oczy.

Martin spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

— Poproszę Laurie, żeby przejrzała archiwum w bibliotece. Burnsowi każę poszperać w naszych aktach, ale to może trochę potrwać. Wszystko przechowywane jest w pudłach i nie istnieje żaden katalog. Niektóre dokumenty nie są nawet ułożone chronologicznie. Zaspokojenie pańskiej ciekawości będzie wymagało sporo pracy.

— Tym większa będzie moja wdzięczność.

Chrząknął i nic przez chwilę nie mówił. Kiedy po naszej prawej stronie pojawił się motel, Martin zatrzymał samochód.

— A co do Earla Lee...

— Tak?

— Szeryf to dobry człowiek. Z tego, co słyszałem, po tych morderstwach trzymał to miasto w kupie razem z doktorem Hyamsem i kilkoma innymi. To uczciwy człowiek i nic do niego nie mam.

157

— Jeżeli Tyler nie kłamie, to może powinien pan mieć.

— Może i tak — przytaknął. — Jeżeli nie kłamie, to już sam szeryf musi żyć z tym, co zrobił.

To człowiek udręczony przez przeszłość i przez samego siebie. Nie zazdroszczę mu niczego poza jego siłą.

Rozłożył szeroko ręce i lekko wzruszył ramionami.

— Jakaś część mnie mówi, że powinien pan tu zostać i porozmawiać z nim, kiedy wróci, ale rozsądek podpowiada, że byłoby lepiej dla nas wszystkich, gdyby załatwił pan swoją sprawę i wyjechał.

— Szeryf się z panem kontaktował?

— Nie. Miał jakiś urlop do wykorzystania i pewnie dlatego go jeszcze nie ma. Trudno mieć mu to za złe. To samotny człowiek. Facet, który lubi towarzystwo innych mężczyzn, raczej nie znajdzie tu szczęścia.

— Nie — przyznałem, a neon Karczmy zamrugał nad naszymi głowami. — Raczej nie.

Wezwanie nadeszło niemal natychmiast, jak tylko Martin ruszył od krawężnika. W ośrodku zdrowia zmarła niezidentyfikowana kobieta, która próbowała mnie zabić poprzedniej nocy. Gdy zajechaliśmy na miejsce, wjazd na parking blokowały dwa radiowozy i dostrzegłem dwóch agentów FBI rozmawiających przy drzwiach budynku. Dzięki Martinowi jakoś przejechaliśmy, a gdy wysiadaliśmy z samochodu, fedzie zgodnie podeszli do nas z wyciągniętymi pistoletami.

— Spokojnie! — krzyknął Martin. — On był cały dzień ze mną. Odlóżcie broń, chłopcy.

— Zatrzymamy go aż do przyjazdu agenta Rossa — rzekł jeden z nich,

0 nazwisku Willox.

— Nie będziecie nikogo aresztować ani zatrzymywać, dopóki nie dowiemy się, co tu zaszło.

— Ostrzegam, że w tej sprawie zastępca szeryfa nie ma nic do powiedzenia.

W tym momencie z ośrodka wyszli zaalarmowani krzykami Wallace

1 Burns. Trzeba im to oddać, że zachowali się bardzo właściwie, stając u boku Martina z dłońmi tuż przy kolbach pistoletów.

— Już mówiłem, dajcie sobie spokój — rzekł Martin bez nerwów. Federalni chyba mieli jeszcze coś do powiedzenia, ale w końcu schowali broń do kabur i odsunęli się.

— Agent Ross dowie się o wszystkim — syknął Willox, ale Martin po prostu go wyminął.

Wallace i Burns weszli z nami do pokoju, gdzie leżała kobieta.

— Co się stało? — zapytał Martin.

158

tli

Wallace zrobił się czerwony jak burak i zaczął bełkotać.

— Cholera, Alvin, było zamieszanie przed ośrodkiem i...

— Jakie zamieszanie?

— Pożar silnika w samochodzie jednej z pielęgniarek. Nie wiadomo skąd. Nikogo w środku nie było, a ona nigdzie od rana nie wyjeżdżała. Odszedłem od drzwi tylko na pięć minut. Kiedy wróciłem, ta kobieta wyglądała właśnie tak...

Podeszliśmy do drzwi; zobaczyłem bladą, woskową skórę i krew na poduszce przy lewym uchu. Wystawało z niego coś metalowego z drewnianą rączką. Okno, przez które wszedł morderca, było wciąż otwarte; zbił szybę, żeby odsunąć zasuwę. Na podłodze leżał kawałek szarego papieru z przyklejonymi do niego odłamkami szkła. Ten, kto zabił tę kobietę, zadał sobie wiele trudu, pokrywając papier syropem albo klejem, by stłumić dźwięk tłuczonej szyby i hałas, jaki mogła uczynić, spadając na podłogę.

— Kto był tu jeszcze oprócz ciebie?

— Lekarka, pielęgniarka i ci dwaj fedzie — odpowiedział Wallace. Starsza lekarka o imieniu Elise pojawiła się za naszymi plecami. Wyglądała na zmęczoną i wstrząśniętą.

— Jak to się stało? — zapytał Martin.

— Jakieś ostrze, chyba szpikulec do lodu, zostało wepchnięte w ucho i do mózgu. Umarła, zanim weszliśmy.

— Nie wyjmujcie go — polecił w zamyśleniu zastępca szeryfa.

— Prosta robota i bez bałaganu — zauważyłem. — Nie ma nic, co mogłoby wskazać na związek mordercy — mężczyzny czy kobiety — z tym, co się tu stało, o ile, rzecz jasna, w ogóle zostanie złapany.

Martin odwrócił się do mnie plecami i zaczął rozmawiać ze swoimi podwładnymi. Zostawiłem ich i ruszyłem w stronę łazienki. Wallace obejrzał się na mnie, a ja zrobiłem minę, jakbym się dusił. Odwrócił pełen pogardy wzrok.

Spędziłem w łazience dosłownie kilka sekund i wymknąłem się z ośrodka tylnym wejściem.

Miałem coraz mniej czasu. Wiedziałem, że Martin będzie mnie wałkował, próbując wyciągnąć informacje o tym, kto na mnie polował. Do tego agent Ross deptał mi po piętach. Mógł mnie zatrzymać przynajmniej do czasu, aż dowiedziałby się tego, czego chciał się dowiedzieć, a wtedy musiałbym się pożegnać z nadzieją odnalezienia Catherine Demeter. Wróciłem do motelu, gdzie wciąż stał mój samochód, i wyjechałem z Haven.

159

BWtEJM

Drogę prowadzącą do ruin domu Dane pokrywało błoto i samochód brnął z wielkim trudem, jakby sama natura chciała mi przeszkodzić w dotarciu do celu. Znowu zaczęło lać, a wycieraczkii nie dawały sobie rady ze strugami wody i porywami wiatru. Wypatrzyłem kamienny krzyż i skręciłem. Za pierwszym razem minąłem dom, orientując się w błędzie dopiero wtedy, gdy droga

zmieniła się w bajoro błota, pełne zwalonych, zmurszałych drzew, zmuszając mnie do tego, bym zawrócił. W końcu dostrzegłem dwa małe słupy po lewej stronie, a między nimi ściany prawie pozbawionego dachu domu, który przez moment zarysował się na tle ciemniejącego nieba. Zatrzymałem się pod pozbawionymi szyb oknami i ziejącym pustką otworem, który kiedyś stanowił wejście; fragmenty nadproża sterczały z ziemi jak spróchniałe zęby. Spod siedzenia wyjąłem ciężką latarkę i wyszedłem z samochodu; deszcz bił mnie boleśnie po głowie, kiedy biegłem w kierunku wątpliwego schronienia, jakie mogły dać mi ruiny.

Nie było prawie połowy dachu, a to, co zostało, wciąż wyglądało na zwęglone i poczerniałe. W środku znajdowały się trzy pomieszczenia: sądząc po szczątkach starego pieca w rogu, jednym była kuchnia z aneksem jadalnym; dalej główna sypialnia, teraz pusta — został tam jedynie brudny materac, wokół którego, jak zrzuczone skóry węża, leżały zużyte prezerwatywy; w końcu mniejszy pokój, który mógł być kiedyś pokojem dziecięcym, ale teraz pełno tam było starego drewna i zardzewiałych, metalowych sztab i puszek po farbie, zostawionych tam przez kogoś, komu nie chciało się wywozić ich na miejskie wysypisko. Wszędzie unosił się zapach spalonego drewna, wygasłego ognia i ludzkich odchodów.

W jednym rogu kuchni stała kanapa, jej sprężyny wykwiwały wśród butwiejących poduszek. Stanowiła podstawę trójkąta tworzonego ze ścianami, z których zwisały wyblakłe fragmenty grubej, kwiecistej tapety. Skierowałem światło latarki za mebel, wspierając się jedną ręką na jej oparciu. Materiał był wilgotny, ale nie mokry, pozostałości dachu wciąż chroniły go przed najgorszym z żywiołów.

Za kanapą, tuż przy ścianach, część podłogi tworzyły drzwi zapadowe o długości boku około metra z każdej strony. Były zamknięte, a brzegi pokrywała warstwa ziemi i brudu. Zawiasy przeżarła rdza, zaś po prawie całej powierzchni kłap, walały się kawałki metalu.

Odsunąłem kanapę, by przyjrzeć się drzwiom z bliska i podskoczyłem, widząc pędzącego obok moich stóp szczura. Przepadł w ciemności odległe-

160

ffo kąta pokoju i zapadła cisza. Przykucnąłem, by zbadać zamek i rygiel, \nożem zdrapałem nieco brudu w okolicach dziurki od klucza. Pod spodem błysnęła nowa stal. Przejechałem ostrzem wzdłuż zasuw, odsłaniając nitkę metalu, która w ciemności błyszcząca jak roztopione srebro. Spróbowałem zrobić to samo z zawiasem, ale dokopałem się tylko do łuszczącej się rdzy. Rygielkowi poświęciłem dłuższą chwilę. To, co wydawało się rdzą, teraz wyglądało jak lakier, który ktoś starannie położył, by stopił się z całą powierzchnią drzwi. Pozorne zniszczenie zasuw można było sfabrykować, przyczepiając ją do tylnej osi samochodu i ciągnąc po zrytych koleinami drogach tej części kraju. Ktoś to sprytnie wykombinował, ale mogli się na to nabrać tylko nastolatki poszukujący wrażeń w domu zmarłych albo urwisy stawiające przed sobą nawzajem wyzwanie, by wywołać duchy dawno nieżyjących dzieci.

Miałem w samochodzie łom, ale nie chciałem wychodzić na siekący deszcz. Przeszukałem pokój z pomocą latarki i znalazłem długą na jakieś pół metra stalową sztabę. Podniosłem ją, zważyłem w dłoni, wetknąłem pod zamek i nacisnąłem. Przez moment wydawało się, że sztaba może się wygiąć albo pęknąć pod naporem, ale nagle rozległ się zgrzyt i zamek odpadł. Zdjąłem zasuwę i uniosłem skrzydło drzwi na jego pojękujących zawiasach.

Z piwnicy uniósł się mocny, uderzający odór rozkładu, aż żołądek podszedł mi do gardła. Zakryłem usta ręką i odskoczyłem do tyłu, ale i tak chwilę później wymiotowałem za kanapą, czując w nozdrzach własny smród i fetor z piwnicy. Kiedy doszedłem do siebie i zaczerpnąłem świeżego powietrza na zewnątrz, pobiegłem do samochodu po szmatę do okien. Spryskałem ją płynem do odszraniania szyb i owinąłem wokół ust. Zakręciło mi się w głowie, ale na wszelki wypadek włożyłem pojemnik z płynem do kieszeni i wróciłem do domu.

Mimo że starałem się oddychać ustami, w których czułem smak płynu do szyb, odór rozkładu przedarł się przez szmatę. Ostrożnie wszedłem na drewniane schody, opierając lewą rękę na poręcz; w prawej trzymałem latarkę, świecąc sobie pod nogi. Nie miałem ochoty potknąć się na uszkodzonym stopniu i zanurkować w ciemność.

Na dole schodów promień lampy wychwycił błysk metalu i niebiesko-szary materiał. Leżał tam dobrze zbudowany mężczyzna po sześćdziesiątce z podkulonymi nogami i zakutymi w kajdanki rękoma na plecach. Jego twarz była sinobiała, a na czole miał poszarpaną ranę w kształcie eksplodującej gwiazdy. Początkowo, gdy skierowałem na nią snop światła, pomyślałem, że to rana wlotowa, ale potem oświetliłem tył głowy i dostrzegłem ziejącą dziurę, gnijące ciało i biel kręgosłupa.

161

Zapewne pistolet przystawiono mu bezpośrednio do głowy. Wokół rany na czole rozmazany był proch, a kształt gwiazdy nadały jej eksplodujące przy kości gazy, które rozciągnęły i rozdarły skórę. Kula wyszła, niszcząc tkankę, zabierając ze sobą prawie całą tylną część czaszki. Rana wlotowa tłumaczyła również niezwykłą pozycję ciała: klęczał, kiedy został zastrzelony, patrzył na lufę pistoletu, gdy się do niego zbliżała, a potem poleciał do tyłu i na bok, gdy wystrzelono. W kieszeni kurtki znalazłem portfel z prawem jazdy i legitymacją policyjną, identyfikującymi go jako Earla Lee Grangera.

Catherine Demeter leżała pod przeciwległą ścianą, niemal dokładnie na wprost schodów. Granger ją pewnie zobaczył, kiedy zszedł, a raczej został zepchnięty ze schodów. Wspierała się o ścianę jak szmaciana lalka, nogi miała rozłożone, a ręce, dłońmi zwrócone ku górze, spoczywały na podłodze. Jedna noga, złamana pod kolanem, leżała nienaturalnie zgięta pod dziwnym kątem i domyśliłem się, że dziewczyna została zrzucona ze schodów i zaciągnięta pod ścianę.

Strzelono do niej raz, w twarz, z małej odległości. Zasnęta krew, tkanka mózgowa i fragmenty kości otaczały głowę jak krwawa aureola na ścianie. Oba ciała szybko zaczęły gnić w piwnicy, która zdawała się dłuższa i szersza od reszty domu.

Na skórze Catherine pojawiły się pęcherze, a z nosa i oczu wyciekał płyn. Pajaki i krocionogi biegały po jej twarzy i przemykały wśród włosów, poszukując robaków i roztoczy, które już zaczęły trawić ciało. W powietrzu brzęczały muchy. Prawdopodobnie nie żyła od dwóch lub trzech dni. Rozejrzałem się szybko po piwnicy, ale nie było tam nic, oprócz kilku paczek gnijących gazet, kartonów ze starymi ciuchami i stosu wypaczonych drewnianych beli, pozostałości życia, które tu dawniej tętniło.

Odgłos szurania nade mną i skrzywienie drewna, mimo ostrożnie stawianych kroków, sprawiły, że obróciłem się szybko i rzuciłem do schodów. Ten na górze usłyszał mnie, bo przyspieszył kroku, nie zważając na hałas, który robił. Stałem już na schodach, gdy usłyszałem pisk zawiasów, plama rozgwieżdżonego nieba gwałtownie zmaląła, a kłapa opadła. Przez otwartą połówkę padły dwa strzały, a kule trafiły w ścianę za mną.

Druga kłapa też już prawie zrównała się z podłogą, gdy udało mi się w szczelinę wcisnąć latarkę. Ten ktoś chrząknął i poczułem, że zaczyna kopać latarkę, tak że musiałem mocniej zacisnąć dłoń, by nie dać jej sobie wytrącić. Trzymałem mocno, choć od parcia w górę i zaciskania ręki bolało mnie już zranione ramię.

Napastnik stał całym ciężarem na drzwiach i przez cały czas usiłował kopniakami wytrącić mi latarkę z ręki. Wydawało mi się, że usłyszałem

162

pisk zaalarmowanych szczurów, ale perspektywa zatrzaśnięcia w piwnicy sprawiła, że nie zwróciłem na to większej uwagi. Pomyślałem, że mogę usłyszeć Catherine Demeter ciągnącą swą strzaskaną kończynę po podłodze i w górę, po schodach, że jej białe palce mogą chwycić

moją nogę i ściągnąć mnie na dół.

Zawiodłem ją. Nie uchroniłem jej przed tragicznym końcem w tej piwnicy, gdzie wcześniej czworo dzieci zginęło tragiczną, cichą śmiercią. Powróciła na miejsce, gdzie zaginęła jej siostra, i jak w błędnym kole, znalazła śmierć, którą w myślach musiała przedtem przeżywać wiele razy. Na krótko przed skonaniem zobaczyła, przez co przeszła Amy. A gdybym teraz został w tej piwnicy, dotrzymałaby mi towarzystwa, pocieszałaby, kiedy nawiedzałyby mnie myśli o własnej słabości i beznadziejności w obliczu jej śmierci, leżałaby przy mnie w chwilach mego konania. Kiedy ciężko dyszałem przez zaciśnięte zęby, miałem wrażenie, że smród rozkładu położył mi sztywną dłoń na ustach i nozdrzach. Poczułem, jak wszystko znowu podchodzi mi do gardła, ale zdusiłem to w sobie, bo byłem pewien, że gdybym przestał napierać na klapę choćby na krótką chwilę, to byłby mój koniec. Napór nade mną na chwilę zelżał i z całej siły, jaka mi pozostała, nacisnąłem na drzwi. To był błąd, który on wykorzystał. Kopnięta mocno latarka wypadła przez powiększoną szczelinę. Drzwi zatrzasnęły się jak wieko trumny, a echo, drwiąc ze mnie, odbiło się od ścian. Jęknąłem z rozpaczy i daremnie spróbowałem pchnąć klapę; w tym samym momencie usłyszałem huk, nacisk ustąpił, a skrzydło otwieranych drzwi upadło na podłogę z drugiej strony.

Wypadłem na zewnątrz, sięgając do kurtki po pistolet; latarka rzucała na ściany i sufit dzikie cienie, kiedy boleśnie upadłem na podłogę.

W jej świetle dostrzegłem prawnika Connella Hyamsa, opierającego się o ścianę tuż przy krawędzi drzwi, lewą ręką trzymającego się za zraniony bark, a prawą usiłującego unieść pistolet. Jego garnitur był przemoczony, a czysta, biała koszula kleiła się do ciała jak druga skóra.

Osaczyłem go w świetle latarki, z pistoletem wyciągniętym w drugą rękę.

— Nie próbuj — ostrzegłem, ale on już unosił broń, krzywiąc się z bólu i strachu.

Rozległy się dwa strzały. Ale to nie Hyams wypalił. Drgnął, kiedy do-sięgły go kule, i przeniósł wzrok ze mnie na coś ponad moim ramieniem. Gdy się osuwał, ja stałem już obrócony, a moja broń powędrowała za światłem latarki. Przez otwór okienny dostrzegłem znikającą w mroku szczy-Płą sylwetkę człowieka z bliźną biegnącą w poprzek wąskiej, trupiej twarzy.

163

Może powinienem był wtedy zawiadomić Martina i pozwolić policji i FBI zająć się resztą. Czuję się chory i znużony, wypełniało mnie przytłaczające poczucie straty i obawiałem się, że w końcu opuści mnie odwaga. Śmierć Catherine Demeter była jak fizyczny ból, który sprawił, że przez chwilę leżałem na ziemi naprzeciw skulonego ciała Hyamsa i jak w agonii trzymałem się za brzuch. Usłyszałem samochód, którym odjeżdżał Bobby Sciorra.

Na ten dźwięk podniosłem się z ziemi. To on zabił tę kobietę w ośrodku zdrowia, prawdopodobnie z polecenia starego, który bał się, że mogłaby zamieszać Sonny'ego w usiłowanie zabójstwa. Nie rozumiałem jednak, dlaczego zabił Hyamsa, a mnie oszczędził. Mimo bólu żołądka doznałem do samochodu i ruszyłem w stronę domu prawnika.

↳ ii ii

3) ii ii

Po drodze próbowałem zebrać myśli. Catherine Demeter, chcąc skontaktować się z Grangerem, wróciła do Haven i przeszkodził jej Hyams. Może o tym, że ona tu jest, dowiedział się przez przypadek; a może ktoś go poinformował o jej przybyciu i zmusił Hyamsa, by przeszkodził jej, zanim miała okazję z kimkolwiek porozmawiać.

Hyams zabił Catherine i Grangera, tego byłem pewien. Domyśliłem się, że czekał na powrót szeryfa i wszedł za nim do jego domu. Możliwe, że jako sąsiad i zaufany obywatel miał klucz do jego domu, mógł wysłuchać wiadomości na sekretarce i dowiedzieć się o miejscu pobytu Catherine. Zginęła, zanim szeryf wrócił: ciało Grangera nie uległo rozkładowi w takim stopniu

jak ciało panny Demeter.

Być może Hyams nawet skasował wiadomości na sekretarce, ale nie miał pewności, że szeryf nie odsłuchiwał ich wcześniej z innego telefonu. Tak czy inaczej, nie mógł ryzykować i musiał działać — prawdopodobnie pozbawił szeryfa przytomności, założył mu kajdanki i zabrał do ruin, gdzie wcześniej zabił Catherine Demeter. Samochód Grangera został zapewne gdzieś porzucony albo wywieziony do innego miasta i pozostawiony w miejscu, gdzie przynajmniej przez jakiś czas nie zwracałby niczyjej uwagi.

Fakt, że Hyams działał w ruinach, stanowił kolejny element układanki: byłem prawie pewien, że to on był współnikiem Adelaide Modine, czło-

164

wiekiem, z powodu którego powieszono Williama Modine'a. To zaś prowadziło do kolejnego pytania: co kazało mu działać teraz? I chyba znałem na nie odpowiedź, chociaż ta ewentualność przyprawiała mnie o mdłości.

Kiedy dotarłem na miejsce, dom tonął w ciemnościach. W pobliżu nie było żadnego samochodu, ale broń wolałem trzymać w pogotowiu. Na samą myśl o spotkaniu Bobby'ego Sciorry przebiegł mi po plecach dreszcz, a kiedy otwierałem drzwi kluczami wyjętymi z marynarki Hyamsa, zaczęły mi się trząść ręce.

W domu panowała cisza. Z bijącym sercem i palcem na spuście pistoletu chodziłem od pokoju do pokoju. Wszędzie było pusto. Ani śladu Sciorry.

Przeszedłem do gabinetu Hyamsa, zasunąłem zasłony i włączyłem stojącą na biurku lampę. Komputer był zabezpieczony hasłem, ale ktoś taki jak Hyams musiał posiadać wydruki wszystkich dokumentów. Nie byłem nawet pewien, czego szukam, wiedziałem tylko, że musi to być coś, co łączyłoby Hyamsa z rodziną Ferrera. Taki związek wydawał się niemal absurdalny i przez chwilę kusilo mnie, żeby dać sobie spokój z szukaniem, powrócić do Haven i wytłumaczyć wszystko Martinowi i agentowi Rosso-wi. Wiele można było zarzucić rodzinie Ferrera, ale nie to, że byli mordercami dzieci.

Wśród kluczy znalezionych przy zwłokach Hyamsa był też ten od jego szafki z dokumentami. Działalem szybko, pomijając akta dotyczące wydarzeń lokalnych i innych, nie związanych ze sprawą. Nie znalazłem żadnych papierów powiązanych z działalnością Funduszu, co mnie zdziwiło, lecz zaraz potem przypomniałem sobie o jego kancelarii w mieście. Jeżeli nie trzymał w domu dokumentów Funduszu, to możliwe, że nie było tu także innych akt. W takim wypadku dalsze poszukiwania mogły okazać się bezowocne.

W końcu o mało co nie pominąłem tego, czego szukałem, i tylko częściowo zapamiętane włoskie frazy kazały mi przystanąć i pomyśleć. Znalazłem umowę najmu magazynu we Flushing, Queens, podpisaną przez Hyamsa w imieniu firmy o nazwie Circe. Umowa nosiła datę sprzed pięciu lat i została zawarta z firmą Mancino Inc. Pamiętałem, że Mancino po włosku oznacza „leworęczny”, a pochodzi od innego słowa, oznaczającego „kłamliwy”. Sonny Ferrera lubił takie rebusy: był leworęczny, a Mancino Inc. stanowiła jedną z fikcyjnych firm założonych przez niego dawno temu, zanim jeszcze zdegenerował się do poziomu chorego, niebezpiecznego świra zagrażającego działalności rodziny.

Wyszedłem z domu i wsiadłem do samochodu. Dojeżdżając do miasta, spostrzegłem stojącą na poboczu furgonetkę. Z tyłu dwie osoby piły piwo

165

z puszek owiniętych w papierowe torebki, podczas gdy trzecia stała z rękami w kieszeniach oparta o samochód. W światłach samochodu zauważyłem, że stojącym mężczyzną był Clete, a jednym z pijących piwo Gabe. Trzeciego, szczupłego gościa z brodą, nie znałem. Kiedy ich mijalem, spojrzenie Clete'a spotkało się z moim i zobaczyłem, jak Gabe wychyla się w jego

kierunku, mówiąc coś, ale Clete tylko uniósł rękę. Widziałem, jak patrzy za mną, stojąc w światłach furgonetki, ciemny cień na jasnym tle. Zrobiło mi się go prawie żal: szansę, że Haven stanie się małym Tokio, równe już były praktycznie zeru.

Do Martina zadzwoniłem dopiero, kiedy dojechałem do Charlottesville.

— Tu Parker. Jest ktoś z tobą?

— Tkwię u siebie w biurze, a ty po szyję w gównie. Po co było tak nagle zwiewać? Jest tu Ross i chce się dostać do tyłków nas wszystkich, a najbardziej do twojego. Człowieku, kiedy wróci Earl Lee, zrobi się tu piekło.

— Posłuchaj mnie. Granger nie żyje. Catherine Demeter też. Podejrzewam, że zabił ich Hyams.

— Hyams? — wykrzyknął piskliwie Martin. — Ten prawnik? Tobie chyba odbiło.

— On też nie żyje. — Ta fraza zaczynała przypominać wyświechtany żart, z tym że nie było się z czego śmiać. — Chciał mnie stuknąć w ruinach domu Dane. Ciało Grangera i Catherine leżą w piwnicy. Znalazłem je, a Hyams próbował mnie tam zamknąć. Doszło do jakiejś strzelaniny i on nie żyje. Pojawił się tam ktoś jeszcze, człowiek, który zabił kobietę w ośrodku zdrowia.

Nie zamierzałem wymieniać nazwiska Bobby'ego Sciorry, jeszcze nie. Martin przez chwilę nic nie mówił.

— Musisz tu wrócić. Gdzie jesteś?

— To jeszcze nie koniec. Musisz mnie dalej kryć przed federalnymi.

— Nie mam najmniejszego zamiaru. Przez ciebie to miasto zamieniło się w kostnicę i jesteś podejrzany o sam nie wiem ile morderstw. Wracaj-I tak siedzisz już w niezłym bagnie.

— Przykro mi, ale nie mogę. Posłuchaj, Hyams zabił Demeter, żeby nie mogła skontaktować się z szeryfem. Sądzę, że był współnikiem Adela-ide Modine w zabójstwach dzieci. Jeżeli mam rację, jeżeli on uciekł przed odpowiedzialnością, mogło się to udać także jej. Mógł upozorować jej śmierć. Przez swojego ojca miał dostęp do jej karty stomatologicznej. Mógł ją zamienić z danymi innej kobiety, jakiejś migrującej robotnicy, może kogoś z innego miasta, nie wiem. A Catherine Demeter wyraźnie coś nie da-

166

wało spokoju. Coś kazało jej tu wrócić. Myślę, że Catherine ją widziała. Uważam, że zobaczyła gdzieś Adelaide Modine, bo nie ma innego powodu, dla którego dziewczyna by tu przyjechała i po tylu latach chciała rozmawiać z szeryfem.

Po drugiej stronie zapanowała cisza.

— Ross wygląda jak wulkan w płóciennym garniturze. Dostanie cię w swoje łapy. Wziął twoje numery rejestracyjne z książki meldunkowej motelu...

— Potrzebna mi twoja pomoc.

— I mówisz, że Hyams był w to zamieszany...?

— Tak. Czemu pytasz?

— Kazałem Burnsowi przejrzeć nasze kartoteki. Myślałem, że zabierze to więcej czasu. Earl Lee ma... miał akta dotyczące tamtych morderstw. Przeglądał je od czasu do czasu. A przedwczoraj szukał ich Hyams.

— Sądzę, że gdy je znajdziecie, nie będzie w nich żadnych zdjęć. Przypuszczam, że Hyams szukał ich w domu szeryfa. Musiał zniszczyć wszystkie ślady po Adelaide Modine, wszystko, co mogłoby doprowadzić do odkrycia jej nowej tożsamości.

Niełatwo jest zniknąć. Papiery, publiczne i prywatne akta, są gromadzone i wędrują za nami od urodzenia. W przypadku większości z nas określają, czym jesteśmy dla państwa, dla rządu, dla wymiaru sprawiedliwości. Nie oznacza to jednak, że zniknięcie jest w ogóle niemożliwe.

Wystarczy zdobyć nową metrykę urodzenia, na przykład przyjąć nazwisko i datę urodzenia kogoś, kto już nie żyje, a potem postarzyć dokument, nosząc go przez tydzień w bucie. Następnie

trzeba postarać się o kartę biblioteczną i kartę wyborcy. Potem wystarczy iść do urzędnika Wydziału Komunikacji, błysnąć metryką i dostaje się nowe prawo jazdy. To efekt domina, każdy krok bazuje na wiarygodności dokumentów już uzyskanych.

Ale najłatwiej jest przyjąć dane innej osoby, kogoś, kogo nikt nie będzie poszukiwał, najlepiej z marginesu. Domyślałem się, że z pomocą Hyamsa Adelaide Modine przyjęła tożsamość dziewczyny, która spłonęła w ruinach domu w Wirginii.

— Jest coś jeszcze — ciągnął Martin. — ModineWie mieli osobną teczkę. Wszystkie zdjęcia stamtąd też zniknęły.

— Czy Hyams mógł mieć do nich dostęp? Usłyszałem, jak wzdycha.

— Jasne — rzekł w końcu. — Był tutejszym prawnikiem. Wszyscy mu ufali.

— Sprawdźcie jeszcze raz motele. Myślę, że w którymś z nich znajdziecie rzeczy Catherine. Może w nich coś będzie...

167

— Człowieku, musisz tu wrócić, zrobić z tym porządek. Mamy mnóstwo trupów, a ty jesteś z nimi wszystkimi powiązany. Ja nie mogę zdziałać nic ponadto, co już zrobiłem.

— Więc rób to, co możesz. Ja nie wracam. Rozłączyłem się i wybrałem następny numer.

— Słucham? — odezwał się głos w słuchawce.

— Angel? Tu Bird.

— Gdzie ty, kurwa, jesteś? Tu wszystko się przewracało do góry nogami. Dzwonisz z komórki? Zadzwoń ze zwykłego.

Chwilę później dzwoniłem z budki przed sklepem spożywczym.

— Goryle starego dorwały Pilięgo Pilara. Trzymają go i czekają na Bobby'ego Sciorrę, aż wróci z jakiejś wycieczki. Źle się dzieje. Trzymają go w zamknięciu gdzieś u Ferrery —jak tylko ktoś z nim pogada, dostanie kulkę w łeb. Jedynie Bobby ma do niego dostęp.

— A mają już Sonny'ego?

— Nie, jeszcze nie wrócił, ale został teraz sam. Będzie musiał jakoś dogadać się ze starym, chociaż nie wiem, o co między nimi poszło.

— Mam kłopoty, Angel. — W skrócie opowiedziałem mu, co się wydarzyło. — Wracam, ale ty i Louis musicie coś dla mnie zrobić.

— Wal śmiało, stary. Podałem mu adres magazynu.

— Obserwujcie to miejsce. Przyjadę tam, jak tylko będę mógł.

Nie miałem pojęcia, ile czasu upłynie, zanim wytropią mnie federalni. Pojechałem do Richmond i zostawiłem mustanga na długoterminowym parkingu. Potem wykonałem parę telefonów. Za półtora tysiąca dolców kupiłem sobie trochę spokoju i lot niewielką maszyną z prywatnego lotniska do Nowego Jorku.

fWW

Na pewno chce pan tu wysiąść?

Taksówkarz był wielgachnym facetem z włosami pozlepianymi w strąki od potu, który ściekał mu po policzkach i fałdach tłuszczu na szyi, by w końcu zginać za brudnym kołnierzykiem koszuli. Jego postać zdawała się wypełniać cały przód samochodu. Aż dziw brał, że zdołał się wcisnąć przez drzwi. Sprawiał takie wrażenie, jakby mieszkał i jadł w taksówce

168

tak długo, że rosnąc, stał się w końcu tak ogromny, iż nie mógł już z niej wysiąść: samochód był jego domem, twierdzą, w przyszłości mógł się stać nawet jego grobem.

— Na pewno — odparłem.

— To nieciekawe miejsce.

— Zgadza się. Mam tu paru nieciekawych przyjaciół.

Magazyn win Mancino był jednym z wielu podobnych obiektów stojących wzdłuż słabo oświetlonej ulicy na zachód od Northern Boulevard we Flushing. Zbudowano go z czerwonej cegły, a nazwa widniała na umieszczonej tuż pod skrajem dachu tablicy, z której schodziła farba. Okna parteru i pięter były okratowane. Na murach brakowało lamp, dlatego przestrzeń między bramą a budynkiem głównym tonęła w ciemnościach.

Po drugiej stronie ulicy znajdowało się wejście na duży plac pełen zbiorników i kontenerów kolejowych. Teren pokrywały kałuże brudnej wody i porzucone gdzieś palety.

Dostrzegłem też kundla o żebrach sterczących tak, że przebijały niemal jego futro, który w przyćmionym świetle brudnych latarni darł coś na strzępy.

Gdy wysiadłem z taksówki, gdzieś w bocznej ulicy przy budynku mignęły światła samochodu. Chwilę później z czarnego chevroleta vana wyłonili się Angel i Louis. Ten pierwszy ugiął się pod ciężarem sportowej torby; Louis, jak zwykle nienagannie ubrany, miał na sobie czarny, skórzany płaszcz oraz garnitur i koszulkę polo w tym samym kolorze.

Ujrzawszy mnie, Angel wykrzywił twarz. Nietrudno było zgadnąć, dlaczego. Moje ubranie było podarte i zabłocone po spotkaniu z Hyamsem w ruinach domu Dane. Ramię znowu zaczęło mi krwawić i prawy mankiet koszuli przybrał ciemnoczerwoną barwę. Wszystko mnie bolało i miałem już dość widoku zwłok.

— Aleś się wystroił — powitał mnie Angel. — To gdzie balujemy? Popatrzyłem na magazyn.

— Tam. Coś mnie ominęło?

— Tu nie. Ale Louis właśnie wrócił od Ferrerów.

— Jakąś godzinę temu helikopterem przyleciał Bobby Sciorra — przemówił Louis. — Pewnie sobie teraz gawędzi od serca z Pilim.

Kiwnąłem głową.

— Chodźmy.

Wokół magazynu wznosił się wysoki mur z cegły, z drutem kolczastym i ostro zakończonymi stalowymi prętami na szczycie. Brama umieszczona w płytkim zagłębieniu muru była solidna i zabezpieczona od góry drutem, jej dwie połowy łączył masywny łańcuch zamknięty na kłódkę. Louis krążył dyskretnie wokół, a Angel wyjął z torby małą, specjalnie na ten użytek

169

stworzoną wiertarkę i wsunął wiertło do zamka kłódky. Pociągnął za spust i wysoki warkot wypełnił ciszę nocy. Wszystkie okoliczne psy zaczęły natychmiast ujadać.

— Cholera, Angel, masz w tym wbudowany gwizdek? — syknął Louis.

Angel nie zwrócił na niego uwagi i chwilę później zamek był otwarty.

Weszliśmy do środka, a ostrożnie zdjętą kłódkę Angel umieścił z drugiej strony bramy. Założył łańcuch tak, że przypadkowy obserwator uznałby to miejsce za zabezpieczone, choć, co dość niezwykle, zamknięte od wewnątrz.

Magazyn zbudowano w latach trzydziestych, ale nawet wtedy musiał być całkiem funkcjonalny. Stare drzwi po prawej i lewej stronie były teraz zamknięte na głucho, wejść można było tylko od frontu. Nawet drzwi przeciwpożarowe ktoś przyspawał do futryny. Światła bezpieczeństwa, które dawniej oświetlały teren, nie działały i nie dochodziła tu iluminacja z ulicy.

Angel, z pękiem uniwersalnych kluczy w ręku i latarką w zębach, zabrał się za zamek i niecałą minutę później byliśmy w środku; włączyliśmy latarki. Zaraz za drzwiami stała budka, prawdopodobnie wartownia z czasów, gdy budynek spełniał swoją funkcję. Wzdłuż ścian ciągnęły się puste regały, a równoległy do nich, podobny szereg biegł pośrodku, dzieląc pomieszczenie na pół. Półki posiadały wgłębienia, każde wielkości butelki wina. Podłoga była kamienna. Pierwotnie musiała to być część wystawowa, gdzie potencjalni klienci mogli zapoznać się z asortymentem. Skrzynki z trunkami przechowywano zapewne w piwnicach. Na drugim

końcu pomieszczenia, na podwyższeniu, znajdowało się biuro, do którego wchodziło się po trzech stopniach po prawej stronie.

Tuż obok schodków prowadzących do biura znajdowała się większa klatka schodowa, prowadząca w dół. Była też stara winda towarowa; niezabezpieczona. Angel wszedł do środka i pociągnął za dźwignię, winda zjechała jakieś pół metra w dół. Skierował ją z powrotem w górę, wyszedł i popatrzył na mnie, unosząc brew.

Ruszyliśmy w dół schodów. Były ich cztery ciągi, co zwykle oznacza dwie kondygnacje, jednak pomiędzy pomieszczeniem sklepowym a piwnicami nie istniało żadne dodatkowe piętro. Na dole znajdowały się kolejne zamknięte drzwi, drewniane z szybą, przez którą, świecąc latarkami, zobaczyliśmy łuki sklepienia. Angel zajął się zamkiem. Otwarcie go zabrało mu kilka sekund. Wyglądał, jakby nie miał ochoty wchodzić do środka. Wydawało się, że torba w jego rękach zrobiła się nagle za ciężka.

— Mam ją chwilę potrzymać? — zapytał Louis.

170

— Jak będę taki stary, że będziesz mnie musiał karmić przez rurkę — odpowiedział mu Angel. Chociaż w piwnicy było zimno, nad jego górną wargą pojawiły się kropelki potu.

— Już to prawie robię — wymamrotał Louis za naszymi plecami.

W piwnicy rozciągnął się przed nami widok półokrągłych, przypominających groty, wnęk. Dostępu do każdej broniły pionowe pręty z furtką pośrodku. To tutaj dawniej przechowywano wino. Najwyraźniej nikt ich nie używał, pełne były śmieci i starych opakowań. W świetle latarki zobaczyliśmy, że podłoga w jednej z nich różni się od reszty. Była to nisza znajdująca się po prawej stronie, najbliższej miejsca, gdzie staliśmy; warstwa ziemi leżała tam, gdzie usunięto betonową posadzkę. Furtka była lekko uchylona.

Kamienne ściany odbiły echo naszych kroków, gdy się do niej zbliżaliśmy. Ziemia została starannie zagrabiona. W jednym rogu stał zielony, metalowy stół z dwoma otworami po każdej stronie, przez które przewleczono skórzane pasy. W drugim kącie tkwiła duża bela ceraty.

Wzdłuż ścian ciągnęły się dwa rzędy półek. Większość była pusta, ale na jednej leżał toboł, ciasno owinięty celofanem, wciśnięty aż pod ścianę. Podszedłem bliżej i w świetle latarki ujrzałem materiał dzinsowy i zieloną koszulę w kratę; parę małych butów i czuprynę włosów; pozbawioną koloru twarz o spękanej skórze i parę otwartych oczu z mlecznymi, zamglonymi rogówkami. Odór rozkładu był silny, choć nieco stłumiony plastikiem. Poznałem to ubranie.

Właśnie znalazłem Evana Bainesa, chłopca, który zniknął z posiadłości Bartonów.

— Słodki Jezu — usłyszałem Angeła. Louis milczał.

Podszedłem jeszcze bliżej i sprawdziłem palce i twarz. Poza naturalnym rozkładem ciało nie było naruszone, a ubranie chłopca w całości. Nikt go przed śmiercią nie torturował, ale na jego skroni zauważyłem przebarwienie, a w uchu zakrzepłą krew.

Palce lewej ręki rozplaszczono były na klatce piersiowej, ale prawa dłoń zacisnęła się mocno w małą piąstkę.

— Angel. Chodź tutaj. Weź torbę.

Stanął obok mnie, a ja dostrzegłem gniew i rozpacz w jego oczach.

— To jest Evan Baines — wyjaśniłem. — Masz maski?

Schylił się, wyjął dwie maski i butelkę wody po goleniu. Skropił obie, jedną podał mnie, a drugą założył. Następnie podał mi parę gumowych rękawic. Louis stał za nami, ale nie chciał maski.

Angel skierował światło latarki na ciało.

Wziąłem do ręki scyzoryk i przeciąłem plastik wzdłuż prawej ręki dziecka. Mimo maski fetor stał się wyraźniejszy i zasyczał ulatujący gaz.

171

Tępa stroną noża spróbowałem rozluźnić dłoń zaciśniętą w pięść. Skóra pękła i odpadł paznokieć.

— Przyświeć bliżej, do jasnej cholery — syknąłem.

Chłopiec trzymał w zaciśniętej dłoni coś małego i niebieskiego. Nie zważając na szkody, jakie czyniłem, spróbowałem ponownie. Musiałem to zobaczyć. Musiałem się dowiedzieć, co się tu stało. W końcu dłoń się rozluźniła i przedmiot spadł na podłogę. Schyliłem się, by go podnieść, i oświetliłem światłem własnej latarki. Był to kawałek niebieskiej porcelany.

Kiedy mu się przyglądałem, Angel zaczął omiatać latarką wszystkie kąty wnęki, a po chwili wyszedł. Chowając kawałek porcelany w dłoni, usłyszałem wiertarkę i jego głos wzywający nas gdzieś z góry. Wspięliśmy się po schodach z powrotem i znaleźliśmy go w małym pomieszczeniu, nieco większym od szafy, niemal dokładnie nad wnęką, gdzie leżał chłopiec. Na półce, jeden na drugim, stały trzy połączone ze sobą magnetowidy, cienki kabel ginął w podłodze. Na jednym z nich licznik nieubłaganie odmierzał sekundy, dopóki Angel go nie zatrzymał.

— W rogu tej piwnicy jest maleńki otwór, nie większy od mojego paznokcia, ale wystarczająco duży, by pomieścić szerokokątną soczewkę i detektor ruchu — wyjaśnił. — Laik by tego nie znalazł, chyba że wiedziałby, iż tu są i gdzie ich szukać. Kabel idzie prawdopodobnie przez system wentylacyjny. Komuś zależało, by nagrywać wszystko, co działo się w tamtym pomieszczeniu, gdy tylko ktoś do niego wszedł.

Ktoś, lecz z pewnością nie ten, kto wyczyniał tu coś z dziećmi. Zwyczajna kamera wideo ustawiona w pomieszczeniu dałaby lepszy obraz. Nie było powodu, by tak się z tym kryć, chyba że podglądacz chciał pozostać niezauważony.

W pomieszczeniu nie było monitora, więc pewnie wołał oglądać kasety w zaciszu własnego domu albo zależało mu, aby ten, który je tu znajdzie, nie mógł ich na miejscu odtworzyć. Obaj z Angelem znaleźliśmy sporo ludzi, którzy mogli coś takiego urządzić, ale w tej chwili przyszło mi do głowy tylko jedno nazwisko: Pili Pilar.

Wróciliśmy do piwnicy. Z torby wyjąłem składaną łopatę i zabrałem się do kopania. Wkrótce natrafiłem na coś miękkiego. Zacząłem grzebać kawałek dalej, a potem zeskrobywać ziemię, zaś Angel pomagał mi, korzystając z małej saperki. Ukazała się warstwa plastiku, a przez nią z trudem dostrzegłem brązową, pomarszczoną skórę. Usunęliśmy całą ziemię i odsłoniliśmy resztę ciała dziecka, leżącego w pozycji embrionalnej, z głową schowaną pod lewym ramieniem. Mimo rozkładu widać było, że palce zostały połamane, choć nie ruszając ciała, nie byliśmy w stanie stwierdzić, czy był to chłopiec, czy dziewczynka.

172

Angel rozejrzał się po podłożu i wiedziałem, co myśli. To nie był koniec. To dziecko zostało zakopane zaledwie piętnaście centymetrów pod powierzchnią, co oznaczało, że głębiej leżały inne ciała. To pomieszczenie było używane już od dłuższego czasu.

Louis wślizgnął się do wnęki z palcem na ustach. Spojrzał na dziecko, potem prawą ręką wskazał na sufit. Staliśmy nieruchomo, prawie nie oddychając, i usłyszałem odgłos cichych kroków na schodach. Angel schował się w cień półek i wyłączył latarkę. Louis zniknął. Sięgając po broń, ruszyłem z miejsca, by stanąć przy wejściu; w tym momencie światło padło na moją twarz.

— Nie próbuj — usłyszałem głos Bobby'ego Sciorry i cofnąłem rękę. Poruszał się zadziwiająco szybko. Wysunął się z cienia z paskudnym

Pięć-siedem w prawej i latarką w lewej ręce i zbliżył się do otwartej furtki. Zatrzymał się jakieś trzy metry ode mnie i zobaczyłem jego lśniące w uśmiechu zęby.

— Jesteś trupem — rzekł. — Jak te dzieciaki za tobą. Chciałem cię załatwić tam, w ruinach domu, ale stary kazał zostawić cię przy życiu, no chyba że nie byłoby innego wyjścia. Teraz już

go nie ma.

— Nadal odwalasz mokrą robotę dla Ferrery — odparłem. — Ale w tym wypadku nawet ty powinieneś mieć skrupuły.

— Wszyscy mamy swoje słabości. — Wzruszył ramionami. — Sonny lubi sobie popatrzeć, no wiesz. Swoim siusiakiem nic już nie działa. To popapraniec, ale tatuś go kocha i teraz chce, żeby posprzątać ten cały bałagan.

Więc to Sonny Ferrera nagrywał sobie agonie tych dzieci, patrzył, jak Hyams i Adelaide Modine zadreżali je na śmierć i słyszał ich odbijające się echem od tych ścian krzyki, a zimne oko kamery wszystko rejestrowało, by on mógł to odtworzyć w swoim salonie. Na pewno wiedział, kim byli mordercy, ciągle ich oglądał, ale nic nie zrobił, bo mu się to podobało i nie chciał, żeby się skończyło.

— Jak stary się dowiedział? — zapytałem, choć znałem już odpowiedź.

Teraz wiedziałem, co Pili miał w samochodzie w chwili wypadku, a przynajmniej zdawało mi się, że wiem. Bo okazało się jednak, że znów się pomyliłem, tak jak myliłem się już wiele razy wcześniej.

Nagle w kącie wnęki coś się poruszyło i Sciorra zareagował z szybkością kota. Rzucany przez latarkę snop światła poszerzył się, a on zrobił krok do tyłu, pistolet kierując to na mnie, to w róg pomieszczenia.

W świetle pojawiła się pochylona głowa Angela, który śmiało spojrział w oczy Bobby'ego i uśmiechnął się. Przez moment Sciorra wyglądał na

173

zdezorientowanego, lecz po chwili już wszystko rozumiał. Właśnie się odwracał, aby zlokalizować Louisa, gdy nagle ciemność wokół niego jakby ożyła. Otworzył szeroko oczy, zdając sobie sprawę, że śmierć przyszła tym razem po niego.

Skóra Louisa załśniła w ciemności, a oczy błysnęły bielą, kiedy lewą ręką mocno chwycił Sciorrę za szczękę. Ten zdawał się sztywnieć i drżeć, oczy miał wielkie z bólu i przerażenia. Uniósł się na palcach i szeroko rozłożył ręce. Drgnął raz, potem znowu i nagle jakby uszło z niego powietrze, ciało zawisło, ale oczy pozostały ogromne i wytrzeszczone. Louis wyciągnął z jego potylicy długie, wąskie ostrze i pchnął go, a ten upadł u moich stóp, przez chwilę jeszcze dygocząc, nim ostatecznie znieruchomiał. Poczulem fetor, jaki wydzielala zawartość jego opróżniającego się pęcherza i jelit.

Z ciemności pomieszczenia wysunął się Angel.

— Zawsze nienawidziłem tego skurwiela — powiedział, patrząc na mały otwór w podstawie czaszki Sciorry.

— Tak — odparł Louis. — Teraz znacznie bardziej mi się podoba. — Popatrzył na mnie. — Co mam z nim zrobić?

— Zostaw go. Daj mi kluczyki do jego wozu.

Louis przeszukał kieszenie Sciorry i rzucił mi kluczyki.

— To człowiek Ferrery. Nie będzie problemu?

— Nie wiem. Zostawcie to mnie. Sami bądźcie w pobliżu. Zamierzam zadzwonić do Cole'a. Znikajcie, jak tylko usłyszycie syreny.

Angel pochylił się i śrubokrętem ostrożnie podniósł z ziemi pistolet Sciorry.

— Zostawimy to tutaj? — zapytał. — Z tego, co mówiłeś, to niezła broń.

— Niech zostanie — odpowiedziałem.

Jeżeli miałem rację, to ten pistolet łączył ze sobą sprawy Olliego Watt-sa, Connella Hyamsa i rodziny Ferrera, a także ciągnącą się od trzydziestu lat sprawę dzieciobójstwa i jeszcze starszą historię mafii.

Dałem krok nad zwłokami Sciorry i wybiegłem z magazynu. Jego czarny chevy stał zaparkowany na podwórzu, tyłem do budynku; brama była zamknięta. Bardzo przypominał wóz, który przyjechał po mordercę Tłu-ściocha Olliego. Otworzyłem bramę i odjechałem. Opuściłem Queens, miejsce pełne magazynów i cmentarzy, a niekiedy obu tych przybytków jednocześnie.

174

już o krok od rozwikłania sprawy, od takiego czy innego jej zakończenia. Miałem być świadkiem końca czegoś, co trwało ponad trzydzieści lat i zabrało życie tylu młodych ludzi, że ich ciałami można by wypełnić katakumby porzuconego magazynu. Jednak niezależnie od tego, co to rozwikłanie miało przynieść, nie wystarczyło jedynie wytłumaczyć to, co się stało. Mógł nastać koniec, mógł zamknąć się jakiś rozdział. Nie było jednak ostatecznego rozwiązania. Zastanawiałem się, ile razy każdego roku Hyams przyjeżdżał do Nowego Jorku w swoim eleganckim stroju prawnika, kurczowo ściskając w rękach drogą torbę podróżną, aby poćwiartować kolejne dziecko. Czy kiedy wsiadał do pociągu, mijając sprawdzającego biletów konduktora, kiedy uśmiechał się do dziewczyny za kontuarem w punkcie odpraw na lotnisku albo gdy w swoim cadillacu z siedzeniami krytymi skórą mijał kobietę w kasie przy wjeździe na autostradę, czy nic w jego twarzy nie zwróciło ich uwagi, czy nikt nie przyjrzał się temu grzecznemu, powściągliwemu, siwowłosemu panu w staromodnym garniturze? Myślałem też o kobiecie, która spłonęła w Haven wiele lat temu, bo na pewno nie była to Adelaide Modine.

Pamiętałem, że Hyams powiedział mi, iż powrócił do Haven na dzień przed znalezieniem ciała. Bez trudu powiązałem ze sobą wydarzenia: telefon od spanikowanej Adelaide Modine; wybór odpowiedniej ofiary z kartoteki doktora Hyamsa; zamiana kart stomatologicznych; podrzucenie biżuterii i torby; pierwsze płomienie, zapach przypominający pieczoną wołowinę, kiedy ogień zajął ciało.

A wtedy ona rozplynęła się w ciemności, zapadła w stan hibernacji, by w stosownym czasie powrócić i dalej zabijać. Działała jak czający się w rogu sieci czarny pająk, atakujący, gdy ofiara naruszy jego terytorium, z tym że zamiast w pajęczynę, zawijała swe ofiary w folię. Robiła to przez trzydzieści długich lat i nikt jej nie przeszkadzał. Świata i dzieciom pokazywała dwie różne twarze. Była postacią widzianą tylko przez młodych i niewinnych, zmorą czającą się w ciemności, czekającą, aż świat zapadnie w sen.

Byłem już chyba gotów spojrzeć jej w twarz. I chyba zrozumiałem, dlaczego stary Ferrera ścigał swojego syna; dlaczego Bobby Sciorra pojechał za mną do Haven, a Tłuścioch Ollie Watts wypadł z mieszkania w obawie o własne życie i zginął na ulicy zalanej promieniami letniego słońca.

175

f

?II

Uliczne latarnie migały jak świetlne race. Pod paznokciami zaciśniętych na kierownicy rąk miałem ziemię i poczułem nieodpartą chęć, by zatrzymać się na stacji benzynowej i wyszorować je do czysta, trzeć skórę do krwi drucianą szczotką, zedrzeć warstwy brudu i śmierci, które mnie jedna po drugiej pokrywały przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Żółć napłynęła mi do ust i z wysiłkiem przełknąłem, skupiając się na drodze, na światłach samochodu jadącego z przodu i, raz czy dwa, na beztrąsko mrugających gwiazdach na niebie w górze.

Brama prowadząca do domu Ferrery stała otworem i nie zauważyłem ani śladu federalnych, którzy pilnowali domu, kiedy byłem tu poprzednio. Wjechałem na podjazd i zaparkowałem wóz Sciorry w cieniu drzew. Ramię bolało teraz jak diabli i co jakiś czas oblewał mnie pot.

Frontowe drzwi domu były uchylone i w środku zobaczyłem kilku mężczyzn. Pod jednym z okien siedział ubrany na czarno człowiek, zgarbiony, z twarzą ukrytą w dłoniach, jego automat leżał porzucony obok. Dostrzegł mnie dopiero, gdy byłem tuż przy nim.

— Ty nie jesteś Bobby — powiedział.

— Bobby nie żyje.

Kiwnął głową, jakby właśnie tej wiadomości oczekiwał. Potem wstał, przeszukał mnie i zabrał moją broń. W rogach pokoju stali uzbrojeni faceci, rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami. W domu panowała pogrzebowa atmosfera, miało się wrażenie szoku, nad którym obecni w nim ledwo mogli zapanować. Zostałem zaprowadzony do gabinetu starego. Mężczyzna, który siedł przede mną, stanął teraz z tyłu i patrzył, jak otwieram drzwi.

Na podłodze dostrzegłem krew i jakąś szarą masę, a na perskim dywanie widniała ciemna, czarno-czerwona plama. Krew pokrywała też ja-snobrazowe spodnie starego, który trzymał na kolanach głowę syna. Pokrwawione palce lewej ręki igrały ze słabymi, rzadzącymi włosami Sonny'ego. W prawej ręce Ferrera trzymał zwieszony lufą w dół pistolet. Oczy Sonny'ego były otwarte, a w ciemnych źrenicach odbijało się światło lampy.

Domyśliłem się, że stary zabił syna, trzymając jego głowę na swoich kolanach, kiedy ten klęczał przed nim, prosząc o... O co? O pomoc, łaskę, przebaczenie? Tłusty, zepsuty Sonny z grubymi, gumowatymi wargami i oczami wściekłego psa, ubrany w tani, kremowy garnitur i rozpiętą pod szyją koszulę, obwieszony złotem nawet w godzinie śmierci. Twarz starego była surowa i nieustępliwa, ale kiedy zwrócił na mnie wzrok, zobaczyłem oczy słabe od winy i rozpacz, oczy człowieka, który wraz z synem zabił też samego siebie.

176

— Wyjść — rozkazał cicho, lecz stanowczo, ale nie zwracał się do mnie.

Przez otwarte drzwi balkonowe wpadł z ogrodu lekki wiatr, przynosząc ze sobą kilka płatków i liści, bezwzględnie kojarzących się z końcem wszechrzeczy. Pojawił się też mężczyzna, jeden z ludzi starego, żołnierz, którego rozpoznałem, ale nie wiedziałem, jak się nazywa. Ferrera podniósł pistolet i skierował w stronę tamtego; jego ręka drżała.

— Wyjść! — powtórzył i żołnierz wyszedł, zamykając za sobą przeszklone drzwi.

Wiatr znowu je otworzył i do pokoju wdarło się nocne powietrze. Stary Ferrera jeszcze przez chwilę trzymał wyciągniętą rękę z bronią, lecz w końcu ją opuścił. Prawa dłoń znowu zaczęła głaskać włosy nieżyjącego syna z kojącą monotonią obłąkanego zwierzęcia krążącego po klatce.

— To mój syn — powiedział nie patrząc na mnie, lecz gdzieś w przeszłość, która była, i przyszłość, która mogła stać się jego udziałem. — To mój syn, ale coś jest z nim nie tak. Jest chory. Ma źle w głowie, jest zły w środku.

Nic nie mogłem powiedzieć. Milczałem.

— Po co pan tu przyszedł? — spytał. — To już koniec. Mój syn nie żyje.

— Wielu ludzi nie żyje. Dzieci... Stary się skrzywił.

— ...Ollie Watts...

Wolno pokręcił głową, nawet nie mrugnął.

— Pieprzony Ollie Watts. Nie powinien był uciekać. Jak zaczął uciekać, wszystkiego się domyśliliśmy. Sonny się domyślił.

— Co pan wiedział?

Myślę, że gdybym wszedł do pokoju kilka minut później, stary natychmiast kazałby mnie zabić, może zrobiłby to sam. Teraz jednak zdawał się szukać we mnie sposobu na rozładowanie emocji. Chciał się zwierzyć, pozbyć się ciężaru i nigdy więcej już o tym nie mówić.

— Że zajął do samochodu. Nie powinien był. Powinien był zwyczajnie odejść.

— Co zobaczył? Co tam znalazł? Taśmy wideo? Zdjęcia?

Stary zamknął oczy, ale nie mógł już uciec od tego, co widział. Łzy przecisnęły się spod zmarszczonych powiek w kącikach oczu i popłynęły po policzkach. Usta powiedziały coś bezgłośnie. Nie. Nie. Nie tylko. Gorzej. Kiedy otworzył oczy, był już w środku martwy.

— Taśmy. I dziecko. W bagażniku samochodu było dziecko. Mój syn, mój Sonny zabił dziecko. Znów na mnie spojrział, tym razem jego twarz drgała nerwowo, jakby łowa nie była w stanie pomieścić tego, co widział. Ten człowiek, który za-

177

bijał, torturował i kazał innym zabijać i torturować, odkrył w swoim synu mroczność nie do wyrażenia, ciemne, pozbawione wszelkiego światła miej. sce, gdzie leżały zabite dzieci, najczarniejsze serce wszystkiego, co martwe. Sonny'emu już nie wystarczało samo przyglądanie się. Zobaczył, jaką mocą dysponowali ci ludzie, jaką przyjemność czerpali z powolnego wydzierania dzieciom życia, i zapragnął tego doświadczyć.

— Rozkazałem Bobby'emu, by go do mnie przyprowadził, ale Sonny uciekł, uciekł, jak tylko usłyszał o Pilim. — Twarz mu stężała. — Wtedy kazałem Bobby'emu zabić ich wszystkich, całą resztę, wszystkich. — Zaczął mówić tak, jakby znów rozmawiał z Bobbym Sciorrą, twarz poczerwieniała mu ze złości. — Zniszcz kasety. Znajdź dzieci, dowiedz się, gdzie są, i umieść je tam, gdzie ich nikt nie znajdzie. Jak ci się uda, to wrzuc je na dno pieprzonego oceanu. Chcę, żeby było tak, jakby to się nigdy nie wydarzyło. Nigdy się nie wydarzyło.

Nagle przypomniał sobie, gdzie jest i co zrobił, przynajmniej na chwilę, i powrócił do głaskania.

— I wtedy zjawił się pan, szukając tej dziewczyny, zadając pytania. Skąd ona mogła wiedzieć? Pozwoliłem panu jechać za nią, żeby pan stąd tylko zniknął, zostawił Sonny'ego.

Ale Sonny nasłał na mnie swoich zbirów, a im się nie udało. To zmusiło starego do działania.

Gdyby kobieta przeżyła i zmuszono ją do zeznań, Sonny miałby kłopoty. Więc wysłano Sciorrę i kobieta zginęła.

— Ale dlaczego Sciorra zabił Hyamsa?

— Co?

— Sciorra zabił w Wirginii prawnika, człowieka, który chciał załatwić mnie. Dlaczego?

Stary nagle zrobił się nieufny i znów uniósł dłoń z pistoletem.

— Ma pan ze sobą ukryty mikrofon?

Pokręciłem głową i z bólem barku odkryłem klatkę piersiową. Pistolet znów opadł.

— Rozpoznał go z kaset. Dlatego też znalazł pana w tamtym starym domu. Bobby jedzie przez miasto i nagle widzi faceta zmierzającego w przeciwnym kierunku i to jest facet z kasety — facet, który...

Znowu zamilkł, jakby nie miał już siły, by mówić dalej.

— Wszystkie ślady musiały zostać usunięte. Wszystkie.

— Tylko nie ja?

— Może powinien był zabić też pana, kiedy miał okazję, bez względu na to, co zrobiliby pańscy koledzy gliniarze.

— Powinien był — odrzekłem. — Teraz sam nie żyje. Ferrera zamrugął. — Pan go zabił?

178

— Tak.

— To był mój człowiek. Wie pan, co to znaczy? — A pan wie, co zrobił pański syn?

Wtedy zamilkł, jakby znowu przygniótł go ciężar winy własnego potomka, lecz kiedy znowu przemówił, z trudem opanowywał wściekłość i wiedziałem, że nasza rozmowa dobiega końca.

— Kim pan jest, żeby sądzić mego syna? Myśli pan, że skoro stracił dziecko, to może pan mścić się za wszystkie bachory, które nie żyją? Odpierdol się, człowieku. Pochowałem już dwóch

synów, a teraz, teraz zabiłem ostatniego. Niech mnie pan nie sędzi. Ani mojego syna. Pistolet znowu powędrował w górę i wycelował w moją głowę.

— To już koniec — powiedział.

— Nie. Kto jeszcze był na kasetach?

Zabłyśzczały mu oczy. Wspomnienie kaset było jak uderzenie w twarz.

— Kobieta. Kazałem Bobby'emu odnaleźć ją i zabić.

— Zrobił to?

— Przecież on nie żyje.

— Ma pan te kasety?

— Wszystkie spłonęły.

Znowu przerwał, jakby kolejny raz przypomniał sobie, gdzie jest, jakby pytania oderwały go na chwilę od rzeczywistości, od tego, co zrobił, i od odpowiedzialności za syna, za jego zbrodnię, za jego śmierć.

— Niech pan idzie — rozkazał. — Jak jeszcze raz pana zobaczę, to jest pan trupem.

Nikt nie wszedł mi w drogę, gdy wychodziłem frontowymi drzwiami. Mój pistolet leżał na małym stoliku tuż przy nich, a ja wciąż miałem kluczyki do samochodu Bobby'ego. Kiedy odjeżdżałem, dom w lusterku wstecznym wydawał się cichy i spokojny, jakby nic się tu nigdy nie wydarzyło.

*ważdego ranka, już po śmierci Jennifer i Susan, budziłem się ze swoich dziwnych, nieskładnych snów i zdawało mi się, że wciąż są przy mnie, że •ftoja żona śpi spokojnie obok, a dziecko, otoczone zabawkami, w sąsiednim pokoju. Przez moment znowu były ze mną i po każdym przebudzeniu na nowo przeżywałem ich utratę, aż już w końcu sam nie wiedziałem,

179

czy jestem człowiekiem, który budzi się ze snu o śmierci, czy śpiącym po-wracającym do świata odartego z sensu życia; człowiekiem, który śni

0 nieszczęściu, czy który musi się z nim zmierzyć na jawie.

A pośród tego wszystkiego odczuwałem bezbrzeżny żal, iż tak naprawdę nigdy dobrze nie poznałem Susan i że za jej życia i po śmierci kochałem tylko jej cień.

Kolejna kobieta i dziecko nie żyły, stając się ofiarami cyklu przemocy

1 rozkładu, którego nikt nie był w stanie przerwać. Oplakiwałem śmierć młodej dziewczyny i chłopca, których nigdy za życia nie spotkałem,

0 których prawie nic nie wiedziałem, równocześnie oplakując własną żonę

1 dziecko.

Brama posiadłości Bartonów stała otworem; ktoś wszedł i miał zaraz wychodzić albo właśnie opuścić dom. Parkując na podjeździe i idąc w stronę budynku, nie dostrzegłem ani żywej duszy. Przez szybę nad drzwiami wejściowymi zobaczyłem palące się światło. Zadzwoiłem dwa razy, ale nikt nie otwierał, więc podszedłem do okna i zajrzałem do pokoju.

Drzwi prowadzące do holu były otwarte i w przejściu zauważyłem nogi kobiety: jedna stopa była bosa, a na drugiej wciąż tkwił czarny but. Ktoś odkrył je aż do samej góry, gdzie czarna sukienka zakrywała tylko pośladki. Reszty ciała nie widziałem. Kolbą pistoletu rozbiłem szybę; bałem się, że rozdzwoni się alarm, ale tylko szkło zadzwięczało na podłodze.

Ostrożnie sięgnąłem do klamki i wszedłem do środka. W pokoju było jasno od lamp palących się w korytarzu. Czuję, jak w żyłach tętni mi krew; otwierając szerzej drzwi, słyszałem ją w uszach; pulsowała mi w koniuszkach palców, kiedy wchodziłem do holu i patrzyłem na ciało.

Błękitne żyłki znaczyły skórę jak marmur — utraciła jednak już swą jędrność i gładkość.

Kobiecie strzelono w twarz, do rozerwanej skóry przykleiły się kosmyki siwych włosów. Oczy były wciąż otwarte, a usta pełne ciemnej krwi. Uchowały się w nich tylko pieńki zębów, przez co

trudno ją było rozpoznać. Tylko złoty naszyjnik ze szmaragdami, ciemnoczerwony lakier na paznokciach i prosta, ale droga sukienka z kolekcji De La Renty pozwoliły przypuszczać, że leży przede mną ciało Isobel Barton. Dotknąłem jej szyi. Nie wyczułem pulsu — zresztą i tak raczej się go nie spodziewałem — ale była jeszcze ciepła.

Wszedłem do gabinetu, gdzie się poznaliśmy, i porównałem kawałek porcelany wyjęty z dłoni Evana Bainesa z samotnym niebieskim psem na kominku. Pasował. Zapewne Evan umarł natychmiast po tym, jak odkryto szkodę, padł ofiarą wściekłości wywołanej zniszczeniem części dziedzictwa Adelaide Modine.

180

Z kuchni przy końcu korytarza doszło mnie nieregularne tykanie i poczułem lekki swąd spalenizny, jakby ktoś zapomniał o pozostawionym na piecu garnku. Równocześnie pojawił się do tej pory niewyczuwalny zapach gazu. Kiedy podszedłem do drzwi, w szparze przy podłodze nie dostrzegłem światła, równocześnie spalenizna stała się bardziej wyraźna i intensywna, a odór gazu gryzący. Ostrożnie otworzyłem drzwi i cofnąłem się, stając nieco z boku. Palec trzymałem na spuście, ale wiedziałem dobrze, że pistolet na nic mi się nie przyda, jeżeli to wyciek z instalacji gazowej.

Nie zauważyłem żadnego ruchu, ale smród stał się bardzo silny. Dziwne, nieregularne tykanie było głośne, towarzyszył mu szum. Nabrałem powietrza i rzuciłem się do środka, pistoletem gotów mierzyć do wszystkiego, co by się poruszyło.

W kuchni nie było nikogo. Pomieszczenie oświetlała tylko lampa w holu i trzy ogromne, przemysłowe kuchenki mikrofalowe stojące jedna obok drugiej tuż przede mną. Przez szklane drzwiczki zobaczyłem niebieskie płomyki tańczące na stosach metalowych przedmiotów: garnki, noże, widelce i patelnie płonęły migotliwym srebrnoniebieskim blaskiem. Smród gazu sprawił, że zakreśliło mi się w głowie, a tykanie przyspieszyło. Rzuciłem się do ucieczki. Zdażyłem otworzyć frontowe drzwi, gdy najpierw dobiegło mnie z kuchni głuchoe tąpnięcie, po którym nastąpił głośny huk; siła eksplozji rzuciła mnie na żwir podjazdu. Usłyszałem dźwięk tłukącego się szkła, a trawnik jakby sam zapłonął, gdy dom stanął w ogniu. Kiedy zataczając się zmierzałem w stronę samochodu, czułem gorąco, a w oknach widziałem tańczące płomienie. Przy bramie prowadzącej do posiadłości mignęły czerwone światła stopu i jakiś samochód wyjechał na drogę. Adelaide Modine zacierała za sobą ślady, by znowu zniknąć w ciemnościach. Kiedy skręcałem na drogę, by podążyć za znikającymi światłami, dom się palił, a płomienie, jak żarliwi kochankowie, już wspinały się po zewnętrznych jego ścianach.

Adelaide Modine jechała szybko krętą Todt Hill Road i w ciszy nocy słyszałem pisk hamulców na zakrętach. Dogoniłem ją na Ocean Terrace, kiedy pędziła w stronę wjazdu na drogę ekspresową na Staten Island. Po lewej stronie gęsto porośnięty drzewami, stromy stok opadał ku Sussex Avenue. Zbliżyłem się do jej bmw i ostro zjechałem w lewo, a ciężar mojego chevy'ego zaczął spychać ją coraz bliżej krawędzi; przez przyciemnione szyby wozu nikogo nie widziałem. Tuż przed nami pojawił się ostry zakręt w prawo; przyhamowałem, by pozostać na jezdni, podczas gdy przednie koła bmw ześlizgnęły się z niej i wóz zanurkował w dół.

Przetoczył się przez sterty śmieci, objając się o dwa drzewa, póki nie zatrzymał się w połowie pokrytego liśćmi stoku na młodym buku. Korze-

181

nie zostały wyszarpięte z ziemi, drzewo wygięło się w łuk, zahaczając ga. łeziami o inne, rosnące nieco niżej.

Zatrzymałem samochód tuż przy barierce, zostawiłem włączone światła i zbiegłem po zboczu, ślizgając się po wilgotnej trawie, tak że musiałem podtrzymywać się zdrową ręką.

Kiedy podszedłem do bmw, drzwi kierowcy otworzyły się i wytoczyła się z nich Adelaide

Modine. Na czole miała głęboką ranę, całą twarz uma-zaną krwią, tak iż wśród drzew i w świetle reflektorów wyglądała jak dziwne, dzikie stworzenie, ubrane w ludzkie rzeczy, które musiała zrzucić, by powrócić do swej dzikiej postaci. Lekko się przygarbiła, rękami obejmując klatkę piersiową w miejscu, gdzie uderzyła w kolumnę kierownicy, ale wyprostowała się z wysiłkiem, gdy do niej podszedłem.

Mimo bólu oczy Isobel Barton były żywe i pełne nienawiści. Kiedy otworzyła usta, popłynęła z nich krew i dostrzegłem, że maca w nich językiem, by wyciągnąć i rzucić na ziemię zakrwawiony ząb. Chytrałość malowała się na jej twarzy i nawet teraz szukała sposobu ucieczki. Nienawiść zapędzonej w róg bestii nie mogła równać się ze złem i zepsuciem, jakimi emanowała. Przypuszczam, że nie rozumiała zasad sprawiedliwości i prawa czy zadośćuczynienia. Żyła w świecie bólu i przemocy, gdzie zabijanie, torturowanie i okaleczanie dzieci było potrzebne do życia jak powietrze i woda. Bez nich, bez stłumionych krzyków i daremnych, desperackich prób wyrwania się z jej szponów, istnienie nie miałyby dla niej sensu i musiałyby się zakończyć. Popatrzyła na mnie i wydawało mi się, że wykrzywiła twarz w uśmiechu.

— Chuj — wypluła z siebie.

Zastanowiłem się, co wiedziała albo podejrzewała pani Christie, zanim zginęła w tamtym holu. Najwyraźniej zbyt mało.

Kusiło mnie, żeby ją zabić. Mogłem wyplenić choć część tego straszliwego zła, które odebrało mi córkę i życie wielu innych dzieci w piwnicach różnych budynków; było to to samo zło, które stworzyło Podróżnika, John-ny'ego Fridaya i miliony indywiduów takich jak oni. Wierzyłem w Diabła i ból, w tortury, gwałt i okrutną, powolną śmierć. Wierzyłem w krzywdę, udękę i przyjemność, jaką odczuwali ci, którzy je zadawali, we wszystkie te rzeczy, które nazywałem złem. A w Adelaide Modine widziałem, jak jego czerwona, strzelająca iskierka eksploduje krwawym płomieniem.

Odbezpieczyłem pistolet. Nawet nie mrugnęła.

Zamiast tego raz się zaśmiała, a potem wykrzywiła z bólu. Skuliła się znowu niemal jak embrion, prawie upadła. A do mnie dotarł zapach benzyny cieknącej z pękniętego baku.

182

Zastanawiałem się, co czuła Catherine Demeter, kiedy zobaczyła ją w domu towarowym De Vries. Czy dostrzegła jej odbicie w lustrze, w szybie gablotki wystawowej? Czy odwróciła się z niedowierzaniem, z żołądkiem ściśniętym jak pięść? A kiedy ich oczy spotkały się, kiedy już wiedzia-}a, że to właśnie ta kobieta, która zabiła jej siostrę, czy poczuła nienawiść, złość, a może tylko strach, strach, że może zrobić jej to, co kiedyś zrobiła jej siostrze? Czy na krótką chwilę Catherine Demeter zmieniła się w przestraszone dziecko?

Możliwe, że Adelaide Modine od razu jej nie rozpoznała, ale na pewno dostrzegła błysk rozpoznania w oczach Catherine. Mogła poznać ją po lekko wysuniętej górnej szczęce, a może wystarczył jeden rzut oka na Catherine i znowu była w ciemnej piwnicy w Haven, znowu zabijała jej siostrę?

Zaś kiedy Catherine zniknęła, zaczęła szukać rozwiązania tego problemu. Pod byle pretekstem wynajęła mnie i zabiła swojego pasierba, nie tylko obawiając się, że mógłby ją wydać, ale również inicjując bieg wydarzeń, który doprowadził do śmierci pani Christie i zniszczenia domu, kiedy zacierała ślady swojej egzystencji.

Może i Stephen Barton ponosił nieco winy za to, co się stało, bo tylko on mógł połączyć ze sobą Sonny'ego Ferrerę, Connella Hyamsa i swoją macochę, kiedy Hyams szukał miejsca, gdzie mógłby ukryć dzieci, miejsca należącego do kogoś, kto nie zadawałby zbyt wielu pytań. Wątpię, czy Barton zdawał sobie sprawę z tego, co naprawdę miało miejsce, i ta nieświadomość doprowadziła w końcu do jego śmierci.

Zastanawiałem się także, kiedy to Adelaide Modine dowiedziała się o śmierci Hyamsa i zrozumiała, że została sama, że nadszedł czas, by ruszać dalej, zostawić panią Christie jako przynętę tak, jak kiedyś zostawiła nieznaną kobietę, by spłonęła w domu w Wirginii. Ale jak mogłem tego wszystkiego dowieść? Kasety wideo zostały zniszczone. Sonny Ferrera nie żył, Pilar na pewno zginął. Hyams, Sciorra, Granger, Catherine Demeter, wszyscy oni nie żyli. Kto by pamiętał morderczynię dzieci sprzed trzydziestu lat? Kto rozpoznałby ją w kobiecie, która stała przede mną? Czy wystarczyłyby słowa Walta Tylera? Co prawda, zabiła panią Christie, ale mogłyby być problemy z udowodnieniem także tej winy. Czy sądowi wystarczyłyby dowody z piwnicy magazynu?

Adelaide Modine, zwinięta w kłębek jak pająk, który czuje, że coś w jego sieci jest nie tak, rzuciła się w moją stronę, paznokciami prawej ręki orząc mi policzki, próbując dosięgnąć oczu, a lewą usiłując odebrać mi pistolet. Uderzyłem ją w twarz nasadą dłoni, jednocześnie odpychając ją kolanem. Znowu rzuciła się w moim kierunku i wtedy strzeliłem; kula trafiła w miejsce nad prawą piersią.

183

Zatoczyła się na samochód, opierając się o otwarte drzwi i przyciskając rękę do rany.

I nagle się uśmiechnęła.

— Znam cię — rzekła, z trudem pokonując ból. — Wiem, kim jesteś.

Drzewo za jej plecami poruszyło się lekko, gdy ciężar samochodu wydarł z ziemi korzenie.

Wielkie bmw przesunęło się nieco do przodu. Adela-ide Modine chwiała się, z rany na jej piersi ciekła krew. Był w jej oczach jakiś taki blask, blask, od którego skurczył mi się żołądek.

— Kto ci powiedział?

— Ja wiem — ciągnęła, wciąż się uśmiechając. — Wiem, kto zabił twoją żonę i dziecko.

Podszedłem bliżej, bo chciała mówić dalej, ale słowa pochłonał zgrzyt metalu, gdy drzewo ostatecznie się poddało. Bmw poruszyło się i spadło w dół zbocza. Toczyło się, uderzając o drzewa i kamienie, aż wreszcie iskra wywołała wybuch zbiornika. A gdy tak patrzyłem, dotarło do mnie, że to się musiało tak skończyć.

Jej świat eksplodował żółtym ogniem, gdy zapaliła się rozlana wokół niej benzyna. Przez chwilę stała z odchyloną głową i otwartymi ustami, aż wreszcie upadła, bijąc słabo płomienie, gdy leciała, płonąca, w dół, znów w ciemność. Samochód palił się u stóp stoku, gęsty, czarny dym unosił się pióropuszcami w powietrzu. Patrzyłem na to z góry i czułem ciepło na twarzy. Nieco niżej, w ciemności lasu płonął mniejszy stos.

Znowu siedziałem w tym samym policyjnym pokoju przesłuchań, przy tym samym drewnianym stole z identycznym, wyciętym w blacie sercem. Miałem świeżo zabandażowaną rękę, wzięłem prysznic i ogoliłem się po raz pierwszy od ponad dwóch dni. Mimo wysiłków agenta Rossa, nie siedziałem w celi. Byłem szczegółowo przesłuchiwany, najpierw przez Waltera i innego detektywa, potem przez Waltera i szefa detektywów, w końcu przez Rossa i jednego z jego agentów w obecności Waltera, który pilnował, by nie zamęczyli mnie ze złości na śmierć.

Raz po raz wydawało mi się, że widzę Philipa Koopera kręcącego się po korytarzu jak trup, który się sam ekshumował, by pozwać do sądu

184

przedsiębiorcę pogrzebowego. Sądzę, że wizerunek publiczny Funduszu mocno ucierpiał.

Wyznałem policji prawie wszystko. Powiedziałem im o Bobbym Scior-rze, o Hyamsie, o Adelaide Modine, o Sonnym Ferrerze. Przemilczałem natomiast, że zostałem wciągnięty w sprawę śledztwa na prośbę Waltera Cole'a. Resztę luk w mojej historii mieli sobie wypełnić sami. Powiedziałem im, że czasem pomagałem sobie wyobraźnią. W tym momencie Rossa najlepiej byłoby ubrać w kaftan bezpieczeństwa.

Wreszcie zostaliśmy tylko Walter, ja i dwa puste kubki kawy.

— Byłeś tam na dole? — zapytałem w końcu, przerywając ciszę. Skinął głową.

— Niedługo. Nie zostałem.

— Ile?

— Jak dotąd osiem, ale jeszcze kopia.

I będą kopać dalej, nie tylko tam, ale także w innych miejscach rozrzuconych po całym stanie, a może i poza nim. Adelaide Modine i Connell Hyams mieli na morderstwa całe trzydzieści lat. Magazyn Mancino był wynajmowany tylko przez część tego czasu, co oznaczało, że gdzieś istniały inne takie składy, porzucone piwnice, stare garaże i nie używane podwórza kryjące szczątki wielu dzieci.

— Od kiedy to podejrzewałeś? — zapytałem.

Chyba myślał, że pytam o coś innego, może o trupa w toalecie na dworcu autobusowym, bo zapytał:

— Co podejrzewałem?

— Że ktoś z Bartonów był zamieszany w zniknięcie Bainesa? Prawie mu ulżyło. Prawie.

— Ktokolwiek go porwał, musiał znać posiadłość, dom.

— Zakładając, że został porwany z domu, że się z niego nie oddalił.

— Zgadza się.

— I to ja akurat miałem się dowiedzieć...

— Tak.

Czułem się winny śmierci Catherine Demeter nie tylko dlatego, że nie udało mi się odnaleźć jej, zanim zginęła, ale ponieważ mimowolnie mogłem doprowadzić do niej Modine i Hyamsa.

— Być może zaprowadziłem ich do Catherine Demeter — powiedziałem Walterowi po chwili.

— Poinformowałem panią Christie, że jadę do Wirginii za tropem. To mogło wystarczyć, by ją wydać.

Walter pokręcił głową.

— Ona cię wynajęła, bo chciała się zabezpieczyć. Na pewno zawiadomiła Hyamsa, jak tylko zobaczyła Catherine. On jej już prawdopodobnie

185

szukał. Gdyby nie zjawiała się w Haven, liczyli na to, że ty ją znajdziesz. Jak tylko by ci się udało, zapewne zginęlibyście oboje.

Stanęło mi przed oczami ciało Catherine, porzucone w piwnicy domu Dane, jej głowa w krwawym kręgu. I przypomniał mi się owinięty folia Evan Baines, i rozkładające się ciało przysypanego ziemią dziecka, i inne które miały zostać odnalezione w magazynie Mancino i wielu podobnych miejscach.

I ujrzałem moją własną żonę i moją własną córkę w nich wszystkich

— Mogłeś wysłać kogoś innego — zauważyłem.

— Nie, tylko ciebie. Wiedziałem, że jeśli będzie wśród nich zabójca Evana Bainesa, to ty go znajdziesz. Na pewno, bo sam jesteś mordercą.

Przez chwilę to słowo wisiało w powietrzu, aż nagle powstała między nami przepaść, przepaść między naszą wspólną przeszłością a teraźniejszością. Cole się odwrócił.

Milczałem jakiś czas, po czym jak gdyby nigdy nic rzekłem:

— Ona powiedziała, że wie, kto zabił Jennifer i Susan. Walter wydawał się niemal wdzięczny, że przerwałem ciszę.

— Nie mogła wiedzieć. To była chora, zła kobieta, w ten sposób chciała cię dręczyć nawet po swojej śmierci.

— Nie, ona wiedziała. Wiedziała, kim jestem, czas jakiś przed tym, jak zginęła, ale nie wiedziała

w chwili, kiedy mnie wynajmowała. Wtedy by coś podejrzewała. Nie zaryzykowałaby.

— Mylisz się — zaprzeczył. — Daj temu spokój.

Nic już więcej nie powiedziałem, ale byłem pewien, że Adelaide Modine i Podróżnik pochodzili z tego samego świata, ze świata zła.

— Myślę o emeryturze — oznajmił Walter. — Mam już dość patrzenia na śmierć. Czytam ostatnio Sir Thomasa Browne'a. Znasz go?

— Nie.

— Chrześcijańskie morały: „Nie spoglądaj w twarz śmierci, póki na cię nie przyjdzie, nie patrz na umieranie, aż się ponad nie wzniesiesz”. — Stał do mnie tyłem, ale widziałem w oknie odbicie jego twarzy i nieobecny wzrok. — Zbyt długo patrzyłem na śmierć. Nie zamierzam zmuszać się do tego, by patrzeć na nią nadal.

Pociągnął łyk kawy. I dodał:

— Powinieneś wyjechać, zapomnieć o wszystkich złych duchach. Nie jesteś już tym, kim byłeś kiedyś, ale możesz się jeszcze w tym wszystkim odnaleźć, zanim kompletnie się zatracisz.

Moja nietknięta kawa stężała na powierzchni. Ponieważ milczałem, Walter westchnął i powiedział ze smutkiem, którego nigdy wcześniej nie słyszałem w jego głosie:

186

— Wolalbym cię już nigdy więcej nie oglądać. Porozmawiam z kimś, może już będziesz mógł odejść.

To prawda, że coś się we mnie zmieniło, lecz Walter chyba nie potrafił zrozumieć co. Być może tylko ja wiedziałem, co się naprawdę wydarzyło, co odblokowała we mnie śmierć Adelaide Modine. Okrucieństwo tego, co przez te wszystkie lata robiła, świadomość bólu i krzywdy wyrządzonej najmniej winnym wśród nas: tego nie da się zapomnieć ani niczym wyrównać. A jednak to się już zakończyło. I to dzięki mnie.

Wszystko ulega zagładzie, musi się kiedyś skończyć, bez względu na to, czy jest dobre, czy złe. Przekonałem się o tym, patrząc na brutalną śmierć w płomieniach Adelaide Modine. Skoro potrafiłem ją odnaleźć i zrobić z nią porządek, to mogłem to też zrobić z innymi. Mogłem to zrobić z Podróżnikiem.

Gdzieś w ciemności jakiś zegar zaczął tykać, odmierzając godziny, minuty i sekundy dzielące świat od unicestwienia Podróżnika.

Wszystko ulega zagładzie, musi się kiedyś skończyć.

Kiedy myślałem o tym, co powiedział Walter, o jego dotyczących mnie wątpliwościach, przyszedł mi na myśl mój ojciec i całe jego dziedzictwo. Zostały mi tylko strzępy wspomnień. Pamiętam potężnego faceta o czerwonej twarzy, wnoszącego do domu choinkę, parę buchającą z jego ust niczym kłęby dymu ze starego pociągu. Pamiętam, jak wszedłem kiedyś do kuchni i zastałem go pieszczącego matkę, i nie zapomnę jej śmiechu, którym próbowała pokryć ich wspólne zawstydzenie. Pamiętam, jak mi czytał do snu, jak wodził wielkimi palcami wzdłuż słów, żeby zaznajomić mnie z ich brzmieniem. I pamiętam jego śmierć.

Nosił zawsze świeżo wyprasowany mundur, miał wyczyszczony i nasmarowany pistolet.

Uwielbiał być policjantem albo tak mi się przynajmniej wydawało. Wtedy nie wiedziałem, dlaczego zrobił to, co zrobił. Może Walter Cole pojął to, patrząc na ciała tych dzieci. Może i ja to już teraz rozumiałem. Może stałem się taki jak mój ojciec.

Jasne dla mnie jest tylko to, że coś w nim umarło i świat wydał mu się inny, bardziej mroczny. Patrzył śmierci w twarz zbyt długo i stał się odbiciem tego, co widział.

Wezwanie było rutynowe: dwoje gówniarzy jeździło samochodem po kawałku nieużytków na długich świątlach z wyjąłym klaksonem. Ojciec pojechał tam i okazało się, że to jeden z miejscowych chłopaków, drobny opryszek na najlepszej drodze do zostania poważnym

przestępcą, i jego dziewczyna, panienka z dobrego domu flirtująca z niebezpieczeństwem i zachwycona płynącym z niego niemal seksualnym podnieceniem.

187

Ojciec nie mógł sobie przypomnieć, co chłopak mu powiedział, próbując zaimponować dziewczynie. Doszło do wymiany zdań i mogę sobie wyobrazić, jak ostrzegawczy głos mego rodzica stawał się coraz głębszy i twardszy. Chłopak udał charakterystyczny gest, sięgając do wewnętrznej kieszeni kurtki, z przyjemnością obserwując, jakie to robi wrażenie na zdenerwowanym gliniarzu, i słuchając chichotów stojącej obok dziewczyny.

Wtedy ojciec wyciągnął pistolet i śmiechy ucichły. Widzę niemal, jak chłopak podnosi rękę, kręci głową i wyjaśnia, że nie ma żadnej broni, że to tylko tak dla żartu, że przeprasza. Ojciec strzelił mu w twarz, krew zalała wnętrze samochodu, szyby i twarz dziewczyny na siedzeniu pasażera. W szoku szeroko otworzyła usta, lecz chyba nawet nie zdążyła krzyknąć, gdy zastrzelili ją. I odszedł.

Ci z Wydziału Spraw Wewnętrznych przyszedli po niego, kiedy przebierał się w szatni. Zabrali go na oczach kolegów, żeby dać im przykład. Nikt nie wszedł im w drogę. Wszyscy już wtedy wiedzieli, a przynajmniej tak im się zdawało.

Przyznał się do wszystkiego natychmiast, ale nie potrafił tego wytłumaczyć. Kiedy pytali, tylko wzruszał ramionami. Zabrali mu broń i odznakę — zapasowy pistolet, ten, który teraz należał do mnie, pozostał w jego sypialni — i odwieźli do domu; w wydziale nowojorskiej policji panuje bowiem zasada, że policjant może zostać przesłuchany dopiero po czterdziestu ośmiu godzinach od chwili popełnienia przestępstwa. Ojciec wyglądał na oszołomionego i nie odzywał się do matki. Dwaj z Wydziału siedzieli w samochodzie i palili papierosy, obserwowałem ich z okna mojego pokoju. Myślę, że wiedzieli, co się wydarzy. Kiedy rozległ się strzał, przez chwilę nie wychodzili z samochodu; zaczekali, aż jego echo wybrzmi w zimnym powietrzu nocy.

Jestem synem mojego ojca w pełnym tego słowa znaczeniu.

Drzwi pokoju przesłuchań otworzyły się i weszła Rachel Wolfe. Ubrana była na sportowo, w niebieskie džinsy, adidas i bawełnianą bluzę Calvi-na Kleina z kapturem. Rozpuszczone, zaczesane za uszami włosy spoczywały na ramionach, kilka piegów znaczyło jej nos i dolną część szyi. Usiadła i popatrzyła na mnie wzrokiem pełnym troski i współczucia — Słyszałam o śmierci Catherine Demeter. Przykro mi. Skinałem głowę, znowu pomyślałem o Catherine i o tym, jak wyglądała w piwnicy tego domu. To nie były dobre myśli.

— Jak się pan czuje? — zapytała. Ciekawości w jej głosie towarzyszyła czułość.

— Sam nie wiem.

188

— Żałuje pan, że zabił Adelaide Modine?

— Sama mnie do tego sprowokowała. Nie mogłem zrobić nic. Ta śmierć nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia, tak samo jak ś

prawnika czy widok Bobby'ego Sciorry unoszącego się na palcach, ostrze weszło w podstawę jego czaszki. To otepienie mnie przerażało; i € spokój. Myślę, że mogły mnie przerazić jeszcze bardziej, gdyby nie fakt, że czułem coś jeszcze: głęboki ból z powodu śmierci niewinnych dzieci, tych, które zostały odnalezione, i tych, które jeszcze na to czekały.

— Nie wiedziałem, że można po panią zadzwonić, kiedy zajdzie ta potrzeba. Po co panią wezwali?

— Nikt mnie nie wzywał, sama przyszedłam — odpowiedziała z rozbr;-a. jającą szczerością.

Dotknęła mojej dłoni dziwnym, niepewnym gestem, w którym wyczu. lem — czy może to tylko moje pobożne życzenie? — coś więcej niż zawody. we zrozumienie. Mocno ścisnąłem jej rękę i zamknąłem oczy. Chyba był t]0 jakiś pierwszy krok, niepewna próba odnalezienia swego miejsca

na świ^ęcie. Po zajściach ostatnich dwóch dni chciałem choć przez chwilę coś pozytywnego, spróbować obudzić w sobie coś dobrego.

— Nie zdołałem uratować Catherine Demeter — rzekłem w końcu, [^]___
Próbowałem i może nawet coś z tego próbowania wyniknęło. Nadal chc^ę odnaleźć mordercę Susan i Jennifer.

Kiwnęła głową i popatrzyła mi w oczy.

— Wierzę, że to się panu uda.

Rachel właśnie wyszła, kiedy zadzwoniła moja komórka.

— Tak?

— Pan Parker? — Damski głos.

— Charlie Parker przy telefonie.

— Nazywam się Florence Aguiard, panie Parker. Jestem córką Tat^ę. te Marie Aguiard. Był pan u nas.

— Pamiętam. Co mogę dla pani zrobić, Florence?

Znowu ścisnęło mnie w dołku, ale tym razem powodem było przeczy. C^{ie}, nadzieja, że może Tante Marie znalazła coś, co mogłoby zidentyfikować dziewczynę, która nawiedzała nasze myśli. W tle słyszałem fortepian, muzykę jazzową i śmiech kobiet i C^{yzn}, zmysłowy i kleisty jak melasa.

— Całe popołudnie próbowałam się z panem skontaktować. kazała mi zadzwonić. Mówi, że musi pan do niej zaraz przyjechać.

Było w jej głosie coś, co jakby wstrzymywało padające słowa. To sfrach wiszący jak dziwna mgła wokół tego, co musiała powiedzieć.

189

— Panie Parker, ona mówi, że musi pan zaraz przyjechać i nie mówić nikomu, że pan przyjeżdża. Nikomu, panie Parker.

— Nie rozumiem, Florence. Co się dzieje?

— Nie wiem — odparła. Płakała teraz, szloch dławił jej gardło. —Ale ona mówi, że pan musi przyjechać, od razu.

Opanowała się i usłyszałem, jak bierze głęboki oddech.

— Panie Parker, ona mówi, że Podróżnik wraca.

Zbiegi okoliczności nie istnieją, są tylko schematy, których nie dostrzegamy. Ten telefon był częścią takiego schematu, był powiązany ze śmiercią Adelaide Modine, czego wtedy jeszcze nie rozumiałem. Nikomu nie powiedziałem o tej rozmowie. Opuściłem pokój przesłuchań, odebrałem pistolet i wyszedłem na ulicę, by złapać taksówkę i wrócić do swojego mieszkania. Zarezerwowałem bilet pierwszej klasy do Nowego Orleanu, jedyny, jaki został na lot do Luizjany tego wieczora, i zjawiłem się w punkcie odpraw na chwilę przed odlotem, zadeklarowałem przewożenie broni, a moja torba została wchłonięta przez inne bagaże w ogólnym rozgardiaszu. Samolot był pełen pasażerów, z czego połowę stanowili turyści, którzy ponad wszystko zapragnęli znaleźć się w Nowym Orleanie i panującym tam sierpniowym zaduchu. Stewardesy serwowały bułki z szynką, chipsy i rodzyнки, wszystko zapakowane w papierową torbę, jaką dostaje się na szkolnej wycieczce do zoo.

Było już ciemno, kiedy poczułem dziwny ucisk w nosie. Sięgnąłem po serwetkę, gdy pojawiły się pierwsze krople krwi, a wtedy ucisk przerodził się w ból, ostry i przenikliwy; aż podskoczyłem w fotelu.

Pasażer obok mnie, biznesmen, którego już przy starcie poproszono, by nie używał laptopa, spojrział na mnie z zaskoczeniem, które zmieniło się w szok, kiedy dostrzegł krew. Przycisnął kilkakrotnie guzik wzywający stewardesę, a ja poczułem, że głowa leci mi do tyłu, jakbym

otrzymał silny cios. Krew trysnęła mi z nosa, plamiąc oparcie fotela przede mną, a do tego nie mogłem opanować drżenia rąk.

Kiedy już myślałem, że moja głowa eksploduje od bólu i ciśnienia, usłyszałem głos, głos starej, czarnej kobiety z bagien Luizjany.

— Dziecko — mówiła. — Dziecko, on tu jest.

A potem zapadła cisza i wszystko wchłonęła ciemność.

Wklęsłości mego ciała są jak piekło drugie przez wzgląd na swą pojemność.

Sir Thomas Urquhart, „Gargantua” Rabelais'go

1)00)1

Owad głucho uderzył w szybę. To była wielka ważka, Jastrzębi komar”.

— Cholera, musiała być wielka jak ptak - mruknął siedzący za kierownicą młody agent FBI O'Neill Brouhard.

Na zewnątrz było pewnie ze dwadzieścia kilka stopni, ale przez wilgotność Luizjany miało się wrażenie, że jest znacznie goręcej. Klimatyzacja suszyła koszulę na moim ciele, dając uczucie nieprzyjemnego zimna.

Na szybie rozmasowała się krew i przykleiły skrzydła owada, a wycieraczki z całych sił starały się je teraz usunąć. Czerwone kropki zdobiły też •fioją koszulę, bez potrzeby przypominając o tym, co wydarzyło się w samolocie; bez potrzeby, bo wciąż bolała mnie głowa, a grzbiet nosa był wrażliwy na dotyk.

191

Obok Brouharda siedział milczący Woolrich, skupiony na ładowaniu nowego magazynka do SIG sauera. Miał na sobie swój zwykły strój: tani jasnobrązowy garnitur i pognieciony krawat. Obok mnie na siedzeniu le' żała wymięta lekka kurtka z napisem FBI.

Dzwoniłem do niego z telefonu satelitarnego w samolocie, ale nie mogłem uzyskać połączenia.

Na lotnisku Moisant Field zostawiłem numer na jego poczcie głosowej, prosząc, by się ze mną jak najszybciej skontaktował po czym wynająłem samochód i wyruszyłem drogą I-10 do Lafayette. Mój telefon zadzwonił, jak tylko minąłem Baton Rouge.

— Bird? — usłyszałem Woolricha. — Co ty tu, do cholery, robisz?

W jego głosie pobrzmiwał niepokój. W tle słychać było silnik samochodu.

— Dostałeś wiadomość?

— Tak. Słuchaj, już do ciebie jedziemy. Ktoś widział Florence przy domu, na sukience miała krew, a w ręku pistolet. Spotkamy się z miejscowymi glinami przy zjeździe numer 121. Czekaj tam na nas.

— Woolrich, to może być już za późno...

— Masz czekać. Żadnych sztuczek tym razem. Dla mnie to też ważna sprawa. Muszę myśleć o Florence.

Przed nami jechały jeszcze dwa samochody, wozy patrolowe z biura szeryfa St Martin. Za nami, przednimi reflektorami oświetlając wnętrze i krew na przedniej szybie należącego do FBI chevroleta, w starym buicku podążali dwaj tamtejsi detektywi. Jednego z nich, Johna Charlesa Morphy'ego, znałem trochę, spotkaliśmy go kiedyś z Woolrichem w klubie Laffitte'a na Bourbon, gdzie kołysał się, słuchając śpiewu Lily Hood.

Był potomkiem Paula Charlesa Morphy'ego, mistrza świata w szachach z Nowego Orleanu, który wycofał się w tysiąc osiemset pięćdziesiątym dziewiątym roku w niebywale sędziwym wieku lat dwudziestu dwóch. Podobno potrafił prowadzić trzy, cztery partie jednocześnie, i to z zawiązanymi oczami. W przeciwieństwie do niego, John Charles ze swoją sylwetką kulturysty nie wyglądał na zapalonego szachistę. Na ciężarowca, owszem, ale nie na szachistę. Według Woolricha był facetem z przeszłością, byłym detektywem w policji Nowego Orleanu, który

przeszedł do biura szeryfa St Martin w nieciekawej atmosferze po dochodzeniu przeprowadzonym przez Sekcję Bezpieczeństwa Publicznego w sprawie zabójstwa młodego Murzyna, Luthera Bordelona, zamordowanego w okolicach Char-tres dwa lata wcześniej. Obejrzałem się, a Morphy spojrzał na mnie, jego ogolona głowa odbijała wewnętrzne światła buicka; kurczowo ściskając kierownicę, pokony' wał zrytą koleinami drogę przez moczary. Obok niego siedział jego part'

192

ner, Touissant, ze swoim pneumatycznym winchesterem model 12 między tolanami. Kolba była podziurawiona i porysowana, lufa równie zniszczo-na; domyśliłem się, że nie jest to broń służbowa, lecz prywatna własność Touissanta. Czuć ją było olejem, kiedy rozmawiałem z Morphem przez okno samochodu, gdy stanęliśmy w miejscu, gdzie droga Bayou Courta-bleau schodziła się z szosą I-10.

Światła samochodu wyławiały z ciemności gałęzie karłowatych palm, drzew dereniowatych, wierzb płaczących i ogromnych cyprysów, gęsto porośniętych oplątą brodaczkową, a miejscami wśród bagien majaczyły pnie obumarłych drzew. Skręciliśmy na ciemną jak tunel drogę, gałęzie cyprysów nad nami tworzyły dach, który zdawał się chronić nas przed światłem gwiazd, aż wreszcie z klekotem wjechaliśmy na most wiodący do domu Tante Marie Aguiard. Jadące przed nami dwa wozy z biura szeryfa skrzyły jeden w prawo, drugi w lewo, i zaparkowały ukośnie. Reflektory jednego z nich oświetlały prowadzące na skraj bagna zarośla; światła drugiego padały na dom, rzucając cienie na filary, na których wznosił się budynek, na ściany i schody prowadzące do drzwi wejściowych, które stały otworem, wpuszczając do środka wszystkie nocne stworzenia.

Kiedy stanęliśmy, Woolrich odwrócił się do mnie.

— Jesteś gotowy?

Skinąłem głową. Trzymałem już w ręku mojego smith & wessona, gdy wysiedliśmy z samochodu na ciepłe powietrze. Czułem unoszący się ciężki zapach gnijącej roślinności i lekki swąd dymu. Nagle coś się poruszyło w podszyciu po mojej prawej stronie i skoczyło lekko do wody. Morphy i jego partner zbliżyli się do nas. Usłyszałem dźwięk ładowanego magazynku. Dwaj zastępcy szeryfa stali niepewnie przy swoim wozie. Dwaj inni z bronią w rękach szli powoli przez zadbane ogródki.

— Co robimy? — zapytał Morphy.

Miał metr osiemdziesiąt wzrostu, szerokie ramiona i wąskie biodra; głowę miał łysą, nosił za to krótko przystrzyżoną brodę i wąsy.

— My wchodzimy pierwsi — powiedział Woolrich. — Wyślij tamtych dwóch koleśków za dom, ale powiedz, żeby nie pchali się do środka. Pozostali dwaj niech zostaną od frontu. Wy będziecie nas kryć. Brouhard, zostań przy samochodzie i obserwuj most.

Szliśmy po trawie, stąpając ostrożnie między porzuconymi zabawkami- W domu nie paliły się światła, wydawał się opuszczony. W uszach szumiała mi krew, dłonie miałem mokre od potu. Od schodów prowadzących

193

na ganek dzieliły nas trzy metry, gdy usłyszałem repetowaną broń i gJOs zastępcy szeryfa gdzieś po naszej prawej stronie.

— Słodki Jezu —jęknął. — Słodki Jezu, to niemożliwe...

Jakieś dziesięć metrów od brzegu bagna stało obumarłe drzewo. Jego gałęzie — cienkie witki i grube jak ludzka ręka konary — zaczynały wy. rastać na wysokości kilkudziesięciu centymetrów nad ziemią i sięgały dwóch i pół, może trzech metrów.

O drzewo wspierał się Tee Jean Aguiard, najmłodszy syn starej kobiety, jego nagie ciało

błyszczało w świetle latarki. Lewa ręka chłopca została zahaczona o grubą gałąź w ten sposób, że przedramię i pusta dłoń zwisały pionowo. Głowa spoczywała w zagłębieniu innego konaru, a wydłubane oczy stanowiły ciemne plamy na tle odkrytych mięśni i ścięgien odartej ze skóry twarzy.

Prawa ręka również oplatała gałąź, ale dłoń nie była pusta. W palcach chłopak trzymał płat własnej skóry, płat wiszący jak poniesiona woalka i odsłaniający wnętrze ciała od odkrytych żeber aż po okolice penisa. Żołądek i większość narządów jamy brzusznej została usunięta. Wszystkie one leżały na kamieniu przy jego lewej stopie, stos białych, niebieskich i czerwonych organów, wśród których jak wąż wiły się jelita.

Obok mnie jeden z zastępców dostał torsji. Obróciłem się i zobaczyłem, jak Woolrich złapał go za kołnierz i zaprowadził nad wodę kawałek dalej.

— Nie tutaj — rzucił. — Nie tutaj.

Zostawił klęczącego nad wodą mężczyznę i ruszył w stronę domu.

— Musimy znaleźć Florence — powiedział. Jego twarz wyglądała blado i niezdrowo. — Musimy ją znaleźć.

Właściciel miejscowego sklepu wędkarskiego widział, jak stała na moście prowadzącym do domu. Miała zakrwawione ubranie, a w ręku trzymała rewolwer colt service. Kiedy sklepikarz się zatrzymał, Florence uniosła broń i strzeliła w okno kierowcy; kula przeleciała dosłownie kilka milimetrów od jego głowy. Ze stacji benzynowej zadzwonił na policję w St Martin, a oni z kolei zawiadomili Woolricha, który wcześniej kazał im dzwonić i informować o każdym incydencie dotyczącym Tante Marie.

Woolrich wbiegł na schody prowadzące na werandę i dogoniłem go dopiero, gdy dochodził do drzwi. Położyłem mu dłoń na ramieniu, a on odwrócił się w moją stronę; jego oczy były szeroko otwarte.

— Spokojnie — powiedziałem.

Dzikość ustąpiła już z jego spojrzenia i wolno pokiwał głową. Odwróciłem się do Morphy'ego i pokazałem, żeby wszedł za nami do środka. Zabrał Touissantowi winchestera i gestem kazał mu dołączyć do zastępcy, którego partner był niedysponowany.

194

Długi hol prowadził prosto do dużej kuchni z tyłu domu. Po każdej jego stronie znajdowało się po troje drzwi. Pamiętałem, że Marie zajmowa-}a pokój ostatni na prawo, i kusiło mnie, żeby zaraz tam wparować. Posuwaliśmy się jednak ostrożnie, wchodząc do każdego pomieszczenia po kolei, przecinaliśmy ciemność światłem latarek, a w powietrzu unosiły się drobiny kurzu i ćmy. W pierwszym pokoju z prawej strony, w sypialni, nie było nikogo. Znajdowały się tam dwa łóżka, jedno zasłane, a drugie, dziecinne, rozbebeszo-*ne*, z kocykiem ściągniętym w połowie na podłogę. Salon naprzeciwko także był pusty. Morphy i Woolrich weszli do następnych dwóch pokoi, każdy do innego. Oba okazały się sypialniami. I oba były puste.

— Gdzie są te wszystkie dzieci, dorośli? — zwróciłem się do Woolricha.

— Na osiemnastce u kuzyna trzy kilometry stąd — wyjaśnił. — Tylko Tee Jean i Marie mieli tu być. No i Florence.

Drzwi do pokoju znajdującego się naprzeciw sypialni Tante Marie stały szeroko otwarte i widziałem w nim pobojowisko złożone z mebli, pudeł z ubraniami i stosów zabawek. Jedno okno nie było zamknięte i firanki powiewały na wietr*ze. Znaleźliśmy się przy drzwiach sypialni Marie. Były lekko uchylone, a w środku dostrzegłem promień księżyca, zniekształcony i niepokojony przez cienie drzew. Idący tuż za mną Morphy niósł uniesioną strzelbę, a Woolrich w obu dłoniach, blisko policzka trzymał swojego SIG sauera. Położyłem palec na spuście smith & wessona, nogą pchnąłem drzwi i dałem nura do środka.

Na ścianie obok drzwi zobaczyłem krwawy odcisk dłoni, a z ciemności za oknem dobiegły głosy nocnych stworzeń. Księżyc rzucał drżące cienie na długi kredens, ogromną, pełną niemal identycznych sukienek szafę i wielką, ciemną komodę przy drzwiach. W pokoju dominowało jednak olbrzymie, stojące pod ścianą łóżko, a na nim Tante Marie Aguiard.

Tante Marie: staruszka, która duchem była przy umierającej dziewczynie, gdy ostrze cięło jej twarz; staruszka, która mówiła do mnie głosem mojej żony, kiedy byłem tu ostatni raz, przynosząc mi ukojenie w żalu; staruszka, która odnalazła mnie w ostatniej godzinie swej męki. Siedziała naga na łożu, ogromna kobieta, przez śmierć nie pomniejszona. Głowa i górna część ciała oparte były o stos poduszek, ciemnych od krwi. Z jej twarzy pozostała czerwonopurpurowa masa. Szczeka opadła, ukazując długie, pożółkłe od tytoniu zęby. Światło latarki wychwyciło jej uda, grube ramiona i rozpostarte ręce.

— Boże miłosierny — wyszeptał Morphy.

Tante Marie była rozpruta od mostka aż po krocze, a płaty zdartej skóry przytrzymały jej własne dłonie. Tak jak u jej syna, większość

195

organów została usunięta, a brzuch stanowił coś na kształt płytkiej pie. czary, chronionej żebrami, przez które słabo prześwitywał fragment kręgosłupa. Światło latarki Woolricha powędrowało niżej, w kierunku pa-chwin, ale powstrzymałem go.

— Nie — rzekłem. — Wystarczy.

I nagle na zewnątrz rozległ się rozdzierający ciszę krzyk; rzuciliśmy się wszyscy do drzwi wejściowych.

Na trawie przed ciałem brata stała Florence Aguiard. Usta miała wykrzywione w podkowę, dolną wargę wywiniętą do dołu w grymasie cierpienia. W prawej ręce trzymała colta z długą lufą, skierowaną do ziemi. Białą sukienkę w niebieski kwiecisty wzór znaczyły plamy krwi. Nie wydawała żadnego dźwięku, choć ciałem wstrząsał niemy szloch.

Powoli zeszedliśmy z Woolrichem ze schodów. Morphy i jeden z zastępców szeryfa zostali na werandzie. Dwaj inni stróże prawa wyszli z domu i stali naprzeciwko Florence, Touissant nieco na prawo. Po jej lewej stronie widziałem zawieszoną na drzewie sylwetkę Tee Jeana, a obok niego czwartego zastępcę szeryfa i Broucharda z wyciągniętą z kabury spluwą.

— Florence — przemówił cicho Woolrich, wkładając swój pistolet do kabury. — Florence, odłóż broń.

Zadrzała i lewą ręką objęła się ciasno w pasie. Lekko się pochyliła i powoli pokręciła głową.

— Florence — powtórzył Woolrich. — To ja.

Odwróciła głowę w naszą stronę. W oczach miała rozpacz, ból, winę i wściekłość, rywalizujące ze sobą w jej znękanym umyśle.

Wolno uniosła colta i wycelowała w naszym kierunku. Zastępcy natychmiast wyciągnęli w jej stronę swoje pistolety. Touissant przyjął już pozycję strzelca, w bezruchu trzymając przed sobą broń.

— Nie! — krzyknął Woolrich, unosząc prawą rękę.

Policjanci spojrzeli niepewnie najpierw na niego, a potem na Morphy'ego. Ten skinął głową, a oni się cofnęli, nie spuszczały jej jednak z celowników.

Lufa colta mierzyła teraz we mnie, a Florence nadal powoli kręciła głową. Słyszałem jej cichy głos pośród nocy, powtarzający jak mantrę słowo Woolricha — „nie, nie, nie, nie, nie...” — aż nagle włożyła lufę do ust i pociągnęła za cyngiel.

Eksplozja zabrzmiała jak armatnia salwa w nocnym powietrzu. Usłyszałem trzepot ptasich skrzydeł i krzątanie małych zwierząt w zaroślach, gdy dziewczyna upadła na ziemię z ziejącą raną w głowie. Woolrich opadł przy niej na kolana i lewą ręką dotknął jej twarzy, prawą

instynktownie,

196

acz daremnie, szukając pulsu na szyi. Wreszcie podniósł ją i wykrzywiając w bólu usta, przycisnął jej twarz do swojej przepoconej koszuli.

Gdzieś w oddali zabłyśły czerwone światła. Jeszcze dalej zabrzmiał dźwięk tnących ciemność śmigieł helikoptera.

W Nowym Orleanie wstawał ciężki od wilgoci dzień, zapach Missisipi unosił się wyraźnie w powietrzu poranka. Wyszedłem z hotelu i włączyłem się po Quarter, chcąc pozbyć się zmęczenia umysłu i ciała. W końcu trafiłem na Loyola, gdzie ruch czynił narastający upał trudniejszym do zniesienia. Niebo było szare i zasnułe groźbą deszczu, ciemne chmury wisiały nieruchomo nad miastem. Kupiłem Times-Picayune z automatu i czytałem, stojąc przed Ratuszem. Gazeta pisała tyle o korupcji, że aż dziwi, iż papier od tego wszystkiego nie zgnił: dwaj policjanci aresztowani za handel narkotykami, federalne śledztwo w sprawie przebiegu ostatnich wyborów do Senatu, podejrzenia pod adresem byłego gubernatora. Cały Nowy Orlean ze swoimi zaniedbanymi budynkami, ponurym centrum handlowym Poydras i domem towarowym Woolwortha, na wywieszkach informującym o swojej likwidacji, wydawał się wcieleniem korupcji, więc trudno było powiedzieć, czy to miasto skaziło swoją społeczność, czy też niektórzy mieszkańcy upadając, ciągnęli je na dno za sobą.

Chep Morrison zbudował imponujący Ratusz wkrótce po powrocie z drugiej wojny światowej, by zdeponować milionera burmistrza Mae-striego i wprowadzić miasto w dwudziesty wiek.

Niektórzy z dawnych kumpli Woolricha wciąż wspominali Morrisona z rozrzewnieniem, chociaż miało ono bezpośredni związek z faktem, że za jego panowania rozkwitała korupcja w policji, szwindle, prostytutka i hazard. Ponad trzydzieści lat później wydział policji w Nowym Orleanie nadal zmagał się z tym, co zostawił po sobie Morrison.

Nowoorleański Wydział Policji powstał w osiemnastym wieku i, jak wydziały innych miast Południa, takich jak Savannah, Richmond, Charleston czy Mobile, miał za zadanie kontrolować i monitorować miejscową społeczność niewolników; działał na zasadzie „ciąć”, gdyż na jego utrzymanie przeznaczano część nagród wypłacanych za ujęcie uciekinierów. W wieku dziewiętnastym stróż prawa oskarżani bywali o gwałty, morder-

197

stwa, lincze, włamania, łapówkarstwo i przymykane oczu na hazard i prostytutkę. Fakt, że policjanci zmuszeni byli co roku uczestniczyć w wyborach, oznaczał, że musieli wykazać się lojalnością wobec dwóch głównych partii politycznych. Podczas wyborów do władz manipulowali ludźmi, zastraszcili wyborców, uczestniczyli nawet w masakrze osób o umiarkowanych poglądach w Instytucie Mechaniki w tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym. Pierwszy czarnoskóry burmistrz Nowego Orleanu, Dutch Morial, na początku lat osiemdziesiątych usiłował zaprowadzić w wydziale porządek. Lecz jeśli niezależna Miejska Komisja do Spraw Przestępczości, która próbowała zrobić to samo dwadzieścia pięć lat przed nim, nic nie osiągnęła, to jaką szansę miał czarny burmistrz? Związek zawodowy policjantów, składający się w większości z białych, zastrajkował i został odwołany Mar-di Gras, tradycyjny nowoorleański karnawał. Wezwano Gwardię Narodową, by utrzymać porządek. Nie miałem pojęcia, czy od tamtej pory sytuacja uległa poprawie. Miałem nadzieję, że tak.

W Nowym Orleanie znajduje się główny wydział zabójstw, przyjmujący co roku około czterystu „trzydziestek”, takim kodem bowiem oznacza się tu sprawy morderstw. Rozwiązanie znajdowała może połowa z nich, tak że większość ludzi mających cudzą krew na rękach nadal spokojnie spacerowała ulicami miasta. Tutejsze władze, rzecz jasna, wolą nie mówić o tym turystom, chociaż być może wielu z nich i tak by to nie odstraszyło. W końcu jeśli tak odlotowe miasto ma

do zaoferowania hazard na statkach na rzece, całodobowe bary, striptiz, prostytutkę i ogólnodostępne narkotyki, i to wszystko prawie w jednym miejscu, to oczywiste jest, że musi mieć też swoje ciemne strony.

Szedłem dalej, by wreszcie usiąść na kamiennym murku pod drzewem przed różowym budynkiem New Orleans Center z górującą nad nim wieżą Hyatt, gdzie czekałem na Woolricha. Pośród całego zamieszania poprzedniej nocy zdołaliśmy umówić się na śniadanie. Chciałem zostać w Lafayette czy Baton Rouge, ale on obawiał się, że tamtejsza policja mogłaby nie być zadowolona z mojej obecności w pobliżu miejsca, gdzie toczyło się śledztwo, a przy tym, jak zauważył, on sam siedział w Nowym Orleanie.

Czekałem dwadzieścia minut, a ponieważ nadal go nie było, przespacerowałem się wzdłuż Poydras Street, wąwozu pośród biurowców, o tej porze pełnego już ludzi interesu i turystów zmierzających ku rzece.

Kawiarnia La Madelaine na Jackson Square była pełna ludzi, którzy przyszli tu na śniadanie. Zapach pieczonego w tutejszych piecach chleba sprawiał, że ludzie tłoczyli się, przyciągani niczym bohaterowie kre-

198

główek narysowanym dymkiem zapachu. Zamówiłem ciastko i kawę i skończyłem czytać gazetę. Zakupienie w Nowym Orleanie New York Timesa jest praktycznie niemożliwe. Czytałem gdzieś, że tutejsi mieszkańcy kupują najmniej egzemplarzy tej gazety w całym kraju, z drugiej zaś strony, podobno nigdzie indziej nie sprzedaje się tylu eleganckich ubrań co tutaj. Skoro codziennie chodzi się na proszone kolacje, to nie ma zbyt wiele czasu na czytanie New York Timesa.

Zebrani wśród rosnących na placu magnolii i bananowców turyści przyglądali się stepującym tancerzom, mimom i szczupłemu, czarnoskóremu mężczyźnie, który wybijał stały, zmysłowy rytm, uderzając plastikowymi butelkami o swoje kolana. Od rzeki dochodził lekki wiatr, ale przegrywał w walce z porannym upałem, zadowolając się rozwiewaniem włosów artystom rozwieszającym swoje obrazy na metalowym płocie wokół placu i zagrażając kartom wrózek siedzących przed katedrą.

Czułem się dziwnie zdystansowany od wydarzeń w domu Marie. Spodziewałem się, że przypomną mi to, co widziałem we własnej kuchni: moją żonę i córkę, ich człowieczeństwo zredukowane do ciała, ścięgien i kości. Było mi jednak przy tym dziwnie ciężko, jakby ciemny, mokry koc spoczął na moim sumieniu.

Ponownie przejrzałem gazetę. Krótka wzmianka o morderstwach pojawiła się na dole pierwszej strony, ale szczegóły dotyczące okaleczeń nie zostały udostępnione prasie. Nie wiadomo, jak długo zostanie to utrzymane w tajemnicy; plotki zapewne zaczną krążyć już na pogrzebie.

W środku znalazłem zdjęcia dwóch ciał, Florence i Tee Jeana, zrobione w momencie, kiedy przenoszono je przez most do czekających ambulansów. Most został osłabiony przez panujący ostatnio na nim ruch i zaistniała obawa, że mógłby się załamać pod ciężarem karet. Na szczęście nie opublikowano zdjęć Marie przewożonej do ambulansu na specjalnych noszach na kółkach; jej ogromne ciało zdawało się kpić ze śmiertelności nawet wtedy, gdy leżało okryte czarnym pokrowcem.

Podniosłem wzrok i ujrzałem zbliżającego się Woolricha. Zmienił ubranie na popielaty, płócienny garnitur, tamten jasnobrązowy poplamiony był krwią Florence Aguiard. Nie ogolił się i miał ciemne worki pod oczami. Zamówiłem mu kawę i talerz ciastek i nie odzywałem się, kiedy jadł.

Pomyślałem, iż bardzo zmienił się w ciągu tych kilku lat, jakie minęły od naszego pierwszego spotkania. Nie był już tak okrągły na twarzy, a gdy światło padło na niego pod pewnym

szczególным kątem, pod skórą odznaczyły się kości policzkowe. Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że może jest chory, ale o nic nie pytałem. Gdyby Woolrich miał ochotę, sam by mi powiedział.

199

Kiedy jadł, przypomniałem sobie moment, gdy poznaliśmy się nad zwłokami Jenny Ohrbach. Była piękną, trzydziestoletnią kobietą o idealnej figurze zachowanej dzięki regularnym ćwiczeniom i przemyślanej diecie, która, jak się później okazało, wiodła całkiem luksusowe życie mimo braku oficjalnych środków utrzymania.

Stałem nad nią w mieszkaniu w Upper West Side w zimną, styczniową noc. Dwa ogromne okna wykuszowe wychodziły na mały balkon z którego widać było Siedemdziesiątą Dziewiątą Ulicę i rzekę, dwie przecznice od baru z przekąskami Zabara na Broadwayu. To nie był nasz teren, ale Walter Cole i ja znaleźliśmy się tam, bo wydawało się, że metoda działania zabójcy w stadium początkowym pasowała do dwóch włamań z bronią w rękę, nad którymi pracowaliśmy, z czego jedno zakończyło się śmiercią pewnej młodej szefowej działu księgowości, Deborah Moran.

Wszyscy policjanci z wydziału mieli na sobie płaszcze, na szyjach niektórych dyndały szaliki. W mieszkaniu było ciepło i nikt się nie spieszył z wyjściem na dwór, a już najmniej Cole i ja, chociaż ta sprawa wyglądała na umyślne zabójstwo, a nie włamanie z bronią w rękę. W mieszkaniu wszystko wydawało się nietknięte, nawet portfel z trzema kartami kredytowymi i ponad siedmioma setkami dolarów w gotówce leżał nienaruszony w szufladzie pod telewizorem. Ktoś przyniósł z baru Zabara kawę i popijaliśmy ją z kubków trzymanyh w obu dłoniach, napawając się niezwykłym uczuciem ciepła na naszych palcach.

Lekarz sądowy już kończył i sanitariusze czekali, aż będą mogli zabrać ciało, kiedy do mieszkania wtoczył się jakiś niechlujny facet. Miał na sobie długi, brązowy płaszcz, w odcieniu sosu do pieczenia wołowej, a podeszwa jednego buta oderwała się od jego górnej części. Z dziury sterczała czerwona skarpetka i obnażony ogromny palec. Jego jasnobrązowe spodnie były wygniecione jak gazeta sprzed dwóch dni, a niegdyś biała koszula dawno już zaniechała walki o swój pierwotny odcień, ustępując niezdrowej żółci barwiącej skórę chorych na żółtaczkę. Na głowę wciśnięty miał miękki, filcowy kapelusz. Ostatni raz widziałem na miejscu przestępstwa kogoś w filcowym kapeluszu w kinie, kiedy wróciła moda na filmy noir.

Jednak to jego oczy najmocniej przykuwały uwagę. Jasne, rozbawione i cyniczne zarazem, poruszające się jak pływające w wodzie meduzy. Mimo swojego niedbałego stroju był gładko ogolony i miał czyste ręce, na które naciągnął parę wyjętych z kieszeni gumowych rękawiczek. — Zimno jak w sercu dziwki — zauważył, kucając i delikatnie przykładając palec do szyi Jenny Ohrbach. — Ona też już jest zimna.

Poczułem, że ktoś otarł się o moje ramię i obróciłem się, by ujrzeć stojącego u mego boku Cole'a.

200

— Coś pan za jeden? — zapytał.

— Dobry człowiek — odparł przybysz. — Jestem agentem FBI, cokolwiek by to dla was miało znaczyć.

Mignął nam swoją legitymacją.

— Agent specjalny Woolrich.

Wstał z kucek, westchnął i ściągnął rękawiczki, a potem i rękawiczki, i dłonie wcisnął głęboko do kieszeni płaszcza.

— Co pana tu sprowadza w taką noc, agencie Woolrich? — zapytałem. — Zgubił pan klucze do Budynku Federalnego?

— Dowcipnisie z wydziału policji, co? — zauważył z uśmiechem. — Dobrze, że jest ambulans,

bo mógłbym zerwać sobie boki ze śmiechu. — Popatrzyl na ciało. — Wiecie, kim ona jest? — Znamy tylko jej nazwisko — powiedział jeden z detektywów, którego nigdy wcześniej nie spotkałem.

Ja wtedy nie miałem pojęcia, nawet jak się nazywała. Wiedziałem tylko, że kiedyś była piękna, a teraz już nie. Bito ją po twarzy i całej głowie kawałkiem grubego kabla, który leżał przy zwłokach. Kremowy dywan wokół jej głowy poczerwieniał od ciemnej krwi, którą spryskana była też ściana i drogi, choć pewnie niewygodny, komplet wypoczynkowy z białej skóry.

— To kobieta Tommy'ego Logana — rzekł Woolrich.

— Śmieciarza Logana — zauważyłem.

— Tego samego.

W ciągu ostatnich dwóch lat firma Tommy'ego Logana podpisała z miastem kilka intratnych kontraktów na wywóz śmieci. Tommy rozszerzył też interes o mycie okien. Chłopcy Tommy'ego myli okna w twoim budynku albo za jakiś czas nie miałeś już okien do mycia, ba, niekiedy nie miałeś nawet budynku. A jak się chciało prowadzić takie interesy, trzeba było mieć powiązania.

— Sępy interesują się Tommym? — zapytał Cole.

— Sporo osób się nim interesuje. O wiele więcej niż zwykle, skoro jego dziewczyna leży martwa na dywanie.

— Myśli pan, że ktoś próbuje mu coś przekazać? — podsunąłem. Woolrich wzruszył ramionami.

— Może. Chociaż lepiej było mu przekazać, żeby wynajął dekoratora, który nie zatrzymał się w rozwoju w dniu śmierci Elvisa. Niezbyt tu nowocześnie.

Miał rację. Mieszkanie Jenny Ohrbach okropnie trąciło myszką. Ale jej to już i tak nie robiło różnicy.

Nikt się nigdy nie dowiedział, kto ją zabił. Tommy Logan wydawał się autentycznie zaskoczony, kiedy usłyszał, że jego przyjaciółka nie żyje; tak

201

zaskoczony, że przestał się nawet martwić, iż żona mogłaby odkryć jego romans. Może właśnie na skutek śmierci Jenny Ohrbach postanowił być bardziej hojny dla swoich partnerów w interesach, ale i tak spółka nie pociągnęła zbyt długo. Rok później ktoś podciął mu gardło i zrzucił ciało z mostu Borden w Queens.

Od tej pory jednak czasami spotykałem Woolricha. Nasze ścieżki niekiedy się krzyżowały; raz czy dwa poszliśmy na drinka, po czym ja wracałem do domu, a on do pustego mieszkania w TriBeCa. Raz załatwił bilety na mecz Knickersów; kiedyś wpadł do nas na obiad; podarował Jennifer na urodziny ogromnego pluszowego słonia; obserwował, ale nigdy nie oceniał ani się nie wtrącał, kiedy upijałem się jedną kolejką po drugiej.

Pamiętam go, jak na trzecich urodzinach Jenny siedział w papierowej czapeczce klauna na głowie z miseczką wiśniowych lodów w dłoni. Wyglądał na nieco zakłopotanego w swoim pogniecionym garniturze, otoczony trzy- i czterolatkami i ich zachwyconymi rodzicami, ale był równocześnie szczęśliwy, kiedy pomagał dzieciakom nadmuchiwać balony i wyciągał z za ich uszu ćwierćdolarowe monety. Udawał różne zwierzęta i uczył maluchy balansować łyżką na nosie. Kędy wychodził, w jego oczach był smutek. Pewnie przypomniały mu się inne urodziny, kiedy to jego córka była w centrum zainteresowania, zanim stracił z nią kontakt.

Po śmierci Susan i Jennifer pojechał ze mną na posterunek i czekał na zewnątrz cztery godziny, aż skończyli mnie przesłuchiwać. Nie mogłem wrócić do domu, a po tej pierwszej nocy, kiedy rozplakałem się na szpitalnym korytarzu, nie mogłem też zostać z Colem, nie tylko ze względu na jego udział w śledztwie, ale i dlatego, że nie chciałem być z jego rodziną, nie po tym wszystkim. Pojechałem więc do małego, schludnego mieszkania Woolricha, pełnego książek z

poezją Marvella, Vaughana, Richarda Cra-shawa, Herberta, Jonsona i Ralegha, którego „Wędrowną umęczonego człowieka” Woolrich czasami cytował. Odstąpił mi swoje łóżko. W dzień pogrzebu stał przy mnie w deszczu, nie zważając na spływającą po nim i kapiącą z runda kapelusza wodę.

— Jak się czujesz? — zapytałem w końcu.

Wydał policzki i wypuścił powietrze, kiwając lekko głową z boku na bok, jak figurka psa z tyłu samochodu. Włosy za uszami mu posiwiały. Od kątek oczu i ust odchodziły linie jak pęknięcia na chińskiej porcelanie.

— Nie za dobrze — odparł. — Spałem trzy godziny, o ile budzenie się co dwadzieścia minut można nazwać spaniem. Ciągle mam przed oczami Florence, pistolet i to, jak wkłada go sobie do ust.

— Widywałaś się z nią?

202

— Trochę. Raz częściej, raz rzadziej. Kilka razy się spotkaliśmy, parę dni temu pojechałem do ich domu, żeby zobaczyć, czy wszystko w porządku. Jezu, ale się porobiło...

Przysunął do siebie gazetę i przebiegł wzrokiem artykuł opisujący morderstwa, brudząc sobie palec farbą drukarską, kiedy wodził nim linijka po linijce. Gdy skończył czytać, popatrzył na czarny czubek palca, potarł go kciukiem, a potem oba oczyścił serwetką.

— Mamy odcisk palca, właściwie jego fragment — oznajmił, jakby dopiero widok własnych linii papilarnych mu o tym przypomniał.

Turyści i hałas na zewnątrz zdawały się ginać w oddali, aż został tylko Woolrich i jego ciemne oczy. Dopił kawę i serwetką otarł usta.

— Dlatego się spóźniłem. Godzinę temu to potwierdzili. Porównaliśmy z odciskami Florence, ale to nie jej linie papilarne. Są na nim ślady krwi starej kobiety.

— Gdzie go znaleźliście?

— Na spodzie łóżka. Może chciał się przytrzymać, kiedy ją ciął, albo się pośliznął. Nie wygląda na to, żeby starał się go usunąć. Porównujemy go z odciskami w naszej lokalnej kartotece i centralnym rejestrze. Jeżeli figuruje w systemie, znajdziemy go.

W rejestrze, obok przestępców, znajdowały się dane pracowników Biura, imigrantów, personelu armii i tych, którzy chcieli, by ich odciski palców zostały pobrane dla celów identyfikacyjnych. W ciągu następných dwudziestu czterech godzin ten odnaleziony zostanie porównany z dwustoma milionami innych.

Gdyby był to odcisk Podróżnika, to byłby to pierwszy prawdziwy przełom w sprawie od śmierci Susan i Jennifer, ale nie liczyłem na wiele. Człowiek, który zadał sobie trud, czyszcząc paznokcie mojej żony po jej zamordowaniu, nie mógł być aż tak nieostrożny, aby zostawić swój odcisk na miejscu zbrodni.

Patrząc na Woolricha, wiedziałem, że myśli podobnie. Gestem zamówił jeszcze jedną kawę, spojrzął na tłumy na Jackson Square i posłuchał, jak parskają kuce ciągnące dorożki dla turystów.

•— Tego dnia Florence wybrała się na zakupy do Baton Rouge, potem wróciła do domu, żeby się przebrać na przyjęcie z okazji osiemnastych urodzin jednego z kuzynów. Zadzwoniła do ciebie z budki w Breaux Bridge i wróciła do domu. Przebywała tam mniej więcej do wpół do dziewiątej, a około dziewiątej zjawiała się na urodzinach w Breaux Bridge. Według zeznań świadków spisanych przez miejscową policję, była dziwnie roztargniona i nie została tam długo; zdaje się, że to matka nalegała, aby poszła, że przecież Tee Jean mógł się nią zaopiekować. Florence została tam przez

203

H

godzinę, może półtorej, i wróciła. Brennan, ten od sklepu wędkarskiego, zobaczył ją jakies

trzydzieści minut później. Morderstwa miały więc miejsce w ciągu tych dwóch godzin.

— Kto zajmuje się sprawą?

— Teoretycznie Morphy i jego ludzie. Tak naprawdę większość spada na nas, ponieważ ze względu na te same metody działania sprawa ma związek z zabójstwem Susan i Jennifer. Zresztą sam tego chcę. Brillaud założy podsluch w twoim telefonie na wypadek, gdyby on zadzwonił. Trochę ci poprzeshkadzają w pokoju, ale nie widzę nic, co można by jeszcze zrobić.

Unikał mojego wzroku.

— Odsuwasz mnie od sprawy.

— Bird, nie powinieneś się w to zbyt angażować. Wiesz przecież. Już raz ci to mówiłem i teraz powtarzam. To my decydujemy, co możesz robić.

— A mogę niewiele.

— Tak, cholera, niewiele. Słuchaj, Bird, ty jesteś ogniwem łączącym nas z tym facetem.

Zadzwonił raz, zadzwoni znowu. Poczekamy, zobaczymy... — Rozłożył szeroko ręce.

— Zabił przez tę dziewczynę, o której wspominała Marie. Zamierzacie jej szukać?

Przewrócił oczami ze złością.

— Gdzie? W całym tym pieprzonym bagnie? Nie jesteśmy nawet pewni, czy ona naprawdę istniała. Mamy odcisk, pójdziemy tym śladem i zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi. A teraz ureguluj rachunek i wynośmy się stąd. Mamy robotę.

Zatrzymałem się w odnowionym domu w stylu greckim, który nosił nazwę Flaisance House, na Esplanade; był to biały budynek pełen starych mebli. Wybrałem sobie pokój w zaadaptowanej wozowni z tyłu domu, po części z powodu jego odosobnienia, ale także ze względu na naturalny alarm w postaci dwóch psów, które, według recepcjonisty z nocnej zmiany, pilnowały obejścia i szczekały na wszystkich oprócz gości. W rzeczywistości psy cały dzień tylko spały w cieniu starej fontanny. Mój wielki pokój miał balkon, mosiężny wiatrak pod sufitem, dwa ciężkie fotele ze skóry i małą lodówkę, którą wypełniłem wodą mineralną w butelkach.

Kiedy dotarliśmy do Flaisance, Woolrich włączył telewizor na poranny teleturniej, przy którym w milczeniu czekaliśmy na Brillauda. Zapukał do drzwi dwadzieścia minut później, w ciągu których jakaś kobieta z Tul-sa wygrała wycieczkę na Maui. Brillaud był małym, schludnie ubranym,

204

łysiejącym mężczyzną, który co kilka minut przeczesywał palcami resztki włosów, jakby chciał się upewnić, że coś tam jeszcze zostało. Za nim ukazali się dwaj mniej schludnie ubrani faceci, ciągnący za sobą niezdarnie metalowy wózek z aparaturą do podsłuchu, którym musieli ostrożnie manewrować na drewnianych schodach prowadzących do czterech pokoi w dawnej wozowni.

— Do roboty, Brillaud — pogonił Woolrich. — Macie chyba coś do czytania?

Jeden z facetów od sprzętu pomachał plikiem czasopism i książek w miękkich oprawkach, które wyciągnął z dna wózka.

— Gdzie cię szukać, jak będziesz nam potrzebny? — zapytał Brillaud.

— Tam, gdzie zwykle — odpowiedział Woolrich. — W pobliżu. I wyszedł.

Dzięki Woolrichowi zwiedziłem kiedyś tajemniczy pokój w nowojorskim biurze FBI. To było pomieszczenie techniczne, w którym ekipy zajmujące się długoterminowymi sprawami — przestępstwami zorganizowanymi, kontrwywiadem — odbierały podsłuch. Sześciu agentów siedziało przed rzędem reagujących na głos, szpulowych magnetofonów; za każdym razem, kiedy się włączały, dokładnie notowali czas, datę i temat rozmowy. W pokoju słychać było tylko pstryknięcia, szum sprzętu i drapiące po papierze długopisy.

Agenci federalni uwielbiają swe podsłuchy. W tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym, kiedy jeszcze nazywali się Biuro Śledcze, Sąd Najwyższy udzielił zgody na nieograniczone korzystanie

z aparatury podsłuchowej. Dwanaście lat później minister sprawiedliwości i prokurator generalny Andrew Jackson chciał ten proceder ograniczyć, ale Roosevelt przekonał go, żeby zezwolił na korzystanie z podsłuchów w przypadkach „działalności wywrotowej”. W interpretacji Hoovera pod pojęciem „działalności wywrotowej” kryło się wszystko, od prowadzenia chińskiej pralni po pieprzenie cudzej żony. Hoover był bogiem podsłuchu.

Teraz federalni nie muszą kryć się w budkach na skrzyżowaniach i chować notatników przed wiatrem i deszczem. Najczęściej wystarczy zgoda sądu i telefon do przedsiębiorstwa telekomunikacji, by przekazywało im sygnał. Jest to nawet łatwiejsze, kiedy delikwent idzie na współpracę. W moim przypadku Brillaud i jego kompani nie musieli siedzieć w furgonetce przed hotelem, wachając własny pot.

Kiedy pracowali nad moim telefonem komórkowym i stacjonarnym, w hotelowym pokoju, powiedziałem im, że idę do kuchni, która znajdowała się w głównym budynku. Wyszedłem z Flaisance i przeciąłem dziedzi-

205

I

nieć, przyciągając znudzone spojrzenie jednego z leżących w cieniu psów. Poszedłem do budki telefonicznej przy sklepie spożywczym jedną przecznicę dalej. Wykręciłem numer Angela. Zgłosiła się sekretarka. Zostawiłem wiadomość, informując o bieżącej sytuacji, i poradziłem, by nie dzwonił do mnie na komórkę.

Założenie jest takie, że federalni mają ograniczyć do minimum swoje zaangażowanie w podsłuch i inwigilację. Teoretycznie oznacza to, że powinni przerywać nagranie i wyłączać fonię, kiedy staje się jasne, że to tylko prywatna, nie mająca nic wspólnego ze sprawą rozmowa. W praktyce jednak tylko palant mógłby pomyśleć, że jego prywatna rozmowa z podsłuchiwanego aparatu nie trafi w niepowołane uszy, i głupotą z mojej strony byłoby rozmawiać z włamywaczem i mordercą, kiedy FBI słucha. Gdy odłożyłem słuchawkę, kupiłem w sklepie trzy kawy i powróciłem do pokoju, gdzie już czekał na mnie zaniepokojony Brillaud.

— Przecież możemy zamówić kawę do pokoju, panie Parker — zauważył z dezaprobatą.

— Tutejsza jest niesmaczna — odpowiedziałem.

— Niech się pan lepiej zacznie przyzwyczajać — zakończył rozmowę, zamykając za mną drzwi.

Telefon zadzwonił o czwartej po południu, po wielu godzinach oglądania kiepskich programów w telewizji i czytania starych numerów Cosmopoli-tana. Brillaud zerwał się z łóżka i strzelił palcami na techników, jeden z nich już chwycił za słuchawki. Używając palców policzył do trzech i pokazał mi, że mam odebrać.

— Charlie Parker? — zabrzmiał kobiecy głos.

— Tak?

— Mówi Rachel Wolfe.

Popatrzyłem na agentów i pokręciłem głową. Usłyszałem wypuszczane przez usta powietrze. Zakryłem słuchawkę dłonią.

— No, uszy na minimum, zapomnieliście?

Doszedł mnie trzask wyłączanego magnetofonu. Brillaud znów uwalnił się na mojej czystej pościeli, splótł ręce za głowę i zamknął oczy. Rachel zdawała się wyczuwać, że coś się z tej strony dzieje.

— Może pan rozmawiać?

— Mam towarzystwo. Czy będę mógł oddzwonić?

Podala mi swój domowy numer i powiedziała, że wróci po siódmej trzydzieści. Wtedy mogłem ją zastać. Podziękowałem i odłożyłem słuchawkę.

— Przyjaciółka? — zapytał Brillaud.

206

— Moja lekarka — odparłem. — Mam syndrom niskiej tolerancji. Pani doktor ma nadzieję, że za kilka lat będę sobie radzić ze zwykłą ludzką ciekawością.

Głośno pociągnął nosem, ale nie otworzył oczu.

Drugi raz telefon zadzwonił o szóstej. Wilgoć i hałas z ulicy zmusiły nas do zamknięcia balkonu i w pokoju czuć było kwaśny męski zapach. Tym razem nie było wątpliwości, kto dzwoni.

— Witaj w Nowym Orleanie, Bird — zabrzmiał syntetycznie przetworzony głos, pełen głębokich tonów, które zdawały się zmieniać i drżeć jak mgła.

Odczekałem moment i skinąłem moim gościom. Brillaud już wzywał przez pager Woolricha. Na monitorze komputera przy drzwiach balkonowych widziałem zmieniające się mapy, w słuchawkach agentów słyszałem stłumiony głos Podróżnika.

— Chyba nie muszę witać twoich przyjaciół z FBI. — Tym razem głos w słuchawce był wysoki, jak u małej dziewczynki. — Czy agent Woolrich jest z wami?

Wstrzymałem się z odpowiedzią, świadomy wpływających sekund.

— Kurwa, nie zabawiaj się ze mną, Bird!

Nadal był to głos dziewczynki, teraz nadąsanej, bo nie pozwolono jej iść na podwórko i bawić się z koleżankami. Przekleństwo uczyniło go tym bardziej obscenicznym.

— Nie, nie ma go tutaj.

— Za trzydzieści minut. — Połączenie przerwało się. Brillaud wzruszył ramionami.

— On wie. Nie zostanie na linii tak długo, byśmy mogli go namierzyć. Znowu się położył, aby spokojnie poczekać na Woolricha.

Woolrich wyglądał na wyczerpanego. Z niewyspania miał czerwone oczy i nieświeży oddech.

Dreptał w miejscu, jakby cisnęły go buty. Pięć minut po jego przyjściu znowu zadzwonił telefon. Brillaud odliczył do trzech i podniosłem słuchawkę.

— Słucham.

— Tylko mi nie przerywaj.

Brzmiało to jak głos kobiety, która chce powiedzieć kochankowi o swoich fantazjach, ale głos zniekształcony, nieludzki.

— Przykro mi z powodu dziewczyny agenta Woolricha, przykro mi, że mi się wymknęła. Miała tam być. Zaplanowałem coś specjalnie dla niej, ale najwyraźniej miała coś ciekawszego do roboty.

207

Woolrich zacisnął powieki, ale w żaden inny sposób nie dał po sobie znać, jak bardzo poruszyło go to, co usłyszał.

— Mam nadzieję, że podobała wam się moja prezentacja — ciągnął głos. — Może nawet zaczynacie coś rozumieć. Jeżeli nie, nie przejmuj się. Jeszcze dużo się wydarzy. Biedny Bird. Biedny Woolrich. Zjednoczeń w smutku. Postaram się znaleźć wam towarzystwo.

Nagle głos znowu się zmienił. Stał się głęboki i groźny.

— Nie będę już dzwonił. To nieładnie podsłuchiwać prywatne rozmowy. Na następnej wiadomości ode mnie będzie krew.

Rozłączył się.

— Kurwa — zaklął Woolrich. — Powiedzcie, że coś macie.

— Nic nie mamy — odparł Brillaud, rzucając słuchawki na łóżko.

Agenci pakowali sprzęt do białego forda, a ja poszedłem przez dzielnicę Quarter do Napoleon House, by zadzwonić do Rachel Wolfe. Nie chciałem skorzystać z komórki. Wydawała mi się zbrukana przez to, że stanowiła środek komunikacji z mordercą. Miałem też ochotę na mały spacer, bo za długo siedziałem bezczynnie w pokoju. Odebrała po trzecim sygnale.

— Tu Charlie Parker.

— Witam...

Zdawało mi się, że nie wie, jak ma się do mnie zwrócić.

— Znajomi mówią do mnie Bird.

— Okej.

Na chwilę zapadła niezręczna cisza.

— Gdzie jesteś, Bird? Strasznie tam głośno.

— Zgadza się. To przecież Nowy Orlean.

Wtedy opowiedziałem jej tak, jak umiałem najlepiej, o tym, co zaszło. Słuchała uważnie i tylko raz czy dwa dotarło do mnie rytmiczne uderzanie długopisem w aparat na drugim końcu linii.

— Potrafiłabyś to zinterpretować? — zapytałem, kiedy skończyłem swą relację.

— Nie jestem pewna. Zajmowałam się czymś takim za czasów studenckich, lecz to było dawno temu i nie jestem pewna, czy sobie przypomnę. Ale być może coś się wykluło z twojej poprzedniej rozmowy z tym człowiekiem. Chociaż to też jest nieco zagmatwane. — Przerwała na moment. — Gdzie się zatrzymałeś?

Podaliśmy jej telefon do Flaisance. Powtórzyła nazwę i numer i zanotowała.

— Oddzwonisz do mnie?

208

di

— Nie — odparła. — Zarezerwuję sobie pokój. Przyjeżdżam.

Odłożyłem słuchawkę i rozejrzałem się po lokalu. Pełen był miejscowych i nieco przypominających cyganów gości; niektórzy z nich mieszkali w pokojach nad słabo oświetlonym barem. Z głośników płynęła nieznaną mi muzyka klasyczna, a w powietrzu unosiły się kłęby dymu.

Coś w telefonach od Podróżnika nie dawało mi spokoju, choć nie bardzo byłem pewien co.

Wiedział, że jestem w Nowym Orleanie. Wiedział, gdzie mieszkam i że byli ze mną federalni, a to oznaczało, że zna się na procedurach policyjnych i przyglądał się śledztwu, co zgadzało się z profilem nakreślonym przez Rachel.

Musiał nas obserwować, kiedy przybyliśmy na miejsce zbrodni albo zaraz potem. Biorąc pod uwagę obecność fedziów, zrozumiałe było, że nie chciał długo rozmawiać, ale ten drugi telefon...

Odtwarzałem go w myślach, usiłując wykryć źródło mego niepokoju, nic jednak nie osiągnąłem.

Miałem ochotę zostać w Napoleon House, poodychać atmosferą życia i wesołości starego baru, ale wróciłem do Flaisance. Mimo upału otworzyłem ogromne drzwi i wyszedłem na balkon.

Popatrzyłem na wyblakłe budynki i balkony z kutego żelaza dzielnicy Quarter i wciągnąłem powietrze przesycone zapachami jedzenia z pobliskiej restauracji, dymu i spalin. Wsłuchałem się w dźwięki jazzu z baru na Governor Nicholls, w pokrzykiwania i śmiech ludzi idących do obskurnych lokali na Bourbon Street, w śpiewną mowę mieszkańców wymieszaną z głosami przyjezdnych, w dźwięki życia płynącego pod moim oknem.

I pomyślałem o Rachel Wolfe, ojej spoczywających na ramionach włosach i kilku piegach na białej szyi.

EO1B1ML

A ej nocy śnił mi się amfiteatr z wznoszącymi się rzędami krzeseł zajętych przez starych mężczyzn. Jego ściany zasłonięte były adamaszkami, dwie wysokie latarnie oświetlały stojący na samym środku kwadratowy stół o zaokrąglonym blacie i nogach w kształcie kości. Leżała na nim Florence Aguiard, wewnątrz jej łona było odsłonięte, a brodaty człowiek w ciemnej szacie ciął ją oprawionym w kość słoniową skalpelem. Wokół jej szyi i za uszami były otarcia od sznura.

Wykrzywiona pod dziwnym kątem głowa spoczywała przy brzegu blatu.

209

Kiedy chirurg ją ciął, z macicy wypełzły węgorze, spadły na p[^] a martwa kobieta otworzyła oczy

i próbowała krzyczeć. Oprawca zatkał jej usta kawałkiem płótna, podczas ?& starzy mężczyźni na widowni przy. gładali się, a gdzieś w mroku szkielety grzechotały kośćmi. Chirurg ciął dalej, brodził już po kostki w wę?g°rznacn, aż światło zgasło w jej oczach.

Zaś w rogu amfiteatru, w półmroku wszystko to obserwowały trzy po. staci. Przyszły do mnie z krainy cienia, moja żona i córka, lecz tym razem był z nimi ktoś jeszcze, osoba, kt óra trzymała się nieco z tyłu, w ciemności, widoczna ledwie jako zarys, ledwie tam obecna. Przyszła z zimnego, mokrego miejsca, niosąc ze sobą ciężki zapach iltu, gnijącej roślinności, bagnistej wody i ciała, rozdętego i zdeformowanego przez gazy i rozkład. Wnętrze, gdzie leżała, było niewielkie i ciasne, jego ścianki nieustępliwe, niekiedy zderzały się z nimi ryby, a ona czekała. Czulem jej zapach w nozdrzach, kiedy się ocknąłem, i w<?ia.ż słyszałem jej głos...

pomóż mi

razem z krwią szumiało mi to w uszach

zimno mi, pomóż

i wiedziałem, że muszę ją odr^alezc-

Obudziło mnie dzwonienie telefonu. Przez zasłony przedzierało się słabe światło, a mój zegarek wskazywał ósmą trzydzieści pięć rano. Podniosłem słuchawkę.

— Parker? Tu Morphy. Zbieraj się. Spotkamy się za godzinę w La Marquise.

Wziąłem prysznic, ubrałem się i powoli poszedłem w stronę Jackson Square, towarzysząc zmierzający™ do katedry świętego Ludwika wiernym. Występujący przed nią połykacz ognia próbował zwabić tłum swoją sztuczką, a grupa czarnych zakoilnic tłoczyła się pod żółto-zielonym parasolem.

Kiedyś przyszliśmy tu z Susa« na mszę i siedzieliśmy pod bogato zdobionym sufitem przedstawiający^l Chrystusa wśród pasterzy; nad małym prezbiterium widniała postać kr?yzowca, króla Ludwika IX, Roi de France, rozpoczynającego siódmą wyprawę krzyżową.

Na samym początku, zaprojektowana w tysiąc siedemset dwudziestym czwartym roku, budowla ta była drewniana, lecz podczas pożaru w Wielki Piątek w tysiąc siedemset osiemdziesiątym ósmym spłonęła doszczętnie, a wraz z nią ponad osiemset innych budynków. Od tej pory przebudowywano ją dwukrotnie, zaś w obecnej postaci stała od mniej więcej stu pięćdziesięciu lat. Witrażowe okna wychodzące na plac Jana Pawła II stanowiły prezent od rządu Hiszpann-

210
Dziwne, że po tak wielu latach pamiętałem dokładnie takie szczegóły, j^ie dlatego, że były aż tak interesujące, ale ze względu na ich związek i Susan. Utkwiły mi w pamięci, bo ona była ze mną, kiedy to wszystko słyszałem, trzymałem ją za rękę i nigdy nie zapomnę wstażki w kolorze morskiej wody, którą związała włosy.

Przez chwilę czulem się tak, jakbym — stojąc w tym samym miejscu i przypominając sobie te same zasłyszane wtedy słowa — mógł powrócić do tamtej chwili i poczuć ją obok siebie, jej rękę w mojej dłoni, jej smak na moich ustach, jej zapach na mojej szyi. Gdybym zamknął oczy, mógłbym sobie wyobrazić, jak idzie główną nawą, wdychając woń kadzidla i kwiatów, jak przechodzi pod oknami, z ciemności w światło, ze światła w ciemność.

Przykłęknąłem w tyle katedry obok figurki cherubina z chrzcielnicą w dłoniach i z wizerunkiem diabła pod stopami i pomodliłem się za moją żonę i dziecko.

Morphy już czekał w La Marquise, francuskiej piekarni na Chartres. Siedział w ogródku za sklepem; zauważyłem, że świeżo ogolił głowę. Miał na sobie szare spodnie od dresu, sportowe buty nike i bluzę z polaru. Na stoliku stał talerz rogalików i dwie filiżanki kawy. Kiedy usiadłem naprzeciwko, zajęty był starannym smarowaniem pieczywa winogronową galaretką.

— Zamówiłem ci kawę. Weź sobie rogalika.

w Monroe zabił alfonsa, Hory zastrzelił jedną ze swoich dziewczyn i jej klienta w pokoju hotelowym w Lafayette. Ten alfons, studziesięciokilowy Kreol, który kazał mówić na siebie Le Mort Rouge*, dźgnął Morphy'ego w klatkę piersiową tulipanem z butelki, przewrócił i chciał udusić. Morphy, spróbował najpierw ciosów w twarz i inne części ciała, postanowił jednak chwycić go za gardło; obaj faceci trwali tak przez chwilę, ściskając się nawzajem, aż nagle coś strzeliło w głowie Le Morta i upadł na bok, na bar. Zmarł, zanim zdążył przyjechać ambulans.

To była uczciwa walka, ale kiedy tak przy nim siedziałem w samochodzie, przyszedł mi na myśl Luther Bordelon. To, że był zbir, nie ulega wątpliwości. Historia jego wykroczeń sięgała lat wczesnej młodości i podejrzewano go o zgwałcenie młodej turystki z Australii. Dziewczyna nie rozpoznała go przez lustro weneckie, a gwałcieł nie zostawił na jej ciele żadnych śladów, bo użył prezerwatywy i po wszystkim kazał jej się podmyć wodą mineralną z butelki, ale policjanci z nowoorleańskiego wydziału wiedzieli, że to robota Bordelona. Czasami tak bywa.

Tej nocy, kiedy zginął, pił w irlandzkim barze w Quarter. Ubrany był w białą koszulkę i białe szorty nike, a trzech inni klienci baru, z którymi grał w bilard, przysięgali, że nie był uzbrojony. Ale Morphy i jego partner, Ray Garza, zeznali, że Bordelon strzelił do nich, kiedy chcieli go rutynowo przesłuchać, i że zabili go w akcie samoobrony. Znalezione przy nim pistolet smith & wesson, prawie dwudziestoletni Model 60, w którym brakowało dwóch kul. Numer serii został usunięty, co uniemożliwiło identyfikację, a badanie balistyczne wykazało, że był czysty i nigdy nie użyty podczas popełniania przestępstwa w Nowym Orleanie.

Wszystko wskazywało na to, że ktoś pistolet podrzucił, a Sekcja Bezpieczeństwa Publicznego nowoorleańskiej policji była o tym wręcz przekonana, ale Garza i Morphy trzymali się swojej wersji. Rok później Garza nie żył, został pchnięty nożem, kiedy próbował przerwać bójkę w Irish Channel, a Morphy przeniósł się do St Martin, gdzie kupił dom. I to by było na tyle. Tak się to skończyło.

le mort rouge (fr.) — czerwona śmierć.

213

Gestem wskazał mi grupę młodych czarnoskórych ludzi w spodniach z krokiem zwisającym po kolana i za dużych adidasach, które kłapały przy każdym ich kroku. Patrzyli na nas bez mrugnięcia, jakby chcieli sprovokować nas do zaczepki. Z ogromnego magnetofonu, jaki ze sobą mieli, pływała muzyka Wu-Tang Clan, symbol ich rewolucji. Czerpałem rodzaj perwersyjnej przyjemności z faktu, że ją rozpoznałem. Charlie Parker, honorowy obywatel dzielnicy.

— To najgorszy łoskot, jaki kiedykolwiek słyszałem — powiedział Morphy. — Cholera, i to ci ludzie wynaleźli bluesa. Gdyby Robert Johnson usłyszał ten jazgot, pomyślałby na pewno, że sprzedał duszę diabłu i poszedł prosto do piekła.

Włączył radio samochodowe i z nieszczęśliwą miną zmieniał kanały. Zrezygnowany, wpełchnął wreszcie do odtwarzacza kasetę i w samochodzie zabrzmiał ciepły głos Little Willie Johna.

— Dorastałem w Metairie, zanim jeszcze większość miasta zaczęła wyglądać tak jak ta dzielnica — zaczął. — Fakt, że nie było czarnych wśród moich najlepszych przyjaciół — większość z nich chodziła do szkół publicznych, ja do prywatnej — jednak jakoś się dogadywaliśmy. Ale kiedy powstały dzielnice takie jak ta, to był koniec. Desire, Iberville, Lafitte, nie chciałbyś trafić do takich miejsc, chyba że uzbrojony po zęby. Potem przyszedł cholerny Reagan i wszystko spieprzyło się jeszcze bardziej. Wiedziałeś, że ponoć teraz notuje się więcej przypadków syfilisu niż pięćdziesiąt lat temu? Większość tych dzieciaków nie była nawet szczepiona przeciwko odrze. Jeżeli masz dom w takiej części miasta, to jest on gównem wart. Równie dobrze można go zostawić, niech się zawali w cholere.

Uderzył ręką w kierownicę.

— Przy takiej biedzie można zarobić niezłą kasę, jak się trochę po-kombinuje. Ludzie biją się o kawałek takiej dzielnicy, tak jak biją się o teren, nieruchomości, handel gorzałą, hazard.

— Kto na przykład?

— Na przykład Joe Bonnano. Jego chłopcy działają tu już od dziesięciu lat, kontrolują dostawy kokainy, heroiny, czego dusza zapagnie. Cały czas próbują rozwijać interes. Podobno mają zamiar otworzyć wielkie centrum rekreacji gdzieś między Lafayette a Baton Rouge, może wybudować hotel. A może po prostu utopić tam trochę cegieł i zaprawy murarskiej, a potem zapłacić podatek i wyprać w ten sposób forszę. — Rozejrzał się bacznie dookoła. — I pomyśleć, że to tu dorastał Joe Bones...

Westchnął, jakby nie mógł zrozumieć, jak można chcieć zrujnować miejsce, gdzie się dorastało. Zapuścił silnik i po drodze opowiedział mi historię Joego Bonesa.

214

Ojciec jego, Salvatore Bonnano, miał bar w Irish Channel i musiał tam stawić czoło miejscowym gangom, które uważały, że w miejscu, gdzie lu-jzie nadają swoim dzieciom imiona irlandzkich świętych i gdzie przetrwają mentalność „starego kraju”, nie ma miejsca dla Włocha. Nie było jednak nic szczególnie chwalebne w postawie Sala; wynikała ona tylko i wyłącznie z pragmatyzmu. W powojennym Nowym Orleanie za czasów burmistrza Chepa Morrisona można było nieźle zarobić, jeżeli człowiek był gotowy przyjąć parę ciosów i wręczyć parę łapówek. Bar Sala był pierwszym z wielu barów i klubów, jakie wkrótce posiadał. Miał pożyczki do spłacenia, a dochód czerpany z jednego tylko lokalu w Irish Channel nie satysfakcjonował jego wierzycieli. Zaoszczędził trochę i kupił drugi, tym razem w Chartres; i tak zaczęło rosnąć jego małe imperium. Czasami wystarczyła prosta finansowa transakcja, by nabył przybytek, o który mu chodziło. Innymi razy należało użyć nieco bardziej przekonujących argumentów. Jeżeli i to nie skutkowało, w rozlewiskach Atchafa-laya było dość wody, by ukryć całe mnóstwo grzechów. Stopniowo skompletował swoją własną ekipę, która zajmowała się interesem, starała się, żeby władze miasta, policja i burmistrz byli zadowoleni, i pilnowała, by ci, którzy znajdowali się na samym dole tego swoistego łańcucha pokarmowego, nie próbowali polepszyć swojej sytuacji kosztem Sala.

Sal Bonnano ożenił się z Marią Cuffaro, dziewczyną z Gretna, na wschód od Nowego Orleanu, której brat stał się jego prawą ręką. Urodziła mu jedną córkę, lecz ta zmarła na gruźlicę w wieku siedmiu lat, i syna, który zginął w Wietnamie. Sama zmarła w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym na raka piersi.

Jednak prawdziwą słabością Sala była kobieta o nazwisku Rochelle Hines. Rochelle była, jak to się wtedy mówiło, „ciemnobiała”, była Murzynką, której skóra stała się niemal całkowicie biała na skutek trwającego wśród jej przodków przez wiele pokoleń mieszania się ras. Jak to określił Morphy, jej cera miała kolor masła kakaowego, chociaż w metryce urodzin napisano: „rasa czarna; nieślubna”. Była wysoka, miała długie, ciemne włosy, migdałowe oczy i miękkie, szerokie i nęcące usta. Figurę miała taką, że nawet zegary stawały na jej widok, i krążyły plotki, że kiedyś pracowała jako prostytutka, choć jeśli nawet była to prawda, to Sal Bonnano szybko położył temu kres.

Kupił jej mieszkanie w Garden District i po śmierci Marii zaczął ją przedstawiać jako swoją żonę. Chyba nie postąpił zbyt rozsądnie. W Lui-zjanie pod koniec lat pięćdziesiątych segregacja rasowa była na porządku dziennym. Nawet Louis Armstrong, który dorastał w Nowym Orleanie,

215

nie mógł grać w mieście z białymi muzykami, bo władze stanu Luizjana zabroniły występować w nim rasowo mieszanym grupom.

A zatem choć biali mężczyźni mogli utrzymywać czarne kochanki i zadawać się z czarnymi

prostytutkami, to człowiek, który przedstawiał Murzynkę, choćby o niemal białej karnacji, jako swoją żonę, zwyczajnie szukał guza. Kiedy urodziła syna, Sal uparł się, aby chłopiec nosił jego nazwisko, i zabierał matkę i dziecko na koncerty orkiestr na Jackson Square, pchając przed sobą przez trawnik ogromny, biały wózek i gaworząc z synem.

Może Sal wierzył, że ochronią go pieniądze. A może po prostu się nie przejmował. Pilnował tylko, żeby Rochelle zawsze miała ochronę, żeby nigdy nie wychodziła sama, żeby nikt nie mógł się do niej dostać. Ostatecznie jednak to nie do niej się dobrali.

Pewnej upalnej lipcowej nocy w sześćdziesiątym czwartym, kiedy chłopiec miał pięć lat, Sal Bonnano zniknął. Znalaziono go trzy dni później przywiązanego do drzewa nad brzegiem jeziora Cataoutche, z głową niemal oddzieloną od reszty ciała. Wydawało się prawdopodobne, że ktoś postanowił wykorzystać jego związek z Rochelle Hines jako pretekst, by przejąć jego interesy. Kluby i bary przeszły w posiadanie jakiegoś konsorcjum z udziałami w Reno i Vegas.

Zaraz po odnalezieniu męża Rochelle Hines zniknęła wraz z synem oraz niewielką ilością biżuterii i gotówki, nim ktokolwiek zdążył ją dopaść. Pojawiła się rok później w dzielnicy, która miała się potem nazywać Desi-re, gdzie jej przyrodnia siostra wynajmowała dom. Śmierć Sala ją wykończyła: stała się uzależnioną od morfiny alkoholiczką.

To właśnie tutaj, wśród powstających nowych osiedli dorastał Joe Bones; jeszcze jaśniejszy niż jego matka, musiał stawić czoło i białym, i czarnym, jako że żadna z grup nie chciała zaakceptować go jako swojego. Był z tego powodu wściekły, a wściekłość swoją zwrócił przeciwko światu. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym, dziesięć lat po tym, jak Rochelle zmarła na brudnej przyczynie gdzieś na osiedlu, Joe Bones posiadał więcej barów niż jego ojciec trzydzieści lat wcześniej, a co miesiąc z Meksyku przylatywały kilogramy kokainy przeznaczone dla Nowego Orleanu i okolic.

— Teraz Joe nazywa siebie białym człowiekiem i lepiej się z nim nie spierać — stwierdził Morphy. - Zresztą jak rozmawiać z kimś, kogo dławi własne rozdmuchane ego. Joe nie ma już czasu dla swoich braci. — Zaśmiał się cicho. — Nie ma nic gorszego niż człowiek, który nie może się dogadać z ziomalami.

216

Zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej, Morphy zatankował i wrócił z wodą sodową. Piliśmy przy pompach, przyglądając się przejeżdżającym samochodom.

— Teraz jest jeszcze jedna ekipa, Fontenotowie, oni też mają ochotę wejść na dzielnicę. Dwaj bracia, David i Lionel. Rodzina pochodzi chyba z Lafayette — wciąż mają tam powiązania — ale przybyła do Nowego Orleanu w latach dwudziestych. Są ambitni, brutalni i doszli do wniosku, że czas rodziny Bonnano się skończył. Coś się dzieje mniej więcej od roku i niewykluczone, że Fontenotowie chcą się zasadić na Joego.

Fontenotowie nie byli już tacy młodzi — obaj mieli około czterdziestki — i krok po kroku wyrobili sobie w Luizjanie pozycję, a teraz zarządzali wszystkim ze swojej twierdzy w Delacroix, strzeżonej przez drut kolczasty, psy i uzbrojonych ludzi, głównie Cajunów. Bracia zajmowali się hazardem, prostytutką, trochę prochami. Posiadali bary w Baton Rouge i jeden czy dwa w Lafayette. Gdyby załatwili Joego Bonesa, możliwe, że zajęliby się rynkiem narkotykowym na większą skalę.

— Wiesz coś o Cajunach? — zapytał Morphy.

— Znam tylko ich muzykę.

— W tym stanie i w Teksasie to prześladowana mniejszość. Podczas koniunktury na ropę nie mogli znaleźć roboty, bo Teksasńczycy nie chcieli ich zatrudniać. Więc większość z nich zrobiła to, co zwykle robią ludzie w ciężkich czasach: wzięli się w garść i wykorzystali sytuację najlepiej, jak umieli. Wybuchwały konflikty między nimi a czarnoskórymi, bo rywalizowali

między sobą o ten sam ograniczony rynek pracy, i wydarzyło się parę przykrych rzeczy, ale większość po prostu starała się jakoś przeżyć, nie łamiąc zbyt wielu praw. Roland Fontenot, dziadek Lionela i Davida, rzucił to wszystko i przyjechał do Nowego Orleanu, podążając za jakąś tam częścią rodziny. Jednak bracia nigdy nie zapomnieli o swoich korzeniach. W latach siedemdziesiątych, kiedy znów zaczęło źle się dziać, zebrali wokół siebie sporo młodych Cajunów, trochę Murzynów i jakimś sposobem udało im się zapobiec wybuchowi tej niebezpiecznej mieszanki. — Morphy zabębnił palcami po desce rozdzielczej. — Czasami wydaje mi się, że wszyscy jesteśmy za Fontenotów w pewien sposób odpowiedzialni. Są dla nas jakby znakiem od Boga, który ma nam uświadomić, jak traktujemy niektórych ludzi. I myślę, że Joe Bones też jest takim znakiem, przypomnieniem, co może się wydarzyć, kiedy część społeczeństwa próbuje się wdeptać w ziemię.

Joe Bones miał w sobie coś nieludzkiego, stwierdził Morphy. Wykończył kiedyś człowieka, polewając go przez całe popołudnie kwasem. Niektórzy uważali, że brakuje mu jednej klepki w mózgu, tej, która u więk-

217

szości ludzi kontroluje nienormalne zachowania. Fontenotowie byli inni. Oni zabijali, ale to było jak zamykanie przynoszącej straty lub niezadowolające zyski części interesu. Nie robili tego dla zabawy, lecz najzupełniej profesjonalnie. Według Morphy'ego, i Bones, i bracia Fontenotowie byli tak samo zdegenerowani, tylko ta ich degeneracja inaczej się objawiała. Wypiłem wodę i wyrzuciłem pustą puszkę. Morphy nie należał do tych, którzy mówią po to tylko, by mówić. On do czegoś zmierzał.

— O co ci chodzi, Morphy? — zapytałem.

— Ten znaleziony u Tante Marie odcisk należy do Tony'ego Remarra. To jeden z ludzi Joego Bonesa.

Myślałem o tym, co właśnie usłyszałem, kiedy Morphy zapalał silnik i włączał się do ruchu, i próbowałem dopasować to nazwisko do jakiegokolwiek zdarzenia jeszcze w Nowym Jorku, do czegokolwiek, co mogłoby łączyć mnie z Remarrem. Niczego jednak nie znalazłem.

— Myślisz, że on to zrobił? - zapytał Morphy.

— Aty?

— Nie, nie ma mowy. Najpierw pomyślałem, że to możliwe. Wiesz, stara była właścicielką tej ziemi. Nie trzeba być geniuszem, żeby skojarzyć jedno z drugim.

— Zwłaszcza jeśli Joe zastanawiał się nad otwarciem tam wielkiego hotelu i centrum rekreacji.

— No właśnie, albo jeśli zamierzał przynajmniej przekonać kogoś, że poważnie myśli o utopieniu tam paru cegieł. No wiesz, bagno to bagno. Zakładając, że w ogóle dostałby pozwolenie na budowę, to kto chciałby dzielić ciepły wieczór z owadami, których stworzenia żałuje teraz sam Pan Bóg? Zresztą stara i tak nie sprzedalaby gruntu. Ona nie była głupia. Jej krewniacy byli grzebani w tej ziemi od pokoleń. Pierwotny właściciel, typowy plantator z Południa, którego korzenie sięgały Bourbonów, umarł w sześćdziesiątym dziewiątym. W swoim testamencie określił, że ziemia ma zostać sprzedana za rozsądną cenę żyjącym dzierżawcom. Wtedy byli nimi w większości Aguillardowie, wykupili grunt za wszystkie pieniądze, jakie mieli. To stara o wszystkim zadecydowała. Tam leżą ich przodkowie i wiąże ich z tą ziemią historia sięgająca czasów, kiedy zakuci w łańcuchy gołymi rękami darli błoto, budując kanały.

— A zatem Bonnano mógł nalegać, by mu ją sprzedała, ale ona nie chciała, więc postanowił zastosować bardziej drastyczne środki.

Morphy przytaknął.

— Przypuszczam, że Remarr mógł zostać wysłany w celu zwiększenia na nią nacisku: ma zastraszyć dziewczynę albo któreś z dzieci, może nawet zabić jedno z nich, ale gdy przybywa na

miejsce, Marie już nie żyje-
218

Zszokowany tym, co zobaczył, być może zapomina o ostrożności i myśląc, że nie zostawił żadnych śladów, odchodzi w ciemną noc.

— Czy Woolrich wie o tym wszystkim?

— Prawie.

— Włączacie w sprawę Bonnano?

— Był na posterunku wczoraj wieczorem i został wypuszczony po godzinie w towarzystwie drogiego prawnika o nazwisku Rufus Thibodeaux. Nigdzie się nie ruszał i nie widział Remarra od trzech, czterech dni. Twierdzi, że też chce go znaleźć — chodzi o jakąś forszę z interesu w West Baton Rouge. Ewidentna bzdura, ale on się tego trzyma. Woolrich chyba ma zamiar go trochę przycisnąć i nasłać na niego ludzi z Wydziału do Spraw Narkotyków i Wymuszeń, może wtedy zmięknie.

— To pewnie trochę potrwa.

— Masz lepszy pomysł? Wzruszyłem ramionami.

— Może. Zwążyły mu się oczy.

— Kurwa, nie kombinuj nic z Bonesem, słyszysz? To nie jest jeden z tych cieci z Nowego Jorku, którzy siedzą sobie w klubach we włoskiej dzielnicy i popijają espresso, wspominając z rozrzewnieniem dni, kiedy wszyscy ich szanowali. Joe nie ma na to czasu. On nie chce być szanowany, chce tylko, żeby wszyscy się go bali jak śmierci.

Wróciliśmy na Esplanade. Morphy włączył migacz i zatrzymał się kilka przecznic od Flaisance. Patrzył przez okno, wybijając palcem wskazującym prawej ręki na kierownicy jakiś swój wewnętrzny rytm. Czułem, że chce mi jeszcze coś powiedzieć. Zdecydowałem, że poczekam, aż sam będzie gotowy.

— Rozmawiałeś z tym facetem, tym, który zabił ci żonę i dziecko, tak? Przytaknąłem.

— To ten sam, który załatwił Tee Jeana i starą?

— Dzwonił do mnie wczoraj. To on.

— Mówił coś?

— Federalni mają wszystko na taśmie. Powiedział, że będzie działał dalej.

Potał ręką kark i zacisnął powieki. Wiedziałem, że znów ma przed oczami Tante Marie.

— Zostajesz tutaj?

— Przez jakiś czas.

— Federalnym może się to nie spodobać. Uśmiechnąłem się.

219

— Wiem.

Morphy też się uśmiechnął. Sięgnął pod siedzenie i podał mi podłużną, brązową kopertę.

— Odezwe się — powiedział.

Wsunąłem kopertę pod kurtkę i wysiadłem z samochodu. Kiwnął mi lekko, kiedy odjeżdżał w gąszczu samochodów południowego szczytu.

Kopertę otworzyłem dopiero w pokoju. W środku znalazłem komplet zdjęć z miejsca zbrodni i dołączone zszywaczem kserokopie raportów policyjnych. Osobno spięta była też kopia raportu lekarza sądowego. Jeden fragment został zaznaczony żółtym markerem.

W ciałach Tante Marie i Tee Jeana znaleziono ślady chlorowodoru ke-taminy w ilości mniej więcej jednego miligramu na kilogram masy ciała. Zgodnie z raportem, nie jest to zwykły lek, ale specjalny rodzaj środka znieczulającego, stosownego przy drobniejszych zabiegach chirurgicznych. Nikt nie potrafi dokładnie określić sposobu jego działania, wiadomo tylko, że

struktura molekularna przypomina strukturę pentachlorofenolu i że działa na określone miejsca w mózgu, wpływając na centralny system nerwowy.

Ketamina stała się ulubionym narkotykiem bywalców klubów w Nowym Jorku i Los Angeles, kiedy jeszcze służyłem w policji. Występowała w formie kapsułek lub tabletek produkowanych przez podgrzanie środka znieczulającego i odparowanie wody, dzięki czemu uzyskiwało się kryształy specyfiku. Jego koneserzy opisywali ketaminowy odlot jako „pływanie w ketabasenie”, ponieważ środek ów zniekształca percepcję, stwarzając złudzenie unoszenia się w czymś miękkim, lecz namacalnym. Inne efekty uboczne to halucynacje, zaburzenia postrzegania czasu i przestrzeni i wrażenie przebywania poza własnym ciałem.

Lekarz odnotował, że ketamina może być stosowana jako środek znieczulający dla zwierząt, powoduje bowiem paraliż i złagodzenie bólu, a zarazem nie zakłóca normalnych odruchów gardłowo-krtaniowych. Medyk domniemywał, że z tego właśnie powodu zabójca wstrzyknął narkotyk zarówno Tante Marie, jak i Tee Jeanowi Aguillardowi.

Raport kończył się stwierdzeniem, że podczas zdzierania skóry i pozbawiania narządów wewnętrznych Marie i jej syn byli całkowicie przytomni.

220

Kiedy przeczytałem cały raport, włożyłem dres i sportowe buty i przebiegłem sześć kilometrów w parku Riverfront, w tę i z powrotem, mijając tłumy oczekujące w kolejce, by dostać się na pokład parowca, z którego świszczący głos organów parowych rozbrzmiewał po Missisipi. Gdy skończyłem bieg, byłem cały mokry i bolały mnie kolana. Jeszcze trzy lata temu przetruchtanie sześciu kilometrów by mnie tak nie wykończyło. Starzałem się. Wkrótce przyjdzie mi się rozejrzeć za fotelem na kółkach, a w stawach będę czuł nadciągający deszcz.

Po powrocie do Flaisance zastałem wiadomość od Rachel Wolfe, że przylatuje wieczorem. Numer lotu i godzina lądowania widniały na dole kartki z wiadomością. Pomyślałem o Joe Bonesie i doszedłem do wniosku, że Rachel powinna mieć w samolocie towarzystwo.

Zadzwoiłem do Angela i Louisa.

Nieco później tego samego dnia Aguillardowie odebrali ciała Tante Marie, Tee Jeana i Florence. Przedsiębiorstwo pogrzebowe z Lafayette umieściło trumnę Marie w karawanie. Tee Jean i Florence spoczęli obok siebie w drugim.

Rodzina, prowadzona przez najstarszego syna, Raymonda, i w towarzystwie małej grupy przyjaciół, podążyła za karawanami trzema furgonetkami; ciemnoskórzy mężczyźni i kobiety siedzieli na płótnie workowym pośród części samochodowych i narzędzi rolniczych. Podążyłem za nimi, kiedy zjechali z autostrady na polną drogę prowadzącą obok domu Tante Marie, gdzie policyjna taśma otaczająca teren trzepotała lekko na wietrze, i skierowali się w stronę domu Raymonda Aguillarda.

To był wysoki, grubokościsty mężczyzna tuż przed lub nieco po pięćdziesiątce; choć trochę tył, to jednak wciąż zachowywał imponującą sylwetkę. Miał na sobie ciemny, bawełniany garnitur, białą koszulę i wąski, czarny krawat. Jego oczy poczerwieniały od łez. Widziałem go przelotnie w domu Tante Marie tej nocy, kiedy znaleźliśmy ciała: silny mężczyzna, który robił co w jego mocy, by w obliczu tak okrutnej straty nie pozwolić rodzinie się załamać.

Dostrzegł mnie, kiedy trumny zdjęto z karawanów i niesiono do domu, a kilku mężczyzn zmagало się z ciałem Tante Marie. Wyróżniałem się, byłem jedynym białym ze wszystkich zgromadzonych. Jakaś kobieta, prawdopodobnie jedna z córek, przechodząc w towarzystwie dwóch starszych

221

pań popatrzyła na mnie nieprzyjaźnie. Kiedy już wniesiono ciała do drewnianego domu na palach, tak podobnego do domu Marie, Raymond pocałował niewielki krzyżyk, który miał na

szyi, i podszedł do mnie powoli.

— Wiem, kim pan jest — rzekł, gdy wyciągnąłem ku niemu rękę. Nie od razu podał mi swoją, a kiedy to zrobił, jego uścisk był krótki i mocny.

— Przykro mi — odparłem. — Przykro mi z powodu tego, co się stało. Kiwnął głową.

— Wiem.

Ruszył dalej, minął biały płot otaczający parcelę i stanął przy drodze, wpatrując się w pustkę przed sobą. Para dzikich kaczek przeleciała w górze, coraz wolniej bijąc skrzydłami, gdy zbliżały się do wody. Raymond patrzył na nie z zazdrością, jaką czuje osoba pogrążona w głębokim smutku, widząc coś nie naznaczonego jej żalem.

— Niektóre z moich sióstr uważają, że to pan przywiódł go za sobą. Według nich, nie ma pan prawa tu być.

— Czy pan też tak sądzi?

Nie odpowiedział. A potem rzekł:

— Wiedziała, że on przyjdzie. Może właśnie dlatego kazała Florence iść na przyjęcie, chciała ją przed nim ukryć. I dlatego wysłała ją po pana. Przeczowała, że on nadchodzi, i wiedziała, kim jest. Gdzieś w głębi duszy chyba wiedziała.

Jego głos stał się ochrypliwy, jakby nie chciał wydobyć się z gardła.

Delikatnie dotknął krzyżyka, wodząc po nim kciukiem. Zauważyłem, że kiedyś był ozdobnie grawerowany — wciąż widać było drobne wzorki na brzegach, ale z biegiem czasu ręka tego człowieka starła większość z nich.

— Nie winię pana za to, co się stało z moją mamą, moim bratem i siostrą. Matka zawsze robiła to, co uważała za słuszne. Chciała odnaleźć tę dziewczynę i powstrzymać mężczyznę, który ją zabił. A Tee Jean... — Uśmiechnął się smutno. — Jeden policjant mówił, że został uderzony trzy czy cztery razy od tyłu i wciąż miał siniaki na kostkach rąk po tym, jak próbował walczyć. Kaszlnął, odetchnął głęboko i odchylił do tyłu głowę jak człowiek, który mimo bólu pokonał biegiem długi dystans.

— On zabił pana żonę i dziecko? — zapytał i choć było to raczej stwierdzenie niż pytanie, odpowiedziałem mu.

— Tak, zabił je. Tak, jak pan powiedział, Tante Marie wierzyła, że zabił też tamtą dziewczynę. Przyłożył palec wskazujący i kciuk prawej ręki do kącików oczu, z których spłynęły łzy.

222

— Wiem. Ja ją widziałem.

Wszystko wokół mnie nagle ucichło, przestałem słyszeć ptaki, wiatr pośród drzew, dochodzące z daleka plaskanie uderzającej o brzeg wody. Chciałem słyszeć jedynie głos Raymonda Aguilarda.

— Widział pan tę dziewczynę?

— Tak jak mówię. Na bagnach Honey Island, trzy dni temu. W noc przed śmiercią mamy.

Wcześniej też. Mąż mojej siostry zakłada tam sidła. — Wzruszył ramionami. Moczary Honey Island stanowiły rezerwat przyrody. — Czy jest pan przesądny, panie Parker?

— Jadę tam — odpowiedziałem. — Myśli pan, że ona tam jest, na Honey Island?

— Być może. Mama mówiła, że nie wie, gdzie ona jest, ale że jest. Gdzieś tam. Nie mam pojęcia, skąd ona to wiedziała. Nigdy nie rozumiałem tego daru. Ale kiedyś ją zobaczyłem, sylwetkę w gaju cyprysowym i ciemność, która jak ręka kryła twarz; i wiedziałem, że to ona. Spuścił wzrok i czubkiem buta zaczął wykopywać tkwiący w piasku kamień. Kiedy go w końcu wy dobył, kopniakiem posłał go na trawnik, a z dziury wypełzły czarne mrówki.

— Inni ludzie też ją widzieli, tak słyszałem; byli na rybach czy destylowali bimber gdzieś w jakiejś chałupie.

Przyglądał się mrówkom rojącym się wokół jego buta; kilka z nich wspięło się na podeszwę. Delikatnie uniósł stopę, potrząsnął i postawił nieco z boku.

Raymond wyjaśnił mi, że mokradła Honey Island zajmowały siedemdziesiąt tysięcy akrów. Był to drugi co do wielkości teren bagienny w Luizjanie, miał ponad sześćdziesiąt kilometrów długości i prawie trzynaście kilometrów szerokości. Należał do rozlewiska rzeki Pearl, która tworzy naturalną granicę między stanami Luizjana i Missisipi. Rezerwat ten był lepiej zachowany niż park narodowy Everglades na Florydzie: nie wolno tu było prowadzić prac pogłębieniowych, melioracyjnych, nie wolno było nic budować, wywozić drewna ani stawiać tam; fragmenty moczarów nie były nawet żeglowne. Połowa należała do państwa, a część do Straży Ochrony Przyrody. Jeżeli ktoś chciał się pozbyć ciała w taki sposób, aby nikt go nie znalazł, w miejscu, do którego nie zabłądziłaby żadna łódź z turystami, to bagna Honey Island nadawały się do tego idealnie.

Raymond powiedział mi, jak tam dotrzeć, i naszkicował prostą mapę na otwartej paczce marlboro.

— Panie Parker, ja wiem, że pan jest dobrym człowiekiem i że panu przykro, że to się stało, ale byłbym wdzięczny, gdyby już pan tu nie przychodził. — Mówił cicho, ale stanowczo i pewnie.

— I niech pan łaskawie

223

nie pokazuje się na pogrzebie. Moja rodzina... Minie dużo czasu, nim się z tym wszystkim pogodzimy.

Wtedy zapalił ostatniego papierosa z paczki, skinął mi głową na pożegnanie i ciągnąc za sobą smugę dymu, poszedł do domu.

Popatrzyłem za nim. Kobieta o stalowoszarych włosach wyszła na werandę i objęła go w pasie, gdy się do niej zbliżył. On zaś swym potężnym ramieniem otoczył jej barki i tulił do siebie, gdy wchodzili razem do środka, a drzwi z moskitierą zamknęły się cicho za ich plecami. Kiedy odjeżdżałem, wznosząc za sobą tumany kurzu, myślałem o rezerwacie Honey Island i tajemnicach, jakie krył w swoich zielonych wodach.

A gdy tak jechałem, bagna szykowały się już, by odkryć swoje tajemnice. Honey Island w ciągu dwudziestu czterech godzin miał wydać ciało; ale nie było to ciało dziewczyny.

ITE

Przyjechałem na lotnisko Moisant Field wcześniej i rozejrzałem się wśród ksiązek w miejscowej księgarni, starając się nie potknąć o stojące na podłodze stopy powieści Annę Rice.

Siedziałem w poczekalni od około godziny, kiedy w bramce dla przybywających pojawiła się Rachel Wolfe. Miała na sobie niebieskie dzinsy, białe adidasy i białą-czerwoną koszulkę polo. Jej włosy były rozpuszczone, a makijaż tak delikatny, że prawie niezauważalny.

Jedynym bagażem, który niosła, była brązowa, skórzana torba na ramię. Całą resztę tego, co uznałem za jej rzeczy, taszczyli Angel i Louis, idący z pewną nieśmiałością po obu jej stronach. Louis ubrany był w kremowy, dwurzędowy garnitur i śnieżnobiałą, rozpiętą pod szyją koszulkę wizytową; Angel miał dzinsy, zniszczone reeboki i zieloną koszulkę w kratę, która odkąd przed wielu laty opuściła fabrykę, nie czuła na sobie żelazka.

— Co ja widzę — odezwałem się, kiedy do mnie podeszli. — Przedstawiciele wszystkich gatunków rodzaju ludzkiego.

Angel uniósł prawą rękę, w której trzymał trzy paczki ksiązek przewiązanych sznurkiem. Koniuszki palców mu posiniały.

— Mamy ze sobą połowę Biblioteki Publicznej Nowego Jorku — jęknął. — Książki związane sznurkiem. Nie widziałem czegoś takiego, odkąd przestali wznawiać Domek na prerii.

Louis, jak zauważyłem, niósł różową parasolkę i kuferek na kosmetyki- Wyglądał jak facet, który próbuje udawać, że to nie na jego nogę sika akurat pies.

— Ani słowa — uprzedził groźnie. — Nic nie mów.

Między sobą dźwigali jeszcze dwie walizki, dwie skórzane torby podróżne i pokrowiec na ubrania.

— Zaparkowałem przed terminalem — powiedziałem, idąc z Rachel do wyjścia. — Może wystarczy nam miejsca na bagaż.

— Dopadli mnie na lotnisku — wyszeptła Rachel. — I byli bardzo pomocni.

Zachichotała i spojrzała przez ramię. Zza pleców dobiegł mnie nie pozostawiający wątpliwości odgłos: idący za nami Angel potknął się o torbę i zaklął głośno.

Zostawiliśmy bagaż we Flaisance, chociaż Louis nalegał, by zatrzymać się w hotelu Fairmont na University Place. W Fairmont zwykle nocowali Republikanie, kiedy zjeżdżali do Nowego Orleanu, co stanowiło jeden z powodów, dla których hotel ów tak bardzo nęcił Louisa. Był jedynym czarnym, homoseksualnym przestępcą popierającym Republikanów, jakiego znałem.

— W Fairmont mieszkał Gerald Ford — marudził, rozglądając się po niewielkim apartamencie, jaki miał dzielić z Angelem.

— I co z tego? — odparowałem. — Paul McCartney mieszkał w Riche-lieu, a ja wcale nie truję, żeby się tam zatrzymać.

Zostawiłem otwarte drzwi i poszedłem do swojego pokoju, żeby wziąć prysznic.

— Jaki Paul? — usłyszałem Louisa.

Aby zrobić przyjemność Louisowi, zjedliśmy w restauracji grillowej w Windsor Court na Gravier Street, ale ja, przyzwyczajony do skromniejszych lokali w Quarter, czułem się nieswojo wśród tutejszych marmurowych podłóg i ciężkich zasłon. Rachel przebrała się w ciemne spodnie, czerwoną bluzkę i czarny żakiet. Wyglądała świetnie, ale parne powietrze dawało się jej we znaki, sprawiając, że gdy czekaliśmy na główne danie, co chwila odrywała od ciała mokrą od potu bluzkę.

Kiedy jedliśmy, opowiedziałem im o Joe Bonesie i Fontenotach. To była ważna sprawa dla Angela, Louisa i dla mnie. Rachel przysłuchiwała się naszej rozmowie, przerywając czasami i prosząc, by wyjaśnić to, co powiedzieli wcześniej Woolrich czy Morphy. Zapisywała coś w małym kołonotat-niku, jej pismo było czyste i proste. W jednej chwili jej ręka lekko trąciła i przez moment tak została, a ja czułem ciepło jej skóry na swojej.

Przyglądałem się, jak Angel pociąga dolną wargę, zastanawiając się nad tym, co powiedziałem.

— Ten Remarr to musi być jakiś głupek, głupszy niż ten nasz w Nowym Jorku — powiedział w końcu.

— Masz na myśli ten odcisk? — zapytałem. Przytaknął.

— Jest nieostrożny, bardzo nieostrożny.

Patrzył z niezadowoleniem jak szanowany teolog, który ma przed sobą kogoś, kto kała jego powołanie, twierdząc, że Jezus jest kosmitą. Rachel dostrzegła to spojrzenie.

— Najwyraźniej nie daje to panu spokoju — zauważyła.

Zerknąłem na nią. Wydała się rozbawiona, choć jej oczy pozostały czujne i nieco zdystansowane. Analizowała to, co jej wcześniej powiedziałem, a jednocześnie wciągała Angela do rozmowy, której zwykle unikał. Byłem ciekaw, jak zareaguje.

Uśmiechnął się do niej i przechylił głowę.

— Interesuję się takimi rzeczami zawodowo — przyznał. Zrobił miejsce na stole i wyciągnął przed siebie obie ręce. — Każdy, kto idzie na włam — bądź też dopuszcza się kradzieży z

włamaniami, jak zapewne woli nasza szacowna słuchaczka — musi przedsięwziąć pewne środki ostrożności — zaczął Angel. — Najważniejszym i najbardziej oczywistym wydaje się ten, by upewnić się, że włamywacz — bądź włamywaczka, jako że włamania mogą trudnić się przedstawiciele obojga płci — nie zostawi odcisków palców. A więc co należy zrobić? — Założyć rękawiczki — odparła Rachel.

Nachyliła się, z przyjemnością słuchając tego wykładu i odsuwając od siebie inne myśli. — Zgadza się. Nikt, nawet największy głupek, nie włamuje się, nie mając ich na rękach. W przeciwnym razie zostawia się ślady, ślady widoczne i ukryte, jakby się podpisywało własnym nazwiskiem i przyznawało do popełnienia przestępstwa.

Ślady widoczne są to znaki na powierzchniach zrobione przez brudne lub zakrwawione dłonie. Ślady ukryte natomiast to tropy pozostawione przez fizjologiczne wydzieliny skóry. Ślady widoczne można fotografować albo zbierać za pomocą taśmy samoprzylepnej; te drugie natomiast muszą być czymś pokryte, najczęściej odczynnikiem chemicznym, takim jak opary jodyny albo roztwór ninhydryny. Można także wykorzystywać techniki elektrostatyczne lub fluorescencyjne, zaś w poszukiwaniu ukrytych śladów na ludzkiej skórze stosuje się specjalistyczną fotografię rentgenowską.

226

Jednak choć to, co mówił Angel, było prawdą, to Remarr był przecież doświadczonym profesjonalistą, by pracować bez rękawiczek i zostawiać widoczne ślady. Na pewno miał zakryte dłonie, tylko że coś poszło nie tak.

— Łamiesz sobie nad tym głowę, co, Bird? — Angel uśmiechnął się i wyższością.

— Dalej, Sherlocku, zadziw nas swoją błyskotliwością — odrzekłem. Uśmiechnął się jeszcze szerzej i mówił dalej.

— Można uzyskać odcisk ze środka rękawiczki. Gumowe albo plastikowe rękawiczki są do tego najlepsze: dłoń się w nich poci. Większość ludzi nie zdaje sobie jednak sprawy z tego, że zewnętrzna powierzchnia rękawiczki też zostawia ślady. Na przykład w przypadku rękawiczek skórzanych mamy zmarszczenia, dziurki, uszkodzenia, rozdarcia i nie ma na świecie dwóch identycznych egzemplarzy. Wracając do Remarra, mamy odcisk, ale nie mamy rękawiczek. Jeżeli nie jest kompletnym idiotą, który nie potrafi sam sobie zawiązać butów, możemy założyć, że nosił rękawiczki, a mimo to zostawił odcisk. To ci zagadka!

Rozłożył szybko ręce jak magik, który jednym gestem zamienia królika w smugę dymu, i spoważniał.

— Moim zdaniem Remarr miał ich jedną parę, prawdopodobnie z lateksu. Wydawało mu się, że to będzie proste: miał zamiar zabić starą i jej syna albo ich zastraszyć, a może tylko zostawić im jakąś wizytówkę. Z tego, co słyszę, syn nie należał do tych, którzy pozwoliliby straszyć mamusię, więc myślę, że Remarr poszedł tam, wiedząc, że być może będzie musiał kogoś zabić. Ale kiedy przybył na miejsce, jego niedoszłe ofiary albo już nie żyły, albo właśnie były mordowane. Moja wersja jest taka, że już nie żyli. Gdyby Remarr natknął się na mordercę, sam też by zginął. No więc przyjeżdża w rękawiczkach, widzi dzieciaka i tu go odrzuca. Pewnie zaczyna się pocić. Wchodzi do środka i znajduje starą. Bum! Następny szok, ale podchodzi, żeby popatrzeć z bliska i nachylając się, musi się podeprzeć. Przypadkiem wkłada palec w krew i może nawet chce wytrzeć rękę, ale taki rozmazany ślad przyciąga tym większą uwagę; zresztą przecież ma rękawiczki. Jednak problem z lateksowymi polega na tym, że jedna para nie wystarcza. Jeżeli nosi się je zbyt długo, to odciski zaczynają przebijać. Coś cię zdenerwuje, zaczynasz się pocić i odciski przebijają szybciej. Może być też tak, że Remarr zjadł coś przedtem, jakiś owoc albo spaghetti przyprawione octem. To powoduje zwiększenie wilgotności skóry, no i Remarr jest w tarapatkach. Zostawił ślad, o którym nie ma pojęcia, i te-raz policja,

federalni i ludzie tacy jak nasze szanowne osoby chcą z nim o tym pogadać. I tyle!

227

Uklonił się lekko. Rachel zaklaskała w dłonie.

— Fascynujące — powiedziała. — Pan chyba dużo czyta. — Jej głos aż ociekał ironią.

— O tak, księgarnie Barnes & Noble powinny być wdzięczne, że te skradzione u nich dzieła zostały należycie wykorzystane — zauważył Louis.

Angel go zignorował.

— Załóżmy, że zajmowałem się tym w młodości.

— Ale chyba nauczył się pan jeszcze czegoś w tej swojej „młodości”? — uśmiechnęła się Rachel.

— Mnóstwa rzeczy, niektóre lekcje były trudne — odpowiedział Angel z pasją. —

Najważniejsze, czego się dowiedziałem, to żeby do niczego się nie przywiązywać. Jak czegoś nie masz, to nikt ci nie udowodni, że to wzięłeś. Kiedyś mnie kusilo. Była taka figurka, rycerz na koniu. Francuska, siedemnastowieczna. Złoto wysadzone brylantami i rubinami. Mniej więcej tej wysokości. — Pokazał dłonią jakieś piętnaście centymetrów nad blatem stołu. — W życiu nie widziałem takiego cuda...

Aż mu się oczy zaświeciły na to wspomnienie. Wyglądał jak małe dziecko. Oparł się na krzesło.

— Ale oddałem ją. W końcu trzeba sobie odpuścić. I to, czego żałujesz, i to, do czego się przywiązałeś.

— A więc nie warto do niczego się przywiązywać? — zaciekawiała się Rachel.

Angel popatrzył przez chwilę na Louisa.

— Do niektórych rzeczy warto, owszem, ale one nie są ze złota.

— Jakie to romantyczne — zauważyłem.

Louis prawie zakrztusił się, próbując przełknąć wodę. Przed nimi w filiżankach stały resztki wystygłej już kawy.

— Chciałabyś dodać coś jeszcze? — zwróciłem się do Rachel, kiedy Angel skończył swój występ.

Przejrzała notatki. Z lekka zmarszczyła brwi. W jednej ręce trzymała kieliszek wina, na które padło światło, rzucając na jej pierś czerwony refleks, który wyglądał jak rana.

— Mówiłeś że masz zdjęcia z miejsca zbrodni? Przynajmniej.

— W takim razie wolałabym się wstrzymać, póki ich nie zobaczę—Mam pewną teorię bazującą na tym, co mi powiedziałaś przez telefon, ale wolałabym nic nie mówić przed obejrzeniem zdjęć. Muszę też jeszcze trochę poczytać. Jednak coś chyba mam.

228

Wyjęła z torby drugi zeszyt i poszukała strony zaznaczonej żółtą, samoprzylepną karteczką.

— „Pożądałem jej, ale to zawsze była nasza słabość” — przeczytała. — „Grzechem naszego rodzaju nie była pycha, ale żądza człowieka.”

Odwróciła się do mnie, ale ja już rozpoznałem te słowa.

— Powiedział to ten „Podróżnik”, kiedy do ciebie zadzwonił. Zauważyłem, jak Angel i Louis poruszają się na swoich krzesłach.

— Trzeba było aż teologa z pałacu arcybiskupa, by to odnaleźć. Słowa brzmią dość niejasno, gdy się człowiek na tym nie zna.

Przerwała na chwilę, po czym zapytała:

— Dlaczego Diabeł został wypędzony z Raju?

— Z powodu pychy — odpowiedział Angel. — Ja pamiętam, jak siostra Agnes o tym rozprawiała.

— Tak, to była pycha — wtrącił Louis. — Pamiętam, jak Milton o tym rozprawiał.

— Jakby nie było — wtrąciła Rachel znacząco — obaj macie rację, przynajmniej częściową. Od czasów świętego Augustyna grzechem Diabła jest pycha. Ale przed Augustynem zdania były podzielone. Aż do czwartego wieku Księga Henocha była uważana za część kanonu biblijnego. Dyskutuje się nad jej pochodzeniem — mogła być napisana po hebrajsku lub aramejsku, może w obydwu tych językach — ale wydaje się, że stanowi źródło kilku pojęć, które po dziś dzień można odnaleźć w Biblii. Opis Sądu Ostatecznego na przykład może się opierać na Porównaniach Henocha. Ogniste piekło, gdzie rządzi Szatan, po raz pierwszy pojawia się właśnie u niego. Nas jednak najbardziej interesuje fakt, że Henoch inaczej postrzega grzech Diabła. Przewróciła stronę w zeszycie i znowu zaczęła czytać.

— „I nastał czas, kiedy ludzie zaczęli się mnożyć na ziemi, rodziły im się córki, a synowie Boga widzieli, że córki człowieka były dobre i brali sobie spośród nich żony...” — Spojrzała na nas. - To z Księgi Rodzaju, która też opiera się na Henochu. „Synowie Boga” to anioły, które uległy seksualnej żądzy wbrew woli Boga. Przywódca grzesznych aniołów, Diabeł, za karę został wrzucony do czarnej dziury na pustyni, a jego współnicy do ognia. Ich potomkowie, „złe duchy na ziemi”, poszli za ni-Rii. Męczennik Justyn wierzył, że to dzieci zrodzone ze związków aniołów i kobiet były odpowiedzialne za wszelkie zło na ziemi, w tym morderstwa. Innymi słowy, żądza była grzechem Diabła. Żądza człowieka, »nasza słabość". Zamknęła zeszyt i pozwoliła sobie na słaby uśmiech triumfu.

— A więc ten gość wierzy, że jest demonem — zauważył Angel.

229

— Albo potomkiem anioła — dodał Louis. — Zależy, jak na to spojrzeć.

— Czymkolwiek by nie był, czy też myślał, że jest, Księga Henocha nie znajdzie się na liście najpoczytniejszych pozycji w pierwszej lepszej bibliotece — zauważyłem. — Domyślasz się może, z jakich źródeł korzystał?

Rachel znowu otworzyła zeszyt.

— Najnowsze odniesienie, jakie udało mi się znaleźć, to nowojorskie wydanie Apokryfów Starego Testamentu: Księga Henocha z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku, opracowane przez faceta o nazwisku, nomen omen, Isaac. Jest też starszy, oksfordzki przekład, wydany w tysiąc dziewięćset trzynastym przez R.H. Charlesa.

Zanotowałem nazwiska.

— Morphy albo Woolrich mogą sprawdzić na Uniwersytecie Nowoorleańskim, czy ktoś stąd nie przejawiał zainteresowania studiowaniem biblijnych tekstów niejasnego pochodzenia. Woolrich może będzie w stanie rozszerzyć poszukiwania na inne uczelnie. Zawsze to jakiś początek.

Uregulowaliśmy rachunek i wyszliśmy. Angel i Louis ruszyli w stronę południowego Quarter, żeby sprawdzić, jak wygląda tamtejsze nocne życie gejów, natomiast ja i Rachel wracaliśmy do Flaisance. Przez jakiś czas nie odzywaliśmy się, oboje świadomi rodzącej się między nami bliskości.

— Chyba nie powinnam pytać, jak twoi dwaj przyjaciele zarabiają na życie — przerwała ciszę Rachel, kiedy stanęliśmy na skrzyżowaniu.

— Chyba nie. Najlepiej uznać ich za niezależną siłę roboczą i tak to zostawić.

Uśmiechnęła się.

— Są wobec ciebie bardzo lojalni. To raczej niezwykle. Nie rozumiem tego.

— W przeszłości co nieco dla nich zrobiłem, ale jeżeli kiedykolwiek mieli wobec mnie jakieś długi, to już dawno je spłacili. Sam zawdzięczam im teraz znacznie więcej.

— Ale są z tobą. Pomagają ci wyraźnie.

— Nie chodzi chyba tylko o mnie. Robią to, co robią, bo to lubią. Kręci ich przygoda i ryzyko i na swój sposób sami są niebezpieczni. Myślę, że dlatego właśnie tu przyjechali: wyczuli niebezpieczeństwo i zapragnęli być jego częścią.

— Może widzą to niebezpieczeństwo w tobie.

— Nie wiem. Może.

Przeszliśmy przez podwórko Flaisance, przystając, by pogłaskać psy-Rachel zatrzymała się w trzecim pokoju ode mnie. Między nami mieszkali Angel i Louis, a znajdująca się obok jedyńka pozostawała pusta. Otwo-

230

rzyła swoje drzwi i stanęła w progu. Ze środka wiało chłodem klimatyzacji; słyszałem, jak pracuje na pełnych obrotach.

— Wciąż nie jestem pewien, dlaczego ty tutaj jesteś — powiedziałem. Poczulem suchość w gardle i jakaś część mnie wcale nie była przekonana, czy chcę usłyszeć odpowiedź.

— Sama nie jestem tego pewna — odparła.

Wspięła się na palce, pocałowała mnie delikatnie w usta i już jej nie było.

Poszedłem do swojego pokoju, wyjąłem z torby książkę Sir Waltera Raleigha i wróciłem do Napoleon House, gdzie usiadłem przy portrecie cesarza. Nie chciałem leżeć w łóżku ze świadomością tak bliskiej obecności Rachel Wolfe. Byłem podniecony, poruszony jej pocałunkiem i myślą o tym, co mogło się wydarzyć.

Prawie do samego końca Susan i ja byliśmy sobie niewiarygodnie bliscy. Kiedy moje kłopoty z piciem zaczęły zbierać swoje żniwo, bliskość owa zaczęła zanikać. Gdy się kochaliśmy, nie było to już kompletne zatracenie. Wydawało się, że krążymy wokół siebie ostrożnie, wzbraniając się przed czymś, zawsze spodziewając się jakiegoś problemu, który wynurzy swój szkaradny łeb i zmusi nas do odwrotu i zaszcucia się w bezpiecznej skorupie własnego ja.

Mimo to kochałem ją. Kochałem do samego końca i kochałem ją nawet teraz. Kiedy Podróżnik mi ją odebrał, zerwał łączące nas fizyczne i emocjonalne więzy; mimo to nadal czułem ich pozostałości, żywe i pulsujące na skraju moich zmysłów.

Może to typowe dla ludzi, którzy tracą kogoś, kogo głęboko kochali. Nawiązanie kontaktu z innym potencjalnym partnerem, innym kochankiem, jest jak odbudowanie nie tylko związku, ale i samego siebie.

Jednak moja żona i córka nie dawały mi spokoju. Czułem je, nie tylko w postaci pustki czy straty, czułem ich autentyczną obecność w moim życiu. Gdzieś na krańcach mej egzystencji dostrzegałem je, gdy przechodziłem ze świadomości do snu, ze snu w przebudzenie. Czasem próbowałem sobie wytłumaczyć, że są jedynie fantomami mych wyrzutów sumienia, stworzeniami zrodzonymi z braku równowagi psychicznej.

Ale przecież słyszałem Susan, kiedy przemawiała do mnie ustami Marie, a kiedyś nawet, jakby przytomniejąc z delirium, obudziłem się w nocy i czułem jej dłoń na swojej twarzy, ślad jej zapachu w łóżku na pustym miejscu obok. Co więcej, widziałem je w każdej młodej żonie, w każdej dziewczynce. W śmiechu kobiety słyszałem głos mej małżonki. W dźwięku kroków dziecka brzmiało echo stóp mojej córki.

231

To, co czułem do Rachel, było mieszanką fizycznego pociągu, wdzięcz, ności, pożądania. Chciałem być z nią, ale dopiero wtedy, gdy moja żona i dziecko zaznają spokoju.

^M&rS) ii jI

Tej nocy zginął David Fontenot. Jego samochód, stylowy Jensen Interceptor, został znaleziony na drodze numer 190, która biegnie na obrzeżach Honey Island i prowadzi do rzeki Pearl. W przednich oponach brakowało powietrza, a drzwi wisiały pootwierane. Szyba była strzaskana, zaś

wnętrze podziurawione dziewięciomilimetrowymi kulami.

Dwóch gliniarzy z St Tammany poszło śladem złamanych gałęzi i wydeptanej roślinności do chaty starego trapera, zbudowanej z kawałków wyłowionego drewna, o blaszanym dachu prawie niewidocznym spod zwisającej z drzew oplątwy. Jej okno wychodziło na bagno, które okalały liściaste drzewa; woda pełna była rzęsy wodnej, a wokół rozbrzmiewały krzyki dzikich kaczek. W chacie już od wielu lat nikt nie mieszkał. Niewielu traperów pozostało na Honey Island. Większość przeprowadziła się w głąb trzęsawisk, by polować na bobry, jelenie i czasem aligatory.

Kiedy policjanci podeszli bliżej, usłyszeli dobiegające przez otwarte drzwi hałasy: łomot, szuranie i głośne parskanie.

— Dzik — stwierdził jeden z nich.

Idący za nim urzędnik miejscowego banku, który ich wezwał, odbezpieczył swojego rugera.

— Kurna, to nie jest broń na takiego zwierza — rzucił gliniarz.

Urzędnik, dobrze zbudowany, łysiejący mężczyzna w koszulce z napisem „Tulane Green Wave” i prawie nowej kurtce myśliwskiej, poczerwieniał. Miał ze sobą rugera model 77V z teleskopowym celownikiem, który w Maine nazywany był „strzelbą na myszy”. Nadawał się do polowań na drobną zwierzynę i niektóre oddziały policji używały go jako broni snajperskiej, ale nie powstrzymałby dzikiej świni, chyba że strzał byłby idealny.

Byli już bardzo blisko chaty, kiedy świnia ich wyczuła. Wyparowała przez otwarte drzwi; jej małe oczka patrzyły dziko, a z ryja kapała krew. Mężczyzna z rugerem wskoczył do wody, kiedy zwierzę ruszyło w jego kie-

232

runku. Dzik okręcił się, osaczony przez bagno i uzbrojonych ludzi, opuścił Jeb i jął szarżować znowu.

Rozległ się strzał, potem jeszcze jeden i świnia padła. Pozbawiona większej części łba, przez chwilę rzucała się, kopiąc ziemię, aż wreszcie znieruchomiała. Policjant, który wystrzelił, jak w westernie zdmuchnął smużkę dymu unoszącego się z długiej lufy colta anaconda, wyjął zużyty magazynek magnum 44 i ponownie załadował.

— Jezu — usłyszał głos swego partnera, stojącego w drzwiach chaty z pistoletem u boku. — Ta świnia nieźle go urządziła, ale to na pewno jest Dave Fontenot.

Dzik prawie pozbawił go twarzy i odgryzł prawą rękę, ale i tak widać było, że ktoś kazał Fontenotowi wyjść z samochodu, potem przegnał go przez las i zapędził do chaty, gdzie strzelił mu najpierw w krocze, potem w kolana, łokcie i w głowę.

— Ja cię kręcę... — Ten, który zabił świnie, głośno wypuścił powietrze. — Będzie piekło, jak Lionel się o tym dowie.

O tym wydarzeniu dowiedziałem się w większości z pospiesznej rozmowy telefonicznej z Morphem i z wiadomości na kanale WDSU, lokalnej filii NBC. Potem razem z Angelem i Louistem zjadłem śniadanie w restauracji Mother's na Poydras Street. Kiedy zadzwoniliśmy do Rachel, wykrzesła z siebie tylko tyle energii, by odebrać telefon i oznajmić, że jeszcze pośpi 1 zje coś później.

Ubrany w płócienny garnitur koloru kości słoniowej i białą koszulkę, Louis zdecydował się, podobnie jak ja, na boczek, domowej roboty herbatniki i mocną kawę. Angel wybrał szynkę, jajka i płatki.

— Płatki są dla staruszków, Angel — kpił Louis. — Dla staruszków i dla świrów.

Angel otarł kroplę mleka z brody i wystawił w jego stronę środkowy palec.

— Z rana zwykle nie jest zbyt rozmowny — ciągnął Louis. — Za to potem gęba mu się nie zamyka.

Angel znów wytknął mu palec, wygrzebał z miski ostatnie płatki i odsunął ją.

— A więc uważasz, że Joe Bones ubiegł Fontenotów i uderzył na nich pierwszy? — zwrócił się do mnie.

— Wszystko na to wskazuje — odpowiedziałem. — Morphy twierdzi, że robotę wykonał Remarr — Joe na chwilę wyciągnął go z ukrycia, a potem znowu schował. Nikomu innemu nie powierzyłby takiej roboty. Nie rozumiem jednak, co David Fontenot robił na Honey Island bez obstawy. Na

233

pewno wiedział, że Joe Bones mu nie przepuści, jak tylko nadarzy się okazja.

— Może wystawił go ktoś z własnych ludzi, wyciągnął go tam pod byle pretekstem i dał znać Joemu, że Dave nadjeżdża? — zasugerował Angel.

Wydawało się to całkiem prawdopodobne. Jeżeli komuś udało się wywabić Fontenota na Honey Island, to musiał to być ktoś naprawdę zaufany. Co więcej, ten ktoś musiał zaoferować mu coś, czego Dave pragnął, coś, co warte było ryzyka, jakie niosła ze sobą nocna wycieczka do rezerwatu.

Nie podzieliłem się moimi spostrzeżeniami z Angelem i Louisem, ale trochę niepokoił mnie fakt, że i Raymond Aguillard, i David Fontenot, każdy w inny sposób tego samego dnia skierowali moją uwagę na Honey Island. Pomyślałem, że po rozmowie z Joem Bonesem będę musiał zakłócić spokój i żał po śmierci brata Lionelowi Fontenotowi.

Zadzwoił mój telefon. Recepcjonista z Flaisance poinformował nas, że nadeszła przesyłka dla „niejakiego pana Louisa” i potrzebny był jego podpis. Wróciliśmy taksówką. Przed hotelem stała zaparkowana czarna furgonetka.

— Kurier — stwierdził Louis, ale na samochodzie nie było żadnych oznakowań, niczego, co świadczyłoby o przynależności auta do jakiejś firmy.

W holu siedział zdenerwowany recepcjonista, obserwując ogromnego czarnoskórego mężczyznę wciśniętego w fotel. Murzyn miał ogoloną głowę i czarną koszulkę z białym napisem „Zabić Klan”. Nogawki czarnych bojowych spodni wciśnięte były w wojskowe buty. U jego stóp leżał długi, metalowy pojemnik, zamknięty i zaplombowany.

— Bracie Louis — rzekł, unosząc się z miejsca.

Louis wyjął portfel i wręczył mu trzysta dolarów. Mężczyzna wpakował banknoty do kieszeni na udzie, wyjął z niej ciemne okulary z filtrem UV, założył je i niedbałym krokiem wyszedł na zalaną słońcem ulicę.

Louis wskazał przesyłkę.

— Bądźcie panowie łaskawi zabrać to do pokoju — zwrócił się do nas.

Chwyciliśmy z Angelem pojemnik za oba końce i ruszyliśmy za Louisem do apartamentu.

Paczka była ciężka i coś grzechotało w środku, kiedy ją nieśliśmy.

— Ci kurierzy z UPS są coraz więksi — zauważyłem, gdy czekaliśmy przed drzwiami, aż Louis nam otworzy.

— To wyspecjalizowany usługodawca — odpowiedział. — Niektórych rzeczy linie lotnicze po prostu by nie zrozumiały.

234

Kiedy zamknął za nami drzwi i zabezpieczył zamek, wyjął z kieszeni zestaw kluczy i otworzył pudło.

Było podzielone na trzy przegrody, które otwierały się jak skrzynka z narzędziami. W pierwszej leżały części mausera SP66, karabinu snajperskiego o ciężkiej lufie, której hamulec połączony był z elementem kryjącym błysk przy wystrzale. Części te leżały w przenośnej teczce. Obok, w idealnie pasującym futerale spoczywał pistolet SIG P226 i kabura.

W drugiej przegródce znajdowały się dwa półautomatyczne pistolety typu calico M-960A wyprodukowane w starych dobrych Stanach Zjednoczonych Ameryki, każdy zaopatrzony dodatkowo w tłumik, który wystawał niecałe trzy centymetry poza wylot z lufy. Bez tłumika każdy z nich mierzył nieco ponad sześćdziesiąt centymetrów długości i bez amunicji ważył prawie dwa i pół kilograma. To była niezwykle niebezpieczna broń, posyłająca siedemset pięćdziesiąt pocisków na minutę. Ostatnia przegródka skrzynki zawierała kilka rodzajów amunicji, między innymi cztery magazynki mieszczące każdy po sto dziewięćmilimetrowych kul do półautomatów.

— Prezent gwiazdkowy? — zapytałem.

— Zgadza się — odparł Louis, wkładając magazynek z piętnastoma nabojami do SIGa. — Na urodziny dostanę jeszcze coś lepszego.

Podał Angelowi teczkę z mauserem, założył kaburę i schował do niej SIGa. Następnie zamknął skrzynkę i poszedł do łazienki. Patrzyliśmy, jak za pomocą śrubokrętu usuwa fragment obudowy zza umywalki i chowa do dziury pudło, po czym umieszcza zdjęty panel na swoim miejscu.

Kiedy z zadowoleniem popatrzył, że leży jak ulał, wyszliśmy.

— Myślisz, że Joe Bones będzie zadowolony, widząc obcych u swoich drzwi? — zapytał Angel po drodze do mojego pokoju.

— My nie jesteśmy obcy — poprawił go Louis. — Jesteśmy przyjaciółmi, których jeszcze nie poznał.

Joe Bones był właścicielem trzech posiadłości w Luizjanie, pośród nich domku weekendowego w Cyremort Point, gdzie jego obecność na pewno mocno niepokoiła innych szanowanych właścicieli drogich dacz, które nosiły zabawne nazwy, jak na przykład O-Azja czy Kres Szlaku.

Jego miejska rezydencja leżała po drugiej stronie drogi od parku Au-dubon i niemal dokładnie naprzeciwko przystanku autobusu, który zabierał turystów do nowoorleańskiego zoo.

Przejechałem się nawet raz tramwajem, żeby obejrzeć dom, idealnie białą budowlę, przyozdobioną czarnymi balkonami z kutego żelaza i zwieńczoną złotym wiatrowskazem kopułą. Znaleźć Joego Bonesa w czymś takim to jak natknąć się na karalucha

235

w torcie weselnym. W idealnie utrzymanym ogrodzie kwitła obficie nieznaną mi rośliną. Jej kwiaty miały ciężki, przyprawiający o mdłości zapach i były tak wielkie i czerwone, że wydawały się raczej gnić niż kwitnąć, jakby nagle miały eksplodować i zalać łądygi gęstą cieczą, trując po drodze wszystkie mszyce.

Joe opuścił dom w mieście, latem przedkładając nad niego plantację w okręgu West Feliciana ponad sto sześćdziesiąt kilometrów na północ od Nowego Orleanu. Jako że groźby Fontenotów stawały się coraz bardziej realne, pobyt na wsi pozwalał mu na bronienie domu z większą siłą, niż mógłby to robić w mieście.

Była to biała kolonialna rezydencja z ośmioma kolumnami od frontu, leżąca na jakichś czterdziestu akrach graniczących z dwóch stron z rozlewiskiem rzeki, która płynęła na południe, by wpaść do Missisipi. Na szeroką galerię wychodziły cztery ogromne okna, a dach wieńczyły dwa okienka mansardowe. Od czarnej żelaznej bramy do domu wiodła dębowa aleja, a po jej obu stronach rozciągał się teren wysadzany kameliami i azaliami, by ostatecznie ustąpić miejsca rozległemu trawnikowi. Na trawie kilka osób stało wokół grilla albo siedziało niedbale na metalowych krzesłach ogrodowych.

Parę metrów za bramą zauważyłem trzy kamery. Raz już tędy przejeżdżaliśmy i jakieś siedemset metrów dalej zostawiliśmy Angela. Wiedziałem, że pewnie zmierza teraz w stronę kępy cyprysów naprzeciwko bramy. W razie gdyby coś poszło nie tak, wolałem uporać się z tym z pomocą Lo-uisa, nie Angela.

Czwarta kamera skierowana była na samą bramę. Nie było interco-mu, a wrota pozostały zamknięte, nawet gdy Louis i ja wysiedliśmy z samochodu i pomachaliśmy. Po jakichś dwóch minutach zza domu wyjechał wózek golfowy i ruszył aleją w naszą stronę. Wyszło z niego trzech facetów w bawełnianych spodniach i sportowych koszulach. Nawet nie starali się ukryć swoich maszynowych steyrów.

— Hej — rzuciłem. — Chcielibyśmy się widzieć z Joe Bonesem.

— Nie ma tu żadnego Joe Bonesa — odparł jeden z nich.

Był opalony i niski, miał najwyżej metr sześćdziesiąt pięć. Włosy ściągnął ciasno z tyłu głowy, co nadawało mu jaszczurczy wygląd.

— A może jest pan Joseph Bonnano?

— Kim jesteście, glinami?

— Jesteśmy zatroskanymi obywatelami. Mamy nadzieję, że pan Bones dołoży się do funduszu pogrzebowego Davida Fontenota.

236

— Już się dołożył — odezwał się gość stojący przy wózku, grubsza wersja tego o gadzim wyglądzie. Ci przy bramie ryknęli śmiechem.

Podszedłem bliżej. Jaszczur w jednej chwili wyciągnął pistolet.

— Powiedźcie Joemu, że przyjechał Charlie Parker, że byłem w niedzielę w domu Aguiłardów i że szukam Remarra. Czy Pan Wesołek zdoła to wszystko zapamiętać?

Odszedł od bramy i nie spuszczać nas z oczu, przekazał to, co powiedziałem, facetowi przy wózku golfowym. Ten wziął do ręki krótkofalówkę, przez chwilę coś mówił, a potem skinął głową do Jaszczura.

— Masz ich wpuścić, Ricky.

— W porządku — rzekł Ricky i wyjął z kieszeni pilot. — Odsunąć się od bramy, odwrócić się i położyć ręce na samochodzie. Jak macie spluwy, to gadajcie. A jak znajdę coś, o czym mi nie powiedzieliście, to kulka w łeb i nakarmię wami aligatory.

Przyznaliśmy się do smith & wessona i SIGa. Louis oddał też swój nóż, żeby lepiej wyglądało.

Zostawiliśmy samochód przy bramie i podążyliśmy za wózkiem w stronę domu. Jeden goryl siedział na tylnym siedzeniu i cały czas trzymał nas na muszce, podczas gdy Ricky szedł za nami. Kiedy byliśmy już blisko trawnika, poczułem zapach krewetek i kurczaka na grillu. Na żelaznym stole stały alkohole i szklanki. Butelki z piwem leżały w metalowym pojemniku z lodem.

Nagle gdzieś z boku dobiegło nas niskie warczenie, wściekle i groźne. Na końcu mocnego łańcucha przymocowanego do tkwiącego w betonie bolca zobaczyliśmy ogromne zwierzę. Miało gęstą sierść wilka i barwy owczarka alzackiego. Z jasnych, inteligentnych oczu emanowała dzikość, czyniąc zwierzę tym groźniejszym. Ważył co najmniej dziewięćdziesiąt kilogramów. Za każdym razem, kiedy łańcuch się napinał, wydawało mi się, że bestia wyrwie bolec z podłoża.

Zauważyłem, że zwraca uwagę szczególnie na Louisa. Uważnie go obserwował i w pewnym momencie uniósł się na tylnych łapach, próbując skoczyć. Louis patrzył na niego beznamiętnie wzrokiem naukowca, który właśnie odkrył nowy rodzaj bakterii wyhodowanej na płycie Petriego.

Joe Bones nadział akurat na widelec kawałek kurczaka na ostro i kładł go na porcelanowym talerzu. Był niewiele wyższy niż Ricky, a czarne włosy zaczesywał do tyłu. Miał co najmniej raz złamany nos i małą bliznę, nieco wykrzywiającą górną wargę z lewej strony. Jego biała koszula była rozpięta aż do pasa i luźno puszczona na obcisłe spodenki do biegania. Jego brzuch był twardy i muskularny, a klatka piersiowa i ramiona nieco za bardzo rozbudowane jak na faceta tego wzrostu. Wyglądał podle i inteligentnie, zupełnie tak samo jak jego zwierzę na łańcuchu;

pewnie

237

właśnie dzięki tym cechom udawało mu się przetrwać przez dziesięć lat na szczycie nowoorleańskiej drabiny.

Nałożył na talerz obok kurczaka pomidory, sałatę i zimny ryż wymieszany z papryką i podał go siedzącej w pobliżu kobiecie. Wydawała się starsza od niego, mogła mieć czterdzieści kilka lat. W jej blond włosach nie było widać ciemnych odrostów i chyba nie była umalowana, a jeżeli była, to bardzo delikatnie, chociaż oczy chowała za ciemnymi okularami. Miała na sobie jedwabną tunikę z krótkimi rękawami nałożoną na białą bluzkę i szorty tego samego koloru. Podobnie jak Joe, była bosa. Nieco z boku stało dwóch mężczyzn w koszulach i bawełnianych spodniach, obaj trzymali pistolety maszynowe. Jeszcze dwóch dostrzegłem na balkonie, kolejny siedział przy drzwiach domu.

— Zje pan coś? — zapytał mnie Joe.

Głos miał niski, a typowy dla Luizjany akcent był w nim ledwo słyszalny. Patrzył na mnie, dopóki nie odpowiedziałem.

— Nie, dziękuję.

Zauważyłem, że zignorował Louisa. Louis to chyba też zauważył.

Joe nałożył sobie krewetki i sałatkę, po czym pokazał swoim ochroniarzom, że mogą poczęstować się tym, co zostało. Każdy z osobna podszedł do grilla i uraczył się pierśią z kurczaka, jedząc palcami.

— Te morderstwa u Aguillardów... Straszna sprawa — zauważył Bo-nes.

Wskazał mi jedyne krzesło, jakie pozostało wolne, gdy sam spoczął. Wymieniłem z Louistem spojrzenia, wzruszyłem ramionami i usiadłem.

— Pan wybaczy tę bezpośredniość — ciągnął — ale słyszałem, że ten sam facet mógł dokonać morderstw na pańskiej rodzinie. — Uśmiechnął się prawie współczująco. — Straszna sprawa — powtórzył. — Straszna sprawa.

Spojrzałem mu prosto w oczy.

— Sporo pan wie o mojej przeszłości.

— Gdy ktoś nowy zjawia się w moim mieście i zaczyna znajdować trupy na drzewach, to wolę czegoś się o nim dowiedzieć. Może się okazać ciekawym kompanem. — Wziął z talerza kawałek krewetki i przed włożeniem do ust przyglądał mu się przez chwilę.

— Podobno był pan zainteresowany kupnem ziemi Aguillardów... Zanim odpowiedział, połknął krewetkę i ostrożnie odłożył ogonek na skraj talerza.

— Bywam zainteresowany różnymi sprawami, a ta ziemia nie należy do Aguillardów. Fakt, że jakiś zniedołężniały dupek chce odkupić winy, oddając swoją ziemię, nie czyni jej jeszcze własnością czarnuchów.

238

Słowo „czarnuch” padło z jego ust jak plwocina. Skorupka jego uprzejmości okazała się niezwykle krucha i wydawało mi się, że bardzo mu zależy na sprowokowaniu Louisa. Nie było to zbyt mądre zachowanie, nawet gdy miał wokół siebie taki arsenał.

— Podobno jeden z pańskich ludzi, Tony Remarr, mógł być tam tej nocy, kiedy oni zginęli. Chcielibyśmy z nim porozmawiać.

— Tony Remarr już dla mnie nie pracuje — oznajmił Joe Bones, powracając do swego uprzejmego tonu po uprzednim wybuchu wulgarności. — Rozstaliśmy się w zgodzie i już od kilku tygodni go nie widziałem. Nie miałem pojęcia, że był u Aguillardów, dopóki policja mi o tym nie powiedziała.

Uśmiechnął się do mnie, a ja uśmiechnąłem się do niego.

— Czy Remarr miał coś wspólnego ze śmiercią Davida Fontenota? Joe Bones zacisnął szczęki, ale nie przestawał się uśmiechać.

— Nie mam pojęcia. O losie Fontenota dowiedziałem się z wiadomości dziś rano.

— Jeszcze jedna straszna sprawa? — podsunąłem.

— Zawsze jest nią śmierć młodego człowieka — odparł. — Słuchaj pan, przykro mi z powodu pańskiej żony i dziecka, naprawdę, ale nie mogę pomóc. A teraz, prawdę mówiąc, robi się pan arogancki, więc chciałbym, żeby zabrał pan swojego czarnucha i spierdalał z mojej posiadłości. Mięśnie na szyi Louisa drgnęły i był to jedyny znak, że słyszał słowa Joego Bonesa. Joe uśmiechnął się do niego złośliwie i rzucił bestii na łańcuchu kawałek kurczaka. Pies nie ruszył kąską, dopóki jego pan nie pstryknął palcami; wtedy rzucił się na mięso i pożarł jednym kłapnięciem zębami.

— Widział pan już takiego? — zapytał Bones.

Mówił do mnie, ale pytanie wyraźnie kierował do Louisa. Język jego ciała wyrażał czystą pogardę. Ponieważ nie odpowiedziałem, ciągnął dalej.

— Nazywa się boerbul. Człowiek o nazwisku Peter Geertschen, Niemiec, wyhodował go dla armii i oddziałów tłumiących zamieszki w Południowej Afryce, krzyżując rosyjskiego wilka z owczarkiem alzackim. To pies obronny dla białego człowieka. Wyczuwa czarnuchów nosem. — Spojrzał na Louisa i znów się uśmiechnął.

— Ja bym trochę uważał—wtrąciłem. — Taki może się pomylić i zwrócić przeciwko panu. Bones podskoczył na krześle, jakby poraził go prąd. Jego oczy zwięzły się i szukał w mojej twarzy czegoś, co powiedziałoby mu, że jestem świadom podwójnego znaczenia własnych słów. Patrzyłem na niego bez mrugnięcia.

239

— Lepiej niech pan już idzie — rzucił cicho, lecz z wyraźną groźbą w głosie.

Wzruszyłem ramionami i wstałem, Louis stał tuż obok mnie. Wymieniliśmy spojrzenia.

— Facet nas wygania — powiedział.

— Tak, ale jeżeli teraz pójdziemy, to on nie będzie nas szanował.

— A bez szacunku człowiek nic nie znaczy — zgodził się ze mną. Wziął do ręki talerz ze stosu na stole i przytrzymał sobie nad głową.

Porcelana eksplodowała deszczem drobnych kawałków, kiedy kula z karabinu dosięgła ją i zaryła w drewnie domu z tyłu. Kobieta rzuciła się na trawę, dwaj goryle zasłonili Joego, a trzech inni, zaalarmowani strzałem, nadbiegli zza węgła.

Ricky-Jaszczur dopadł nas pierwszy. Wyciągnął rękę z pistoletem, z palcem zaciśniętym na spuście, ale Bones wybił mu ramię w górę.

— Zdumiałeś, chcesz, żebym zginął?

Wzrokiem przesunął po szpalerze drzew tuż za płotem, a potem spojrzał na mnie.

— Przychodzisz tu, strzelasz do mnie, straszysz moją kobietę. Czego ty, kurwa, chcesz?

— Wymówiłeś słowo na „cz” — powiedział spokojnie Louis.

— Faktycznie — dodałem. — Tak było, Joe.

— Podobno masz w Nowym Orleanie przyjaciół — rzekł groźnie Joe. — Mam dosyć kłopotów i bez fedziów na karku, ale jak zobaczę ciebie albo tego twojego... — Przerwał, ale nie powtórzył już tego słowa. — ...kumpla gdzieś w pobliżu, to nie będę się szczypał. Słyszysz?

— Słyszę — odparłem. — I tak zamierzam odnaleźć Remarra, Joe. Jeśli okaże się, że coś przed nami ukrywasz, a jemu uda się przez to uciec, to wrócę.

— Wrócimy obaj i zrobimy krzywdę twojej psince — dodał Louis niemalże żałośnie.

— Jak tu wrócicie, to rzucę mu was na pożarcie — warknął Joe.

Ruszyliśmy tyłem w stronę alei, uważnie obserwując Bonesa i jego ludzi. Kobieta podeszła, by

go pocieszyć, jej białe ubranie było brudne od trawy. Zadbanyymi dłońmi zaczęła delikatnie masować umięśniony kark, ale on odepchnął ją brutalnym uderzeniem w klatkę piersiową. Na brodzie miał strużkę śliny.

Gdy tak cofaliśmy się pod dębami, brama za naszymi plecami się otworzyła.

— Nie miałem pojęcia, że Angel tak dobrze strzela — powiedziałem, gdy dotarliśmy do samochodu. — Uczyłeś go?

240

— E-e — odparł Louis. Sam był chyba zaskoczony.

— Mógł trafić Bonesa?

— No. Dziwne, że nie trafił mnie.

Otworzyły się tylne drzwi i do środka wśliznął się Angel; mauser spoczywał już w futerale.

— To co, zaczniemy się teraz szlajać z Joe Bonesem? Może skoczymy razem na bilard albo na dziewczynki?

— A od kiedy ty podrywasz dziewczyny? — spytał zdezorientowany Louis, gdy ruszaliśmy spod bramy w stronę St Francisville.

— W końcu to męska rozrywka — odparł Angel. — A ja znam się na męskich rozrywkach.

Było już późne popołudnie, gdy wróciliśmy do Flaisance, gdzie czekała na nas wiadomość od Morphy'ego. Zadzwoiłem do niego do biura szeryfa, skąd przełączono mnie na jego komórkę.

— Gdzie byłeś? — zapytał.

— W odwiedzinach u Joego Bonesa.

— Cholera, dlaczego to robisz?

— Chyba lubię kłopoty.

— Ostrzegałem cię. Nie zadawaj się z Joe Bonesem. Byłeś sam?

— Z przyjacielem. Joemu się nie spodobał.

— Dlaczego?

— Bo miał czarnych rodziców. Morphy się zaśmiał.

— Jest chyba przewrażliwiony na punkcie swego pochodzenia, ale od czasu do czasu dobrze mu o nim przypomnieć.

— Chciał moim przyjacielem nakarmić psa.

— Tak — stwierdził Morphy. — On naprawdę kocha to zwierzę.

— Masz coś?

— Niewykluczone. Lubisz owoce morza?

— Nie.

— To wspaniale, więc pojedziemy do Bucktown. Dają tam świetnie zjeść, najlepsze krewetki w mieście. Przyjadę po ciebie za dwie godziny.

241

— A jest jakiś powód, by jechać właśnie do Bucktown, nie licząc owoców morza, rzecz jasna?

— Remarr. Mieszka tam jedna z jego byłych. Może warto złożyć jej wizytę...

Rachel nie było, kiedy zapukałem do jej pokoju. Recepcjonista oznajmił mi, że poszła na uniwersytet. Dodał, że ma dla niej kilka faksów. Patrzył niepewnie na pozwijane kartki. Miałem ochotę je przejrzeć, ale wróciłem do siebie, wziąłem prysznic, przebrałem się i zostawiłem dla Rachel wiadomość, że skontaktuję się z nią później. Zawiadomiłem Angela i Louisa, dokąd idę, i poprosiłem, by poczekali na jej powrót. Louis ćwiczył jogę na podłodze w sypialni. Angel oglądał sitcom Witaj w domu, Kotter.

Morphy zjawił się punktualnie i pojechaliśmy na północ przez Canal Boulevard, a potem na zachód wzdłuż Lakeshore Drive. Woda jeziora Pontchartrain lśniła w blasku wczesnego wieczoru, a przed nami paliły się światła samochodów zmierzających gigantyczną groblą ku

Man-deville i Covington. Minęliśmy przystań przy West End Park i Morphy wskazał wysadzany drzewami bulwar Południowego Klubu Jachtowego, jednego z dwóch najstarszych w kraju. Był w nim tylko raz, by zgarnąć mężczyznę, który podpalił jacht swojego współnika, kiedy dowiedział się, że ten sypia z jego żoną. Płonący jacht podświetlał wtedy bar, gdzie ze szklaneczką piwa w ręku siedział podpalacz, cierpliwie czekając, aż policja go aresztuje. Bucktown mogło wydawać się na swój sposób atrakcyjne, pod warunkiem że lubiło się zapach ryb. Nie otwierałem okna, by w spokoju podziwiać widoki, ale Morphy opuścił swoje i oddychał głęboko, niemal z rozkoszą. W sumie Bucktown nie wyglądało mi na miejsce, gdzie mógłby się ukrywać Remarr, ale już samo to mogło być wystarczającym dla niego powodem, żeby właśnie to zrobić.

Carole Stern mieszkała w małym domu — w parterówce z dwukondygnacyjną dobudówką z tyłu — otoczonym niewielkim ogródkiem, niedaleko głównej ulicy Bucktown. Morphy twierdził, że pracowała w barze na St Charles, ale na razie odsiadywała wyrok za posiadanie i rozprowadzanie kokainy. Chodziły słuchy, że w tym czasie Remarr płacił za nią czynsz. Zaparkowaliśmy za rogiem i wysiadając, jakby na sygnał, jednocześnie odbezpieczyliśmy swoje pistolety.

— To już chyba nie twój teren, co? — zapytałem Morphy'ego.

— Zaraz, przecież przyjechaliliśmy tutaj, żeby coś zjeść i przy okazji sprawdzić pewien cynk — odparł lekko urażony. — Nie zamierzam się nig' dzie zakradać.

242

Kazał mi iść od frontu, podczas gdy sam ruszył na tyły. Podszedłem do drzwi na małej werandzie i ostrożnie zajrzałem przez szybę. Była brudna, przez co idealnie pasowała do zapuszczonej całości. Policzyłem do pięciu i nacisnąłem klamkę. Drzwi otworzyły się z lekkim trzaskiem i ostrożnie wszedłem do holu. Z drugiej strony usłyszałem brzęk tłuczonego szkła i zobaczyłem rękę Morphy'ego, otwierającego od wewnątrz tylne drzwi.

Zapach był słaby, lecz oczywisty, jak mięso pozostawione na słońcu w ciepły dzień. Parter był pusty, a składał się z kuchni, niewielkiego pokoju z kanapą i starym telewizorem oraz maleńkiego pomieszczenia z łóżkiem i szafą. W szafie znalazłem damskie ubrania i buty. Na łóżku leżał jedynie zniszczony materac.

Morphy wszedł na schody pierwszy. Trzymałem się tuż za nim i obaj celowaliśmy pistoletami w stronę piętra. Zapach był teraz silniejszy. Minęliśmy łazienkę z kapiącym prysznicem, który zabarwił ceramiczną wannę na brązowo. Na półce nad umywalką stała pianka i maszynka do golenia, oraz butelka płynu po goleniu Boss.

Troje pozostałych drzwi było uchylonych. Po prawej stronie znajdowała się damska sypialnia. Zobaczyliśmy w niej białą pościel, doniczkowe rośliny, które zaczynały już schnąć, i kilka reprodukcji obrazów Moneta. Na długiej toalecie stały kosmetyki, a jedną ścianę zajmowała wbudowana biała szafa. Okno wychodziło na niewielki, zapuszczony ogród.

W szafie było jeszcze więcej damskich rzeczy i butów. Carole Stern najwyraźniej dzięki pieniądzom ze sprzedaży narkotyków zaspokajała swe uzależnienie od kupowania.

Za następnymi drzwiami znaleźliśmy źródło zapachu. Na kuchence turystycznej przy oknie wychodzącym na ulicę stał ogromny gar. Zawierał spienioną, brudną wodę, w której coś się dusiło na wolnym ogniu. Mięso prawdopodobnie gotowało się od dłuższego czasu, pewnie przez cały dzień. Cuchnęło okropnie, całkiem jak bebechy. Na czerwonym dywanie w tym samym pokoju stały dwa fotele, a na małym stoliku przenośny telewizor z anteną w kształcie wieszaka. Okno trzeciego pokoju wychodziło także na ulicę, ale drzwi były przymknięte. Morphy stanął z jednej ich strony, ja z drugiej. Policzył do trzech, nogą popchnął drzwi i wpadł do środka pod prawą ścianę. Ja zaś, nisko na nogach, z pistoletem na wysokości klatki piersiowej i palcem na

spuście, dopadłem ściany na lewo.

*

Zachodzące słońce rzucało złoty blask na rzeczy w pokoju: nie pościelone łóżko, otwartą walizkę na podłodze, toaletkę, plakat na ścianie, reklamujący koncert Neville Brothers w Tipitina, z autografami braci złożonymi w poprzek ich podobizn. Dywan pod stopami wydał mi się wilgotny.

243

Większa część tynku z sufitu została zerwana i widać było belki stropowe. Carole Stern zapewne myślała o remoncie, zanim jej planów nie po-krzyżował wyrok. Na drugim końcu pokoju przez belki przewieszane były liny, zwykle używane przez alpinistów, które przytrzymały Tony'ego Remarra.

W dogorywającym słońcu jego szczątki świeciły dziwnym światłem. Widziałem mięśnie i żyły jego nóg, ścięgna szyi, żółte platy tłuszczu w okolicach pasa, mięśnie brzucha, kruchą powłoczkę penisa. Dwa wielkie gwoździe konstrukcyjne zostały wbite w ścianę pod jego pachami i częściowo wisiał na nich, choć większość ciężaru spoczywała na linach.

Kiedy przesunąłem się nieco w prawo, ujrzałem trzeci gwóźdź tuż za jego karkiem, przytrzymujący mu głowę, którą miał zwróconą w prawo, wspartą o kolejny, wbity przy brodzieolec. W niektórych miejscach biel czaszki połyskiwała poprzez krew. Oczodoły były prawie puste, a wyszczerzone zęby lśniły na tle dziąseł.

Został w całości obdarty ze skóry, z dbałością upozowany i powieszony na ścianie. Jego lewa ręka zwisała ukośnie w dół. W dłoni tkwił nóż z długim ostrzem, podobny do rzeźnickiego, ale szerszy. Wyglądał, jakby został do ręki przyklejony.

Jednak wzrok oglądającego, jak i niewidzące spojrzenie samego Remarra, przykuwała jego prawa ręka. Od barku po łokieć tworzyła kąt prosty z tułowiem. Przedramię zaś sterczało pionowo ku górze, zawieszona na linie obwiązanej wokół nadgarstka. W palcach prawej dłoni Tony Remarr trzymał swoją własną zdartą skórę, częściowo zarzuconą na ramię. Widziałem kształt rąk, nóg, włosy na głowie, sutki na klatce piersiowej. Pod skalpem, który zwisał prawie na wysokości kolan, zauważyłem krwawe brzegi tam, gdzie została usunięta twarz. Łóżko, podłoga, ściana, wszystko było czerwone.

Spojrzałem w lewo, by ujrzeć, jak Morphy czyni znak krzyża i cicho modli się za duszę Ton/ego Remarra.

Siedzieliśmy oparci o samochód Morphy'ego i piliśmy kawę z papierowych kubków, podczas gdy federalni i policjanci z Nowego Orleanu kotłowali się wokół domu Carole Stern. Tłum ludzi — mieszkańcy pobliskich domów i goście zmierzający do tutejszych lokali serwujących owoce morza — zebrał się przy kordonie policji, czekając na wyniesienie ciała. Musieli jednak uzbroić się w cierpliwość: miejsce przestępstwa zostało przez mordercę precyzyjnie przygotowane, tak że policja i federalni chcieli je dokładnie udokumentować, a dopiero wtedy wydać ciało.

244

Woolrich, w jasnobrązowym garniturze, któremu przywrócił jego i tak już dawno utraconą świetność, podszedł do nas i poczęstował tym, co zostało w torbie z pączkami. Za kordonem dostrzegłem jego samochód, czerwony model chevy nova z dziewięćdziesiątego szóstego roku, który lśnił jak nowy.

— Bierzcie, na pewno jesteście głodni.

Obaj zgodnie podziękowaliśmy za poczęstunek. Ja wciąż miałem przed oczami Remarra, a Morphy był błądy i wyglądał, jakby chciał wymiotować

— Rozmawialiście z tutejszymi glinami? — zapytał Woolrich.

Przytaknęliśmy. Złożyliśmy długie zeznanie dwóm detektywom z wydziału zabójstw okręgu nowoorleańskiego; jeden z nich był szwagrem Mor-phy'ego.

— No to chyba możecie już jechać — orzekł. — Ale i tak chciałbym z wami potem jeszcze porozmawiać.

Morphy podszedł do drzwi kierowcy swego wozu. Ja ruszyłem ku miejscu pasażera, ale Woolrich przytrzymał mi rękę.

— Dobrze się czujesz?

— Chyba tak.

— Morphy miał nosa, ale nie powinien był brać cię ze sobą. Durand dobierze mi się do tyłka, kiedy dowie się, że znów byłeś pierwszy na miejscu przestępstwa.

Durand był szefem agentów FBI na Nowy Orlean. Nigdy go nie spotkałem, ale dobrze wiedziałem, jacy są ludzie na jego stanowisku. Rządzili w swoich biurach jak królowie, przydzielali agentów tam, gdzie uznali za stosowne, i wydawali polecenia rozpoczęcia operacji. Ludzie bili się o taką fuchę. Delikatnie mówiąc, z tego Duranda musiał być ciężki zawodnik.

— Nadal mieszkasz we Flaisance?

— Tak.

— Wpadnę do ciebie. Muszę ci o czymś powiedzieć.

Obrócił się i odszedł w stronę domu Stern. Po drodze wręczył torbę z pokruszonymi pączkami dwóm policjantom siedzącym w radiowozie. Wzięli ją niechętnie i trzymali, jakby to była bomba. Kiedy Woolrich zniknął w środku, jeden z nich wysiadł z samochodu i wyrzucił torbę do śmietnika.

Morphy wysadził mnie przy Flaisance. Zanim odjechał, dałem mu numer mojego telefonu komórkowego. Zapisał go w małym, czarnym notesie, ciasno opasanym gumką.

— Jeżeli masz jutro czas, to Angie przygotowuje obiad. Warto się pofatygować. Spróbujesz jej kuchni i na pewno nie będziesz żałował! — Na-

245

gle jego ton się zmienił: •— Poza tym są sprawy, o których musimy pogadać.

Powiedziałem, że chętnie skorzystam z zaproszenia, chociaż część mnie nie chciała już nigdy oglądać Morphy'ego, Woolricha ani żadnego innego gliniarza. Ruszał już od krawężnika, ale klepnąłem dłonią w dach. Morphy nachylił się nad siedzeniem pasażera i opuścił szybę.

— Dlaczego to robisz? — zapytałem.

Wkładał sporo wysiłku w to, bym był na bieżąco, żebym wiedział,

o wszystkim, co się w tej sprawie dzieje. Musiałem wiedzieć, dlaczego. Chyba musiałem też wiedzieć, czy mogę mu ufać.

Wzruszył ramionami.

— Aguillardowie zginęli na moim terenie. Chcę dostać tego, kto ich zabił. Ty coś o nim wiesz. Wymordował ci rodzinę. Federalni prowadzą własne śledztwo i mówią nam możliwie jak najmniej. Mam tylko ciebie.

— I to wszystko?

Dostrzegłem w jego twarzy coś więcej, coś niemal znajomego.

— Nie. Sam mam żonę. Myślę o dzieciach. Wiesz, o czym mówię? Przytaknąłem i o nic już więcej nie pytałem, ale w jego oczach było coś,

co sam dobrze znałem. Klepnąłem dach wozu tym razem na pożegnanie

1 patrzyłem, jak odjeżdża, zastanawiając się, jak bardzo pragnął zostać rozgrzeszonym za to, co być może zrobił.

Kiedy wracałem do Flaisance, w nozdrzach czułem odór rozkładu zakradający mi się do nosa, tak intensywny, że prawie uniemożliwiał oddychanie. Rozgościł się pod moimi paznokciami i pod skórą. Był w kropelkach potu na moich plecach i w chwastach rosnących w szczelinach spękanych płyt chodnika pod stopami. Miałem wrażenie, że przesiąkło nim całe miasto.

Wróciłem do pokoju i stałem w strumieniu gorącej wody z prysznicą tak długo, aż moja skóra zrobiła się czerwona i obolała. Ubrałem się w sweter i bawełniane spodnie, zadzwoniłem do Angela i Louisa i zapowiedziałem spotkanie w pokoju Rachel za pięć minut. Otworzyła drzwi ręką poplamioną tuszem. Za ucho wetknęła ołówek, a dwa inne podtrzymywały zwinięte w kok włosy. Miała ciemne podkopy pod oczami zaczerwienionymi od czytania.

246

Jej pokój zmienił się. Laptop Mackintosha stał otwarty na jedynym w pomieszczeniu stoliku, otoczony masą papierów, książek i zeszytów. Na ścianie powyżej wisiały diagramy, żółte karteczki samoprzylepne i coś, co wyglądało na szkice z anatomii. Stos faksów leżał na podłodze przy krześle, obok tacy z niedojedzonymi kanapkami, dzbankiem kawy i brudną filiżanką. Usłyszałem pukanie do drzwi za moimi plecami. Otworzyłem, by wpuścić Louisa i Angela. Ten ostatni z niedowierzaniem patrzył na ścianę.

— Facet w recepcji już uważa panią za wariatkę przez te gówniane obrazki, co przyszły faksem. Jak zobaczy to, na pewno zadzwoni po gliny.

Rachel oparła się na krześle i rozpuściła włosy, wyjmując ołówki. Lewą ręką przeczesala je i pokręciła głową, by rozluźnić napięte mięśnie.

— No to kto zacznie? — zapytała.

Opowiedziałem im o Remarze i zmęczeniu na twarzy Rachel natychmiast ustąpiło. Kazała mi dwukrotnie opisać ze szczegółami pozycję zwłok, a potem przez dłuższą chwilę przerzucała papiery na biurku.

— Proszę. — Z rozmachem podała mi kartkę. — Tak to wyglądało? Była to czarno-biała ilustracja, podpisana na górze starą czcionką:

„TAB.PRIMERADEL LIB. SEGVNDO”. Na dole ręką Rachel dopisane było: „Valverde 1556”. Obrazek przedstawiał obdartego ze skóry człowieka, z lewą stopą wspartą na kamieniu, długim nożem o zakrzywionej rękojeści w lewej ręce, który w prawej dłoni trzymał własną skórę. Rysy twarzy były widoczne na skórze, a oczy pozostały w otworach, lecz poza tymi wyjątkami obrazek bardzo przypominał pozycję, w jakiej znaleźliśmy Remarra. Poszczególne części ciała zaznaczone zostały literami greckiego alfabetu.

— To jest to — powiedziałem cicho. — Tak wyglądał, gdy go znaleźliśmy.

Podąłem obrazek Angelowi i Louisowi. Obejrzel go w milczeniu.

— Historia de la composición del cuerpo humano — odezwała się Rachel. — Została napisana przez Hiszpana Valverde w tysiąc pięćset pięćdziesiątym szóstym roku jako podręcznik do nauki medycyny. Ten rysunek... — Wzięła go od Louisa i uniosła tak, abyśmy mogli wszyscy widzieć.

— ...jest ilustracją do mitu Marsjasza. Marsjasz był satyrem, wielbicielem bogini Kybele. Padł ofiarą klątwy, kiedy podniósł flet porzucony przez Atenę. Flet grał sam, bo nadal był natchniony przez boginię, a jego muzyka była tak piękna, że chłopci stwierdzili, iż jest wspanialsza niż melodie samego Apolla. Ten wyzwiał Marsjasza na pojedynek, który miał być rozsądzony przez Muzy, i Marsjasz przegrał, bo nie potrafił grać na flecie, dmuchając z drugiego końca, i jednocześnie śpiewać. No i Apollo się zemścił.

247

Obdarł go żywcem ze skóry, którą przybił potem do sosny. Według Owidiusza, w chwili śmierci Marsjasz krzyknął „Quid me mihi detrahis?” — „Kto odziera mnie ze mnie samego?” Tycjan namalował własną wersję tego mitu. Podobnie jak Rafael. Uważam, że w organizmie Remarra znajdują się ślady ketaminy. Aby wiernie odegrać mityczną scenę, ciało musiało być obdarte, kiedy ofiara jeszcze żyła. A przecież trudno jest stworzyć dzieło, gdy materiał na owo dzieło się rusza... Louis przerwał jej:

— Ale na tym obrazku on wygląda, jakby sam się obdarł ze skóry. Trzyma nóż i skórę. Dlaczego

morderca wybrał właśnie tę wersję?

— To tylko moje przypuszczenie — rzekłem — ale może być i tak, że w pewnym sensie Remarr naprawdę sam się do tego przyczynił. Znalazł się w domu Aguillardów wtedy, gdy nie powinien tam być. Może Podróżnika zaniepokoiło, co mógł tam zobaczyć. Remarr wściubił nos tam, gdzie nie trzeba, więc sam sprowadził na siebie taki los.

Rachel przytaknęła.

— Interesująca uwaga, ale może kryć się za tym coś więcej, biorąc pod uwagę to, co się stało z Tee Jeanem Aguillardem.

Podawała mi dwie kartki. Na pierwszej zobaczyłem kopię zrobionego na miejscu zbrodni zdjęcia Tee Jeana. Na drugiej był kolejny rysunek, tym razem podpisany: „DE DISSECT. PARTIVM”. Na dole strony Rachel dopisała datę: „1545”.

Ilustracja przedstawiała człowieka ukrzyżowanego na drzewie, z kamiennym murem za plecami. Jego głowa spoczywała między konarami, inne gałęzie podtrzymywały ręce. Skóra klatki piersiowej była zdarta, płuca, nerki i serce odkryte. Jakiś organ, prawdopodobnie żołądek, leżał na blacie na dalszym planie. Twarz była nienaruszona, ale i tym razem ilustracja pasowała do pozycji ciała Tee Jeana.

— Znowu Marsjasz — wyjaśniła Rachel. — A w każdym razie adaptacja mitu. Ta akurat pochodzi z kolejnego podręcznika medycyny *De dissectione partium corporis humani* autorstwa Estienne'a.

— Twierdzi pani, że on zabija według greckiego mitu? — zapytał An-gel.

Rachel westchnęła.

— To nie jest takie proste. Myślę, że mit coś dla niego znaczy, skoro posłużył się nim dwukrotnie. Ale teoria z Marsjaszem nie sprawdza się w wypadku Tante Marie i rodziny Birda. Natknęłam się na ilustracje przedstawiające Marsjasza przez czysty przypadek, ale nie znalazłam jeszcze teorii pasującej do pozostałych morderstw. Ciągle szukam.

248

prawdopodobieństwo, że też opiera się ona na wczesnych podręcznikach medycznych. Jeżeli tak jest, to je znajdę.

— W takim razie możliwe, że ten, którego szukamy, ma lub miał do czynienia z medycyną — zauważyłem.

— Albo zna się na tekstach nieznanym szerszemu ogółowi — dodała. — Wiemy już, że czytał Księgę Henocha albo jakieś jej wersje. Nie musi posiadać rozległej wiedzy medycznej, żeby okaleczać ciało w taki sposób, jak to do tej pory widzieliśmy, jednak nie należy do końca lekceważyć możliwości, że ma pojęcie o chirurgii czy o medycynie w ogóle.

— A co z oślepieniem i zdejmowaniem twarzy? — zapytałem. Zepchnąłem na krańce świadomości migający mi przed oczami obraz Susan i Jennifer. — Do czego to pasuje?

Pokręciła głową.

— Wciąż nad tym pracuję. Twarz może być dla niego czymś w rodzaju pamiątki. Oddał twarz Jennifer, bo dziewczynka umarła, zanim się nią zajął, ale także dlatego, że chciał cię tym osobiście dotknąć. Pozbawianie twarzy może też oznaczać, że gardzi swymi ofiarami jako jednostkami, gardzi nimi jako osobami. Ostatecznie zabierając komuś twarz, zabieramy najbardziej bezpośredni wyraz jego indywidualności, główny fizyczny znak rozpoznawczy. A co do oczu, krąży mit, że obraz mordercy zostaje na siatkówce ofiary. Istnieje mnóstwo takich przesądów związanych ze zwłokami. Jeszcze na początku minionego wieku niektórzy naukowcy sprawdzali teorię, która mówiła, że ciało ofiary krwawi, gdy znajdzie się w tym samym pomieszczeniu co morderca. Muszę jeszcze trochę popracować, wtedy zobaczymy.

Wstała i przeciągnęła się.

— Nie chcę być niegrzeczna, ale teraz chcę wziąć prysznic. Potem chcę wyjść i zjeść coś porządnego. A jeszcze później chcę spać przez dwanaście godzin.

Angel, Louis i ja zaczęliśmy zbierać się do wyjścia, ale Rachel podniosła rękę i nas zatrzymała.

— Jest jeszcze coś. Nie chcę, byście odnieśli wrażenie, że to tylko jakiś maniak kopiujący w rzeczywistości koszmarnie obrazki. Wiem jeszcze za mało, by coś takiego stwierdzić, i chciałabym to skonsultować z kilkoma osobami, które mają w tej dziedzinie więcej doświadczenia niż ja. Ale nie mogę oprzeć się przeczuciu, że za tym, co on robi, kryje się jakaś filozofia, jakiś schemat, którego się trzyma. Póki tego nie poznamy, nie uda nam się go złapać. Kiedy trzymałem rękę na klamce, ktoś zapukał do drzwi. Otworzyłem ostrożnie i zasłoniłem sobą wejście, a Rachel pośpiesznie porządkowała

249

papiery. Przede mną stał Woolrich. Dostrzegłem na jego twarzy rzadki zarost, zaczątek formującej się brody.

— Recepcjonista powiedział mi, że można cię zastać tutaj, jeśli nie w twoim pokoju. Mogę wejść?

Nie ruszałem się przez moment, a potem się odsunąłem. Zauważyłem, że Rachel stanęła tak, by zasłonić sobą materiały na ścianie, ale Woolrich nawet na nią nie spojrział. Przyglądał się Louisowi.

— Znam cię — powiedział.

— Nie sądzę — odparł Louis. Wiało od niego chłodem. Woolrich zwrócił się do mnie:

— Sprowadzasz do mojego miasta płatnych morderców, Bird? Nie odpowiedziałem.

— Jak już mówiłem, coś ci się pomyliło, człowieku — odezwał się Louis. — Jestem biznesmenem.

— Naprawdę? A jakież to interesy prowadzisz?

— Tępię szkodniki.

W powietrzu aż trzaskało od napięcia, w końcu Woolrich odwrócił się na pięcie i wyszedł. Kiedy znalazł się na korytarzu, przywołał mnie gestem.

— Muszę z tobą pogadać. Będę czekał w Cafe du Monde. Popatrzyłem, jak odchodzi, i spojrzałem na Louisa. Uniósł brwi.

— Widocznie jestem bardziej sławny, niż myślałem.

— Chyba tak — odparłem i ruszyłem za Woolrichem.

Dogoniłem go na ulicy, ale nie odzywaliśmy się, aż usiedliśmy przy stoliku, a on dostał swoje francuskie ciastko. Oderwał kawałek, przyprószając swój garnitur cukrem pudrem, a następnie pociągnął łyk kawy, którym opróżnił pół filiżanki; ciemna ciecz spłynęła po ściankach.

— No to gadaj, Bird — przemówił w końcu. — Co ty tu wyprawiasz? — Słychać było, że jest znużony i rozczarowany. — A co do tego faceta w hotelu, znam jego twarz... Wiem, kim on jest... — Zabrał się za następny kawałek ciastka.

Nie odpowiedziałem mu. Przyglądaliśmy się sobie, aż w końcu odwrócił wzrok. Otrzeptał palce z cukru i zamówił drugą kawę. Ja ledwie tknąłem swoją.

— Czy mówi ci coś nazwisko Edward Byron? — zapytał w końcu, kiedy dotarło do niego, że Louis nie będzie przedmiotem naszej rozmowy.

— Absolutnie nic. Dlaczego?

— Był dozorcą w Park Rise. To tam Susan urodziła Jennifer, prawda?

— Zgadza się.

250

Park Rise był prywatnym szpitalem na Long Island. Ojciec Susan nalegał, byśmy się tam udali; twierdził, że tamtejszy personel należy do najlepszych na świecie. Gdy chodzi o płace, na pewno

byli w światowej czołówce. Lekarz, który odbierał poród, zarabiał w ciągu miesiąca więcej niż ja przez cały rok.

— Nie widzę związku.

— W tym samym roku Byron został zwolniony — w absolutnej tajemnicy — po odkryciu przypadku okaleczenia zwłok. Ktoś bez zezwolenia wykonał autopsję na ciele kobiety. Otworzył jamę brzuszną i usunął jajniki wraz z jajowodem.

— Nikt nie został oskarżony?

— Władze szpitala brały to pod uwagę, ale potem zrezygnowały. Rękawiczki chirurgiczne ze śladami krwi i tkanki kobiety zostały znalezione w torbie w szafce Byrona. Tłumaczył, że ktoś chciał go zrobić. Ten dowód nie był jednoznaczny, teoretycznie ktoś mógł to do jego szafki podrzucić, ale facet i tak został wylany. Bez sprawy w sądzie, bez policyjnego śledztwa, bez niczego. Jedynym powodem, dla którego mamy to w aktach, jest fakt, że mniej więcej w tym samym czasie miejscowi policjanci prowadzili sprawę kradzieży narkotyków ze szpitala i na ich raporcie znalazło się nazwisko Byrona. Kradzieże zaczęły się krótko przed jego zwolnieniem, a zaraz po nim ustały, ale on za każdym razem miał alibi. Wtedy słyszano o nim po raz ostatni. Mamy numer jego ubezpieczenia, ale odkąd wyleciał z pracy, nie zarejestrował się jako bezrobotny, nie płacił podatku, nie załatwiał nic w urzędach, nie był w szpitalu. Nikt nie płacił jego kartami kredytowymi od października dziewięćdziesiątego szóstego.

— Dlaczego teraz o nim rozmawiamy?

— Edward Byron pochodzi z Baton Rouge. Jego żona, a raczej była żona, Stacey, nadal tu mieszka.

— Rozmawiałaś z nią?

— Przesłuchaliśmy ją wczoraj. Twierdzi, że nie widziała go od kwietnia i że winien jest jej alimenty za pół roku. Ostatni czek został wypisany na bank we wschodnim Teksasie, ale ona uważa, że facet wciąż przebywa gdzieś w okolicach Baton Rouge. Podobno zawsze chciał tutaj wrócić, bo nienawidzi Nowego Jorku. Mamy jego zdjęcia, pochodzą z kartoteki osobowej Park Rise.

Wręczył mi powiększone zdjęcie Byrona. Był przystojny, rysy psuła mu tylko lekko cofnięta broda. Miał wąskie usta i nos, ciemne oczy i ciemnobrązowe, zaczesane na prawą stronę włosy. Kiedy zrobiono zdjęcie, liczył sobie trzydzieści pięć lat, ale wyglądał młodziej.

251

— To najlepszy trop, jaki mamy — ciągnął Woolrich. — Mówię ^ o tym, bo uważam, że masz prawo wiedzieć. Ale powiem ci jeszcze coś-trzymaj się z daleka od pani Byron. Kazaliśmy jej z nikim nie rozmawiać żeby nie zwietrzyła tego prasa. Po drugie, nie wchodź w drogę Bonesowi! Jeden z naszych podsłuchów wyłowił Ricky'ego, jak kłął na czym świat stoi przez jakieś twoje dzisiejsze błazeństwa. Drugi raz ci się to nie upiecze. — Położył na stoliku pieniądze. — A twoja mała drużyna znalazła coś co może nam pomóc?

— Jeszcze nie. Doszedłem do wniosku, że facet może być związany z medycyną, może przez seksualne patologie. Dam ci znać, jeżeli znajdziemy coś jeszcze. Ale mam do ciebie pytanie. Jakie prochy ginęły z Park Rise?

— Chlorowodorek ketarniny. To jakaś pochodna pentachlorofenolu.

Nie dałem po sobie znać, że wiem coś o tym specyfiku. Federalni wywierciliby Morphy'emu drugą dziurę w tyłku, gdyby wiedzieli, że informuje mnie o takich szczegółach, chociaż na pewno już coś podejrzewali. Wo-olrich milczał przez chwilę, a potem dodał:

— Ten sam środek został znaleziony w ciałach Tante Marie i jej syna. Zabójca użył go do znieczulenia.

Zakreślił filizanką na spodku i zaczął, aż zatrzyma się uszkiei w moją stronę.

— Boisz się tego faceta, Bird? — zapytał zniżonym głosem. — Bo j! tak. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o seryjnych mordercach, kiedy wic[złem cię do Marie?

Skinąłem głową.

— Wtedy wydawało mi się, że widziałem już wszystko, co możliwe. Tamci zabójcy molestowali, gwałcili, nie potrafili normalnie funkcjonować w społeczeństwie; przekroczyli pewną granicę, lecz jednocześnie byli tak żalśni, że wciąż można było dostrzec w nich coś z człowieczeństwa. Natomiast ten...

Przyjrzał się przejeżdżającej dorożką rodzinie, woźnica jednocześnie poganiał konia i opowiadał im własną wersję historii Jackson Square. Dziecko, mały, ciemnowłosy chłopiec, siedziało na samym skraju. Patrzyło na nas bez słowa, opierając brodę na przedramieniu.

— Zawsze baliśmy się, że zjawi się ktoś, kto będzie różnił się od reszty, kto będzie motywowany czymś innym niż niezaspokojoną, zboczona, żądzą albo okrutnym sadyzmem. Żyjemy w cywilizacji bólu i śmierci, Bird, a większość z nas przez całe życie nie zdaje sobie z tego sprawy. Może to była tylko kwestia czasu, zanim stworzyliśmy kogoś, kto zrozumiał to lepiej niż my; kogoś, kto postrzega świat jako wielki ołtarz, na którym skła-

252

*

dana jest ofiara człowieczeństwa; kogoś, kto uważa, że musi być dla nas przykładem.

— I myślisz, że to właśnie on?

•— „Ja jestem Śmiercią, niszczycielem światów”. Czyż nie tak mówi ghagawadgita*? „Ja jestem Śmiercią”. Może on tym właśnie jest: Śmiercią w najczystszej postaci.

Ruszył w stronę ulicy, ja za nim. Wtedy przypomniałem sobie o moich notatkach z poprzedniej nocy.

— Woolrich, jest jeszcze jedna sprawa.

Wyglądał na rozdrażnionego, kiedy podałem mu kartkę z cytatem z Księgi Henocha.

— Co to, kurwa, jest Księga Henocha?

— To apokryf, księga nie umieszczona w Biblii. On chyba się trochę na tym zna.

Woolrich złożył kartkę i wsunął ją do kieszeni.

— Bird — rzekł i prawie się uśmiechnął — czasami waham się, czy mówić ci o tym, co się dzieje, czy lepiej milczeć. — Wykrzywił się, potem westchnął, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że jednak nie warto o tym rozmawiać. — Nie pakuj się w nic, Bird, i powtórz to swoim przyjaciółom.

Odszedł i został wchłonięty przez wieczorny tłum.

Ja zapukałem potem do drzwi Rachel, ale nikt nie otwierał. Zapukałem znowu, mocniej, i usłyszałem dochodzący ze środka hałas. Otworzyła owinięta ręcznikiem, włosy schowała pod drugim, mniejszym. Twarz poczerwieniała jej od gorącej wody, a skóra lśniła.

— Przepraszam. Zapomniałem, że masz wziąć prysznic. Uśmiechnęła się i gestem zaprosiła mnie do środka.

— Siadaj. Ubiorę się i pozwolę zaprosić się na obiad.

Wzięła leżące na łóżku szare spodnie i białą bawełnianą koszulę, wyjęła z walizki bieliznę i wróciła do łazienki. Nie domknęła drzwi, żebyśmy mogli rozmawiać, kiedy się ubierała.

— Czy mogę zapytać, czego dotyczyła tamta wymiana zdań z Wool-richem?

Podszedłem do okna balkonowego i wyjrzałem na ulicę.

— To, co Woolrich powiedział o Louisie, to prawda. Może nie jest to aż tak proste, ale w przeszłości zabijał ludzi. Czy robi to nadal, nie jestem pewien. Nie pytam i nie uważam, bym miał prawo go osądzać. Ale ufam i An-gelowi, i Louisowi. Poprosiłem, by tu przyjechali, bo wiem, na czym się znają.t

„Bhagawadgita" — hinduski poemat filozoficzny.

253

Wyszła z łazienki, zapinając koszulę, rozpuściwszy wcześniej mokre włosy. Wysuszyła je podróżną suszarką i nałożyła delikatny makijaż. Widziałem tysiące razy, jak Susan wykonywała te same czynności, jednak było coś dziwnie intymnego w tym, że robiła to przy mnie Rachel. Coś we mnie drgnęło, w moich uczuciach do niej nastąpiła drobna, lecz znacząca zmiana. Usiadła na brzegu łóżka i wsunęła bosc stopy w parę czarnych butów z wolną piętą. Kiedy się pochylała, na krzyżu błysnęła smużka wilgoci. Przyłapała mnie na tym spojrzeniu i uśmiechnęła się ostrożnie, jakby bała się, że źle interpretuje to, co zobaczyła.

— Idziemy? — zapytała.

Przytrzymałem drzwi i puściłem ją przodem; kiedy przechodziła, jej koszula musnęła moją rękę, sycząc jak woda wylana na rozpalony metal.

Poszliśmy do Mr B's na Royal Street, wielkiej, wyłożonej mahoniem restauracji, cienistej i chłodnej. Zamówiłem stek, miękki i soczysty; Rachel jadła mocno wysmażonego łososia, który był tak doprawiony, że aż się zachłysnęła przy pierwszym kawałku. Rozmawialiśmy o wielu rzeczach,

o teatrze i filmie, muzyce i książkach. Okazało się, że oboje tego samego dnia widzieliśmy Czarodziejski flet w nowojorskiej Metropolitan w dziewięćdziesiątym pierwszym roku; oboje byliśmy tam sami. Patrzyłem, jak pije wino, a odbite światło pada na jej twarz i tańczy w czerni źrenic niczym obserwowane z brzegu jeziora światło księżyca.

— Często jeździsz za nieznanymi mężczyznami w odległe konce kraju?

Uśmiechnęła się.

— Założę się, że całe życie czekałaś na okazję, by takie pytanie zadać.

— A może właśnie zadają je całkiem często...

— Daj spokój. Mam uwierzyć, że taki z ciebie kozak, że zaraz zaczniesz wymachiwać jakąś pałką i wyzwiesz kelnera na pojedynek?

— W porządku, przyznaję się. Musiałem z tym trochę poczekać. Poczulem, że się czerwienię, i dostrzegłem w jej spojrzeniu coś figlarnego, ale i niepewnego — coś jakby smutek, strach przed

zadaniem rany i jej otrzymaniem. Coś we mnie się poruszyło, rozcapierzyło pazury i poczułem małe rozdarcie w sercu.

— Wybacz, że to mówię, ale prawie nic o tobie nie wiem — rzekłem cicho.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała mnie po lewej dłoni, od nadgarstka aż po koniuszek małego palca. Miękkim ruchem delikatnie wiodła wzdłuż krzywizn palców, po liniach i spiralach opuszków. W końcu położyła rękę na stole, koniuszkami palców dotykając moich, i zaczęła mówić.

254

Urodziła się w Chilson, u podnóża gór Adirondack. Jej ojciec był prawnikiem, matka przedszkolanką. Lubiła koszykówkę i bieganie, a chlł-pak, z którym miała iść na bal maturalny, zachorował na świnkę na dwa dni przed imprezą, więc poszła z bratem swojej najlepszej przyjaciółki; kiedy tańczyli „Only the Lonely", próbował dotknąć jej piersi. Sama też miała brata, Curtisa, o dziesięć lat starszego. Przez pięć lat swego d.wu-dziesięcioośmioletniego życia był gliną. Zginął na dwa tygodnie przed d.wu-dziesiątymi dziewiątymi urodzinami.

— Był detektywem w biurze szeryfa, dopiero co otrzymał awans. Nie był nawet na służbie, kiedy go zabili...

Mówiła bez wahania, niezbyt wolno, ale i nie szybko, jakby już z ty siąc razy opowiadała tę historię, wyszukując słabych punktów, przyglądając się początkowi, zakończeniu, wyrzucając niepotrzebne wątki, aż zostało samo sedno sprawy śmierci jej brata, pustka w sercu, jaką po sobie

zostawit.

— Było piętnaście po drugiej, wtorkowe popołudnie. Curtis wybił erał się do jakiejś dziewczyny w Moriah, zawsze były przy nim dwie albo trzy naraz. Tylko łamał im serca. Niósł bukiet kwiatów, różowe lilie kupione w kwiaciarni niedaleko banku. Usłyszał krzyki i zobaczył dwoje ludzi wybiegających z banku, oboje byli uzbrojeni, oboje w maskach, mężczyzna

kobieta. Na zewnątrz w samochodzie czekał na nich jeszcze jeden mężczyzna. Curtis sięgał po broń, kiedy go zobaczyli. Oboje mieli obrzynki i żadne się nie zawahało. Mężczyzna wpakował w niego dwa magazynki, a kiedy umierający Curtis leżał na chodniku, dobiła go ta kobieta.

Strzeliła mu w twarz, a on był taki przystojny, taki uroczy...

Zamilkła, a ja wiedziałem już, że wcześniej odtwarzała tę opowieść! tylko we własnym umyśle.

Niekiedy nasz ból jest nam potrzebny. Potrzebny, by móc nazwać go wyłącznie naszym.

— Kiedy ich złapali, mieli przy sobie trzy tysiące dolarów, "tylko tyle wzięli z banku, tylko tyle był dla nich wart mój brat. Kobieta została tydzień wcześniej wypuszczona z zakładu. Ktoś stwierdził, że nie stanowi już żadnego zagrożenia dla społeczeństwa.

Uniosła kieliszek i dopiła wino. Gestem wezwał kelnera, a ona nie odzywała się, gdy jej dolewał.

— To cała moja historia — rzekła w końcu. — Teraz próbuję to wszystko zrozumieć i czasem jestem bliska celu. A czasami, jeżeli mam szczęście, udaje mi się uchronić przed tragedią innych ludzi. Czasami.

Spostrzegłem, że mocno obejmuję jej dłoń, choć nie potrafiłem sobie przypomnieć, jak do tego doszło. Nie puszczając jej ręki, po raz pierwszy wielu lat opowiadałem o tym, jak wraz z matką wyjechałem z Nowego i wyprowadziłem się do Maine.

255

— Czy ona jeszcze żyje? Pokręciłem głową.

— Popadłem w konflikt z miejscowym bandziorem, zwanym Daddy Helms. Mój dziadek i matka ustalili, że powinienem wyjechać na lato i poczekać, aż sprawa przycichnie. Przyjaciel dziadka prowadził w Philly sklep, więc trochę tam popracowałem: układałem towar na półkach, wieczorem sprzątałem. Spałem w pokoiku na górze. Matka zaczęła fizjoterapię, bo coś było nie tak z nerwami w jej barku, tylko że okazało się, że źle ją zdiagnozowano. Miała raka. Chyba o tym wiedziała, ale wołała nic nie mówić. Może wydawało jej się, że jeżeli się do tego nie przyzna, to oszuka własny organizm i zyska na czasie. Tak się jednak nie stało, miała zapadnięcie jednego płuca, kiedy wychodziła z gabinetu terapeuty. Dwa dni później wróciłem do domu autobusem Greyhound. Nie widzieliśmy się od dwóch miesięcy i kiedy próbowałem ją odnaleźć na szpitalnym oddziale, musiałem sprawdzać nazwiska przy łóżkach pacjentów, bo tak się zmieniła. Żyła jeszcze sześć tygodni. Przed samą śmiercią wróciła jej przytomność, mimo środków przeciwbólowych. To się często zdarza. Człowiek zaczyna myśleć, że może z tego wyjść. To taki mały żart raka. W noc przed śmiercią próbowała narysować plan szpitala, żeby znać drogę, jak będzie z niego wychodzić...

Popiłem trochę wody.

— Przepraszam. Nie wiem, dlaczego mi się to wszystko przypomina. Uśmiechnęła się i poczułem, że teraz to ona ściska moją dłoń.

— A twój dziadek?

— Zmarł osiem lat temu. Zostawił mi dom w Maine, właśnie próbuję uporządkować sprawy z nim związane.

Zorientowałem się, że nie zapytała mnie o ojca. Chyba wiedziała już wszystko, co chciała.

A potem szliśmy powoli w tłumie ludzi, muzyka dochodząca z barów tworzyła mieszaninę

dźwięków, z której raz po raz wybijała się jakaś znana melodia. Przed drzwiami jej pokoju staliśmy objęci przez chwilę, potem się pocałowaliśmy, położyła dłoń na moim policzku i powiedzieliśmy sobie dobranoc.

Mimo Remarra, Joe Bonesa i mojej rozmowy z Woolrichem, tej nocy spałem spokojnie, a na swojej ręce wciąż czułem jej dłoń.

256

J3ył chłodny poranek i dźwięk tramwaju na St Charles niósł się w czystym powietrzu, kiedy biegłem. Minęła mnie zmierzająca do katedry ślubna limuzyna, opasana wstęgami marszczącymi się na masce. Biegłem na zachód wzdłuż North Rampart aż do Perdido, a z powrotem przez Quar-ter, ulicą Chartres. Narastający upał był jak ciepły, wilgotny ręcznik na mojej twarzy. Płuca z wysiłkiem nabierały powietrza, a cały układ oddechowy buntował się, nie chcąc go przyjąć, ale ja wciąż biegłem.

Byłem przyzwyczajony do trenowania trzy, cztery razy w tygodniu, biegałem albo intensywnie ćwiczyłem w siłowni. Jeżeli robiłem kilkudniową przerwę, czułem się nie w formie, jakby mój organizm był pełen toksyn. Zamiast stosować farmakologiczne środki, żeby go oczyścić, wybierałem ćwiczenia.

Po powrocie do Flaisance wziąłem prysznic i zmieniłem opatrunek na ramieniu; rana jeszcze trochę mi dokuczala, ale już zaczynała się goić. W końcu zaniósłem stos ubrań do najbliższej pralni. Nie przypuszczałem, że tak długo zostanę w Nowym Orleanie i zaczynało mi już brakować bielizny.

Numer telefonu Stacey Byron znalazłem w książce telefonicznej — nie wróciła do swojego panińskiego nazwiska, a w każdym razie nie zawiadomiła o tym przedsiębiorstwa telekomunikacji — zaś Angel i Louis wyrazili ochotę wynajęcia samochodu i wyjazdu do Baton Rouge, żeby zobaczyć, czego można się od niej albo o niej dowiedzieć. Woolrich nie byłby zadowolony, ale jeśli chciał, by zostawić ją w spokoju, to mógł nic nie mówić.

Rachel przesłała pocztą elektroniczną szczegóły dotyczące poszukiwanych ilustracji swoim dwóm studentom na Columbii i emerytowanemu profesorowi z Bostonu, ojcu Ericowi Wardowi, byłemu wykładowcy na Uniwersytecie Loyoli w Nowym Orleanie, który specjalizował się w kulturze renesansu. Zamiast siedzieć i czekać na odpowiedź, postanowiła jechać ze mną na cmentarz Metairie, gdzie tego ranka miał zostać pochowany David Fontenot.

Jechaliśmy w milczeniu. Temat rodzącej się między nami bliskości i tego, co mogła za sobą pociągać, nie został poruszony, ale oboje byliśmy jej świadomi. Widziałem to w spojrzeniu Rachel, kiedy na mnie patrzyła. Ona pewnie widziała to samo u mnie.

— Co jeszcze chciałbyś o mnie wiedzieć? — zapytała.

— Wciąż chyba nie wiem zbyt wiele o twoim życiu osobistym.

257

— Poza tym, że jestem piękna i inteligentna.

— Poza tym — przyznałem.

— A mówiąc o „życiu osobistym” masz na myśli „seksualne”?

— To eufemizm. Nie chciałem być natrętny. Jeżeli wolisz, to możemy zacząć od twojego wieku, tego mi wczoraj nie powiedziałaś. Reszta potem pójdzie jak z płatka.

Uśmiechnęła się szelmowsko i pogroziła palcem. Nie przejąłem się tym.

— Mam trzydzieści trzy lata, ale w korzystnym świetle przyznaję się do trzydziestu. Mam kota i mieszkanie z dwiema sypialniami na Upper West Side, jednak obecnie z nikim go nie dzielę.

Trenuję step trzy razy w tygodniu, lubię chińszczyznę, muzykę soul i angielskie piwo. Mój ostatni związek zakończył się pół roku temu i chyba odrasta mi błona dziewicza.

Uniosłem jedną brew, a ona się roześmiała.

— Wyglądasz, jakbym cię naprawdę zaszokowała. Chyba za rzadko bywasz w ludzkim towarzystwie.

— Ty chyba też. Kim on był?

— Maklerem giełdowym. Spotykaliśmy się przez ponad rok i zdecydowaliśmy, że spróbujemy ze sobą zamieszkać. On miał pojedyncze łóżko, ja podwójne, więc wprowadził się do mnie, a moja druga sypialnia stała się wspólnym pokojem do pracy.

— Prawdziwa idylla.

— Tak, przez jakiś tydzień. Potem okazało się, że denerwuje go mój kot, nie cierpi spać ze mną w jednym łóżku, bo podobno ciągle go budzę, przewracając się z boku na bok, a moje wszystkie ubrania zaczęły śmierdzieć od jego papierosów. Tego już było mi za wiele. Wszystko cuchnęło: meble, łóżko, ściany, jedzenie, papier toaletowy, nawet kot. A zaraz potem któregoś wieczoru wrócił do domu, oświadczył, że zakochał się w swojej sekretarce i trzy miesiące później wyjechał z nią do Seattle.

— To ponoć ładne miasto.

— Pieprzyć Seattle. Niech je morze pochłonie.

— Dobrze, że przynajmniej nie złościsz się na niego.

— Bardzo śmieszne.

Przez chwilę patrzyła przez okno, a ja poczułem pragnienie, by jej dotknąć, pragnienie spotęgowane jeszcze przez to, co zaraz powiedziała.

— Nadal boję się, by nie zadać ci zbyt wielu pytań — rzekła delikatnie. — Po tym, co cię spotkało.

— Wiem.

258

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej policzka. Skórę miała gładką i lekko wilgotną. Pochyliła ku mnie głowę, jednocześnie przyciskając mą dłoń, lecz w tej chwili stanęliśmy przed cmentarzem i czar przysł.

Dalsi krewni Fontenotów mieszkali w Nowym Orleanie już od końca dziewiętnastego wieku, na długo zanim rodzina Davida i Lionela przeniosła się do miasta, i mieli ogromny grobowiec na Metairie, największym cmentarzu w mieście, leżącym przy Metairie Road i Pontchartrain Boulevard. Zajmował sto pięćdziesiąt akrów i został utworzony na dawnym torze wyścigowym. Idealne miejsce ostatniego spoczynku dla hazardzistów, dowodzące tego, że każdy wyścig kończy się ostatecznie tak samo.

Cmentarze Nowego Orleanu są dość specyficzne. Podczas gdy większość takich miejsc w dużych miastach składa się z dyskretnych płyt nagrobkowych, ułatwiających utrzymanie porządku, nieżyjący obywatele Nowego Orleanu spoczywają w ozdobnych grobowcach i okazałych mauzoleach. Przypominają mi Pere Lachaise w Paryżu albo Miasta Umarłych w Kairze, gdzie ludzie przez cały czas żyją pośród ciał. Wspomnienie to wywołał widok grobowca rodziny Brunswigów w kształcie pilnowanej przez sfinksa piramidy.

To nie tylko cmentarna architektura Hiszpanii czy Francji ukształtowała te miejsca w taki sposób. Większość miasta leżała poniżej poziomu morza i, zanim pojawił się współczesny system odwadniający, groby wykopane w ziemi natychmiast wypełniała woda. Grobowce naziemne okazały się jedynym rozwiązaniem.

Orszak żałobny wszedł już na cmentarz, gdy przyjechaliśmy. Zaparkowałem z dala od innych samochodów i minęliśmy dwa policyjne wozy stojące przy bramie; oczy siedzących w środku policjantów kryły okulary przeciwsłoneczne. Minęliśmy cztery figury wyobrażające Wiarę, Nadzieję, Miłosierdzie i Pamięć, stojące u podstawy długiego grobowca, i doszliśmy do greckiej

mogły ozdobionej parą doryckich kolumn. Nad wejściem widniał napis „Fontenot”. Nie sposób było powiedzieć, ilu członków rodziny spoczęło w tym grobowcu. Nowoorleańska tradycja nakazywała zostawić ciało na rok i jeden Izień, po czym mauzoleum było ponownie otwierane, szczątki przenoszone do dalszej części, a trumna usuwana, by zrobić miejsce kolejnym nieboszczykom. Wiele grobowców na Metairie było pewnie niezłe zatłoczonych. Ozdobiona głowami anielskimi brama z kutego żelaza była otwarta, i niewielka grupa żałobników otaczała grobowiec półkolem. Górował nad linią mężczyzna, którym, jak się domyśliłem, musiał być Lionel Fontenot. Wiał na sobie czarny, jednorzędowy garnitur z szerokim, czarnym krawatem. Jego twarz przybrała na słońcu czerwono-brązowy kolor, a głębokie

259

bruzdy znaczyły czoło i bieżyły ku kąciom oczu. Czarne włosy siewiały przy skroniach. Był postawnym mężczyzną, miał co najmniej metr osiemdziesiąt pięć wzrostu i sto dwadzieścia kilo wagi. Ledwo mieścił się w swoim ubraniu.

Oprócz uczestników ceremonii dostrzegłem czterech facetów o niewzruszonych twarzach, w ciemnych ubraniach; stali w pewnym oddaleniu od siebie wśród grobowców i drzew. Ich pistolety odznaczały się pod marynarkami. Piąty facet, w ciemnym płaszczu narzuconym na ramiona, wyłonił się zza starego cyprysa, a ja dostrzegłem złowieszczy kształt półautomatycznego M16 schowanego pod połami palta. Dwaj kolejni stali po obu bokach Lionela Fontenota. Najwyraźniej wolał nie ryzykować.

Żałobnicy, wśród nich biali i czarni — młodzi biali mężczyźni w eleganckich czarnych garniturach, stare Murzynki w czarnych sukniach ozdobionych przy dekoltach koronkami — ucichli, kiedy ksiądz rozpoczął obrządek pochówku, czytając ze zniszczonego brewiarza o złożonych brzegach. Nie było wiatru, który niósłby jego słowa, dlatego wisiały w powietrzu wokół nas, odbijały się od otaczających grobowców i powracały, niczym głosy umarłych. — Ojciec nasz, któryś jest w niebie...

Niosący trumnę ruszyli do przodu, usiłując trafić w wąskie wejście prowadzące do grobowca. Kiedy umieścili trumnę na miejscu, jakieś dwadzieścia metrów od grupy, zza okrągłych grobowców wyszli dwaj nowoorleańscy policjanci. Następna para nadeszła ze wschodniej części cmentarza, a trzecia z północnej.

Rachel podążyła za moim spojrzeniem.

— Eskorta?

— Może.

— Przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja...

Poczułem się nieswojo. Ktoś mógł ich wysłać, by się upewnili, że Joe Bones nie uległ pokusie zakłócenia spokoju ceremonii, ale coś było nie tak. Nie podobał mi się sposób, w jaki się poruszali. Nie czuli się dobrze w mundurach, jakby kołnierzyki koszul mieli za ciasne, a buty ich piły-

— / odpuść nam nasze winy...

Zostali zauważeni przez ludzi Fontenota, ale wcale się tym nie przejęli. Ich ręce zwisały swobodnie wzdłuż boków, a pistolety pozostały w kaburach. Byli już jakieś dziesięć metrów od nas, kiedy coś ciepłego skropiło mi twarz. Starsza kobieta o okrągłej twarzy ubrana w czarną, obcisłą suknię, która cicho płakała tuż przy mnie, zachwiała się nagle i zwała się na ziemię z ciemną dziurą w skroni i czymś lśniącym we włosach. Marmur grobowca ukruszył się w jednym miejscu, wokół którego pojawiła się jaska-

260

wa czerwien. Odgłos wystrzału dotarł niemal w tej samej chwili, głuchy, przytłumiony, jakby

pięść uderzyła w worek treningowy.

— / nie wódź nas na pokuszenie...

Dopiero po kilku sekundach żałobnicy zorientowali się, co się dzieje. Patrzyli tępo na leżącą kobietę, a wokół jej głowy już utworzyła się spora kałuża krwi; pchnąłem Rachel w stronę przejścia między dwoma grobowcami, zasłaniając ją własnym ciałem. Ktoś krzyknął, a kolejne pociski rozproszyły tłum, z jękiem odłupując kawałki kamienia i marmuru. Ochroniarze Fontenota rzucili się w jego stronę i pchnęli go na ziemię, kiedy kule odbijały się od ściany grobowca i dźwięczały na żelaznym ogrodzeniu.

Rachel osłaniała głowę rękami i kuciała, by stanowić jak najmniejszy cel. Oglądając się przez ramię, zobaczyłem, jak dwaj gliniarze idący z północy rozdzielają się i podnoszą pistolety maszynowe ukryte w krzakach po obu stronach alei. Były to steiry z tłumikami: a więc to jednak byli ludzie Bonesa. Widziałem, że jedna z kobiet chciała się ukryć pod rozłożonymi skrzydłami kamiennego anioła; kiedy biegła w jego stronę, poły czarnego płaszcza owijały się dookoła jej gołych nóg. Tkanina palta wydeła się dwukrotnie na ramieniu i kobieta upadła twarzą do ziemi z szeroko rozłożonymi rękami. Chciała się podciągnąć, ale materiał płaszcza wydał się raz jeszcze i znieruchomiła.

Rozbrzmiewały teraz strzały z pistoletów i terkot półautomatu ludzi Fontenota. Chwyciłem mojego smith & wessona i przysunąłem się do Rachel, kiedy między grobowcami pojawił się człowiek w mundurze, w obu rękach trzymając steyra. Strzeliłem mu w twarz i upadł.

— Przecież to są gliniarze! — zawołała Rachel, a jej głos utonął w huku wystrzałów.

Przyciągnąłem ją bliżej ziemi.

— To ludzie Bonesa. Mają wykończyć Lionela Fontenota.

Jednak Joe pragnął osiągnąć coś jeszcze: chciał zasiać chaos, by wyhodować strach, a potem zebrać żniwo krwi i śmierci. Nie chodziło mu tylko o zamordowanie Lionela. Chciał też, by zginęli inni — kobiety, dzieci, rodzina Lionela, jego znajomi — a ci, którym udało by się przeżyć, mieli pamiętać i jeszcze bardziej się go bać. Chciał złamać Fontenotów i chciał tego dokonać właśnie tutaj, w miejscu, gdzie od pokoleń chowali członków swojej rodziny. Było to zachowanie człowieka, który postradał wszelki rozsądek i wkroczył w mroczne, ponure miejsce, miejsce — w którym wizję przesłoniła mu krew.

Usłyszałem za sobą jakiś szelest i tąpnięcie i nagle jeden z ludzi Fontenota, ten w płaszczu i z półautomatem, padł na kolana obok Rachel. Z ust poląła mu się krew, a ona krzyknęła, gdy runął i jego głowa spoczę-

261

ła u jej stóp. M16 leżał na trawie obok. Chciałem go podnieść, ale Rachel była szybsza, kierowana w tej chwili niezawodnym instynktem przetrwania. Z szeroko otwartymi ustami i oczami posłała serię nad leżącym twarzą w dół ochroniarzem.

Rzuciłem się na drugi koniec grobowca i wymierzyłem w tym samym kierunku, ale człowiek Bonesa leżał już na ziemi. Leżał na plecach, jego lewa noga drgała w paroksyzmie, a pierś zdobił krwawy wzór. Oczy Rachel nadal były ogromne, ręce jej drżały od nadmiaru adrenaliny. Broń zaczęła wysuwać się jej z dłoni. Pasek zahaczył o rękę, ale z wściekłością się od niego uwolniła. Uczestnicy pogrzebu uciekali alejami wśród grobowców. Dwie białe kobiety ciągnęły po trawie młodego Murzyna. Koszula na jego brzuchu była umazana krwią.

Domyśliłem się, że musiała być czwarta para chłopaków Joe Bonesa, którzy nadeszli z południa i posłali pierwsze strzały. Przynajmniej trzech mężczyzn zginęli: dwaj, których zabiliśmy Rachel i ja, i trzeci, leżący przy cyprysie. Człowiek Fontenota trafił go, zanim sam zginął.

Pomogłem Rachel wstać i pchnąłem ją w stronę grobowca z zardzewiałym ogrodzeniem — zamek puścił po jednym uderzeniu kolby M16. Wsunęła się do środka, dałem jej mojego smith &

wessona i kazałem tam zostać, dopóki po nią nie przyjdę. Potem, ściskając karabin, pod osłoną grobowców pobiegłem na wschód, mijając z tyłu mauzoleum Fontenotów. Nie wiedziałem, ile kul zostało w M16. Przełącznik nastawiony był na strzały trzema pociskami. W zależności od pojemności magazynka, miałem jeszcze od dziesięciu do dwudziestu serii.

Prawie udało mi się dotrzeć do pomnika z figurą śpiącego dziecka, ale coś uderzyło mnie w tył głowy, potknąłem się i broń wyśliznęła mi się z ręki. Ktoś mnie mocno kopnął w nerki, ból poczułem aż w barkach. Potem znowu kopniak, tym razem w brzuch, i obróciłem się na plecy. Spojrzałem w górę i zobaczyłem stojącego nade mną Ricky'ego. Jego gadzie uczesanie i cherlawca postura zupełnie nie pasowały do policyjnego munduru. Zgubił czapkę, a twarz miał po bokach podrapaną przez odłamki kamieni. Lufę steyra wycelował w moją pierś.

Chciałem przełknąć ślinę, ale moje gardło jakby się zacisnęło. Miałem świadomość obecności trawy pod moimi dłońmi i tego niezmiernego bólu w boku: dowody życia, istnienia i przetrwania. Ricky podniósł broń i wycelował w moją głowę.

— Pozdrowienia od Joego Bonesa — rzucił.

Już miał pociągnąć za spust, kiedy nagle głowa poleciała mu do tyłu, brzuch wypchnął się do przodu, a plecy wygięły w łuk. Pocisk wystrzelony ze steyra zarył w trawie przy mojej głowie, a Ricky upadł najpierw na ko-

262

lana, potem na bok; leżał tak twarzą do ziemi na mojej lewej nodze. W plecach miał czerwoną dziurę o poszarpanych brzegach.

Za nim, w pozycji strzelca wyborowego, stał Lionel Fontenot, powoli opuszczając rękę, w której trzymał pistolet. Na lewej ręce miał krew, a rękaw marynarki przedziurawiony kulą. Dwaj goryle, którzy stali przy nim na cmentarzu, spieszyli teraz ku niemu zza rodzinnego grobowca. Spojrzeli na mnie i z powrotem na niego. Usłyszałem wzmagający się jęk nadciągających z zachodu syren.

— Jeden zwił — zameldował ochroniarz. — Reszta nie żyje.

— A co z naszymi ludźmi?

— Co najmniej troje nie żyje. Kilkoro rannych.

Leżący Ricky drgnął i lekko poruszył ręką. Czułem jego ruchy na swojej nodze. Fontenot podszedł, postąpił nad nim chwilę, po czym strzelił mu w tył głowy. Posłał mi jeszcze jedno zaciekawione spojrzenie, podniósł z trawy M16 i rzucił go jednemu ze swoich ludzi.

— Idźcie teraz pomóc rannym — rozkazał.

Podtrzymując zranioną rękę prawą dłonią, odszedł w stronę grobowca swojej rodziny.

Odepchnąłem zwłoki Ricky'ego i wróciłem na miejsce, gdzie zostawiłem Rachel. Bolały mnie zębra. Podchodziłem ostrożnie, pamiętając o pistolecie, który jej zostawiłem. Jednak gdy dotarłem do grobowca, Rachel tam nie było.

Jakieś pięćdziesiąt metrów dalej znalazłem ją kuczającą przy młodej, może dwudziestoletniej kobiecie. Kiedy się zbliżyłem, chwyciła za broń i wycelowała we mnie.

— To ja. Jesteś cała?

Przytaknęła i odłożyła pistolet. Zauważyłem, że cały czas trzyma dłoń na brzuchu dziewczyny.

— Co z nią? — zapytałem, lecz gdy spojrzałem ponad jej ramieniem, znałem już odpowiedź.

Krew z rany postrzałowej była prawie czarna. Dostała w wątrobę. Dygocząca i zaciskająca w śmiertelnym bólu zęby dziewczyna nie miała szans na przeżycie. Wokół nas zaczęli gromadzić się wychodzący z ukrycia uczestnicy pogrzebu, niektórzy płakali, inni drżeli z emocji. Dwaj ludzie Fonte-nota biegli w naszym kierunku, obaj uzbrojeni; chwyciłem Rachel za ramię.

— Idziemy. Musimy zdążyć przed policją.

— Ja zostaję. Nie zostawię jej.

— Rachel. — Popatrzyła na mnie. Spojrzałem jej w oczy i już oboje wiedzieliśmy, co czeka

dziewczyne. — Nie możemy zostać.

263

Ci dwaj byli już blisko. Jeden z nich, młodszy, ukląkł przy dziewczynie i ujął ją za rękę. Ścisnęła jego dłoń, a on szeptał jej imię.

— Clara — mówił. — Wytrzymaj, wytrzymaj...

— Rachel, proszę — nalegałem.

Chwyliła rękę młodego człowieka i przycisnęła ją do brzucha dziewczyny. Clara krzyknęła, kiedy ucisk się wznowił.

— Niech pan tu trzyma rękę — syknęła Rachel. — Niech pan trzyma aż przyjadą lekarze.

Podniosła i podała mi pistolet. Włożyłem go do kabury. Uciekaliśmy od jądra tego chaosu, dopóki krzyki nie ucichły; wtedy stanęliśmy, a ona wy. ciągnęła rękę i przyciągnęła mnie do siebie. Otoczyłem ją ramionami, pocałowałem w czubek głowy i wdychałem zapach jej włosów. Ucisnęła mnie, a ja syknąłem, kiedy ból w żebrach wzmożył się dramatycznie.

Rachel odsunęła się.

— Jesteś ranny?

— Ktoś mnie kopnął, nic wielkiego. — Ująłem jej twarz w dłonie. — Zrobiłaś dla niej wszystko, co mogłaś.

Kiwnęła głową, ale usta jej drżały. Obawa o życie tej dziewczyny nie była tylko konsekwencją płynącą z oczywistego obowiązku ratowania życia.

— Zabiłam tego człowieka — powiedziała.

— On zabiłby nas oboje. Nie miałaś wyboru. Gdybyś tego nie zrobiła, sama byłabyś teraz martwa. Ja pewnie też.

To była prawda, ale jej nie wystarczyła, jeszcze nie. Objąłem ją mocno, kiedy płakała, a mój fizyczny ból nijak się miał do jej cierpienia.

Nie rozmawiałem o Daddym Helmsie od lat — dopiero kiedy opowiadałem o nim Rachel, przypomniałem sobie, jaką rolę odegrał pod koniec życia mojej matki.

To był najpaskudniejszy człowiek, jakiego kiedykolwiek widziałem — Rządził prawie całym Portland od późnych lat sześćdziesiątych do początku osiemdziesiątych, budując skromne imperium; zaczynał od prężnie działających magazynów z alkoholem, po czym rozszerzył działalność o handel narkotykami na terenie trzech stanów.

264

Daddy Helms ważył ponad sto pięćdziesiąt kilo i cierpiał na dolegliwości skórne, które objawiały się guzami rozsianymi po całym ciele, ale najbardziej widoczne były na twarzy i rękach. Miały intensywnie czerwony kolor i tworzyły coś w rodzaju łusek pokrywających prawie całą twarz, tak iż obserwator miał wrażenie, że widzi go przez czerwoną mgłę. Nosił garnitury z kamizelkami i kapelusze typu panama i zawsze palił cygara Win-stona Churchilla, więc czuło się go na długo, zanim się go ujrzano. Dla bystrych ludzi był to sygnał, by się jak najszybciej wynosić.

Helms był podły, a do tego dziwaczny. Gdyby był mniej inteligentny, zgorzkniały i mniej rozmiłowany w przemoc, skończyłby pewnie w małym domku w lasach Maine i sprzedawał świąteczne choinki miłym obywatelom. Jednak już sama jego brzydota stanowiła zewnętrzną oznakę wewnętrznego duchowego i moralnego zepsucia, przy którym jego skóra przestawała robić większe wrażenie. Była w nim jakaś furia i nienawiść do świata i jego zwyczajów.

Mój dziadek, który znał Daddy'ego Helmsa od dziecka i zawsze potrafił zrozumieć innych ludzi, nawet kryminalistów, których sam zamykał, będąc zastępcą szeryfa, widział w nim jedynie zło.

— Kiedyś myślałem, że to z powodu tej jego brzydoty — stwierdził pewnego razu. — Że to przez nią zachowuje się w ten sposób, próbując odegrać się na świecie, który widzi dokoła.

Dziadek siedział na werandzie swojego domu, który zajmował z babcią, moją matką i mną, domu, w którym mieszkaliśmy wszyscy od śmierci mojego ojca. Jego pies, basset o imieniu Doc — nazwany tak na cześć muzyka country Doc'a Watsona tylko dlatego, że dziadkowi podobała się jego interpretacja piosenki „Alberta” — leżał u jego stóp, dysząc przez sen i wydając z rzadka cichy skowyt, kiedy śnił jeden ze swych pieskich snów.

Dziadek upił trochę kawy z niebieskiego, cynowego kubka i postawił go z powrotem obok swojej stopy. Doc poruszył się lekko, otworzył jedno przekrwione oko, żeby sprawdzić, czy nie dzieje się nic interesującego, i znowu zasnął.

— A jednak się myliłem — kontynuował dziadek. — Daddy Helms ma po prostu w sobie coś złego, sam nie wiem co. Zastanawiam się tylko, co by ze sobą zrobił, gdyby nie był tak cholernie paskudny. Gdyby tylko zechciał i gdyby ludzie znosili jego widok, mógłby pewnie zostać nawet prezydentem; tylko że byłby bardziej jak Józio Stalin niż jak John Kennedy. Lepiej schodź mu z drogi, chłopcze. Dostałeś wczoraj niezłą lekcję, niezłą lekcję od twardego faceta.

Przybyłem tam z Nowego Jorku z przeświadczeniem, że jestem twardszy, mądrzejszy, szybszy i, gdyby było trzeba, mocniejszy od tych

265

ciemniaków z Maine. Myliłem się. Daddy Helms postarał się, by mi to udowodnić.

Lekcję tę otrzymał też Clarence Johns, chłopak, który mieszkał ze swoim ojcem pijakiem w pobliżu tego, co się dzisiaj nazywa Maine Mali Road. Był miły, ale głupi; taki tam mój kumpel. Łaziliśmy wszędzie razem przez prawie rok, strzelając z jego dubeltówki w leniwe letnie popołudnia i pijąc piwo podbierane jego ojcu. Nudziliśmy się i dawaliśmy to wszystkim do zrozumienia, nawet Helmsowi.

Daddy kupił stary, zrujnowany bar na Congress Street i zaczął go przerabiać na coś, co jego zdaniem miało stać się ekskluzywnym lokalem. To było zanim okolice portu zostały zagospodarowane, zanim pojawiły się sklepy z pamiątkowymi koszulkami i wyrobami rzemieślniczymi, zanim stworzono kino z ambitnymi filmami i bary serwujące tłumom turystów darmowe przekąski między piątą a siódmą. Może Daddy Helms przeczuwał nadejście nowych czasów, bo wymienił wszystkie okna w barze, pokrył go nowym dachem i kupił wyposażenie od jakiegoś starego kościoła w Belfaście, który został zsekularyzowany.

Któregoś niedzielnego popołudnia, kiedy Clarence i ja czuliśmy się wyjątkowo skłócenii ze światem, siedzieliśmy na murze za nie wykończonym barem Helmsa i zabawialiśmy się, wybijając w nim wszystkie okna, z niezwykłą dokładnością celując w nowe szyby. W końcu znaleźliśmy starą, porzuconą sfluczkę i w najwyższym akcie wandalizmu wrzuciliśmy ją przez ogromne łukowe okno z tyłu budynku, które, jak roił sobie Helms, miało przydać barowi finezji wachlarza.

Nie widziałem się z Clarencem przez kilka następnych dni i nawet nie myślałem o konsekwencjach tego, co zrobiliśmy, aż do pewnej nocy, kiedy szliśmy sobie ulicą St John z nielegalnie nabytym sześciopakami piwa; nagle złapało nas trzech ludzi Helmsa i zostaliśmy zaciągnięci do czarnego cadillaca eldorado. Zakuli nam ręce w kajdanki, zakleili usta taśmą i zawiązali brudne szmaty wokół głów, a potem wrzucili do bagażnika i zamknęli klapę. Leżeliśmy tak jeden przy drugim i czułem odór jego nie mytego ciała, aż w końcu zdałem sobie sprawę, że prawdopodobnie cuchnę tak samo.

Ale czułem też inne zapachy oprócz oleju, szmat i potu dwóch nastolatków. Czułem ludzki kał i mocz, wymiociny i zółć. Czułem smród strachu przed nadchodzącą śmiercią i już wtedy wiedziałem, że nie byliśmy pierwszymi, którzy zostali zabrani na przejażdżkę tym czarnym cadillackiem.

Straciłem poczucie czasu i nie miałem pojęcia, jak długo jechaliśmy, aż w końcu samochód się

zatrzymał. Ktoś otworzył bagażnik — oczyma wyobraźni widziałem już nad sobą gwiazdy, migające jak obietnica raj.

266

Gdzieś po lewej stronie szumiały rozbijające się o brzeg fale i w powietrzu czułem sól. Wytaszczyli nas z bagażnika i wlekli po krzakach i kamieniach. Pod stopami miałem piasek, a obok słyszałem skamlenie Claren-ce'a — a może to były moje własne jęki? Wreszcie zostaliśmy rzućeni twarzami na piasek i poczułem dłonie na swoich ciuchach, na swoich butach. Zdarli ze mnie koszulę, spodnie i majtki, a ja wierzgałem bez opamiętania, aż wreszcie ktoś przyłożył mi pięścią w krzyż i się uspokoiłem. Wtedy zdjęli mi szmatę z głowy i zobaczyłem nad sobą Daddy'ego Helmsa. Za nim dostrzegłem sylwetkę dużego budynku pensjonatu Black Point. Byliśmy na plaży Prouts Neck za Scarborough. Gdybym mógł się obrócić, to zobaczyłbym światła kapieliska Old Orchard.

Helms trzymał w swojej zdeformowanej dłoni cygaro i uśmiechał się. Ten uśmiech był jak błysk światła na ostrzu noża. Miał na sobie biały trzyczęściowy garnitur i złoty zegarek na łańcuszku, który wił się po kamizelce jak wąż, a pod kołnierzykiem białej, bawełnianej koszuli tkwiła związana starannie czerwona mucha w białe kropki. Tuż obok mnie, grzebiąc się w piasku, Clarence Johns rozpaczliwie próbował wstać, ale jeden z ludzi Helmsa, jasnowłosego dzikus Tiger Martin, położył mu nogę na piersi i zmusił do pozostania w pozycji leżącej. Clarence, jak zauważyłem, nie był nagi.

— Jesteś wnukiem Boba Warrena? — zapytał Helms po chwili. Kiwnąłem głową. Myślałem, że się uduszę. W nozdrzach miałem piasek i nie mogłem nabrać powietrza w płuca.

— Wiesz, kim ja jestem? — zapytał, nadal patrząc na mnie. Znowu skinąłem.

— Ależ na pewno tego nie wiesz, chłopcze. Gdybyś mnie znał, tobyś nie zrobił czegoś tak głupiego. No chyba że jesteś głupi, a to gorsze, niż nie wiedzieć, kim jestem.

Na chwilę zwrócił swoją uwagę na Clarence'a, ale się do niego nie odezwał. Zdawało mi się, że dostrzegłem w jego oczach iskierkę politowania. Clarence był głupkiem, co do tego nie było wątpliwości. Przez krótką chwilę patrzyłem na mojego kumpla ich oczami, jak gdybym był jednym z nich i wraz z nimi chciał mu zrobić coś złego. Ale nie byłem jednym z nich i myśl o tym, co mogło nastąpić, sprowadziła mnie na ziemię. Na skórze czułem ziarenka piasku i patrzyłem, jak Tiger Martin podchodzi, trzymając w rękach czarny worek na śmieci, który sprawiał wrażenie wypchanego czymś ciężkim. Popatrzył na Helmsa, ten skinął głową i Martin wysypał zawartość na moje ciało.

To była ziemia, ale nie tylko: poczułem na sobie tysiące maleńkich odnóży wędrujących po mojej skórze, przedzierających się przez owłosione

267

i

części nóg i pachwin, badających jak mikroskopijni kochankowie szczeliny w moim ciele. Czułem je na zaciśniętych powiekach i potrząsnąłem gwałtownie głową, by je zrzucić. A potem zaczęło się kąsanie: drobne, bolesne ukłucia na ramionach, powiekach, nogach, nawet na penisie. Wpełzały mi do nosa i gryzły. Rzucąłem się wściekle na piasku, próbując zabić ich jak najwięcej, ale to było tak, jakbym próbował usunąć sam piasek, ziarenko po ziarenku. Wierzgałem i wiłem się, a po policzkach ciekły mi łzy i kiedy pomyślałem, że już dłużej nie wytrzymam, ręka w rękawicy chwyciła mnie za kostki i pociągnęła w stronę morza. Zdjęli mi kajdanki i wbiegłem do wody, zerwałem z ust taśmę, nie bacząc na ból wargi, do której się przykleiła, i zacząłem się drapać. Zanurzyłem głowę w rozbijających się o mnie falach, ale nadal czułem, że mrówki się ruszają i mimo wszystko gryzą, wiedząc, że zaraz utoną. Krzyczałem z bólu i paniki, i płakałem,

plakałem ze wstydu, poczucia krzywdy, ze złości i strachu.

Przez wiele następnych dni odnajdywałem resztki owadów we włosach. Niektóre były dłuższe niż paznokieć mojego środkowego palca, miały małe, zakrzywione do środka szczypczyki. Całe moje ciało pokrywały wypukłe guzki, prawie takie same jak u Helmsa, a śluzówka nosa była podrażniona i spuchnięta.

Wywlokłem się z wody i chwiejnie wyszedłem na piasek. Ludzie Dad-dy'ego Helmsa wrócili już do samochodu, zostawiając nas z nim na plaży. Clarence'a nawet nie tknęli. Helms dostrzegł, że to zauważyłem, i z uśmiechem wypuścił kłąb dymu.

— Znaleźliśmy twojego przyjaciela wczoraj wieczorem — powiedział. Położył swoją grubą, nalaną dłoń na ramieniu chłopaka. Ten drgnął. — Opowiedział nam o wszystkim. Nie musieliśmy go nawet krzywdzić.

Ból zdrady zagłuszył pieczenie i swędzenie na mojej skórze. Spojrzałem na Johnsa innym wzrokiem, wzrokiem dorosłego mężczyzny. Stał na piasku, obejmując się ramionami, i dygotał. W oczach miał ból. Chciałem go znienawidzić za to, co mi zrobił, i Daddy Helms też tego oczekiwał, jednak zamiast tego czułem tylko głęboką pustkę i pewien żal.

Żal mi było też Daddy'ego Helmsa z tą jego okropną skórą, guzami i fałdami tłuszczu na ciele, żal faceta, który musiał dać nauczkę dwóm chłopakom, bo zbili mu kilka okien, zadając im przy tym ból nie tylko fizyczny, ale też tnąc więzy ich przyjaźni.

— Dostałeś tutaj dwie lekcje, synku. Nauczyłeś się nigdy ze mną nie zadzierać i dowiedziałeś się czegoś o przyjaźni. Jedyнным przyjacielem, który w końcu ci pozostaje, jesteś ty sam. Bo inni cię prędzej czy później zawiodą. Wszyscy w końcu zostajemy sami.

268

To powiedziawszy, odwrócił się i poczłapał przez wydmy do samochodu.

Musieliśmy iść pieszo do Scarborough, w podartych i mokrych od morskiej wody ciuchach. Nie odezwaliliśmy się do siebie ani słowem, nawet kiedy rozstawaliśmy się przy bramie domu mojego dziadka; Clarence poszedł dalej w noc, klapiąc po drodze swoimi tanimi butami z plastiku.

Przestaliśmy się spotykać i prawie o nim nie myślałem, aż do dnia, kiedy zginął w czasie nieudanej próby włamania do magazynu ze sprzętem komputerowym na przedmieściach Austin piętnaście lat później. Pracował jako ochroniarz. Został postrzelony przez włamywaczy, kiedy próbował uniemożliwić im ucieczkę.

Gdy wszedłem do domu, wziąłem z apteczki jakiś środek odkażający, a potem się rozebrałem i stojąc w wannie, wcierałem płyn w miejsca ukąszeń. Szczypało. Kiedy skończyłem, usiadłem w pustej wannie i plakałem, i w tym stanie znalazł mnie dziadek. Nic nie powiedział, tylko po chwili wyszedł i wrócił, niosąc czerwoną miskę z białą papką, uzyskaną z sody oczyszczonej i wody. Wcierał mi ją starannie w ramiona, klatkę piersiową, nogi i ręce, a potem wylał nieco na moją dłoń, abym mógł wetrzeć sobie w krocze. Owinął mnie białym, bawełnianym prześcieradłem, posadził na krześle w kuchni i nalał nam po kieliszku koniaku. Pamiętam, że był to Remy Martin XO, dobry gatunek. Sporo czasu zajęło mi opróżnienie kieliszka, ale żaden z nas nie odezwał się ani słowem. Kiedy wstałem, by pójść do łóżka, pogłaskał mnie lekko po głowie.

— Dostałeś lekcję od twardego faceta — powtórzył dziadek, dopijając swoją kawę. Stał tak, aż podniósł się i pies. — Pójdiesz z nami na spacer?

Nie chciałem. Wzruszył ramionami, zszedł po schodach werandy, a Doc biegł przed nim, szczekając, węsząc dookoła i oglądając się co chwila, by się upewnić, że pan idzie za nim, i potruczać dalej.

Daddy Helms umarł dziesięć lat później na raka żołądka. Po jego śmierci ustalono, że był zamieszany, pośrednio i bezpośrednio, w ponad czterdzieści morderstw, niektóre z nich aż na Florydzie. Na pogrzeb przyszła garstka ludzi.

Pomyślałem o nim, kiedy razem z Rachel uciekaliśmy z cmentarza Metairie. Nie wiem dlaczego. Może przypomniał mi go Joe Bonnano, była w nim ta sama nienawiść do świata, mająca swoje korzenie w tej samej zgniliznie moralnej. Przypomniałem sobie mojego dziadka, Daddy'ego Helmsa i te lekcje, których mi udzielili, lekcje, których wciąż do końca nie rozumiałem.

269

Za bramą cmentarza policja Nowego Orleanu gromadziła świadków i p[ł] nowała, by nikt nie blokował drogi ambulansom, które miały zabrać rannych. Reporterzy lokalnych stacji telewizyjnych próbowali rozmawiać z tymi, którzy przeżyli. Zbliżając się z ukosa do wyjścia, trzymałem się blisko jednego z ochroniarzy Fontenota, tego, który miał pilnować M16. Szliśmy za nim, aż dotarł do dziury w płocie odgradzającym teren cmentarza od autostrady, przecisnął się przez nią i ruszył do czekającego nieco dalej lin-colna. Kiedy odjechał, Rachel i ja przeszliśmy przez płot i podążyliśmy do naszego auta, bez słowa zbliżając się do niego od zachodu — stało z dala od miejsca zdarzenia, więc udało nam się odjechać, nie wzbudzając niczyjego zainteresowania.

— Jak to się stało? — zapytała cicho, kiedy zbliżaliśmy się do miasta. — Powinna tam być policja. Powinien być ktoś, kto by ich powstrzymał...

Jej głos się załamał i milczała już przez całą drogę do Quarter, oplatając się ciasno ramionami. Nie przeszkadzałem jej.

Przyczyn tego zdarzenia mogło być wiele. Może ktoś ważny spieprzył sprawę, wysyłając na Metairie zbyt małą liczbę policjantów, bo uważał, że Joe Bones nie odważy się zaatakować Lionela Fontenota na pogrzebie jego brata na oczach tylu świadków. Broń ukryto na cmentarzu wczoraj późnym wieczorem lub dziś wcześnie rano, a teren nie został przeszukany. Mogło być też tak, że Lionel kazał policji trzymać się z daleka, tak jak to zrobił z prasą i telewizją, by nie zmienić pogrzebu w cyrk. Jeszcze inna możliwość jest taka, że Joe Bones przekupił bądź zastraszył paru gliniarzy na Metairie, kto wie, czy nie wszystkich, by udawali, że ich tam nie ma, gdy jego ludzie robili swoje.

Gdy przyjechaliśmy do hotelu, zaprowadziłem Rachel do swojego pokoju — nie chciałem, by otaczały ją ilustracje, które zawiesiła na ścianach w swoim. Poszła prosto do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Usłyszałem płynącą z prysznica wodę. Nie wychodziła przez długi czas.

Kiedy się w końcu pokazała, od piersi do kolan okryta była dużym, białym ręcznikiem, a mniejszym wycierała włosy. Popatrzyła na mnie czerwonymi oczami, broda jej zadrżała i znowu zaczęła płakać. Objąłem ją, ucałowałem najpierw w głowę, potem w czoło, policzki i usta.

Odwzajemniła pocałunek ciepłymi wargami, jej język dotknął moich zębów i splótł się z moim. Poczulem wzwód i mocno do niej przygnałem, w tej samej chwili ściągając z niej ręcznik. Jedną ręką rozpięła pasek i zamek przy

270

spodniach, wsunęła dłoń i ścisnęła mocno. Drugą ręką rozpięła guziki koszuli, pocałowała mnie w szyję i przeciągnęła językiem przez klatkę piersiową i wokół sutków.

Zrzuciłem buty i przechyliłem się niezgrabnie, usiłując zdjąć skarpetki. Cholerne skarpetki.

Uśmiechnęła się lekko, kiedy prawie upadłem, zdejmując lewą, i już leżałem na niej, a ona ściągała mi spodnie i szorty.

Miała małe piersi i dość szerokie biodra, a mały trójząbek włosów między nimi był ognistorudy. Smakowała słodko. Kiedy szczytowała, jej plecy wygięły się w łuk, a nogi ciasno objęły moje uda. Nikt mnie jeszcze nigdy nie obejmował tak mocno albo tak mocno nie kochał.

Potem zasnęła. A ja wymknąłem się z łóżka, założyłem koszulkę i dżinsy i wziąłem jej klucz z torebki. Boso przeszedłem wzdłuż galerii do jej pokoju, zamknąłem za sobą drzwi i przez chwilę przyglądałem się ilustracjom na ścianie. Rachel kupiła wielki blok do rysowania, w którym

zapisywała pomysły i schematy. Wydarłem z niego dwie kartki, zlepiłem taśmą i dodałem do obrazków na ścianie. Następnie, otoczony rysunkami okaleczonego Marsjasza i kopiami zdjęć z miejsca zabójstwa w domu Tan-te Marie, wziąłem flamaster i zacząłem pisać.

W jednym rogu umieściłem imiona Jennifer i Susan; kiedy pisałem imię mojej żony, poczułem ukłucie żalu i wyrzutów sumienia. Odsunąłem je od siebie i kontynuowałem. W drugim rogu zanotowałem imiona Marie, Tee Jeana i, nieco z boku, Florence. W trzecim rogu pojawił się Remarr, a w czwartym znak zapytania i obok słowo „dziewczyna”. W samym środku napisałem „Podróżnik” i, niczym dziecko rysujące słoneczko, poprowadziłem linie od słowa w środku, przy których spróbowałem wypisać to wszystko, co wiedziałem — albo zdawało mi się, że wiem — o mordercy.

Kiedy skończyłem, diagram zawierał program lub urządzenie umożliwiające syntezę głosu; Księgę Henocha, znajomość greckich mitów lub wczesnych tekstów medycznych; znajomość procedur i czynności policyjnych. To ostatnie założenie wynikało z tego, o czym mówiła Rachel po śmierci Susan i Jennifer, z faktu, że Podróżnik wiedział o monitorowaniu mojego telefonu komórkowego, i z jego zachowania w związku ze śmiercią Remarra. Na początku wydawało mi się, że gdyby natknął się na niego w domu Aguillardów, to zabiłby go na miejscu, ale po namyśle doszedłem do wniosku, że Podróżnik nie chciał tam pozostać ani wciągać w sprawę zdenerwowanego Remarra, więc zdecydował, że poczeka na inną okazję. Niewykluczone również, że dowiedział się o odcisku i jakoś potem odszukał intruza.

Dopisałem też inne elementy, oparte na standardowych założeniach: biały mężczyzna; wiek 20—40 lat; tymczasowa baza w Luizjanie, gdzie

271

mógł uderzyć na Remarra i Aguillardów; częste zmienianie ubrań albo zakładanie kombinezonu na własne rzeczy dla ochrony przed poplamieniem[^] krwią; znajomość działania i dostępu do ketaminy.

Poprowadziłem linię od „Podróżnika” do Aguillardów, bo zabójca wiedział, o czym wcześniej mówiła Marie, i drugą, łączącą go z Remarrem. Dodałem przerywaną linię prowadzącą do Jennifer i Susan, a wzdłuż niej napisałem Edward Byron ze znakiem zapytania. Pod wpływem impulsu pojawiła się trzecia przerywana linia prowadząca do nazwiska Davida Fontenota pomiędzy Aguillardami i Remarrem; możliwe, że jeżeli Podróżnik zwabił go na Honey Island i poinformował Bonesa, że David tam będzie, to zabójcą był ktoś spośród znajomych Fontenotów. W końcu na osobnej kartce umieściłem nazwisko Edwarda Byrona i przypiąłem ją obok głównego wykresu.

Usiadłem na brzegu łóżka Rachel i wdychając zapach jej pokoju, patrzyłem na swoje dzieło, zastanawiając się, jak można zmienić ułożenie poszczególnych części, by ułożyć z nich logiczną całość. Nic mi nie pasowało, ale zanim wróciłem do swojego pokoju, by poczekać, aż Angel i Louis wrócą z Baton Rouge, dorysowałem cienką linię między Davidem Fontenotem a znakiem zapytania reprezentującym dziewczynę z bagien. Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem, ale robiąc to, uczyniłem pierwszy znaczący krok prowadzący mnie do świata Podróżnika.

Wróciłem do swojego pokoju i siedziałem przy oknie balkonowym, obserwując niespokojny sen Rachel. Jej powieki poruszały się szybko, a raz czy dwa jęknęła cicho i pomachała rękami, jakby kogoś odpychała, zaś okryte kocem stopy zaszurały po prześcieradle. Głosy powracających Angela i Lo-uisa dotarły do mnie, jeszcze zanim ich zobaczyłem. Angel mówił z wyraźną złością, zaś Louis odpowiadał mu bardziej wyważonym tonem, ale z cieniem drwiny.

Zanim jeszcze zapukali, otworzyłem drzwi i na migi pokazałem, że porozmawiamy u nich. Nie słuchali w wypożyczonym samochodzie radia, więc nie wiedzieli nic o strzelaninie na Metairie. Angel miał czerwoną twarz i blade usta. Chyba jeszcze nigdy nie widziałem go tak wkurzonego.

W pokoju zaczęli się znowu sprzeczać. Stacey Byron, tleniona blondyna po czterdziestce, o figurze, jak na swój wiek, wręcz idealnej, najwyraźniej leciała na Louisa, kiedy ją przepytawali. On zaś w pewnym sensie odpowiadał na jej umizgi.

— Chciałem z niej jak najwięcej wycisnąć — tłumaczył się, z rozbawieniem obserwując z ukosa Angela.

272

Angel pozostał niewzruszony. — Chciałeś, ale jedyną informacją, jaką uzyskałeś, jest rozmiar jej majtek i stanika — fukał.

Louis przewrócił śmiesznie oczami i przez moment wydawało mi się, że Angel się na niego rzuci. Już zaciskał pięści i ruszał do przodu, ale się pohamował.

Zrobiło mi się go żal. Nie wierzyłem, by Louis faktycznie przystawiał się do żony Edwarda Byrona, nie licząc naturalnej reakcji człowieka na czyjeś zabieganie o jego względy i wiary Louisa w to, że takie zwodzenie może sprawić, iż ona powie im co nieco o swoim byłym mężu. Dobrze wiedziałem, ile Louis znaczył dla Angela. Przeszłość Angela była dla mnie okryta mrokiem tajemnicy. Tym bardziej przeszłość Louisa, pamiętałem jednak z owej przeszłości coś, o czym Louis zdawał się zapominać.

Kiedy Angel wylądował w więzieniu Rikers Island, przyczepił się do niego facet o nazwisku William Vance. Vance zamordował koreańskiego sklepikarza podczas nieudanego włamania na Brooklynie i w taki sposób znalazł się w Rikers, ale podejrzany był też o kilka innych rzeczy: o zgwałcenie i zamordowanie starszej kobiety w Utica, które to przestępstwo wiązano z podobną sprawą w Delaware. Nie było dowodów, jedynie jakieś pogłoski i przypuszczenia, ale kiedy nadarzyła się okazja zamknięcia Van-ce'a za zamordowanie Koreańczyka, prokurator z niej skorzystał i chwalał mu za to.

Nie wiedzieć czemu, Vance wymyślił sobie, że chce widzieć Angela martwym. Podobno mój przyjaciel olał go wcześniej, gdy ten przystawiał się do niego, i wybił mu ząb pod przyszcicem. Ale z facetami tego pokroju nigdy nic tak naprawdę nie wiadomo: trudno powiedzieć, co mu się roi w mózgu, gdzie nienawiść miesza się z dziwnym, cynicznym pragnieniem. Teraz Vance nie chciał już Angela jedynie zgwałcić: chciał zadać mu śmierć, i to śmierć powolną. Angel miał naprawdę pecha. Spędził w Rikers dopiero tydzień, a już szansa na to, że przeżyje pierwszy miesiąc, zmalała niemal do zera.

Nie miał przyjaciół za kratkami, na wolności też było ich coraz mniej, więc skontaktował się ze mną. Wiedziałem, że nie przyszło mu to łatwo. Był dumny i sądzę, że w normalnych okolicznościach spróbowałby rozwiązać swój problem sam. Ale William Vance ze swoimi tatuażami przedstawiającymi zakrwawione noże na ramionach i pajęcze sieci na piersiach normalny na pewno nie był.

Zrobiłem, co mogłem. Wyciągnąłem jego kartotekę i skserowałem Przesłuchania w sprawie morderstwa w Utica i kilku podobnych przypadków. Skopiowałem szczegóły zebranych przeciwko niemu dowodów i ze-Zlianie świadka, kobiety, która później wszystkiemu zaprzeczyła, bo Van-

273

ce zadzwonił i zagroził, że będzie tak długo pieprzył ją i jej dzieci, aż zdechną, jeżeli będzie zeznawała przeciwko niemu. I wtedy wybrałem się do Rikers.

Rozmawiałem z nim przez przezroczytą przegrodę. Pod lewym okiem dorobił sobie tatuaż w kształcie łyzy; razem miał ich już trzy, każda symbolizowała jedno odebrane życie. Na karku widoczny był kształt pająka. Mówiłem do niego cicho przez dziesięć minut. Upowiedziałem, że jeżeli Angelowi choćby włos z głowy spadnie, to wszyscy skazańcy dowiedzą się, że 0 mało co zostałby oskarżony o zabójstwo na tle seksualnym dokonane na bezbronnej staruszcze.

Vance za pięć lat mógł ubiegać się o warunkowe zwolnienie. Gdyby jego towarzysze dowiedzieli się, o co był podejrzany, musiałby spędzić te pięć lat w izolatce albo na specjalnym oddziale, by uniknąć śmierci. I nawet wtedy zmuszony byłby codziennie sprawdzać, czy ktoś nie wsypał mu do jedzenia sproszkowanego szkła, modlić się, by żaden ze strażników nie uśpił swej czujności ani na sekundę, eskortując go na podwórze na godzinny spacer albo do więziennego lekarza, kiedy już stres zacząłby odbijać się na jego zdrowiu.

Vance bardzo dobrze o tym wszystkim wiedział, a mimo to dwa dni po naszej rozmowie próbował Angela wykastrować przy pomocy trzonka od łyżki. Mego protegowanego ocaliła jedynie siła, z jaką kopnął Van-ce'a w kolano, ale i tak nie obyło się bez dwudziestu szwów na brzuchu

I udzie, bo ten, kiedy już upadł, zaczął siec go dziko swym narzędziem.

Następnego ranka dorwali Vance'a pod prysznicem. Nieznani sprawcy przytrzymali go, francuskim kluczem rozwarli mu usta i wpompowali do żołądka wodę z detergentem. Trucizna wywarła mu wewnętrzną, rozdarła żołądek, tak że niemal przyplącił to życiem. Przez resztę życia był wrakiem człowieka, targanym takimi bólami trzewi, że wył po nocach. Załatwiłem to jednym telefonem. Teraz też muszę z tym żyć.

Po wyjściu na wolność Angel spiknął się z Louisem. Nie pamiętam nawet, jak doszło do tego, że ci dwaj samotnicy się spotkali, ale teraz byli ze sobą już sześć lat. Angel potrzebował Louisa, a ten, na swój sposób, potrzebował jego. Czasem wydawało mi się, że większy ciężar w tym związku spadał na Angela. W relacjach dwóch mężczyzn czy też mężczyzny i kobiety, bez względu na konfigurację, jedna z osób zawsze kocha bardziej niż ta druga i zwykle przez to cierpi.

Okazało się w końcu, że nie dowiedzieli się za dużo od Stacey Byron. Od frontu dom był obserwowany przez federalnych, ale Louis i Angel — ten drugi w jedynym garniturze, jaki ma — weszli tylnymi drzwiami. Louis machnął swoją kartą członka klubu sportowego, uśmiechnął się czarująco i wyjaśnił pani Byron, że to tylko rutynowe przeszukanie ogrodu,

274.

a potem przez godzinę rozmawiali o jej mężu, o tym, jak często Louis ćwiczy, i w końcu czy kiedyś miał białą kobietę. I w tym momencie Angel już naprawdę się wkurzył.

— Ona twierdzi, że nie widziała swojego męża od czterech miesięcy — oświadczył Louis. — Kiedy się spotkali po raz ostatni, nie był zbyt rozmowny, zapytał tylko o nią i o dzieci, a potem wziął jakieś stare ciuchy ze strychu. Miał ze sobą reklamówkę z jakiejś apteki w Opelousas i federalni teraz tam koncentrują swoje poszukiwania.

— Czy ona wie, dlaczego go szukają?

— Nie. Powiedzieli jej, że mógłby im pomóc w rozwiązaniu jakiejś sprawy. Ale ona nie jest głupia, więc musiałem pociągnąć ją trochę mocniej za język, żeby się rozgadała. Oświadczyła, że zawsze interesował się medycyną — chyba nawet kiedyś miał ambicje, żeby zostać lekarzem, chociaż nie miał wystarczającego wykształcenia, by być prawdziwym chirurgiem.

— Zapytałeś ją, czyjej zdaniem mógłby kogoś zabić?

— Nie musiałem. Zagroził kiedyś, że zabije ją, kiedy kłócili się o warunki rozvodu.

— Pamięta, co wtedy powiedział? Louis przytaknął, nisko pochylając głowę.

— No. Powiedział, że zedrze jej tę pierdoloną gębę.

Angel i Louis rozstali się w złości; pierwszy zaszył się w pokoju Rachel, drugi siadł na swoim balkonie, przysłuchując się dźwiękom i wdychając zapachy miasta, które nie zawsze były przyjemne.

— Pomyślałem, że wyskoczę coś zjeść — powiedział. — Miałbyś ochotę?

Zdumiał mnie. Chyba chciał pogadać, ale nigdy dotąd nie spędzałem czasu z samym Louisem,

bez Angela.

Sprawdziłem, co robi Rachel. Łóżko było puste i usłyszałem płynącą z prysznica wodę. Delikatnie zapukałem do drzwi łazienki.

— Otwarte.

Kiedy wszedłem, stała owinięta plastikową zasłonką z łazienki.

— Pasuje ci — zauważyłem. — Przezroczysty plastik znów jest modny.

Sen jej nie pomógł. Oczy miała podkrążone, wyglądała na chorą i spiętą. Uśmiechnęła się bez entuzjazmu, ale wyszedł z tego grymas bólu.

— Chciałabyś wyjść coś zjeść?

— Nie jestem głodna. Trochę popracuję, a potem wezmę dwie pigułki nasenne i będę spać, nie śniąc o niczym.

275

Powiedziałem, że wychodzę z Louistem, i poszedłem do jej pokoju, by ją zawiadomić. Angela.

Przeglądał notatki Rachel. Gestem wskazał mój wy, J kres na ścianie.

— Sporo tu pustych miejsc.

— Muszę jeszcze co nieco uzupełnić.

— Na przykład, kto to zrobił i dlaczego. — Uśmiechnął się krzywi

— No właśnie, ale kto by się teraz przejmował takimi szczegółami? U ciebie wszystko w porządku?

Przytaknął.

— Ta cała sprawa zaczyna mi chyba działać na nerwy, te wszystkie..| — Machnął w kierunku ilustracji na ścianie.

— Idę z Louistem coś przegryźć. Przyłączysz się do nas?

— Nie, dzięki, skwaszyłbym wam tylko humor. Możesz go sobie wziąć.

— Dzięki. Jutro zawiadomię o mojej zmianie orientacji seksualnej modelki ze Swimsuit Illustrated. Będą zdruzgotane. Czuwaj nad Rachel, dobrze? To nie był dla niej najlepszy dzień.

— Będę w pobliżu.

Siedzieliśmy z Louistem w restauracji serwującej ostrygi „U Felixa” na rogu Bourbon i Iberville. Nie było tam zbyt wielu turystów: chodzili raczej do knajpy po drugiej stronie ulicy, gdzie podawano czerwoną fasolę z pikantnym ryżem w wydrążonych jak łódki francuskich bułkach, albo do klasycznego francuskiego lokalu w Quarter. Dania u Felixa były mniej wyrafinowane, a turyści nie lubią prostego jedzenia. Proste potrawy mają u siebie w domach.

Louis zamówił ostrygi, które maczał w ostrym sosie i popijał piwem. Ja jadłem frytki i kanapkę z kurczakiem, do picia wziąłem wodę mineralną.

— Kelner myśli, że jesteś ciotką — zauważył Louis, kiedy sączyłem wodę. — Gdyby gdzieś w mieście wystawiali balet, zacząłby się do ciebie przystawiać, żeby dostać bilety.

— Co on tam wie — odparłem. — To ty mieszasz ludziom w głowach, bo nie odpowiadasz stereotypowi. Może powinieneś bardziej kręcić pupą, jak chodzisz.

Wykrzywił usta i podniósł rękę, zamawiając kolejne piwo. Podano je bardzo szybko. Kelner sprytnie upewnił się, że nam niczego nie brakuje, równocześnie starając się jak najmniej przebywać w pobliżu naszego stolika. Inni goście, aby nie przechodzić zbyt blisko nas, szli do swoich miejsc naokoło, a ci, którzy zmuszeni byli usiąść po sąsiedzku, zdawali się jeść szybciej niż inni. Louis zawsze tak działał na ludzi. Jakby osłaniała go

276

skorupa potencjalnej przemocy, ale nie tylko: sprawiał wrażenie, że gdyby ta przemoc nagle wybuchła, nie byłby to pierwszy raz.

— Ten twój kumpel Woolrich... — odezwał się, opróżniwszy jednym haustem pół butelki piwa.

— Ufasz mu?
— Sam nie wiem. On ma własny program działania.
— To federalny. Oni zawsze mają własne programy działania. — Przyglądał mi się znad butelki.
— Wydaje mi się, że gdybyś wybrał się z nim w góry, pośliznął się i wisiał na linie, to on by tę linę odciął.
— Jesteś cyniczny. Znów wykrzywił usta.
— Gdyby umarli mogli mówić, wszystkich cyników nazwaliby realistami.
— Gdyby faktycznie mogli mówić, to powiedzieliby nam, żeby uprawiać więcej seksu, dopóki jeszcze możemy. — Zabrałem się za moje frytki. — Federalni mają coś na ciebie?
— Może jakieś podejrzenia, nic więcej. Ale nie o to mi chodzi.
Jego oczy były teraz nieruchome i zupełnie zimne. Myślę, że gdyby był przekonany, iż Woolrich coś na niego ma, to zabiłby go bez mrugnięcia okiem.
— Dlaczego on nam pomaga? — zapytał po chwili.
— Też się nad tym zastanawiałem — odrzekłem. — Nie jestem pewien. Możliwe, że rozumie moją potrzebę bycia informowanym na bieżąco o tym, co się dzieje. A z kolei, gdy sam udziela mi informacji, to może kontrolować stopień mojego zaangażowania w sprawę.
To jednak nie było wszystko. Louis miał rację. Woolrich miał własny plan działania. Nie było łatwo go poznać, tak jak patrząc na ocean, trudno dostrzec jego głębie i tonie leżące pod powierzchnią. Pod pewnymi względami nie był łatwy we współżyciu: to on dyktował warunki przyjaźni i przez cały czas naszej znajomości zdarzało się, że nie widywaliśmy się przez długie miesiące. Odplacał za to swą dość szczególną lojalnością, zobowiązaniem, że choć nie ma go w pobliżu, to nigdy nie zapomina o oddanych sobie ludziach.
Jednak jako federalny, Woolrich był twardym graczem. Osiągnął swoją pozycję ciężką pracą, udziałem w ważnych operacjach i tłamszeniem innych agentów, którzy próbowali wejść mu w drogę. Nie brakowało mu ambicji i może próbując ująć Podróżnika, chciał wspiąć się jeszcze wyżej po szczeblach kariery na stanowiska szefa okręgu, asystenta dyrektora, zastępcy dyrektora, a ostatecznie może nawet jako pierwszy agent chciał zostać mianowany bezpośrednio na fotel dyrektora. Dopilnował już, by inni policjanci zostali wykluczeni ze sprawy, i bardzo się starał, bym i ja nie an-

277

gazował się w nią bezpośrednio, jednocześnie informując mnie o wszystkim na bieżąco. Presja z tym związana była wielka, ale gdyby udało mu się doprowadzić do zatrzymania Podróżnika, czekałaby go w Biurze świetlana przyszłość.
Miałem tu do odegrania swoją rolę, on o tym wiedział i daje głowę, że byłby w stanie wykorzystać naszą przyjaźń, by tylko doprowadzić sprawę do końca.
— Woolrich traktuje mnie chyba jako przynętę — dodałem. — A sam trzyma wędkę.
— Ile, według ciebie, przed nami ukrywa? — Louis dopił piwo i cmoknął ze smakiem.
— Jest jak góra lodowa. Nad powierzchnią wody znajduje się tylko jakieś dziesięć procent. Federalni, choćby nie wiem ile wiedzieli, to nie podzielą się tą wiedzą z miejscowymi glinami, a Woolrich na pewno nie podzieli się nią z nami. Dzieje się tu coś, do czego ma dostęp tylko on i może garstka agentów. Grasz w szachy?
— Tak jakby — odparł krótko. Zapewne grywał w nie jedynie według własnych zasad.
— Ta cała sprawa jest jak partia szachów — ciągnąłem. — Tylko że ruchy przeciwnika widać dopiero, kiedy już stracimy figurę. Poza tym gra odbywa się w kompletnych ciemnościach. Louis poprosił o rachunek. Kelner chyba odetchnął z ulgą.

— A co z tym Byronem?

Wzruszyłem ramionami. Czułem dziwny dystans dzielący mnie od tego, co się działo. Częściowo dlatego, że byliśmy graczami trzymanymi gdzieś na marginesie dochodzenia, a częściowo ponieważ taki dystans był mi potrzebny. Potrzebny, bym mógł pomyśleć. W pewien sposób to, co zaszło z Rachel tego popołudnia i jak zajście to wpłynęło na mój żal po stracie Susan, pozwoliło mi ów dystans osiągnąć.

— Nie wiem — odpowiedziałem.

Dopiero zaczynaliśmy tworzyć obraz Byrona, wyłaniał się jak postać w samym środku układanki, wokół której mogły pojawić się inne części.

— Musimy zastanowić się, jak do niego podejść. Najpierw chciałbym dowiedzieć się, co Remarr zobaczył tamtej nocy, kiedy zginęli Marie i Tee Jean. I dlaczego David Fontenot znalazł się sam na Honey Island.

Jasne było, że Lionel Fontenot nie przepuści Bonesowi. Joe wiedział o tym równie dobrze i właśnie dlatego zaryzykował akcję na Metairie. Po powrocie do swej twierdzy Lionel byłby zupełnie poza zasięgiem jego ludzi. Następny ruch należał teraz do niego.

278

Przyszedł kelner z rachunkiem. Zapłaciłem, a Louis zostawił dwadzieścia dolarów napiwku, więcej niż kosztował posiłek. Kelner przyglądał się banknotowi, jakby widniejący na nim Andrew Jackson miał go ugryźć w palec przy pierwszej próbie podniesienia.

— Chyba będziemy musieli pogadać z Lionelem Fontenotem — zauważyłem, kiedy wyszliśmy.

— Iz Bonesem.

Louis dosłownie się uśmiechnął.

— Joe chyba nie pali się do rozmowy z tobą, skoro jeden z jego chłopców próbował cię załatwić.

— Też tak myślę — odparłem. — Może Fontenot nam pomoże. W każdym razie jeżeli Bones nie ma ochoty mnie oglądać, to widok ciebie sunącego jego trawnikiem już na pewno nie wprawi go w ekstazę. Nie wiadomo, czy nie będziesz musiał skorzystać ze swoich półautomatów. Wróciliśmy do Flaisance pieszo. Ulice Nowego Orleanu nie należą do najbezpieczniejszych, ale nie obawiałem się, że ktokolwiek nas zaczepi. I miałem rację.

Następnego ranka pozwoliłem sobie pospać dłużej. Rachel wróciła na noc do siebie. Kędy do niej zapukałem, jej głos brzmiał chrypliwie ze zmęczenia. Powiedziała, że chce zostać w łóżku, a kiedy się nieco lepiej poczuje, pojedzie na Uniwersytet Loyoli. Poprosiłem Angela i Louisa, żeby na nią uważali, i opuściłem Flaisance.

Wypadek na Metairie wyprowadził mnie z równowagi, a perspektywa spotkania z Joe Bonesem nie była zbyt zachęcająca. Czułem się też winny tego, co spotkało Rachel, tego, że ją w to wciągnąłem i zmusiłem do niektórych rzeczy. Musiałem wyjechać z miasta, choćby na kilka godzin. Odetchnąć i popatrzeć na wszystko pod innym kątem. Zjadłem talerz pikantnej zupy jarzynowej z ryżem na St Peter i wyjechałem z miasta.

Morphy mieszkał jakieś sześć kilometrów od Cecilia, trochę na północny zachód od Lafayette. Kupił tam, a teraz remontował, stojący nad małą rzeką dom, skromniejszą wersję typowych dla Luizjany rezydencji, które budowano pod koniec dziewiętnastego wieku, poddając się mieszance wpływów architektury francuskich kolonii, Indii Zachodnich i Europy.

279

Sam budynek stanowił dość dziwny widok. Główne pomieszczenia mieszkalne znajdowały się nad suteroną, którą i tak ulokowano nad powierzchnią gruntu, by mogła służyć jako składy i zabezpieczenie przed po-wodzią. Ta część domu była zbudowana z cegły, a Morphy ozdobił łukowate wejścia czymś, co wyglądało jak ręcznie rzeźbione ramy. Ściany zewnętrzne części

mieszkalnej, zwykle oszalowane albo otynkowane, pokrywały drewniane klepki. Dwuspadowy dach, częściowo pozbawiony dachówek, rozciągał się aż nad galerią.

Zadzwońnię wcześniej i powiedziałem Angie, że jadę. Morphy dopiero co wrócił do domu, kiedy dotarłem. Znalazłem go na podwórzu na tyłach, mocującego się w wieczornym powietrzu ze sztangą.

— Co sądzisz o domu? — zapytał, kiedy podszedłem, nawet na moment nie gubiąc rytmu powtórzeń.

— Jest świetny. Ale chyba wymaga jeszcze trochę pracy.

Ze stęknieniem uniósł sztangę po raz ostatni i pomogłem mu umieścić ją na stojaku. Wstał, przeciągnął się i popatrzył na budynek z nieukrywany zachwytem.

— Zbudował go jakiś Francuz w tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym. Wiedział, co robi. Dom stoi na osi wschód-zachód, frontem na południe. — Kiedy mówił, wskazywał kierunki. — Zaprojektował go po europejsku, żeby zimą słońce oświetlało budynek. Latem miało dochodzić tylko rano i wieczorem. Mało domów w Ameryce jest tak zbudowanych, ludzie stawiają je jak popadnie, rzucają kijem i patrzą, gdzie wyląduje. Rozpuściła nas tania energia. Potem przyszli Arabowie, podnieśli ceny i znów trzeba było myśleć, jak najlepiej ustawić dom. — Uśmiechnął się. — Chociaż nie wiem, po co te kombinacje. Tu pieprzone słońce i tak świeci przez cały czas. Kiedy wziął prysznic, usiedliśmy przy stole w kuchni i rozmawialiśmy, podczas gdy Angie gotowała. Była prawie o trzydzieści centymetrów niższa od męża, szczupła, miała ciemną karnację i kasztanowe, spływające po plecach włosy. Pracowała w szkole podstawowej, a w wolnym czasie trochę malowała. Ściany domu zdobiły jej płótna, ciemne, impresjonistyczne krajobrazy przedstawiające wodę i niebo.

Morphy wypił butelkę piwa, ja wodę sodową, a Angie opróżniła kieliszek białego wina.

Podzieliła cztery piersi z kurczęcia na jakieś szesnaście kawałków, odłożyła je na bok i zabrała się do przygotowywania zasmażki-

Cajuńską zupę jarzynową gotuje się na zasmażce. Angie naląła na żelazną patelnię nieco oleju arachidowego i postawiła ją na dużym ogniu, dodała mąki i wszystko to ubijała trzepaczką, by się nie przypaliło. Zasmażka stopniowo zmieniała kolor ze słomkowego najpierw na beżowy, potem

280
mahoniowy, aż w końcu stała się ciemnoczekoladowa. Angie zdjęła wtedy patelnię z ognia i nadal trzepiąc, czekała, aż ostygnie.

Pomogłem jej pokroić cebulę, zieloną paprykę i seler i patrzyłem, jak przysmaża je na oleju. Przyprawiła to wszystkim tymiankiem i oregano, papryką i pieprzem cayenne, cebulową i czosnkową solą, po czym wrzuciła wszystko do garnka razem z grubo pokrojoną, ostrą, wieprzową kielbasą. Dodała do tego kurczaka, jeszcze trochę przypraw, aż kuchnia wypełniła się niezwykłym zapachem. Po trzydziestu minutach nałożyła na talerze biały ryż i połała go gęstą zupą. Jedliśmy w milczeniu, delectując się niebiańskim smakiem.

Kiedy naczynia były już pozmywane i wytarte, Angie poszła spać. Usiedliśmy z Morphem w kuchni i opowiedziałem mu o Raymondzie Agu-illardzie i o postaci dziewczyny, którą podobno widział na Honey Island. Opowiedziałem mu o snach Tante Marie i moim przeczuciu, że śmierć Da-vida Fontenota może mieć jakiś związek z tą dziewczyną.

Morphy przez dłuższy czas się nie odzywał. Nie zadrwił z wizji duchów ani ze starej kobiety, która wierzyła, że głosy, które słyszała, były prawdziwe. Zapytał tylko:

— Wiesz na pewno, gdzie to jest? Przytaknąłem.

— No to spróbujemy. Mam jutro wolne, więc lepiej przenocuj tutaj. Mamy dodatkowy pokój. Zadzwońnię do Rachel i powiedziałem jej, co zamierzaliśmy nazajutrz i w którym miejscu Honey Island mogliśmy się znaleźć. Odrzekła, że zawiadomi Angela i Louisa i że kiedy się

przespała, poczuła się nieco lepiej. Zdawałem sobie sprawę, że minie jeszcze dużo czasu, zanim dojdzie do siebie po śmierci człowieka Joego Bonesa.

Był wczesny ranek, ledwie za dziesięć siódma, a my już gotowi byliśmy do wyjścia. Morphy założył ciężkie buty o stalowych nosach, stare dżinsy i trykotową kamizelkę na bluzę z długimi rękawami. Kamizelka była poplamiona farbą, a dżinsy smołą. Świeżo ogolił głowę i pachniał kremem.

Kiedy piliśmy kawę i jedliśmy tosty na tarasie, przyszła ubrana w biały szlafrok Angie, pogłaskała męża po łysinie i z uśmiechem usiadła obok niego. Morphy udawał, że się złości, ale tak naprawdę to świata poza nią nie widział. Kiedy wychodziliśmy, pocałował ją namiętnie, wsuwając palce prawej dłoni w jej włosy. Instynktownie uniosła się z krzesła, lecz on odsunął ją ze śmiechem, a ona się zaczerwieniła. Dopiero wtedy zauważyłem zaokrąglony brzuch: była najwyżej w piątym miesiącu. Kiedy przechodzi-

281

liśmy przez trawnik przed domem, stała na tarasie i patrzyła na ruszającego do pracy męża.

— Długo już jesteście małżeństwem? — zapytałem, kiedy zbliżaliśmy się do szpaleru cyprysów, które osłaniały dom od strony drogi.

— W styczniu miną dwa lata. Jestem szczęśliwym człowiekiem. Nigdy nie myślałem, że kiedyś tak będzie, ale ta dziewczyna zmieniła moje życie.

Mówił bez wstydu i przyznawał się do tego z uśmiechem.

— Kiedy rozwiązanie? Znowu uśmiech.

— W drugiej połowie grudnia. Chłopaki wyprawili mi przyjęcie, kiedy się o tym dowiedzieli, żeby uczcić fakt, że jeszcze nie strzelam ślepakami!

Na drodze stała zdezelowana ciężarówka z przyczepą, na której leżała szeroka, płaskodenna, aluminiowa łódź przykryta brezentem; jej silnik przechylił się tak, że spoczywał na dnie.

— Brat Touissanta zostawił to tutaj wczoraj wieczorem — wyjaśnił Morphy. — Dorabia trochę holowaniem.

— A gdzie Touissant?

— W łóżku, struł się. Zjadł nieświeże krewetki, tak w każdym razie twierdzi. Osobiście uważam, że nie chciało mu się rano zwlec z wyra.

Z tyłu ciężarówki pod kawałkiem brezentu leżała siekiera, piła motorowa, dwa łańcuchy, mocna, nylonowa lina i turystyczna lodówka. Był też kombinezon i maska płetwonurka, dwie wodoszczelne latarki i dwie butle tlenowe. Morphy dorzucił termos kawy, trochę wody mineralnej, dwie bagietki i cztery piersi kurczaka w przyprawach, wszystko to w wodoszczelnej torbie, po czym usiadł za kierownicą i zapuścił silnik. Z rury wydechowej buchnął dym i wóz zawarczał głośno, ale silnik chodził dobrze. Zająłem miejsce obok niego i ruszyliśmy w kierunku Honey Island z kasetą Cliftona Cheniera w sfatygowanym magnetofonie.

Wjechaliśmy do rezerwatu z Slidell, zbiorowiska centrów handlowych, barów szybkiej obsługi i chińskich bufetów na północnym brzegu jeziora Pontchartrain, miejsciny nazwanej na cześć senatora demokratów Johna Slidella. Podczas wyborów w tysiąc osiemset czterdziestym czwartym Slidell dwoma parowcami przywiózł do Plaquemines irlandzkich i niemieckich wyborców z Nowego Orleanu. Nie było w tym nic nielegalnego; niezgodne z prawem było tylko to, że pozwolił im głosować we wszystkich lokalach wyborczych po drodze.

Nad wodą i drzewami unosiła się jeszcze mgła, kiedy nasza łódź zakołysała się na rzece Pearl, obok zaniedbanych rybackich chat na palach stojących w wodzie nieopodal brzegu.

Załadowaliśmy łańcuchy, linę, piłę,

282

sprzęt do nurkowania i jedzenie. Wschodzące słońce w gałęziach jednego z drzew uchwyciło nici

ogromnej sieci, pośrodku której nieruchomo siedział pająk złocisty. Wreszcie z szumem silnika mieszającym się z odgłosami ptaków i owadów ruszyliśmy w dół Pearl.

Wzdłuż brzegów rzeki rosły wysokie błotnie, brzozy, wierzby i cyprysy, których pnie oplecione były kwitnącymi na czerwono pnączami. Tu i ówdzie drzewa oznaczono plastikowymi butelkami w miejscach, gdzie zostały zarzucone wędkę na zębaczę. Minęliśmy osiedle przybrzeżnych domków, przeważnie mocno nadwerężonych; przed wieloma z nich przycumowane były czółna. Z gałęzi cyprysu przyglądała nam się czapla błękitna, na kłodzie poniżej wygrzewał się w słońcu żółw.

Miałem przy sobie mapkę Raymonda Aguillarda, ale i tak dopiero za trzecim razem znaleźliśmy kanał traperów, który mi zaznaczył. Na jego początku wznosiły się błotnie z naroślami jak kwiatowe kielichy, a samotny, zielony jesion przechylał się aż na drugi brzeg. Jeszcze dalej gałęzie ciężkie od opląty brodaczkowatej sięgały prawie powierzchni wody, a powietrze gęste było od woni roślinności i zgnilizny. Zniekształcone i otoczone rzęsą pnie drzew stały w porannym słońcu niczym pomniki. Na wschodzie widać było szarą kopułę żeremi bobra, w pewnej chwili tuż obok nas do wody wpłynął wąż.

— Grzechotnik diamentowy — zauważył Morphy.

Z drzew wokół nas kapiała woda i słychać było krzyki ptaków.

— Nie spotkamy tu jakiegoś aligatora? — zapytałem. Wzruszył ramionami.

— Może. Ale one raczej nie zaczepiają ludzi, chyba że same zostaną zaczepione. Mają tu sporo łatwych kąsków, podobno atakują psy kręcące się zbyt blisko brzegów. Jak zobaczysz jakiegoś, gdy będę pod wodą, strzel raz w powietrze, żebym wiedział, co się dzieje.

Rzeka zaczęła się zwężać, aż w końcu zrobiła się tak ciasna, że łódź ledwo się mieściła.

Poczułem, jak dno zaszurało o pień leżącego pod wodą drzewa. Morphy zgasił silnik i za pomocą własnych rąk i pary drewnianych wiosł przepchnęliśmy się dalej.

W tym momencie wydawało się, że odczytując mapę, gdzieś popełniliśmy błąd, bo przed nami wyrosła ściana dzikiego ryżu o długich, zielonych łodygach sterczących jak brzytwy nad powierzchnią wody. Widać było tylko wąski przesmyk, przez który mogłoby przejść najwyżej dziecko. Morphy wzruszył ramionami i ponownie włączył silnik, kierując się ku niemu. Gdy się zbliżyliśmy, wiosłem zacząłem odsuwać łodygi ryżu. Coś przy nas plusnęło i ciemny kształt jak wielki szczur zniknął w wodzie.

— Nutria — zauważył Morphy.

283

Widziałem teraz duży nos i wąsy gryzonia, kiedy zatrzymał się przy pnii i węszył zaciekawiony.

— W smaku gorsze od aligatorów. Podobno próbujemy sprzedać ich mięso Chińczykom, bo nikt inny nie chce tego jeść.

Teraz wśród ryżu pojawiła się trawa o ostrych brzegach, która cięła moje ręce, gdy machałem wiosłem, aż nagle łódź się uwolniła i znaleźliśmy się na czymś w rodzaju laguny utworzonej przez stopniowe nagromadzenie mułu; na brzegach rosły głównie błotnie i wierzby, których gałęzie sięgały wody. Na brzegu wschodnim znajdował się niemal stały grunt, na którym rosły maranty, a w błocie widać było ślady dzikich świni zwabionych tu możliwością skosztowania ich bulwiastych kłączy. Dalej zobaczyłem zardzewiałe pozostałości pogłębiarki, która kiedyś zapewne służyła przy budowie tego kanału. Została pozbawiona swojego wielkiego silnika, a w kadłubie ziały dziury.

Przywiązaliśmy naszą łódź do samotnego, czerwonego klonu bagiennego — nieomal cały pokryty był suchymi paprociami czekającymi na deszcz, który przywróci je do życia. Morphy rozebrał się do pary kolarskich spodenek, natłuścił ciało i założył strój nurka i płetwy, po czym sprawdził butlę.

— Woda w tych okolicach ma przeważnie nie więcej niż trzy, cztery metry głębokości, ale to miejsce jest inne — stwierdził. — Widać po sposobie, w jaki światło odbija się od powierzchni. Tu może być ze sześć metrów albo i więcej.

Na powierzchni pływały liście, patyki i kłody drewna, a nad nią unosiły się owady. Woda była zielona i ponura.

Morphy zmoczył maskę i zwrócił się do mnie:

— Nigdy nie myślałem, że w wolny od pracy dzień będę szukał bagiennych duchów.

— Raymond Aguillard twierdzi, że ją tu widział — odrzekłem. — Da-vid Fontenot zginął w górnym biegu rzeki. Coś w tym musi być. Wiesz, czego szukać?

Kiwnął głową.

— Prawdopodobnie jakiegoś pojemnika, ciężkiego i zamkniętego.

Włączył latarkę, założył maskę i zaczął wdychać tlen z butli. Przymocowałem jeden koniec liny do jego paska, a drugi do pnia klonu, szarpnąłem dla pewności i poklepałem Morphy'ego po plecach. Uniósł kciuk i wszedł do wody. Dwa metry od brzegu zanurkował, a ja zacząłem popuszczać linę.

Nie miałem doświadczenia w nurkowaniu, kiedyś tylko wziąłem kilka lekcji, gdy byliśmy z Susan na Florydzie. Nie zazdrościłem mu pływania

284

w tym bagnie. Jako nastolatek wybrałem się kiedyś latem z kumplami wykapać się w rzece Stroudwater niedaleko Portland. Pływały tam długie, wąskie ryby, przypominające ohydne pradawne stwory. Kiedy otarły się

o gołe nogi, przypominały się historie opowiadające o tym, jak to bestie owe gryzą małe dzieci albo ciągną na dno pływające psy.

Wody Honey Island to był w porównaniu z tamtą rzeką inny świat. Ze swoimi śliskimi węzami, aligatorami i drapieżnymi żółwiami amerykańskimi miejsce to wydawało się o wiele bardziej dzikie. Na dodatek tu też pływały tamte paskudne stwory, a do tego jeszcze okonie i wiele innych drapieżników.

Pomyślałem o tym wszystkim, kiedy Morphy zniknął pod wodą, ale przyszła mi też na myśl młoda dziewczyna, która być może została tu utopiona, gdzie nieznanne jej stworzenia ocierały się o jej grób, a inne szukały wyżartych rdzą dziur, przez które mogłyby się dostać do gnijącego mięsa.

Morphy wynurzył się po pięciu minutach, wskazał krótki brzeg na północnym wschodzie i pokręcił głową. Potem znowu zniknął pod wodą, a lina podążyła za nim na południe. Po kolejnych pięciu minutach zaczęła przesuwać się szybciej. Morphy wynurzył się znowu, tym razem dalej od miejsca, gdzie wskoczył. Podpłynął do brzegu, zdjął maskę, odłączył butlę i z trudem łapiąc powietrze, wskazał w kierunku południowej strony bagna.

— Są dwa metalowe pojemniki, może metr dwadzieścia długie, sześćdziesiąt centymetrów szerokie i dwadzieścia pięć głębokie, tam, na dole — wyrzucił z siebie w końcu. — Jeden jest pusty, drugi zamknięty i zaśrubowany. Dwieście metrów dalej znalazłem beczki po ropie z czerwonymi liliami burbońskimi. Należą do starego przedsiębiorstwa chemicznego, które kiedyś istniało w Baton Rouge, aż wielki pożar w osiemdziesiątym dziewiątym doprowadził je do upadku. To wszystko. Nic więcej tam nie ma.

Spojrzałem w kierunku brzegu, gdzie pod wodą rysowały się grube korzenie.

— Czy można wyciągnąć ten pojemnik za pomocą liny?

— Może i tak, ale jest ciężki i jeśli się otworzy podczas wciągania tutaj, zniszczmy wszystko, co jest w środku. Trzeba zaprowadzić tam łódź i wtedy dopiero wyciągnąć.

Było mi coraz cieplej, mimo cienia rzucanego przez drzewa na brzegu. Morphy wyjął dwie

butelki niegazowanej wody mineralnej z lodówki i piliśmy ją, siedząc na brzegu. Potem wsiedliśmy z powrotem do łodzi i podплыliśmy na miejsce, które wcześniej oznaczył. Pojemnik utknął dwa razy gdzieś na dnie, kiedy próbowałem go wciągnąć, i musiałem czekać na sygnał z dołu, by podjąć kolejną próbę. W końcu

285
cu z wody wynurzyła się metalowa, szara skrzynka, Morphy pchnął ją od spodu i wrócił na dół, by do jednej z beczek przywiązać linę na wypadek gdybyśmy musieli ich potem poszukać. Skierowałem łódź z powrotem w stronę lądu i wyciągnąłem pojemnik na brzeg. Łańcuch i kłódka były stare i zardzewiałe, pewnie zbyt stare, by móc strzec tego, czego szukaliśmy. Wziąłem siekiere i uderzyłem w kłód-1 kę. Puściła w chwili, gdy Morphy wychodził na brzeg. Ukłął przy mnie z butlami na plecach i maską zsunętą na czoło. Spróbowałem otworzyć pokrywę, ale coś się zaklinowało. Końcem siekiery uderzyłem kilka razy wzdłuż krawędzi i wreszcie ją uniosłem. W środku znajdowały się ładowane od tyłu strzelby springfield kali-j ber .50 i kości małego zwierzęcia, chyba psa. Kolby były zniszczone, ale na metalowych płytkach nadal widać było jakieś litery.

— Skradzione strzelby — stwierdził Morphy, wyjmując jedną i przy-1 gładając się jej z bliska. — Chyba z tysiąc osiemset siedemdziesiątego al-f bo osiemdziesiątego, mniej więcej. Władze pewnie wydały obwieszczenie dotyczące kradzieży broni i złodziej schował to tutaj, planując powrócić. • Palcem dotknął czaszki psa. — Te kości pewnie też coś znaczą. Szkoda,; nikt nie widział tu psa Baskervillów, bo wyjaśniłaby się wtedy tajemnica tego znaleziska. Spojrzał najpierw na broń, a potem w stronę zatopionych beczek. Wes-1 tchnął i znów popłynął w zaznaczone miejsce.

Wydobywanie baryłek było mozolną pracą. Kiedy wyciągaliśmy pierwszą, trzy razy zsunął się łańcuch. Morphy wrócił po drugi i okręcił ją jak paczkę. O mało co nie wyrzuciłem łodzi do góry dnem, próbując otworzyć na niej pierwszą, brązową od rdzy beczkę, więc musieliśmy wyciągnąć ją na suchy ląd. Kiedy została w końcu otwarta, w środku znaleźliśmy tylko starą miskę olejową. Każda z beczek miała otwór, przez który wlewana była ropa, ale można też było otworzyć całą pokrywę. W drugiej znaleźliśmy tylko kamienie, które utrzymywały ją na dnie. Morphy był już wykończony. Zrobiliśmy sobie przerwę na posiłek, zjedliśmy kurczaka z bułką i napiliśmy się kawy. Minęło już południe i upał na bagnach był wycieńczający. Kiedy nieco odpoczęliśmy, zaproponowałem, że może teraz ja zejść pod wodę. Morphy nie protestował, więc oddałem mu swoją kaburę i nałożyłem strój nurka i butlę tlenową.

Woda była zaskakująco zimna. Aż dech mi zapało, kiedy sięgnęła mojej piersi. Czułem ciężar łańcuchów spoczywających mi na ramionach, kiedy dy szedłem wzdłuż sznura. Gdy dotarłem do miejsca, gdzie lina zanurzała się pionowo w wodę, włączyłem latarkę i zanurkowałem.

286

Nie spodziewałem się, że woda będzie aż tak głęboka i ciemna. Rzesa na powierzchni nie przepuszczała światła słonecznego. Kątem oka widziałem kręcące się ryby. Pięć pozostałych jeszcze beczek tworzyło stos wokół zanurzonego pnia jakiegoś starego drzewa, którego korzenie sięgały daleko w głąb dna bagna. Każda łódź cumująca na brzegu omijała drzewo, co oznaczało, że beczkom nic nie groziło. Woda wokół pnia była jeszcze ciemniejsza, więc jeżeli ktoś nurkował bez latarki, nie mógł ich zobaczyć.

Okręciłem beczkę na samej górze stosu łańcuchami i targnąłem, by zbadać jej ciężar. Stoczyła się w dół, wyszarpując mi linę z ręki. Woda zmętniała, brud i roślinność przysłoniły mi widoczność, a w końcu zrobiło się całkiem czarno, gdy z beczki zaczęła wyciekać ropa. Wybiłem się w górę, by przepłynąć w obszar czystszej wody, kiedy nagle gdzieś nade mną usłyszałem głuchy, odbijający się echem strzał. Przez moment myślałem, że coś się stało Morphy'emu, lecz

przypomniałem sobie, co miał taki strzał oznaczać, i zdałem sobie sprawę, że to nie on ma kłopoty, ale ja.

Byłem już blisko powierzchni, gdy zobaczyłem aligatora. Był mały, miał może metr osiemdziesiąt długości, ale w świetle latarki ujrzałem dwa rzędy groźnych zębów i jasne podbrzusze. Mętna woda i ropa zdezorientowały go tak samo jak mnie i zdawał się kierować w stronę światła mojej latarki. Zgasilem ją i natychmiast straciłem go z oczu, ostatni raz wybijając się ku górze.

Gdy znalazłem się na powierzchni, lina unosiła się jakieś pięć metrów ode mnie, tuż bok kołysała się łódź.

— Płyn do mnie! — krzyknął Morphy. — Tam nigdzie nie wyjdiesz. Chlapiąc mocno, płynąłem do niego, świadomy krążącego w pobliżu

gada. Dostrzegłem go na powierzchni, może sześć metrów w lewo ode mnie. Widziałem wyrostki na grzbiecie i patrzące na mnie wygłodniałe oczy. Obróciłem się na plecy, by mieć go na widoku, i płynąłem, czasami podciągając się na linie.

Dzieliło mnie od łodzi może z półtora metra, kiedy aligator ruszył w moim kierunku. Wypłułem ustnik przewodów tlenowych.

— Strzelaj, do cholery! — krzyknąłem.

Usłyszałem huk, woda się spieniła raz, potem drugi. Stwór zatrzymał się, a po mojej prawej stronie spadł deszcz czegoś biało-różowego; aligator ruszył w tamtym kierunku. Ledwie do tego dotarł, a już kolejna partia poczęstunku spadła jeszcze bardziej na prawo, zaś moje plecy uderzyły o łódź i Morphy pomógł mi się wciągnąć. Ruszyliśmy do brzegu, a Morphy wrzucił do wody kolejną porcję słodkiej pianki. Gdy na niego spojrzałem, szczyrzył zęby i wkładał ostatnią sztukę do ust. Aligator też właśnie wyławiał z wody resztki.

287

— Przestraszył cię, co? — uśmiechnął się, kiedy zrzuciłem butle i położyłem się na dnie łodzi. Skinąłem głową i zdjąłem płetwę.

— Chyba będziesz musiał dać swój kombinezon do czyszczenia — zauważyłem.

Usiedliśmy na zwałonym drzewie i przez jakiś czas przyglądaliśmy się aligatorowi. Pływał w kółko, szukając słodyczy, aż postanowił zaczekać i zobaczyć co dalej, skutkiem czego leżał teraz do połowy zanurzony przy naszej linie. Popijaliśmy kawę i kończyliśmy kurczaka.

— Trzeba było go zastrzelić — powiedziałem.

— To jest rezerwat, a aligatory są prawnie chronione — odparł Morphy z rozdrażnieniem. — Po co byłoby tworzyć rezerwaty, gdyby ludzie mogli przychodzić tu i strzelać do zwierząt, kiedy najdzie ich na to ochota?

Dalej piliśmy kawę, aż w pewnej chwili usłyszałem przedzierającą się przez ryż i trawę łódź.

— Cholera — zabrzmiał znajomy brookliński akcent, kiedy dziób jednostki pływającej wynurzył się z roślinności. — Prędzej przedarłbym się przez dżunglę amazońską.

Najpierw wyłonił się Angel, za nim, przy sterze, stał Louis. Podpłynęli spokojnie do nas i przycumowali pod klonem. Angel wskoczył do wody, a potem podążył za naszym wzrokiem w stronę aligatora. Dostrzegł w połowie zanurzonego gada i rzucił się do brzegu, wysoko unosząc kolana i energicznie machając rękami.

— Kurde, co to jest? Park jurajski? — zawołał.

Zwrócił się do Louisa, który najpierw przeskoczył z ich łodzi na naszą, a potem na brzeg:

— Ej, nie powiedziałeś swojemu kochasiowi, że nie należy pływać w nieznanach bajorach! Angel ubrany był w stare džinsy, zniszczone adidas, džinsową kurtkę i koszulkę z napisem „Umrzyj, nim utracisz zmysły”. Louis miał na sobie czarne lewisy, białą koszulę bez kołnierzyka z kolekcji Liz Claiborne i buty ze skóry krokodyla.

— Wpadliśmy zobaczyć, jak się macie — powiedział Angel, rzucając niespokojne spojrzenia w stronę aligatora, kiedy już przedstawiłem go Morphy'emu.

Podał nam papierową torbę z pączkami.

— Nasz przyjaciel się zdenerwuje, kiedy zobaczy, że masz na sobie skórę jego krewniaka, Louis — zauważyłem.

Louis pociągnął nosem i podszedł do brzegu.

288

— Macie jakiś problem? — zapytał w końcu.

— Nurkowaliśmy, kiedy pojawił się Wally Gator i musieliśmy zrezygnować — wyjaśniłem.

Znowu pociągnął nosem. — Hmm — mruknął.

Nagle wyciągnął swojego SIGa i odstrzelił aligatorowi koniec ogona. Gad rzucił się z bólu, a woda dookoła zrobiła się jasnoczerwona; zwierzę okręciło się i odpłynęło, ciągnąc za sobą czerwoną smugę.

— Lepiej mogłem go zabić — powiedział.

— Nie zaczynajmy tego tematu — uciałem. — Zakasujcie rękawy, panowie, będziemy potrzebować pomocy.

Nadal miałem na sobie kombinezon, więc zaproponowałem, że zejść pod wodę.

— Chcesz mi udowodnić, że nie jesteś tchórzem? — uśmiechnął się szeroko Morphy.

— Nie — odparłem, kiedy odwiązaliśmy łódź. — Chcę to udowodnić sobie.

Podpłynęliśmy przy pomocy wiosł do liny i zszedłem pod wodę z hakiem i łańcuchami, zostawiając Angela z Morphem i jego bronią, na wypadek, gdyby znów pojawił się aligator.

Louis został na drugiej łodzi. Na powierzchni unosiła się gruba, czarna warstwa ropy, sięgająca daleko w głąb. Beczki leżały rozrzucone po tym, jak sztuka znajdująca się najwyżej stoczyła się na dół. Świecąc latarką, sprawdziłem tę, która przeciekała, ale nie było w niej nic, z wyjątkiem resztek oleistej substancji.

To była ciężka praca, opasywanie beczek łańcuchem i wciąganie na górę, jednak mając dwie łodzie, mogliśmy transportować do brzegu po dwie baryłki na raz. Pewnie istniał jakiś łatwiejszy sposób, ale na niego nie wpadliśmy.

Słońce było już nisko i wody kąpały się w złotym świetle, gdy ją znaleźliśmy.

Teraz wydaje mi się, że kiedy po raz pierwszy dotknąłem tej beczki, by założyć łańcuch, coś mnie przeszyło i zacisnęło się w środku jak pięść. Jakieś ostrze mignęło mi przed oczami i na ułamek sekundy wodę zabarwi-

289

ła fontanna krwi — a może to tylko promień zachodzącego słońca odbił się w mojej masce? Na chwilę zamknąłem oczy i poczułem wokół siebie ruch nie wody czy ryb, ale innego pływaka, który kręcił się wokół mego ciała. Wydawało mi się, że mój policzek musnęły włosy, ale gdy wyciągnąłem rękę, pochwyliłem tylko garść bagiennych roślin.

Ta beczka ważyła więcej od reszty, obciążona, jak się potem okazało pociętymi na równe połówki cegłami. Morphy i Angel musieli połączyć siły, by ją wyciągnąć.

— To ona — powiedziałem Morphy'emu. — Znaleźliśmy ją.

Zanurkowałem z powrotem i kierowałem beczką wolno wśród kamieni i pni drzew, kiedy ją wyciągaliśmy. Wszyscy zdawali się obchodzić z nią delikatniej niż z innymi, jakby dziewczyna spała, a my nie chcieliśmy jej zbudzić, jakby złożona tam została zaledwie wczoraj, a nie gnęła od nie wiadomo jak dawna. Już na brzegu Angel wziął łom i ostrożnie próbował usunąć pokrywę, ale nie dał rady. Przyjrzał się jej dokładnie.

— Przypawana — stwierdził. Podrapał powierzchnię końcem łomu i przypatrzył się zarysowaniu. — Cała beczka jest czymś pokryta. Dlatego jest w lepszym stanie niż inne.

Miał rację. Baryłka prawie nie zardzewiała i farba na niej wyglądała tak, jakby dopiero co ją położono.

Pomyślałem przez chwilę. Mogliśmy ją przeciąć piłą, ale jeżeli w środku rzeczywiście była dziewczyna, to zniszczylibyśmy jej szczątki. Mogliśmy też zawiadomić nowoorleańską policję, a nawet federalnych. Zaproponowałem to raczej z obowiązku niż z przekonania, ale nawet Morphy odrzucił tę ewentualność. Pewnie chciał uniknąć wstydu, gdyby okazało się, że beczka jest pusta, lecz gdy spojrzałem mu w oczy, zrozumiałem, że nie o to chodzi. Chciał, byśmy sami zabrnęli z tym najdalej, jak się dało.

W końcu zbadaliśmy bekę, opukując ją siekierą. Po dźwięku staraliśmy się ustalić, gdzie można ciąć. Morphy delikatnie zrobił szczelinę tuż przy brzegu pokrywy, po czym, posługując się piłą i łomem, nacięliśmy baryłkę mniej więcej do połowy jej obwodu, odgięliśmy klapę łomem i latarką zaświeciliśmy do środka.

Ze zwłok zostały tylko kości i strzępy tkaniny, skóra i ciało uległy zupełnemu rozkładowi. Wrzucono ją głową w dół, a nogi połamano, by zmieściła się w beczce. Gdy promień latarki padł głębiej, na samym dnie zauważyłem odsłonięte zęby i kosmyki włosów. Staliśmy przy niej w milczeniu, otoczeni pluskiem wody i odgłosami bagna.

Do Flaisance wróciłem bardzo późno. Kiedy czekaliśmy na policję i strażników leśnych ze Slidell, Angel i Louis, za zgodą Morphy'ego, zmyli się. Ja

290

zostałem, by złożyć oświadczenie i potwierdzić wersję wydarzeń Morphy'ego. Idąc za jego radą, miejscowi policjanci zawiadomili FBI. Nie czekałem już na nich. Gdyby Woolrich chciał ze mną porozmawiać, to wiedział gdzie mnie szukać.

przechodząc obok pokoju Rachel, zauważyłem, że pali się u niej światło, więc zapukałem.

Powitała mnie w różowej koszuli nocnej Galvina Klejna, która kończyła się w połowie uda.

— Angel opowiedział mi o wszystkim — rzekła, otwierając szerzej drzwi, bym mógł wejść. —

Biedna dziewczyna.

Przytuliła mnie, a potem puściła wodę, żebym mógł wziąć prysznic. Stałem tam przez dłuższy czas, opierając ręce na kafelkach, pozwalając, by woda spływała po mojej głowie i plecach.

Kiedy się wytarłem, zawiązałem ręcznik wokół pasa i zastałem ją siedzącą na łóżku, przeglądającą papiery. Uniosła brwi.

— Cóż za skromność — zauważyła z lekkim uśmiechem. Usiadłem na brzegu łóżka, a ona objęła mnie od tyłu. Poczulem jej policzek i ciepły oddech na moich plecach.

— Jak się czujesz? — zapytałem. Ścisnęła mnie mocniej.

— Chyba dobrze.

Obróciła mnie przodem do siebie. Uklękła przede mną na łóżku, obie dłonie złożyła między nogami i przygryzła wargę. Nagle wyciągnęła rękę i delikatnie, prawie nieśmiało, wsunęła ją w moje włosy.

— Wydawało mi się, że wy, psychologowie, jesteście dobrzy w te klocki — powiedziałem.

Wzruszyła ramionami.

— Czuję się czasem tak samo zagubiona jak inni, tyle tylko że potrafię to zagubienie fachowo nazwać. — Westchnęła. — Posłuchaj, to, co stało się wczoraj... Ja cię nie chcę do niczego ponaglać. Wiem, jakie to wszystko jest dla ciebie trudne, z powodu Susan i...

Położyłem dłoń na jej policzku i delikatnie przeciągnąłem kciukiem po jej ustach. Potem ją pocałowałem i poczułem, jak rozchyła wargi. Chciałem ją tulić, kochać, odsunąć od siebie obraz tamtej martwej dziewczyny.

— Dziękuję — wymamrotałem z ustami wciąż na jej ustach — ale t wiem, co robię.

— Cóż — rzekła, układając się wolno na łóżku. — Dobrze, że chociaż jedno z nas to wie.

Następnego ranka szczątki dziewczyny leżały na metalowym stole; w narzuconej przez beczkę pozycji embrionalnej, robiła wrażenie, jakby miała

291

się bronić przed czymś przez całą wieczność. Zgodnie z instrukcjami FBI, została przewieziona do Nowego Orleanu, zważona i zmierzona, poddano ją prześwietleniu i zdjęto odciski palców. Pokrowiec, w którym transportowano ją z Honey Island, zbadano, poszukując szczątków, jakie mogły oddzielić się od zwłok w trakcie transportu.

Białe kafelki, lśniące, metalowe stoły, połyskujące przybory lekarskie i wiszące nad tym wszystkim lampy wydawały się zbyt surowe, zbyt bezlitosne poprzez swoją misję, by zbadać, by odkryć. Pokazanie jej tutaj, w sterylności pomieszczenia, tym wszystkim mężczyznom, było upokorzeniem wieńczącym tragedię jej ostatnich chwil. Część mnie zapragnęła okryć ją całunem i ostrożnie złożyć w ziemi, gdzieś obok płynącej wody, w cieniu zielonych drzew, gdzie nikt nie zakłóciłby już jej spokoju.

Ale rozsądek przypominał, że ona miała imię, że należała jej się tożsamość, która położyłaby kres anonimowości jej cierpienia i może zbliżyłaby nas do odkrycia, kim jest ten, który doprowadził ją do takiego stanu. Tak więc staliśmy z tyłu, gdy odziany w fartuch lekarz sądowy i jego asystenci podeszli ze swoimi taśmami i nożami, i białymi rękawiczkami.

Najbardziej charakterystyczną częścią szkieletu odróżniającą kośćce kobiety i mężczyzny jest miednica. Wycięcie kulszowe, usytuowane za kością miedniczną — która sama składa się ze stawu biodrowego, kości kul-szowej, biodrowej i łonowej — u kobiet jest szersze, kąt rozchylenia porównywalny jest z kątem, jaki tworzą kciuk i palec wskazujący. Także wychód miednicy jest u kobiety większy, ale panewki stawów biodrowych są mniejsze, a kość krzyżowa szersza.

Nawet czaszka żeńska różni się od czaszki mężczyzny, reprezentując w miniaturze różnice między obiema płciami. U kobiety jest ona gładka i krągła jak pierś, ale mniejsza od czaszki męskiej; czoło jest wyższe i bardziej wysklepione; oczodoły bardziej okrągłe, a ich krawędzie nie tak ostre; również szczęka, podniebienie i zęby są mniejsze.

Leżące przed nami szczątki jednoznacznie wskazywały, że mamy do czynienia ze szkieletem kobiety. Aby ustalić wiek w momencie śmierci, należało zbadać ośrodki skostnienia lub obszary formacji kości oraz zęby. Kość udowa kompletnie zrosła się w górnej części, za to obojczyk był tylko częściowo połączony z górnym odcinkiem mostka. Po obejrzeniu jeszcze linii zrostu na czaszce, lekarz ustalił jej wiek na dwadzieścia jeden lub dwa lata. Na czole, u podstawy szczęki i na lewej kości policzkowej znalazł nacięcia, które powstały, gdy morderca zdejmował twarz. Udokumentowano jej uzębienie — nazywa się to odontologią sądową — aby można było je porównać z kartami osób zaginionych, i pobrano próbki szpiku kostnego oraz włosów dla zbadania DNA. Razem z Woolri-

292

chem i Morphem patrzyliśmy potem, jak metalowy stół odjeżdża, a szczątki są przykrywane folią. Wymieniliśmy kilka słów i każdy z nas poszedł swoją drogą, ale szczerze mówiąc, nie mogę sobie przypomnieć, o czym mówiliśmy. Widziałem tylko tę dziewczynę. Słyszałem jedynie szum wody w uszach.

Gdyby okazało się, że ani profil DNA, ani karty stomatologiczne nie pomogą w ustaleniu jej tożsamości, Woolrich powiedział, że można by spróbować wykonać rekonstrukcję twarzy za pomocą promieni lasera odbitych od czaszki, które określiłyby kontury, a te wreszcie mogłyby być porównane ze znaną czaszką o podobnych wymiarach. Postanowił skontaktować się z Quantico, aby poczynili wstępne przygotowania, jak tylko się umyje i napije kawy.

Jednak rekonstrukcja twarzy okazała się niepotrzebna. Zidentyfikowanie ciała zabrało niecałe

dwie godziny. Chociaż leżała w mętnych wodach przez ponad pół roku, jej zaginięcie zgłoszono dopiero trzy miesiące temu.

Nazywała się Lutice Fontenot. Była przyrodną siostrą Lionela Fonte-nota.

Twierdza Fontenotów leżała osiem kilometrów na wschód od Delacroix. Dojeżdżało się tam prywatną drogą, dopiero co zbudowaną, która wiała się nasypem wśród bagien i spróchniałych drzew i dochodziła do miejsca zupełnie pozbawionego roślinności, wysypanego ciemną ziemią. Wysoki płot zwieńczony drutem kolczastym otaczał dwa albo trzy akry terenu, pośrodku którego stał niski, jednopiętrowy budynek w kształcie podkowy. Parkowały przed nim trzy czarne jeepy i kabriolet corniche. Nieco bardziej z tyłu wznosił się starszy dom, klasyczny parterowy, drewniany budynek mieszkalny z werandą i rzędem równolegle umieszczonych pokoi. Nie było nikogo widać, kiedy zajechaliśmy z Louistem pod bramę naszym wynajętym taurusem. Rachel drugim wynajętym wozem pojechała ze swoją ostatnią wizytą na Uniwersytet Loyoli.

— Może powinniśmy byli telefonicznie uprzedzić o naszej wizycie — stwierdziłem, patrząc na opustoszały teren.

293

Siedzący obok mnie Louis uniósł powoli ręce ku górze i brodą wskazał coś przed nami. Dwaj mężczyźni ubrani w dżinsy i wyblakłe koszule cel0 wali w nas z odbezpieczonych HK 53. W tylnym lusterku dostrzegłem je. szcze dwóch, a piątego, z siekierą u pasa, w prawym lusterku. To byli twardzi, nie dający się trudom życia faceci, niektórzy z nich o posiwiiałych już nieco brodach. Mieli błoto na butach i spracowane ręce o silnych, grubych palcach, gdzieniegdzie pokryte bliznami.

Obserwowałem, jak od strony głównego budynku zbliża się średniego wzrostu facet w dżinsowej koszuli i spodniach. Doszedł do bramy, ale jej nie otworzył, tylko stał i przyglądał nam się przez ogrodzenie. Musiał kiedyś ulec poparzeniu: skóra prawej strony twarzy pokryta była bliznami, oko niesprawne, a głowa łysa. Nad niewidzącym okiem mężczyzny wisiał płat skóry, a gdy się w końcu odezwał, okazało się, że porusza tylko lewą stroną ust.

— Czego tu chcecie? — zapytał z mocnym cajuńskim akcentem.

— Nazywam się Charlie Parker — oznajmiłem mu przez otwarte okno. — Chciałbym się widzieć z Lionelem Fontenotem.

— A kim on jest?

Mówiąc to, wskazał palcem na Louisa.

— To Count Basie — odparłem. — Reszta zespołu nie mogła przyjechać.

Na twarzy Przystojniaka nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

— Lionel nikogo nie przyjmuje. Zabierajcie stąd swoje tyłki albo pogadamy inaczej.

Odwrócił się i pomaszerował w stronę budynku.

— Hej — zawołałem za nim. — Rozliczyliście się już między sobą ze wszystkich trupów goryli Joego Bonesa po strzelaninie na Metairie?

Zatrzymał się i odwrócił.

— Coś ty powiedział? — Patrzył, jakbym właśnie obraził jego siostrę.

— Chyba było na Metairie dwóch nieboszczyków, do których żaden z was nie może się przyznać. Jeżeli jest za to jakaś kasa, to chciałbym ją dostać.

Przez chwilę zastanowił się nad tym, co powiedziałem, i odparł:

— Żartujesz sobie? To wcale nie jest śmieszne.

— Tak myślisz?

Mój głos zrobił się nieprzyjemny. Lewa powieka Cajuna zadrżała i nagle lufa jego HK53 znalazła się pięć centymetrów od mojego nosa. Po zapachu sądząc, był używany całkiem niedawno.

— A może to cię rozbawi: to ja wyciągnąłem Lutice Fontenot z Honey Island. Może powiesz to Lionelowi i zobaczysz, czy się uśmieje.

294

Nic nie odpowiedział, tylko sygnalizatorem na podczerwień bezszelestnie otworzył bramę.

— Wysiadać z wozu — rozkazał.

Kiedy wychodziliśmy z auta, dwaj faceci patrzyli nam na ręce i przez cały czas trzymali na muszce, a potem inni dwaj kazali oprzeć się o samochód i obmacali nas, szukając broni i podsłuchu. Oddali temu poparzonemu nóż i SIGa Louisa, oraz mojego S&W, przeszukali wnętrze samochodu, bagażnik, zajrzeli nawet pod maskę i pod silnik.

— Kurna, stary, jesteś jak z Korpusu Pokoju — wyszeptał Louis. — Gdzie byś nie pojechał, wszędzie zdobywasz przyjaciół.

— Dzięki — odparłem. —• Taki już mam dar.

Kiedy się wreszcie przekonali, że nic więcej nie znajdują, pozwolili nam wjechać wolno na teren posiadłości, z facetem od siekiery w charakterze naszego pasażera na tylnej kanapie. Dwóch innych szło obok samochodu. Zaparkowaliśmy przy kabriolecie i ochroniarze zaprowadzili nas do budynku.

Na werandzie czekał na nas Lionel Fontenot z filiżanką kawy w ręce. Ten z bliźniami podszedł i powiedział mi coś do ucha, ale Lionel przerwał mu uniesieniem dłoni i spojrzął na nas twardo. Poczulem kroplę, która spadła mi na czoło, a za chwilę staliśmy już w ulewie. Lionel przytrzymał nas na deszczu. Miałem na sobie błękitny lniany garnitur z kolekcji Liz Claiborne, białą koszulę i niebieski, jedwabny krawat. Zastanawiałem się, czy nie zacznie farbować. Lało jak z cebra i grunt wokół domu zaczynał się zmieniać w błoto, kiedy Lionel rozkazał swoim ludziom odejść, a sam usiadł na werandzie i skinieniem głowy polecił nam się zbliżyć. Zajęliśmy drewniane krzesła o plecionych siedziskach, podczas gdy Lionel usadowił się w fotelu z odchylanym oparciem. Poparzony stał za nami. Louis i ja przesunęliśmy się trochę w bok, żeby mieć go na oku.

Starsza czarnoskóra służąca, której twarz widziałem wśród żałobników na Metairie, pojawiła się, niosąc na ozdobnej, srebrnej tacy srebrny dzbanek z kawą, cukier i śmietankę oraz trzy porcelanowe filiżanki z podstawkami. Na brzegach filiżanek, obok których dokładnie pod uszkiem leżały ciężkie, srebrne łyżeczki z wygrawerowanym żaglowcem, szybowwały kolorowe ptaszki. Służąca postawiła tacę na małym, wiklinowym stoliku i odeszła.

Lionel miał*na sobie czarne bawełniane spodnie i białą koszulę bez kołnierzyka. Na oparciu fotela wisiała marynarka, która stanowiła komplet ze spodniami, a jego skórzane buty były świeżo wypastowane. Nachylił się nad stolikiem i nalał do filiżanek kawy, do jednej wsypał dwie łyżeczki cukru i bez słowa podał ją poparzonemu.

295

— Śmietanka i cukier? — zapytał, zwracając się do nas.

— Poproszę o czarną — odparłem.

— Ja również — powiedział Louis.

Wręczył nam obu po filiżance. Był bardzo uprzejmy. Nad nami deszcz bębnił o dach werandy.

— Powiecie mi, jak to się stało, że zaczęliście szukać mojej siostry? — zapytał w końcu Lionel. Wyglądał jak ktoś, kto widzi obcego faceta myjącego przednią szybę jego samochodu i waha się, czy dać mu za to parę groszy, czy zdzielić łyżką do opon. Kiedy pił z filiżanki, unosił do góry mały palec. Zauważyłem, że poparzony robi tak samo.

Powiedziałem Lionelowi co nieco z tego, co wtedy wiedziałem. Opowiedziałem mu o wizjach Tante Marie, o jej śmierci i o duchu dziewczyny na bagnach Honey Island.

— Wydaje mi się, że człowiek, który zabił pańską siostrę, zabił też Marie Aguiard i jej syna. Zamordował także moją żonę i córkę — wyjaśniłem. — To doprowadziło do wszczęcia

poszukiwać pańskiej siostry.

Nie powiedziałem, że jest mi przykro z powodu jego siostry. Chyba sam o tym wiedział. Jeżeli nie, to i tak nie było sensu tego mówić.

— Zabiłeś dwóch ludzi na Metairie?

— Jednego — poprawiłem go. — Drugiego zabił ktoś inny. Lionel zwrócił się do Louisa.

— Ty?

4 Louis nie odpowiedział.

I

— Ktoś inny — powtórzyłem.
rozłożył ręce.

I Lionel odstawił filiżankę i

— W takim razie po co tu przyjechaliście? Oczekujecie mojej wdzięczności? Jadę teraz do Nowego Orleanu po ciało mojej siostry. Nie jestem pewien, czy mam wam za coś dziękować. Odwrócił twarz. W jego oczach malował się ból, ale nie było łez. Lionel Fontenot wyglądał mi na człowieka, u którego nie wykształciły się kanaliki łzowe.

— Nie dlatego tu jestem — rzekłem spokojnie. — Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego zaginięcie Lutice zostało zgłoszone dopiero trzy miesiące temu. I chciałbym wiedzieć, co pański brat robił na Honey Island tej nocy, kiedy go zamordowano.

— Mój brat... — rzekł.

W jego głosie, niczym kolorowe ptaszki na filiżankach, ścigały się miłość, gniew i poczucie winy. Po chwili jednak jakby wziął się w garść. Przypuszczam, że chciał kazać mi iść do wszystkich diabłów i trzymać się z da-

296

lęka od spraw jego rodziny, jeśli zamierzałem pozostać przy życiu, jednak ja wytrzymałem jego spojrzenie i przez moment panowała cisza.

— Nie mam powodu wam ufać — odezwał się w końcu.

— Mogę odnaleźć tego, który to zrobił — oświadczyłem. Powiedziałem to niskim, pewnym głosem. Lionel przytaknął, bardziej sobie niż mnie, i jakby starał się podjąć decyzję.

— Moja siostra wyjechała na przełomie stycznia i lutego — zaczął. — Nie podobało jej się... — Lewą ręką wskazał na posiadłość. — ...to wszystko. Mieliśmy problemy z Bonesem, kilka osób ucierpiało. — Przerwał na chwilę, a kiedy podjął wątek, ostrożnie dobierał słowa. — Pewnego dnia zlikwidowała swoje konto bankowe, spakowała się i zostawiła kartkę z wiadomością. Nawet z nami nie porozmawiała. Zresztą David i tak nie pozwoliłby jej wyjechać. Próbowaliśmy ją namierzyć. Pytaliśmy jej przyjaciół w mieście, nawet znajomych w Seattle i na Florydzie. Zniknęła bez śladu. David naprawdę się martwił. Chociaż była naszą przyrodnią siostrą. Gdy umarła moja mama, ojciec ponownie się ożenił. Wtedy urodziła się Lutice. Kiedy ojciec i jej matka zginęli — to był osiemdziesiąty trzeci rok, mieli wypadek samochodowy — zaopiekowaliśmy się nią, zwłaszcza David. Byli sobie naprawdę bliscy. Kilka miesięcy temu zaczęła mu się śnić. Nie przyznał się od razu, ale schudł, zrobił się błady i nerwowy. Kiedy mi o tym powiedział, pomyślałem, że zwariował, i mu to powiedziałem, ale sny się powtarzały. Widział ją pod wodą i słyszał w nocy, jak jej głowa uderza o coś metalowego. Był pewien, że coś jej się stało. Ale co mogliśmy zrobić? Przeszukaliśmy pół Luizjany. Dorwaliśmy nawet kilku ludzi Bone-sa, chcieliśmy się przekonać, czy nie mogliby nam czegoś wyjaśnić. Nic nie znaleźliśmy. Przepadła jak kamień w wodę. W końcu David zgłosił jej zniknięcie i zaczęli się tu plątać gliniarze. Myślałem, że go wtedy zabiję, ale on się uparł. Twierdził, że Lutice coś się stało. Nie potrafił wtedy rozsądnie myśleć, więc wszystkim musiałem zająć się sam, a Joe Bones wisiał nade mną jak gilotyna, gotowa w każdej chwili spaść mi na szyję.

Spojrzał na poparzonego.

— Leon był z nim, kiedy zadzwonił telefon. Nie powiedział, gdzie go niesie, odjechał bez słowa tym swoim cholernym żółtym samochodem. Gdy Leon próbował go zatrzymać, wyciągnął broń. Popatrzyłem na Leona. Nawet jeżeli czuł się winny tego, co zaszło, to skrywał to bardzo głęboko.

— Nie domyśla się pan, kto to dzwonił? — zapytałem. Pokręcił głową.

Odstawiłem filiżankę. Kawa wystygła, a ja nawet jej nie spróbowałem.

— Kiedy zamierza pan dobrać się do Bonesa? — spytałem.

297

Lionel zamrugał, jakby właśnie dostał w twarz, a kątem oka dostrzegłem, że Leon zrobił krok do przodu.

— O czym ty, do cholery, mówisz?

— Szykuje się drugi pogrzeb w waszej rodzinie, jak tylko policja wyda ciało pańskiej siostry. Albo prawie nikt na niego nie przyjdzie, albo pełno tam będzie glin i mediów. Tak czy inaczej, sądzę, że wcześniej będzie pan próbował sprzątnąć Joego Bonesa, najlepiej w jego posiadłości w West Feliciano. Jest mu pan to winien za Davida, a poza tym Joe nie spocznie, dopóki nie zabije pana. Jeden z was na pewno będzie próbował to zakończyć.

Lionel spojrzał na Leona.

— Czyści są? Leon kiwnął głową.

Lionel nachylił się ku nam. W jego głosie brzmiała groźba: — Jaki to, kurwa, ma związek z wami?

Nie przejąłem się tym, choć przemoc malowała mu się na twarzy. Potrzebowałem go.

— Słyszał pan o śmierci Tony'ego Remarra? Przytaknął.

— Zginął, bo był w domu Aguillardów po zamordowaniu Tante Marie i jej syna — wyjaśniłem.

— Znalaziono jego odciski palców we krwi Marie, Joe dowiedział się o tym i kazał mu się ukryć. Ale morderca się o tym dowiedział, jeszcze nie wiem jak, i chyba wykorzystał pańskiego brata, by wywabić Remarra z kryjówki. Chcę się dowiedzieć, co Remarr powiedział Bonesowi.

Lionel zastanowił się nad tym, co usłyszał.

— A beze mnie wam się to nie uda. Usta Louisa drgnęły. Lionel to zauważył.

— To nie tak — zaprzeczyłem. — Ale skoro i tak się tam pan wybierze, to może pojechalibyśmy z panem.

— Jak ja się do niego wybiorę, to w całej tej jego pierdolonej rezydencji zapanuje martwa cisza, zanim wyjdę — powiedział cicho.

— Zrobi pan to, co będzie musiał — odparłem. — Aleja potrzebuję Bonesa żywego. Na chwilę. Wstał i zapiął górny guzik koszuli. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął szeroki krawat z czarnego jedwabiu i zaczął go zawiązywać, przezglądając się w oknie.

— Gdzie się zatrzymaliście? — zapytał.

"^ Powiedziałem mu i

podaliśmy Leonowi numer mojego telefonu.

— Będziemy w kontakcie — rzekł Lionel. — Może. Nie przyjeżdżajcie tu więcej.

298

I

Nasza rozmowa najwyraźniej dobiegła końca. Louis i ja byliśmy prawie przy samochodzie, kiedy Lionel znowu przemówił. Założył marynarkę, przypiął kołnierzyk i wygładził kłapy.

— Jeszcze jedna sprawa — powiedział. — Wiem, że gdy znaleźliście ciało Lutice, był z wami Morphy z St Martin. Macie przyjaciół wśród gliniarzy?

— Tak. Mam też znajomych wśród federalnych. Czy to stanowi jakiś problem?

Odwrócił się.

— Nie, dopóki sam się o to nie postarasz. A wtedy ty i twój kumpel skończycie jako posiłek dla

krabów.

Louis przerzucał stacje radiowe, dopóki nie znalazł takiej, która na okrągło grała utwory Dr Johna.

— To jest dopiero muzyka, co?

Jedna piosenka się skończyła i zaraz zaczęła się następna, a ochryply głos Johna wypełnił wnętrze samochodu. Louis znowu przestawił stację, tym razem jego wybór padł na country i rozgłośnię, która pod rząd nadała trzy utwory Gartha Brooksa.

— Do diabła z takim graniem — wymamrotał.

W końcu wyłączył radio i zaczął bębnić palcami w deskę rozdzielczą.

— Posłuchaj — odezwałem się — nie musisz ze mną jeździć, jeżeli nie masz ochoty. Sprawa może się skomplikować albo Woolrich i federalni zaczną ci uprzykrzać życie.

Angel powiedział mi kiedyś, że Louis „częściowo” wycofał się z interesu. Nie potrzebował już pieniędzy. Przysłówek „częściowo” oznaczał, że teraz, jeżeli coś robił, robił to z innych pobudek, choć nie byłem pewien z jakich.

Popatrzył przez okno, nie na mnie.

— Wiesz, dlaczego tu jesteśmy?

— Nie bardzo. Poprosiłem was, ale nie byłem pewien, czy przyjedziecie.

— Przyjechaliśmy, bo jesteśmy ci to winni, bo ty byś się nami zajął, gdybyśmy tego teraz potrzebowali, i ponieważ ktoś musi zająć się tobą po tym, co się stało z twoją żoną i córeczką. Poza tym Angel uważa, że dobry z ciebie człowiek. Może ja też tak myślę i może myślę, że to, co zrobiłeś z tą suką Modine, i to, co próbujesz zrobić tutaj, to są wszystkie rzeczy, które trzeba doprowadzić do końca. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Mówił o tym w dziwny sposób, dziwny i poruszający.

— Chyba rozumiem. Dziękuję ci.

299

— Doprowadzisz do końca tę sprawę tutaj?

— Myślę, że tak, ale nadal czegoś nam brakuje, jakiegoś szczegółu, schematu, elementu...

Wciąż mi to uciekało, jak szczur przemykający w plamach światła ulicznych latarni. Musiałem się dowiedzieć czegoś więcej o Edwardzie By-ronie. Musiałem porozmawiać z Woolrichem. Spotkaliśmy Rachel w holu głównego budynku Flaisance. Chyba wyglądała naszego samochodu. Siedzący obok niej Angel jadł hot doga, wielkiego jak końcówka kija baseballowego i zwieńczonego cebulą, sosem chilli i musztardą.

— Byli tu ludzie z FBI — oznajmiła Rachel. — Twój przyjaciel Wool-rich też. Mieli nakaz. Zabrali wszystko: moje notatki, ilustracje, wszystko, co im wpadło w ręce.

Zaprowadziła nas do swojego pokoju. Na ścianach nic nie zostało. Wzięli nawet mój diagram.

— Nasz pokój też przeszukali — Angel zwrócił się do Louisa. — I Bir-da.

Drgnąłem, gdy pomyślałem o skrzynce z bronią. Angel to zauważył.

— Wynieśliśmy ją po tym, jak twój przyjaciel z FBI przyczepił się do Louisa. Jest w skrytce depozytowej na Bayonne. Obaj mamy klucze.

Zauważyłem, że Rachel była bardziej podekscytowana niż zmartwiona.

— Czy jest coś, o czym nie wiem? — zapytałem. Uśmiechnęła się.

— Powiedziała, że zabrali wszystko, co im wpadło w ręce. Angel wypatrzył ich, jak wchodzili. Schowałam trochę notatek za paskiem spodni i pod koszulą. On zaopiekował się resztą. Spod łóżka wyciągnęła niewielki plik papierów i pomachała nimi z lekkim triumfem. Jedną kartkę trzymała osobno. Była złożona na pół.

— Myślę, że powinieneś to zobaczyć — rzekła, podając mi ją. Rozłożyłem i poczułem ból w piersiach.

Ilustracja przedstawiała nagą kobietę siedzącą na krześle. Od szyi po krocze była rozcięta, a skóra z każdej strony została ściągnięta i zwieszała się z ramion jak peleryna. Na jej kolanach leżał młody mężczyzna, podobnie rozplątany, tyle że z dziurą tam, gdzie żołądek i inne organy wewnętrzne zostały usunięte. Nie licząc tego właśnie szczegółu i odmienności płci jednej z ofiar, ilustracja bardzo przypominała to, co stało się z Su-san i Jennifer.

300

— To Pięta Estienne'a — wyjaśniła Rachel. — Jest bardzo mało znana, dlatego tyle trwało jej odnalezienie. Nawet w czasach, kiedy powstała, uważana była za zbyt dosadną, wręcz bluźnierczą. Władzom Kościoła za bardzo przypominała postać umarłego Chrystusa i Marii. Estienne o mało co nie spłonął za nią na stosie.

Wyjęła mi ilustrację z ręki i popatrzyła na nią ze smutkiem, po czym położyła wraz z innymi papierami na łóżku.

— Już wiem, co on robi — oświadczyła. — Tworzy memento mori, takie trupie główki.

Usiadła na brzegu łóżka i złożyła dłonie pod brodą jak do modlitwy.

— Daje nam lekcję śmiertelności.

On chciał zaznajomić się z twym wnętrzem, Crispin.

Edward Ravenscroft,

Anatom

Na wydziale medycznym Uniwersytetu Complutense w Madrycie jest muzeum anatomii. Założył je Carlos III, a większość zbiorów zgromadził! doktor Julian de Velasco w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku. Dok-1 tor Velasco podchodził do swojej pracy bardzo poważnie. Wieść niosła, że| z mumifikował ciało własnej córki, podobnie jak William Harvey, który w procesie odkrywania i badania układu krążenia zdecydował się na cję zwłok swego ojca i siostry.

W długiej, prostokątnej sali stoją szklane gabloty mieszczące ekspona- " ty: dwa ogromne szkielety, woskowy model głowy płodu i dwie figury podpisane „despellejados". To postacie ludzkie obdarte ze skóry, stojące w dramatycznych pozach, ukazujące ruch mięśni i ścięgien bez białej osłony

302

skóry, która kryłaby je przed oczami patrzącego. Wesaliusz, Valverde, Estienne, ich poprzednicy, im współcześni i następcy pracowali w oparciu o tę tradycję. Michał Anioł i Leonardo da Vinci tworzyli swoje własne ecorches, jak nazywali rysunki przedstawiające obdarte ze skóry sylwetki, bazując na wiedzy nabytej w czasie sekcji zwłok.

Postacie, które stworzyli, były czymś więcej niż tylko anatomicznymi eksponatami: na swój sposób miały służyć przypomnieniu o niedoskonałości natury człowieka, o tym, ile bólu jest w stanie pomieścić jego ciało, by ostatecznie ponieść śmierć. Ostrzegały o daremności cielesnych dążeń,

o realności chorób, bólu i śmierci w tym życiu, a jednocześnie obiecywały coś lepszego w przyszłym.

W osiemnastowiecznej Florencji sztuka tworzenia modeli anatomicznych osiągnęła swój szczyt. Pod patronatem opata Felice Fontany specjaliści od anatomii ramię w ramię z artystami pracowali nad tworzeniem naturalnej wielkości rzeźb z pszczelego wosku. Ci pierwsi otwierali zwłoki, drudzy wlewali płynny gips, a następnie odlewali formy. Potem warstwami wlewano w nie wosk, zaś przy pomocy świńskiego tłuszczu zmieniano, tam gdzie trzeba, jego temperaturę, przez co poszczególne powłoki uzyskiwały przezroczystość ludzkiej tkanki.

Następnie za pomocą nici, szczotek i ostrych szpiców odtwarzano żyły

i rowki na ciele. Dodawano jedna po drugiej brwi i rzęsy. Lelli, artysta z Bolonii, używał autentycznych szkieletów jako rusztowań dla swoich prac z wosku. Cesarz Austrii, Józef II, był

pod takim wrażeniem jego kolekcji, że zamówił tysiąc sto dziewięćdziesiąt dwa modele, aby promować nauczanie medycyny w swoim kraju. Z kolei Frederik Ruysch, profesor anatomii z Atheneum Illustre w Amsterdamie, chemicznymi utrwalałcami i barwnikami konserwował swe eksponaty. Trzymał w swoim domu kolekcję szkieletów noworodków i dzieci w różnych pozycjach — przypomnienie o ulotności życia.

Ale nic nie jest w stanie oddać realności prawdziwego, wystawionego na widok ludzkiego ciała. Publicznie wykonywane sekcje zwłok przyciągały ogromne tłumy, niektórzy przychodzili ubrani w karnawałowe kostiumy. Rzekomo w ten sposób chcieli się uczyć. W rzeczywistości zaś sekcja była niczym więcej niż przedłużeniem publicznej egzekucji. Ustawa o Morderstwach wprowadzona w tysiąc siedemset pięćdziesiątym drugim w Anglii uczyniła związek między tymi tłwoma aktami jeszcze bardziej oczywistym, oficjalnie zezwalając na sekcje zwłok morderców — stały się one rodzajem przedłużenia kary dla mordercy, któremu w ten sposób odmawiano prawa do normalnego pochówku. Ustawa o Anatomii z tysiąc osiemset

303

trzydziestego drugiego pozwalała na konfiskatę ciał biedaków dla celów medycznych, takich jak sekcja zwłok.

Tak więc śmierć i sekcja zwłok szły ręką w rękę z rozwojem nauki. A co z bólem? A co z renesansowym obrzydzeniem w stosunku do funkcji ciała kobiety, które to obrzydzenie doprowadziło do wręcz chorobliwej fascynacji macicą? W aktach zdzierania skóry i sekcji zwłok cierpienie, seks i śmierć stawały się sobie bardzo bliskie.

Odkryte ludzkie trzewia przypominają o naszej śmiertelności. Ale ilu z nas potrafi znieść widok własnego wnętrza? Naszą śmiertelność dostrzegamy, dopiero widząc ją u innych. I nawet wówczas śmierć musi nastąpić w ekstremalnych warunkach, na wojnie, w tragicznym wypadku, w wyniku morderstwa; dopiero kiedy jesteśmy świadkami samego aktu albo jego natychmiastowych skutków; krwistoczerwona realność śmiertelności staje się dla nas jasna.

Rachel wierzyła, że na swój okrutny, przepełniony bólem sposób Podróżnik usiłował obalić pewne bariery. Zabijając w taki sposób, pokazywał swoim ofiarom, że są śmiertelne, obnażał przed nimi ich własne wnętrza, uświadamiał im prawdziwe znaczenie bólu; jednocześnie miały one przypominać innym, że też są śmiertelni i że ten straszliwy ból znajdzie i ich.

Podróżnik zacierał granice między torturami a egzekucją, między intelektualną i bardzo prostą ciekawością a sadyzmem. Stanowił część tajemnej historii rodzaju ludzkiego, historii zapisanej w trzynastowiecznej Anatomia Magistri Nicolai Physici, która mówiła, że starożytni praktykowali sekcje na żywych i martwych, przywiązywali skazańców za nogi i ręce i stopniowo ich kawałowali, zaczynając od kończyn, aż do organów wewnętrznych. Aulus Cornelius Celsus i święty Augustyn potwierdzali te fakty, chociaż historycy medycyny je kwestionują.

A teraz Podróżnik pisał własną historię, proponował własną kombinację nauki i sztuki, prowadząc zapiski na temat śmiertelności i chcąc stworzyć Piekło w sercu człowieka.

O wszystkim tym opowiadała Rachel, kiedy siedzieliśmy w jej pokoju. Za oknem zapadł mrok, a w powietrzu unosiły się dźwięki muzyki.

— Myślę, że oślepianie ofiar ma związek z niewiedzą, może to być fizyczna reprezentacja niemożności poznania prawdy o bólu i śmierci — mówiła. — A to pokazuje nam, jak daleko sam morderca odszedł od zwykłego człowieczeństwa. Wszyscy cierpimy, wszyscy w taki czy inny sposób stykamy się ze śmiercią, zanim sami umrzemy. On uważa, że jest jedynym, który może nas tego nauczyć...

304

— Albo myśli, że już tego nie dostrzegamy i trzeba nam o tym przypomnieć, że to on ma nam powiedzieć, jak mało się liczymy na tym świecie — dodałem.

Rachel przytaknęła.

— Jeżeli jest tak, jak mówicie, to dlaczego Lutice Fontenot została wrzucona do beczki?

Pytanie zadał Angel. Siedział przy balkonie i obserwował ulicę.

— Potraktował ją jako ćwiczenie — odparła Rachel. Louis uniósł brwi, ale się nie odezwał.

— Podróżnik wierzy, że tworzy dzieła sztuki: zwraca ogromną uwagę na sposób zaprezentowania zwłok, ich odniesienie do starych tekstów medycznych, związki z mitologią i artystycznym przedstawianiem ciała, to wszystko na to wskazuje. Ale nawet najwięksi artyści musieli od czegoś zacząć. Poeci, malarze, rzeźbiarze, wszyscy oni praktykują, uprawiają się w sztuce, zdobywając formalną edukację lub w inny sposób. To, co tworzą jako uczniowie, może mieć wpływ na ich dalszą pracę, ale zwykle nie jest wystawiane na widok publiczny. To jest czas, kiedy można popełniać błędy i nikt nie będzie krytykował, czas, kiedy można sprawdzić, co jest, a co nie jest możliwe. Prawdopodobnie tym właśnie była dla niego Lutice Fontenot: ćwiczeniem.

— Ale Susan i Jennifer zginęły przed nią — zauważyłem cicho.

— On je zabił, bo tego chciał, ale nie był zadowolony z rezultatów swej pracy. Użył Lutice, by poćwiczyć, zanim powrócił na scenę — odpowiedziała, nie patrząc na mnie. — Tante Marie i jej syn zginęli z kilku powodów: pragnął tego, musiał to zrobić i tym razem miał wystarczającą ilość czasu, by osiągnąć zamierzony efekt. Potem musiał zabić Remarra, bo ten albo faktycznie widział, albo tylko mógł coś zobaczyć, lecz i tym razem Podróżnik stworzył z niego memento mori. Na swój sposób jest praktyczny: wyciągnął korzyść z konieczności.

Angel nie wyglądał na przekonanego.

— Ale co ze sposobem, w jaki większość z nas reaguje, widząc śmierć? — zaczął. — Przecież wtedy dopiero nabieramy ochoty do życia. Nawet do pieprzenia.

Rachel rzuciła mi spojrzenie i powróciła do swoich notatek.

— O co temu człowiekowi chodzi? — kontynuował Angel. — Chce, żebyśmy przestali jeść, kochać, bo on ma obsesję śmierci i myśli, że ten drugi świat będzie lepszy?

Znów wziąłem do ręki Piętę i przyjrzałem się ciałom, precyzyjnie podpisanym organom wewnętrznym i spokojnym twarzom kobiety i mężczyzny. Twarze ofiar Podróżnika takie nie były. Wykrzywiła je męka agonii.

305

— Jego nie obchodzi tamten świat — stwierdziłem. — Jemu chodzi tylko o zło, jakie może wyrządzić tutaj.

Stałem przy oknie obok Angela. Patrzyliśmy na psy na podwórzu. Pachniało piwem i gotowanym jedzeniem, a mnie się zdawało, że czuję pod tym zapach samej ludzkości, która krąży gdzieś wokół nas.

— Dlaczego on nie przyjdzie po nas? Po ciebie? — zapytał Angel. Kierował swe słowa do mnie, ale to Rachel odpowiedziała.

— Bo chce, żebyśmy coś zrozumieli. Wszystko, co zrobił, ma być dla nas jakąś wskazówką. On usiłuje coś zakomunikować, a my jesteśmy jego publicznością. Nie chce nas zabić.

— Jeszcze nie — poprawił ją Louis. Kiwnęła głową, patrząc mi w oczy.

— Jeszcze nie — powtórzyła cicho.

Umówiliśmy się wszyscy, że później spotkamy się u Vaughana. Kiedy wróciłem do swojego pokoju, zadzwoniłem do Woolricha i zostawiłem mu wiadomość na sekretarce. Oddzwonił po pięciu minutach i zaproponował spotkanie w Napoleon House za godzinę.

Był punktualnie. Zjawił się tuż przed dziesiątą, miał na sobie bawełniane spodnie w kolorze złamanej bieli, a przez ramię przewieszoną pasującą do nich marynarkę, którą założył, jak tylko wszedł do baru.

— Zimno tu czy to tylko twoje chłodne powitanie?

Miał nie umytą twarz, wyglądał na niewyspanego i pachniał nieświeżo. Nie był już tym pewnym siebie człowiekiem, jakiego pamiętałem z mieszkania Jenny Ohrbach, przejmującego kontrolę nad miejscem przestępstwa od grupy dość wrogo nastawionych gliniarzy. Postarzał się, stracił rezon. Zabranie papierów z pokoju Rachel nie było w jego stylu; dawny Woolrich najpierw by o nie poprosił. Zamówił sobie piwo i kolejną wodę mineralną dla mnie.

— Powiesz mi, dlaczego skonfiskowaliście materiały z hotelu?

— Nie patrz na to jak na konfiskatę, Bird. Potraktuj to jako wypożyczenie.

Pił piwo i patrzył na swoje odbicie w lustrze. Chyba nie podobało mu się to, co widział.

— Mogliście zwyczajnie poprosić — zauważyłem.

— Wtedy byś nam je dał?

— Nie, ale mógłbym wyjaśnić, dlaczego.

— Nie wydaje mi się, by na Durandzie twoje wyjaśnienia zrobiły większe wrażenie. Szczerze mówiąc, na mnie też nie.

306

— A więc to z jego polecenia? Dlaczego? Macie przecież swoich agentów, którzy w tym siedzą, którzy tworzą profile psychologiczne przestępców. Skąd ta pewność, że możemy coś wnieść do sprawy?

Określił się na stolku i przechylił w moją stronę; znalazł się tak blisko, że czułem jego oddech.

— Bird, wiem dobrze, że chcesz dostać tego faceta. Chcesz go dorwać za to, co zrobił Susan i Jennifer, tej starej kobiecie i jej synowi, Florence, Lutice Fontenot, może nawet temu fiutowi Remarrowi. Usiłowałem o wszystkim cię informować, a ty wlałeś w to gówno jak jakiś pieprzony dzieciak w swoich nowych butach. Twoim sąsiadem w hotelu jest płatny morderca, Bóg jeden wie, co ten facet robi, a twoja przyjaciółka pasjonuje się zbieraniem dość szczególnych obrazków. Nic mi o tym wszystkim nie mówiłeś, więc zrobiłem to, co musiałem. Uważasz, że coś przed tobą ukrywam? Z tym gówniarskim zachowaniem masz szczęście, że cię jeszcze nie wsadziłem do samolotu do Nowego Jorku.

— Muszę wiedzieć, co macie. Co wy ukrywacie?

Prawie stykaliśmy się teraz czołami. Nagle Woolrich się wyprostował.

— Ukrywamy? Jezu, Bird, jesteś niesamowity. Wiesz, co mamy: żonę Byrona. Chcesz wiedzieć, co ona studiowała? Sztukę. Napisała pracę magisterską o sztuce renesansu i sposobach przedstawiania ciała. Nie sądzisz, że mogła tam zamieścić medyczne ilustracje, że może stamtąd jej eks czerpał swe pomysły?

Odetchnął głęboko i pociągnął spory łyk piwa.

— Jesteś przynętą, Bird. Ty to wiesz i ja to wiem. A dowiedziałem się jeszcze czegoś. — Jego głos był ostry i zimny. — Wiem, że byłeś na Metairie. W kostnicy leży facet z kulą w głowie i policja ma pozostałości dziesięciomilimetrowego pocisku do smith & wessona, wydłubanego z marmurowej płyty. Chcesz mi o tym opowiedzieć, Bird? Powiesz mi, czy byłeś sam, kiedy zaczęła się strzelanina na Metairie?

Nie odpowiedziałem.

— Pieprzysz ją, Bird?

Popatrzyłem na niego. W jego oczach nie było wesołości i nie uśmiechał się. Zamiast tego dostrzegłem w jego spojrzeniu wrogość i nieufność. Jeżeli chciałem jakichkolwiek informacji o Edwardzie Byronie i jego byłej, musiałem się o nie postarać sam. Gdybym go wtedy uderzył, pewnie obaj nieźle byśmy się poharatali. Nie chciałem już trwonić słów i nawet się nie obejrzałem, wychodząc z baru.

Do Bywater dotarłem taksówką. Wsiadłem przed barem Vaughana na rogu Dauphine i Lesseps. Za wejście zapłaciłem pięć dolarów. W środku

307

Kermit Ruffins i Barbecue Swingers grali nowoorleańską rapsodię, a na stolikach stały talerze z czerwoną fasolą. Rachel i Angel tańczyli pośród stołów i krzeseł, podczas gdy Louis przyglądał im się z anielsko cierpliwym wyrazem twarzy. Kiedy podszedłem, tempo muzyki nieco opadło i Rachel porwała mnie do tańca. Pokręciliśmy się przez chwilę: ona głaskała mnie po twarzy, a ja zamknąłem oczy i kompletnie się temu poddałem. Potem usiadłem i przez jakiś czas, pochłonięty własnymi myślami, popijałem wodę, aż przysiadł się do mnie Louis.

— Nie miałeś za dużo do powiedzenia, gdy rozmawialiśmy u Rachel — zauważyłem.

Przytaknął.

— To wszystko bzdury. Ta cała religia i medyczne rysunki są jedynie fasadą. Facet może w nie wierzyć albo nie wierzyć. To nie ma nic wspólnego ze śmiertelnością, tu chodzi jedynie o piękno barwy mięsa.

Wziął łyk piwa.

— Gościu po prostu lubi kolor czerwony.

Po powrocie do Flaisance leżałem obok Rachel i wsłuchiwałem się w jej oddech.

— Rozmyślałam trochę — odezwała się. — O naszym mordercy.

— I co?

— Sądzę, że to niekoniecznie musi być mężczyzna.

Uniosłem się na łokciu, żeby na nią popatrzeć. Widziałem białka jej oczu, wielkich i jasnych.

— Dlaczego?

— Sama dokładnie nie wiem. Jest coś prawie kobiecego we wrażliwości tego mordercy — kimkolwiek jest — jakieś wycucie powiązań między rzeczami, wycucie tkwiącego w nich symbolicznego potencjału. Nie wiem. Teraz tylko głośno myślę, ale wydaje mi się, że taka wrażliwość nie cechuje współczesnych mężczyzn. Może „kobiecość” to w tym wypadku nieco przesadne określenie — najbardziej charakterystyczne cechy, okrucieństwo czy zdolność do obezwładnienia ofiary, wskazują jednak na mężczyznę — jednak takie połowiczne wnioski to na razie wszystko, co mam.

Zamilkła.

— Czy my zaczynamy być parą? — zapytała w końcu.

— Nie wiem. Jak ty uważasz?

— Migasz się od odpowiedzi.

— Wcale nie. Po prostu nie jestem przyzwyczajony do takich pytań i chyba nie przypuszczałem, że ktoś mi je jeszcze kiedyś zada. Jeżeli pytasz, czy chcę, byśmy byli razem, to odpowiedź brzmi: tak. Trochę się oba-

308

wiam, że wniosę w ten związek cięższy bagaż niż tragarze na lotnisku Kennedy'ego, ale chcę z tobą być. Pocałowała mnie delikatnie.

— Czemu przestałeś pić? — spytała i dodała: — Skoro już tak rozmawiamy od serca...

Prawie podskoczyłem, słysząc to pytanie.

— Bo gdybym teraz wypił jednego, to obudziłbym się po tygodniu w Singapurze z tygodniowym zarostem — odparłem.

— To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

— Nienawidziłem siebie i innych ludzi, nawet mi najbliższych. Piłem tej nocy, kiedy zginęły Susan i Jennifer. Piłem bardzo dużo, nie tylko tamtego wieczora, ale i wcześniej. Z wielu powodów, z powodu presji w pracy, bo nie sprawdzałem się jako mąż, a może i z wielu innych

przyczyn z przeszłości. Gdybym nie był pijakiem, Susan i Jennifer może nadal by żyły. Więc przestałem. Za późno, ale przestałem.

Nic nie powiedziała, nie stwierdziła „to nie była twoja wina” albo „nie powinieneś się zadrećcać”.

Chyba chciałem powiedzieć coś jeszcze, spróbować wytłumaczyć, jak to jest nie pić, jak się boję, że bez alkoholu każdego dnia będę czuł pustkę i nie znajdę nic, na co mógłbym czekać z utęsknieniem. Że każdy dzień stanie się po prostu kolejnym dniem bez drinka. Czasami, kiedy wpadłem już w totalny dołek, zastanawiałem się, czy mój pościg za Podróżnikiem nie jest tylko sposobem na wypełnienie życia, sposobem na utrzymanie się na właściwym torze.

Kiedy zasnęła, leżałem na pościeli i myślałem o Lutice Fontenot i ciałach zmienionych w dzieła sztuki, aż w końcu zasnąłem i ja.

vii ii

lej nocy źle spałem, zirytowany rozmową z Woolrichem i nękany snami

o ciemnej wodzie. Rano zjadłem samotnie śniadanie po tym, jak udało mi się zdobyć zapewne jedyny w tej okolicy egzemplarz New York Timesa. Potem w Cafe du Monde spotkałem się z Rachel i przeszliśmy się po francuskim rynku. Spacerowaliśmy między stoiskami z T-shirtami, płytami CD

i tanimi portfelami, aż doszliśmy do targowiska farmerów. Można tam było kupić ciemne, owalne orzeszki, blade, skurczone główki czosnku, arbu-

309

zy o ciemnoczerwonym mięszu, który przypominał rany na ciele. Biało-okie ryby leżały na lodzie razem z ogonami raków, a bezgłowe krewetki tuż przy pojemnikach z małymi aligatorami. Inne stoiska wypełniały stopy bakłażanów, słodkiej cebuli, czosnku, świeżych pomidorów i dojrzałych owoców awokado.

Ponad sto lat temu ten odcinek Gallatin Street przy dokach rzecznych, między koszarami wojskowymi a klasztorem urszulanek, nie licząc Szanghaju i Browery w Nowym Jorku, stanowił najgorsze miejsce na ziemi, pełne burdeli i podejrzanych lokali, gdzie pędzono bimber, gdzie faceci spod ciemnej gwiazdy nawiązywali kontakty towarzyskie z podobnymi sobie kobietami, i każdy, kto zapuścił się tam bez broni, prędzej czy później gorzko tego żałował.

Nie ma już Gallatin Street, zniknęła z mapy miasta, teraz turyści obcuja tu z cajuńskimi rybakami z Lafayette i okolic, którzy handlują swoimi towarami otoczeni ciężkim, uderzającym do głowy zapachem Missisipi. Takie już pewnie było to miasto: znikwały ulice; otwierano bary, a sto lat później już ich nie było; burzono albo palono budynki i na ich miejsce pojawiały się nowe.

Zachodziły zmiany, ale duch miasta pozostawał ten sam. W ten parny, letni poranek wydawał się unosić pod niebem, uważając ludzi za przejściową infekcję, której pozbędzie się z pomocą deszczu.

Kiedy wróciliśmy do hotelu, drzwi mojego pokoju były lekko uchylone. Pokazałem Rachel, że ma stanąć pod ścianą, i wyjąłem smith & wesson; idąc po schodach, trzymałem się jednej ich strony, by deski nie skrzypiały. Wciąż dźwięczał mi w uszach odgłos kul wystrzelonych ze steyra Ricky'ego. Pozdrowienia od Joego Bonesa. Doszedłem do wniosku, że gdyby Joe znowu zechciał mnie pozdrowić, to miałem wystarczającą ilość kul, by posłać go z powrotem do piekła.

Stanąłem przy drzwiach i nasłuchiwałem, ale z pokoju nie dochodził żaden dźwięk. Nie mogła to być pokojówka, bo przy pracy gwizdała, łomotała przedmiotami albo słuchała stacji nadającej bluesa w swym przenośnym radiu. Jeżeli to faktycznie była ona, to albo spała, albo lewitowała w powietrzu.

Uderzyłem barkiem w drzwi, z pistoletem w wyciągniętej ręce wpadłem do środka i wzrokiem omiotłem pokój. W fotelu przy balkonie siedział Leon i przeglądał numer magazynu z męską

modą, który mi podrzucił Louis. Leon nie wyglądał na faceta, który kupowałby to, co polecali w takich magazynach, chyba że jakiś dom mody zawarłby wielki kontrakt z którymś z okolicznych lumpeksów. Spojrzał na mnie z jeszcze mniejszym zainteresowaniem niż na gazetę. Uszkodzone oko błysnęło spod fałdu skóry jak krab wyglądający ze swojego pancerza.

310

— Jak już skończysz tutaj, to zajmij się zatkanym odpływem w łazience i zacinającymi się drzwiami od garderoby — rzuciłem.

— Mogą ci się ściany na łeb zawalić, gówno mnie to obchodzi — odrzekł.

Dowcipny facet z tego Leona.

Zrzucił gazetę na podłogę i spojrzał na Rachel, która weszła za mną. Też nie wzbudziła w nim żadnego zainteresowania. Może Leon po prostu umarł, tylko nikt nie miał odwagi mu tego powiedzieć.

— Ona jest ze mną — oznajmiłem. Wyglądał, jakby zaraz miał usnąć z nudów.

— Dziś wieczorem o dziesiątej, na skrzyżowaniu przy 996 ze Starhill. Ty i ton ami noir. Macie być sami, bo inaczej Lionel zrobi z was sito.

Wstał. Kiedy się odsunąłem, aby mógł przejść, z palca wskazującego i kciuka zrobiłem pistolet i w niego wymierzyłem. W obu dłoniach Leona błysnęła stal i tuż przy moich oczach pojawiły się ostro zakończone noże. Tuż pod krawędzią rękawów dostrzegłem mechanizmy sprężynowe.

Teraz już rozumiałem, dlaczego Leon nie czuł potrzeby noszenia przy sobie broni.

— Imponujące — stwierdziłem. — Ale tylko do czasu, aż ktoś straci oko.

Jego martwy narząd wzroku wpatrywał się przez chwilę w moją duszę, jakby chciał ją zgnoić i zetrzeć na proch. W końcu wyszedł. Nie słyszałem jego kroków, kiedy mijał kolejne drzwi.

— Twój przyjaciel? — zapytała Rachel.

Wyszedłem z pokoju i wyrząłem na puste już podwórko.

— Jeżeli on jest moim przyjacielem, to jestem bardziej samotny, niż myślałem.

Kiedy Louis i Angel wrócili z późnego śniadania, poszedłem do ich pokoju i zapukałem do drzwi. Kilka sekund minęło, nim padła odpowiedź.

— Tak? — krzyknął Angel.

— Tu Bird. Zachowujecie się przyzwoicie?

— Nigdy w życiu. Właż.

Louis siedział wyprostowany w łóżku i czytał Times-Picayune. Angel siedział obok niego na kołdrze, nagi, ale z ręcznikiem na biodrach.

— Ten ręcznik to z mojego powodu?

— Boję się, żebyś się nie pogubił w swojej seksualności.

— I mógłbym stracić jej resztki.

— Bardzo dowcipne jak na faceta, który dyma panią psycholog. Dlaczego po prostu nie zapłacisz osiemdziesięciu dolców za godzinę jak inni ludzie?'

311

Louis rzucił nam obu znudzone spojrzenie znad krawędzi gazety. Czyżby miał z Leonem wspólnych przodków?

— Właśnie odwiedził mnie chłopca Lionela Fontenota — oświadczyłem.

— Król piękności? — zainteresował się Louis.

— Nie inaczej.

— Kiedy jedziemy?

— Dziś wieczorem o dziesiątej. Lepiej wyciągnij z dziupli swoje żaba weczki.

— Poślę mojego chłopca. — Spod kołdry szturchnął w nogę Angel^

— Tego brzydala?

— Nie inaczej.

Angel nieprzerwanie gapił się w telewizor. — Nie skomentuję, bo uwłacza mej godności — rzucił.

Louis powrócił do czytania. — Masz sporo godności jak na facet z ręcznikiem na fiucie.

— To jest duży ręcznik — odparował Angel.

— O wiele za duży, jakby mnie kto pytał.

Zostawiłem ich tak. Gdy wróciłem do siebie, Rachel stała pod ścianą z założonymi rękami i groźnym wyrazem twarzy.

— I co teraz? — zapytała.

— Wracamy do Joego Bonesa.

— I Lionel Fontenot go zabije — fuknęła. — Obaj są siebie warc Trzymasz się go, bo tak jest ci wygodniej. A co się stanie, kiedy Fonteno go zabije? Czy coś się zmieni na lepsze?

Nie odpowiedziałem. Wiedziałem, co się stanie. Małe zamieszkar w handlu narkotykami, bo Fontenot renegotjuje już istniejące kontrakty albo je zerwie. Ceny wzrosną, kilka osób straci życie, gdy pojawią się ir kolesie, którzy poczują się na siłach, by przejąć teren Bonesa. Lionel For tenot ich zabije, co do tego nie miałem wątpliwości.

Rachel miała rację. Trzymałem się Lionela, bo tak mi było wygodnie. Joe Bones wiedział coś o tym, co się stało wieczorem, gdy zginęła Tante Marie, coś, co mogło mnie zbliżyć choćby o krok do człowieka, który zabił moją żonę i dziecko. Jeśli do odkrycia tego potrzebna była armia Fontenota, to byłem gotów stanąć po jego stronie.

— I będziesz tam z Louistem — rzekła cicho. — Mój Boże, co się z tobą stało?

Później pojechaliśmy do Baton Rouge; nalegałem, by Rachel mi towarzyszyła. Oboje czuliśmy się nieswojo i nie wymieniliśmy ani słowa. Rach^

312

oparła łokieć o drzwi, a policzek na dłoni i zadowoliła się wyglądaniem przez okno. Żadne z nas nic nie mówiło, aż dotarliśmy do wyjazdu na drogę 166, która prowadziła do Uniwersytetu Stanowego Luizjany i domu Stacey Byron. Wtedy przemówiłem, pragnąc oczyścić atmosferę.

— Rachel, zrobię to, co będę musiał, żeby znaleźć tego, kto zabił Su-san i Jennifer — rzekłem.

— Muszę to zrobić, inaczej wszystko we mnie umrze.

Nie odpowiedziała od razu. Przez moment myślałem, że nie odpowie w ogóle.

— Już wszystko w tobie umiera — odparła w końcu, wpatrując się w widok za oknem. W szybie odbijały się jej oczy, podążające za krajobrazem. — Fakt, że jesteś gotów to wszystko zrobić, właśnie o tym świadczy.

W końcu na mnie popatrzyła.

— Nie jestem ani sędzią twojej moralności, Bird, ani głosem twojego sumienia. Jestem kimś, komu na tobie zależy, i nie jestem pewna, co teraz z tym uczuciem począć. Część mnie chce odejść, nie oglądając się za siebie, ale druga połowa chce — potrzebuje — z tobą zostać. Chciałabym z tym skończyć, ze wszystkim. Tak byłoby dla nas najlepiej.

I znowu się odwróciła, a ja musiałem sam zmagać się z tym, co mi powiedziała.

Stacey Byron mieszkała w małym, krytym białym sztalunkiem domu z czerwonymi drzwiami, z którego złuszczała się farba. W pobliżu znajdowało się małe centrum handlowe z wielkim supermarketem, zakładem fotograficznym i czynną całą dobę pizzerią. Rejon kampusu uniwersyteckiego zamieszkiwali głównie studenci, zaś niektóre domy miały na parterze sklepy z używanymi płytami CD, książkami, długimi sukniami hippisów i słomkowymi kapeluszami o ogromnych rondach. Gdy mijaliśmy dom pani Byron, by zatrzymać się na parkingu przed sklepem fotograficznym, zauważyłem granatowego probe'a zaparkowanego tuż obok. Dwaj siedzący w nim goście wyglądali na śmiertelnie znudzonych. Jeden opierał o kierownicę złożoną

we czworo gazetę i z ołówkiem w ustach próbował rozwiązać krzyżówkę. Jego partner wystukiwał na desce rozdzielczej jakiś rytm, wpatrując się w wejściowe drzwi domu Stacey Byron.

— Myślisz, że to federalni? — zapytała Rachel.

— Być może. Ale równie dobrze mogą to być lokalni policjanci. To robota głupiego.

Przyglądaliśmy im się przez chwilę. Rachel włączyła radio i słuchaliśmy stacji AOR: Rush, Styx, Richard Marx.

— Wchodzisz? — zapytała.

— Może nie będę musiał — odparłem, kiwając głową w stronę domu.

313

Stacey Byron, uczesana w koński ogon i ubrana w krótką, bawełnianą sukienkę, wyszła z budynku i zmierzała prosto ku nam ze słomkowym koszem na zakupy na ramieniu. Skinęła głową facetom w samochodzie. Rzucili monetę i ten, który siedział na miejscu dla pasażera, średniego wzrostu i ze sterzącym spod marynarki brzuszkiem, wysiadł, rozprostował nogi i poszedł za nią w kierunku centrum handlowego.

Była atrakcyjną kobietą, chociaż ta krótka sukienka nieco zbyt mocno opinała uda i wpijała się w fałdki tłuszczu pod pośladkami. Miała silne, szczupłe ramiona i opaloną skórę. Poruszała się z gracją: kiedy jakiś starszy pan prawie wpadł na nią w drzwiach supermarketu, określiła się zgrabnie na prawej stopie i go wyminęła.

Poczułem coś delikatnego na policzku, odwróciłem się i zobaczyłem, że to Rachel na niego dmuchała.

— Hej — zawołała i po raz pierwszy, odkąd wyjechaliśmy z miasta, uśmiechnęła się. — To niegrzecznie gapić się tak lubieżnie, gdy jesteś z inną kobietą.

— Nie gapię się lubieżnie — wyjaśniłem, kiedy wysiadaliśmy z samochodu — tylko obserwuję. Sam dobrze nie wiedziałem, dlaczego tu jestem, ale uwagi Woolricha na temat Stacey Byron i jej zainteresowania sztuką sprawiły, że zapragnąłem ją ujrzeć, i chciałem, żeby Rachel też ją zobaczyła. Nie miałem pojęcia, jak moglibyśmy zagaić rozmowę, ale wydawało mi się, że takie sprawy same się jakoś rozwiązują.

Stacey nie spieszyła się, wędrując między półkami. Nie były to zakupy z listą w ręku: brała jakąś rzecz, patrzyła na etykietę i odkładała naj miejsce. Gliniarz trzymał się jakieś trzy metry za nią, potem dzieliło ich już pięć metrów, aż w końcu jego uwagę zajęły czasopisma. Stanął przy kasach tak, aby widzieć dwa przejścia między półkami naraz, a na kobietę] spoglądał tylko raz na jakiś czas.

Obserwowałem młodego Murzyna w białym fartuchu i białej czapce i z zielonym paskiem, układającego paczkowane mięso. Kiedy opróżnił tacę i odhaczył jej zawartość na kartce przyklepionej do podkładki, wyszedł z sklepu drzwiami z napisem „Tylko dla personelu”. Poszedłem za nim, zorientowując Rachel pilnowanie pani Byron. Niemal uderzyłem go drzwiami, bo gdy wszedłem, kucnął, by podnieść kolejną plastikową tacę z mięsem. [Spojrzał na mnie z ciekawością.

— Hej, panie — zawołał. — Tu nie wolno wchodzić.

— Ile zarabiasz na godzinę?

— Pięć dolarów dwadzieścia pięć centów. A co?

314

— Dam ci pięćdziesiąt dolców, jeżeli na dziesięć minut pożyczysz mi swój fartuch i tę podkładkę.

Rozważał propozycję przez kilka sekund i rzekł:

— Sześćdziesiąt, a jak ktoś zapyta, to powiem, że mi pan ukradł.
— Dobra — zgodziłem się i odliczyłem trzy dwudziestki, kiedy zdejmował fartuch.
Był dość ciasny w ramionach, ale nikt tego nie mógł zauważyć, jeżeli się nie zapinałem. Już wchodziłem do sklepu, kiedy chłopak mnie zawołał.

— Hej, jeszcze dwie dychy i może pan wziąć czapkę.
— Za dwadzieścia dolców sam mógłbym zacząć handlować czapkami — odparłem. — Idź i schowaj się w łazience.

Znalazłem Stacey w dziale drogerijnym, Rachel krążyła w pobliżu.

— Przepraszam panią — zwróciłem się do niej, podchodząc. — Czy mogę zadać pani kilka pytań?

Z bliska wyglądała starzej. Pod cienką skórą na kościach policzkowych widać było siateczkę popękanych żyłek, a wokół oczu bruzdy. Drobne zmarszczki okalały też usta, policzki były lekko zapadnięte, a skóra na nich naciągnięta. Wyglądała na zmęczoną, a nawet zastraszoną, żeby nie powiedzieć przerażoną.

— Raczej nie — odpowiedziała ze sztucznym uśmiechem i już chciała mnie wyminąć.

— Chodzi o pani byłego męża.

Zatrzymała się i odwróciła, wzrokiem poszukując policyjnej eskorty.

— Kim pan jest?

— Detektywem. Co pani wie o sztuce renesansu, pani Byron?

— Słucham? O co panu chodzi?

— Studiowała pani, prawda? Czy mówi pani coś nazwisko Valverde? Czy pani mąż o nim kiedyś wspomniał? Czy pani wymieniała je w jego obecności?

— Nie wiem, o czym pan mówi. Proszę mnie zostawić w spokoju. Cofnęła się, zrzucając przy tym z półek kilka dezodorantów.

— Pani Byron, czy słyszała pani kiedyś o Podróżniku?

Coś błysnęło w jej oczach, a ja usłyszałem dochodzący z tyłu cichy gwizd. Odwróciłem się i zobaczyłem tłustego gliniarza zmierzającego w moją stronę. Minął Rachel, nie zwracając na nią uwagi, a ona ruszyła w kierunku drzwi, by znaleźć schronienie w samochodzie, lecz ja już zmierzałem w stronę wejścia dla personelu. Zrzuciłem fartuch i przeszedłem przez zaplecze na parking dla dostawców, a potem skręciłem za róg; Rachel już zapuszczała silnik wozu. Schyliłem głowę, kiedy odjeżdżaliśmy, skręcając w prawo, by nie przejeżdżać znów pod domem Stacey Byron.

315

W bocznym lusterku widziałem tłustego gliniarza; rozglądał się i rozmawiał przez radio z panią Byron u swego boku.

— I cóż osiągnęliśmy? — zapytała Rachel.

— Widziałaś jej oczy, kiedy wspomniałem o Podróżniku? Ona o nim słyszała.

— Ta kobieta coś wie — zgodziła się ze mną. — Ale równie dobrze mogła usłyszeć o nim od glin. Wyglądała tak, jakby się czegoś bała, Bird.

— Być może — odparłem. — Ale czego?

Tego wieczoru Angel zdjął panele z drzwi w taurusie, a w puste miejsca włożyliśmy półautomatyczne calico oraz magazynki i z powrotem założyliśmy zdjęte elementy. W pokoju hotelowym wyczyściłem i naładowałem mojego smith & wessona. Rachel przyglądała mi się w milczeniu.

Włożyłem pistolet do kabury pod pachą, przebrałem się w czarne dżinsy, koszulkę i lotniczą, skórzaną kurtkę w tym samym kolorze. Czarne tra-perki sprawiały, że wyglądałem jak bramkarz

w nocnym klubie.

— Godziny Joe Bonesa są policzone. Nie byłbym w stanie go uratować, nawet gdybym chciał — powiedział Rachel. — Był trupem już w chwili, gdy okazało się, że nalot na cmentarz spalił na panewce.

Rachel w końcu przemówiła.

— Podjęłam decyzję. Wyjeżdżam za dzień lub dwa. Chyba już dłużej nie mogę być częścią tego, co tu się dzieje, tego, co ty wyprawiasz, tego, co sama zrobiłam.

Nawet na mnie nie spojrzała, a ja nie miałem nic do powiedzenia. Miała rację, ale nie starała się prawić mi kazań. Widziałem cierpienie w jej oczach. Czulem je za każdym razem, gdy się kochaliśmy.

Louis, ubrany w czarną bluzę, czarną kurtkę dżinsową, ciemne spodnie i półbuty, czekał przy samochodzie. Angel po raz ostatni sprawdził panele na drzwiach, by się upewnić, że łatwo je wyjąć, i stanął obok Louisa.

— Jeżeli nie odezwiemy się do trzeciej rano, bierzesz Rachel i wynosicie się z hotelu.

Meldujecie się w Pontchartrain i wylatujecie pierwszym samolotem — poinstruowałem go. — Nie chcę, żeby Bones miał okazję wyrównać rachunki, jeśli coś nam nie pójdzie. Z glinami obejdź się tak, jak sam uznasz za stosowne.

Przytaknął, wymienił z Louistem spojrzenia i wrócił do Flaisance. Louis włożył do odtwarzacza kasetę Isaaca Hayesa i przy akompaniamencie „Walk On By” wyjechaliśmy z Nowego Orleanu.

— Dramatyczne pożegnanie — zauważyłem. Zgodził się. — Ech, my, mężczyźni...

316

iii;

i Leon już czekał przy starym, sękatym dębie, kiedy dojechaliśmy do skrzyżowania przy Starhill. Louis luźno trzymał lewą rękę wzdłuż boku, ale spod jego siedzenia wystawała kolba SIGa. Ja, zbliżając się do umówionego miejsca, wsunąłem swój pistolet do kieszeni na drzwiach kierowcy, gdzie zwykle trzyma się mapy. Widząc Leona samego, wcale nie poczułem się lepiej.

Zwolniliśmy i skręciliśmy w wąską boczną drogę, przy której stał dąb. Leon jakby nie zauważał naszej obecności. Wyłączyłem silnik i siedzieliśmy w samochodzie, czekając na jego ruch. Louis trzymał dłoń na swoim SIGu, którego wyciągnął spod siedzenia i położył przy udzie.

Popatrzyliśmy na siebie. Wzruszyłem ramionami, wysiadłem i oparłem się o otwarte drzwi, z pistoletem w zasięgu ręki. Mój towarzysz wyczołgał się z wozu i przeciągnął lekko, by pokazać Leonowi, że ręce ma puste, po czym też oparł się o samochód, zostawiwszy SIGa na siedzeniu. Leon odkleił się od dębu i ruszył w naszą stronę. Zza drzew dookoła wyszli inni ludzie. Pięciu facetów z karabinami H&K na ramionach i myśliwskimi nożami o długich ostrzach przy pasach otoczyło samochód.

— Oprzeć się o wóz — rozkazał Leon.

Nie drgnąłem. Doszedł mnie dźwięk odbezpieczanej broni.

— Ruszać się albo kula w łeb — ostrzegł nas.

Spojrzałem mu w oczy, po czym odwróciłem się i położyłem ręce na dachu samochodu. Louis zrobił to samo. Leon musiał zauważyć SIGa, kiedy stanął za mną, ale nie wyglądało na to, że się przejął. Oklepał mi klatkę piersiową, pachy, kostki i uda. Kiedy się przekonał, że nie mam aparatu do podsłuchu, sprawdził Louisa, a potem się odsunął.

— Zostawcie tutaj wóz — poinstruował nas.

Wokół nas zaświeciły reflektory i zawarczały samochodowe silniki. Zza drzew wyjechały brązowy dodge sedan i zielony nissan patrol, a za nimi półciężarówka z trzema czółnami na płaskiej platformie. Jeżeli posiadłość Fontenota była obserwowana, to człowiek odpowiedzialny za to zadanie powinien dać sobie zbadać wzrok.

— Mamy w samochodzie coś przydatnego — oznajmiłem Leonowi. — Weźmiemy to. Zgodził się i patrzył, jak wyjąłem zza paneli dwa małe półautomaty. Louis wziął dwa magazynki i jeden z nich podał mi. Załadowałem i sprawdziłem zabezpieczenie. Louis wsunął drugi magazynek do kieszeni kurtki i mnie też rzucił zapasowy.

Kiedy wsiedliśmy z tyłu dodge'a, dwaj mężczyźni ukryli nasz samochód i wskoczyli do nissana. Leon usiadł obok kierowcy dodge'a, pięćdziesięcioletniego mężczyzny o długich, siwych włosach związanych

317

w koński ogon, i dał mu znak do odjazdu. Inne samochody trzymały się w sporej odległości za nami, żeby nie wyglądało to jak konwój.

Jechaliśmy wzdłuż granicy między East i West Feliciana, na lewo od strumienia Thompson Creek, aż dotarliśmy do zjazdu na drogę wiodącą w dół do rzeki. Przy brzegu stały jeszcze dwa samochody: stary plymouth i, jak się zdawało, jeszcze starszy volkswagen garbus; obok leżały dwa kolejne czółna. Obok plymoutha stał Lionel Fontenot, ubrany w niebieskie dżinsy i drelichową koszulę. Rzucił okiem na nasze półautomaty, ale nic nie powiedział.

Było nas wszystkich czternastu, większość uzbrojona w H&K, a dwóch ludzi dzierżyło M16. Po trzech wsiedliśmy na czółna, zaś Lionel i kierowca dodge'a płynęli na czele w mniejszej łódce. Zostaliśmy z Louistem rozdzieleni, każdy z nas dostał wiosło i ruszyliśmy w górę rzeki.

Wiosłowaliśmy przez dwadzieścia minut, trzymając się zachodniego brzegu, aż na tle nocnego nieba pojawił się ciemny kształt. Dostrzegłem mrugające w oknach światła, a dalej, za szpalerem drzew, mały pomost, przy którym przycumowana była motorówka. Teren okalający dom Joego Bonesa tonął w ciemnościach.

Z przodu dobiegł cichy gwizd, a uniesione dłonie dały nam znać, że mamy przestać wiosłować. Czekaliśmy w ciszy, ukryci pod rosnącymi nad rzeką drzewami. Coś błysnęło na pomoście i na moment twarz strażnika została oświetlona płomieniem zapalniczki, kiedy zapalał papierosa. Gdzieś przed sobą usłyszałem cichy plusk, a wysoko na brzegu zahukała sowa. Widziałem ruchy strażnika na tle oświetlonej księżycem wody, słyszałem, jak szura ciężko obutymi nogami po drewnianym pomoście. Nagle tuż obok niego wyrósł ciemny kształt, a odbijający się w wodzie księżyc stracił swój idealny kształt. Błysnął nóż i czerwony ogień papierosa poszybował w powietrzu jak zwiastun nieszczęścia, a strażnik osunął się na ziemię. Jego ciało zostało spuszczone do wody niemal bezgłośnie.

Facet z kucykiem czekał przy pomoście, kiedy podpłynęliśmy tak blisko, jak tylko można było, do trawiastego brzegu, wysiedliśmy z czółen i wyciągnęliśmy je na ląd. Brzeg wznosił się stromo i łączył z połącią zielonego trawnika, nie skalanego kwiatami czy drzewami. Siegał on tyłu domu, gdzie schody prowadziły na taras z drzwiami balkonowymi na parterze, osłonięty z góry galerią na piętrze, taką samą jak od frontu. Dostrzegłem ruch na galerii i usłyszałem głosy dochodzące z tarasu. Przynajmniej trzech strażników, od frontu musiało ich być więcej.

Lionel uniósł dwa palce i wybrał dwóch ludzi, którzy stali po mojej lewej stronie. Ruszyli ostrożnie, schylając się jak najniżej, i zmierzali w stronę domu. Znajdowali się jakieś dwadzieścia metrów od nas, kiedy

318

nagle cały dom rozbłysnął jasnym światłem. Dwaj mężczyźni zostali przyłapani jak króliki w snopach samochodowych reflektorów, z domu dobiegły krzyki, a z galerii posypały się strzały z broni maszynowej. Jeden z mężczyzn okręcił się jak łyżwiarz figurowy, któremu nie wyszedł skok, a z jego piersi, niby deszcz świeżych kwiatów, trysnęła krew. Upadł, wykręcając nogi, podczas gdy jego partner zdołał ukryć się za zasłoną metalowego stolika, części ogrodowego kompletu, który, ledwie widoczny, stał przy brzegu rzeki.

Okna balkonowe otworzyły się i na taras wysypały się czarne sylwetki. Do strażnika na galerii dołączyli jeszcze dwaj, którzy zarzucili trawnik gradem kul. Gdzieś z boku domu błysnął ogień strażaków, kiedy kolejni ludzie Bonesa dołączyli do reszty.

Tuż obok miejsca, gdzie leżałem, usłyszałem klnącego Lionela. Byliśmy częściowo osłonięci stokiem trawnika, ale ci, którzy strzelali z galerii, trafiali coraz bliżej. Niektórzy spośród ludzi Fontenota odpowiadali ogniem, jednak w ten sposób wystawiali się na widok tym z domu. Jeden z nich, czterdziestoletni facet o ostrych rysach i ustach wąskich jak nóż do papieru, jęknął, gdy kula trafiła go w bark. Nie przestał strzelać, nawet gdy krew zaczęła zalewać mu koszulę.

— Stąd do budynku jest pięćdziesiąt metrów — powiedziałem. — Ze wszystkich stron nadciągają strażnicy, żeby nas odciąć. Jeżeli się teraz nie ruszymy, to po nas.

Tuż obok lewej ręki Fontenota rozprysła bryła ziemi. Jeden z ludzi Bonesa był już prawie nad rzeką, zмирzając od frontu domu. Zza metalowego stolika poszły dwie serie z M16 i facet upadł, tocząc się po trawie do wody.

— Powiedz ludziom, żeby się przygotowali — syknąłem. — Będziemy was osłaniać.

Wiadomość dotarła do wszystkich.

— Louis! — krzyknąłem. — Jesteś gotów wypróbować swoje zabawki?

Sylwetka, od której dzieliły mnie dwie osoby, odpowiedziała machnięciem ręki i nasze półautomaty ożyły. Jeden ze strażników na galerii bryknął i zatańczył, trafiony dziewięćmilimetrową kulą Louisa. Przesunąłem nastawnik maksymalnie do przodu i posłałem automatyczną serię poprzez taras. Jedno z okien balkonowych eksplodowało gradem rozbitego szkła, kolejny z ludzi stoczył się ze schodów i znieruchomiał na trawie. Ludzie Fontenota wyskoczyli z kryjówek i ruszyli przez trawę, nie przestając strzelać. Przełączyłem nastawnik na pojedyncze strzały i skoncentrowałem się na wschodnim skrzydle domu, posyłając w powietrze drzazgi i zmuszając obecnych tam goryli do obrony.

319

Ludzie Fontenota byli już prawie na tarasie, gdy dwóch z nich dosięgły kule wystrzelone z za zbitego okna balkonowego. Louis posłał tam serię, a chłopcy Lionela wkroczyli najpierw na taras, a potem do domu. Słysząc było dochodzącą stamtąd wymianę ognia, gdy wraz z Louisem podnieśliśmy się i ruszyliśmy biegiem przez trawnik.

Po mojej lewej stronie facet, który czał się za stołem ogrodowym, porzucił swą kryjówkę, by do nas dołączyć. W tej chwili coś wielkiego i ciemnego wypadło z cienia i z głębokim, wściekłym warczeniem skoczyło na mężczyznę. Boerbul runął mu na pierś i swym ogromnym ciężarem przygniół do ziemi. Mężczyzna krzyknął raz, grzmocąc pięściami w głowę bestii, ale wielkie szczęki zacisnęły się na jego szyi i pies jednym szarpnięciem łba rozdarł mu gardło.

Zaraz też podniósł łeb i ślepie mu zabłysły w ciemności, gdy dostrzegł mojego partnera. Louis kierował już ku niemu pistolet, gdy pies porzucił trupa i wyskoczył w powietrze. Poruszał się z zadziwiającą prędkością. Gdy tak leciał, jego ciemny kształt przesłonił nam rozgwieżdżone niebo. Właśnie osiągał najwyższy punkt swojego skoku, gdy calico Louisa zaśpiewał i kule rozdarły ciało zwierzęcia. Targane wstrząsami upadło pół metra od nas. Łapy darły trawę, szukając oparcia, a szczęki wciąż pracowały, jakby coś żuły, nawet gdy z pyska trysnęła spieniona krew. Kolejna seria z pistoletu Louisa sprawiła, że pies znieruchomiał.

Gdy byliśmy już prawie przy stopniach, kątem oka dostrzegłem ruch w zachodniej części domu. Błysnął strzał i Louis wrzasnął z bólu. Upuścił pistolet na ziemię i dopadł do schodów, trzymając się za zranioną rękę. Posłałem trzy strzały; ochroniarz Bonesa upadł. Za moimi plecami, strzelając raz po raz, biegł człowiek Lionela z M16, a kiedy dotarł do rogu budynku, zawiesił broń na pasku na ramieniu. Światło księżycy zabłysło na ostrzu jego noża, gdy stanął, czekając. Najpierw pojawiła się krótka lufa steyra, a tuż za nią twarz jednego z ludzi Bonesa. Rozpoznałem

w nim kierowcę wózka golfowego, którego spotkałem u wrót plantacji przy okazji naszej pierwszej wizyty tutaj, lecz ledwie zdążyłem to sobie przypomnieć, kiedy jednym błyskiem nóż sięgnął jego szyi. Karmazynowy strumień trysnął w powietrze z przeciętych tętnic, a upadającego dosięgły jeszcze strzały z M16 posłane przez człowieka, który teraz zmierzał ku frontowej części domu.

Louis oglądał zranioną rękę, gdy do niego dotarłem. Kula przeszła po wierzchu dłoni, zostawiając paskudną ranę, i strzaskała kostkę palca wskazującego. Rozdarłem koszulę rozciągniętego na tarasie zastrzelonego strażnika, z paska materiału zrobiłem temblak i zawiesiłem na nim rękę

320

?

Louisa. Podąłem mu calico i pomogłem położyć palec na spuście. Lewą dłonią sięgnął po SIGa i skinął do mnie, podnosząc się z ziemi.

— Lepiej poszukajmy Joego Bonesa — powiedział.

Weszliśmy przez taras do budynku i znaleźliśmy się w jadalni. Stół, przy którym mogło swobodnie usiąść z osiemnaście osób, był obłupany i podziurawiony kulami pistoletów. Na ścianie wisiał portret dżentelmena z Południa, stojącego obok konia, który w brzuchu miał teraz wielką dziurę, zaś kolekcja starych talerzy z porcelany leżała potłuczona na drobne kawałki pośród tego, co zostało z gabloty, gdzie stała. W pokoju były dwa trupy. W jednym z nich rozpoznałem kierowcę dodge'a z kucykiem.

Z jadalni wyszliśmy na długi korytarz prowadzący do holu z żyrandolami, z którego biegły schody na górę. Drugie drzwi na parterze były otwarte, lecz nie dochodził zza nich żaden dźwięk. Gdy ruszaliśmy do schodów, z góry dobiegały odgłosy nie przerywanego ognia. Przy stopniach leżał jeden z ludzi Bonesa w pasiastych spodniach od piżamy, a z paskudnej rany w głowie lała mu się krew.

Na górze ciągnął się następny korytarz z drzwiami po obu stronach. Ludzie Fontenota oczyścili już większość pomieszczeń, jednak musieli teraz kryć się we wnękach i po kątach przed ogniem z dwóch pokoi w zachodniej części domu: jednego po prawej stronie, wychodzącego na rzekę — którego drzwi już były podziobane kulami — i drugiego, z oknem od frontu. Gdy to obserwowaliśmy, mężczyzna w niebieskim kombinezonie, niosący siekiere na krótkim trzonku w jednej ręce, a zdobycznego steyra w drugiej, przemknął szybko ze swojej kryjówki ku wejściu do pokoju od frontu. Zza drzwi po prawej stronie padły strzały i mężczyzna upadł, chwytając się za nogę.

Ukryłem się w głębokiej wnęce, gdzie połamane róże o długich łodygach leżały w wodzie i wśród skorup rozbitego wazonu, i posłałem długą serię w stronę drzwi, zza których ktoś przed chwilą postrzelił tego faceta. Jednocześnie nadbiegło dwóch ludzi Fontenota. Stojący naprzeciwko mnie Louis wycelował w nieodmknięte drzwi pokoju od strony rzeki. Przestałem strzelać, gdy nasi dotarli do pokoju i dobrali się do tego, który tam siedział. Rozległy się jeszcze dwa strzały, po czym jeden z mężczyzn wyszedł, wycierając w spodnie nóż.

To był Lionel Fontenot. Za nim pojawił się Leon.

Stanęli po obu stronach drzwi prowadzących do ostatniego pokoju. Dołączyło do nich jeszcze sześciu.

— To już koniec, Joe — krzyknął Lionel. — Musimy to załatwić.

Dwa strzały przeszły drzwi. Leon uniósł swojego H&K z zamiarem wystrzelenia, ale Lionel go powstrzymał, unosząc rękę, i spojrzął na mnie.

321

r

Podszedłem do nich i stanąłem obok niego; Fontenot pchnął drzwi nogą i przyłgnał płasko do ściany, kiedy dwie kolejne kule świsnęły w powietrzu, po czym kurek trafił w pustą komorę: dźwięk tak rozstrzygający jak odgłos zamykanej trumny.

Pierwszy do pokoju wszedł Leon, zamiast H&K trzymając teraz w rękach dwa noże. Ja byłem tuż za nim, za mną Lionel. Ściany sypialni Joe-go Bonesa podziurawiły kule, przez rozbite okno wkradało się nocne powietrze, a białe zasłony wirowały w powietrzu jak rozszoszczone duchy. Blondynka, z którą tamtego dnia Joe jadł lunch, leżała martwa pod przeciwległą ścianą, na lewej piersi białej koszuli nocnej czerwieniła się plama krwi.

Bones stał przy oknie ubrany w czerwony jedwabny szlafrok. Bezużyteczny colt tkwił w wiszącej wzdłuż boku ręce, lecz jego oczy błyszczały gniewem, a blizna przy wardze odznaczała się biało na skórze. Upuścił pistolet.

— Zrób to, kurwa — syknął do Lionela. — Zabij mnie, jak starczy ci odwagi.

Lionel zamknął za nami drzwi, a Joe obejrzał się i popatrzył na kobietę.

— Pytaj go — odezwał się Fontenot.

Joe Bones zachowywał się, jakby nas nie słyszał. Na jego twarzy malował się bezgraniczny smutek, kiedy oczami błędził po rysach swej kochanki.

— Osiem lat — rzekł cicho. — Była ze mną osiem lat.

— Pytaj — powtórzył Lionel.

Zrobiłem krok do przodu, a Joe Bones uśmiechnął się szyderczo, odwracając głowę; smutek z jego twarzy prysł.

— Pieprzony, żalony wdowiec. Twój tresowany czarnuch też tu jest? Dałem mu w policzek, aż się cofnął.

— Nie mogę cię ocalić, Joe, ale jeśli mi pomożesz, to załatwię ci szybką śmierć. Powiedz mi, co Remarr widział tamtej nocy, kiedy zginęli Agu-illardowie.

Wytarł krew z kącika ust, rozsmarowując ją po policzku.

— Nie masz pojęcia, w czym się babrzesz, nie masz pieprzonego pojęcia. Wypłynąłeś na takie, kurwa, głębokie wody, że aż dziw, że jeszcze nie utonałeś.

— On zabija kobiety i dzieci, Joe. I będzie dalej zabijał. Wykrzywił usta w czymś na kształt uśmiechu, blizna przecięła jego pełne wargi — to było jak pęknięcie na tafli lustra.

— Zabiliście moją kobietę i zabijecie mnie bez względu na to, co powiem. Nie masz mi nic do zaoferowania — rzekł.

322

Spojrzałem na Fontenota. Prawie niedostrzegalnie pokręcił głową, ale Bones to zauważył.

— No widzisz, nic. Możesz mi jedynie załatwić mniejszy ból, ale ból to dla mnie nic nowego.

— On zabił twojego człowieka. Zabił Tony'ego Remarra.

— Tony zostawił ślad w domu czarnuchów. Był nieostrożny i musiał za to zapłacić. Ten twój morderca oszczędził mi fatygi i sam zabił starą i jej syna. Jak go spotkam, uścisknę mu dłoń.

Joe Bones posłał nam szeroki uśmiech jak błysk słońca poprzez mrok gryzącego dymu. Nękany wizją nieczystej krwi płynącej w jego żyłach, wykroczył poza podstawowe pojęcia człowieczeństwa i współczucia, miłości i smutku. W swoim połyskującym, czerwonym szlafroku wyglądał jak skaza na tkaninie czasu i przestrzeni.

— Spotkacie się w piekle — powiedziałem.

— Jak spotkam tam twoją dziwkę, przelecę ją w twoim imieniu.

Jego zimne oczy były teraz zupełnie bez wyrazu. Zapach śmierci unosił się nad nim jak dym z cygar. Lionel otworzył drzwi i pozostali jego ludzie weszli do pokoju. Dopiero teraz, gdy zebrali się w jednym pomieszczeniu, było widać, jak bardzo wszyscy są do siebie podobni. Fontenot

przytrzymał drzwi, bym opuścił pokój.

— To sprawa rodzinna — rzekł, gdy wychodziłem.

Drzwi zamknęły się za mną z cichym trzaskiem przywodzącym na myśl grzechotanie kości. Kiedy Bones już skonał, wszystkie ciała nieżyjących ludzi Lionela przenieśliśmy na trawnik przed domem. Pięciu mężczyzn leżało obok siebie poskręcanych i okaleczonych, jak to tylko w chwili śmierci jest możliwe. Przez otwartą bramę wjechał dodge, za nim volkswagen i półciężarówka. Ciała zostały szybko, lecz ostrożnie załadowane do bagażników, ranni z pomocą zdrowych usiedli na tylnych siedzeniach. Czółna polano benzyną, podpalono i puszczono na wodę.

Opuściliśmy posesję i dojechaliśmy aż do miejsca spotkania przy Starhill. Trzy czarne jeepy, które widziałem w posiadłości Lionela w Dela-croix, już czekały, ich silniki pracowały na wolnych obrotach, świeciły światła pozycyjne. Gdy Leon polewał samochody benzyną, inni usuwali z bagażników ciała, owijali je brezentem i układali z tyłu w jeepach. Przyglądaliśmy się z Louisem temu wszystkiemu w ciszy.

Gdy silniki jeepów zwiększyły obroty, a Leon wrzucił do wozów płonące szmaty, Lionel podszedł do nas i we trójkę patrzyliśmy, jak płoną. Potem wyjął z kieszeni mały zielony notes, zapisał numer i wyrwał kartkę.

323

— Ten człowiek zajmie się ręką twojego przyjaciela. Będzie dyskretny.

— Joe wiedział, kto zabił Lutice, Lionel — zauważyłem. Przytaknął.

— I tak by nie powiedział, do samego końca. — Przejechał palcem wskazującym wzdłuż rany na prawej dłoni, oczyszczając ją z ziemi. — Podobno federalni szukają w okolicach Baton Rouge kogoś, kto kiedyś pracował w nowojorskim szpitalu.

Milczałem, a on się uśmiechnął.

— Wiemy, jak się nazywa. Być może ukrywa się na bagnach już od dłuższego czasu i ma swoje drogi. Federalni mogą go nie znaleźć, ale nam się to uda. — Machnął ręką jak król, który prezentuje swych najlepszych wojów zaniepokojonym poddanym. — Szukamy. Znajdziemy go i tak się to skończy.

Odszedł i wszedł do pierwszego jeepa, Leon obok niego, i odjechali w noc, a czerwone światła świeciły jak papierosy w ciemności, jak łódzie płonące na czarnej wodzie.

W drodze powrotnej do miasta zadzwoniłem do Angela. W całodobowej aptece kupiłem płyn odkażający i apteczkę, żebyśmy mogli zająć się ręką Louisa. Twarz błyszczała mu od potu, a materiał, którym miał owinięte palce, nasiąknął krwią. Gdy wróciliśmy do Flaisance, Angel przemył ranę środkiem odkażającym i próbował ją zszyć nicią chirurgiczną. Kostka wyglądała nieciekawie i Louis krzywił się z bólu. Mimo jego protestów zadzwoniłem pod numer, który dostaliśmy. Niewyraźny głos, jaki zabrzmiał w słuchawce, pozbył się sennych tonów, jak tylko wymieniłem nazwisko Lionela.

Angel zawiózł Louisa do gabinetu lekarza. Kiedy pojechali, stanąłem pod drzwiami Rachel, zastanawiając się, czy zapukać. Wiedziałem, że nie śpi: Angel rozmawiał z nią po moim telefonie i przez drzwi czułem teraz, że jeszcze się nie położyła. Nie zapukałem jednak, ale kiedy wracałem już do swojego pokoju, otworzyła drzwi. Miała na sobie biały T-shirt, sięgający prawie do kolan, i czekała na mnie. Odsunęła się i wpuściła mnie do środka.

— Widzę, że jeszcze jesteś w jednym kawałku — powiedziała. Nie wydawała się jednak szczególnie zadowolona.

Czułem się zmęczony i mdliło mnie od widoku krwi. Chciałem zanurzyć twarz w lodowatej wodzie. Chciałem się napić tak bardzo, że mój język spuchł i zdawało się, iż tylko oszroniona flaszczyka porządnie schłodzonego piwa i szklaneczka whisky mogą przywrócić mu normalne

rozmiary. Kiedy się odezwałem, mój głos przypominał rżenie starca na łożu śmierci.

324

— Jestem w jednym kawałku — odparłem. — Kilku innych miało mniej szczęścia. Louis dostał w rękę i zbyt wielu zginęło. Joe Bones, większość jego ludzi, jego kobieta...

Odwróciła się i podeszła do drzwi balkonowych. Pokój oświetlała tylko lampka nocna, rzucająca cienie na ilustracje, które schowała przed Wool-richem i które znowu zawisły na ścianie. Z półmroku wylaniały się obdarte ze skóry ręce oraz twarze kobiety i młodego mężczyzny.

— Czego się dowiedziałeś, co dostałeś za taką ilość trupów?

To było dobre pytanie. Jak to bywa z dobrymi pytaniami, żadna odpowiedź nie mogła spełnić oczekiwań osoby, która je zadała.

— Nic, Joe Bones wolał umrzeć w męczarniach, niż powiedzieć nam, co wie.

— I co zamierzasz teraz zrobić?

Zaczynałem mieć dosyć pytań, zwłaszcza tak trudnych. Wiedziałem, że Rachel ma rację i czułem do siebie wstręt. Miałem wrażenie, że została zbrukana przez swój kontakt ze mną. Może trzeba było jej to wszystko wtedy powiedzieć, ale byłem zbyt zmęczony i zbierało mi się na wymioty, a w nozdrzach miałem zapach krwi; poza tym zdaje się, że i tak większość z tego wiedziała.

— Idę do łóżka — odparłem. — A potem będę improwizować. I wyszedłem.

Nazajutrz obudziłem się z bólem ramion wywołanym strzelaniem z półautomatu, który wzmagała jeszcze rana zadana mi w Haven. Czułem zapach prochu na palcach, we włosach i na ubraniu.

Pokój śmierdział jak pole bitwy, więc otworzyłem okno i pozwoliłem, by gorące powietrze miasta zakradło się do środka ciężko jak niezgrabny włamywacz.

Zapukałem do Angela i Louisa. Ręka tego drugiego została fachowo obandażowana po tym, jak lekarz oczyścił ranę z odłamków kości i założył opatrunek na strzaskany staw. Louis ledwo otworzył oczy, kiedy w drzwiach zamieniłem kilka słów z Angelem. Czułem się winny tego, co się stało, chociaż wiedziałem, że oni nie mieli do mnie pretensji.

Wyczułem też, że Angel chce wracać do Nowego Jorku. Joe Bones nie żył, a policja i FBI, mimo wątpliwości Fontenota, pewnie byli bliscy schwy-

325

tania Edwarda Byrona. Poza tym Woolrich prędzej czy później odkryłby nasz związek ze śmiercią Bonesa, zwłaszcza gdyby Louis zaczął paradować z raną od kuli w dłoni. Powiedziałem o tym wszystkim Angelowi, a on oznajmił, że wyjadą, jak tylko będę w hotelu, żeby nie zostawiać Rachel samej. Wydawało mi się, że cała sprawa utknęła w martwym punkcie. Gdzieś tam federalni i Fontenotowie polowali na Edwarda Byrona, człowieka, który wciąż wydawał mi się równie bliski jak ostatni cesarz Chin.

Zostawiłem Morphy'emu wiadomość. Chciałem się dowiedzieć, co jego ludzie mieli na temat Byrona, chciałem stworzyć sobie pełniejszy obraz jego postaci. Na razie był pozbawiony tożsamości, jak pozbawione twarzy ofiary, które wedle przypuszczeń FBI zostawiał za sobą.

Może federalni mieli rację. Razem z lokalną policją mogli działać skuteczniej niż grupa przybyszy z Nowego Jorku, którym wydawało się, że będą tu odpowiedniejsi. Do wczoraj miałem nadzieję, że uda mi się go podejść od innej strony, ale po śmierć Bonesa ta droga jakby urwała się nagle w płataninie gęstych zarośli.

Wziąłem swój telefon i książkę z tekstami Ralegha i pojechałem do Mother's na Poydras Street, gdzie opilem się kawy i zjadłem boczek na ciemnym toście. Gdy człowiek zabrnę w ślepą ulicę, nie ma jak towarzystwo Ralegha. „Idź, duszo... skoro umrzeć mam/Idź i światu kłam”. Wiedział dostatecznie dużo, by ze spokojem stoika znosić przeciwności losu, choć najwyraźniej zbyt mało, by uratować własną głowę przed egzekucją.

Niedaleko mnie jakiś facet jadł jajka z szynką z wysiłkiem i koncentracją kiepskiego kochanka, a

żółtko zabarwiło mu brodę na odcień odbijającego słońce jaskra. Ktoś zagwizdał kawałek z „Whafs New?”, ale poplątał się w skomplikowanej melodii. Powietrze wypełniały rozmowy, płynąca z radia pop-rockowa piosenka i niski, wzmagający się szum brnących w coraz większych korkach odległych samochodów. Zaczął się kolejny wilgotny dzień w Nowym Orleanie; w dni takie jak ten kochankowie się kłócą, a dzieci dąsają się bez powodu.

Minęła godzina. Zadzwoiłem do wydziału detektywów w St Martin i dowiedziałem się, że Morphy wziął wolny dzień, by popracować przy swoim domu. Nie miałem nic do roboty, więc uregulowałem rachunek, zatankowałem i kolejny raz ruszyłem w stronę Baton Rouge.

Wyszukałem rozgłośnie z Lafayette nadającą skoczną muzykę Cheese Read, Buckwheat Zydeco i Cliftona Cheniera — godzina miejscowej klasyki, cajun i zydeco, jak dodał prezenter. Nie zmieniałem stacji, dopóki nie zostawiłem za sobą miasta, a otaczające mnie dźwięki nie zwały się z krajobrazem.

Płachta folii powiewała na dmuchającym od rzeki wietrze, kiedy wczesnym popołudniem zatrzymałem się przed domem Morphy'ego. Widocznie

326

sam zabrał się za naprawę części zachodniej ściany; liny przytrzymujące folię na miejscu na wystających belkach pod dachem pojękiwały śpiewnie przy akompaniamencie bryzy, która usiłowała wyszarpnąć je z miejsc, gdzie były umocowane. W pewnej chwili podmuch otworzył okno, które nie zostało dobrze zamknięte, a drzwi z moskitierą zastukały o framugę jak zdrony przybysz.

Zawołałem Morphy'ego, ale mi nie odpowiedział. Poszedłem za dom, gdzie zauważyłem otwarte i przytrzymane cegłą tylne drzwi. Krzyknąłem jeszcze raz, ale mój głos tylko odbił się głuchym echem w korytarzu. Pokoje na dole były puste, a z góry nie dochodził żaden dźwięk.

Wyciągnąłem pistolet i wszedłem na piętro po świeżo oheblowanych i przygotowanych do impregnacji schodach. W sypialniach nie było nikogo, przez szeroko otwarte drzwi łazienki zobaczyłem starannie ustawione przy umywalce przybory toaletowe. Sprawdziłem balkon i wróciłem na dół. Kiedy zawróciłem do tylnych drzwi, na karku poczułem zimny dotyk metalu. ,

— Rzuć to — usłyszałem. ?\ Wypuściłem pistolet z ręki. i — Odwróć się. Powoli.

j Nacisk na kark ustąpił, odwróciłem się i zobaczyłem stojącego przede i mną Morphy'ego i pistolet do wbijania gwoździ, który trzymał tuż przy mojej twarzy. Odetchnął z ulgą i opuścił rękę. : — Cholera, ale mnie przestraszyłeś — powiedział.

Serce biło mi w piersiach jak szalone.

— Dzięki — wysapałem. — Tego mi było trzeba: skoku adrenaliny po pięciu kawach.

Usiadłem ciężko na najniższym stopniu.

— Okropnie wyglądasz, chłopie. Mało spałeś?

Uniosłem głowę, aby się upewnić, czy słusznie podejrzewam go o uszczypliwość, ale stał odwrócony do mnie plecami.

— Coś w tym rodzaju.

— Słyszałeś najnowsze wiadomości? Joe Bones i jego załoga zostali sprzątnięci zeszłej nocy.

Ktoś nieźle pociachał Joego przed śmiercią. Miejscowi gliniarze nie byli nawet pewni, czy to on, dopóki nie sprawdzili odcisków palców.

Zszedł do kuchni, po chwili wrócił z piwem dla siebie i wodą mineralną dla mnie. Pod pachą niósł egzemplarz Times-Picayune.

— Widziałeś?

Wziąłem gazetę do ręki. Złożył ją we czworo tak, że dół pierwszej strony był na wierzchu.

Nagłówek głosił: POLICJA ŚCIGA SPRAWCĘ RYTUALNYCH MORDERSTW. Artykuł

podawał szczegóły zabójstw Marie

327

Aguillard i Tee Jeana, które musiały pochodzić od kogoś z grupy śledczej: ułożenie ciał, jak zostały odkryte, rodzaj niektórych ran. Wspomniano też o prawdopodobnym powiązaniu odkrycia ciała Lutice Fontenot ze śmiercią jakiegoś mężczyzny w Bucktown, będącego jedną z wiodących postaci świata przestępczego. Najgorsze było to, że artykuł nadmieniał, iż policja nie wyklucza związku z podobnym podwójnym morderstwem, które miało miejsce tego roku w Nowym Jorku. Nie wydrukowano imion Susan i Jen-nifer, ale było jasne, że skoro autor, podpisujący się jako „Dziennikarz Ti-mes-Picayune”, wiedział o wszystkich tych sprawach tyle, to znał też nazwiska ofiar.

Znużony odłożyłem gazetę.

— Czy ten przeciek to robota któregoś z twoich ludzi? — zapytałem.

— Niewykluczone, ale osobiście wątpię. Federalni zwalają to na nas. Wsiedli nam na tyłki i oskarżają o utrudnianie śledztwa.

Napił się piwa i dopiero wówczas powiedział to, co chodziło mu po głowie:

— Niektórzy chyba uważają, że to ty mogłeś podać prasie szczegóły. Najwyraźniej czuł się niezręcznie, mówiąc to, ale nie odwrócił spojrzenia.

— Ja tego nie zrobiłem. Ale skoro ci z prasy wiedzą już o Susan i Jen-nifer, to na pewno wkrótce powiążą mnie z tym, co się dzieje. A kręcący się wokół mnie dziennikarze to ostatnia rzecz, jakiej mi teraz trzeba.

Rozważył to, co powiedziałem, i skinął głową.

— Chyba masz rację.

— Rozmawialiście z redaktorem naczelnym?

— Kiedy wyszło pierwsze wydanie, złapaliśmy go w domu. Zacząj nam wciskać kity o wolności prasy i prawie do nieujawniania źródeł. Nie możemy go do niczego zmusić, ale... —

Potał ręką po karku. — ...coś tv nie gra. Gazety raczej uważają, by nie zaszkodzić śledztwu.

Moim zda-| niem wyszło to od kogoś, kto jest blisko sprawy.

Zastanowiłem się nad tym, co powiedział.

— Jeżeli zdecydowali się to napisać, to musieli uznać, że te informa-| cje to pewniak, a źródło jest wiarygodne — stwierdziłem. — Możliwe, że federalni prowadzą jakąś grę.

Wszystko wydawało się potwierdzać naszą teorię, że Woolrich i jego| drużyna coś ukrywają, nie tylko przede mną, ale i przed policją.

— To nie byłoby nic nowego — zauważył Morphy. — Federalni nie po-| wiedzieliby ci, jaki jest dzień tygodnia, gdyby tylko uznali, że zdołają się od tego wymigać. Uważasz, że mogli podrzucić prasie tę historię?

— Ktoś to przecież zrobił.

328

Skończył piwo i nogą zgniótł pustą puszkę. Na drewnie pojawiła się plamka piwa. Z wieszaka na kapelusze stojącego obok drzwi wziął pas z narzędziami i założył go.

— Pomóc ci? Popatrzyl na mnie.

— Dasz radę podnieść deskę, żeby się nie przewrócić?

— Nie.

— No to się świetnie nadajesz. W kuchni jest zapasowa para rękawic.

Przez resztę popołudnia pracowałem fizycznie, wciągając i nosząc różne rzeczy, stukając młotkiem i pilując. Wymieniliśmy większość listew na ścianie od zachodniej strony, a wiatr unosił wokół nas trociny i wióry. Potem Angie wróciła z zakupami z Baton Rouge. Wzięliśmy się z Morphyem za porządki, a ona przygotowała steki ze słodkimi ziemniakami, marchewką i

kreolskim ryżem. Jedliśmy w kuchni, gdy za oknem zapadał wieczór, a wiatr otulał dom swoimi ramionami.

Morphy odprowadził mnie potem do samochodu. Kiedy wkładałem kluczyk do stacyjki, pochylił się do okna i rzekł cicho:

— Wczoraj ktoś zawracał głowę Stacey Byron. Wiesz coś o tym?

— Może.

— Byłeś tam, prawda? I byłeś z tymi, co sprzątnęli Joego Bonesa?

— Lepiej, żebyś nie znał odpowiedzi na to pytanie — odparłem. —A ja nie chcę wiedzieć o Lutherze Bordelonie.

Odjeżdżając widziałem, jak stoi przed swoim niewykończonym do-'Inem. Po chwili odwrócił się i wrócił do żony.

Kiedy wróciłem do Flaisance, Angel i Louis byli już spakowani i gotowi do < podróży. Życzyli mi powodzenia i powiedzieli, że Rachel wcześniej się po-? łożyła. Przedtem zarezerwowała sobie bilet na dzień następny. Postanowiłem jej nie przeszkadzać i poszedłem prosto do swojego pokoju. Nawet nie wiem, kiedy zasnąłem.

Świecąca tarcza mojego zegarka wskazywała ósmą trzydzieści rano, kiedy ktoś załomotał w drzwi. Spałem głęboko i pomału wracałem do rzeczywistości, jak nurek z trudem wypływający na powierzchnię. Siedziałem już na brzegu łóżka, gdy drzwi otworzyły się z impetem, latarki zaświeciły mi po oczach, a silne dłonie pochwyciły i pchnęły mocno pod ścianę. Ktoś przyłożył mi pistolet do głowy i zapaliło się główne światło. Dostrzegłem mundury policji nowoorleańskiej, kilku ludzi w cywilu i partnera Mor-phy'ego, Touissanta. Zaczęli przeszukiwać pokój.

I wtedy już wiedziałem, że stało się coś bardzo, bardzo złego.

329

Pozwolili mi założyć dres i adidasy i zakuli mnie w kajdanki. Przeprowadzili mnie przez hotel — gdzie inni goście z ciekawością wystawiali głowy na korytarz — do czekającego na zewnątrz policyjnego wozu. W drugim samochodzie, z bladą twarzą i włosami w nieładzie, siedziała Rachel. Bezradnie wzruszyłem ramionami, po czym oboje zostaliśmy wywiezieni z Quarter. Przesłuchiwali mnie trzy godziny, potem dali kawę i znowu wałkowali przez następną godzinę. Pokój był mały i jasno oświetlony. Śmierdział dymem papierosowym i starym potem. W rogu, gdzie tynk był podziurawiony i wytarty, dostrzegłem coś, co wyglądało jak plama krwi. Pytania zadawali mi dwaj detektywi, Dale i Klein. Dale grał rolę agresywnego śledczego i groził, że za zabicie gliny z Luizjany wrzuci mnie do bagna z kulką w głowie. Klein z kolei bawił się w rozsądnego, wrażliwego człowieka i chciał mnie chronić, a zarazem upewnić się, że mówię prawdę. > wet w rozmowach z innymi policjantami, para „dobry glina, zły glina” : gdy nie wychodziła z mody.

Powiedziałem im wszystko, co mogłem, raz, drugi, trzeci... Opowiedziałem o mojej wizycie u Morphy'ego, pracy przy sztalunku, obiedzie| o tym, jak się rozstaliśmy, dlaczego w domu pełno było moich odcisków palców. Nie, to nie Morphy dał mi policyjne kartoteki znalezione w moim pokoju. Nie, nie mogę powiedzieć, od kogo je dostałem. Nie, tylko nocny portier widział mnie, jak wchodziłem do hotelu, z nikim innym nie rozmawiałem. Nie, nie wychodziłem już więcej z pokoju tej nocy. Nie, nikt może tego potwierdzić. Nie. Nie. Nie. Nie. Nie.

Potem przyszedł Woolrich i znowu zaczęła się karuzela. Więcej pytań| tym razem w obecności federalnych. I przez cały ten czas nikt mi nie wiedział, dlaczego się tam znalazłem i co się stało z Morphem i jego żoną| W końcu wrócił Klein i poinformował mnie, że mogę iść. Za przepięknym z listewek, które oddzielało pokój śledczych od głównego korytarza siedziała Rachel z kubkiem herbaty w dłoniach, a krążący wokół niej del tektywi starannie ją ignorowali. W celi

trzy metry za nią chudy, biały pa-l jac z tatuażami na ramionach szeptał jej jakieś świństwa. Pojawił się Touissant. Był grubym, łysiejącym facetem po pięćdziesiąt-l ce, a rozwichrzone białe loki sprawiały, że jego łysina przywodziła na myśl sterczący pośród mgły górski szczyt. Miał czerwone oczy, wyglądał, jakb) wymiotował, i czuł się tam tak samo nie na miejscu jak ja. Jakiś policjant zwrócił się do Rachel.

— Odwieziemy panią teraz do hotelu.

Wstała. Facet w celi zaczął cmokać i chwycił się za krocze.

— Dobrze się czujesz? — spytałem, gdy mnie mijała.

330

Skinęła jak automat i przemówiła:

— Jedziesz ze mną?

Touissant stał po mojej lewej stronie.

— Dołączy do pani później — odpowiedział za mnie. Prowadzona przez policjanta Rachel obejrzała się i popatrzyła na mnie. Uśmiechnąłem się i chciałem, by uśmiech mój dodał jej otuchy, ale nie mogłem włożyć w to zbyt wiele serca.

— Chodźmy, odwiozę pana i po drodze napijemy się kawy — zaproponował Touissant, a ja wyszedłem za nim z budynku.

Pojechaliśmy do Mother's, gdzie siedziałem dwadzieścia cztery godziny wcześniej, czekając na telefon od Morphy'ego, i gdzie teraz jego partner miał mi opowiedzieć, jak zginęli John Charles Morphy i jego żona Angela. Miał przyjść do pracy na poranną zmianę i Touissant wpadł po niego. Podwozili się na przemian, tego dnia wypadło na niego.

Drzwi z moskitierą były zamknięte, ale wejściowe stały otworem. Touissant zawołał Morphy'ego, tak jak ja zrobiłem to poprzedniego popołudnia. Tak jak ja, przeszedł korytarzem, sprawdził kuchnię i pokoje po obu stronach. Pomyślał, że jego partner zasnął, chociaż nigdy wcześniej mu się to nie zdarzało, więc zawołał jeszcze raz. I tym razem nie było odpowiedzi.] Pamiętał, że już wtedy coś środkiem ścisnęło mu żołądek, kiedy wchodził po ; schodach, wołając najpierw Morphy'ego, potem Angie. Drzwi sypialni by-j ły uchylone, ale nie widział łóżka.

j Zapukał, po czym powoli otworzył drzwi. Przez moment, przez ułamek ; sekundy myślał, że się kochają, a on im przeszkodził, aż dotarło do jego zmysłów, że widzi krew, i zrozumiał, że to była parodia wszystkiego tego, co miłość oznaczała, czym była dla ludzi, i zapłakał nad swoim przyjacielem i jego żoną.

Nawet teraz wydaje mi się, że pamiętam tylko urywki tego, co mi powiedział, ale obraz pozostał w mojej głowie. Nadzy, zwrócenie do siebie twarzami, leżeli na tym, co kiedyś było białą pościelą, złączeni biodrami, ze splecionymi nogami. Od pasa w górę byli odsunięci od siebie na odległość wyciągniętej ręki. Zostali rozplątani od pępka po szyję. Morderca rozciął ich mostki i rozchylił żebra, i każde trzymało rękę zanurzoną w piersi drugiego. Kiedy Touissant podszedł bliżej, zauważył, że dłonie zaciskali sobie na sercach. Głowy mieli odchylone, tak że włosy dotykały niemal pleców. Zostali pozbawieni oczu, twarzy, a usta pozostały rozchylone w agonii, w momencie śmierci jak w ekstazie. Miłość została zredukowana do przykładu pokazującego innym kochankom, jaka jest płytka.

Kiedy Touissant mówił, poczucie winy jak fala ogarnęło mnie całego i przeszło mi serce. To ja sprowadziłem ten koszmar na ich dom. Poma-

331

gając mi, Morphy i jego żona zostali skazani na okrutną śmierć, podobnie jak Aguiillardowie, których zbrukał kontakt ze mną. Cuchnąłem śmiercią.

I nagle wśród tego wszystkiego przyszły mi do głowy wersy; nie wiedziałem, jak je wskrzesiłem

ani kto mi je pierwszy zacytował. Ale wydawało mi się, że ważne jest to, skąd pochodzą, choć nie wiedziałem dlaczego; brzmiały w nich echa opowieści Touissanta. Chciałem sobie przypomnieć głos, który je wygłaszał, jednak choć bardzo się starałem, on mi umykał. Zostały tylko linijki. Jakiś poeta metafizyczny, pomyślałem. Może Donne. Tak, prawie na pewno Donne. Jeśli zaś ci nie narodzeni Szarpiąc me ciało, stać mają się uczeni: Miła, pierwej zabij i poćwiartuj mnie, bo ta Tortura i twemu końcowi odpust da, Ścierwo kołem łamane to Anatomii łekcja zła. Remedia amoris, czy nie tak się to nazywało? Cierpienie i śmierć kochanków jako lekarstwo na miłość.

— On mi pomagał — rzekłem. — To ja go w to wpakowałem.

— Sam się wpakował — odparł Touissant. — Bo chciał to zrobić. Chciał dostać tego faceta. Patrzyliśmy na siebie.

— Z powodu Luthera Bordelona? Odwrócił wzrok.

— Jakie to ma teraz znaczenie?

Jednak nie potrafiłem wytłumaczyć, że w Morphy'ym widziałem trochę siebie samego, że znałem jego ból i chciałem wierzyć, iż był ode mnie lepszy. Musiałem to wiedzieć.

— To była robota Garzy — odezwał się w końcu Touissant. — Garza go zabił, a Morphy podrzucił pistolet. Tak twierdził. Był wtedy młody. Garza nie powinien był wplątywać go w tamtą sytuację, ale to zrobił i od tej pory Morphy za to płaci.

Zdał sobie sprawę, że użył czasu teraźniejszego, i zamilkł.

Na zewnątrz ludzie żyli swoim życiem: praca, wycieczki, jedzenie, flirtowanie, wszystko to trwało pomimo tego, co zaszło, pomimo tego, co wciąż się działo. Wydawało mi się, że ktoś powinien ich powstrzymać, zatrzymać zegary, zasłonić lustra, uciszyć dzwonki do drzwi, a głosy zniżyć do pełnego szacunku szeptu. Może gdyby ci ludzie zobaczyli zdjęcia Susan i Jenni-fer, Marie i jej syna, Morphy'ego i Angie, zatrzymaliby się i zastanowili. Właśnie tego chciał Podróżnik: przez zadawanie innym śmierci przypo-

332

mnieć nam o naszym własnym końcu, o tym, że miłość, lojalność, rodzicielstwo, przyjaźń, pożądanie i radość są bez wartości w obliczu nadciągającej, nieuniknionej pustki.

Kiedy wstałem, by wyjść, przypominałem sobie o czymś okropnym,

O czym niemal zapomniałem, i okrutny ból zrodził się w mych trzewiach

I rozlał po całym ciele, aż musiałem oprzeć się o ścianę, dłonią szukając przed sobą innego wsparcia.

— Boże, przecież ona była w ciąży. — Spojrzałem na Touissanta, a on na chwilę zamknął oczy.

— On wiedział, prawda?

Nie odzywał się, ale w oczach miał rozpacz. Nie zapytałem, co Podróżnik zrobił z nie narodzonym dzieckiem, przez chwilę widziałem straszliwy ciąg wydarzeń kilku ostatnich miesięcy mojego życia. Wydawało mi się, że przed oczami przesuwają mi się śmierć mojej córki, mojej Jennifer, ofiar Adelaide Modine i jej współnika Hyamsa, aż w końcu śmierć wszystkich dzieci. To, co robił Podróżnik, kryło w sobie jakieś dodatkowe znaczenie: śmierć nie narodzonego dziecka Morphy'ego stała się symbolem zredukowanej do strzępów ciała nadziei i przyszłości.

— Mam pana odwieźć do hotelu? — powiedział Touissant. — Ci z no-woorleańskiego wydziału policji dopilnują, żeby dziś wieczorem wrócił pan do Nowego Jorku.

Jednak ja ledwo go słyszałem. Myślałem tylko o tym, że Podróżnik bez przerwy nas obserwował i nie przerwał swojej gry. Wszyscy byliśmy uczestnikami, czy nam się to podobało, czy nie.

I przypominałem sobie coś, co mi kiedyś w Portland powiedział jeden naciągacz, Saul Mann, coś, co wydawało mi się ważne, choć nie mogłem sobie przypomnieć, dlaczego.

Nie ograsz kogoś, jeśli nie wciągniesz go do gry.

Touissant odwiózł mnie do hotelu. Gdy dotarłem do dawnej wozowni, drzwi do pokoju Rachel były uchylone. Zapukałem cicho i wszedłem. Jej ubrania wały się po podłodze, a pościel leżała zrzucona na hałdę w kącie. Wszystkie papiery zniknęły. Na gołym materacu łóżka stała otwarta walizka. Usłyszałem ruch w łazience i Rachel wyszła, niosąc kosmetyczkę pobrudzoną pudrem i podkładem. Domyśliłem się, że przeszukujący wszy-

333

iii!

stko gliniarze musieli zniszczyć kilka znajdujących się w środku opakowań.

Ubrana była w jasnoniebieską bluzę i granatowe dżinsy. Wzięła prysznic i mokre włosy lepiły się do jej twarzy. Była bosa. Dopiero teraz zauważyłem, jakie małe miała stopy.

— Przykro mi — powiedziałem.

— Wiem.

Nawet na mnie nie spojrzała. Zamiast tego zaczęła zbierać z podłogi ubrania i układać je w walizce najstaranniej, jak umiała. Schyliłem się, by podnieść skarpetki leżące pod moimi nogami.

— Zostaw — rzuciła. — Sama podniosę.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł policjant. Uprzejmie, ale stanowczo oświadczył, że mamy zostać w hotelu i czekać na człowieka, który zabierze nas na lotnisko.

Wróciłem do siebie i wziąłem prysznic. Przyszła pokojówka i posprzątała pokój, a ja usiadłem na czystej pościeli i wsłuchiwałem się w odgłosy ulicy. Myślałem o tym, jak spieprzyłem sprawę i jak wiele osób przez to zginęło. Byłem niczym Anioł Śmierci; gdybym stanął na trawniku, obumarłaby nawet trawa.

Musiałem przysnąć na chwilę, bo kiedy otworzyłem oczy, światło w po koju nie było już takie samo. Wydawało mi się, że zapadł zmierzch, jednak przecież nie było to możliwe. W pokoju unosił się odór gnijącej roślinności i wody pełnej wodorostów i zdechłych ryb. Gdy próbowałem wziąć oddech! powietrze w ustach wydało mi się ciepłe i wilgotne. Wyraźnie czułem, iA coś się wokół mnie rusza, jakieś kształty rzucały cienie w zakamarkach pokoju. Słyszałem szepty i dźwięk, jakby ktoś pocierał jedwabiem o dREW-j no. I kroki dzieci biegających po liściach. Zaszumiały drzewa, a gdzie^ w górze załopotwały skrzydła, uderzając nierówno, jakby ptak cierpił z bólu.

W pokoju zrobiło się jeszcze ciemniej, tak że ściana naprzeciwko mnid zrobiła się czarna.

Wpadające przez okno światło zabarwiło się na niebie^ sko i zielono i zaczęło drzeć jak w upalnym powietrzu.

Albo w wodzie.

Wyłoniły się z tej ciemnej ściany czarne kształty na tle zielonego światła. Niosły ze sobą miedziany zapach krwi tak silny, że czułem go na języku. Otworzyłem usta, by coś krzyknąć — nawet teraz nie jestem pewien) co ani kto miał mnie usłyszeć — ale wilgotne, lepkie powietrze unieruchmiło mi język jak gąbka nasiąknięta ciepłą, brudną wodą. Zdawało mi się, że jakiś ciężar spoczął mi na piersiach, bym nie mógł wstać, i z trudei wciągałem powietrze w płuca.

Moje dłonie zaciskały się rytmicznie,

334

i one znieruchomiały, i poczułem, jak to jest, kiedy w żyłach krąży ketami-na, czyniąc ciało sztywnym, gotowym na przyjęcie noża anatoma.

Postacie zatrzymały się na krawędzi ciemności, tuż poza zasięgiem przyćmionego światła padającego z okna. Były niewyraźne, ich kontury zmieniały się jak u sylwetek widzianych przez matowe szkło albo na wyświetlonym na ścianie slajdzie, który to traci, to znów zyskuje ostrość.

I wtedy usłyszałem głosy,

bird
ciche i stanowcze,
bird
słabnące i znowu wyraźne,
bird
głosy nieznane, które wołały do mnie w męce,
bird
w złości, w strachu, w miłości.

tatusiu

Ona była z nich najmniejsza i trzymała za rękę postać stojącą obok. Pozostali ustawili się za nimi w półkołu. Policzyłem ich i doliczyłem się ośmiu sylwetek, ale za nimi były inne, bardziej niewyraźne, kobiety, mężczyźni, młode dziewczyny. Gdy ciężar na moich piersiach urósł, a mój oddech nie mógł być już płytszy, przyszło mi na myśl, że postać, która nawiedzała Marie Aguiard, którą Raymond widział na Honey Island i która zdawała się wzywać mnie z głębi ciemnych wód, to mogła nie być Lutice Fontenot.

dziecinko

Każdy oddech zdawał się moim ostatnim, żaden nie docierał głębiej jak do gardła, gdzie wiązał jak w napadzie duszności.

dziecko

Głos był stary i hebanowy jak czarne klawisze starego pianina grającego w odległym pokoju.

obudź się, dziecko, jego świat się rozpada

I wtedy to ostatni oddech zabrzmiał w moich uszach i dokoła zapanowała cisza i spokój.

Obudziło mnie pukanie do drzwi. Na zewnątrz dawno minęło już południe i słońce z wolna chyliło się ku wieczorowi. Gdy otworzyłem, stanął przede mną Touissant. Za nim zobaczyłem czekającą Rachel.

— Czas już jechać — oznajmił.

— Wydawało mi się, że to nowoorleańskie gliny miały się tym zająć.

— Zgłosiłem się na ochotnika — odparł.

335

Wszedł za mną do pokoju, a ja wrzuciłem moje przybory do golenia do torby na garnitur, złożyłem ją i zapiąłem zatrzaski. To była droga torba, prezent od Susan.

Touissant przywołał funkcjonariusza z nowoorleańskiego wydziału.

— Jest pan pewien, że tak będzie w porządku? — zapytał gliniarz. Wyglądał na nieco zaniepokojonego i niezbyt przekonanego.

— Nowoorleańska policja ma do roboty lepsze rzeczy niż zabawa w niańkę — odrzekł Touissant. — Wsadzę tych ludzi do samolotu, a ty idź i złap kilku bandziorów, dobrze?

W milczeniu jechaliśmy na Moisant Field. Siedziałem obok kierowcy, Rachel z tyłu.

Oczekiwałem, że Touissant skręci na drogę na lotnisko, jednak on wciąż jechał dziesiątką.

— Chyba minął pan zjazd — zauważyłem.

— Nie — odparł. — Nie minąłem.

Kiedy coś zaczyna się rozpadać, dzieje się to szybko. Tego dnia mieliśmy szczęście. Każdy ma czasem swoje pięć minut.

W pobliżu mostu nad Upper Grand River, na południowy wschód od drogi numer dziesięć, urządzenie do usuwania mułu i śmieci z koryta rzeki zaplątało się w leżący na dnie zardzewiały drut kolczasty. Robotnicy ostatecznie odhaczyli go i próbowali wyciągnąć, ale okazało się, że w drut wplątały się również inne rzeczy: stare, żelazne łóżko, liczące sobie ponad sto pięćdziesiąt lat niewolnicze kajdany i beczka po ropie oznaczona burbońską lilią.

Załoga pogłębiarki miała dobrą zabawę przy wyplątywaniu jej z drutu. Doniesienia o znalezieniu ciała dziewczyny w bece po chemikaliach pojawiły się wcześniej we wszystkich wiadomościach, a artykuł w Times--Picayune miał aż dziewięćdziesiąt linijek długości.

Być może robili sobie makabryczne żarty, kiedy wyciągali beczkę z wody, żeby to samo potem zrobić z drutem. Może nieco ucichli, podśmiewając się tylko nerwowo, kiedy jeden z nich siłował się z pokrywą. Beczka była częściowo zardzewiała i pokrywa nie została przyspawana.

Kiedy puściła, ze środka wypłynęła brudna woda, a z nią zdechłe ryby i wodorosty.

Nogi dziewczyny w częściowym rozkładzie sterczały pokryte dziwną, woskową błoną, ale reszta ciała zaklinowała się: połowa została w beczce, a połowa wyszła na zewnątrz. Do zwłok dobrała się rzeczna fauna, lecz kiedy jeden z mężczyzn poświecił latarką w głąb, zobaczył resztki skóry na czole, a zęby zdawały się uśmiechać do niego z ciemności.

i

336

Gdy dotarliśmy tam, na miejscu stały tylko dwa samochody. Zwłoki wyciągnięto z wody prawie trzy godziny wcześniej. Z załogą pogłębiarki stali dwaj umundurowani funkcjonariusze. Wokół ciała zebrali się trzej mężczyźni w cywilnych ubraniach, jeden z nich miał na sobie garnitur nieco droższy niż pozostali, jego siwe włosy były dobrze ostrzyżone i świeżo umyte. Poznałem go w całym tym zamieszaniu po śmierci Morphy'ego: szeryf James Dupree z okręgu St Martin, zwierzchnik Touissanta.

Ruchem ręki przywołał nas do siebie. Rachel trzymała się nieco z tyłu, ale podeszła do ciała. To było najcichsze miejsce zbrodni, na jakim zdarzyło mi się być. Takie pozostało, nawet gdy przyjechał lekarz.

Dupree ściągnął gumowe rękawiczki, starając się nie dotknąć ich zewnętrznej powierzchni gołymi palcami. Jego paznokcie były bardzo krótkie i czyste, choć nie miał zrobionego manicure.

— Chcecie się jej przyjrzeć bliżej? — zapytał.

— Nie — odrzekłem. — Już dosyć widziałem.

Błoto i muł z pogłębiarki wydzielaly ostry, zgniły zapach, silniejszy nawet od odoru zwłok. W górze krążyły ptaki, zwabione perspektywą dobrania się do zdechłych lub zdychających ryb. Jeden z ludzi pracujących na pogłębiarce wetknął papierosa w usta, podniósł z ziemi kamień i rzucił nim w wielkiego, szarego, drepczącego w błocie szczura. Kamień upadł w błoto z piaskiem przypominającym odgłos mięsa rzuconego na blat przez rzeźnika. Szczur czmychnął. Wokół niego poruszyło się jeszcze parę szarych stworzeń. Wszędzie dookoła grasowały gryzonie, które opuściły swoje gniazda, zaniepokojone poczynaniami pogłębiarki. Wpadały na siebie i się gryzły, a ich ogony zostawiały w błocie podłużne, wąskie ślady. Pozostali mężczyźni przyłączyli się do prowodyra, ciskając kamieniami nisko nad ziemią. Większość celowała lepiej niż ich przyjaciel. Dupree zapalił papierosa złotą zapalniczką. Palił gitanesy, jak żaden inny gliniarz. Dym był mocny i gryzący, a wiatr wiał nim prosto w moją twarz. Szeryf przeprosił i odwrócił się tak, by choć częściowo zasłonić mnie przed dymem. Okazał w ten sposób niespotykaną wrażliwość i znowu zacząłem się zastanawiać, dlaczego nie siedzę jeszcze na Moisant Field.

— Proszę mi powiedzieć, jak pan wytropił tę morderczynię dzieci w Nowym Jorku, tę Modine

— powiedział wreszcie. — Niezły wyczyn, po trzydziestu latach.

— Popelniła błąd — wyjaśniłem. — W końcu wszyscy to robią. To tylko kwestia bycia w odpowiednim czasie w odpowiednim miejscu.

Przechylił głowę nieco na bok, jakby nie bardzo zgadzał się z tym, co właśnie usłyszał, ale był gotów zastanowić się przez chwilę na wypadek, gdyby okazało się, że coś przeoczył. Znowu głęboko zaciągnął się papiero-

337

I

sem. To była ekskluzywna marka, a on palił je jak nowojorski doker, trzymając ustnik między kciukiem a palcem wskazującym i środkowym, osłaniając dłonią końcówkę. Człowiek nabywał tego nawyku jako dziecko, kiedy palenie było potajemną przyjemnością, a gdy zostało się przyłapanym, zarabiano się od ojca w łeb.

— Każdy ma czasem swoje pięć minut — zauważył. Przyjrzał mi się baczniej. — Może tu też dopisało nam szczęście.

Czekałem, co powie dalej. Tak to właśnie wyglądało, że odnalezieniu dziewczyny musiał towarzyszyć łut szczęścia, a może wciąż nie mogłem zapomnieć mojego snu, w którym ze ściany pokoju wyszły postacie i oznajmiły mi, że jedna z nici w gobelinie tkanym przez Podróżnika nagle się zerwała.

— Kiedy Morphy i jego żona zginęli, najpierw chciałem wziąć pana na stronę i tłuc tak długo, ażby pan ducha wyzionął — oświadczył nagle. — To był dobry człowiek i dobry detektyw, bez względu na wszystko. I był moim przyjacielem. Ale on panu ufał, tak jak chyba ufa panu Touissant. Uważa pana za ogniwo łączące w tej sprawie. Jeżeli tak jest, to wysyłanie was z powrotem do Nowego Jorku niczego nie załatwi. Pański przyjaciel Woolrich chyba myślał tak samo, ale niektórzy upierali się, by pan wyjechał.

Znowu się zaciągnął.

— Jest pan jak guma do żucia we włosach — dodał. — Im bardziej ktoś chce pana wyciągnąć, tym bardziej się pan wplątuje, więc może to wykorzystamy. Pakuję się w niezłe gówno, zatrzymując pana tutaj, ale Morphy powiedział mi, co pan sądzi o tym facecie, że wierzy pan, iż on nas obserwuje i nami manipuluje. Opowie mi pan o tym, czy woli spędzić noc, śpiąc na krześle na lotnisku?

Popatrzyłem na bose stopy i odkryte nogi dziewczyny w beczce, na przedziwną poczwarkę, leżącą w brudzie i wodzie zaszczurzonej części rzeki we wschodniej Luizjanie. Lekarz i jego asystenci przybyli z pokrowcem na ciało i noszami. Rozciągnęli na ziemi folię i ostrożnie umieścili na niej beczkę; jeden z nich dłonią w rękawiczce przytrzymał nogi ofiary. Potem powoli zaczęli wyciągać ją ze środka.

— Wszystkie nasze dotychczasowe ruchy były śledzone i przewidywane przez tego człowieka — zacząłem. — Aguillardowie dowiedzieli się czegoś i zginęli. Remarr zobaczył coś i został zamordowany. Morphy chciał mi pomóc i też nie żyje. On odbiera nam możliwości, zmuszając do posługiwania się schematem, który sam stworzył. Teraz ktoś przekazał prasie szczegóły dotyczące śledztwa. Niewykluczone, że ta sama osoba informuje też tego człowieka, może świadomie, a może nie.

338

Dupree i Touissant popatrzyli na siebie.

— Też braliśmy to pod uwagę — powiedział Dupree. — W sprawę zamieszanych jest zbyt wiele osób, by utrzymać coś w tajemnicy.

— A co najważniejsze — ciągnąłem — federalni coś ukrywają. Myśli pan, że Woolrich powiedział panu wszystko, co wie?

Dupree prawie parsknął śmiechem.

— O tym Byronie wiem tyle co o Marsjanach od naszych słodkich agentów.

Z wnętrza baryłki dobiegło skrzypienie, dźwięk kości ocierającej się o metal. Obleczone w lateks dłonie podtrzymały nagie, pozbawione barwy ciało dziewczyny, kiedy wyswobodziło się ono z niewoli beczki.

— Jak długo moglibyśmy zachować szczegóły dla siebie? — zapytałem go.

— Niedługo. Trzeba zawiadomić federalnych, prasa się dowie... — Rozłożył bezsilnie ręce. —

Jeżeli sugeruje pan, żebym nie zawiadamiał FBI...

Widziałem jednak po jego twarzy, że już postanowił tego nie robić, że lekarz badał ciało tak szybko po znalezieniu, a na miejscu było tak niewielu policjantów, bo chciał ograniczyć do minimum liczbę ludzi zaznajomionych ze szczegółami.

Postanowiłem go przycisnąć.

— Sugeruję, żeby nie mówił pan o tym nikomu. W przeciwnym razie ten, kto to zrobił, zostanie zaalarmowany i znowu nas ubiegnie. Jeżeli znajdzie się pan w sytuacji, gdy będzie pan musiał coś powiedzieć, to niech pan się jakoś wymiga. Nie mówcie nic o becze, nie podawajcie dokładnego położenia miejsca znaleziska, niech pan mówi, że nie wierzy, iż to odkrycie ma związek ze śledztwem. Poczekajmy, aż dziewczyna zostanie zidentyfikowana.

— Pod warunkiem że zdołamy ją zidentyfikować — wtrącił ponuro Touissant.

— Hej, przestań mi tu krakać — warknął Dupree.

— Przepraszam.

— On ma rację — zauważyłem. — To może się okazać niemożliwe. Musimy przyjąć i taką ewentualność.

— Jeżeli nie znajdziemy nic w naszych kartotekach, będziemy musieli zawiadomić federalnych — stwierdził Dupree.

— Nie ma się co o to martwić zawczasu — odparłem. — Da się to zrobić?

Dupree szurnął nogą i zgasił papierosa. Nachylił się przez okno swojego samochodu i wrzucił niedopałek do popielniczki.

339

I

— Mamy najwyżej dwadzieścia cztery godziny — powiedział. — Potem oskarżą nas o brak kompetencji albo umyślne utrudnianie śledztwa. Sam nie wiem, jak daleko możemy zajść w tym czasie, chociaż... — Popatrzył na Touissanta i na mnie. — ...może to wszystko nie będzie konieczne.

— Powie mi pan, czy mam sam zgadywać? — zapytałem. Odpowiedział Touissant:

— Federalni sądzą, że znaleźli Byrona. Chcą do rana zakończyć poszukiwania.

— A w takim wypadku ta sprawa może stanowić jedynie niewielkie wsparcie — stwierdził Dupree. — Taki as w naszym rękawie.

Ale ja już go nie słuchałem. Oni szukali Byrona, a mnie tam miało nie być. Gdybym spróbował w tym uczestniczyć, siły policyjne większości Luizjany zostałyby wykorzystane, by wsadzić mnie do samolotu lecącego do Nowego Jorku albo zamknąć w celi.

Załoga pogłębiarki stanowiła najślabsze ogniwo. Wzięliśmy ich na stronę, dostali kawę i razem z Dupree byliśmy z nimi tak szczerzy, jak tylko się dało. Powiedzieliśmy, że jeżeli zaczną gadać o tym, co widzieli, to morderca dziewczyny uniknie kary i znowu będzie zabijał. Przynajmniej częściowo była to prawda; nie biorąc udziału w polowaniu na Byrona, staraliśmy się jak najlepiej kontynuować śledztwo.

To byli ciężko pracujący, miejscowi ludzie, większość miała żony i dzieci. Zgodzili się nic nie mówić, aż do chwili, kiedy się z nimi skontaktujemy i powiemy, że już nie muszą milczeć.

Obiecali siedzieć cicho, ale wiedziałem, że kilku z nich powie o tym swoim żonom i dziewczynom, jak tylko I wrócą do domu, i w ten sposób wieść się rozniesie. Mój pierwszy sierżant I mawiał, że mężczyzna, który twierdzi, iż mówi wszystko swojej żonie, jest albo kłamcą, albo głupkiem. Niestety, sam był rozwiedziony.

Dupree był w swoim biurze, kiedy przyszła wiadomość o dziewczynie,) i zebrał swoich najbardziej zaufanych zastępców i detektywów. Razer z Touissantem, Rachel i mną, z lekarzem, jego pomocnikami i z pracowni-1 kami pogłębiarki może ze dwadzieścia osób wiedziało o

odkryciu ciała. To i tak o dziewiętnaście za dużo, by na dłuższą metę zachować tajemnicę, ale nie mogliśmy poradzić.

Po wstępnych badaniach i zrobieniu zdjęć ciało zostało przewiezione do prywatnej kliniki pod Lafayette, gdzie lekarz policyjny był konsultantem; zgodził się zacząć pracę natychmiast. Dupree przygotował raport podający szczegóły odkrycia zwłok kobiety w nieokreślonym wieku, która zginęła z nieznanых powodów jakieś osiem kilometrów od rzekomo praw-

340

dziwego miejsca zdarzenia. Wpisał datę i godzinę i zostawił kartkę pod stosem papierów na swoim biurku.

Kiedy obaj dotarliśmy do pomieszczenia, gdzie przeprowadzano sekcje, szczątki były już prześwietlone i zmierzone. Wózek, na którym je przewieziono, został zepchnięty w kąt z dala od stołu z cylindrycznym zbiornikiem, który doprowadzał wodę i odprowadzał płyny ściekające przez otwory w blacie. Na metalowej ramie wisiała waga do ważenia narządów wewnętrznych, obok niej znajdował się mały stolik na mniejsze części ciała.

Oprócz lekarza i jego asystenta obecne były jeszcze trzy osoby. Dwie z nich to Dupree i Touissant. Ja byłem trzeci. Płyn odkażający tylko częściowo tłumił silny odór. Ciemne włosy zwisały z czaszki, a pozostałości skóry skurczyły się i postrzępiły. Szczątki dziewczyny prawie całkowicie pokrywała żółtobiała substancja.

To Dupree pierwszy zadał pytanie.

— Doktorze, co to jest to na ciele?

Lekarz nazywał się Emile Huckstetter, był wysoki, krępy, miał koło pięćdziesiątki i rumianą twarz. Zanim odpowiedział, dłonią w rękawiczce dotknął substancji.

— To tłuszczowosk — wyjaśnił. — Występuje rzadko, widziałem to raz, może dwa razy w życiu, powstał prawdopodobnie w wyniku działania mułu i wody w tamtym kanale. —

Pochylając się nad ciałem, przymrużył oczy. — Tłuszcz w jej ciele rozłożył się w wodzie przez hydrolizę i twardniał, tworząc tłuszczowosk. Trochę w tej wodzie leżała. To się zazwyczaj formuje przez sześć miesięcy na ciele, trochę szybciej na twarzy. Zgaduję, ale prawdopodobnie leżała w wodzie do siedmiu miesięcy, na pewno nie dłużej.

Podał kilka szczegółów do małego mikrofonu przyczepionego do zielonego kompletu chirurgicznego. Dziewczyna miała siedemnaście lub osiemnaście lat, mówił. Nie była skrępowana ani obwiązana. Na szyi pozostał ślad po ostrzu, głębokie nacięcie przez tętnicę szyjną, prawdopodobnie była to przyczyna śmierci. Na czaszce znajdowały się ślady po zdjęciu twarzy; podobne znaki były też w oczodołach.

Kiedy badanie dobiegało końca, zapiszczał pager szeryfa, który wyszedł, a kilka minut później wrócił z Rachel. Zameldowała się w motelu w Lafayette, zostawiła tam zarówno swój, jak i mój bagaż i wróciła. Początkowo wzdrygnęła się na widok ciała, a potem stanęła przy mnie i bez słowa chwyciła mnie za rękę.

Lekarz skończył, zdjął rękawiczki i zaczął myć ręce. Dupree wyjął klisze rentgenowskie z koperty i po kolei oglądał je pod światłem.

— Co to jest? — zapytał po chwili.

341

Huckstetter wyjął mu zdjęcie z ręki i sam się przyjrzał.

— Złożone złamanie, prawa goleń — wyjaśnił, pokazując palcem. — Prawdopodobnie sprzed dwóch lat. Jest w raporcie, a raczej wkrótce będzie, jak tylko go przygotuję.

Poczułem się, jakbym zaraz miał upaść, a jednocześnie ból zaczął narastać w moim żołądku.

Wyciągnąłem rękę, żeby się czegoś chwycić, a waga zadzwięczała metalicznie, kiedy trąciłem jej ramę. Moja dłoń znalazła się nagle na stole, a palce dotykały szczątków. Cofnąłem szybko rękę.

— Parker? — odezwał się Dupree.

Chwycił mnie za ramię i mnie podtrzymał. Cały czas czułem ją na moich palcach.

— Boże — wystękałem. — Ja chyba wiem, kto to jest.

W świetle wczesnego poranka niedaleko północnego końca rozlewiska Co-urableau, na południe od Crotz Springs i ze trzydzieści kilometrów od La-fayette, grupa agentów federalnych wraz z zastępcami szeryfa okręgu St Landry okrążyła mały domek myśliwski stojący tyłem do bagna, którego front zasłaniały wybujałe krzewy i drzewa. Niektórzy z agentów mieli na sobie kurtki przeciwdeszczowe z dużymi żółtymi literami FBI na plecach, inni założyli hełmy i kamizelki kuloodporne. Podchodzili wolno i cicho, z odbezpieczoną bronią. Kiedy coś mówili, robili to szybko, używając niewielu słów. Kontakty przez radio ograniczali do minimum. Wiedzieli, co robią. Dokoła nich zastępcy szeryfa, uzbrojeni w pistolety i karabiny, wsłuchiwali się we własne oddechy i bicie serc, szykując się do natarcia na dom Edwarda Byrona, człowieka, który według nich był odpowiedzialny za śmierć ich kolegi, Johna Charjesa Morphy'ego, jego młodej żony i co najmniej pięciu innych osób.

Dom był zapuszczony, dachówki zniszczone i splekane, belki stropowe przegniłe. Dwa z frontowych okien były stłuczone i zasłonięte kartonem przytrzymywanym taśmą do izolacji przewodów. Drewno werandy wypaczyło się, a niektórych fragmentów zwyczajnie brakowało. Na metalowym haku po prawej stronie budynku wisiała tusza dzikiej świni, dopiero co odartej ze skóry. Kapiąca krew utworzyła pod nią kałużę.

Na sygnał dany przez Woolricha krótko po szóstej rano agenci w kamizelkach kuloodpornych podeszli do domu od frontu i od tyłu. Sprawdzili okna z przodu i te przy tylnych drzwiach.

Następnie wszyscy na raz uderzyli z obu stron, z hałasem wpadając do środka, przecinając ciemność wnętrza snopami światła latarek.

Obie drużyny już spotkały się w środku, kiedy z tyłu domu padł strzał i w słabym świetle trysnęła krew. Agent Thomas Seltz dostał w miejsce nie

342

osłonięte kamizelką w okolicy pachy, czuły punkt górnej części kuloodpornego stroju. Zanim umarł, jego palec zacisnął się na spuście pistoletu maszynowego. Kule przeszły ścianę, sufit i podłogę, wypełniając przestrzeń kurzem i drzazgami, raniąc dwóch agentów, jednego w nogę, drugiego w usta.

Seria zagłuszyła dźwięk ponownego ładowania broni. Drugi strzał zerwał drewno z framugi drzwi wewnętrznych, agenci padli na podłogę i zaczęli strzelać przez tylne drzwi. Trzecia kula trafiła agenta biegnącego wzdłuż bocznej ściany budynku. Zbieranina szczap drewna i starych mebli przeznaczonych do spalenia rozsypała się po ziemi, gdy strzelający wyskoczył ze swej kryjówki pod spodem. Odgłos strzałów broni małokalibrowej skierowanych w stronę bagna doszedł agentów, którzy klęczeli przy rannych kolegach lub rzucali się w pogoń za sprawcą. Postać w znoszonych niebieskich dżinsach i biało-czerwonej koszuli w kratę zniknęła wśród bagien. Agenci posuwali się ostrożnie, co kilka kroków zapadając się po kolana w błoto, wymijając zwalone kłody, aż wreszcie trafili na pewniejszy grunt. Chowając się pod drzewami, posuwali się powoli z gotową do strzałów bronią i wyczerpanym wzrokiem.

Seria z automatu poharatała drzewa. Ptaki wzbijały się w górę, a z ogromnego cyprysu, gdzieś na wysokości głowy, posypały się drzazgi. Jeden z agentów krzyknął z bólu i wypadł z ukrycia, kiedy odłamek drewna ranił go w policzek. Drugi strzał strzaskał kość udową jego lewej nogi. Upadł na pokrytą liśćmi ziemię, wyginając w męce plecy w łuk.

Broń automatyczna deszczem pocisków zasypała drzewa, odłupując gałęzie i zrywając liście. Po kilku sekundach zmasowanego ataku rozkaz przerwał strzały i znowu zapadła cisza. FBI i policja ponownie ruszyli do przodu, przemykając szybko od drzewa do drzewa. Ktoś krzyknął na widok

krwi przy wierzbie, której strzaskane gałęzie bielily się jak kości.

Gdzieś z tyłu zaszczekały psy, kiedy do pomocy sprowadzono tropiciela, czekającego do tej pory w pogotowiu jakieś pięć kilometrów dalej. Dano psom do powąchania ubrania Byrona i miejsce wokół jego kryjówki pod stosem drewna. Ich opiekun, brodaty człowiek w dżinsach wsuniętych w zabłocone buty, kazał im obwąchać krew przy wierzbie. Wtedy to, w towarzystwie psów ciągnących na smyczach, pościg ruszył dalej.

Jednak Edward Byron już nie strzelił, ponieważ stróże prawa nie byli jedynymi, którzy zasadzili się na niego na bagnach.

Kiedy polowanie na Byrona trwało, Touissant, dwóch młodych zastępców i ja siedzieliśmy w biurze szeryfa w St Martinville, skąd kontaktowaliśmy

343

się z dentystami w Miami, jeśli było trzeba korzystając z ich numerów alarmowych nagranych na sekretarkach.

Tylko Rachel w pewnej chwili nam przerwała, przynosząc kawę i drożdżówki. Stała za mną i delikatnie położyła rękę na moim karku. Ja wtedy ująłem jej dłoń i pocałowałem lekko koniuszki palców.

— Nie spodziewałem się, że zostaniesz — powiedziałem. Nie widziałem jej twarzy.

— To już prawie koniec, prawda? — zapytała cicho.

— Tak sędzę. Czuję, że nadchodzi.

— No to chcę to zobaczyć.

Została z nami nieco dłużej, aż jej zmęczenie stało się niemal zaraźliwe. Wtedy wróciła do motelu, by się przespać.

Musieliśmy wykonać trzydzieści osiem telefonów, zanim asystentka w gabinecie dentystycznym Erwina Holdmana na Brickell Avenue znalazła Lisę Stott w swojej kartotece, ale nie chciała nawet potwierdzić, czy Lisa pojawiła się w gabinecie w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Jak nas poinformowała, Holdman grał w golfa i bardzo nie lubił, gdy mu w tym przeszkadzano.

Touissant powiedział jej, że nie obchodzi go, co Holdman lubi albo nie lubi, i w końcu podała nam numer jego komórki.

Miała rację. Holdman nie lubił, by mu przeszkadzano na polu golfowym, zwłaszcza gdy miał właśnie zdobyć punkt przy piętnastym dołku. Touissant najpierw trochę pokrzyczał, a potem poprosił o karty stomatologiczne Lisy Stott. Dentysta zażądał zgody jej matki i ojczyma.

Touissant oddał słuchawkę Dupree, a ten oświadczył, że jest to chwilowo niemożliwe, a karty potrzebne są do wyeliminowania powiązania dziewczyny z dochodzeniem w pewnej sprawie, więc po co niepotrzebnie denerwować rodziców. Dentysta nadal odmawiał, więc Dupree zagroził, że wszystkie jego karty zostaną przejęte przez policję, a zeznania podatkowe poddane szczegółowej analizie.

Wtedy Holdman uległ. Wszystkie dokumenty miał w komputerze, razem z kopiami zdjęć rentgenowskich i kartami stomatologicznymi, które zostały zeskanowane. Obiecał, że je wyśle, jak tylko wróci do gabinetu. Jego asystentka była nowa i nie byłaby w stanie przesłać ich pocztą elektroniczną bez hasła. Jak tylko skończy rundę...

Znów rozległy się krzyki i Holdman zdecydował się przerwać grę. To potrwa godzinę, jeżeli nie będzie zbyt wielkiego ruchu na drodze. Musieliśmy zaczekać.

Byron zdołał przejść półtora kilometra w głąb bagna. Policjanci deptali mu po piętach i ręka paskudnie mu krwawiła. Kula strzaskała lewy ł-

344

kieć, powodując nieustający ból. Zatrzymał się na małej polanie i załadował broń, opierając ją o ziemię i przyciskając zdrową ręką. Psy były już blisko. Zabije je, jak tylko się pojawią. Kiedy ich

nie będzie, stróżów prawa z łatwością zgubi na bagnach.

Pewnie dopiero unosząc się z klęczek, zauważył, że coś się przed nim poruszyło. Pomyślał, że pościg nie mógł go jeszcze dosięgnąć. Dalej na zachód wody były głębsze. Od strony drogi bez łodzi by tu nie dotarli. A nawet jeżeli, to usłyszałyby, jak płyną. Jego zmysły dostroiły się do odgłosów bagna. Mogły go zgubić tylko halucynacje, ale one przychodziły i odchodziły. Niezgrabnie umieścił broń pod prawą pachą i ruszył naprzód, bacznie rozglądając się dookoła. Zmierzał powoli ku drzewom, lecz ruch jakby ustał. Może potrząsnął wtedy głową, by widzieć jaśniej, obawiając się nawrotu przywidzeń, te jednak nie nadeszły. Zamiast nich po Edwarda Byrona przyszła śmierć, las wokół niego ożył i otoczyły go czarne postacie. Wystrzelił raz, zanim ktoś wyszarpnął mu broń, i poczuł ból w piersiach, kiedy ostrze przecięło jego skórę od barku do barku.

Postacie zgromadziły się wokół niego — groźni mężczyźni, jeden z M16 na ramieniu, inni uzbrojeni w noże i siekiery, prowadzeni przez wielkiego człowieka o czerwonobrazowej skórze i ciemnych, przetykanych siwizną włosach. Byron upadł na kolana, gdy ciosy posypały się na jego plecy, ramiona i ręce. Ogłuszony bólem i wycieńczony spojrzał tylko w górę, by ujrzeć siekiere tamtego wielkiego chłopca siekącą powietrze nad jego głową.

A potem zapadła ciemność.

Korzystaliśmy z biura Dupree, gdzie nowy komputer stał gotowy do przyjęcia dokumentów z gabinetu Holdmana. Siedziałem na czerwonym, winylowym krześle, które tak często naprawiano za pomocą taśmy, że czułem się, jakbym siedział na pękającym lodzie. Zaskrzypiało, kiedy się ruszyłem, trzymając nogi na parapecie okna. Naprzeciwko stała kanapa, na której wcześniej zażyłem trzech godzin nie dającego wypoczynku snu.

Pół godziny wcześniej Touissant wyszedł po kawę. Jeszcze nie wrócił. Zaczynałem się już niepokoić, kiedy usłyszałem podniesione głosy w pokoju obok. Przeszedłem przez otwarte drzwi gabinetu Dupree i wszedłem do pomieszczenia z szarymi, metalowymi biurkami, obrotowymi krzesłami, wieszakami, tablicami ogłoszeń i kubkami kawy, ponadgryzаныmi pączkami i bułkami.

Podniecony Touissant dyskutował z czarnoskórym detektywem w niebieskim garniturze i odpiętej pod szyją koszuli. Tuż za nim Dupree rozma-

345

wiał ze swoim umundurowanym zastępcą. Touissant dostrzegł mnie, poklepał detektywa po ramieniu i podszedł.

— Byron nie żyje — oznajmił. — Narobiło się bałaganu. Federalni stracili dwóch ludzi, mają też paru rannych. Byron uciekł na bagna. Kiedy go znaleźli, leżał już pocięty i z roztrzaskaną czaszką. Mają siekiere i mnóstwo śladów butów. — Podrapał się po brodzie. — Uważają, że może Lionel Fontenot postanowił zakończyć sprawę po swojemu.

Dupree zabrał nas do swojego biura, ale nie zamknął drzwi. Stał blisko mnie i delikatnie dotknął mego ramienia.

— To on. To jeszcze nie jest pewne, ale mają słoiki podobne do tego, w którym... — Przerwał i poprawił zdanie: — ...który dostałeś. Mają lap-topa, elementy wykonanego domowym sposobem syntezatora dźwięku i skalpele z resztkami tkanki, prawie wszystko znaleźli w szopie za jego domem. Rozmawiałem krótko z Woolrichem. Wspomniał coś o jakichś starych tekstach medycznych. Kazał ci powiedzieć, że miałaś rację. Nadal szukają twarzy ofiar, ale to może trochę potrwać. Jeszcze dziś chcą zacząć kopać wokół domu.

Nie potrafiłem sprecyzować tego, co czułem. To była ulga, jakby zdjęto ze mnie ciężar, i świadomość, że wszystko się już skończyło. Ale było coś jeszcze: czułem się też rozczarowany, bo ja w tym zakończeniu nie uczestniczyłem. Po tym wszystkim, co zrobiłem, kiedy tyle osób

zginęło z mojej ręki i z rąk innych ludzi, Podróżnik jednak zdołał uniknąć spotkania ze mną. Dupree wyszedł, a ja usiadłem ciężko na krześle; światło słoneczne przedzierało się przez rolety. Touissant usiadł na skraju biurka i patrzył na mnie. Myślałem o Susan i Jennifer, o tych dniach spędzonych razem w parku. Przypomniałem sobie głos Marie Aguiard i miałem nadzieję, że wreszcie znalazła spokój.

Komputer zaczął wydawać z siebie niskie dwutonowe dźwięki, powtarzające się w regularnych odstępach. Touissant odkleił się od biurka i obszedł je, by spojrzeć na ekran. Wcisnął kilka klawiszy i przeczytał to, co wyświetlił monitor.

— Są dokumenty Holdmana? — oznajmił.

Dołączyłem do niego przy komputerze i patrzyłem na pojawiające się karty stomatologiczne Lisy Stott, opisane słownie, potem przedstawione w formie dwuwymiarowych map z zaznaczonymi plombami i ekstrakcjami, w końcu w formie zdjęcia rentgenowskiego szczęki.

Touissant wywołał inny plik z rentgenem z biura lekarza sądowego i zestawiał oba obrazy koło siebie.

— Wyglądają tak samo — stwierdził.

346

Zgodziłem się. Nie chciałem myśleć o tym, co to mogło oznaczać.

Touissant zadzwonił do doktora Huckstettera, powiedział, co mamy, i poprosił, by przyjechał. Pół godziny później lekarz przeglądał plik Holdmana, porównywał z własnymi notatkami i zdjęciami rentgenowskimi dziewczyny. W końcu zsunął okulary na czoło i przyłożył dwa palce do kącików oczu.

— To ona — orzekł.

Touissant wypuścił powietrze i ze smutkiem pokręcił głową. Wyglądało to na ostatni żart Podróżnika. To była Lisa Stott, wcześniej znana jako Lisa Woolrich, młoda dziewczyna, emocjonalna ofiara rozwodu swoich rodziców, opuszczona przez matkę, której zależało, by zacząć nowe życie bez zbuntowanej, skrzywdzonej nastolatki, której ojciec nie potrafił zapewnić stabilności i wsparcia, jakiego potrzebowała.

To była córka Woolricha.

BmmwiATf

Głos w słuchawce był zmęczony i napięty. Rozmawiałem w trakcie jazdy; zastępca z St Martin ściągnął mi samochód z Flaisance.

— Woolrich, tu Bird.

— Cześć. — Mówił zupełnie bez zycia. — Co ci powiedzieli?

— Że Byron nie żyje, kilku twoich ludzi także. Przykro mi.

— Tak, paskudna sprawa. Zadzwonili do ciebie do Nowego Jorku?

— Nie. — Zastanawiałem się przez moment, czy powiedzieć mu prawdę, ale zdecydowałem się tego nie robić. — Spóźniłem się na samolot. Jadę teraz do Lafayette.

— Lafayette? Cholera, co ty tam robisz?

— A, tak się włóczę. — Razem z Touissantem i Dupree zdecydowaliśmy, że to ja powinienem z nim porozmawiać, że to ja powinienem powiedzieć mu o znalezieniu jego córki. — Możemy się spotkać?

— Cholera, Bird, jestem wykończony. — A po chwili, z rezygnacją: — Jasne, możemy.

Pogadamy o tym, co się dziś wydarzyło. Daj mi godzinę. Spotkajmy się w Jazzy Cajun przy autostradzie. Każdy ci powie, gdzie to jest. — Usłyszałem, jak kaszle po drugiej stronie linii. — Twoja przyjaciółka wróciła do domu?

— Też nie, wciąż jest tutaj.

347

— To dobrze — stwierdził. — Dobrze jest mieć przy sobie kogoś w takiej chwili.

Odłożył słuchawkę.

Jazzy Cajun to był mały, ciemny bar przy motelu, ze stołami bilardowymi i szafą grającą muzykę country. Za kontuarem barmanka wstawiała piwo do przeszklonej lodówki, a z głośników płynęła piosenka Willie Nelsona. Woolrich przyjechał, kiedy zaczynałem drugą kawę. Niósł w rękę marynarkę w kolorze kanarkowym, a koszula pod pachami była mokra od potu, brudna na plecach i rękawach, a na łokciu podarta. Nogawki jego nieśmiertelnych jasnobrazowych spodni były przy mankietach ciężkie od błota, podobnie jak sięgające kostki buty. Zamówił bourbona i kawę i usiadł obok mnie, blisko drzwi. Przez chwilę nic nie mówiliśmy, aż wypił połowę alkoholu i zabrał się za kawę.

— Słuchaj, Bird — zaczął. — Przykro mi z powodu tego, co zaszło między nami w zeszłym tygodniu. Obaj chcieliśmy to zakończyć po swojemu. A teraz, gdy jest po wszystkim, cóż...

Wzruszył ramionami i uniósł kieliszek, jakby wznosił toast, opróżnił go i zamówił drugi.

Widziałem czarne plamy pod jego oczami, a na szyi zaczynał mu się budować bolesny czyrak.

Wargi miał suche i spękane i krzywił się, pijąc alkohol. Zauważył, że mu się przyglądam.

— Zajady w ustach — wyjaśnił. — Cholerna sprawa. — Upił trochę kawy. — Pewnie chcesz usłyszeć, co się wydarzyło.

Chciałem odwlec moment prawdy, ale nie w ten sposób.

— Co zamierzasz teraz robić? — zapytałem.

— Spać. Potem może wziąć trochę wolnego, pojechać do Meksyku i może uwolnić Lisę od tych cholernych religijnych świrusów.

Poczułem ból w sercu i nagle wstałem. Chciałem się napić, potrzebowałem tego jak nigdy przedtem w całym moim życiu. On chyba nawet nie dostrzegł mojej gwałtownej reakcji i nie zauważył, że ruszam do łazienki. Na czoło wystąpił mi pot, a moja skóra stała się nadwrażliwa, jakbym miał dostać gorączki.

— Ona pyta czasem o ciebie, Bird — usłyszałem. I stanąłem jak wryty.

— Co powiedziałeś? — rzekłem, nie odwracając się.

— Pyta o ciebie — powtórzył. Wtedy się odwróciłem.

— Kiedy ostatnio z nią rozmawiałeś? Machnął ręką ze szklanką w dłoni.

— Chyba parę miesięcy temu. Jakies dwa albo trzy.

348

— Jesteś pewien?

Znieruchomiał i zaczął mi się przyglądać. Zawisłem na cienkiej nici w ciemnym miejscu i patrzyłem, jak coś małego i jasnego odrywa się od większej całości i ginie w mroku na zawsze. Bar zniknął, byliśmy tylko my dwaj i nic nie mogło odwrócić naszej uwagi od słów, które wypowiedzieliśmy. Nie było podłogi pod moimi stopami ani powietrza dookoła. Usłyszałem ryk we własnej głowie, a obrazy i wspomnienia jęły gnać w mej pamięci.

Woolrich stojący na werandzie, jego palce na policzku Florence Aguil-lard, delikatnej, ufnej dziewczyny z bliznami na twarzy. W ostatnich minutach swego życia chyba wiedziała, co zrobił, do czego ją doprowadził.

— To mój metafizyczny krawat, nazwałem go George Herbert. Od tego poety.

Dwa wersy Ralegha z „Wędrowni umęczonego człowieka”, z wiersza, który Woolrich tak lubił cytować:

— Krew musi ciało me ukoić/ Gdy inny balsam nie jest mi dany. Drugi telefon, ten we Flaisance, kiedy Podróżnik nie pozwolił o nic pytać, kiedy Woolrich był tam obecny.

— Me mają wizji. Nie mają szerszego pojęcia o tym, co mogliby robić. Ich działania nie mają żadnego celu.

Woolrich i jego ludzie konfiskujący notatki Rachel.

— Czasami waham się, czy mówić ci o tym, co się dzieje, czy lepiej milczeć.

Gliniarze wyrzucający do śmieci torbę z pączkami, której on dotykał.

— Pieprzysz ją, Bird?

Nie ograsz kogoś, jeśli nie wciągniesz go do gry. I on sam w barze w Nowym Jorku, przeglądający tomik poezji metafizycznej i cytujący Donne'a.

— Ścierwo kołem łamane to Anatomii lekcja zła.

Metafizyczna wrażliwość: cecha Podróżnika, którą Rachel próbowała nam uświadomić zaledwie kilka dni temu, cecha łącząca poetów, których dzieła tłoczyły się na półkach mieszkania Woolricha w East Village tej nocy, kiedy zabrał mnie do siebie, tej nocy, kiedy zamordował moją żonę i córkę.

— Bird, dobrze się czujesz?

Miał małe źrenice jak drobne, czarne dziurki wysysające światło z pomieszczenia.

Odwrociłem się.

— Tak, to tylko drobna niedyspozycja. Zaraz wracam.

— Dokąd idziesz, Bird?

349

W jego głosie zabrzmiało zwątpienie i coś jeszcze, nuta ostrzeżenia zdradzająca zdolność do przemocy, i zastanowiłem się, czy moja żona też to usłyszała, kiedy próbowała uciec, gdy gonił ją po naszym korytarzu, gdy złamał jej nos, rzucając nią o ścianę.

— Muszę iść do kibla — odparłem.

Żółć podeszła mi do gardła, bałem się, że zwymiotuję na podłogę. Wściekły, palący ból ścisnął mi żołądek i wbił pazury w serce. Jakby jakaś zasłona opadła w chwili mej śmierci, ukazując tylko zimną, czarną pustkę. Chciałem od tego uciec. Chciałem uciec, a kiedy potem wrócę, żeby wszystko było znowu normalnie. Żebym miał żonę i córkę podobną do swojej matki. Żebym miał mały, spokojny dom z trawnikiem i kogoś, kto by trwał przy mnie do samego końca.

Toaleta był ciemna i śmierdziała moczem z nie splukanego pisuaru, kran jednak działał. Zimną wodą opłukałem sobie twarz i sięgnąłem do kieszeni marynarki po telefon.

Nie było go tam. Zostawiłem go na stoliku, przy którym siedział Woolrich. Wróciłem na salę, sięgając po pistolet obszedłem bar, ale Woolrich już wyszedł.

Zadzwoiłem do Touissanta, ale już go nie było. Dupree też poszedł do domu. Przekonałem operatora centrali, by zadzwonił do niego i przekazał, że ma do mnie oddzwonić. Zrobił to po pięciu minutach. Mówił niewyraźnie.

— Lepiej, żeby to było coś ważnego.

— Byron nie jest mordercą — oznajmiłem.

— Co? — Od razu się obudził.

— On ich nie zabił — powtórzyłem.

Stałem już przed barem z pistoletem w dłoni, ale Woolricha nie było widać. Potrąciłem dwie czarne kobiety z dzieckiem; cofnęły się, widząc pistolet.

— Byron nie był Podróżnikiem. To Woolrich. On ucieka. Przyłapałem go na kłamstwie o córce. Powiedział mi, że rozmawiał z nią dwa miesiące temu. Obaj wiemy, że to niemożliwe.

— Mogłeś się pomylić.

— Słuchaj, Dupree. Woolrich wrobił Byrona. Zabił moją żonę i córkę. Zabił Morphy'ego i jego żonę, Marie, jej syna, Lutice Fontenot, Tony'ego Remarra i własną córkę. On ucieka, słyszysz? Ucieka.

— Słyszę — odparł.

Jego głos się zmienił, kiedy zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo obaj się pomyliliśmy.

Godzinę później weszli do mieszkania Woolricha w Algiers, na południowym brzegu Missisipi. Mieściło się na najwyższym piętrze odnowionego budynku na Opelousas Avenue, nad starym sklepem spożywczym; wchodziło się tam po ozdobionych gardeniami schodach z kutego żelaza, które prowadziły na galerię. Jego mieszkanie było jedynym w tym budynku, miało dwa łukowe okna i solidne, dębowe drzwi. Policję z Nowego Orleanu wspierało sześciu ludzi z FBI. Gliniarze szli przodem, federalni stanęli po obu stronach drzwi. Przez okna w mieszkaniu nikogo nie było widać. Nikogo też się nie spodziewali.

Dwaj policjanci zamachnęli się taranem z białym napisem „Doberek wszystkim” na spłaszczonej głowicy. Wystarczyło jedno uderzenie, by wyważyć drzwi. Federalni wpadli do środka, ulica i sąsiednie podwórka obstawione były przez policję. Sprawdzili maleńką kuchnię, nie pościelone łóżko, salon z nowym telewizorem, gdzie zastali puste kartony po pizzy i puszki po piwie, wydane przez Penguina tomiki poezji trzymane w skrzynce po mleku, a na stoliku zdjęcie uśmiechniętego Woolricha z córką.

W sypialni znajdowała się otwarta, pełna pogniecionych ubrań szafa, w której stały dwie pary jasnobrązowych butów i metalowa szafka z wielkim, solidnym zamkiem.

— Otworzyć — rozkazał dowodzący akcją Cameron Tate.

O'Neill Brouhard, młody agent, z którym wieki temu jechałem do domu Tante Marie, uderzył w zamek kolbą swojego pistoletu. Puścił za trzecim razem i mężczyzna otworzył drzwiczki.

Eksplzja rzuciła O'Neilla Brouharda w tył przez okno, prawie urywając mu głowę, i posłała grad odłamków szkła w ciasną przestrzeń sypialni. Tate został natychmiast oślepiiony, szkło wbiło się w jego twarz, szyję i kamizelkę kuloodporną. Dwaj inni agenci odnieśli poważne rany twarzy i rąk, kiedy puste słoiki, laptop, przerobiony syntezytor głosu H3000 i maska w cielistym kolorze, zakrywająca usta i nos, rozsypały się w drobny mak. Wśród płomieni, dymu i szkła na ziemię jak czarne śmy spadały płonące kawałki papieru, obracające się w popiół biblijne apokryfy.

Kiedy O'Neill umierał, ja siedziałem w pokoju detektywów w St Martinville, gdzie schodzili się wszyscy ludzie ściągani z urlopów lub wolnych dni, by pomóc w poszukiwaniach. Woolrich wyłączył telefon komórkowy, ale operator jego sieci został powiadomiony. Gdyby skorzystał z komórki, będą próbowali go namierzyć.

Ktoś podał mi kawę w kubku z rysunkiem aligatora i popijając po raz kolejny zadzwoniłem do motelu, by porozmawiać z Rachel. Po dziesiątym sygnale usłyszałem głos recepcjonisty.

— Czy to pan jest... Czy na pana mówią Bird? — zapytał. Musiał być młody i nieśmiały.

— Tak, przynajmniej niektórzy.

— Przepraszam pana. Czy dzwonił pan wcześniej? Powiedziałem, że to moja trzecia próba.

Wiedziałem, że mój głos nie brzmi zbyt uprzejmie.

— Byłem na lunchu. Mam dla pana wiadomość od FBI.

Kiedy wymawiał te trzy litery, w jego głosie brzmiało jakby zastanowienie. Zrobiło mi się niedobrze.

— Od agenta Woolricha, panie Bird. Kazał panu przekazać, że on i pani Wolfe wybrali się w miejsce panu znane. Nie ma pan nikomu o tym mówić, żeby nikt nie zepsuł wam całej zabawy. Polecił mi przekazać to wyłącznie panu.

Zamknąłem oczy, a jego głos wydawał się dobiegać gdzieś z daleka.

— To wszystko, proszę pana. Dobrze się spisałem?

Touissant, Dupree i ja rozłożyliśmy na biurku mapę. Dupree wyjął czerwony pisak i narysował

kółko łączące Crowley i Ramah; oba miasta leżały na średnicy okręgu, a w środku znajdowało się Lafayette.

— Przypuszczam, że ma tam jakąś swoją metę — powiedział. — Jeżeli się nie mylisz i rzeczywiście musiał być blisko Byrona, a może i Aguil-lardów, to mowa jest o terenie aż do Krotz Springs na północ i, cholera, może nawet aż do rozlewiska Sorrel na południe. Jednak jeżeli wziął ze sobą twoją przyjaciółkę, to pewnie zabrało mu to trochę czasu: musiał sprawdzić motele — niewiele to, ale zawsze, zwłaszcza jeśli nie poszczęściło mu się przy pierwszym telefonie — i pewnie trochę to trwało, zanim ją stamtąd wyciągnął. Nie będzie chciał długo jechać publicznymi drogami, więc się gdzieś zaszyje, może w motelu albo we własnej kryjówce. — Po-stukał pisakiem w środek kółka. — Zawiadomiliśmy miejscowych i policję stanową. Teraz sami musimy pogłówkować — razem z tobą.

Myślałem o tym, co powiedział Woolrich, że będę wiedział, gdzie ich szukać, ale na razie nic nie przychodziło mi do głowy.

— Nie wiem, o co mu chodziło. Miejsca oczywiście, takie jak dom Agu-illardów czyjego mieszkanie w Algiers, już zostały sprawdzone i nie sądzę, by miał tam wrócić.

Ukryłem twarz w dłoniach. Moje obawy o Rachel utrudniały myślenie. Musiałem wyjść. Zabrałem kurtkę i ruszyłem do drzwi, niemal zderzając się z zastępcą szeryfa. Wręczył mi dwie kartki.

To były fakсы od agenta Rossa z Nowego Jorku, kopia szczegółowego raportu z obserwacji Stephena Bartona i, przez krótki czas, jego macochy.

• 352

Większość nazwisk pojawiała się kilka razy w ciągu ostatnich tygodni. Jedno, zaznaczone pisakiem, pojawiło się tylko dwukrotnie: Woolrich. Na dole strony Ross dopisał jedynie dwa słowa: „Przykro mi”.

Jeden drugiego potrafi dosłownie wywąchać.

— Muszę wyjść, żeby zebrać myśli — powiedziałem. — Będę w kontakcie.

Dupree chyba chciał zaprotestować, ale nic nie powiedział. Mój samochód zaparkowany był na parkingu policyjnym. Wsiadłem, otworzyłem okna i wyjąłem ze schowka mapę Luizjany.

Przyjrzałem się nazwom: Ar-naudville, Grand Coteau, Carencro, Broussard, Milton, Catahoula, Cote-au Holmes, i wreszcie samo St Martinville. Wyruszyłem za miasto.

Tylko to ostatnie miejsce było mi znane, chociaż w tej chwili już wszystkie one wydawały się znajome, co koniec końców czyniło je wyrazami bez znaczenia. To tak, jakby w kółko powtarzać własne imię, które traci ostatecznie swe znajome brzmienie i zaczyna się wątpić we własną tożsamość.

Widok mapy nie dawał mi spokoju. St Martinville. Obok New Iberia i rejonowy szpital.

Pielęgniarka! Siostra Judy Neubolt. Wariatka Judy. Przypomniałem sobie rozmowę z Woolrichem po przyjeździe do Nowego Orleanu pierwszy raz po śmierci Susan i Jennifer.

Wariatka Judy. Mówi, że zamordowałem ją w poprzednim życiu. Czyjego historia była prawdziwa, czy może kryło się za nią coś innego? Czy już wtedy bawił się moim kosztem, nawet wtedy?

Im więcej o tym myślałem, tym bardziej byłem pewien. Powiedział mi, że Judy Neubolt przeprowadziła się do La Jolla w ramach rocznego kontraktu, kiedy ze sobą zerwali. Wątpiłem, czy zajechała aż tak daleko.

Nie znalazłem jej w najnowszej książce telefonicznej. Ale była w starszym wydaniu, które znalazłem na stacji benzynowej — jej telefon został więc odłączony — i pomyślałem, że z tym St Martinville miałem jednak rację. Zadzwoiłem do domu doktora Huckstettera, podałem mu jej adres i poprosiłem, by zadzwonił do Dupree za godzinę, jeżeli wcześniej się nie odezwę. Zgodził

się, choć niechętnie.

Jadąc myślałem o Davidzie Fontenocie i telefonie od Woolricha, który na pewno zwabił go na Honey Island obietnicą zakończenia poszukiwań jego siostry. Nie wiedział nawet, jak blisko był miejsca jej spoczynku, gdy sam umierał.

Myślałem o tym, jak sprowadziłem śmierć na Morphy'ego i Angie; o głosie Tante Marie, który słyszałem w głowie, kiedy po nią przyszedł; o Remarze, ozłoconym światłem zachodzącego słońca. Chyba właśnie wtedy zrozumiałem, dlaczego te wszystkie szczegóły pojawiły się w gazecie:

353

chciał pokazać to, co robił, szerszej publiczności, miał to być współczesny odpowiednik publicznej sekcji zwłok.

I pomyślałem o Lisie: małej, niezgrabnej, ciemnookiej dziewczynie która tak bardzo przejęła się rozstaniem rodziców, która szukała ucieczki w sekcje religijnej w Meksyku i w końcu wróciła do ojca. Cóż takiego zobaczyła, że musiał ją zabić? Ojca zmywającego krew z rąk nad umywalką? Szczątki Lutice Fontenot albo innej nieszczęsnej ofiary pływające w słoiku?

A może zabił ją tylko dlatego, że mógł, że przyjemność, jaką czerpał z pozbywania się jej, z okaleczania ciała ze swego ciała i kości ze swej kości, była niczym przeprowadzenie sekcji na sobie samym i odnalezienie ciemności we własnym wnętrzu?

Widziałem schludne trawniki i kępy gęstych, rozrośniętych cyprysów, gdy drogą numer 96 wracałem do St Martinville, mijając znak z napisem „Bóg dawcą życia” i przypominający magazyn klub nocny „U Podnuha”. W Thi-bodeaux's Cafe w ładnym ryneczku zapytałem, jak dojechać na ulicę, gdzie mieszkała Judy Neubolt. Znali dom, wiedzieli nawet, że pielęgniarka wyjechała co najmniej na rok do La Jolla i że domem zajmował się jej przyjaciel.

Perkins Street zaczynała się naprzeciwko wejścia do Evangeline State Park. Kończyła się skrzyżowaniem w kształcie litery T, a na prawo od niego rozciągała się niemal wiejska okolica pełna rozrzuconych daleko jeden od drugiego domków. Na tej ulicy, w dziwnie niskim mimo dwóch kondygnacji domu, z dwoma oknami po obu stronach drzwi i trzema na piętrze, mieszkała Judy Neubolt. Po wschodniej stronie dach opadał stromo w dół, redukując część mieszkalną do jednego tylko piętra. Ściany były śnieżnobiałe, uszkodzone dachówki wymienione na nowe, ale ogrodem nikt się najwyraźniej nie zajmował, a znajdujące się za płotem zarośla zaczynały wdzierać się na teren posesji.

Zaparkowałem kawałek od domu i podszedłem do niego przez zarośla, stając na ich skraju.

Słońce zaczynało już zachodzić i rzucało czerwonawe światło na dach i ściany. Tylne drzwi były zamknięte na zamek i zaryglowane. Nie miałem innego wyjścia, jak tylko wejść od frontu.

354

Gdy posuwałem się naprzód, zmysły miałem wyostrzone jak nigdy dotąd. Dźwięki, zapachy i kolory wydawały się zbyt ostre, wręcz przytłaczające. Miałem wrażenie, że mógłbym rozebrać na części składowe każdy dźwięk, jaki docierał do mnie spośród drzew. Mój pistolet podrygiwał tylko, gdy ręka zbyt szybko reagowała na sygnały z mózgu. Dłonią czułem każde wybrzuszenie i szczelinę na jego powierzchni, a na opuszkach palców twardość spustu. Pulsowanie krwi w uszach było jak grzmocenie wielką pięścią w ciężkie, dębowe drzwi, szelest liści i gałązek pod moimi stopami przypominał trzaski gigantycznego ogniska.

Story we wszystkich oknach i na drzwiach wejściowych były zaciągnięte. Przez szparę między zasłonami na drzwiach zauważyłem czarny materiał, zawieszony, by nikt nie mógł zajrzeć do środka. Moskitiera otworzyła się, skrzypiąc na zardzewiałych zawiasach, gdy przyklejony do ściany z boku odchyliłem ją prawą stopą. Na górze futryny zobaczyłem sporą sieć pajęczą i suche odwłoki schwytych owadów drzące w rytm wibracji otwieranej osłony.

Wyciągnąłem rękę i nacisnąłem klamkę drzwi wejściowych. Otworzyły się z łatwością. Poczekaliśmy, aż rozchylią się na oścież, odsłaniając słabo oświetlone pomieszczenie. Ujrzałem krawędź kanapy, połowę okna po drugiej stronie domu, a po prawej stronie początek korytarza. Wziąłem głęboki wdech, który w moich uszach odbił się echem niczym niskie, przepelnione bólem sapnięcie chorego zwierzęcia, i błyskawicznie wśliznąłem się do środka, a za mną zamknęła się moskitiera.

Widziałem teraz cały największy pokój domu w pełnej krasie. Widok budynku z zewnątrz był bardzo zwodniczy. Judy Neubolt albo osoba, która projektowała wnętrze, usunęła strop dzielący kondygnacje i pokój sięgał dachu, gdzie dwa świetliki, teraz brudne i częściowo zasłonięte czarną tkaniną, przepuszczały wąskie snopy światła aż do gołych desek podłogi. Całe pomieszczenie oświetlały jednak tak naprawdę tylko dwie lampy, stojące na podłodze po przeciwnych stronach. Stała tu długa kanapa w czerwono-pomarańczowe zygzaki, obrócona przodem do drzwi. Po obu jej stronach znajdowały się fotele od kompletu, między nimi ława, a pod oknem naprzeciwko szafka z telewizorem. Z boku duży stół i sześć krzeseł, za nimi kominek. Na ścianach wisiały ozdoby indiańskie i jeden czy dwa mistyczne obrazy, przedstawiające ubrane w zwiewne, białe suknie kobiety, stojące na wzniesieniu lub nad brzegiem morza. W przyziemnym świetle trudno było dobrze im się przyjrzeć.

Wzdłuż wschodniej ściany znajdowała się drewniana antresola, do której prowadziły schody po mojej lewej stronie. Na górze stało łóżko i szafa z sosnowego drewna.

355

Rachel wisiała głową w dół, przywiązana za kostki na linie umocowanej do poręczy antresoli. Była naga, a jej włosy kończyły się może pół metra nad podłogą. Ręce miała wolne — zwisały w dół tak, że prawie sięgały podłogi. Jej oczy i usta były otwarte, ale nie dała żadnego znaku, że mnie widzi. Do lewego ramienia przyklejony miała przezroczysty plaster. Spod niego wystawała igła połączona plastikową rurką z kroplówką. Worek kroplówki zwisał z metalowej ramy, pozwalając ketarninie wolno i systematycznie sączyć się do organizmu. Na podłodze leżała płachta przezroczystej folii.

Pod antresolą znajdowała się ciemna kuchnia z sosnowymi szafkami, wysoką lodówką i kuchenką mikrofalową przy zlewie. Trzy stołki stały we wnęce śniadaniowej. Po mojej prawej stronie, na ścianie naprzeciwko antresoli, wisiał wyszywany kilim ze wzorem przypominającym ten na kanapie i krzesłach. Wszystko pokrywała cienka warstwa kurzu.

Sprawdziłem korytarz za mną. Prowadził do drugiej sypialni, pustej, nie licząc materaca z zielonym śpiworem. Plecak wojskowy w tym samym kolorze leżał otwarty obok i dostrzegłem w nim parę dzinsów, kremowe spodnie i kilka męskich koszul. Pokój o spadzistym suficie zajmował mniej więcej połowę szerokości domu, co oznaczało, że za ścianą znajdowało się podobnej wielkości pomieszczenie.

Ruszyłem z powrotem w stronę salonu, nie spuszczać z oczu Rachel. Woolricha nie było widać, choć mógł się czaić w drugiej części korytarza. Rachel nie mogła mi nic podpowiedzieć.

Zacząłem się wolno posuwać wzdłuż ściany, na której wisiał kilim, na drugi koniec pokoju.

Byłem w połowie drogi, kiedy mój wzrok przykuł lekki ruch za wiszącą Rachel, i obróciłem się z pistoletem uniesionym na wysokości ramienia, instynktownie przyjmując pozycję strzelecką.

— Rzuć to, Bird, albo ją zaraz zabiję.

Czekał w ciemności, zasłonięty jej ciałem. Stał teraz bardzo blisko niej, wciąż częściowo ukryty. Widziałem fragment jego jasnobrązowych spodni, rękaw białej koszuli i siwe włosy, nic więcej. Gdybym chciał strzelić, na pewno trafiłbym Rachel.

— Mój pistolet jest wycelowany w jej krzyż, Bird. Szkoda byłoby szpeciwać takie piękne ciało dziurą od kuli, więc odłóż broń.

Schyliłem się i delikatnie położyłem pistolet na podłodze.

— Odepchnij go nogą.

Kopnąłem go bokiem stopy i patrzyłem, jak sunie po podłodze, zatrzymując się przy nodze krzesła.

Woolrich wyszedł z cienia, ale to już nie był ten człowiek, którego wcześniej znałem. To było tak, jakby wraz z odkryciem jego prawdziwej

356

natury zaszła w nim jakaś metamorfoza. Na twarzy malowało się większe niż zwykle zmęczenie, a czarne cienie pod oczami nadawały mu trupi wygląd. Ale te oczy... Lśniły w półmroku blaskiem czarnych klejnotów. Kiedy mój wzrok przyzwyczaił się do przyćmionego światła, dostrzegłem, że jego tęczęwki niemal całkowicie zniknęły. Żrenice, ogromne i ciemne, chciwie karmiły się światłem w pomieszczeniu.

— Dlaczego to musiałeś być właśnie ty? — zapytałem bardziej siebie niż jego. — Byłeś moim przyjacielem.

Uśmiechnął się wtedy, ponury, pusty uśmiech przesunął się po jego twarzy jak śnieżna lawina.

— Jak ją odnalazłeś, Bird? — zapytał niskim głosem. — Jak znalazłeś Lisę? Dałem ci Lutice Fontenot, ale jak znalazłeś Lisę?

— Może to ona mnie odnalazła?

— To i tak bez znaczenia — rzekł cichym głosem. — Nie mam na to czasu. Mam teraz całkiem nową pieśń do odśpiewania.

Widziałem go już całego. W jednej ręce trzymał zmodyfikowaną wiatrówkę z szeroką lufą, a w drugiej skalpel. SIGa wetknął za pasek od spodni, których mankiety nadal były brudne od błota.

— Dlaczego ją zabiłeś? Woolrich obrócił dłoń ze skalpelem.

— Bo byłem do tego zdolny.

Światło w pokoju zmieniło się, zrobiło się ciemniej, gdy chmura zakryła słońce przedostające się przez świetliki w suficie. Poruszyłem się nieco, przenosząc ciężar ciała, kątem oka cały czas obserwując mój pistolet. Mój ruch był bardzo wyraźny, jakby na myśl o możliwościach ketaminy wszystko wokół zdawało mi się poruszać zbyt szybko. Broń Woolricha wycelowała we mnie jednym gładkim ruchem.

— Nie, Bird. Nie będziesz musiał długo czekać. Nie przyspieszaj końca.

Pokój rozjaśnił się znowu, ale tylko gdzieś na obrzeżach. Słońce zachodziło prędko. Wkrótce miał zapaść zmrok.

— Zawsze chciałem, by to się właśnie tak skończyło, Bird, ty i ja w takim pokoju.

Zaplanowałem to od samego początku. Właśnie tak miałeś umrzeć. Może tu, a może o innym czasie, w innym miejscu. — Uśmiechnął się. — Mieli mnie przecież awansować. Mógłbym więc się przenieść i działać dalej. Ale i tak miało się to wszystko zakończyć właśnie w ten sposób.

Przesunął się do przodu o jeden krok, broń mu nawet nie drgnęła.

— Jesteś małym człowieczkiem, Bird. A masz pojęcie, ilu takich małych ludzi zabiłem?

Dziadostwo w różnych pipidówach stąd aż do Detroit. Domowe kurwy, które całe życie tylko oglądają Oprah i pieprzą się jak su-

357

li

ki. Ćpuny. Pijaki. Nigdy nie czułeś do nich nienawiści, do tych istot bez wartości i znaczenia, które nigdy nic nie zrobią i nie przyczynią się do niczego? Czy myślałeś kiedyś, że możesz być jednym z nich? Pokazałem im, jak mało znaczą, jacy są nic nie warci. Pokazałem twojej żonie i córce, jak niewiele znaczą.

— A Byron? — zapytałem. — Czy on też był małym człowieczkiem, a może go w takiego

zmieniłeś?

Chciałem, żeby nie przestawał mówić, może wtedy udałoby mi się odzyskać pistolet.

Wiedziałem, że gdy tylko przestanie, będzie próbował zabić i mnie, i Rachel. Co więcej jednak, pragnąłem dowiedzieć się, dlaczego, chociaż zdawałem sobie sprawę, że tego wszystkiego nie sposób wytłumaczyć.

— Byron — powiedział z lekkim uśmiechem. — Musiałem kupić sobie trochę czasu. Kiedy pociąłem tę babkę w szpitalu, wszyscy myśleli o nim jak najgorzej i musiał uciekać do Baton Rouge. Odwiedziłem go, Bird. Przetestowałem na nim ketaminę, a potem podawałem mu ją regularnie. Raz spróbował uciec, ale go znalazłem. W końcu znajduję ich wszystkich.

— Ostrzegłeś go, że przyjdą federalni, prawda? Poświęciłeś swoich ludzi, by mieć pewność, że on ich zaatakuje, że umrze, zanim zaczniesz coś bredzić. Czy Adelaide Modine też ostrzegłeś, kiedy już ją wywęszyłeś? Powiedziałeś jej, że ją ścigam? Zmusiłeś do ucieczki?

Nie odpowiedział. Zamiast tego przesunął tępą stroną skalpela po ramieniu Rachel.

— Czy zastanawiałeś się kiedyś, jak skóra... taka cienka... jest w stanie utrzymać w środku tyle krwi?

Obrócił nóż i pociągnął ostrzem po jej łopatce, potem od prawego barku do mostka. Rachel nawet się nie poruszyła. Oczy były nadal rozszerzone, ale coś w nich błysnęło i z kącika przy nosie pociekła łza, ginąc u nasady włosów. Z rany popłynęła krew, wędrując krzywo po karku i zbierając się pod brodą, po czym ściekła po twarzy, rysując czerwone linie.

— Popatrz, Bird — powiedział. — Chyba krew napływa jej do głowy. Zadarł brodę.

— I tak wciągnąłem w to ciebie. I jest w tym wszystkim zależność, która powinna ci się spodobać, Bird. Po twojej śmierci wszyscy się o mnie dowiedzą. A wtedy zniknę — nie znajdą mnie, znam wszystkie możliwe sztuczki — i zacznę od początku.

Uśmiechnął się słabo.

— Ty chyba nie jesteś mi wdzięczny — stwierdził. — A przecież zrobiłem ci prezent, zabijając twoją rodzinę. Gdyby żyły, opuściłyby cię i zostałybyś po prostu kolejnym pijaczkiem. W pewnym sensie zapobiegłem rozpa-

358

I

dowi rodziny. Wybrałem je ze względu na ciebie, Bird. Zaprzyjaźniłeś się ze mną wtedy w Nowym Jorku, afiszowałeś się z nimi przede mną, a ja je zabiłem.

— Marsjasz — szepnąłem. Woolrich spojrział na Rachel.

— To mądra pani, Bird. W twoim typie. Jak Susan. A wkrótce zostanie twoją kolejną martwą kochanką, tyle że tym razem nie będziesz jej długo opłakiwał.

Machał skalpelem w przód i w tył, tnąc w poprzek skórę na ręce Rachel. Chyba sam nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, co robi, ani z tego, co dopiero zamierzał.

— Nie wierzę w życie po życiu, Bird. Tam jest tylko próżnia. A to jest piekło, Bird, i my w nim siedzimy. Cały ten ból, krzywdy, nieszczęścia, jakie tylko można sobie wyobrazić, są tutaj. To kultura śmierci, jedyna religia, jaką warto wyznawać. A świat jest moim ołtarzem, Bird. Ale ty tego nigdy nie zrozumiesz. Ostatecznie człowiek jest w stanie pojąć realność śmierci, prawdziwego bólu dopiero wtedy, gdy sam ich doświadczy. To wielka wada mojej pracy, ale jednocześnie czyni ją w pewien sposób bardziej ludzką. Popatrz na to jako na moją pychę. — Obrócił skalpel w dłoni, światło i krew błysnęły na ostrzu. — Ona miała rację od samego

początku. A teraz ty musisz się dowiedzieć. Zaraz otrzymasz lekcję śmiertelności i sam taką lekcją się staniesz. Chcę odtworzyć Pięte, Bird, ale tym razem z tobą i twoją przyjaciółką.

Możesz to sobie wyobrazić? Najsłynniejszy wizerunek smutku i śmierci w historii świata, przekonujący symbol poświęcenia się dla dobra ludzkości, nadziei, wskrzeszenia, a ty będziesz

jego częścią. Tylko że to, co my tworzymy, to antywskrzeszenie, jak ciemność staje się ciałem. Ruszył do przodu, oczy błyszczały mu przerażająco.

— Ty nie zwyciężysz śmierci, Bird, a jedynymi grzechami, za które umierasz, są twoje własne. Ruszyłem już w prawo, kiedy broń wystrzeliła. Poczulem ostry ból w lewym boku, gdy igła wbiła się w moją skórę, i usłyszałem jego kroki na drewnianej podłodze. Szarpnąłem mocno lewą ręką i boleśnie wyrwałem igłę z ciała. To była ogromna dawka. Kiedy sięgałem po pistolet, już czulem jej działanie. Mocno ścisnąłem kolbę i spróbowałem wycelować w Woolricha. Zgasił światła. Zaskoczony pośrodku pokoju, z dala od Rachel, przesunął się w prawo. Dostrzegłem sylwetkę mijającą okno i wystrzeliłem dwa razy. Usłyszałem jęk bólu i dźwięk tłuczonego szkła. Do pokoju wdarł się drobny promień światła.

359

Posuwałem się do tyłu, aż dotarłem do drugiego korytarza. Próbowałem znaleźć Woolricha, ale on jakby wtopił się w mrok. Druga strzykawka wbiła się w ścianę tuż przy mnie i zmuszony byłem dać nura w ciemność po mojej lewej stronie. Kończyny miałem ociężałe, z trudem poruszałem rękami i nogami. Czulem się tak, jakby coś gniotło mnie w klatce piersiowej, i wiedziałem, że nie uniosę własnego ciężaru, jeżeli spróbuję się wyprostować.

Nadal szedłem do tyłu, każdy ruch był męką, ale nie miałem wątpliwości, że jeżeli się zatrzymam, to już nigdy nie będę mógł się poruszyć. Skrzypienie podłogi doszło z salonu i usłyszałem jego chrapliwy oddech. W pewnym momencie zaśmiał się głośno, ale zamiast radości w śmiechu zabrzmiał ból.

— Kurwa, Bird — jęknął. — Cholera, ale boli. — Zaśmiał się znowu. — Zapłacisz mi za to, ty i ta kobieta. Rozerwę wasze pieprzone dusze na strzępy.

Jego głos dochodził do mnie jak przez watę, co zniekształcało dźwięk i utrudniało określenie odległości i kierunku. Ściany korytarza zadrżały i rozpadły się na kawałki, a ze szczelin wypłynęła ciemna krew. Wyciągnęła się ku mnie ręka, szczupła, kobieca ręka z cienką, złotą obrączką na palcu. Zobaczyłem własną dłoń, wyciągniętą, by dotknąć tamtej, choć nadal czulem, że opieram się rękoma o podłogę. Pojawiło się kolejne damskie przedramię, wymachujące na oślep.

bird

Cofnąłem się, potrząsając głową, by pozbyć się przywidzeń. Wtedy z ciemności wysunęły się dwie mniejsze rączki, delikatne, dziecięce; zamknąłem oczy i zacisnąłem zęby.

tatusiu

— Me — syknąłem.

Wbiłem paznokcie w podłogę, aż jeden z nich złamał się z trzaskiem i ból przeszedł przez palec wskazujący lewej ręki. Potrzebowałem tego bólu. Miał zwalczyć działanie ketaminy. Nacisnąłem mocno na zraniony palec i aż wstrzymałem oddech. Cienie przy ścianie nadal się poruszały, ale postacie Susan i Jennifer zginęły.

Uświadomiłem sobie obecność czerwonej poświaty zalewającej korytarz. Plecami uderzyłem w coś zimnego i ciężkiego, co poruszyło się powoli, gdy na to wpadłem. Opierałem się o uchylone wzmocnione, stalowe drzwi z trzema zasuwami po lewej stronie. Główny rygiel miał dobre dwa centymetry średnicy, wisiała też wielka, mosiężna kłódka. Stłumione czerwone światło sączyło się przez szczelinę.

— Bird, to już prawie koniec — odezwał się Woolrich.

360

Był bardzo blisko, ale nadal go nie widziałem. Pewnie stał w samym kącie i czekał, aż przestanę się ruszać.

— Narkotyk zaraz cię unieruchomi. Odrzuć pistolet i będziemy mogli zacząć. Im prędzej zaczniemy, tym prędzej skończymy.

Oparłem się mocniej o drzwi i poczułem, że otworzyły się na oścież. Na piętach, drobnymi krokami zacząłem się cofać, aż oparłem się o sięgający sufitu regał. Pomieszczenie oświetlała pojedyncza czerwona żarówka zawieszona pośrodku sufitu. Okna były zamurowane, a cegły nie otynkowane. Nie docierała tu ani odrobina dziennego światła.

Naprzeciwko mnie, na lewo od drzwi, stał rząd metalowych półek przymocowanych do ściany wkrętami. Na każdej z nich zobaczyłem kilka szklanych słoików, a w każdym słoju, połyskującym w słabym czerwonym świetle, pływały szczątki ludzkich twarzy. Większości nie sposób było rozpoznać. Unosiły się w aldehydzie. Na niektórych powiekach pozostały jeszcze rzęsy, usta innych były prawie białe, skóra na brzegach poszarpana. Na najniższej półce dwie ciemne twarze przylegały niemal zupełnie do ścianek słoików, zbezczeszczone jeszcze i w ten sposób, i rozpoznałem twarze Marie Aguiard i jej syna. Naliczyłem przed sobą jakieś piętnaście słoików. Półka za mną poruszyła się nieznacznie i szkło brzęknęło lekko o szkło, cicho chlupnął płyn. Uniosłem głowę. Rzędy słoików sięgały sufitu, każdy mieścił białe szczątki ludzkie. Twarz na jednej z niższych półek opierała się o front słoja, jej puste oczy były rozchylone, jakby chciały spojrzeć w wieczność.

Wiedziałem, że gdzieś wśród nich znajdowała się zakonserwowana twarz Susan.

— Jak ci się podoba moja kolekcja, Bird?

Ciemny kształt Woolricha posuwał się z wolna korytarzem. W jednej ręce dostrzegłem zarys pistoletu. Kciukiem drugiej pocierał o tępą krawędź skalpela.

— Zastanawiasz się, gdzie jest twoja żona? Środkowa półka, trzeci słoik od lewej. Chyba siedzisz gdzieś koło niej.

Nie poruszyłem się. Nie mrugałem. Opierałem się bezwładnie o regał, otoczony twarzami umarłych. Wkrótce i moja się tu znajdzie, pomyślałem, moja, Rachel i Susan, jedna obok drugiej na zawsze.

Woolrich szedł przed siebie, aż stanął w drzwiach. Uniósł wiatrówkę.

— Nikt jeszcze tak długo się nie opierał, Bird. Nawet Tee Jean, a to był silny dzieciak. — Coś w jego oczach zaświeciło czerwono. — Muszę cię ostrzec: w końcowym stadium to będzie bolało. Zacisnął palec na spuście i z lufy wyleciała strzykawka. Już unosiłem pistolet, kiedy ostry ból dosięgnął! mojej klatki piersiowej, ręki i znowu

361

zobaczyłem cienie. Wyteżałem siły, pragnąc zwiększyć nacisk na kurek. Woolrich, w pełni świadomy niebezpieczeństwa, ruszył do przodu ze skalpelem w uniesionej ręce, gotowy pociąć moje ramię.

Języczek spustu cofał się bardzo powoli, tak nieskończenie powoli, że wraz z nim jakby cały świat zwolnił swój bieg. Wydawało się, iż Woolrich zawisł w powietrzu, ostrze w jego dłoni wygięło się, jak widziane przez tafłę wody, usta otworzył szeroko, a z gardła wydobywał mu się dźwięk przypominający wycie wiatru w tunelu. Spust przesunął się o kolejny milimetr i mój palec znieruchomiał, kiedy strzał odbił się echem w pomieszczeniu. Woolrich, znajdujący się najwyżej metr ode mnie, odskoczył, kiedy pierwsza kula trafiła go w pierś. Następnie pod wpływem nieprzerwanego nacisku włączył się automat i osiem strzałów padło jakby jednocześnie, odgłosy zlały się w jeden huk, gdy dziesięciomilimetrowe pociski przeszły przez ubranie i ciało, aż magazynek się opróżnił. Ryk wystrzałów roztrzaskał słoje i podłogę zalał aldehyd. Woolrich upadł na wznak i leżał, wciąż drgając. Raz uniósł się, dźwigając z ziemi głowę i ramiona, lecz światło w jego oczach już gasło. Wreszcie opadł i znieruchomiał.

Moja ręka poddała się wadze broni i osunęła się na ziemię. Słyszałem kapanie aldehydu i czułem

obecność zmarłych, którzy tłoczyli się teraz wokół mnie. Z daleka dobiegło wycie syren i wiedziałem, że cokolwiek stanie się ze mną, Rachel przynajmniej zostanie uratowana. Coś lekko dotknęło mojego policzka, jak babie lato, jak dotyk kochanki przed zaśnięciem, i ogarnął mnie spokój. Ostatnim wysiłkiem woli zamknąłem oczy | i czekałem na nadejście ciszy.

IBMLTO

Skreśliłem w lewo na rozwidleniu dróg przy Scarborough, zjechałem ze stromej góry, minąłem duży, katolicki kościół ze starym cmentarzem, po prawej stronie mignął posterunek straży pożarnej; nisko stojące słońce późnego popołudnia oświetlało czerwonymi promieniami bagna rozciągające się po obu stronach drogi. Wkrótce zrobi się ciemno i w domach pojawią się światła, ale domki letnie wzdłuż Prouts Neck Road pozostaną pogrążone w ciemnościach.

Morze łagodnie wtacza się na ląd, obmywając piasek i kamienie na Prouts Neck. Sezon już się skończył i z tyłu zostawiam ciemny kształt pensjonatu Black Point, gdzie jadalnia jest już pusta, bar cichy, a drzwi pokoi

362

personelu zamknięte na klucz. Latem przyjadą starzy bogacze z Bostonu i Nowego Jorku, będą jeść zimne lunche przy basenie i przebierać się do kolacji, płomienie świec odbijają się w ciężkiej biżuterii i zatańczą wokół stolików jak złote ćmy.

Po drugiej stronie wody widać światła plaży Old Orchard. Od morza wieje chłodny wiatr, dokuczając nielicznym mewom. Otulam się płaszczem i stoję przy wodzie, patrząc na ziarenka wirującego piasku. Wydają dźwięki jak matka uciszająca swe dziecko, kiedy wiatr unosi je z wydm i tworzy kształty duchów z przeszłości, zanim pozwoli im na powrót spocząć.

Stoję niedaleko miejsca, gdzie wiele lat temu stał Clarence Johns i patrzył, jak człowiek Daddy'ego Helmsa sypie na moje ciało ziemię i mrówki. To była trudna lekcja, tym trudniejsza, że trzeba było ją przyjąć dwukrotnie. Przypominam sobie wyraz jego twarzy, kiedy tak stał, drżąc przede mną, jego rozpacz, gdy zdał sobie sprawę z tego, co zrobił i co stracił.

I chcę położyć rękę na ramieniu Clarence'a Johnsa i powiedzieć, że wszystko jest w porządku, że rozumiem i nie czuję do niego żalu. Chcę usłyszeć, jak podeszwy jego tanich butów stukają na drodze. Pragnę patrzeć, jak puszcza kaczki na wodzie, i wiedzieć, że nadal jesteśmy przyjaciółmi. Chcę wracać z nim do domu i słyszeć, jak gwiżdże tylko trzy takty jakiejś melodii, która siedzi mu w głowie i ciągle powraca, gdy idzie tą drogą.

Zamiast tego wszystkiego wsiałę do samochodu i w gasnącym słońcu jesieni wrócę do Portland. Mam pokój w pensjonacie na St John, z dużymi oknami, czystą pościelą i łazienką dwa pokoje dalej. Będę leżał na łóżku, samochody będą przejeżdżać pod moim oknem, dalekobieżne autobusy Greyhound będą przybywać i wyruszać z dworca po drugiej stronie ulicy, a ludzie pchać kosze z zakupami, pełne butelek i puszek, chodnikiem na parking przy Congress.

A kiedy zmrok zacznie zapadać, zadzwonię do mieszkania Rachel na Manhattanie. Telefon zadzwoni — raz, drugi, trzeci — i wtedy włączy się sekretarka: „Witam, nie mogę teraz podejść do telefonu, ale...” Słuchałem tych samych słów wiele razy, odkąd wyszła ze szpitala.

Dozorczyńni twierdzi, że nie może mi powiedzieć, gdzie jest Rachel. Odwołała wykłady na uczelni. Tak więc ze swego hotelowego pokoju będę mówił do maszyny po drugiej stronie linii. Gdybym się uparł, mógłbym ją odszukać. Znajdowałem przecież innych, ale byli już wtedy martwi. Nie chcę jej ścigać.

To się nie powinno tak kończyć. Powinna być teraz ze mną z białą, idealną skórą, bez blizn od noża Woolricha; jej oczy winny być jasne i życzliwe, a nie zmęczone i nawiedzane wizjami, które nachodzą ją w nocy; jej ręce powinny wyciągać się do mnie w ciemności, a nie odpychać, jakby mój

363

i

dotyk sprawiał jej ból. Oboje uporamy się jakoś z przeszłością, z tym, co się stało, ale na razie będziemy to robić osobno.

Rano Edgar włączy radio, a na stoliku w holu postawi tacę z sokiem pomarańczowym, kawą i muffinkami w folii. A potem pojedę do domu mojego dziadka i zacznę pracę. Jeden z tamtejszych mieszkańców zgodził się pomóc mi naprawić dach i ściany, aby przygotować dom na zimę.

Usiądę na werandzie, wiatr będzie szumił w drzewach, targając ich gałęzie i śpiewając w liściach. Będę nasłuchiwać szczekania psa i stukotu jego pazurów o zniszczone deski, będę wspominać jego poruszający się le-niwie ogon; może usłyszę łomot pociągu i zobaczę, jak dziadek przygotowuje się, by nabić fajkę, a obok będzie stała szklaneczka whisky, ciepła i delikatna jak pocałunek; może też wspomnę chwile, kiedy suknia mamy ocierała się o brzeg blatu, gdy przygotowywała kolację i kładła na stole niebieskie i białe talerze, starsze od niej, stare jak ten dom.

A może usłyszę zanikające w dali pukanie butów na plastikowych podeszwach, ginące w ciemności, przynoszące spokój, który prędzej czy później ogarnia wszystko, co martwe.

Podziękowania

Podczas przygotowań do napisania tej powieści odkryłem kilka książek, które okazały się niezwykle cenne. Najważniejsza pośród nich to *The Body Emblazoned* (Routledge, 1995), genialne opracowanie tematu sekcji zwłok i przedstawiania ludzkiego ciała w kulturze renesansu autorstwa Jonathana Sawdy'ego. Inne pozycje, do których powracałem, to *Suspended Animation* (Harcourt Brace & Co., 1995), której autorem jest F. Gonzalez-Crussi, *Policing the Southern City* (Louisiana State University Press, 1996) Denisa C. Rouseya, *The Devil* (Reaktion Books, 1995) Luthera Linka, *Dark Nature* (Hodder & Stoughton, 1995) Lyalla Watsona i *Crime Classification Manual* (Simon & Schuster, 1993), której autorami są Res-sler, Douglas, Burgess i Burgess.

Wielkie podziękowania niech przyjmie Darley Anderson, bez którego Wszystko martwe nie ujrzałoby światła dziennego. A za wiarę we mnie, rady i zachętę, jakich doświadczyłem, dziękuję redagującym tę powieść Sue Fletcher z wydawnictwa Hodder & Stoughton oraz Bobowi Mecoyowi z Simon & Schuster w Nowym Jorku.

Nakładem

Scott Turów PRAWA NASZYCH OJCÓW

Śmierć June Eddgar w ulicznej strzelaninie wydaje się przypadkowa do momentu, kiedy jej syn, Nile, na wieść o wypadku oświadcza, że to z jego winy.

Bo tak naprawdę miał tam zginąć... jego ojciec, Loyell Eddgar, senator stanowy!

Sędzia Sonia Klonsky zostaje wyznaczona do prowadzenia tej sprawy. Jej bezstronność zostaje jednak położona na szalę, kiedy się okaże, że główne role w powikłanej historii, sięgającej korzeniami lat sześćdziesiątych, odegrają: adwokat obrony Hobie Tuttle, reporter Seth Weissman i senator Eddgar, znani jej wtedy chyba zbyt blisko, by mogła o nich teraz zapomnieć. I wydać sprawiedliwy werdykt...

Nakładem

Sr

James Ellroy AMERYKAŃSKI SPISEK

Jest rok 1958. Howard Hughes uchyla się od wezwań do sądu. Gdyby odkrył jakieś brudy klanu Kennedych, mógłby z tego wyjść cało.

Taką kartę przetargową ma nadzieję wypracować dla niego Pete Bondurant. Ten spec od brudnej roboty, były gliniarz, nie zawaha się przed niczym.

Nawet gdy na drodze stanie mu dawny znajomy: Kemper Boyd. Jego to właśnie wyznaczył sam Edgar Hoover do infiltrowania Kennedych z ramienia FBI. Na wypadek, gdyby JFK „przejął” owalny gabinet...

A w tym czasie młody gorliwy prawnik, Robert Kennedy, mocno przejęty jest walką z mafią... Taki jest początek tej historii. A jej koniec przypadnie na pamiętny dzień 22 listopada 1963 roku. W Dallas. I wielu z jej bohaterów znajdzie się w tym miejscu.

Sprzedaj wysyłkową książek
wydawnictwa CólT

prowadzi:

merlin.com.pl

KSIĘGARNIA INTERNETOWA

www.merlin.com.pl e-mail: sklep@merlin.com.pl